

**WILLIAM GIBSON
BRUCE STERLING**

Maszyna Różnicowa

Przełożył Piotr W. Cholewa

2010



Tytuł oryginału:

The Difference Engine

Wydawnictwo MAG, 1997

Redaktor serii:

Andrzej Miskurka

ISBN 83-86572-52-3

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Dolna 43/45, 00-773 Warszawa

tel./fax (0-22) 416042 lub (0-22) 412175

e-mail: maa@medianet.com.pl

ITERACJA PIERWSZA

Anioł z Goliadu

Złożony obraz, optycznie kodowany przez eskortowca liniowca powietrznego *Lord Brunei*: widok z góry na przedmieście Cherbourga, 14 października 1905 roku.

Willa, ogród, taras.

Usuając z tarasu poręcz z kutego żelaza, odsłaniamy wózek inwalidzki i jego pasażerkę. Promienie słońca odbijają się jaskrawo od niklowanych szprych w kołach.

Pasażerka, właścicielka willi, opiera artretyczne dłonie na pledzie utkanym na krosnach Jacquarda.

Te dłonie zbudowane są ze ścięgien, tkanki, kości i stawów. Spokojne działanie czasu i informacji sprawiło, że włókna ludzkich komórek spłotły się w kobietę.

Nazywa się Sybil Gerard.

Poniżej, w zaniedbanym francuskim ogrodzie, bezlistne winorośle oplatają drewniane kraty na białych, łuszczących się ścianach. Ciepły podmuch rozwiewa siwe włosy przy szyi, niosąc przez otwarte okno z pokoju zapachy węglowego dymu, jaśminu i opium.

Kobieta spogląda uważnie w niebo, na ogromną sylwetkę o nieopisanym wdzięku – metal, jeszcze za jej życia, nauczył się latać. Tę wspaniałość wyprzedzają maleńkie bezpilotowe aeroplany, które z warkotem nurkują na tle czerwieniejącego horyzontu.

Jak szpaki, myśli Sybil.

Sterowiec rozjaśnia się od środka; prostokątne złociste okna sugerują ludzkie ciepło. Bez wysiłku, z niezrównaną łatwością funkcji organicznych, Sybil wyobraża sobie daleką muzykę: muzykę Londynu. Pasażerowie spacerują, piją, flirtują, może tańczą.

Budzą się nieproszone myśli, umysł splata perspektywy, z emocji i wspomnień składa znaczenia.

Przypomina sobie swoje życie w Londynie. Siebie, dawno temu, idącą Strandem, przeciskającą się przez tłum przy Tempie Bar. Dalej... Miasto Pamięci rozrasta się wokół niej, aż po mury Newgate, gdy pada na nie cień jej ojca na stryczku...

Szybka jak odchylony promień światła Pamięć zbacza tutaj w inny zaułek – taki, w którym zawsze trwa wieczór...

* * *

Jest 15 stycznia 1855 roku.

Pokój w Grand Hotelu przy Picadilly.

Jedno krzesło stoi przechylone do tyłu, blokując oparciem drzwi. Na drugim wiszą ubrania: damski płaszcz z falbaną, ubłocona spódnica z grubego sukna, męskie kraciaste spodnie i wcięty surdut.

Dwie postacie w pościeli na łóżku pokrytym fornirem z klonowego drewna; na dworze, w lodowatym uścisku zimy, Big Ben wybija dziesiątą: szorstkie, organowe dźwięki i płonący węglem oddech Londynu.

Pod zimną kołdrą Sybil przysunęła stopy do rozgrzanej ceramicznej butelki owiniętej flanelą. Czubki palców musnęły łydkę mężczyzny i ten dotyk wyrwał go z głębokiego zamyślenia. Taki już był ten dandys, Mick Radley.

Spotkała go w Akademii Tańca Laurenta przy Windmill Street. Teraz, kiedy już się poznali, bardziej by jej pasował do Kellnera przy Leicester Square, a nawet do Portland Rooms. Zawsze się zastanawiał, planował, mruczał pod nosem. To ją martwiło. A pani Winterhalter nie byłaby zadowolona; „dżentelmena z kół politycznych” należało traktować z delikatnością i dyskrecją. Te cechy pani Winterhalter posiadała w nadmiarze, nie uznawała ich jednak u swoich dziewcząt.

– Dość łajdaczenia się, Sybil – rzekł Mike.

To jedno z tych jego niespodziewanych stwierdzeń: konkluzja czegoś, co właśnie sobie przemyślał.

Uśmiechnęła się; twarz do połowy ukryła pod ciepłym brzegiem kołdry. Wiedziała, że lubi jej uśmiech, uśmiech zepsutej dziewczyny. Obróć to w żart, nakazała sobie.

– Gdybym się nie łajdaczyła, czyż teraz leżałabym tu z tobą?

– Koniec z bieganiem za mężczyznami.

– Chodzę tylko do dżentelmenów.

Mick parsknął rozbawiony.

– A więc uważasz mnie za dżentelmena?

– Bardzo sztywnego dżentelmena – potwierdziła, by mu pochwalić. – Eleganckiego. Wiesz, że nie lubię radykalnych lordów. Pluję na nich, Mick.

Sybil zadrżała, choć raczej z zadowolenia niż z lęku. Dopisało jej szczęście: gwarantowało steki, gorącą czekoladę, łóżko z czystą pościelą w dobrym hotelu. W błyszczącym, nowiutkim hotelu z centralnym ogrzewaniem parowym, choć chętnie by zamieniła niespokojne, bulgoczące i stukające zwoje radiatorów na blask ognia w kominku.

W dodatku przystojny był ten Mick Radley, musiała to przyznać. Ubierał się modnie, miał pieniądze i nie żałował ich. Jak dotąd nie zażądał od niej niczego obrzydliwego czy niezgodnego z naturą. Mick był dżentelmenem z Manchesteru w podróży i wkrótce pewnie wyjedzie, wiedziała więc, że związek nie potrwa długo. Jednak przynosił jej korzyści, a po rozstaniu mógł przynieść jeszcze większe, jeśli uda się wzbudzić w nim poczucie winy i wielkoduszość.

Mick oparł się o grubą puchową poduszkę i wsunął palce o zadbanych paznokciach w kędzierzawe włosy. Miał na sobie jedwabną nocną koszulę, z pianą koronki na froncie. Nosił tylko to, co najlepsze. Teraz chciał pewnie porozmawiać. Mężczyzn po pewnym czasie nachodzi zwykle taka ochota. Na ogół mówią o swoich żonach.

Ale Dandys Mick zawsze wracał do polityki.

– A więc nienawidzisz lordów, Sybil?

– Dlaczego nie? – spytała. – Mam swoje powody.

– Jestem tego pewien – odparł.

Spojrzał na nią chłodno, z taką wyższością, że przeszedł ją dreszcz.

– O co ci chodzi, Mick?

– Wiem, jakie masz powody, by nienawidzić rządu. Znam twój numer.

Ogarnęło ją zdumienie, potem strach. Usiadła na łóżku. W ustach czuła posmak zimnego żelaza.

– Trzymasz swoją kartę w torebce – powiedział. – Podałem twój numer znajomemu z magistratu. Przepuścił go przez rządową Maszynę, a ona wydrukowała twoje akta z Bow Street. Ta-ta-ta, jak grzechotka. – Uśmiechnął się drwiąco. – Teraz wiem o tobie wszystko, dziewczyno. Wiem, kim jesteś.

Próbowwała zachować zuchwały ton.

– A kimże takim, panie Radley?

– Nie Sybil Jones, skarbie. Jesteś Sybil Gerard, córka Waltera Gerarda, agitatora luddytów.

Wdarł się do jej ukrytej przeszłości.

... Szumiące gdzieś daleko Maszyny, przędące historię...

Mick obserwował jej twarz i śmiał się z tego, co na niej zobaczył. Rozpoznała to spojrzenie – takie jak u Laurenta, kiedy pierwszy raz wypatrzył ją na zatłoczonym parkiecie. Zachłanne.

– Od jak dawna wiesz? – Głos jej drżał.

– Od naszej drugiej nocy. Przecież podróżuję z generałem. Ma wrogów, jak każda ważna osoba. Jako jego sekretarz i asystent nie mogę ryzykować.

Sybil odsunęła się.

– Szpiegowaleś bezbronną dziewczynę – oświadczyła. – Jesteś prawdziwym draniem, i tyle.

Ale słowa go nie dotknęły – był zimny i twardy niczym sędzia albo jakiś lord.

– Może i szpiegowałem, ale wykorzystuję rządową maszynę dla własnych słodkich celów. Nie jestem donosicielem i nie będę potępiał rewolucjonisty, jakim był Walter Gerard... cokolwiek mówią o nim dzisiaj radykałowie. Twój ojciec był bohaterem.

Przesunął poduszkę.

– Tak, Walter Gerard był moim bohaterem... Słuchałem, jak w Manchesterze mówił o Prawie do Pracy. Był wspaniały. Gardła nas bolały od wrzasków. Ech, dobre Piekłne Koty...

– Głos Micka stał się ostry i surowy, zabrzmiał w nim akcent z Manchesteru. – Słyszałaś o Piekłnych Kotach, Sybil? Za dawnych dni?

– Uliczny gang. Bezdomni chłopcy z Manchesteru.

Mick zmarszczył czoło.

– Byliśmy bractwem! Gildią przyjaciół! Twój ojciec znał nas dobrze. Można powiedzieć, że był naszym politycznym patronem.

– Wolałabym, żeby nie wspominał pan mojego ojca, panie Radley.

Mick niecierpliwie potrząsnął głową.

– Kiedy usłyszałem, że skazali go i powiesili... – Słowa jak sople lodu wbite między żebra – wzięliśmy z chłopakami pochodnie i łomy i zaczęliśmy szaleć. Prawdziwe dzieło Neda Ludda, dziewczyno! Lata minęły... – Delikatnie strzepnął gors nocnej koszuli. – Niewielu ludziom opowiadam tę historię. Rządowe Maszyny mają długą pamięć.

Teraz zrozumiała wielkoduszność Micka i jego czułe słówka, te dziwne uwagi, jakie do niej kierował: o tajemnych planach, lepszej przyszłości, znaczonej kartach i ukrytych asach. Pociągał za sznurki, uzależniał ją od siebie. Córka Waltera Gerarda była cenną zdobyczą dla takiego człowieka jak Mick.

Wyśliznęła się z pościeli i w samych pantalonach i koszuli ruszyła po lodowatej podłodze do fotela. Szybko, w milczeniu przeszukiwała stos ubrań. Płaszcz z falbaną, żakiet, rozłożysta klatka krynoliny z opadającą na nią spódnicą, brzęcząca zbroja gorsetu...

– Wracaj do łóżka – rzucił leniwie Mick. – Nie bądź śmieszna. Jest zimno. – Pokręcił głową. – To nie jest tak, jak myślisz, Sybil.

Nie obejrzała się nawet. Gorset włożyła przy oknie, gdzie przez pokrytą lodem szybę ledwie przeświecało światło ulicznej latarni. Szybkim, wprawnym szarpnięciem zaciągnęła na plecach sznurówki.

– A jeśli nawet – dodał z namysłem Mick – to tylko w niewielkim stopniu.

Po drugiej stronie ulicy publiczność wychodziła właśnie z opery: eleganckie towarzystwo w długich płaszczach i cylindrach. Okryte derkami dorożkarskie konie tupwały nogami po czarnym makadamie. Ślady śniegu z przedmieść białły jeszcze na parowym powozie jakiegoś lorda. W tłumie krążyły prostytutki. Nieszczęsne duszyczki! W taką mroźną noc trudno doprawdy znaleźć przyjazną twarz wśród wszystkich tych żabotów i diamentowych spinek.

Sybil odwróciła się do Micka, zakłopotana, zagniewana, a przede wszystkim przestraszona.

– Komu jeszcze o mnie powiedziałaś?

– Nikomu – zapewnił. – Nawet mojemu przyjacielowi generałowi. Nikt jeszcze nie powiedział, że Mick Radley jest niedyskretny. Więc wracaj do łóżka.

– Nie – odparła. Stała wyprostowana, bosc stopy przemarały jej na zimnej podłodze. – Sybil Jones może dzielić z tobą łóżce... Ale córka Waltera Gerarda nie jest osobą pozbawioną znaczenia.

Mick zamruzał, wyraźnie zdziwiony. Zastanowił się, pocierając wąski podbródek, wreszcie skinął głową.

– Muszę się więc pogodzić ze stratą, panno Gerard. – Usiadł i dramatycznym gestem wskazał drzwi. – Wkładaj zatem spódnice, te twoje buciki na mosiężnych obcasach, panno Gerard, i wynoś się razem ze swoim znaczeniem. Ale szkoda by było, gdybyś teraz wyszła. Przydałaby mi się sprytna dziewczyna.

– Nie wątpię, ty draniu – rzuciła Sybil, ale zawahała się. Miał jeszcze jedną kartę w rękawie. Poznała to po jego minie.

Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– Byłaś kiedy w Paryżu, Sybil?

– W Paryżu? – Jej oddech kondensował się w powietrzu.

– Tak. Wesoły, cudowny Paryż, kolejny cel podróży generała, kiedy tylko zakończy cykl wykładów w Londynie. – Mick poprawił koronkowe mankiety. – Nie powiem na razie, do czego byłabyś mi potrzebna. Ale generał to świetny strateg, a rząd francuski przeżywa pewne trudności, co wymaga pomocy ekspertów. – Roześmiał się tryumfalnie. – Ale widzę, że to cię nudzi.

Sybil przestąpiła z nogi na nogę.

– Zabierzesz mnie do Paryża, Mick? – spytała wolno. – To obietnica czy jakaś chytra sztuczka?

– Uczciwa, szczerza i bez sztuczek. Jeśli mi nie wierzysz, to sprawdź. Mam w płaszczu bilet na prom z Dover.

Sybil przeszła do krytego brokatem fotela i podniosła gruby płaszcz Micka. Zadrżała z zimna i narzuciła go na ramiona. Pierwszorzędna ciemna wełna... Czuła się jak otulona ciepłą warstwą pieniędzy.

– Poszukaj w przedniej prawej kieszeni – powiedział Mick. – W portfelu.

Był rozbawiony i pewny siebie – jakby go bawiło, że mu nie wierzy. Sybil wsunęła zziębnięte dłonie do kieszeni. Były głębokie, aksamitne w dotyku.

Lewa ręka uchwyciła twardy, zimny metal. Wyciągnęła groźnego, brzydkiego wielolufowego derringera. Rękojeść wykładana kością słoniową, błysk stalowych kurków i mosiężnych nabo: mały jak jej dłoń, ale ciężki.

– Nieładnie. – Mick zmarszczył brwi. – Schowaj to z powrotem. Grzeczna dziewczynka.

Sybil odłożyła broń, ostrożnie, ale szybko, jakby trzymała żywego kraba. W drugiej kieszeni założyła portfel z czerwonej marokańskiej skóry. Wewnątrz były wizytówki, *cartes-de-visite* z jego maszynowo drukowanym portretem. I londyński rozkład jazdy kolei.

I jeszcze ozdobny prostokąt sztywnego kremowego papieru: bilet pierwszej klasy na *Newcomena* z Dover.

– Będą ci potrzebne dwa bilety – stwierdziła. – Skoro naprawdę chcesz mnie tam zabrać.

Mick przytaknął.

– I jeszcze jeden na pociąg z Cherbourga. Nic prostszego. Mogę zatelegrafować po bilety z recepcji.

Sybil zadrżała znowu i mocniej otuliła się płaszczem. Mick roześmiał się.

– Nie rób takiej kwaśnej miny. Ciągłe myślisz jak ładacznica. Skończ z tym. Zaczynij myśleć sprytniej, bo na nic mi się nie przydasz. Teraz jesteś dziewczyną Micka. Wszystko przed tobą.

Odpowiedziała mu powoli, z wahaniem.

– Nigdy nie byłam z żadnym mężczyzną, który wiedział, że jestem Sybil Gerard.

Kłamała, oczywiście. Był przecież Egremont: człowiek, który ją zniszczył. Charles Egremont doskonale wiedział, kim ona jest. Ale już się nie liczył. Żył teraz w innym świecie, razem ze swoją dziobatą, szacowną małżonką, swymi szacownymi dziećmi i szacownym miejscem w Parlamencie.

Zresztą Sybil nie łajdaczyła się z Egremontem. W każdym razie nie w ścisłym sensie tego słowa. To kwestia poziomu.

Widziała, że tym kłamstwem sprawiła Mickowi przyjemność. Pochlebiła mu.

Otworzył błyszczące pudełko z cygarami, wyjął jedno i zapalił od olejowego ognika zapalniczki. Pokój wypełnił się słodkim zapachem tytoniowego dymu.

– Dlatego teraz trochę się mnie wstydzisz, co? – zapytał w końcu. – Cóż, to mi odpowiada. To, co wiem, daje mi większą władzę nad tobą. Większą niż same pieniądze.

Zmrużył oczy.

– Liczy się tylko to, co człowiek wie. Prawda, Sybil? Liczy się bardziej niż ziemia i pieniądze, bardziej niż pochodzenie. Informacja. Jest teraz modna.

Przez moment Sybil nienawidziła go za tę swobodę i pewność. Ogarnęła ją złość, ostra i prymitywna. Stłumiła to uczucie. Nienawiść rozplynęła się, straciła czystość, zmieniła się w skrepowanie. Owszem, nienawidziła go, ale tylko dlatego, że poznał ją naprawdę. Wiedział, jak nisko upadła Sybil Gerard, która była kiedyś wykształcona, dumna i wyniosła, nie gorsza od arystokratek.

Z czasów sławy ojca, z dzieciństwa, pamiętała chłopców podobnych do Micka Radleya. Obszarpanych, gniewnych chłopców z fabryk, po tuzinie za pensa, którzy po wieczach tłoczyli się wokół ojca i robili wszystko, co im rozkazał. Zrywali tory kolejowe, wybijali zatyczki z

kotłów maszyn napędzających krosna, rzucali mu pod nogi policyjne hełmy. Ona i ojciec uciekali z miasta do miasta, często nocą, mieszkali w piwnicach, na strychach, w anonimowych pokojach, ukrywali się przed policją radykałów i sztyletami innych spiskowców. A czasami, kiedy jego własne płomienne mowy rozpały w nim emocje, ojciec obejmował ją i solennie obiecywał nowy świat. Miała żyć jak arystokratka w zielonej i spokojnej Anglii... kiedy tylko runie tron Króla Pary, kiedy Byron i jego Industrialni Radykałowie zostaną całkowicie zniszczeni...

Ale konopna lina zdławiła słowa ojca. Radykałowie wciąż rządili, szli od zwycięstwa do zwycięstwa, tasowali świat niczym talię kart. A teraz Mick Radley znalazł się na szczytach, Sybil Gerard zaś – na dnie.

Stała w milczeniu, otulona płaszczem Micka. Paryż... Obietnica kusila ją, a kiedy pozwoliła sobie w nią uwierzyć, poczuła nagły jak błyskawica dreszcz podniecenia. Zmusila się, by pomyśleć o porzuceniu Londynu. Wiodła tu złe, marne, brudne, ale przecież nie do końca rozpaczliwe życie. Wciąż miała coś do stracenia: wynajęty pokój na Whitechapel i najdroższego Toby'ego, kota. Była też pani Winterhalter, organizująca spotkania między szybkimi dziewczętami i dżentelmenami z kół politycznych. Pani Winterhalter była wyzyskiwaczką, ale też damą i kimś pewnym; trudno będzie znaleźć kogoś podobnego. Straci też swych dwóch stałych dżentelmenów, Chadwicka i Kingsleya, których widywała po dwa razy w miesiącu. Stały dochód, który chronił ją przed ulicą. Ale Chadwick miał zazdrosną żonę w Fulham, a w chwili oglupienia Sybil ukradła najlepsze spinki Kingsleya. Wiedziała, że ją podejrzewa.

Zresztą żaden z nich nie wydawał pieniędzy tak swobodnie jak Mick.

Zmusila się, by rzucić mu możliwie najślodszy uśmiech.

– Spryciarz z ciebie, Micku Radleyu. Wiesz, że trzymasz mnie na smyczy. Może z początku się zezłościłam, ale nie jestem taka tępa, żeby nie poznać się na takim galancie.

Mick dmuchnął dymem.

– Sprytna jesteś – stwierdził z podziwem. – Rzucasz pochlebstwami jak anioł. Ale mnie nie oszukasz, więc i siebie nie oszukuj. Mimo wszystko jesteś laleczką, jakiej mi trzeba. Wracaj do łóżka.

Posłuchała.

– Na Jowisza! – zawołał. – Twoje śliczne stopki zmieniły się w dwie bryły lodu. Dlaczego nie nosisz pantofelków? – Z determinacją szarpnął jej gorset. – Pantofelków i czarnych jedwabnych pończoch – dodał. – Laleczka pięknie wygląda w łóżku, kiedy ma na nogach czarne jedwabne pończochy.

* * *

Stojący przy drugim końcu oszklonej lady subiekt Aarona spojrzał na Sybil podejrzliwie.

Stał z wyniosłą miną, w swoim zgrabnym czarnym surducie i wypolerowanych butach. Wiedział, że coś się dzieje – umiał to wywahać. Sybil czekała, aż Mick zapłaci. Skromnie złożyła dłonie na spódnicy i obserwowała go z ukosa spod błękitnego ronda kapelusza. Pod spódnicą, wciśnięty w kratę krynoliny, tkwił szal, porwany szybko, kiedy Mick przymierzał cylindry.

Umiała kraść w sklepach – sama się tego nauczyła. Wymagało to silnych nerwów. W tym cały sekret. I odwagi. Nie wolno patrzeć w lewo ani w prawo – po prostu złapać, unieść spódnicę, wepchnąć i opuścić. A potem stać całkiem spokojnie, z książką psalmów w dłoni, niczym panna z dobrego domu.

Subjekt przestał się nią interesować. Przyglądał się teraz grubasowi, który przebierał w jedwabnych podwiązках. Sybil szybko sprawdziła spódnicę: nic nie było widać.

Młody piegowaty kasjer o poplamionych atramentem palcach wprowadził numer Micka do maszyny kredytowej na ladzie. Zgrzyt, pstryk, pociągnięcie dźwigni z kościaną gałką – i po wszystkim. Wręczył Mickowi drukowany kwit i opakował zakupy w sztywny zielony papier.

Aaron i Syn nie zauważą nawet straty kaszmirowego szala. Może odkryją to maszyny obrachunkowe przy kontroli, ale strata ich nie zabol. Ich pałac handlowy był zbyt wielki, zbyt bogaty. Wszystkie te greckie kolumny, żyrandole z irlandzkiego kryształu, miliony zwierciadeł – sala za salą pełne gumowych butów jeździeckich i francuskiego mydła, lasek, parasoli, sztućców, oszklonych szafek ze srebrną zastawą, broszek i prześlicznych złotych pozytywek... A przecież to tylko jeden z tuzina sklepów. Do tego – dobrze wiedziała – Aaron nie był naprawdę elegancki, nie był sklepem arystokratów.

Tyle że w Anglii można zająć wszędzie, jeśli tylko człowiek jest sprytny i ma pieniądze. Pewnego dnia pan Aaron, brodaty żydowski handlarz z Whitechapel, zostanie lordem. Przy krawężniku postawi swój własny parowy powóz ze swoim własnym herbem na drzwiczkach. Parlament radykałów nie przejmie się, że pan Aaron nie jest chrześcijaninem. Dali tytuł nawet Charlesowi Darwinowi, chociaż twierdził, że Adam i Ewa byli małpami.

Windziarz we francuskiej liberii otworzył przed nią klekoczącą mosiężną kratę. Mick wszedł za nią z paczką pod pachą. W chwilę później jechali już na dół.

Wyszli od Aarona w gwar i szum Whitechapel. Mick sięgnął do kieszeni po plan ulic, a Sybil spojrzała na zmieniające się litery, biegnące wzdłuż frontu sklepu. Mechaniczny fryz, rodzaj powolnego kinotropu dla ogłoszeń Aarona, zrobiony z kawałków malowanego drewna, obracających się kolejno za mozaiką ukośnych szybek. ZAMIENIĆ SWOJE RĘCZNE PIANINO, zachęcały zmienne litery, NA PIANOŁĘ KASTNERA.

Po zachodniej stronie Whitechapel horyzont jeżył się dźwigami budowlanymi i nagimi stalowymi szkieletami, dla ochrony przed rdzą malowanymi czerwoną minią. Starsze budynki pokryły rusztowania; zdawało się, że czego tylko nie burzono, by zrobić miejsce nowemu, to przerabiano na jego obraz. Słyszała dalekie sapanie z wykopów i czuła drżenie chodnika – to

potężne maszyny ryły kolejną linię metra.

Mick bez słowa skręcił nagle w lewo. Kapelusz miał przekrzywiony na bok, a kraciaste nogawki migwały pod brzegiem długiego płaszcza. Musiała podbiec, żeby nie zostać z tyłu. Obszarpany chłopak z blaszanym numerkiem w klapie zamykał z przejścia topniejący śnieg. Nie zwalniając kroku, Mick rzucił mu pensa i wszedł w uliczkę zwaną Zaułkiem Rzeźników.

Dogoniła go i wzięła pod ramię; mijali czerwono-białe tusze wiszące na czarnych żelaznych hakach: wieprzowe, baranie, cielęce. I grubych mężczyzn w poplamionych fartuchach, zachwalających swój towar. Kobiety tłoczyły się wokół nich z koszami w rękach: służące, kucharki, szacowne panie domu przy mężach. Czerwony na twarzy, zezowaty rzeźnik zastąpił Sybil drogę, demonstrując w dłoniach sine mięso.

– Hej, panienko... Kup swojemu dżentelmenowi nerczek na pasztet!

Sybil pochyliła głowę i wyminęła go.

Załadowane owocami nosilki stały przy krawężnikach; sprzedawcy nawoływali klientów, a ich aksamitne płaszcze połyskiwały guzikami z mosiądzu lub masy perłowej. Każdy miał przypiętą blaszkę z numerem, choć – według Micka – przynajmniej połowa z nich była fałszywa. Równie fałszywa, jak wagi i odważniki. Derki i kosze leżały na wykreślonych kredą kwadratach na chodniku. Mick opowiadał, jak można poprawić wygląd wyschniętych owoców i dodać życia śniętym węgorzom. Uśmiechnęła się, widząc, jaką przyjemność sprawia mu popisywanie się tą wiedzą. Handlarze zachwalali swoje miotły, mydło i świece, ponury kataryniarz kręcił oburącz korbą, a jego machina napelniała uliczkę jazgotem dzwonek, strun i bębnow.

Mick przystanął obok drewnianego blatu na kozłach, pilnowanego przez zezowatą wdowę w żałobnej bombazynowej sukni, z kikutem glinianej fajki w zębach. Przed nią stały rzędami fiolki oleistej substancji. Sybil uznała, że to jakaś lecznicza mikstura, gdyż na każdej buteleczce przyklepiono niebieską kartkę z niewyraźnym obrazkiem dzikiego Indianina.

– A cóż to takiego, mateczko? – Mick stuknął palcem w zalany czerwonym woskiem korek.

– Olej skalny, mój panie – odparła, wyjmując fajkę z ust. – Nazywają to barbadoską smołą.

Przeciągła wymowa drażniła ucho, ale Sybil zrobiło się jej żal. Jakże daleko znalazła się ta kobieta od tych obcych miejsc, które były jej domem.

– Doprawdy? – zdziwił się Mick. – Nie pochodzi przypadkiem z Teksasu?

– Lecznicza maść z tajemnego źródła Natury, rozkwit zdrowia i życia każdemu zapewnia z góry. Zbierana przez dzikiego Senece z wód Oil Creek w Pensylwanii. Trzy pensy za buteleczkę, z gwarancją uleczenia.

Kobieta spoglądała na Micka z dziwną miną, przysłaniając powiekami blade oczy ukryte w siatce zmarszczek – jakby odnajdywała w zakamarkach pamięci jego twarz. Sybil zadrżała.

– Życze szczęścia mateczko – rzucił Mick z uśmiechem przypominającym Sybil pewnego

złośliwego detektywa, jasnowłosego małego człowieczka, który pracował wokół Leicester Square i w Soho. Dziewczęta nazywały go Borsukiem.

– Co to jest? – spytała, ujmując Micka pod ramię. – Co ona sprzedaje?

– Olej skalny – wyjaśnił i zerknął przez ramię na przygarbioną kobietę w czerni. – Generał opowiadał, że w Teksasie wypływa z ziemi...

– I naprawdę leczy? – zainteresowała się Sybil.

– Nieważne – mruknął. – Dość już gadania. – Rzucił radosne spojrzenie w głąb zaułka. – Tam widzę jednego. Wiesz, co masz robić.

Sybil kiwnęła głową i przez targowy tłum zaczęła się przeciskać w stronę człowieka, którego wypatrzył Mick. Był to sprzedawca ballad, chudy, o zapadniętych policzkach, z długimi tłustymi włosami pod cylindrem owiniętym jaskrawą szarfą w groszki. Ugiął ręce w łokciach, a dłonie złożył jak do modlitwy. Rękawy wygniecionego surduta były ciężkie od nutowych zwojów.

– „Tory do nieba”, panie i panowie – nawoływał wprawnie. – „Ze świętej prawdy tory odlane, na skale wieków kładzione; klamry miłości wiążą je z sobą, przez Boga w niebiesiech stworzone”. Piękna melodia i tylko dwa pensy, panienko.

– Ma pan „Kruka San Jacinto”? – spytała Sybil.

– Mogę zdobyć, mogę zdobyć – zapewnił sprzedawca ballad. – A co to takiego?

– O wielkiej bitwie w Teksasie, o wielkim generale.

Mężczyzna uniósł brwi. Czy miał niebieskie i błyszczące szaleństwem, może z głodu, może z religijnego uniesienia albo od dżinu.

– Więc ten Jacinto to któryś z krymskich generałów? Francuz?

– Nie, nie. – Sybil uśmiechnęła się z politowaniem. – Generał Houston. Sam Houston z Teksasu. Bardzo mi zależy na tej pieśni.

– Dzisiaj po południu kupuję świeże publikacje. Poszukam twojej pieśni, panienko.

– Będę potrzebować przynajmniej pięciu egzemplarzy. Dla przyjaciół.

– Za dziesięć pensów dostaniesz sześć.

– Niech będzie sześć. Dziś po południu, w tym miejscu.

– Wedle życzenia, panienko. – Sprzedawca dotknął ręką cylindra.

Sybil odwróciła się i zniknęła w tłumie. Udało się. Nie było nawet tak źle. Czuli, że zdoła się przyzwyczaić. Może to ładna melodia, która spodoba się ludziom, kiedy balladzista będzie musiał sprzedać te sześć kopii.

Mick pojawił się nagle u jej ramienia.

– Nieźle – pochwalił.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i gestem sztukmistrza wyjął kawałek jabłeczniczka: jeszcze gorący, posypany cukrem i owinięty w zatłuszczony papier.

– Dziękuję – powiedziała zaskoczona, ale zadowolona.

Miała właśnie zamiar zatrzymać się, ukryć gdzieś i wyjąć skradziony szal, a przecież

Mick by to zobaczył. Nie widziała go, ale on ją obserwował. Taki już był. Nigdy o tym nie zapomni.

Przeszli, razem i osobno, wzdłuż Somerset i przez cały targ przy Petticoat Lane. Zapadł wieczór i zapłonęły światła: lśniąco gazowe latarnie, białe świecące karbidówki, brudne lampy olejne, łożowe świece na straganach. Harmider ogłuszał Sybil, ale sprawiła radość Mickowi, oszukując jeszcze trzech sprzedawców ballad.

W wielkiej, jaskrawo oświetlonej oberży na Whitechapel, gdzie trójkątne płomienie gazu migotały na złocistej tapecie, Sybil przeprosiła go i wyszła do toalety. Tam, bezpieczna w cuchnącej kabinie, wyjęła szal. Był cudownie miękki i miał cudowny fiołkowy kolor – jeden z tych nowych barwników, które mądrzy ludzie otrzymują z węgla. Złożyła starannie zdobycz i wsunęła ją za gorset, gdzie była bezpieczna. Potem wyszła na zewnątrz i powróciła do swego opiekuna, którego znalazła przy stoliku. Kupił jej dżin z miodem.

Usiadła.

– Dobrze sobie radziłaś – stwierdził i przysunął jej szklaneczkę, w sali pełno było żołnierzy z Krymu na przepustkach, Irlandczyków z wiszącymi im u ramion ulicznymi. Wszyscy mieli coraz bardziej czerwone nosy i stawali się coraz bardziej hałaśliwi. Za szynkwasmem nie pracowały kobiety, ale potężni, zwaliści barmani w białych fartuchach, z pałkami ukrytymi pod kontuarem.

– Dżin to napój dla dziwek, Mick.

– Wszyscy lubią dżin. A ty nie jesteś dziwką, Sybil.

– Ladacznica, kobietą wszeteczną... – Spojrzała na niego ostro. – Jak jeszcze byś mnie nazwał?

– Teraz jesteś z Mickiem Dandysem – odparł. Oparł się wygodnie i wsunął kciuki w wycięcia kamizelki. – Jesteś awanturnicą.

– Awanturnicą?

– Jak diabli. – Wyprostował się. – Twoje zdrowie.

Pociągnął dżinu z brandy, posmakował z nieszczęśliwą miną i przełknął.

– Mniejsza z tym, kochanie. Zaprawiają to terpentyną, albo ja jestem Żydem.

Wstał.

Wyszli. Uwiesiła mu się na ramieniu, próbując skłonić do zwolnienia kroku.

– Czyli ty też jesteś awanturnikiem, Micku Radleyu. Tak?

– Właśnie tak, Sybil – przyznał cicho. – A ty będziesz u mnie terminować. Dlatego rób, co ci powiem, i bądź posłuszna. Ucz się sztuczek tego fachu. A pewnego dnia wstąpisz do związku. Do gildii.

– Jak mój ojciec, co? Żartujesz sobie z tego, Mick. Z tego, kim był on i kim ja jestem.

– Nie – stwierdził Mick krótko. – On był staromodny i dziś jest nikim.

Sybil skrzywiła się.

– A czy nas, zepsute dziewczyny, przyjmują do tej twojej szykownej gildii?

– To gildia wiedzy – wyjaśnił z powagą. – Wodzowie i politycy mogą nam odebrać najróżniejsze rzeczy. Z pomocą swoich przeklętych praw, swoich fabryk, sądów i banków... Mogą przebudować świat wedle własnej woli, mogą ci zabrać dom, rodzinę, nawet – pracę, którą wykonujesz... – Mick gniewnie wzruszył ramionami; szczupłe barki napięły gruby materiał płaszcza. – A nawet okraść córkę bohatera z jej cnoty, jeśli, mówiąc to, nie jestem nazbyt zuchwały. – Mocnym, bolesnym chwytem przycisnął jej dłoń do rękawa. – Ale nigdy nie odbiorą ci tego, co wiesz. Prawda, Sybil? Tego ci zabrać nie potrafią.

* * *

Sybil usłyszała w korytarzu kroki Hetty, potem zgrzyt jej klucza w drzwiach. Pozwoliła, by ptasie organki ucichły z wysokim jękiem.

Hetty zerwała z głowy ośnieżony kapelusz i strząsnęła z ramion ciężki granatowy płaszcz. Grubokoścista, hałaśliwa brunetka z Devonu, należała do dziewcząt pani Winterhalter. Piła za dużo, ale była na swój sposób miła i zawsze dobra dla Toby'ego.

Sybil złożyła korbkę z porcelanowym uchwytem i zamknęła podrapane wieko taniego instrumentu.

– Ćwiczyłam. Pani Winterhalter chce, żebym zaśpiewała w przyszły czwartek.

– Do licha z tym babskiem – rzuciła Hetty. – Myślałam, że dzisiaj wypada ci noc z panem C. Czy może z panem K.?

Tupała dla rozgrzewki przed małym kominkiem. Nagle zauważyła pudełka z butami i kapeluszami od Aarona i Syna.

– A niech mnie! – zawołała z uśmiechem, nieco tylko krzywym z zazdrości. – Nowy amant, co? Masz szczęście, Sybil Jones!

– Może... – Odchylając głowę do tyłu, Sybil sączyła gorący cytrynowy kordiał, który łagodził drapanie w podrażnionym gardle.

– Winterhalter nic o nim nie wie? – Hetty mrugnęła porozumiewawczo.

Sybil z uśmiechem pokręciła głową. Hetty jej nie zdradzi.

– Wiesz coś o Teksasie, Hetty?

– To kraj w Ameryce. Rządzą tam Francuzi, tak?

– Nie, ten to Meksyk. Czy chciałabyś pójść na pokaz do kinotropu? Przemawia były prezydent Teksasu. Mam bilety... Za darmo.

– Kiedy?

– W sobotę.

– W sobotę tańczę – oznajmiła Hetty. – Może Mandy pójdzie. – Chuchnęła w dłoń. – W nocy odwiedzi mnie przyjaciel. Nie będzie ci przeszkadzać?

– Nie.

Pani Winterhalter surowo żądała, by żadna z dziewcząt nie przyjmowała mężczyzn w

swoim pokoju. Tę zasadę Hetty łamała często, jakby zachęcając dozorcę, Cairnsa, by na nią doniósł. Jako że pani Winterhalter płaciła czynsz bezpośrednio jemu, Sybil rzadko miała okazję z nim rozmawiać. Jeszcze rzadziej widywała jego zgryźliwą żonę z grubymi łydkami, gustującą w okropnych kapeluszach. Ani Cairns, ani jego żona nigdy nie naskarżyli na Hetty, choć Sybil nie mogła zrozumieć, dlaczego. Przecież pokój Hetty sąsiadował przez ścianę z ich sypialnią. A Hetty zawsze robiła bezwstydną harmider, kiedy sprowadzała do siebie mężczyzn: zwykle zagranicznych dyplomatów, ludzi o dziwnym akcencie i – sądząc po odgłosach – paskudnych nawykach.

– Jak chcesz, możesz dalej śpiewać. – Hetty przyklękła przed zasypanym popiołem paleniskiem. – Masz piękny głos. Nie powinnaś marnować swoich darów.

Drząc, dorzucała do ognia pojedyncze bryłki węgla. Zdawało się, że gryzący chłód wtargnął do pokoju przez pękniętą futrynę zabitego gwoździami okna, i przez jedną ulotną chwilę Sybil czuła w powietrzu czyjaś obecność, miała wyraźne wrażenie, że jest obserwowana, że czyjeś oczy wpatrują się w nią z innego świata. Pomyślała o nieżyjącym ojcu. *Ucz się używać głosu, Sybil*, powtarzał jej. *Ucz się mówić. To wszystko, co mamy, żeby z nimi walczyć.* Było to w ostatnich dniach przed aresztowaniem, kiedy zrozumieli, że radykałowie znowu zwyciężyli. Pojęli to wszyscy, może z wyjątkiem Waltera Gerarda. Wtedy zobaczyła – tak wyraźnie, że zamarło w niej serce – absolutną otchłań klęski ojca. Jego ideały miały zagać – nie zostać zapomniane, ale całkowicie usunięte z historii, miażdżone znowu, i znowu, i znowu – jak trup bezpańskiego psa pod dudniącymi kołami pociągu. *Ucz się mówić. To wszystko, co mamy.*

– Poczytasz mi? – poprosiła Hetty. – Zrobię herbaty.

– Dobrze.

W nieuporządkowanym, nerwowym życiu z Hetty głośne czytanie stanowiło jeden z nielicznych rytuałów, dających poczucie domowego ciepła. Sybil sięgnęła po dzisiejsze *Ilustrowane Wiadomości Londyńskie*, ułożyła krynolinę na trzeszczącym, cuchnącym wilgocią fotelu i spojrzała na pierwszą stronę. Pisali o dinozaurach.

Radykałowie wariowali na punkcie dinozaurów. Oto rycina siedmiu mężczyzn, wśród nich lorda Darwina, wpatrzonych w jakiś nieokreślony kształt zagłębiony w węglowej płycie w Turyngii. Sybil przeczytała podpis, pokazała Hetty obrazek. Kość. To coś w węglu okazało się monstrualną kością, długą na wzrost człowieka. Zadrżała. Przewróciwszy kartkę, natrafiła na wizję artysty ukazującą potwora takiego, jak mógł wyglądać naprawdę: obrzydliwość z podwójnym rzędem groźnych trójkątnych zębów wzdłuż wypukłego grzbietu. Zdawało się, że jest wielkości przynajmniej słonia, chociaż wstrętny łeb miał niewiele większy od psiego.

Hetty nalala herbaty.

– Gady panowały nad całym światem, tak? – zacytowała i nawlekła igłę. – Nie wierzę w ani jedno słowo.

– Dlaczego nie? – To na pewno kości tych przeklętych olbrzymów z Biblii. Tak przecież

mówią księża.

Sybil milczała. Żadne z tych wyjaśnień nie wydawało się jej bardziej prawdopodobne. Przeszła do drugiego artykułu, który wychwalał Artylerię Królewską na Krymie. Znalazła rycinę dwóch przystojnych młodych oficerów, podziwiających dalekosiężne działo. Miało lufę grubą jak fabryczny komin i bez trudu poradziłoby sobie ze wszystkimi dinozaurami lorda Darwina. Uwagę Sybil zwrócił jednak drugi rysunek, przedstawiający artyleryjską Maszynę.

Skomplikowana struktura zachodzących na siebie trybów była dziwnie piękna, niby ozdobiona barokowymi wzorami tapeta.

– Masz coś do cerowania? – spytała Hetty.

– Nie, dziękuję.

– Przeczytaj teraz ogłoszenia. Nie znoszę tych wojennych nonsensów.

Była tam PORCELANA HAYTLAND z Limoges we Francji; VIN MARIANI, francuski tonik, z listem pochwalnym Aleksandra Dumasa oraz Księgą Przepisów, Portretami i Autografami Osób Sławnych, po zgłoszeniu się w siedzibie firmy przy Oxford Street; pasta SILVER ELECTRO SILICON, nie drapie, nie ściera się, jest jak żadna inna; DZWONEK ROWEROWY „NOWA PODRÓŻ”, który dźwięczy własnym głosem; WODA LITOWA DOKTORA BAYLEYA leczy chorobę Brighta i skazę moczanową; „REGENT” GURNEYA, KIESZONKOWA MASZYNA PAROWA, przeznaczona do napędzania domowych maszyn do szycia.

To ostatnie zainteresowało Sybil, choć nie dlatego, że obiecywało dwukrotnie szybszą pracę przy koszcie pół pensa za godzinę.

Reklamie towarzyszył rysunek gustownie ozdobionego małego kotła, ogrzewanego gazem lub naftą. Charles Egremont kupił taki dla swojej żony. Maszynę dostarczono razem z gumową rurą, która poręcznie wsunięta pod uchylone okno odprowadzała nadmiar pary. Mimo to – o czym Sybil dowiedziała się z zachwytem – maszyna zmieniła bawialnię madame w turecką łaźnię.

Gazeta się skończyła i Sybil poszła spać. Koło północy obudził ją głośny i rytmiczny zgrzyt sprężyn w łóżku Hetty.

* * *

W teatrze Garricka było mroczno i zimno; kurz leżał na galerii, balkonie i rzędach odrapanych foteli. Ale pod sceną, gdzie szedł Mick Radley, panowała absolutna ciemność. Pachniało wilgocią i siarką.

– Widziałś kiedy kinotrop od środka, Sybil? – zadudnił z dołu jego głos.

– Raz byłam za sceną. W sali muzycznej, w Bethnal Green.

Znałam takiego jednego, który tam pracował. Taki dziurkacz.

– Ukochany? – spytał Mick. Głos brzmiał ostro wśród ech.

– Nie – zapewniła szybko Sybil. – Trochę śpiewałam... Ale się nie opłacało.

Usłyszała krótki trzask jego zapalniczki. Płomień rozjarzył się po trzeciej próbie i Mick zapalił ogarek świecy.

– Zejdź na dół – polecił. – Nie stój tam jak gęś i nie pokazuj kostek.

Sybil oburącz uniosła krynolinę i niepewnie wstąpiła na strome, wilgotne schody.

Mick sięgnął za wysokie sceniczne zwierciadło, wielką płytę posrebrzanego szkła z postumentem na kołach, z błyszczącymi smarem trybami i drewnianymi dźwigniami. Wyjął tani czarny sakwojaż z wodoszczelnego brezentu, ułożył ostrożnie na podłodze i przykucnął, by odpiąć małe blaszane zameczki. Z wnętrza wydobył plik dziurkowanych kart, owiniętych czerwoną papierową taśmą. W teczce były jeszcze inne paczki; Sybil dostrzegła też lśnienie polerowanego drewna.

Podniósł karty ostrożnie, niczym Biblię.

– Bezpieczne jak domy – rzekł. – Patrz, wystarczy je zamaskować... Wypisać na opakowaniu coś głupiego, na przykład „Wykład o abstynencji, część pierwsza, druga, trzecia”. Wtedy nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby je ukraść ani nawet załadować i obejrzeć. – Zważył w dłoni gruby blok i przejechał kciukiem po brzegu; rozległ się ostry krótki dźwięk, jaki wydaje nowa talia w dłoni szulera. – Wiele w nie zainwestowałem. Tygodnie pracy z najlepszymi kinotropistami Manchesteru. Sam wszystko zaprojektowałem, muszę dodać. Piękna rzecz, dziewczyno. Artystyczna na swój sposób. Wkrótce sama zobaczysz.

Zamknął sakwojaż i wstał. Wsunął paczkę kart do kieszeni, potem pochylił się nad skrzynią i wyjął grubą szklaną rurę. Zdmuchnął z niej kurz i specjalnymi szczypcami chwycił za koniec. Szkło pękło z puknięciem wpadającego do środka powietrza – wewnątrz był świeży kawał wapna. Mick wysunął je ostrożnie, nucąc coś pod nosem. Delikatnie wcisnął je na miejsce w palniku Drummonda, wielkim urządzeniu w kształcie talerza z okopconego żelaza i błyszczącej blachy. Przekręcił kurek na węzu, pociągnął nosem, przekręcił drugi i przysunął świecę.

Sybil krzyknęła, gdy zapłonął bezlitosny blask. Mick zaśmiał się z niej wśród syku płonącego gazu. Przed oczami fruwały jej niebieskie plamki.

– Lepiej – uznał.

Starannie skierował promień światła w zwierciadło i zaczął ustawiać pokrętła.

Sybil rozejrzała się niepewnie. Pod sceną u Garricka panował brud, ścisk i bałagan. W takim miejscu mógłby zdechnąć pies albo nędzarz: na podartych, pożółkłych plakatach nieprzyzwoitych fars w stylu *Łobuza Jacka* czy *Londyńskich figlarzy*. Zauważyła wciśniętą w kąt parę damskich niewymownych. Krótka kariera śpiewaczki scenicznej dała jej wyobrażenie, w jaki sposób mogły tu trafić.

Za rurami i naprężonymi linkami podążyła wzrokiem do lśniącej Maszyny Babbage’a.

Kinotropowy model był niewielki, nie wyższy niż ona sama. W przeciwieństwie do reszty wyposażenia, Maszyna wyglądała na dobrze utrzymaną. Stała na czterech mahoniowych klockach. Podłoga i sufit pod nią i nad nią zostały starannie wyszorowane i pobielone. Parowe kalkulatory to delikatne urządzenia; słyszała, że mają swoje narowy. Lepiej wcale takiego nie mieć, niż mieć i nie dbać o niego. W ostrym blasku światła Drummonda lśniły dziesiątki ząbkowanych mosiężnych kolumn, umocowanych w szerokich gniazdach nawierconych w polerowanej płycie. Błyszczały dźwignie, wahacze, tysiące stalowych kółek wyciętych z niezwykłą precyzją. Maszyna pachniała olejem lnianym.

Przyglądając się jej tak długo i z tak bliska, Sybil miała dziwne wrażenie. Czuła jakby głód, jakby zachłanność... Tak mogłaby reagować na obecność – powiedzmy – pięknego, szybkiego konia. Chciała... nie tyle mieć ją, co w jakiś sposób osiąść.

Nagle Mick z tyłu ujął ją za łokieć. Drgnęła.

– Piękna zabawka, prawda?

– Tak. Jest... piękna.

Mick nie puszczał jej. Powoli wsunął drugą dłoń, w rękawiczce, pod kapelusz. Musnął policzek. Kciukiem uniósł jej podbródek.

– I czujesz coś przy niej, prawda?

Pełen emocji głos przeraził ją. Oczy Micka błyszczały w ostrym świetle.

– Tak, Mick – przyznała posłusznie i szybko. – Czuję... coś.

Zerwał jej kapelusz, który zawisł na szyi.

– Nie boisz się jej chyba? Nie w objęciach Micka Dandysa. Czujesz pewien szczególny *frisson*. Polubisz to wrażenie. Jeszcze zrobimy z ciebie dziurkacza.

– Naprawdę? Czy dziewczyna może robić coś takiego?

– Czyżbyś nigdy nie słyszała, co potrafi lady Ada Byron? – Roześmiał się. – Córka premiera, prawdziwa Królowa Maszyn. – Wypuścił ją i teatralnym gestem rozłożył szeroko ramiona. Płaszcz rozsunał się na boki. – Ada Byron, przyjaciółka i uczennica samego Babbage’a! Lorda Charlesa Babbage’a, ojca Maszyny Różnicowej, Newtona nowej epoki!

Otworzyła szeroko oczy.

– Ale Ada Byron to lady.

– Zdziwiłabyś się, wiedząc, jakich ludzi zna lady Ada Byron – oświadczył Mick. Sięgnął do kieszeni po karty i zdarł z nich opakowanie. – Co prawda nie tak, żeby pić z nimi herbatkę wśród diamentowego dworu na swoich przyjęciach w ogrodzie... Ale Ada jest... nazwałabyś ją szybko, na jej własny, matematyczny sposób. – Przerwał na chwilę. – Nie chcę przez to powiedzieć, że jest najlepsza. Znam dziurkaczy z Towarzystwa Parowego Intelaktu, przy których nawet ona jest nieco staromodna. Jednak Ada obdarzona jest geniuszem. Wiesz, co to znaczy, Sybil? Posiadać geniusz?

– Co? – spytała Sybil.

Nienawidziła tej oszałamiającej pewności w jego głosie.

– Czy wiesz, jak powstała geometria analityczna? Człowiek nazwiskiem Descartes zobaczył muchę na suficie. Miliony przed nim widziały muchy na suficie, ale dopiero Rene Descartes uczynił z tego naukę. Teraz mechanicy codziennie korzystają z jego odkryć, a przecież gdyby nie on, wciąż bylibyśmy ślepi.

– Przecież muchy nikogo nie obchodzą – stwierdziła Sybil.

– Ada doznała kiedyś olśnienia, które dorównuje odkryciu Descartesa. Jak dotąd nikt nie potrafił go wykorzystać. Nazywają to czystą matematyką. – Mick parsknął śmiechem. – Czysta. Wiesz, co to znaczy, Sybil? To znaczy, że nikt nie potrafi jej uruchomić. – Z uśmiechem roztarł dłonie. – Nikt nie potrafi.

Wesołość Micka zaczynała jej działać na nerwy.

– Myślałam, że nienawidzisz lordów!

– Nienawidzę lordowskich przywilejów. Tego, czego nie uzyskali uczciwie i otwarcie. Ale lady Ada żyje i przysięga na moc swych szarych komórek, nie na swą błękitną krew. – Położył karty na srebrzystą tacę z boku maszyny, potem odwrócił się nagle i chwycił Sybil za rękę. – Twój ojciec jest martwy, dziewczyno! Nie dlatego to mówię, by cię zranić, ale zrozum, że luddyci umarli. Są zimni jak popiół. Tak, wszyscy maszerowaliśmy, krzyczeliśmy, żądaliśmy prawa do pracy i takich rzeczy... Piękne słowa. Lecz lord Babbage kreślił rysunki, gdy my pisaliśmy pamflety. A jego rysunki zbudowały ten świat.

Pokręcił głową.

– Ludzie Byrona, ludzie Babbage’a, Industrialni Radykałowie...

Oni władają Wielką Brytanią! Posiedli nas, dziewczyno! Cały glob leży im u stóp, Europa, Ameryka, wszystko! Izba Lordów po sufit załadowana jest radykałami. Królowa Wiktoria palcem nie kiwnie bez zgody uczonych i kapitalistów. – Spojrzał na nią. – Dalsza walka nie ma sensu. A wiesz dlaczego? Bo radykałowie grają uczciwie, a przynajmniej w miarę uczciwie... I możesz stać się jednym z nich, jeśli masz dość rozumu. Nie zmusisz rozumnych ludzi do walki z takim systemem, bo wydaje im się o wiele bardziej sensowny od innych.

Stuknął się palcem w pierś.

– Ale to nie oznacza, że ty i ja nie mamy szans. Musimy tylko myśleć szybciej, mieć oczy otwarte i uszy czujne...

Staął w pozie boksera: ugięte łokcie, zaciśnięte pięści, kciuki na wysokości twarzy. Potem odgarnął włosy i uśmiechnął się szeroko.

– Łatwo ci mówić – zaprotestowała Sybil. – Ty możesz robić, co zechcesz. Należałeś do zwolenników mojego ojca... Cóż, było ich wielu i niektórzy trafili teraz do Parlamentu. Ale kobieta upadła jest nikim, rozumiesz? Jest zrujnowana... I taka musi pozostać.

Mick wyprostował się i zmarszczył brwi.

– Właśnie o to mi szło. Obracasz się w wyższych sferach, a myślisz jak ulicznica. W Paryżu nikt nie wie, kim jesteś. Policja i rząd mają tutaj twój numer, to fakt. Ale numer to

tylko znaki, a twoje akta to zwyczajny plik kart. Ci, którzy wiedzą, potrafią zmienić numer.

– Parsknął, widząc jej zdumienie. – Tu, w Londynie, nie jest to łatwe. Przyznaję. Ale we Francji Ludwika Napoleona sprawy wyglądają całkiem inaczej. W modnym Paryżu wszystko dzieje się szybciej, zwłaszcza dla awanturnicy z wprawnym językiem i zgrabną nóżką.

Sybil podniosła rękę do ust i przygryzła kostki dłoni. Nagle zapiekły ją oczy. To przez ten ostry zapach wapna... i ze strachu. Nowy numer w rządowych Maszynach – to oznacza nowe życie. Życie bez przeszłości. Przeraziła ją myśl o takiej swobodzie. Nawet nie z racji tego, co z niej wynikało, choć było to niezwykle i oszałamiające. Raczej z powodu tego, czego zażąda w zamian Mick Radley.

– Naprawdę mógłbyś zmienić mój numer?

– W Paryżu mogę ci kupić nowy. Przedstawić cię jako Francuzkę, Argentynkę albo uciekinierkę z Ameryki. – Mick skrzyżował szczupłe ramiona. – Ale pamiętaj, niczego nie obiecuję. Musisz na to zasłużyć.

– Ale nie oszukasz mnie, prawda? – zapytała wolno. – Bo... Bo mogę być szczególnie słodka i miła dla kogoś, kto wyświadczy mi taką przysługę.

Mick wbił ręce w kieszenie i zakłósał się na piętach.

– Naprawdę byś mogła – rzucił cicho.

Jej drżący głos coś w nim rozniecił. Poznała to po oczach. Jakiś chciwy, pożądlivy żar; coś, co – wiedziała – było w nim od początku. Pragnienie posiadania, chęć, by... by jeszcze głębiej wbić w nią haczyki, pewniej chwycić na wędkę.

– Mogłabym, jeśli będziesz traktował mnie uczciwie i przyzwoicie, jak swoją „awanturnicę-terminatorkę”, nie jak głupią ulicznicę, którą możesz oszukać i porzucić. – Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugnęła i zuchwale podniosła głowę. Niech płyną, pomyślała, może w czymś pomogą. – Nie dawałbyś mi nadziei, żeby ją potem odebrać, prawda? To by było okrutne i nikczemne. Jeśli to zrobisz, to ja... ja... skoczę z Tower Bridge.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Przestań chlipać, dziewczyno, i posłuchaj uważnie. I zapamiętaj. Nie jesteś tylko ładnym kawałkiem muślinu Micka... Owszem, lubię te rzeczy jak każdy mężczyzna, ale mogę je znaleźć, gdzie zechcę. I nie do tego jesteś mi potrzebna. Potrzebuję chytrego języka i śmiałego serca, jakie miał Walter Gerard. Będiesz moją uczennicą, Sybil, a ja twoim mistrzem. I niech tak stoją sprawy między nami. Masz być lojalna, posłuszna i szczerą. Żadnych oszustw, żadnej impertynencji. A w zamian nauczę cię fachu i zapewnię dobrobyt. Przekonasz się, że będę tak dobry i szczodry, jak ty lojalna i wierna. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, Mick.

– Zawarliśmy pakt?

– Tak, Mick. – Uśmiechnęła się.

– Dobrze. W takim razie uklęknij tutaj i złoż ręce, o tak... – Ułożył jej dłonie jak do modlitwy. – Złóż przysięgę. Że ty, Sybil Gerard, ślubujesz na aniołów i świętych, na moce

niebieskie, dominia i trony, na serafiny i cherubiny i wszytkowidzące oko, słuchać we wszystkim Michaela Radleya i służyć mu wiernie, tak ci dopomóż Bóg. Przysięgasz?

Spoglądała na niego zdumiona.

– Naprawdę muszę?

– Tak.

– Ale to przecież wielki grzech składać takie przyrzeczenie człowiekowi, który... chciałam powiedzieć... nie jesteśmy złączeni świętym węzłem...

– Tamto to śluby małżeńskie – rzucił niecierpliwie. – A to przysięga terminatorska.

Nie miała wyboru. Uniosła spódnicę i uklękła na zimnym, szorstkim kamieniu.

– Przysięgasz?

– Przysięgam. Tak mi dopomóż Bóg.

– Nie bądź taka smutna – pocieszył ją, pomagając wstać. – W porównaniu do innych, ta przysięga jest łagodna i kobieca. Ma cię wzmocnić, gdyby dręczyły cię wątpliwości albo nielojalne myśli. A teraz weź to... – Wręczył jej kapiącą świecę. – Poszukaj tego nasączonego dżinem inspicjenta i powiedz, że ma napalić pod kotłem.

* * *

Jedli kolację w Argyll Rooms, w okolicy Haymarket, całkiem blisko Akademii Tańca Laurenta. Były tu oddzielne gabinety, gdzie klient mógł spędzić całą noc.

Sybil nie pojmowała, dlaczego Mick wybrał taki gabinet. Z pewnością nie wstydził się pokazywać z nią publicznie. Ale w połowie posiłku kelner wprowadził krępego, niskiego dżentelmena z wypomadowanymi rudymi włosami i złotą dewizką na opiętej aksamitnej kamizelce. Mężczyzna był okrągły i pulchny jak dziecięca lalka.

– Witaj, Corny – rzucił Mick, nie odkładając nawet noża i widelca.

– Dobry wieczór, Mick – odparł przybysz, z dziwnym, nieokreślonym akcentem aktora albo prowincjusza będącego od dawna na służbie u wielkich państwa. – Słyszałem, że jestem ci potrzebny.

– I dobrze słyszałeś, Corny. – Mick nie przedstawił ich sobie ani nie zaproponował gościowi, by usiadł. Sybil była nieco zakłopotana. – To niewielka rola i powinienesz bez trudu ją zapamiętać. – Wyjął z kieszeni szarą kopertę. – To twój tekst, didaskalia i honorarium. U Garricka w sobotę wieczorem.

– Mężczyzna uśmiechnął się smętnie.

– Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz grałem u Garricka... Wziął kopertę, mrugnął do Sybil i wyszedł bez słowa pożegnania.

– Kto to był, Mick? – spytała Sybil.

Mick zajął się baraniną, dolewając sobie sosu z cynowego dzbanka.

– Aktor. Zagra z tobą u Garricka w czasie wykładu Houstona.

– Zagra? Ze mną? – zdumiała się Sybil.

– Pamiętaj, że jesteś początkującą awanturnicą, Sybil. Być może będziesz musiała grać najróżniejsze role. Polityczne przemówienie zawsze zyskuje, kiedy się je trochę dosłodzi.

– Dosłodzi?

– Mniejsza z tym. – Nagle stracił zainteresowanie kolacją i odsunął talerz. – Jutro będzie dość czasu na próby. Teraz chcę ci coś pokazać.

Wstał i zaryglował drzwi. Podniósł z podłogi swój brezentowy sakwojaż i ułożył go na czystym, choć mocno pocerowanym obrusie.

Sakwojaż intrygował Sybil. Nie dlatego, że Mick ciągle nosił go ze sobą, najpierw zza kulis Garricka do drukarni, żeby obejrzeć plakaty wystąpienia Houstona, a potem do Argyll Rooms, ale dlatego, że był taki tandetny. Nie przypominał innych rzeczy, z których był w oczywisty sposób dumny. Dlaczego Dandys Mick miałby nosić taką torbę, skoro stać go było na jakąś szykowną konfekcję od Aarona, z niklowanymi zamkami, z jedwabiu tkanego w szachownię Ady? Wiedziała, że w czarnym sakwojażu nie ma już przeznaczonych na wykład kart kinotropowych, ponieważ Mick owinał je starannie w stronicę *Timesa* i ukrył za lustrem pod sceną.

Mick odpiął pogięte blaszane zaczepy, otworzył torbę i wyjął długie, wąskie pudełko z gładkiego palisandru okutego jasnym mosiądzem. Sybil pomyślała, że wewnątrz mógłby się znaleźć teleskop – widziała podobne futerały na wystawie firmy optycznej z Oxford Street. Mick trzymał pudełko delikatnie, prawie że komicznie – niczym jakiś papista przenoszący relikwie martwego papieża. Ogarnięta niemal dziecięcym podnieceniem, Sybil całkiem zapomniała o człowieku imieniem Corny i niepokojących uwagach Micka na temat występu wraz z nim u Garricka. Mick kojarzył jej się teraz z iluzjonistą. Ułożył palisandrowy futerał na obrusie – niemal oczekiwała, że zaraz podwinie rękawy: niczego tu nie mam, widzicie? Niczego.

Kciukami wysunął z miniaturowych oczek małe mosiężne haczyki. Znieruchomiał, dla większego efektu.

Sybil spostrzegła, że wstrzymuje oddech. Czyżby przyniósł dla niej prezent? Jakiś symbol jej nowej pozycji? Coś, co tajemniczo naznaczy ją jako jego „awanturnicę-terminatorkę”?

Mick uniósł palisandrowe wieko z ostrymi mosiężnymi narożnikami.

Pudełko było pełne kart. Napchane po brzegi – przynajmniej dwadzieścia talii. Sybil poczuła rozczerowanie.

– Nie widziałas jeszcze niczego podobnego – rzekł. – Zapewniam cię.

Wyjął i pokazał jej jedną, z prawego kranca. Nie, to nie była karta do gry, choć podobnej wielkości. Wykonano ją z jakiejś dziwnej mlecznej substancji – ani z papieru, ani ze szkła – bardzo cienkiej i lśniącej. Mick lekko ścisnął kartę między kciukiem a palcem wskazującym. Wyginała się łatwo, ale puszczone, natychmiast wracała do dawnego kształtu.

Znajdowało się na niej może czterdzieści ciasno ułożonych rządków kolistych otworów,

nie większych niż dziurki w guziku z masy perłowej. Trzy rogi były lekko zaokrąglone, a czwarty ścięty ukośnie. Bładym fioletowym atramentem ktoś wypisał przy nim „#1”.

– Kamforowana celuloza – oświadczył Mick. – Piekielny materiał, gdyby dotknął go płomień, ale żaden inny nie nadaje się do zaawansowanych operacji Napoleona.

Napoleona? Sybil nic nie rozumiała.

– Czy to karty kinotropowe, Mick?

Uśmiechnął się szeroko, wyraźnie zachwycony. Jakby wypowiedziała właściwe słowa.

– Nigdy nie słyszałaś o Wielkim Napoleonie? To *ordinateur*, najpotężniejsza Maszyna Akademii Francuskiej. Maszyny londyńskiej policji to przy nim zwykłe zabawki.

Sybil udała, że przygląda się zawartości pudełka. Wiedziała, że spodoba się to Mickowi. Był to zwykły drewniany futerał, pięknie wykonany i wyłożony zielonym suknem, jakie kładzie się na stoły bilardowe. Mieścił w sobie bardzo dużo gładkich, mlecznych kart – może kilkaset.

– Wyłumacz mi, co to takiego, Mick.

Roześmiał się z satysfakcją – tak jej się wydawało. I nagle pochylił się i pocałował ją w usta.

– W odpowiednim czasie. – Wyprostował się, odłożył kartę na miejsce, zamknął wieczko i wsunął haczyki. – Każde bractwo ma swoje tajemnice. Dandys Mick sądzi, że nikt dokładnie nie wie, co się stanie, jeśli przepuści się ten stosik przez Maszynę. Wykaże wtedy pewną kwestię, udowodni pewien ciąg zagnieżdżonych hipotez matematycznych... Wszystko to jest bardzo złożone. A przy okazji sprawi, że nazwisko Michaela Radleya zabłyśnie jak gwiazda w konfraterni dziurkaczy. – Mrugnął. – Francuscy dziurkacze mają własne bractwa. Les Fils de Vaucanson... Tak siebie nazywają. Towarzystwo Jacquardowskie. Pokażemy jeszcze to i owo tym cebulogodom.

Miała wrażenie, że jest pijany, choć wiedziała, że wypił tylko dwie butelki piwa. Nie... raczej oszołomiony tymi kartami w pudełku, czymkolwiek one były.

– Ten futerał i jego zawartość są niezwykle kosztowne, Sybil.

Usiadł znowu i sięgnął do czarnej torby. Wyjął z niej złożony arkusz sztywnego, szarego papieru, całkiem zwyczajne nożyczki i kłębek mocnego zielonego sznurka. Rozprawiając, rozwinął papier i zaczął pakować pudełko.

– Bardzo kosztowne – podjął. – Podróże z generałem narażają człowieka na pewne zagrożenia. Po występie odjeżdżamy do Paryża, ale jutro rano zanieśiesz to na pocztę przy Great Portland Street. – Owinął papier sznurkiem. – Utnij tutaj – polecił. Zrobiła, co kazał. – A teraz przytrzymaj tu palcem. – Zawiązał idealny węzeł. – Wyślesz naszą paczkę do Paryża. *Poste restante*. Wiesz, co to znaczy?

– Że zatrzymają ją dla adresata.

Mick kiwnął głową; z kieszeni spodni wyjął pręcik czerwonego laku, a z drugiej swoją zapalniczkę. Rozpałała się przy pierwszej próbie.

– Tak, zatrzymają ją dla nas w Paryżu. Bezpieczną jak w banku.

Lak pociemniał nad oleistym płomieniem. Czerwone krople kapnęły na zielony węzeł i szary papier. Mick wrzucił nożyczki i sznurek do torby, lak i zapalniczkę schował do kieszeni, wyjął wieczne pióro i wypisał adres.

– Ale co to jest, Mick? Skąd wiesz, ile to warte, jeśli nie masz pojęcia, do czego służy?

– Tego przecież nie powiedziałem, prawda? Czegoś tam się domyślam. Dandys Mick zawsze się czegoś domyśla. Dość, by zabrać oryginał do Manchesteru, kiedy jechałem tam w sprawach generała. Dość, by najsprytniejszych dziurkaczy wypytać o ich najnowsze metody kompresji. I dość, by za pieniądze generała powierzyć rezultat celulozie kalibru Napoleona.

Nic nie zrozumiała. Równie dobrze mógłby mówić po chińsku.

* * *

Ktoś zapukał. Ponury posługacz, krótko ostrzyżony i pociągający nosem, wciągnął wózek i sprzątnął nakrycia. Nie spieszył się i wyczekiwał, jakby spodziewał się napiwku, ale Mick ignorował go i spokojnie patrzył w przestrzeń. Od czasu do czasu uśmiechał się do siebie niczym kot.

Chłopak wyszedł, parszając wzgardliwie. Po dłuższej chwili rozległo się stukanie laski o drzwi. Przybył drugi z przyjaciół Micka.

Krepego mężczyznę potężnej budowy cechowała niespotykana brzydota. Miał wylupiane oczy i siny podbródek, a kwadratowe, pochyle czoło zwieńczała lśniąca brylantyną parodia eleganckich loków, takich jakie nosił premier. Przybysz miał nowy i dobrze skrojony wieczorowy kostium, płaszcz, cylinder, laskę, szykowną perłę w fularze i złoty sygnet masonów na palcu. Twarz i szyja ogorzały mu od słońca.

Mick podniósł się, uściśnął tamtemu prawicę i zaproponował krzesło.

– Późno pan pracuje, panie Radley – stwierdził obcy.

– Robimy, co możemy, by zaspokoić pańskie szczególne potrzeby, profesorze Rudwick.

Brzydki mężczyzna usiadł na krześle; zaskrzypiało głośno. Wylupiane oczy obrzuciły Sybil pożądliwym wzrokiem i przez jedną chwilę przeraziła się najgorszego: że wszystko to było tylko oszustwem, a teraz ona sama stanie się przedmiotem jakiejś obrzydliwej transakcji.

Ale Rudwick odwrócił głowę.

– Nie będę krył, drogi panie, mej niecierpliwości, by na nowo podjąć swe prace w Teksasie. – Ściągnął wargi. W szerokiej szramie ust tkwiły małe, szarawe, podobne do kamyków zęby. – Rola salonowego lwa w Londynie nudzi mnie śmiertelnie.

– Prezydent Houston udzieli panu audiencji... Jutro o drugiej, jeśli to panu odpowiada.

– Doskonale – burknął Rudwick.

Mick kiwnął głową.

– Sława pańskiego teksaskiego znaleziska, profesorze, z dnia na dzień zatacza coraz

szersze kręgi. Słyszałem, że zainteresował się nim sam lord Babbage.

– Pracowaliśmy razem w Instytucie w Cambridge – przyznał Rudwick, niezdolny ukryć pełnego satysfakcji uśmiešku. – Teoria pneumodynamiki...

– Tak się składa – wtrącił Mick – że wszedłem w posiadanie dziurkowanej sekwencji, która mogłaby zabawić jego lordowską mość.

Ta uwaga chyba zirytowała gościa.

– Zabawić, drogi panie? Lord Babbage jest człowiekiem bardzo... zajęтым.

– Lady Ada była tak łaskawa i wspomogła mnie w początkowych próbach...

– Wspomogła pana? – Rudwick zaśmiał się nieprzyjemnie. – A więc to jakiś system hazardowy? Z pewnością, jeśli zwrócił jej uwagę...

– Ależ skąd – zaprzeczył krótko Mick.

– Jej wysokość dobiera sobie dziwnych przyjaciół – stwierdził Rudwick, spoglądając posepnie na Micka. – Czy znasz pan człowieka nazwiskiem Collins, tak zwanego bukmachera?

– Nie miałem przyjemności.

– Ten człowiek ssie ją niczym wesz psie ucho. – Ogorzała twarz Rudwicka pociemniała gwałtownie. – Uczynił mi oburzającą propozycję...

– I? – wtrącił delikatnie Mick.

Rudwick zmarszczył czoło.

– Wydało mi się, że znasz go pan. Wyglądał mi na takiego, co może się obracać w pańskich kręgach...

– Nie, drogi panie.

Rudwick pochylił się do Micka.

– Jest jeszcze jeden dżentelmen, panie Radley; bardzo wysoki i o zimnym spojrzeniu. Mam uczucie, że ostatnio ciągle mnie śledzi. Czy nie jest może agentem waszego prezydenta Houstona? Wygląda na Teksasńczyka.

– Mój prezydent szczęśliwie nie narzeka na kwalifikacje swoich agentów.

Rudwick wstał, czerwony na twarzy.

– Będzie pan łaskaw zażądać od tego hultaja, żeby tego zaprzestał.

Mick także się podniósł i uśmiechnął niewinnie.

– Z całą pewnością przekażę pańskie uwagi memu pracodawcy, profesorze. Ale obawiam się, że przeszkadzam panu w rozrywkach zaplanowanych na tę noc...

Podszedł do drzwi, otworzył je i zamknął za szerokimi plecami Rudwicka, okrytymi eleganckim płaszczem. Potem mrugnął porozumiewawczo do Sybil.

– Idzie na walki szczurów. Nasz uczony profesor lubi takie prymitywne sporty. – Zastanowił się chwilę. – Ale mówi szczerze, prosto z mostu. Spodoba się generałowi.

* * *

Po wielu godzinach ocknęła się w Grandzie, w łóżku obok Micka. Przebudził ją trzask jego zapalniczki i słodki aromat cygara. Wziął ją dwa razy na szezlongu za stołem w Argyll Rooms i jeszcze raz w hotelu. Nie wiedziała, że może być tak gwałtowny. Uznała to za dobry znak, choć po trzecim razie była trochę obolała w dolnych partiach.

Pokój był ciemny, rozświetlony tylko blaskiem gazowej latarni za oknem.

Przysunęła się bliżej.

– A po Francji, gdzie chciałabyś pojechać, Sybil? Nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– Z tobą, Mick...

Zaśmiał się, wsunął rękę pod kołdrę i sięgnął palcami do jej kobiecego wżgórka.

– A gdzie pojedziemy, Mick?

– Jeśli ruszysz ze mną, to najpierw trafisz do Meksyku. Potem na północ, by wyzwolić Teksas, z francusko-meksykańską armią pod wodzą generała Houstona.

– Ale... Przecież Teksas to strasznie dziwne miejsce...

– Przestań myśleć jak ulicznica z Whitechapel. Widziany z Picadilly, cały świat jest dziwny. Sam Houston ma w Teksasie swój pałac. Zanim Teksaszczyki go wypędzili, był największym sprzymierzeńcem Brytyjczyków na zachodzie Ameryki. Ty i ja moglibyśmy w Teksasie żyć jak książęta, zbudować dom nad jakąś rzeką...

– Czy naprawdę nam na to pozwolą, Mick?

– Chodzi ci o rząd Jej Królewskiej Mości? O zdradziecki Albion? – Mick parsknął cicho.

– Cóż, zależy to od stosunku brytyjskiej opinii publicznej do generała Houstona. Robimy, co możemy, żeby poprawić jego reputację. Dlatego zaplanował ten cykl wykładów.

– Rozumiem – szepnęła Sybil. – Jesteś bardzo sprytny, Mick.

– To ważne sprawy, Sybil. Równowaga sił. Od pięćuset lat Brytania wykorzystuje ją w Europie, a w Ameryce działa nawet lepiej. Unia, Konfederacja, Republika Teksasu i Kalifornia... wszystkie po kolei zyskują brytyjską łaskawość, póki nie staną się zbyt zuchwałe, zbyt niezależne. Wtedy spadają w dół. Dziel i rządź, moja droga. – W ciemności rozjarzył się czerwony ognik cygara. – Gdyby nie brytyjska dyplomacja, brytyjska władza, Ameryka stałaby się już jednym wielkim narodem.

– A twój przyjaciel generał? Pomoże nam?

– W tym całe piękno naszej rozgrywki – oświadczył Mick. – Dyplomaci uznali, że Sam Houston ma nieco sztywny kark. Nie podobały się im jego działania i jego polityka, więc nie wspierali go tak silnie, jak powinni. Ale teksaska junta, która go zastąpiła, jest o wiele gorsza. Okazują otwartą wrogość wobec brytyjskich interesów. Ich dni są policzone. Generał musiał posiedzieć jakiś czas tutaj, na wygnaniu, ale teraz ruszył w drogę powrotną do Teksasu, odebrać to, co mu się zgodnie z prawem należy. – Wzruszył ramionami. – Powinniśmy zacząć już rok temu. Kłopot w tym, że rząd Jej Królewskiej Mości sam nie wie, czego chce. Wewnątrz trwa walka frakcji. Niektórzy nie ufają Samowi Houstonowi... Ale Francuzi i tak

nam pomogą. Ich meksykańscy klienci prowadzą wojnę graniczną z Teksaszczykami. Potrzebują generała!

– To znaczy, Mick, że jedziemy na wojnę?

Nie mogła sobie wyobrazić Dandysa Micka prowadzącego szarżę kawalerii.

– To raczej *coup d'état* – uspokoił ją. – Niewiele zobaczymy krwi.

Rozumiesz, jestem doradcą politycznym Houstona i zostanę przy nim. To ja zorganizowałem mu te londyńskie występy i wyjazd do Francji, to ja wykorzystałem pewne kontakty, co pozwoliło uzyskać audiencję u cesarza Francuzów...

Czy to możliwe?

– To ja przepuszczam przez kinotrop najlepsze i najnowsze karty z Manchesteru, ja dbam o prasę i opinię publiczną, wynajmuję ludzi do naklejania plakatów...

Zaciągnął się cygarem, a drugą ręką obmacywał ją tam... Usłyszała, jak z satysfakcją wydmuchuje kłęb tytoniowego dymu.

Ale nie miał chyba ochoty na jeszcze jeden raz, przynajmniej nie w tej chwili, ponieważ wkrótce zasnęła i śniła o Teksasie: Teksasie falujących równin, pasących się owiec i błyszczących w popołudniowym słońcu okien szarych rezydencji.

* * *

Sybil siedziała przy przejściu, w trzecim rzędzie na widowni u Garricka i myślała smętnie, że generał Sam Houston, niegdyś z Teksasu, nie ściągnął wielkich tłumów. Ludzie schodzili się powoli, a pięcioosobowa orkiestra piszczała, piłowała i trąbiła. W rzędzie przed nią zajmowała miejsca cała rodzina: dwaj chłopcy w błękitnych marynarkach i spodniach, z wyłożonymi kołnierzykami koszul, dziewczynka w szalu i ozdobnym płaszczku, potem dwie mniejsze, pilnowane przez guwernantkę – chudą, z haczykowatym nosem, załzawionymi oczami i kichającą w chusteczkę. Później wsunął się najstarszy chłopak, z pogardliwą miną. I tatuś w płaszczu, z łaską i bokobrodami, a za nim tłusta mamusia z długimi lokami pod brzydkim kapeluszem i z trzema złotymi pierścionkami na grubych, krótkich palcach. Po chwili wszyscy usiedli wśród szelestu płaszczy i szali, chrupania kandyzowanej skórki pomarańczy – wyraźnie dobrze sytuowani i oczekujący poprawy sytuacji. Czyści, wyszorowani i zadbani w swych eleganckich maszynowej roboty ubraniach.

Jakiś urzędnik w okularach usiadł obok Sybil; dostrzegła szeroki na cał błękitny pasek wzdłuż linii włosów – wygolił je, by wysokim czołem sugerować intelekt. Czytał program Micka i ssał kwaśne cukierki. Za nim trzech oficerów z Krymu; wyraźnie zadowoleni z siebie, przyszli posłuchać o staromodnej teksaskiej wojnie, prowadzonej staromodnymi metodami. Wśród widzów znalazło się ich więcej – wszyscy w jaskrawych czerwonych płaszczach... Ci przyzwoici, którzy nie marnują pieniędzy na ulicznice i dżin, ale biorą żołd od królowej, studiują arytmetykę artyleryjską, a potem wracają do pracy w stoczniach i na

kolei. I podwyższają swój status.

Sporo przyszło takich wspinających się w górę typów: sprzedawcy, sklepikarze i aptekarze, ze swymi dobrze ułożonymi żonami i dziećmi. Za czasów jej ojca tacy ludzie – ludzie z Whitechapel – byli gniewni, wychudzeni i obdarci, z kijami w dłoniach i sztyletami za pasem. Ale za radykałów wszystko się zmieniło i teraz nawet Whitechapel miała swoje ciasno zasznurowane, wymyte kobiety i swoich szykownych, spoglądających na zegarki mężczyzn, którzy czytali *Słownik użytecznej wiedzy* i *Dziennik doskonalenia moralnego* – i wspinali się w górę.

Nagle przygasły gazowe płomienie w miedzianych pierścieniach, a orkiestra zagrała marną interpretację „Come to the Bower”. Z sykiem zapłonęło światło Drummonda i rozsunała się kurtyna przesłaniająca kinowy ekran. Muzyka zagłuszyła stuk kart wkręcanych do kinowej Maszyny. Ozdobne zygzaki wyrastały niby czarny szron od brzegów ekranu. Objęły ramą wysokie, wąskie litery, wyszukaną czcionkę maszynowego gotyku; litery głosiły czarno na białym:

EDITIONS
PANOPHQUE
PREZENTUJE

Houston – starszy mężczyzna potężnej budowy – wkroczył pod kinotropem na scenę z lewej kulisy i, utykając, przeszedł na środek. Na moment zniknął w cieniu poniżej jaskrawego snopa światła Drummonda.

Sybil obserwowała go uważnie, z ciekawością, czujnie... Po raz pierwszy oglądała pracodawcę Micka. Ale dostatecznie często spotykała w Londynie amerykańskich uciekinierów, żeby wyrobić sobie o nich opinię. Unioniści ubierali się prawie tak, jak zwykli Brytyjczycy – jeśli tylko mieli na to pieniądze. Konfederaci woleli stroje modne i krzykliwe, ale trochę dziwne, nie całkiem odpowiednie. Sądząc wedle Sama Houstona, Teksaszczyk byli jeszcze dziwniejsi i bardziej zwariowani.

Houston był solidnie zbudowany, czerwony na twarzy, masywny. Miał ponad sześć stóp wzrostu. Nosił ciężkie buty, a na szerokich ramionach szorstki pled, podobny do peleryny, ale w barbarzyńsko jaskrawe pasy, czerwone, czarne i brązowe. Zamiatał nim scenę niby aktor tragedii swoją togą. W prawej ręce trzymał grubą mahoniową laskę i teraz machał nią lekko, jakby nie potrzebował podpory. Sybil spostrzegła jednak, że drżą mu nogi i poruszają się złote frędzle na szwach spodni.

Wspiął się na zaciemnioną mównicę, wytarł nos i łyknął ze szklaneczki czegoś, co wyraźnie nie było wodą. Nad jego głową kinotrop wyświetlił barwny obraz: brytyjskiego lwa i jakiegoś długorogiego byka. Zwierzęta spotkały się pod niewielkimi skrzyżowanymi flagami: Union Jackiem i teksaską, z samotną gwiazdą; obie były jaskrawe, obie czerwono-

biało-niebieskie. Houston poprawiał coś za mównicą; pewnie lustro, domyśliła się Sybil, żeby mógł widzieć za sobą kinotrop i wiedzieć, co się dzieje.

Ekran znów stał się czarno-biały, kolejne elementy gasły jak padające kostki domina. Pojawił się portret wykreślony ciemnymi, łamanymi liniami: wysokie łysiejące czoło, krzaczaste brwi, szeroki nos ujęty w klamrę najeżonych bokobrodów kryjących uszy. Zaciśnięte stanowczo wąskie wargi, uniesiona broda. Potem, poniżej, słowa: **GENERAŁ SAM HOUSTON**.

Zapłonął drugi snop światła Drummonda, pochwycił Houstona na mównicy, na oczach publiczności zmienił go nagle w jasną płaskorzeźbę. Sybil klaskała głośno. Przestała jako ostatnia.

– Dziękuję wam serdecznie, panie i panowie z Londynu – zaczął Houston. Miał głęboki, dźwięczny głos doświadczonego oratora, nieco skażony obcym akcentem. – Wielki zaszczyt czynicie przybyszowi. – Rozejrzał się po widowni. – Widzę, że jest tu wielu dżentelmenów w służbie wojskowej Jej Królewskiej Mości. – Zsunął nieco pled i ostre światło błysnęło na orderach przypiętych do piersi. – Wasze profesjonalne zainteresowanie, panowie, sprawia mi satysfakcję.

W rzędzie przed Sybil dzieci zaczęły się wiercić. Dziewczynka pisnęła z bólu, gdy któryś z braci ją uszczypnął.

– Widzę też, że mamy tu przyszłego brytyjskiego wojownika!

Zabrzmiały zdziwione śmieszki. Houston zerknął w lustro i pochylił się nad mównicą. Z wdziękiem pocziwego dziadunia ściągnął bujne brwi.

– Jak ci na imię, synu?

Niegrzeczny chłopczyk wyprostował się gwałtownie.

– Billy, sir – odparł. – Billy... William Greenacre, sir!

Houston z powagą skinął głową.

– Powiedz mi, paniczku Greenacre, czy chciałbyś uciec z domu i żyć wśród Indian?

– Tak, sir – wyrzucił chłopiec i zaraz dodał: – O nie, sir.

Publiczność znów się zaśmiała.

– W twoim wieku, młody Williamie, byłem dzielnym chłopcem, jak ty. I tak właśnie postąpiłem. – Obraz za głową generała uległ zmianie. Pojawiła się barwna mapa z zaznaczonymi wszystkimi państwami Ameryki, prowincjami o dziwnych kształtach i niezwykłych nazwach. Houston sprawdził to w lustrze i mówił szybko.

– Urodziłem się w amerykańskim stanie Tennessee. Rodzina pochodziła ze szkockiej szlachty. Przeżywaliśmy trudne chwile na naszej małej farmie na pograniczu. Urodziłem się Amerykaninem, ale nie czułem się poddanym jankeskiego rządu w Waszyngtonie. – Kinotrop pokazał portret amerykańskiego dzikusa, istotę o szalonych oczach, obwieszoną piórami, z policzkami pomalowanymi w barwy wojenne z kinowych klocków. – Tuż za rzeką żył potężny naród Cherokee, lud cechujący się prostotą i wrodzoną szlachetnością. Uznałem, że

wolę Indian niż swych amerykańskich sąsiadów. Ich dusze bowiem przeżarte były żądzą dolarów.

Houston pokręcił głową, okazując brytyjskiej publiczności, że cierpi z powodu tej narodowej wady Amerykanów. Zdobył sobie sympatię, pomyślała Sybil.

– Cherokee podbili moje serce – mówił dalej Houston. – Uciekłem z domu, żeby się do nich przyłączyć. Nie wziąłem niczego, panie i panowie, prócz skórzanego płaszcza na grzbiet i wielkiej opowieści Homera, *Iliady*, do kieszeni.

Kinotrop przeformował się od dołu do góry, ukazując wizerunek z greckiej urny: wojownika z pióropuszem na hełmie i wzniesioną włócznią. Trzymał tarczę z godłem kruka o rozpostartych skrzydłach. Rozległy się lekkie oklaski zachwyconych widzów, a Houston skromnie skinął głową, jakby były przeznaczone dla niego.

– Jako dziecku amerykańskiego pogranicza – kontynuował – nie dane mi było pobierać nauk, chociaż w późniejszym czasie zostałem prawnikiem i kierowałem państwem. Jako młodzieniec jednak szukałem wykształcenia w pradowej szkole. – Uniósł obwieszoną medalami klapę surduta. – Serce w tej poranionej piersi – rzekł i uderzył pięścią w żebra – wciąż drży, słysząc szlachetne opowieści o bohaterstwie, które samym bogom pozwala rzucić wyzwanie, o nieskazitelnym honorze, trwającym... do śmierci!

Czekał na oklaski. Rozległy się po chwili, choć nie tak głośne, jak chyba się spodziewał.

– Nie dostrzegłem sprzeczności między życiem bohaterów Homera i życiem mych ukochanych Cherokee – oświadczył.

Na ekranie włócznia zakwitła piórami indiańskiego oszczepu, a na twarzy wojownika pojawiły się barwy wojenne. Houston zerknął do notatek.

– Razem polowaliśmy na niedźwiedzie, jelenie i dziki, łowiliśmy w czystych strumieniach, uprawialiśmy żółtą kukurydzę. Przy ognisku, pod otwartym niebem, przekazywałem swym dzikim braciom moralną lekcję, jaką me młode serce wyciągnęło ze słów Homera. Z tego powodu nadali mi indiańskie imię Kruk, od pierzastego ducha, którego uważają za najmądrzejszego z ptaków.

Grek rozplynął się; ustąpił miejsca wspianemu krukowi rozkładającemu skrzydła na cały ekran, z pasiastą tarczą na piersi. Sybil poznała go. Był to amerykański orzeł, godło podzielonej Unii – ale białopióry ptak Jankesów stał się czarnym krukiem Houstona. Sprytne, pomyślała, może nawet za sprytne. Dwa klocki kinotropu zaklinowały się na osiach, przez co w górnym lewym rogu ekranu pozostały dwa punkty błękitu z poprzedniego obrazu – niewielki błąd, ale irytujący nad miarę, niby drobinka w oku. Karty Micka zmuszały kinową Maszynę do najwyższego wysiłku.

Zamyślona, straciła wątek przemowy.

– ... głos trąbki bojowej w obozie ochotników z Tennessee.

Pojawił się kolejny kinoportret: mężczyzna podobny nieco do Houstona, ale z gęstymi włosami nad czołem i zapadniętymi policzkami. Z podpisu wynikało, że jest to GENERAL

ANDREW JACKSON.

Tu i tam rozległy się syknięcia, zapewne żołnierzy. Publiczność zaszemrała. Niektórzy z Brytyjczyków pamiętali jeszcze „Hickory” Jacksona, i wspominali go bez sympatii. Według słów Houstona, Jackson walczył mężnie przeciwko Indianom i nawet przez jakiś czas był prezydentem Ameryki. Wszystko to nie miało tutaj znaczenia. Houston wychwalał Jacksona jako swego patrona i nauczyciela, „uczciwego człowieka, który wewnętrzną wartość ludzi wyżej sobie cenił niż pozłotę bogactwa czy pozorów”. Jednak aplauz dla tych sentymentów był w najlepszym razie niechętny.

Pojawiła się kolejna scena: jakiś prymitywny fort na pograniczu. Houston opowiadał o oblężeniu z początków swej wojskowej kariery, kiedy pod wodzą Jacksona uczestniczył w kampanii przeciwko Indianom zwanym Cree. Wydawało się jednak, że utracił swych naturalnych słuchaczy: żołnierzy. Trzej krymscy weterani w rzędzie przed Sybil wciąż szeptali coś gniewnie o Hickorym Jacksonie.

– Ta piekielna wojna skończyła się, zanim nowoorleańczycy...

Nagle światło Drummonda błysnęło czerwienią. Mick pracował ciężko pod sceną: filtr z barwionego szkła, potężny głos bębna, na ekranie białe kłęby dymu nad kinowymi armatami wokół fortu i pojedyncze iskierki pocisków.

– Noc po nocy słyszeliśmy, jak fanatycy Cree wyją swe groźne pieśni wojenne – krzyczał Houston, stojąc w kolumnie blasku pod ekranem. – Sytuacja wymagała bezpośredniego ataku, z szablą w dłoni. Mówiono, że atak na bramę to pewna śmierć... Ale nie na darmo byłem Ochotnikiem z Tennessee...

Mała figurka sunęła w stronę fortu: nie więcej niż kilka czarnych kwadratów, ruchoma grupa klocków. Scenę ogarnęła ciemność. W mroku rozległy się oklaski zaskoczonych widzów. Chłopcy na jaskółce zaczęli gwizdać. I znowu światło objęło Houstona. Przechwalał się ranami: dwie kule w ramię, cios nożem w nogę i strzała w brzuchu... Nie wymówił wulgarного słowa, ale rozmasował dłonią żołądek, jakby cierpiał na niestrawność. Jak twierdził, całą noc leżał na polu bitwy, a potem przez długie dni podróżował na noszach przez pustkowia, krwawił, gorączkował...

Urzędnik obok Sybil sięgnął po cukierka i spojrzał na zegarek. W pogrzebowej czerni ekranu błysnęła pięcioramienna gwiazda. Houston opowiadał, jak cudem uniknął śmierci. Jeden z zablokowanych klocków ekranu uwolnił się, ale za to znieruchomiał inny, w dole po prawej.

Sybil stłumiła ziewnięcie.

Gwiazda jaśniała coraz bardziej. Houston opowiadał, jak włączył się w życie polityczne Ameryki. Motywem, jak twierdził, było pragnienie dopomożenia jego ukochanym Cherokee. To dość niezwykle, uznała Sybil, ale podobne do wszystkich tych nieodmiennie fałszywych mów polityków. Publiczność zaczynała się nudzić. Woleliby jakieś walki, może kolejne poetyckie opowieści o życiu wśród Indian. Tymczasem Houston mówił o tym, jak został

wybrany do jakiegoś prymitywnego odpowiednika Parlamentu, na jakieś niejasne dla słuchaczy stanowiska w prowincjonalnym rządzie. A przez cały czas gwiazda rosła, rozgałęziała ramiona, aż w końcu stała się godłem rządu Tennessee.

Nagle Houston zmienił ton głosu. Mówił wolniej, z sentymentalną nutą, przeciągając słowa. Opowiadał o kobiecie.

Sybil wyprostowała się i zaczęła słuchać uważniej.

Jak zrozumiała, Houstona wybrano na gubernatora, zdobył trochę pieniędzy i z nadzieją myślał o przyszłości. Znalazł też narzeczoną, dziewczynę z dobrej rodziny w Tennessee. Poślubił ją.

Ale na kinotropowym ekranie macki ciemności wyciągały się od krawędzi i zagrażały godłu.

Ledwie gubernator i pani Houston zdążyli razem zamieszkać, kiedy żonka rzuciła wszystko i uciekła z powrotem do rodziny. Zostawiła list, wyjaśnił Houston, list zdradzający straszliwy sekret. Tajemnicę, której nigdy nie zdradził i przysiągł zabrać ze sobą do grobu.

– Sprawa osobista, o której honorowy dżentelmen nie może i nie powinien wspominać. Przeżyłem katastrofę... – Gazety atakowały go (najwyraźniej mieli w Tennessee gazety). – Jadowite usta oszczerców pluły na mnie jadem – skarżył się Houston.

Na ekran powróciła grecka tarcza, a na niej czarne kleksy – błoto, domyśliła się Sybil.

Wyznania Houstona były coraz bardziej szokujące. Przeszedł przez to wszystko i naprawdę rozwiódł się z żoną – potworne. Naturalnie, stracił stanowisko, oburzony naród rzucił go z urzędu. Sybil nie rozumiała, dlaczego zdecydował się wspominać o tym paskudnym skandalu. Jakby się spodziewał, że londyńczycy udzielą moralnej aprobaty człowiekowi rozwiedzionemu. A jednak zauważyła, że damy są zaintrygowane i może wręcz mu współczują. Nawet tłusta mamusia wachlowała swój podwójny podbródek.

Generał Houston był przecież cudzoziemcem, na wpół dzikusem, jak wynikało z jego własnych słów. Ale kiedy wspominał żonę, mówił o niej czule, jak o prawdziwej miłości, zamordowanej przez okrutną i tajemną prawdę. Jego potężny głos łamał się pod wpływem emocji, których się nie wstydził. Otarł czoło haftowaną chusteczką, wyjętą z kieszeni lamparciej kamizelki.

Właściwie nie wyglądał źle; miał ponad sześćdziesiątkę, ale taki człowiek może być dobry dla dziewczyny. Złożył zuchwałe, męskie wyznanie, sam przywołał sprawę skandalu rozwodowego i tajemniczego listu od pani Houston. Wciąż o nim mówił, ale nie zdradzał sekretu. Pobudził zainteresowanie słuchaczy i nawet Sybil umierała z ciekawości.

A równocześnie kpiła z siebie i z własnej naiwności. Najpewniej rzecz jest prosta i głupia, wcale nie tak głęboka i tajemnicza, jak twierdził. Pewnie ta dziewczyna, choć z dobrego domu, wcale nie była taka anielska, na jaką wyglądała. Pewnie jakiś oszust z Tennessee skradł jej dziewiczą cnotę, zanim jeszcze Kruk Houston pojawił się na horyzoncie. Mężczyźni przestrzegają twardych zasad wobec swoich oblubienic, choć nigdy wobec siebie.

Prawdopodobnie Houston sam sprowadził na siebie nieszczęście. Może wyobrażał sobie pożycie małżeńskie bestialsko i ohydnie – przecież tak długo żył wśród dzikusów. Albo okładał żonę pięściami – Sybil miała wrażenie, że po pijanemu mógł być prawdziwym potworem.

Na kinotropie ożyły harpie, symbolizujące zapewne oszczerczych przeciwników Houstona, którzy splamili jego bezcenny honor farbą drukarską brukowej prasy. Paskudne, pokrzywione stwory tłoczyły się na ekranie o barwach demonicznej czerwieni i czerni. Klocki szumiały nieustannie, a harpie wysuwały szpony. Nigdy jeszcze takich nie widziała... Artysta dziurkowania kart z Manchesteru musiał przeżywać deliryczne koszmary... Houston gadał o wyzwaniach i o honorze, przez co rozumiał pojedynki. Amerykanie byli słynnymi pojedynkowiczami, kochali broń i strzelali do siebie z byle powodu. Zabiłby kilka tych dziennikarskich hien, stwierdził stanowczo, gdyby nie godność gubernatora. Dlatego rzucił karty i wrócił do swoich Cherokee. Był teraz jak kocioł pod pełną parą; rozpałił się tak, że strach było patrzeć. Widzowie bawili się tym widokiem; rezerwę przełamały wytrzeszczone oczy i żyłasty teksaski kark. Jednakże emocje te graniczyły z niesmakiem.

Może zrobił coś naprawdę strasznego, myślała Sybil, rozcierając dłonie schowane w króliczej mufce. Może to on był winien i sam ją skrzywdził... Tak, mogło tak być. Mick będzie wiedział; całkiem możliwe, że Mick zna tę tajemnicę.

Houston opowiadał, jak pohańbiony opuścił Stany Zjednoczone i wyjechał do Teksasu, a gdy tylko wymówił to słowo, na ekranie rozwinęła się mapa: obszar pośrodku kontynentu. Houston twierdził, że ruszył szukać ziemi dla swych biednych, cierpiących Indian Cherokee, ale wszystko to stawało się nieco skomplikowane.

Spytała urzędnika obok o godzinę. Minęło dopiero sześćdziesiąt minut. Trzecia część mowy. Zbliżała się jej chwila.

– Wyobraźcie sobie kraj kilka razy większy od waszej ojczystej wyspy – mówił Houston. – Nie ma tam dróg szerszych niż trawiaste ścieżki Indian. W owym czasie nie było też w nim ani jednej mili brytyjskiej kolei żelaznej, nie było żadnych Maszyn. Jako dowódca teksaskich sił zbrojnych nie dysponowałem pewniejszym i szybszym sposobem przesyłania rozkazów niż konny zwiadowca, któremu grozili Komańcze i Karankawa, meksykańskie bandy i tysiące bezimiennych niebezpieczeństw dzikich pustkowi. Nic dziwnego zatem, że pułkownik Travis za późno otrzymał moje instrukcje i, co okazało się tragiczne, uwierzył w odsiecz pułkownika Fannina. Otoczony siłami wroga pięćdziesiąt razy liczniejszymi niż własne, Travis oświadczył, że celem jego jest zwycięstwo lub śmierć... Choć wiedział, że ta ostatnia z pewnością jest mu pisana. Obrońcy Alamo zginęli co do jednego. Szlachetny Travis, nieustraszonego pułkownika Bowie i David Crockett, legenda pogranicza... – Panowie Travis, Bowie i Crockett otrzymali po jednej trzeciej ekranu każdy; przy niewielkich rozmiarach portretów, ich twarze zdawały się dziwnie kanciaste. – Zyskali jednak bezcenny czas dla mojej fabiańskiej strategii.

Żołnierskie opowieści... Zszedł z mównicy i ciężką, lśniąca laską wskazywał na ekran.

– Jak widzicie, oddziały Lopeza de Santa Anna zajęły stanowiska tutaj, z lasem na lewym skrzydle i mokradłami rzeki San Jacinto na tyłach. Jego inżynierowie okopali się wokół taborów i ustawili wzmocnione palisady, przedstawione tutaj. Szybkim marszem z Burnham Ford moich sześciuset ludzi zajęło zalesione brzegi Buffalo Bayou, kryjąc się przed zwiadowcami nieprzyjaciela. Atak rozpoczął się ogniem armatnim z pozycji teksaskich... Teraz widzimy ruszającą lekką kawalerię... Uderzenie piechoty odepchnęło nieprzyjaciela, a jego artylerię, nie ustawioną jeszcze na pozycjach, pogrążyło w całkowitym chaosie. – Niebieskie kwadraty i romby na kinotropie powoli ścigały czerwone meksykańskie regimenty przez zielono-białą szachownicę lasów i bagien.

Sybil przesunęła się w fotelu, próbując zmniejszyć ucisk krynoliny. Krwawe przechwałki Houstona osiągnęły w końcu punkt przełomowy.

– W tej bitwie padło dwóch Teksaszczyków i sześciuset trzydziestu najeźdźców. Masakry Alamo i Goliadu zostały pomszczone krwią Santanisty! Dwie meksykańskie armie poszły w rozsypkę, pochwyciliśmy czternastu oficerów i zdobyli dwadzieścia dział.

Czternastu oficerów, dwadzieścia dział... Tak, to był sygnał dla niej. Nadeszła właściwa chwila.

– Niech pan nas pomści, generale! – wykrzyknęła, choć trema ścisnęła jej gardło. Spróbowała jeszcze raz, poderwała się i zamachała ręką. – Niech pan nas pomści!

Houston umilkł zdumiony.

– Niech pan pomści nasz honor! – zawołała chrapliwie Sybil. –

Pomści honor Brytanii!

Rozległy się okrzyki zdziwienia. Sybil czuła, że oczy widzów kierują się na nią – spojrzenia, którymi ludzie mogliby obrzucać wariatkę.

– Mój brat! – krzyknęła, ale lęk ją opanował. Nie spodziewała się, że to takie straszne. O wiele gorsze niż śpiew na scenie... O wiele.

Houston wzniosł ramiona, pasiasty koc rozwinął się za nim jak peleryna. Tym gestem zdołał jakoś uciszyć publiczność, zapanować nad nią. Nad jego głową kinotrop zwalniał, klocki nieruchomiały kolejno, pozostawiając San Jacinto zmartwiałe na moment przed ostateczną wiktoria. Houston obrzucił Sybil wzrokiem wyrażającym surowość i rezygnację.

– O co chodzi, moja droga? Co cię dręczy? Powiedz.

Sybil chwyciła oparcie fotela przed sobą, mocno zamknęła oczy i wyśpiewała:

– Sir, mój brat siedzi w teksaskim więzieniu! Jesteśmy Brytyjczykami, ale Teksaszczyk go uwięzili! Zabrali mu farmę i bydło! Zagrabili nawet kolej żelazną, przy której pracował: brytyjską kolej budowaną dla Teksasu... – Mimo wysiłku głos jej się łamał. Mick nie będzie zadowolony, zgani ją za ten występ... Ta myśl ją pobudziła. Otworzyła oczy. – Ten reżim, panie generale, złodziejski teksaski reżim ukradł brytyjską kolej! Okradli robotników w Teksasie i akcjonariuszy w Brytanii i nie zapłacili nam ani pensa!

Kiedy brakło gry jasnych obrazów kinotropu, atmosfera teatru zmieniła się nagle. Wszystko wydawało się całkiem inne, dziwnie osobiste i niezwykle. Miała wrażenie, że ona i generał znaleźli się w jednym ujęciu: dwie figurki na srebrzystym dagerotypie. Młoda kobieta z Londynu, w kapeluszu i eleganckim szalu, wyciąga rękę, prosząc o pomoc starego, cudzoziemskiego bohatera; oboje grali swe role na oczach zaskoczonych publiczności.

– Ucierpiałś, dziecko, od junty? – spytał Houston.

– Tak! – krzyknęła Sybil. Wyćwiczone drżenie wkradło się do jej głosu. Nie przestrasz ich, mówił Mick, ale spraw, żeby się nad tobą litowali. – Tak, to junta! Zamknęli mego brata w ich ohydnych więzieniu. A przecież niczym nie zawinił, nie popełnił zbrodni innej niż ta, że popierał Houstona. Głosował na pana, kiedy został pan prezydentem Teksasu! I głosowałby na pana dzisiaj, chociaż bardzo się boję, że go tam zabiją!

– Jak się nazywał twój brat, moja panno? – zainteresował się Houston.

– Jones – odpowiedziała szybko. – Edwin Jones z Nacogdoches; pracował dla Kompanii Kolejowej Hedgecoxe’a.

– Wydaje mi się, że znałem młodego Edwarda – stwierdził Houston. W jego głosie wyraźnie zabrzmiało zdziwienie. Gniewnie ścisnął laskę i zmarszczył brwi.

– Słuchaj jej, Sam! – rozległ się czyjś niski głos. Sybil obejrzała się zaalarmowana. Ale był to mężczyzna z Argyll Rooms, gruby aktor z rudymi włosami i wytartą aksamitną kamizelką. – Ci dranie z junty przywłaszczyli sobie Koleję Hedgecoxe’a. Piękny gest ze strony rzekomych sojuszników Brytanii! To taką nam okazują wdzięczność za lata przewodnictwa i ochrony?

– Usiadł.

– To złodzieje i rozbójnicy! – zawołała Sybil. Szukała w pamięci dalszego tekstu. – Generale Houston! Jestem tylko bezbronną kobietą, ale pan jest człowiekiem przeznaczonym do wielkich rzeczy! Czy Teksas doczeka się sprawiedliwości? Czy ktoś naprawi krzywdy? Czy mój biedny brat musi tam umierać w nędzy, kiedy oszuści i tyrani kradną brytyjską własność?

Jednak przemysłna retoryka Micka poszła na marne. Na widowni zabrzmiały okrzyki, słychać było słowa zaskoczenia i aprobaty. Głośnie chłopięce krzyki rozlegały się na galerii.

Oto londyńskie rozrywki w całej krasie. Być może, myślała Sybil, niektórzy uwierzyli w jej opowieść i litowali się. Większość zwyczajnie wrzeszczała i żartowała sobie, zadowolona z nieoczekiwanego urozmaicenia.

– Sam Houston był zawsze szczerym przyjacielem Brytanii! – pisnęła Sybil, zwracając się do skierowanych ku sobie twarzy.

Prawie niesłyszalne słowa były bezużyteczne; uniosła dłoń do wilgotnego czoła. Skończyła tekst Micka; nogi ugięły się pod nią, opadła na fotel i przymknęła oczy.

– Powietrza dla panny Jones! – rozkazał głośno Houston. – Dama zemdlą!

Sybil obserwowała spod półprzymkniętych powiek, jak zbierają się wokół niewyraźne

postacie. Ciemne wieczorowe surduty, szelest krynolin, aromat gardenii i męski zapach tytoniu... Ktoś chwycił ją za przegub i ścisnął, szukając pulsu. Kobieta wachlowała jej twarz i cmokała cicho. Wielkie nieba, pomyślała Sybil załamana, to ta gruba mamuśka z drugiego rzędu, z nieźnośnie słodką miną przyzwoitej kobiety spełniającej moralny obowiązek. Przebiegł ją dreszcz wstydu i niesmaku. Przez chwilę naprawdę było jej słabo; gładko ześlizgiwała się w ciepło ich zatroskania: pół tuzina ludzi wokół niej, połączonych wspólnym pozorem kompetencji. Houston pochylał się ku nim, szorstki i wzburzony.

Pozwoliła postawić się na nogi. Widząc to, Houston zawahał się; zabrzmiały lekkie, pełne galanterii brawa dla niej. Czuła się blada i niegodna, uśmiechała się słabo i kręciła głową; żałowała, że nie jest niewidzialna. Oparła głowę o ramię mężczyzny, który badał jej puls.

– Może mnie pan wyprowadzić? – szepnęła. – Proszę...

Mężczyzna kiwnął głową – był niski, z bystrzymi niebieskimi oczami. Długie, siwujące włosy czesał z przedziałkiem pośrodku.

– Odprowadzę panią do domu – oznajmił pozostałym.

Narzucił płaszcz, wcisnął na głowę cylinder i podał jej ramię. Razem przeszli do wyjścia. Sybil wspierała się na nim i unikała spojrzeń widzów. Publiczność była poruszona. Po raz pierwszy chyba słuchali Houstona jak osoby, nie jak dziwaczne eksponatu z Ameryki.

Niski mężczyzna odsunął przed nią aksamitną kotarę i znaleźli się w zimnym foyer Garricka, zastawionym kupidynami z łuszczącą się pozłotą i poplamionymi wilgocią kolumnami.

– To bardzo uprzejme z pana strony, że zechciał mi pan pomóc – rzekła Sybil, zauważywszy, że jej towarzysz wygląda na człowieka z pieniędzmi. – Czy jest pan lekarzem?

– Kiedyś studiowałem... – Wzruszył ramionami. Policzki miał czerwone: bliźniacze plamy żaru.

– To daje pewną dystynkcję – stwierdziła, tylko po to, by wypełnić jakąś ciszę. – To znaczy: wykształcenie.

– Raczej nie, droga pani. Zmarnowałem czas na układaniu wierszy. Chyba czuje się pani lepiej. Przykro mi z powodu pani brata...

– Bardzo pan uprzejmy. – Zerknęła na niego z ukosa. – Zachowałam się nazbyt śmiało, ale poruszyła mnie elokwencja generała Houstona.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie, jak ktoś, kto podejrzewa, że chcą go oszukać.

– Wyznam szczerze – rzekł – że nie do końca dzielam pani entuzjazm. – Zakaszał głośnie w chusteczkę i otarł wargi. – To londyńskie powietrze kiedyś mnie zabije.

– Mimo wszystko bardzo jestem panu wdzięczna. Żałuję, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni...

– Keats – odparł. – Nazywam się Keats. – Z kieszonki kamizelki wyjął srebrny chronometr, wielotarczowy instrument wielkości niedużego ziemniaka. – Nie znam tej okolicy – rzucił. – Myślałem, że przywołam pani dorożkę, ale o tej porze...

– Nie, panie Keats. Bardzo dziękuję, ale pojadę metrem.

Szeroko otworzył oczy. Żadna szanująca się kobieta nie jeździła samotnie metrem.

– Nie mówił pan, czym się pan zajmuje, panie Keats – wtrąciła szybko, by odwrócić jego uwagę.

– Kinotropią. Metody dzisiaj zastosowane były niezwykle interesujące. Rozdzielczość ekranu jest dość skromna i tempo odświeżania zdecydowanie niskie, a jednak osiągnięto zadziwiające rezultaty. Przypuszczam, że dzięki zastosowaniu algorytmów kompresji... ale to chyba nazbyt techniczne szczegóły. – Schował chronometr. – Jest pani pewna, że nie muszę wzywać dorożki? Czy dobrze zna pani Londyn, panno Jones? Mogę panią odprowadzić na najbliższy przystanek omnibusu... to pojazd bezszynowy i...

– Nie, dziękuję. Był pan bardzo uczynny...

– To drobnostka – zapewnił z wyraźną ulgą.

Otworzył przed nią oszklone drzwi z foyer na ulicę. Jakiś chudy chłopak zbliżył się z tyłu, wyminął ich i bez słowa wybiegł z teatru. Miał na sobie długi, brezentowy płaszcz, jaki mogliby nosić rybacy. Niezwykły ubiór na wykładzie, uznała Sybil, choć widywało się jeszcze dziwniej odzianych biedaków. Rękawy powiewały puste, jakby chłopiec trzymał dłonie pod pachami, być może z powodu zimna. I szedł nienaturalnie, z wygiętym grzbietem, niczym chory albo pijany.

– Chwileczkę! Młody człowieku! – Keats wyjął z kieszeni monetę.

Sybil zrozumiała, że chce, by chłopak przywołał dla niej dorożkę. Jednak wezwany obejrzał się z lękiem, ukazując w gazowym świetle bladą twarz. Odskoczył i nagle jakiś przedmiot wypadł mu spod płaszcza i potoczył się do rynsztoka. Chłopiec znieruchomiał i spojrzał na nich czujnie.

Upuścił kapelusz. Cylinder.

Wrócił po niego, nie spuszczać z nich wzroku, podniósł, wcisnął pod płaszcz i oddalił się znowu, choć już z mniejszym pośpiechem.

– A niech mnie licho... – mruknął z niesmakiem Keats. – Ten mały jest złodziejem! Płaszcz ma wypchany kapeluszami widzów!

Sybil nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ten łobuz niecznie wykorzystał zamieszanie, jakie pani spowodowała – zauważył Keats odrobinę podejrzliwym tonem. – To smutne. Nikomu nie można zaufać.

– Zdaje się, drogi panie, że słyszę ruszającą Maszynę kinotropu...

To wystarczyło, by zniknął.

* * *

Instalacja wentylatorów, jak twierdził *Daily Telegraph*, znacznie poprawiła atmosferę na linii Metropolitalnej. Za to lord Babbage utrzymywał, że prawdziwie nowoczesna kolej

podziemna powinna funkcjonować za zasadzie pneumatycznej, nie wymagającej spalania – tak jak w Paryżu przesyła się pocztę.

Siedząca w wagonie drugiej klasy i oddychająca możliwie płytko Sybil wiedziała, że to wszystko jedno wielkie oszustwo – a przynajmniej ta część o lepszym powietrzu. Co do reszty – ktoś wie, jakie cuda mogą zrealizować radykałowie. Co prawda, ich gazety wydrukowały także oświadczenia opłacanych przez kolej medyków, twierdzących, że opary siarki mają terapeutyczne działanie na astmę. A nie chodziło tylko o siarkę, ale o obrzydliwe przecieki z kanałów i gaz wypływający z kauczukowych worków, zasilających osłonięte zbrojonym szkłem latarnie wagonów.

Zresztą, jeśli się nad tym zastanowić, metro w ogóle jest dziwnym wynalazkiem: jak może pędzić z taką szybkością przez ciemność pod Londynem? Robotnicy znajdowali w wykopach ołowiane rury rzymskich wodociągów, monety, mozaiki, łukowe sklepienia, kły słoniowe sprzed tysięcy lat...

A prace trwały bez przerwy, także nocą. Stojąc z Mickiem na chodniku w Whitechapel, słyszała głucho sapanie maszyn. Koparki nie odpoczywały ani chwili, wierciły nowe, głębsze tunele poniżej płataniny ścieków, przewodów gazowych i obmurowanych koryt rzek. Nowe korytarze obudowano stalą i wkrótce bezdymne pociągi lorda Babbage’a pomkną nimi bezgłośnie jak węgorze... Chociaż, nie wiedzieć czemu, myśl o tym wydała się jej nieczysta.

Lampy rozbłysły równocześnie, gdy wyjątkowo mocne szarpnięcie zakłóciło równy dopływ gazu. Miała wrażenie, że twarze pasażerów skoczyły ku niej: dżentelmen o ziemistej cerze, przypominający właściciela tawerny, pyzaty kwakerski kleryk, podpity elegant w rozpiętym płaszczu i poplamionej winem kanarkowej kamizelce...

Poza nią w wagonie nie było kobiet.

Żegnam was, panowie, zawołała do nich w wyobraźni. *I żegnam wasz Londyn.*

Przecież była teraz terminującą awanturnicą, zaprzysiężoną i doświadczoną, jadącą do Paryża... Choć pierwszy etap tej podróży wymagał jeszcze dwupensowego kursu do Whitechapel...

Kleryk zauważył ją i obejrzał z wyraźną pogardą.

* * *

Było straszliwie zimno, kiedy szła ze stacji do swego pokoju przy Flower-and-Dean Street. Żałowała teraz, że powodowana próżnością wzięła piękny nowy szal zamiast starego płaszcza. Szczekała zębami. Szron błyszczał w kałużach gazowego światła na nowej nawierzchni ulicy.

Londyńskie kocie łby znikwały kolejno, zalewane cuchnącą i gorącą czarną mazią z ciężkich pojazdów. Potem robotnicy rozrzucali ją i wyrównywali grabiami, zanim nadjechał parowy walec.

Jakiś śmiały młodzian przemknął obok niej, wykorzystując gładkość nowej nawierzchni. Niemal leżał w skrzypiącej ramie czterokołowego welocypedu. Buty miał przypięte do pedałów, a z ust buchała mu para. Jechał z gołą głową, włożył gogle i gruby płaszcz, a za nim powiewał długi wełniany szal. Sybil uznała, że jest pewnie wynalazcą.

Londyn pełen był wynalazców. Biedniejsi i bardziej szaleni stawali na placach i demonstrowali przechodniom swoje wykresy i modele. W ostatnim tygodniu widziała groźne z wyglądu urządzenie do kręcenia włosów elektrycznością, dziecięcego bąka, który, wirując, grał Beethovena, a także schemat urządzenia do galwanizacji zmarłych.

Skrecając z głównej ulicy na stary bruk Renton Passage, dostrzegła szyld Harta i usłyszała dźwięki pianoli. Pani Winterhalter znalazła jej mieszkanie nad pubem. Lokal był dość spokojny; nie wpuszczano kobiet, a bywali tam niżsi urzędnicy i sklepikarze. Najbardziej wyrafinowaną rozrywkę stanowiła maszyna hazardowa z dźwignią u boku.

Do pokoiw na piętrze szło się po stromych ciemnych schodach, prowadzących na podest pod czarnym od sadzy świetlikiem, na który wychodziło dwoje identycznych drzwi. Pan Cairns, dozorca, mieszkał za tymi po lewej.

Sybil wspięła się na górę, odszukała we wnętrzu mufki pudełko lucyferów i zapaliła jeden. Cairns łańcuchem przypiął swój bocykl do żelaznej poręczy otaczającej klatkę schodową; nowa mosiężna kłódka błysnęła w świetle zapalki. Sybil zdmuchnęła płomyk w nadziei, że Hetty nie zaryglowała drzwi. Nie zaryglowała i klucz gładko przekręcił się w zamku.

Powitał ją Toby; przebiegł bezgłośnie po nagich deskach, łasił się do nóg i mruczał jak zwariowany.

Hetty zostawiła na stoliku w korytarzu podkreconą lampę naftową; dymiła mocno. Trzeba będzie przyciąć knot. To ryzykowne, ta zapalona lampa – przecież Toby mógłby ją zrzucić. Mimo to Sybil była wdzięczna, że nie powitała jej ciemność. Wzięła Toby'ego na ręce; pachniał śledziami.

– Hetty cię nakarmiła, co?

Zamiauczał cicho i pacnął łapą we wstążki jej kapelusza.

Uniosła lampę; wzór na tapetach zafalował. Od dnia wybudowania domu korytarz nie widział słonecznego światła, a jednak drukowane kwiaty wyblakły i były szare jak kurz.

Pokój Sybil miał dwa okna; wychodziły na ślepa ścianę z brudnej żółtej cegły, tak bliska, że mogłaby jej dotknąć, gdyby ktoś nie przybił ram do futryny. Mimo to w pogodny dzień, gdy słońce stało wprost nad uliczką, do wnętrza przesączała się odrobina światła. Jeśli Hetty nie wyszła z domu, to z pewnością była sama i spała, ponieważ nie świeciło się w szczelinie pod jej drzwiami.

Przyjemnie było mieć własny pokój, gwarancję odrobiny intymności. Nie zważając na kocie protesty, Sybil postawiła Toby'ego na podłodze i z lampą w ręku ruszyła ku swoim lekko uchylonym drzwiom. Wewnątrz wszystko wyglądało tak samo, jak gdy stąd

wychodziła, tylko Hetty podrzuciła jej na poduszkę najnowszy numer *Ilustrowanych Wiadomości Londyńskich*. Na pierwszej stronie wydrukowali rycinę z wojny krymskiej: panoramę miasta w płomieniach. Sybil postawiła lampę na pękniętym marmurowym blacie komody. Toby kręcił się jej pod nogami, jakby oczekiwał następnej porcji śledzi.

Zastanowiła się, co powinna teraz zrobić.

Tykanie wielkiego blaszanego budzika, często nieznośne, teraz dodawało otuchy: przynajmniej chodził i zapewne pokazywał właściwą godzinę, kwadrans po jedenastej. Kilka razy przekręciła kluczyk – na szczęście. Mick przyjdzie po nią o północy; do tej pory musiała podjąć szereg decyzji, jako że sugerował wyjazd z jak najmniejszym bagażem.

Z szuflady komody wyjęła szczypce, uniosła klosz lampy i przycięła poczerniały knot. Płomyk zaświecił jaśniej. Narzuciła płaszcz dla ochrony przed chłodem, otworzyła wieko ozdobnego kufra i zaczęła przeglądać swoje co cenniejsze rzeczy. Kiedy jednak odłożyła na bok dwie zmiany bielizny, przyszło jej do głowy, że im mniej ze sobą weźmie, tym więcej Mick będzie musiał jej kupić w Paryżu. A jeśli nie było to rozumowanie godne terminującej awanturnicy, to już nie wiedziała, co nim jest.

Mimo to spakowała kilka drobiazgów, które szczególnie lubiła. Razem z bielizną trafiły do brokatowego sakwojażu z rozprutym szwem, który wciąż zapominała naprawić. Znalazła się tam prześliczna, w połowie pełna buteleczka różanej wody portlandzkiej, zielona ceramiczna broszka od Kingsleya, komplet szczotek do włosów oprawnych w imitację hebanu, miniaturowa z obrazkiem Pałacu Kensington i patentowe niemieckie żelazka do włosów, które ukradła od fryzjera. Dodała jeszcze szczoteczkę do zębów z kościaną rączką i puszkę kamforowanego proszku.

Potem wzięła maleńki, srebrny wieczny ołówek, przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła pisać list do Hetty. Ołówek był prezentem od Chadwicka; z boku wygrawerowano SPÓŁKA KOLEI METROPOLITALNEJ; srebro ścierało się już z mosiężnej powierzchni. Jako papier posłużyła jej odwrotna strona ulotki reklamującej rozpuszczalną czekoladę.

Moja droga Harriet, zaczęła. Wyjeżdżam do Paryża. Tu przerwała, zdjęła skuwkę i gumką wytarła ostatnie dwa słowa, wpisując na ich miejsce: *z pewnym Dżentelmenem. Nie martw się o mnie. Wszystko jest Jak Najlepiej. Możesz wziąć sobie Suknie, jakie zostawiam. Proszę, opiekuj się Tobym i dawaj mu Śledzie. Szczerze oddana, Sybil.*

Dziwnie się czuła, pisząc coś takiego... A kiedy zerknęła na kota, posmutniała i zawstydzila się, że go porzuca.

Wtedy właśnie przypomniała sobie o Radleyu. Nagle ogarnęło ją przekonanie, że dała się oszukać.

– Na pewno przyjdzie – szepnęła gorąco.

Odstawiła na kominek lampę i złożony liścik.

Leżała tam płaska puszka z jaskrawą litografią i nazwą sklepu tytoniowego ze Strandu. Wiedziała, że wewnątrz są tureckie papierosy. Jeden z młodszych dżentelmenów Hetty,

student medycyny, namawiał ją kiedyś, by przyzwyczaiła się do tego nałogu. Sybil w zasadzie unikała studentów medycyny. Byli dumni ze swego wystudiowanego zezwierżenia. Teraz jednak, pod wpływem nagłego impulsu, otworzyła puszkę, wyjęła cienką papierową rurkę i wciągnęła w nozdrza ostry zapach.

Pan Stanley, prawnik dobrze znany w modnym towarzystwie, bez przerwy palił papierosy. W okresie znajomości z Sybil często twierdził, że nie ma nic lepszego na uspokojenie nerwów hazardzisty.

Sybil sięgnęła po lucyfery i wsunęła papierosa do ust, jak to robił Stanley. Potarła licyfera, pamiętając, by poczekać, aż wypali się siarka, i dopiero wtedy przysunąć płomyk do tytoniu. Natychmiast zaciągnęła się ostrym, gryzącym dymem i zaczęła kaszleć jak gruźliczka. Oczy jej łzawiły. Miała ochotę od razu wyrzucić to paskudztwo.

Stojąc przed kominkiem, zmusiła się jednak, by kontynuować. Zaciągała się co chwilę i gestem, jaki podpatrzyła u Stanleya, strzepywała do paleniska delikatny popiół. Trudno to znieść, uznała. I gdzie jest oczekiwany efekt? Zrobiło jej się niedobrze, mdłości objęły żołądek, dłonie miała zimne jak lód. Kaszląc gwałtownie, rzuciła papierosa na gorące węgle. Szybko ogarnął go płomień.

Nagle dotarło do niej tykanie budzika.

Big Ben zaczął wybijać północ.

Gdzie jest Mick?

* * *

Przebudziła się w ciemności, zdjeta nieokreśloną trwogą. I wtedy przypomniała sobie o Micku. Lampa zgasła. Kominek wystygł zupełnie. Wstała niepewnie, sięgnęła po lucyfery, po omacku trafiła do drzwi, a dalej ciche tykanie zegara doprowadziło ją do komody.

Zapaliła zapalną. Tarcza budzika zdawała się falować w siarkowym blasku.

Było wpół do drugiej.

Może przyszedł, kiedy spała, zapukał, nikt nie odpowiadał, więc odjechał bez niej? Nie, to nie Mick. Gdyby chciał, potrafiłby się tu dostać. Więc może ją oszukał, niby ostatnią naiwną, którą pewnie była, skoro uwierzyła jego obietnicom.

Ogarnął ją niezwykle spokojny, okrutny chłód. Przypomniała sobie datę wyjazdu z biletu na parowiec. Odpłynie z Dover dopiero jutro po południu, a trudno przypuścić, by po ważnym wystąpieniu generał Houston odjechał z Londynu w środku nocy. W takim razie pojedzie do Grandu, znajdzie Micka, stanie przed nim i będzie błagać, grozić szantażem, zdradą, wszystkim, co okaże się konieczne.

Wszystkie pieniądze miała w swojej mufce. Na Minories, przy Goodman's Yard, był postój dorożek. Pójdzie tam zaraz, obudzi woźnicę i każe się zawieźć na Picadilly.

Toby zamiauczał żałośnie, kiedy zamykała za sobą drzwi. W ciemności otarła sobie łydękę

o przywiązany łańcuchem bocykl Cairnsa.

Była już na Minories, w połowie drogi do postoj, kiedy przypomniała sobie o sakwojażu. Ale teraz nie miała już odwrotu.

* * *

Nocny portier w Grandzie miał potężną sylwetkę, zimne oczy, obfite bokobrody, kulał na jedną nogę i z całą pewnością nie wpuściłby Sybil do hotelu. Wypatrzyła go, wysiadając z dorożki przecnicę dalej – wielki potwór w złożonej liberii, przyczajony na marmurowych schodach pod lampami z rzezbami delfinów. Dobrze znała portierów – odgrywali wielką rolę w jej życiu.

Co innego wkroczyć do Grandu w biały dzień, z Mickiem pod rękę. Ale wejść tam zuchwale z ciemnej ulicy, jako kobieta bez eskorty, to całkiem inna sprawa. Tylko prostytutki tak się zachowywały, a portier z pewnością nie wpuści prostytutki. Ale może przecież wymyślić jakąś historię, w którą uwierzy... To możliwe, jeśli znajdzie naprawdę dobre kłamstwo albo jeśli portier jest głupi, niedbały lub zmęczony. Może też próbować go przekupić, choć po kursie dorożką niewiele jej już zostało. Nawet ubrana była odpowiednio, nie w krzykliwą suknię ulicznicy. Mogłaby też jakoś go odciągnąć. Wybić kamieniem szybę, a potem wbiec szybko, kiedy on wyjdzie sprawdzić. Trudno się biega w krynolinie, ale portier jest kulawy i powolny. Albo znaleźć jakiegoś urwisa, który rzuciłby kamieniem zamiast niej...

Sybil stała w ciemności przy drewnianym parkanie otaczającym plac budowy. W górze jaśniały większe od prześcieradeł plakaty z krzyczącymi napisami: *DAILY NEWS wieści z całego świata*, *LLOYD'S NEWS tylko za pensa*, *KOMPANIA POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ SIECI KOLEI ŻELAZNEJ Ramsgate & Margate 7/6*. Sybil wysunęła dłoń z mufki i nerwowo przygryzła paznokieć, pachnący tureckim tytoniem. Dziwnie ją zaskoczyło, że palce są sine z zimna i drżą mocno.

Uratował ją szczęśliwy przypadek, a może to anioł smutku się nad nią ulitował. Przed Grandem zatrzymała się sapiąca parowa kareta, a palacz w niebieskiej liberii zeskoczył i rozłożył schodki. Na ulicę wytoczyli się rozbawieni, pijani Francuzi w pelerynach podszytych szkarłatem, w brokatowych kamizelkach, z ozdobnymi laskami. Dwóch z nich było z kobietami.

Sybil natychmiast uniosła spódnicę i ze spuszczoną głową ruszyła w ich stronę. Przechodząc przez ulicę, ukryła się przed wzrokiem portiera za błyszczącym powozem. Potem zwyczajnie wyminęła wielkie koła na gumowych oponach, z drewnianymi szczeblami, i zuchwale przyłączyła się do grupy. Francuzi parlowali ze sobą, podkręcali wąsy i śmiali się głośno. Nie zauważyli jej chyba albo nic ich nie obeszła. Uśmiechnęła się skromnie do nikogo konkretnego i stanęła bardzo blisko wysokiego mężczyzny, który wydawał się najbardziej pijany. Chwiejnie weszli na schody, a wysoki Francuz, z niedbałością człowieka, który nie

zna prawdziwej wartości pieniędzy, wcisnął portierowi do ręki funtowy banknot. Portier zamrugał tylko i dotknął kapelusza ze złotym sznurem.

Sybil znalazła się wewnątrz. Przez marmurową pustynię podłogi przeszła z rozgadanyimi Francuzami aż do recepcji, gdzie odebrali klucze i, zataczając się, ruszyli na schody. Ziewali i śmiali się ciągle. Sybil została przy ladzie.

Recepcjonista, który znał francuski, chichotał z czegoś, co usłyszał. Przeszedł wzdłuż mahoniowego kontuaru i uśmiechnął się do Sybil.

– Czym mogę pani służyć, madame?

Słowa przychodziły jej z trudem. Z początku niemal się jąkała.

– Mógłby mi pan powiedzieć, czy pan Michael... a raczej... czy generał Sam Houston nadal jest tu zameldowany?

– Tak, madame. Niedawno go widziałem. Jednakże w tej chwili generał przebywa w naszej palarni... Może zostawi pani wiadomość?

– W palarni?

– Tak... Tam, za akantem... – Recepcjonista skinął głową w kierunku masywnych drzwi w kącie holu. – Damom do palarni nie wolno wchodzić, naturalnie... Proszę wybaczyć, madame, ale wydaje się pani nieco wzburzona. Jeśli sprawa jest ważna, mógłbym posłać boya...

– Tak – odparła Sybil. – To by było cudownie...

Recepcjonista posłusznie podał jej arkusz kremowego hotelowego papieru i wręczył własne wieczne pióro ze złotą stalówką.

Pospiesznie nakreśliła wiadomość, potem złożyła kartkę i na odwrocie dopisała PAN MICHAEL RADLEY. Recepcjonista zadzwonił w gong, skłonił się w odpowiedzi na jej podziękowania i wrócił do swoich spraw.

Po chwili, rozziwany i skwaszony, zjawił się mały boy. Umieścił jej liścik na tacy wyłożonej korkiem.

Niespokojna, Sybil ruszyła za nim w stronę palarni.

– To dla sekretarza generała Houstona – poinformowała.

– Nie ma sprawy, panienko. Znam go.

Jedną ręką pchnął drzwi palarni. Zajrzała do środka. Zamknęły się wolno, ale zdążyła jeszcze przyjrzeć się Houstonowi – pijanemu, z gołą głową i błyszczącą od potu twarzą. Jedną nogę oparł o stół tuż przy karafce z rżniętego szkła. W rękę trzymał groźnie wyglądający składany nóż i ciął coś... nie, strugał... Strugał, bo podłoga wokół jego skórzanego fotela zasypana była wiórkami drewna.

Wysoki brodaty Anglik mówił coś cicho do generała. Rękę trzymał na białym jedwabnym temblaku; miał smutne oczy, a twarz pełną godności i powagi. Mick stał obok i pochylał się, podając obcemu ogień. Sybil zobaczyła, jak uderza w stalowy iskrownik na końcu gumowej rury gazowej, a potem drzwi się zatrzasnęły.

Usiadła na szeszlengu w rozległym marmurowym holu; ciepło powoli przenikało przez brudne, zabłocone buty. Zaczynały ją boleć czubki palców. Z palarni wyszedł boy, a tuż za nim Mick. Uśmiechnął się jeszcze do kogoś wewnątrz i uniósł rękę w przyjaznym pozdrowieniu. Sybil wstała. Zobaczył ją i pobałdł.

Podszedł spiesźnie i chwycił ją za łokieć.

– Jezu Chryste – wymruczał. – Co to za głupi liścik? Nie umiesz pisać z sensem?

– Co się stało? – spytała błagalnym tonem. – Dlaczego po mnie nie przyszedłeś?

– Nieszczęśliwy przypadek. Sytuacja lisa, który gryzie się we własny zadek. Byłaby nawet zabawna, gdyby nie powodowała takich kłopotów. Ale to, że przyszedł, może zmienić układ sił...

– Czy coś się nie udało? Kto to jest ten elegancki gość ze złamaną ręką?

– Jakiś przeklęty brytyjski dyplomata, któremu nie podoba się plan generała, żeby zebrać armię w Meksyku. Nie przejmuj się nim. Jutro będziemy we Francji, a on w Londynie, denerwując kogo innego. Przynajmniej taką mam nadzieję... Generał skomplikował nasze sprawy. Jest pijany jak lord i wyciął jedną z tych swoich sztuczek. Szczerze mówiąc, kiedy wypije, robi się z niego wredny drań. Zaczyna zapominać o przyjaciółach.

– Oszukał cię? – zrozumiała nagle Sybil. – Chce się ciebie pozbyć, tak?

– Zabrał moje kinowe karty – wyjaśnił Mick.

– Przecież wysłałam je do Paryża, na *poste restante* – przypomniała mu. – Tak jak mi kazałeś.

– Nie te, gąsko... Kinowe karty, te od przemówienia!

– Karty z teatru? Ukradł je?

– Wiedział, że muszę je zapakować i zabrać ze sobą. Rozumiesz? Dlatego mnie śledził, a teraz zabrał je z mojego bagażu. Twierdzi, że skoro przejął moje informacje, to już nie będę mu we Francji potrzebny. Wynajmie tanio jakiegoś cebulojada, a ten uruchomi mu kinotrop. Przynajmniej tak mówi.

– Przecież to kradzież!

– Według niego pożyczka. Obiecał, że odda mi te karty, jak tylko je skopiuje. W ten sposób niczego nie stracę.

Sybil nie pojmowała. Była oszołomiona. Czyżby z niej żartował?

– Ale czy to nie jest kradzież? Swego rodzaju?

– Spróbuj przekonać o tym tego przeklętego Samuela Houstona! Kiedyś ukradł cały piekielny kraj i obrał go aż do kości!

– Pracujesz dla niego... Nie może cię okradać.

– Jeśli już o tym mowa – przerwał jej Mick – równie dobrze mogłabyś zapytać, skąd wzięłam ten francuski program. Odpowiedziałbym, że pożyczyłam na niego pieniądze generała... tak to można nazwać. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Nie pierwszy raz robimy sobie takie numery. To coś w rodzaju sprawdzianu. Człowiek musi być naprawdę sprytny,

żeby podróżować z generałem Houstonem...

– O Boże... – jęknęła Sybil i w krynolinie opadła na szezlong. – Mick, gdybyś wiedział, co sobie myślałam...

– Odwagi! – Postawił ją na nogi. – Potrzebuję tych kart, a one są w jego pokoju. Poszukasz ich dla mnie i odbierzesz mu. A ja wrócę tam i napomknę o tym, zimny jak lód. – Zaśmiał się. – Ten stary hultaj pewnie by tego nie zrobił, gdyby nie moje sztuczki na jego wykładzie. Ty i Corny Simms przekonałście go, że panuje nad wszystkim i że to on pociąga za sznurki. Ale jeszcze mu damy nauczkę...

– Boję się, Mick – szepnęła. – Nie umiem kraść.

– Oczywiście, że umiesz, ty gąsko.

– To może pójdziesz ze mną i pomożesz?

– Niemożliwe! Od razu by się zorientował. Powiedziałem mu, że jesteś moją znajomą z prasy. Jeśli za długo tu z tobą zostanę, na pewno coś wyniucha.

– No dobrze – ustąpiła Sybil. – Daj mi klucz do jego pokoju.

– Klucz? – burknął Mick. – Nie mam tego przeklętego klucza. Ogarnęła ją fala ulgi.

– No to trudno. Przecież nie jestem włamywaczem.

– Mów ciszej, bo cały hotel usłyszy... – Oczy błysnęły mu wściekle. Sybil pojęła nagle, że jest pijany. Nigdy nie widziała go nawet podchmielonego, a teraz upił się w sztok. Trudno by to poznać po głosie czy ruchach, ale zachowywał się jak szaleniec. Zuchwale. – Zdobędę ci klucz. Idź do recepcji i zagadaj tego gościa. Zajmij go czymś. I nie patrz na mnie. – Pchnął ją lekko. – No idź!

Przerażona stanęła przed kontuarem. W rogu stał hotelowy telegraf: tykające cicho mosiężne urządzenie na niskim marmurowym podeście udekorowanym złożonymi liśćmi. Pod szklanym kloszem przesuwiała się tam i z powrotem błyszcząca igła, wskazując litery alfabetu na tarczy. Za każdym jej ruchem coś w marmurowej podstawie cykało miarowo i u podstawy wysuwało się kolejne ćwierć cala żółtej, dziurkowanej taśmy. Recepcjonista, który wkładał do segregatora plik złożonych kartek, odłożył je, umocował na nosie *pince-nez* i podszedł.

– Tak, madame?

– Chciałabym wysłać telegram. To pilna sprawa.

Recepcjonista sprawnie ustawił przed sobą pudełko kart, mosiężny perforator i równo poliniowany formularz. Potem wyjął wieczne pióro, którym niedawno pisała Sybil.

– Gotowe, madame. Numer obywatelski?

– Hm... Chodzi o mój numer, czy o jego?

– To zależy, madame. Czy chce pani płacić kredytem państwowym?

– A mógłby pan dopisać koszt do rachunku? – spytała.

– Naturalnie, madame. Numer pokoju?

Zawahała się przez krótką chwilę. Dłużej się nie ośmieliła.

- Nie, chyba jednak zapłacę gotówką.
- Doskonale. Jaki jest numer obywatelski adresata?
- Obawiam się, że go nie znam. – Uniosła dłoń do ust. Recepcjonista był cierpliwy.
- Ale przecież zna pani nazwisko i adres, prawda?
- Oczywiście – potwierdziła pospiesznie. – Pan Charles Egremont, poseł. „Pod bukami”, Belgravia, Londyn.

Recepcjonista zapisał wszystko.

– Telegram wysłany jedynie z adresem jest nieco droższy, madame. Wygodniej kierować go bezpośrednio przez Centralne Biuro Statystyczne.

Sybil nie oglądała się na Micka. Bała się choćby zerknąć w tamtą stronę. Teraz jednak dostrzegła kątem oka, jak przez hol przebiega ciemna sylwetka: Mick zgięty niemal wpół, boso, z butami na szyi. Znalazł się przy wysokiej mahoniowej ladzie, oparł się o nią oburącz, przeskoczył i w ułamku sekundy zniknął.

Wszystko to w absolutnej ciszy.

– Ma to jakiś związek z przesyłaniem wiadomości przez Maszynę – tłumaczył recepcjonista.

– Rozumiem. Ale nie znam jego numeru. W takim razie muszę zapłacić więcej, prawda? To bardzo ważne.

- Tak, madame. Jestem tego pewien. Proszę mówić, a ja będę notował.
- Chyba nie muszę zaczynać od swojego adresu i daty? Wie pan, to przecież nie list.
- Nie, madame.
- Ani jego adresu?
- Zwięzłość jest kluczem telegrafii, madame.

Mick skrada się pewnie do hotelowej tablicy, gdzie na mahoniowych kołkach wiszą klucze. Nie widziała go, ale wyobrażała sobie, że słyszy jego kroki, czuje zapach. Recepcjoniście wystarczy zerknąć w prawo, a odkryje złodzieja, skulonego jak małpa, z obłędem w oczach.

– Niech pan pisze – wykrztusiła. – Drogi Charlesie.

Recepcjonista notował skrupulatnie.

– Dziewięć lat temu sprowadziłeś na mnie największą hańbę, jaka może spotkać kobietę.

Recepcjonista ze zgrozą wpatrywał się w skuwkę pióra. Gorący rumieniec oblał mu szyję nad kołnierzykiem.

– Obiecałeś mi, Charles, że ocalisz mojego drogiego ojca. Tymczasem wykorzystałeś moje ciało i duszę. Dzisiaj opuszczam Londyn w towarzystwie potężnych przyjaciół. Dobrze wiedzą, jakim zdrajcą się okazałeś wobec Waltera Gerarda i mnie. Nie próbuj mnie szukać, Charles, bo ci się to nie uda. Mam nadzieję, że ty i pani Egremont będziecie dzisiaj spać mocno. – Zadrżała. – Proszę podpisać: „Sybil Gerard”.

– Oczywiście, madame – wymamrotał recepcjonista.

Mick bezgłośnie przesadził ladę. Pochylił się, odszedł na ugiętych nogach; kołysał się na marmurowej posadzce niczym monstrualna kaczka. W chwilę później zniknął za parą wielkich foteli.

– Ile jestem winna? – spytała uprzejmie Sybil.

– Dwa szylingi sześć pensów – wykrztusił recepcjonista, nie patrząc jej w oczy.

Odliczyła pieniądze z małej portmonetki wyjętej z mufki. Wróciła na szeslong. Zacerwieniony mężczyzna zaczął dziurkować karty z pudełka.

Mick wrócił do holu swobodnym krokiem, niczym dżentelmen. Przystanął przy stojaku z gazetami, gdzie równym rzędem wisiały najnowsze dzienniki. Pochylił się, spokojnie związał buty, wyprostował... Spostrzegła błysk metalu w jego dłoni. Nie spojrzawszy nawet na nią, wcisnął klucz za aksamitną poduszkę na szeslongu. Potem poprawił krawat, strzepnął rękawy i pomaszerował prosto do palarni.

Sybil siedziała chwilę nieruchomo, udając, że czyta pięknie oprawny miesięcznik *Protokoły Królewskiego Towarzystwa*. Ostrożnie, czubkami palców wyłowiła klucz. Na owalnej mosiężnej płytce wygrawerowano numer „24”. Ziewnęła – miała nadzieję, że elegancko – wstała i ruszyła na górę, całkiem jakby wynajmowała tu pokój.

Stopy ją bolały.

Kiedy szła wzdłuż oświetlonego gazowymi lampami korytarza w kierunku apartamentu Houstona, dziwiła się samej sobie, że zaatakowała Charlesa Egremonta. Szukając jakiejś dramatycznej wiadomości, która odwróciłaby uwagę recepcjonisty, wyrzuciła z siebie groźby i zarzuty. Wyrwały się jej z ust niemal wbrew woli. To ją zaskoczyło, a nawet przeraziło... Wierzyła już, że prawie zapomniała o tym człowieku.

Wyobrażała sobie strach na twarzy Egremonta, czytającego jej telegram. Tę twarz pamiętała dobrze: pocziwą i uprzejmą. Zawsze wyglądał, jakby chciał dobrze, zawsze przepraszał, zawsze prawil kazania, jęczał, żebrał, szlochał i grzeszył. Był durniem.

Ale ona sama pozwoliła, by Mick Radley nakłonił ją do kradzieży. Gdyby była mądrzejsza, wyszłaby teraz z Grand Hotelu, zniknęła w mrokach Londynu i nigdy go więcej nie oglądała. Przecież ta przysięga terminatorska nie może jej powstrzymać. Złamanie przysięgi to rzecz straszna, jednak nie bardziej niż inne jej występki. A jednak jakoś się tu znalazła; Mick robił z nią, co chciał.

Stała przed drzwiami i rozejrzała się po korytarzu. Obracała w palcach skradziony klucz. Dlaczego to robi? Bo Mick jest silny, a ona słaba? Bo zna tajemnice przed nią ukryte? Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że mogła się w nim zakochać. Może naprawdę łączyła ją z nim jakaś dziwna miłość... To by wyjaśniło wiele spraw. I dodało odwagi. Jeśli kochała, miała prawo palić za sobą mosty, chodzić z głową w chmurach, działać pod wpływem impulsu. A jeśli kochała Radleya, to znalazła w końcu coś, o czym wiedziała tylko ona, nie on. To była tylko jej tajemnica.

Nerwowo otworzyła drzwi. Wśliznęła się do środka, zamknęła, oparła się o nie plecami.

Stanęła nieruchomo w ciemności.

Gdzieś w pokoju na pewno jest lampa. Czula zapach spalonego knota. Naprzeciw dostrzegła jaśniejszy prostokąt zasłoniętego okna, wąską klingę światła ulicznej latarni między kotarami. Po omacku ruszyła przez pokój, wyciągając ręce przed siebie, aż dotknęły twardej, gładkiej powierzchni biurka. Zauważyła lśniącego klosz lampy, podniosła ją i potrząsnęła. Nafty nie brakowało. Teraz potrzebny jest lucyfer.

Sięgnęła do szuflad. Z jakiegoś powodu były już otwarte. Przeszukała je. Papiery... Bezużyteczne, w dodatku ktoś rozlał na nie atrament. Czula jego zapach.

Palce trafiły w końcu na pudełko lucyferów, które rozpoznała nie po dotyku, a raczej po znajomym suchym grzechocie. Palce w ogóle nie zachowywały się jak należy. Pierwsza zapalka zasyczała i zgasła, napełniając pokój odorem siarki. Druga ukazała lampę. Dłonie jej drżały, gdy unosiła klosz i przysuwała płomyk do knota.

Zobaczyła własne odbicie, patrzące lękliwie z wąskiego, wysokiego zwierciadła i powtórzone w dwóch lustrach wstawionych w drzwi szafy. Zauważyła ubrania rozrzucone na łóżku, na podłodze...

Jakiś mężczyzna siedział na poręczy fotela, przygarbiony jak ogromny czarny gawron, z olbrzymim nożem w ręku.

Podniósł się wolno, z cichym trzeszczeniem skóry, niby wielka drewniana marionetka, od lat leżąca w kurzu. Okrywał go długi, bezkształtny szary płaszcz. Ciemna chusta przesłaniała nos i dół twarzy.

– Lepiej nie krzycz, panienko – mruknął, unosząc masywne ostrze, szerokie jak tasak i ciemne. – Sam idzie?

Sybil odzyskała głos.

– Proszę mnie nie zabijać!

– Stary cap dalej chodzi na dziwki, co? – Głos z teksaskim akcentem sączył się niby syrop. Sybil z trudem rozróżniała słowa. – Płaci ci?

– Nie... Nie, przysięgam... Przysłałam coś mu ukraść. To prawda! Zapadła przerażająca cisza.

– Rozejrzyj się.

Sybil posłuchała, drżąc. Pokój został przeszukany.

– Nie ma tu czego kraść – stwierdził mężczyzna. – Gdzie on jest, dziewczyno?

– Na dole – odparła szybko. – Jest pijany. Ale ja go nie znam, przysięgam! Mój narzeczony mnie tu przysłał. Nie chciałam! Zmusił mnie!

– Uspokój się – przerwał. – Nie skrzywdzę białej kobiety, chyba żebyś musiał. Zgaś tę lampę.

– Proszę mnie stąd wypuścić – błagała. – Zaraz sobie pójde! Nie chciałam nic złego!

– Złego? – Powolny głos był ciężki jak wyrok. – Wszystko, co złe, jest winą Houstona. I poniesie sprawiedliwą karę.

– Nie ukradłam tych kart! Nawet ich nie dotknęłam!

– Kart? – Zaśmiał się: suchy odgłos z głębi krtani.

– Te karty nie należą do Houstona. To on je ukradł.

– Houston nakradł wiele – odparł mężczyzna, wyraźnie zdziwiony. Zastanawiał się nad nią i chyba nie był zadowolony z wniosków. – Jak się nazywasz?

– Sybil Jones. – Nabrała tchu. – Jestem poddaną brytyjską!

– Coś takiego... – Mężczyzna cmoknął językiem.

Zasłonięta twarz nie zdradzała żadnych emocji. Pot błyszczał na pasie białej gładkiej skóry na czole. Ślad szerokiego kapelusza, uświadomiła sobie Sybil, który chronił przed teksaskim słońcem. Mężczyzna zbliżył się, wyjął jej z ręki lampę i przykręcił knot. Palce, kiedy musnęły jej dłoń, wydały się suche i twarde jak drewno.

W ciemności istniało tylko głośnie bicie jej serca i wrażenie strasznej *obecności* Teksańczyka.

– Musi się pan czuć samotnie w Londynie – wyrzuciła z siebie Sybil, broniąc się przed ciszą.

– Może Houston jest samotny. Ja mam czystsze sumienie. – Głos Teksańczyka zabrzmiał ostro. – Pytałaś go kiedy, czy jest samotny?

– Nie znam go – upierała się.

– Przyszłaś tutaj. Kobieta przyszła sama do jego pokoju.

– Przyszedłam po karty kinotropowe! Papierowe karty z dziurkami. To wszystko, przysięgam! – Żadnej odpowiedzi. – Czy pan wie, co to jest kinotrop?

– Jeszcze jedna przekłeta maszyna – mruknął znużony.

Znów cisza.

– Nie okłamuj mnie – odezwał się w końcu. – Jesteś dziwką. Nie pierwszą, jaką oglądam. Słyszała, jak kaszle pod chustą i pociąga nosem.

– Jesteś ładna – stwierdził. – W Teksasie mogłabyś wyjść za męża. Zacząć od początku.

– Na pewno byłoby cudownie...

– Brakuje nam w kraju białych kobiet. Znalazłabyś porządnego gościa, nie alfonsa... – Podniósł chustę i splunął na podłogę.

– Nienawidzę alfonsów – oznajmił spokojnie. – Nienawidzę tak samo jak Indian. Albo Meksykanów. Meksykańscy Indianie... Francuscy meksykańscy Indianie z karabinami, po trzystu, czterystu w oddziale. Konno. Mieli te sprężynowe strzelby... Istne diabły na ziemi.

– Za to Teksańczycy są bohaterami – wtrąciła Sybil, rozpaczliwie usiłując sobie przypomnieć nazwę, którą wymienił Houston. – Słyszałam o... o Alamo.

– Goliad. – Głos stał się chrapliwym szeptem. – Byłem w Goliadzie.

– O tym też słyszałam – zapewniła Sybil. – Na pewno zasłużono tam na wieczną chwałę...

Odchrząknął i jeszcze raz splunął.

– Walczyliśmy przez dwa dni. Nie mieliśmy wody. Pułkownik Fannin się poddał. Wzięli nas do niewoli, ze wszystkimi szykanami, uprzejmie... Następnego dnia wyprowadzili nas z miasta... I wystrzelali z zimną krwią. Ustawili rzędami i wystrzelali. Masakra.

Sybil milczała.

– Zmasakrowali Alamo. Spalili wszystkie trupy... Zmasakrowali korpus Meira. Kazali im losować. Jak w loterii. Wyciągasz czarną fasolę i zabijają cię. To właśnie Meksykanie.

– Meksykanie... – powtórzyła.

– Komancze są gorsi.

Za oknem, wśród nocy rozległ się zgrzyt potężnych hamulców i głuche, odległe uderzenia.

Czarne fasole. Goliad. W głowę jej się kręciło. Fasola, masakra i ten człowiek o skórze jak rzemień. Cuchnął niczym robotnik: końmi i potem. Kiedyś przy Neal Street zapłaciła dwa pensy, żeby obejrzeć dioramę jakiegoś amerykańskiego pustkowia, koszmaru poskręcane go kamienia. Teksańczyk wyglądał, jakby zrodziła go taka pustynia... Wtedy zrozumiała, że wszystkie dzikie okolice, o jakich mówił Houston, wszystkie te miejsca z dziwacznymi, niewiarygodnymi nazwami, istnieją naprawdę i żyją tam takie właśnie istoty. Mick powiedział, że Houston ukradł kiedyś kraj, a teraz przybył za nim ten człowiek: anioł zemsty. Stłumiła obłąkańczy śmiech.

Przypomniała sobie starą kobietę, sprzedającą na Whitechapel skalny olej, i jak dziwnie patrzyła na Micka, kiedy ją wypytywał. Czyżby inni działali wspólnie z tym aniołem z Goliadu? W jaki sposób postać tak niezwykła zdołała wejść nocą do Grandu, jak przedostał się do zamkniętego pokoju? Gdzie taki człowiek mógł się ukryć, nawet w Londynie, nawet wśród hord obdartych amerykańskich uchodźców?

– Mówisz: pijany? – rzucił nagle Teksańczyk.

– Co? – Sybil drgnęła przestraszona.

– Houston.

– Aha. Tak. W palarni. Bardzo pijany.

– Pije na własnej stypie. Sam jest?

– On... – Mick. – Jest z nim wysoki mężczyzna. Nie znam go.

– Z brodą? Złamana ręka?

– Ja... Tak.

Zassał powietrze przez zęby. Potem zatrzeszczała skóra: wzruszył ramionami.

Coś zabrzęczało po lewej stronie. W słabym blasku padającym przez okienne zasłony zobaczyła błyszczące krawędzie szklanej gałki u drzwi. Obracała się. Teksańczyk zerwał się na nogi.

Jedną ręką zasłonił jej usta, w drugiej wzniosł wielki nóż, ohydne narzędzie podobne do wydłużonego tasaka i zwężające się w szpic. Wzdłuż górnej krawędzi biegło mosiężne okucie. Kilka cali przed oczami wyraźnie widziała nacięcia i zadrapania na mosiądzu.

Drzwi uchyliły się, Mick wsunął się do wnętrza. Padające z korytarza światło obrysowało jego głowę i ramiona.

Kiedy Teksańczyk pchnął ją na bok, musiała uderzyć głową o ścianę... Klęczała na zmiętej krynolinie i patrzyła, jak obcy przyciska Micka do ściany, unosi w górę jedną potężną dłoń zaciśniętą na szyi, jak obcasy Micka wybijają gorączkowy werbel na boazerii... A potem uderzyło długie ostrze, przekreśliło się, uderzyło znowu, wypełniając pokój gorącym, mdlącym zapachem Zaułka Rzeźników.

* * *

Wszystko, co wydarzyło się potem w pokoju, zdawało się Sybil snem albo przedstawieniem teatralnym, a może pokazem kinotropowym, w którym klocki balsy na ekranie są tak liczne, tak maleńkie i tak chytrze zaprogramowane, że przesłaniają rzeczywistość.

Teksańczyk ułożył Micka na podłodze i zamknął drzwi na klucz. Poruszał się niespiesznie, metodycznie...

Zachwiała się i osunęła pod ścianę za biurkiem. Mick został odciągnięty w głębszą ciemność za szafą. Teksańczyk ukląkł nad nim – zaszeleściło ubranie, stuknął o podłogę portfel, brzęknęły monety, któraś upadła i, wirując, potoczyła się po podłodze...

Od drzwi dobiegło drapanie, stuk metalu o metal – ktoś pijany usiłował trafić kluczem do dziurki.

Houston otworzył drzwi na oścież i wtoczył się do pokoju, podpierając się ciężką laską. Czknął głośno i potarł dawną ranę.

– Sukinsyny – burknął głosem szorstkim od alkoholu. Utykał mocno, a laska przy każdym kroku stukała głośno. – Radley! Wychodź, szczeniaku!

Zbliżył się do biurka. W lęku przed jego ciężkimi butami Sybil szybko cofnęła dłoń.

Teksańczyk zamknął drzwi.

– Radley!

– Dobry wieczór, Sam.

Pokój nad pubem Harta wydawał się jej teraz równie odległy jak pierwsze wspomnienia dzieciństwa. Bliski był zapach krwi w ciemności, gdzie poruszali się giganci. Houston zatoczył się nagle i uderzył laską w zasłony, zerwał je, gazowe światło zaskrzyło się na ornamentach szronu pokrywającego szyby, ukazało chustę Teksańczyka, a nad nią posępne oczy, chłodne i bezlitosne jak gwiazdy na zimowym niebie. Houston cofnął się na ten widok, pasiasty koc zsunął mu się z ramion. Zalśniły i zakołysały się medale.

– Rangerzy mnie przysłali, Sam.

Mały pistolet Micka wyglądał jak zabawka w potężnej dłoni. Lufy zamigotały, gdy mężczyzna podniósł go i wymierzył.

– Kim jesteś, synu? – zapytał Houston. Wszelkie ślady pijaństwa zniknęły nagle z jego niskiego głosu. – Wallace? Ściągnij tę chustę. Porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną.

– Nie będziesz mi więcej wydawał rozkazów, generale. Nie powinieneś zabierać tego, co zabrałeś. Okradłeś nas, Sam. Gdzie one są? Gdzie są pieniądze ze skarbca?

– Rangerze – rzekł Houston. Słowo ociekało wręcz szczerością i spokojem. – Zostałeś oszukany. Wiem, kto cię przysłał i znam ich kłamstwa i oszczerstwa, jakimi mnie obrzucają. Ale przysięgam ci, że niczego nie ukradłem. Te fundusze zgodnie z prawem należały do mnie, powierzył mi je teksaski rząd na wygnaniu.

– Sprzedałeś Teksas za brytyjskie złoto – rzekł ranger. – Te pieniądze są nam potrzebne na żywność i broń. Głodujemy, Sam, a oni nas zabijają. – Umilkł na moment, nim dodał: – A ty chciałeś im pomagać.

– Republika Teksasu nie może stawać przeciwko mocarstwom tego świata, rangerze. Wiem, że źle się tam dzieje i moje serce płacze nad moim krajem... Ale nie może być pokoju, póki nie odzyskam dowództwa.

– Nie masz już pieniędzy, prawda? Szukałem... Tu ich nie ma. Sprzedałeś tę swoją modną posiadłość na wsi... Wydałeś wszystko, Sam, na dziwki, pijaństwo i te wymyślne pokazy dla cudzoziemców. A teraz chcesz wrócić z meksykańską armią. Jesteś złodziejem, pijakiem i zdrajcą.

– Niech cię piekło pochłonie, bezczelny sukinsynu! – ryknął Houston i oburącz rozchylił surdut. – Jesteś tchórzliwym mordercą! Jeśli myślisz, że masz dość odwagi, by strzelić do ojca swego kraju, to strzelaj! – Uderzył się w pierś. – Prosto w serce!

– Za Teksas.

Pistolet plunął pomarańczowym płomieniem z niebieską aureolą. Strzał cisnął Houstona na ścianę. Generał osunął się na podłogę, a mściciel pochylił się i przytknął wyloty luf do krzykliwej lamparciej kamizelki. Huknął strzał prosto w pierś Houstona, potem drugi, potem głośny trzask, gdy delikatny spust pękł pod naciskiem silnego palca.

Ranger odrzucił pistolet. Houston leżał nieruchomo, czerwone plamy rozlewały się na futrze lamparciej kamizelki.

Ktoś zaspany krzyczał w sąsiednim pokoju. Teksańczyk chwycił laskę Houstona i uderzył w okno. Szkło posypało się na ulicę, pękły drewniane ramy, a on precyzyjnie się na parapet. Tam znieruchomiał na moment; lodowaty wiatr rozwiał jego długi płaszcz i Sybil w swym transie przypomniała sobie, jak zobaczyła go po raz pierwszy, ogromnego czarnego gawrona, teraz gotowego do lotu.

Zeskoczył i zniknął – zabójca Houstona, anioł z Goliadu, pozostawił ją ciszy i przerażeniu. Jego ucieczka przełamała czar i Sybil zaczęła czołgać się przed siebie, bez celu, skrzępowana krynoliną... Miała wrażenie, że jej kończyny poruszają się z własnej woli. Ciężka laska leżała na podłodze, choć mosiężna główka w kształcie kruką oderwała się od drzewca.

Houston jęknął.

– Leż cicho, proszę – powiedziała. – Nie żyjesz.

– Kim jesteś? – zapytał i kaszlnął.

Czuła pod palcami ostre odłamki szkła. Nie, wcale nie ostre... Jasne. Jak kamyki. Zobaczyła, że laska była wydrażona i teraz wypadły z niej ciasno owinięte bawełną kamyki. Błyszczące, czyste diamenty. Zmiotła je oburącz, zgmiotła bawełnę i wcisnęła wszystko pod gorset, między piersi.

Dopiero wtedy obejrzała się na Houstona. Zafascynowana patrzyła, jak po żebrach rozlewa się plama krwi.

– Pomóż mi – stęknął. – Nie mogę oddychać.

Szarpnął guziki kamizelki. Rozsunęła się, odsłaniając wewnętrzne kieszenie z czarnego jedwabiu, ciasno wypchane paczkami papieru: sztywne dziurkowane karty oklejone szarym papierem; ich delikatna perforacja została z pewnością zniszczona uderzeniami kul... I krwią, gdyż przynajmniej jeden strzał dotarł do celu.

Sybil wstała i chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi. Stopa chlupnęła miękko na plamie czerwieni w cieniu za szafą. Spuściła wzrok; zobaczyła otwarty portfel z czerwonej skóry, a w nim dwa bilety spięte niklowaną klamrą. Schyliła się i podniosła je.

– Pomóż mi wstać – zażądał Houston. Głos miał silniejszy, niecierpliwy i poirytowany. – Gdzie moja laska? Gdzie Radley?

Pokój zakołysał się niby statek na fali, zdołała jednak dotrzeć do drzwi, otworzyć je, wyjść i zamknąć za sobą. Poszła dalej spokojnie, jak porządna dziewczyna z dobrego domu, wzdłuż zalanych gazowym światłem, nieskazitelnym i szacownym korytarzy Grand Hotelu.

* * *

Dworzec London Bridge, należący do Kompanii Południowo-Wschodniej Sieci Kolei Żelaznej, był ogromną wietrzną halą ze stali i brudnego od sadzy szkła. Kwakrzy przechadzali się między ławkami, proponując podróżnym pamflety. Irlandzcy żołnierze w czerwonych płaszczach, z oczami przekrwionymi po nocnych pijatykach, gniewnie spoglądali na krótko wystrzyżonych misjonarzy. Francuscy pasażerowie wszyscy chyba wracali do domów z ananasami – słodkim łupem z londyńskich doków. Nawet pulchna aktoreczka siedząca naprzeciw Sybil miała swojego ananasa: sztywne zielone liście wystawały z okrytego koszyka u jej stóp.

* * *

Pociąg przemknął przez Bermondsey i dalej, między uliczkami nowych domów z czerwonej cegły. Śmieci, targowiska, nieużytki. Tunel.

Ciemność wokół cuchnęła prochem.

Sybil zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, zobaczyła wrony szybujące nad nagimi polami i przewody elektrycznego telegrafu – jakby żywe, rozmazane, przesuujące się w dół i w górę pomiędzy słupami, tańczące w podmuchu jej przejazdu do Francji.

* * *

Obraz dagerotypowany potajemnie przez funkcjonariusza Wydziału Moralności Publicznej Sûreté Générale 30 stycznia 1855 roku, przedstawia młodą kobietę na tarasie Café Madeleine przy Boulevard Malesherbes 4. Kobieta siedzi sama, na stoliku przed nią widać porcelanowy imbryczek i filiżankę. Obróbka obrazu zdradza pewne szczegóły kostiumu: wstążki, falbanki, jej kaszmirowy szal, rękawiczki, kolczyki, wyszukany kapelusz. Ubranie kobiety jest produkcji francuskiej, nowe i dobrej jakości. Twarz, lekko rozmyta w wyniku długiego czasu naświetlania, wydaje się melancholijna, zamyślona.

Wyostrenie tła ukazuje dom przy Boulevard Malesherbes 3, biura Compagnie Sud Atlantique Transport Maritimes. W oknie stoi duży model parowca z trzema kominami, budowanego we Francji dla transatlantyckiego handlu kolonialnego. Starszy mężczyzna o niewidocznej twarzy, najwyraźniej przypadkowo utrwalony na zdjęciu, wydaje się nieruchomo kontemplować statek. W rezultacie jego samotna postać wylania się z rozmazanych wskutek ruchu plam zwykłych paryskich przechodniów. Ma gołą głowę, przygarbione ramiona, ciężko wspiera się na taniej, trzcinowej lasce. Jest tak samo nieświadom bliskości kobiety, jak ona bliskości jego.

Ona to Sybil Gerard.

On to Samuel Houston.

Ich drogi rozchodzą się na zawsze.

ITERACJA DRUGA

Dzień Derby

Znieruchomiał w pół kroku, wchodząc na ukos w świąteczny tłum. Kąt obiektywu pozwolił uchwycić część jego twarzy: wysoką kość policzkową, gęstą, krótko przyciętą czarną brodę, prawe ucho, niesforny kosmyk widoczny między sztruksowym kołnierzem płaszcza a pasiastym kaszkietem. Nogawki czarnych spodni zasnurowane ciasno w skórzanych sztylpach nad podkutymi butami, są do łydek zachlapane kredowym błotem Surrey. Lewy pagon znoszonego płaszcza przytrzymuje mocno pasek wojskowej lornetki; rozpięte w upalny dzień klapy ukazują krótkie, błyszczące mosiężne kołki. Ręce wciśnięte głęboko w kieszenie. Nazywa się Edward Mallory.

* * *

Wyminął lśniące powozy, konie z kłapkami na oczach, hałaśliwie skubiące murawę wśród zapachów dzieciństwa: skórzanych uprząży, potu i nawozu. Dłonie badały zawartość licznych kieszeni. Klucze, pudełko z cygarami, portfel, karty wizytowe. Solidna, rogowa rękojeść wielostrzowego sheffieldzkiego noża. Terminarz – rzecz najcenniejsza. Chustka, ogryzek ołówka, kilka szylingów. Jako człowiek praktyczny, Mallory wiedział, że w tłumie gapiów zawsze krążą złodzieje, a żaden z nich wyglądem nie zdradza swego zajęcia. Każdy tu może być złodziejem. To fakt; to ryzyko.

Jakaś kobieta weszła mu w drogę i podkute buty oderwały falbanę z jej sukni. Odwróciła się, skrzywiła niechętnie i z jękiem krynoliny wyrwała spódnice. Mallory sięgnął do daszka i szybko ruszył dalej. Pewnie żona farmera: niezgrabna, ciężka, rumiana istota, równie cywilizowana i angielska, jak mleczna krowa. Oczy Mallory'ego zachowały jeszcze pamięć o dzikszej rasie, o drobnych, smagłych wilczycach Cheyennów z ich tłustymi czarnymi warkoczami i skórzanymi, zdobnymi w paciorki legginsami. Tiurniury w tłumie dookoła wydały mu się jakimś ślepym zaułkiem ewolucji; córy Albionu nosiły pod sukniemi regularne

rusztowania ze stali i fiszbinu.

Bizony... tak, to jest to. Amerykańskie bizony: te same rozdęte tiurniurą sylwetki. Kiedy trafiał je z wielkokalibrowej strzelby, tak dziwnie padały w wysoką trawę... jakby nagle pozbawione nóg kosmate góry mięsa. Ich wielkie stada w Wyoming nie zwracały na to uwagi. Zwierzęta strzygły tylko uszami, słysząc daleki huk strzałów.

Teraz Mallory kroczył przez środek innego stada, zdumiony, że zwykła moda może tak daleko doprowadzić w swym niezrozumiałym pędzie. Mężczyźni obok swych dam wydawali się całkiem innym gatunkiem; nie ekstremalnego... może z wyjątkiem tych lśniących cylindrów, choć wedle jego wyczucia w żadnym kapeluszu nie było nic egzotycznego. Mallory za dużo wiedział o kapeluszach, za dobrze poznał całkiem przyziemne sekrety ich wytwarzania. Na pierwszy rzut oka dostrzegał, że większość z nich to tania maszynowa produkcja w standardowych fabrycznych rozmiarach, choć wyglądająca niemal tak wspaniale jak dzieło zawodowego kapelusznika, a przy tym tańsza o połowę lub nawet więcej. Pomagał kiedyś ojcu w jego zakładzie galanterii w Lewes: dziurkował, szył, formował i łączył. Zanurzając filc w rtęciowej kąpieli, ojciec zdawał się nie zwracać uwagi na zapach...

Mallory nie czuł żalu na myśl o ostatecznym końcu ojcowskiego fachu. Zresztą natychmiast zapomniał o tej sprawie, gdy zobaczył napoje sprzedawane pod pasiastym namiotem, mężczyzn tłoczących się przy ladzie i ocierających pianę z warg. Ten widok wzbudził w nim pragnienie. Wymijając trzech entuzjastów wyścigów, którzy ze szpicrutami pod pachą omawiali dzisiejsze zakłady, dotarł do lady i zastukał w nią szylingiem.

– Słucham pana? – zapytał barman.

– Huckle-buff.

– Pan z Sussex?

– Tak. Dlaczego?

– Nie zrobiłbym panu uczciwego huckle-buffa, choćbym nawet znalazł porządną jęczmienną wodę – odparł zasmucony nagle barman. – Niewielu o niego prosi poza Sussex.

– To już prawie dwa lata, kiedy ostatni raz kosztowałem huckle-buffa – westchnął Mallory.

– Przyrządę panu świetne bumbo. Prawie jak hucule-buff. Nie? To może dobre cygaro? Tylko dwa pensy. Doskonały tytoń z Virginii.

Z drewnianego pudełka wyjął krzywe cygaro. Mallory pokręcił głową.

– Kiedy mam na coś ochotę, jestem uparty. Huckle-buff albo nic.

– Nie ma gadania? – Barman uśmiechnął się. – Od razu poznać, że z Sussex. Wiesz pan co? Sam jestem ze wsi. Bierz pan cygaro za darmo, z najlepszymi życzeniami.

– To bardzo uprzejmie z waszej strony – odparł zaskoczony Mallory.

Odchodząc, z etui na cygara wytrząsnął lucyfera. Potarł zapalnik o but, zapalił cygaro i nonszalancko zahaczył kciuki o kamizelkę.

Cygaro miało smak wilgotnego prochu. Wyrwał je z ust. Tania papierowa opaska owijała

wstrętny zielonkawo-czarny liść.

Wydrukowano na niej małą cudzoziemską flagę z gwiazdkami i paskami oraz słowa VICTORY BRAND. Jankeskie wojskowe świństwo. Odrzucił je, aż odbiło się od burty cygańskiego wozu, gdzie chwycił je szybko jakiś ciemnowłosy dzieciak w łachmanach.

Z lewej w tłum wjechał z sapaniem nowiutki powóz parowy z dumnie wyprostowanym na koźle szoferem. Kiedy ciągnął dźwignię hamulca, na dziobie wehikułu dźwięczał spiżowy dzwonek, a ludzie rozstępowali się niechętnie. Pasażerowie siedzieli wygodnie ponad tłumem na aksamitnych fotelach, a składany fartuch odsunięto, by wpuścić do wnętrza słoneczne światło. Uśmiechnięty stary grubas w skórzanych rękawiczkach sączył szampana z dwójką młodych panien – zapewne córek albo metres. Na drzwiczkach powozu błyszczał herb: lazuruwe koło zębate i skrzyżowane srebrne młotki. Jakiś symbol radykałów, nieznanym Mallory’emu, który pamiętał herby wszystkich uczonych lordów, ale niezbyt dobrze orientował się w znakach kapitalistów.

Maszyna kierowała się na wschód, w stronę warsztatów; ruszył za nią, pozwalając, by torowała mu drogę. Bez trudu dotrzymywał jej kroku i uśmiechał się tylko, gdy woźnice walczyli z przestraszonymi końmi. Sięgnął do kieszeni po terminarz. Potykając się o koleiny, pozostawione w murawie przez szerokie koła powozu, odszukał kolorowe stronice przewodnika poszukiwacza. Było to zeszłoroczne wydanie i nie znalazł tam tego herbu. Szkoda, choć niezbyt wielka. Co tydzień nobilitowano nowych lordów. A lordowie, jako klasa, uwielbiali swoje parowe rydwany.

Maszyna zmieniła kurs i skrzyła ku smugom szarej pary, unoszącym się spomiędzy kolumn trybun przy torze w Epsom. Sapiąc, toczyła się wolno po bruku alejki dojazdowej. Mallory widział już warsztaty: niską, nierówną budowlę w nowoczesnym stylu, osadzoną na stalowym szkielecie i pokrytą nitowanymi arkuszami blachy. Kanciaste kształty urozmaicały z rzadka kolorowe proporce i wentylatory w blaszanych obudowach.

Szedł za pojazdem, aż ten skręcił na plac postojowy. Szofer przedmuchał zawory strugą pary. Stajenni rzucili się do pracy ze smarownicami, a pasażerowie zeszli po rozkładanych schodkach. Lord i jego dwie kobiety minęli Mallory’ego, kierując się do łoży. Samozwańcza elita Brytanii; wiedzieli, że patrzy, i spokojnie go ignorowali. Szofer dźwigał za nimi ciężki kosz. Mallory dotknął daszka swojej pasiastej czapki, takiej samej jak czapka szofera. Mrugnął, ale tamten nie zareagował.

Podążając niespiesznie wzdłuż warsztatów, porównując parowce z rysunkami w swoim przewodniku, z satysfakcją zaznaczał ołówkiem każde nowe odkrycie. Oto Faraday, wielki uczony-fizyk z Królewskiego Towarzystwa. Tam Colgate, mydlany magnat. A tu rzadka zdobycz: Brunei, wizjoner budownictwa. Niewiele maszyn nosiło herby starych rodów, posiadaczy ziemskich, których ojcowie byli książętami i hrabiami, póki jeszcze istniały takie tytuły. Niektórych z podupadłej szlachty stać było na pojazd; niektórzy mieli więcej inicjatywy niż inni i jakoś utrzymywali się na powierzchni.

Południowe skrzydło otaczała bariera z pachnących smołą kozłów ze świeżego drewna. Tę część, przeznaczoną dla wyścigowych parowców, patrolował oddział pieszych policjantów. Jeden z nich nosił karabin Cuttsa-Maudsleya ze sprężynowym zamkiem. Mallory znał ten model – ekspedycję do Wyoming wyposażono w sześć takich samych. Co prawda, Cheyennowie z należnym, użytecznym szacunkiem spoglądali na ten krótki karabin maszynowy z fabryk Birmingham, Mallory wiedział jednak, że broń jest kapryśna aż do granicy zawodności i nieprecyzyjna do granicy bezużyteczności – chyba że ktoś wystrzeli wszystkie trzydzieści naboji w grupę ścigających, co sam Mallory uczynił kiedyś podczas wyprawy, prowadząc ogień z tylnego stanowiska parowej fortecy.

Wątpił, czy rumiany młody policjant ma pojęcie, czego mógłby dokonać karabin Cuttsa-Maudsleya wymierzony w tłum Anglików. Z trudem wypchnął z umysłu te mroczne myśli.

Za barierą każde stanowisko zostało starannie ukryte przed oczami szpiegów i bukmacherów. Przywiązane do masztów krzyżujące się liny podtrzymywały brezentowe parawany. Mallory przecisnął się przez grupę podnieconych gapiów i hobbystów. Dwaj policjanci zatrzymali go szorstko przy wejściu. Okazał swoją kartę z numerem obywatelskim i ozdobne zaproszenie Bractwa Mechaników Parowych. Policjanci zanotowali numer i sprawdzili go w grubym notesie. Po chwili wskazali siedzibę jego gospodarzy i ostrzegli, żeby nigdzie nie błądził.

Bractwo przedsięwzięło dodatkowe środki ostrożności i wystawiło własnego strażnika. Siedział na składanym stołku przed brezentem, patrzył wilkiem i ścisnął długi żelazny klucz. Mallory wręczył mu swoje zaproszenie. Wartownik wsunął głowę pod wąską brezentową klapę.

– Twój brat przyszedł, Tom – zawołał i wpuścił Mallory’ego do środka.

Światło dzienne zniknęło w zapachu smaru, metalowych opiłków i węglowego pyłu. W ostrym blasku karbidowej lampy czterej Mechanicy Parowi w pasiastych kaszkietach i skórzanych fartuchach sprawdzali jakieś schematy. Za nimi, krzywiznami emaliowanej blachy odbijał światło niezwykle kształt.

W pierwszej chwili zaskoczenia sądził, że to łódź, ze szkarłatnym kadłubem absurdalnie zawieszonym między parą wielkich kół. Kół napędowych, jak się zorientował, kiedy podszedł bliżej; błyszczące mosiężne wały ginęły w gładko profilowanych otworach w niepozornym z wyglądu kadłubie czy też powłoce. Nie, to nie łódź; przypominało to raczej kroplę albo ogromną kijankę. Trzecie kółko, małe i dziwnie komiczne, umocowane było na obrotowej goleni na końcu długiego, zwężającego się ogona.

Odczytał nazwę, wymalowaną czernią i złotem na wypukłej przedniej płycie, pod łamaną szybą: *Zephyr*.

– Ned, chodź do nas! – zawołał brat, machając ręką. – Nie wstydz się.

Pozostali zaśmiali się, słysząc kpiące zaproszenie. Mallory ruszył ku nim; podkute buty stuknęły głośno o podłogę. Mały Tom, już dziewiętnastoletni, zapuszczał swoje pierwsze

wąsy; wyglądały, jakby kot mógł je zlizać. Mallory podał rękę swojemu przyjacielowi, mistrzowi Toma.

– Witam, panie Godwin – powiedział.

– Witam, doktorze Mallory – odparł Godwin, jasnowłosy czterdziestoletni mechanik.

Miał szerokie bokobrody na policzkach ze śladami po ospie. Niewysoki i krępy, o wąskich chytrych oczach, Godwin zaczął się pochylać, zrezygnował jednak i tylko lekko klepnął Mallory'ego po plecach. Przedstawił swoich towarzyszy: Elijaha Douglasa, czeladnika, i Henry'ego Chestertona, mistrza drugiego stopnia.

– To zaszczyt dla mnie, panowie – zapewnił Mallory. – Spodziewałem się po was rzeczy niezwykłych, ale *to* prawdziwe objawienie.

– Co pan o nim myśli, doktorze?

– Daleko pan odszedł od naszej parowej fortacy...

– Tego nie planowaliśmy na to pańskie Wyoming – stwierdził Godwin. – Co wyjaśnia pewne niedostatki w kwestii uzbrojenia i pancerza. Forma wynika z funkcji, jak nam pan często powtarzał.

– Niewielki jak na powóz wyścigowy – zauważył Mallory, nieco skrepowany. – Dziwny kształt...

– Zbudowany według zasad, drogi panie. Według nowo odkrytych zasad. Ta konstrukcja ma ciekawą historię, związaną zresztą z pańskim kolegą. Pamięta pan zmarłego profesora Rudwicka...

– Oczywiście, Rudwick... – Mallory zawahał się. – Trudno uwierzyć, by Rudwick formułował nowe zasady...

Douglas i Chesterton przyglądali mu się z nieskrywaną ciekawością.

– Obaj byliśmy paleontologami – oświadczył zakłopotany nagle Mallory. – Ale on miał się za arystokratę. Zadzierał nosa i głosił przestarzałe teorie. Dość mętny w swej argumentacji, moim zdaniem.

Obaj mechanicy wyraźnie mieli wątpliwości.

– Nie mam zamiaru źle mówić o zmarłych – uspokoił ich Mallory. – Rudwick miał swoich przyjaciół, ja mam swoich i na tym koniec.

– Ale pamięta pan – nie ustępował Godwin – tego wielkiego latającego gada profesora Rudwicka?

– *Quetzalcoatlus* – podpowiedział Mallory. – Istotnie, to było osiągnięcie... Nikt nie zaprzeczy.

– Studiowali jego szczątki w Cambridge. W Instytucie Analizy Maszynowej.

– Sam planuję tam popracować nad brontozaurem – rzekł Mallory, niezadowolony z kierunku, w jakim zmierzała rozmowa.

– Widzi pan – podjął Godwin – kiedy pan i ja zamarzaliśmy w Wyoming, najlepsi matematycy Brytanii tkwili w Cambridge, kręcąc swoimi wielkimi kołami. Wybijali dziurki

w kartach, żeby odkryć, jak stwór tej wielkości mógł latać.

– Słyszałem o tym projekcie. Rudwick opublikował coś na ten temat. Ale „pneumodynamika” to nie moja dziedzina. Wydaje się nieco... hm... zwiewna, przyznacie panowie.

Uśmiechnął się.

– Możliwa do zastosowań praktycznych – zapewnił Godwin. –

Sam lord Babbage przyłożył rękę do analizy.

Mallory zastanowił się.

– Przyznam więc, że jest coś w pneumatyce, skoro zwróciła uwagę wielkiego Babbage’a. Może udoskonalenie sztuki balonowej? Loty balonów to dziedzina wojskowa. Nigdy nie brakuje funduszy na badania w dziedzinie nauk wojennych.

– Nie. Myślałem o projektowaniu urządzeń.

– Myśli pan o maszynie latającej? – Mallory urwał znacząco. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że ten pański pojazd umie latać?

Mechanicy zaśmiali się uprzejmie.

– Nie – odparł Godwin. – I trudno stwierdzić, żeby to kręcenie Maszyną wiele przyniosło bezpośrednio. Ale teraz lepiej już rozumiemy pewne kwestie związane z zachowaniem gazów w ruchu, a także zasady oporu powietrza. Nowe zasady, na razie jeszcze mało znane.

– Ale my, mechanicy – wtrącił z dumą Chesterton – wykorzystaliśmy je w praktyce, drogi panie, projektując kształt naszego *Zephyra*.

– Nazywamy to opływowością – dodał Tom.

– A więc ten wasz powóz jest opływowy, co? Dlatego tak bardzo przypomina, hm...

– Rybę – dokończył Tom.

– Właśnie! – zawołał Godwin. – Rybę! Wszystko to ma związek z działaniem cieczy. Woda. Powietrze. Chaos i turbulencje! Wszystko jest w obliczeniach.

– To niezwykle – stwierdził Mallory. – Jak rozumiem, owe zasady turbulencji...

Z sąsiedniego stanowiska rozległ się ogłuszający klekot. Ściany zadrżały, a z sufitu opadł drobnutki pył sadzy.

– To pewnie Włosi! – krzyknął Godwin. – W tym roku przywieźli prawdziwego potwora!

– Ale i cuchnie potwornie – poskarżył się Tom.

Godwin przychylił głowę.

– Słyszycie, jak te tłoki stukają w suwie powrotnym? Żle dobrana tolerancja. Marna cudzoziemska robota!

Zdjął czapkę i, uderzając o kolano, strzepnął z niej sadzę. Mallory’emu kręciło się w głowie.

– Zapraszam pana na kufelek! – zawołał.

Godwin podniósł dłoń do ucha.

– Co?

Mallory odpowiedział gestem: uniósł do ust pięść z odchylonym kciukiem. Godwin

uśmiechnął się. Wymienił krzykiem parę słów z Chestertonem, pochylonym nad schematami. Potem z Mallorym wyszli na słońce.

– Marne tłoki – oznajmił z dumą strażnik.

Godwin kiwnął głową. Oddał mu skórzany fartuch i włożył prosty czarny płaszcz. Zamienił też kaszkiet mechanika na słomkowy kapelusz.

Opuścili teren powozów wyścigowych.

– Mogę ci poświęcić najwyżej kilka minut – przeprosił Godwin. – „Oko mistrza topi metal”, jak to mówią. – Zasłonił oczy parą przydymionych okularów. – Niektórzy z tych entuzjastów mogą mnie poznać i pójść za nami... Ale mniejsza z tym. Dobrze cię znowu widzieć, Ned. Witaj w Anglii.

– Nie zatrzymam cię długo – uspokoił go Mallory. – Chciałem tylko zamienić parę słów na osobności. Chodzi o brata i tak dalej...

– Tom to świetny chłopak – zapewnił Godwin. – Uczy się. I stara.

– Mam nadzieję, że osiągnie sukces.

– My też się staramy. Przykro mi było, kiedy Tom powiedział o waszym ojcu. Jak się rozchorował i w ogóle.

– Porzundny Mallory nie zemrze, póki ostatniej panny za mąż nie wyda – zacytował Mallory w gwarze Sussex. – To zawsze ojciec nam powtarzał. Chce zobaczyć wszystkie swoje dziewczęta jako mężatki. Tato nie popuści. Taki jest.

– Z pewnością taki syn jak ty jest dla niego wielką pociechą – stwierdził Godwin. – A jak znajdujesz Londyn? Przyjechałeś niedzielnym pociągami?

– Nie byłem w Londynie. Zamieszkałem u rodziny w Lewes. Przyjechałem porannym pociągami do Leatherhead. Stamtąd przyszedłem.

– Przyszedłeś na Derby aż z Leatherhead? To przecież dziesięć mil. Co najmniej!

Mallory uśmiechnął się.

– Widziałeś przecież, jak dziennie robiłem dwadzieścia mil po pustkowiach Wyoming. Szukałem skamielin. A teraz znowu chciałem obejrzeć solidną angielską wieś. Dopiero co wróciłem z Toronto, razem ze skrzyniami popakowanych kości. Ty siedzisz tu od miesięcy i cieszysz się tym... – Szeroko machnął ręką.

Godwin przytaknął.

– Ale skoro już wróciłeś, to jak ci się podoba miasto?

– Antyklina Niecki Londyńskiej. Osady trzeciorzędu i eocenu. Trochę współczesnych iłów gliniastych.

– Wszyscy jesteśmy współczesnym iłem gliniastym. – Godwin się roześmiał. – O, tam idziemy; mają tam całkiem przyzwoite piwo.

– Zeszli z boczem do konnej platformy wyładowanej beczkami. Nie mieli huckle-buffa, więc Mallory kupił dwa kufle piwa.

– To miło, że przyjąłeś nasze zaproszenie – rzekł Godwin. – Wiem, że jesteś

zapracowany: przez te wasze słynne geologiczne kontrowersje i tak dalej.

– Nie bardziej zapracowany od ciebie. Solidna inżynierska robota. Bezpośrednie zastosowanie i użyteczność. Zazdroszczę ci, naprawdę.

– Nie, nie. Twój brat wychwala cię pod niebiosa. My wszyscy cię podziwiamy. Zbliża się twój czas, Ned. Wschodzi twoja gwiazda.

– Z pewnością w Wyoming sprzyjało nam niezwykle szczęście – przyznał Mallory. – Dokonałiśmy wspaniałego odkrycia. Ale bez ciebie i twojej parowej fortecy czerwonoskórzy szybko by się z nami rozprawili.

– Nie byli tacy groźni, kiedy już trochę złagodnieli i pokosztowali whisky.

– Te dzikusy czują szacunek dla brytyjskiej stali – oświadczył Mallory. – Teorie o starych kościach nie robią na nich wrażenia.

– Cóż... – mruknął Godwin. – Jestem człowiekiem Partii i popieram lorda Babbage’a. „Teoria i praktyka muszą być niczym kość i ścięgno”.

– Te godne przekonania wymagają jeszcze kufelka – stwierdził Mallory. Godwin chciał płacić. – Pozwól. – Mallory go powstrzymał. – Wciąż jeszcze wydaję swoją premię za ekspedycję.

Godwin z kuflem w dłoni odprowadził Mallory’ego poza zasięg słuchu innych pijących. Rozejrzał się uważnie, po czym zdjął okulary i spojrzał mu prosto w oczy.

– Czy ufasz swojemu szczęściu, Ned? Mallory pogładził brodę.

– Mów.

– Bukmacherzy obstawiają dziesięć do jednego przeciwko *Zephyrowi*.

Mallory parsknął.

– Nie jestem hazardzystą, Godwin. Podaj mi twarde fakty i dowody, a wtedy zdecyduję. Nie jestem głupcem, by liczyć na niezasłużone bogactwo.

– Ale w Wyoming podjąłeś ryzyko. Ryzykowałeś wręcz swoim życiem.

– Ale tam zależało ono od umiejętności: moich i towarzyszy.

– Otóż to! – zawołał Godwin. – Tak właśnie przedstawia się moja sytuacja. Słowo w słowo. Pozwól, że opowiem ci o naszym Bractwie Mechaników Parowych.

Zniżył głos.

– Głową naszego związku jest lord Scowcroft... Za dawnych, ciężkich czasów był zwykłym Jimem Scowcrofem, jednym z popularnych agitatorów. Ale zawarł pokój z radykałami. Teraz jest bogaty, kandydował do Parlamentu i w ogóle... Kiedy odwiedziłem lorda Scowcrofta w Londynie i pokazałem mu plany *Zephyra*, zażądał ode mnie dokładnie tego, co ty przed chwilą: faktów i dowodów. „Mistrzu pierwszego stopnia Godwin”, rzekł. „Nie mogę pana finansować ciężko zarobionymi składkami naszych Braci, póki nie pokaże mi pan czarno na białym, jakie przyniesie to zyski”. Odpowiedziałem mu: „Wasza lordowska mość, budowa powozów parowych to jedna z najlepszych inwestycji w towary luksusowe, jaka dostępna jest w naszym kraju. Kiedy zjawimy się na torze w Epsom i nasza maszyna

daleko w tyle pozostawi konkurentów, arystokracja będzie się ustawiać w kolejkach po słynne dzieło Mechaników Parowych”. I tak się stanie, Ned.

– Jeśli zwyciężycie w tym wyścigu... Godwin z powagą kiwnął głową.

– Nie mogę nic obiecać na pewno. Jestem inżynierem; aż za dobrze wiem, jak może zgiąć się i złamać żelazo, jak rdzewieje i jak pęka. Ty pewnie wiesz to także, Ned, bo widziałeś, jak naprawiam tę przeklętą parową fortecę. Myślałem już, że przy niej oszaleję. Ale znam się na faktach i liczbach. Znam się na różnicach ciśnień, pracy silnika, momentach obrotowych wału i średnicach kół. Jeśli nie nastąpi katastrofa, nasz *Zephyr* przemknie obok współzawodników, jak gdyby stali w miejscu.

– To brzmi wspaniale. Cieszę się na twoje zwycięstwo. – Mallory sączył swoje piwo. – A teraz powiedz, co się stanie, jeśli nastąpi katastrofa.

Godwin uśmiechnął się.

– Wtedy przegrywam i zostaję bez pensa przy duszy. Lord Scowcroft był łaskawy, wedle własnej opinii, ale przy takim projekcie zawsze pojawiają się jakieś dodatkowe koszty. W swoją maszynę włożyłem wszystko: premię z Towarzystwa Królewskiego za naszą wyprawę, a nawet niewielki spadek po ciotce, niech odpoczywa w spokoju.

– Wszystko? – Mallory był wstrząśnięty.

Godwin zaśmiał się smętnie.

– Cóż, nie mogą mi odebrać wiedzy. Może wyruszę z kolejną ekspedycją Królewskiego Towarzystwa. Dobrze płacą. Ale ryzykuję wszystkim, co posiadam w Anglii. Sława albo nędza, Ned. Nie ma trzeciej możliwości.

Mallory pogłodził brodę.

– Zaskakujesz mnie. Zawsze wydawałeś się człowiekiem rozsądnym.

– Doktorze Mallory, dzisiejsza publiczność to śmietanka Brytanii. Jest premier. Raczyl przybyć książę małżonek. Jest lady Ada i obstawia hojnie, jeśli plotka mówi prawdę. Kiedy znów będę miał taką szansę?

– Pojmuję kierunek twego rozumowania – zgodził się Mallory. – Choć nie powiem, żebym je aprobował. Fakt, że twoja życiowa sytuacja pozwala na takie ryzyko. Nie jesteś żonaty, prawda?

Godwin łyknał piwa.

– Ty też nie, Ned.

– Nie, ale mam ośmioro rodzeństwa, młodszych braci i siostry, śmiertelnie chorego ojca i matkę cierpiącą na reumatyzm. Nie mogę ryzykować środków do życia całej rodziny.

– Stawka jest dziesięć do jednego, Ned. Szaleńcza stawka. Powinna być pięć do trzech na korzyść *Zephyra*.

– Może skromny zakład – ustąpił Mallory. – Ze względu na naszą przyjaźń.

– Postaw za mnie dziesięć funtów – poprosił nagle Godwin. – Dziesięć funtów, traktowane jako pożyczka. Jeśli przegrasz, spłacę cię jakoś w przyszłości. Jeśli wygrasz, dziś

wieczór podzielimy sto funtów pół na pół. Co ty na to? Zrobisz to dla mnie?

– Dziesięć funtów! Solidna sumka...

– Ręczę za nią.

– Wierzę ci... – Mallory pojął, że odmowa nie będzie prosta. Ten człowiek zagwarantował Tomowi miejsce w życiu i Mallory czuł się jego dłużnikiem. – Dobrze, Godwin. Żeby zrobić ci przyjemność.

– Nie pożałujesz – obiecał Godwin. Ze smutkiem przesunął ręką po wytartych rękawach płaszcza. – Przyda mi się pięćdziesiąt funtów. Tryumfujący wynalazca u progu kariery nie powinien ubierać się jak wiejski proboszcz.

– Nie sądziłem, że wyrzucisz te pieniądze dla zaspokojenia własnej próżności.

– To nie próżność, ubierać się odpowiednio do swojej pozycji. – Godwin przyjrzał mu się uważnie. – To twój stary płaszcz podróżny z Wyoming, co?

– Praktyczna odzież.

– Nie w Londynie. Nie na specjalne wykłady dla londyńskich dam, które interesują się tak modną obecnie historią naturalną.

– Nie wstydzę się tego, kim jestem – oznajmił dumnie Mallory.

– Prosty Ned Mallory... – Godwin pokiwał głową. – Przyszedł dzisiaj do Epsom w kaszkiecie mechanika, żeby chłopcy nie byli skrępowani wizytą słynnego uczonego. Wiem, czemu to zrobiłeś, Ned, i szanuję cię za to. Ale zapamiętaj moje słowa: pewnego dnia zostaniesz lordem Mallorym, to równie pewne jak to, że pijemy teraz piwo. Będziesz nosił jedwabny surdut ze wstążeczką w klapie, gwiazdy i medale wszystkich akademii. Bo jesteś człowiekiem, który odkopał wielkiego Lądowego – Lewiatana i w cudowny sposób ułożył ten nieskładny stos kości. Tym właśnie jesteś, Ned, i musisz się z tym pogodzić.

– To nie takie proste, jak sądzisz. Nie znasz polityki Królewskiego Towarzystwa. Jestem katastrofistą. Jeśli idzie o przyznawanie tytułów i stanowisk, przewagę mają uniformitarianie. Ludzie tacy jak Lyell i ten przeklęty dureń Rudwick.

– Charles Darwin dostał tytuł lorda. Gideon Mantell również, a jego iguanodon to krewetka przy twoim brontozaurze.

– Nie waż się źle mówić o Gideonie Mantellu! To najwspanialszy uczoney, jakiego wydało Sussex. I był dla mnie bardzo dobry.

Godwin zajrzał do pustego kufla.

– Wybacz. Widzę, że przemówiłem nazbyt otwarcie. Daleko odjechaliśmy od dzikiego Wyoming, gdzie siadaliśmy przy ognisku jak zwykli bracia-Anglicy i mówiliśmy o wszystkim, co boli.

Włożył swoje przydymione okulary.

– Ale pamiętam wykłady, jakie nam robiłeś, tłumacząc, o co chodzi z tymi kośćmi. „Forma wynika z funkcji”. „Przeżywa najlepiej przystosowany”. Nowe formy otwierają drogę. Z początku mogą się wydawać dziwaczne, ale Natura wypróbowuje je sprawiedliwie i

surowo, porównuje ze starszymi i, jeśli oparte są na słusznym zasadach, świat należy do nich.
– Godwin podniósł głowę. – Jeśli nie widzisz, że twoja teoria jest kością dla moich ścięgien, to nie jesteś człowiekiem, za którego cię uważałem.

Mallory zdjął czapkę.

– To ja powinienem cię przeprosić. Wybacz mój niepojęty język. Wierzę, że zawsze szczerze będziesz ze mną rozmawiał, Godwin, czy będę nosić te baretki, czy nie. Obym nigdy nie zachował się nienaukowo i nie zamknął oczu na prawdę.

Wyciągnął rękę.

Godwin uściskał ją.

Nad torem zabrzmiały fanfary, a tłum odpowiedział szumem i gwarem. Wszędzie wokół ludzie ruszali z miejsc – jak stado przeżuwaczy. Kierowali się na start.

– Idę postawić te pieniądze – powiedział nagle Mallory.

– Muszę wracać do chłopców. Spotkasz się z nami po wyścigu? Żeby podzielić wygraną.

– Oczywiście.

– Odniosę kufle – zaproponował Godwin.

Mallory wręczył mu swój i odszedł.

* * *

Natychmiast po rozstaniu z przyjacielem Mallory pożalował swej obietnicy. Dziesięć funtów to naprawdę sporo pieniędzy, za studenckich czasów niewiele więcej miał na cały rok.

A jednak, myślał, idąc wolno w stronę osłoniętych stanowisk bukmacherów, Godwin jest doskonałym mechanikiem i człowiekiem nienagannie uczciwym. Nie miał powodów, by wątpić w jego ocenę szans podczas wyścigu. Człowiek, który by sporo postawił na *Zephyra*, mógłby dziś wyjechać z Epsom z sumą równą kilkuletnim dochodom. Gdyby postawić trzydzieści albo czterdzieści funtów...

Mallory miał prawie pięćdziesiąt, złożone w depozycie w City Bank – większa część premii z wyprawy. Dodatkowe dwanaście nosił w poplamionym płóciennym pasie, zapiętym mocno pod kamizelką.

Pomyślał o ojcu, który tracił rozum, zatruty oparami rtęci; teraz wiercił się i bełkotał w fotelu przy kominku w Surrey. Część pieniędzy Mallory'ego poszła już na węgiel, który płonął na palenisku.

A przecież mógłby wygrać czterysta funtów... Ale nie. Będzie rozsądny i spełni tylko przyrzeczenie. Postawi dziesięć. Będzie to ciężka strata, ale taka, którą zdoła przeżyć. „Wsunął palce prawej dłoni między guziki kamizelki i dotknął zapiętej klapy pasa z pieniędzmi.

Postanowił skorzystać raczej z usług nowej i nowoczesnej firmy Dwyer and Company, zamiast z bardziej szacownego i może odrobinę bardziej godnego zaufania Tattersalla. Często

przechodził obok jasno oświetlonych biur Dwiera przy St Martin's Lane i słyszał głęboki, metaliczny szum ich trzech Maszyn. Wolał nie ryzykować takiej sumy u któregoś z dziesiątków indywidualnych bukmacherów, siedzących na wysokich stołkach wśród widzów, chociaż byli niemal równie godni zaufania, jak większe firmy. Tłum ich do tego zmuszał; Mallory na własne oczy widział, jak prawie zlinczowano nieuczciwego bukmachera w Chester. Wciąż pamiętał złowrogi okrzyk „Oszust!”, przenikliwy jak wołanie „Pożar!”. Zabrzmiało przy ogrodzonych kasach. A potem atak na człowieka w czarnym kaszkiecie, którego przewrócono i skopano bezlitośnie. Pod dobroduszną powłoką w tłumie kibiców czaiła się pierwotna drapieżność. Rozmawiał o tym wypadku z lordem Darwinem, który porównał go do masowych ataków kruków...

Stojąc w kolejce do kasy wyścigów parowych, wrócił pamięcią do Darwina. Mallory był jego dawnym i gorącym entuzjastą; uważał Darwina za jeden z największych umysłów epoki. Podejrzewał jednak, że lubiący samotność lord, choć wdzięczny za wsparcie Mallory'ego, uważa go za aroganta. Kiedy chodziło o awans zawodowy, Darwin nie przydał się na nic. Do tego celu bardziej użyteczny okazał się Thomas Henry Huxley, wielki teoretyk społeczny, a także uznany naukowiec i mówca...

W kolejce po prawej stronie Mallory'ego stał obojętnie jakiś dandys ubrany z dyskretną elegancją City. Nieskazitelnym łokciem przytrzymał dzisiejszy numer *Sportowego Życia*. Mallory przyglądał mu się przez chwilę. Mężczyzna podszedł do kasy i postawił sto funtów na konia o imieniu Duma Aleksandry.

– Dziesięć funtów na *Zephyra*. Na zwycięstwo – zwrócił się Mallory do kasjera, wręczając mu pięcioletni banknot i pięć funtowych monet.

Kasjer spokojnie wystukał zakład, a Mallory przestudiował zakłady wyświetlone na kinoekranach za lśniącem pseudomarmurem pulpitu z *papier-mâché*. Faworytami byli Francuzi ze swoim *Vulcanem* z Compagnie Générale de Traction, kierowca niejaki M. Raynal. Zauważył, że Włosi mają pozycję niewiele lepszą od *Zephyra*. Czyżby rozeszła się pogłoska o tłokach?

Kasjer podał Mallory'emu niebieską kopię karty, którą właśnie wydziurkował.

– To wszystko, proszę pana. Dziękuję bardzo. Patrzył już na następnego klienta.

– Czy przyjmiecie czek wypisany na City Bank? – spytał Mallory.

– Oczywiście, sir – odparł kasjer. Uniósł brew, jakby dopiero teraz zauważył kaszkiet i płaszcz Mallory'ego. – Pod warunkiem, że jest na nim pański numer obywatelski.

– W takim razie – odparł Mallory, ku własnemu osłupieniu – chcę postawić dodatkowe czterdzieści funtów na *Zephyra*.

– Na zwycięstwo, sir?

– Na zwycięstwo.

* * *

Mallory uważał siebie za dość wprawnego obserwatora bliźnich. Posiadał, jak dawno temu zapewnił go Gideon Mantell, niezbędne naturalistyczne czujne oko. Swoją obecną pozycję w naukowym świecie zawdzięczał właśnie wykorzystaniu tego oka podczas obserwacji monotonnych, kamienistych rzecznych brzegów rzeki Wyoming i rozpoznaniu formy wśród pozornego chaosu.

Teraz jednak, wciąż oszołomiony szaleństwem swego zakładu i jego katastrofalnymi rezultatami w wypadku przegranej, nie interesował się i nie cieszył obecnością barwnego tłumu widzów. Gdy konie ruszyły na tor, nie potrafił znieść gorącego krzyku zmasowanej i namiętej chciwości.

Odszedł od kas; niemal biegł, by strząsnąć z siebie zdenerwowanie. Wokół balustrad skupiła się gęsta masa pojazdów i ludzi; konie przemknęły w tumanie kurzu i usłyszał okrzyki entuzjazmu. Tu stali biedniejsi, w większości tacy, którym żal było szylinga na miejsce siedzące, a wśród nich ci, którzy bawili tłum lub żerowali na nim: gracze w trzy karty, Cyganie, kieszonkowcy. Mallory zaczął przeciskać się ku brzegom tłumu, gdzie mógłby złapać oddech.

Nagle przyszło mu do głowy, że mógł zgubić jeden z kwitów zakładu. Ta myśl niemal go sparaliżowała. Stał jak wryty, sięgając dłońmi do kieszeni...

Nie. Błękitne kopie były na miejscu: jego bilety do katastrofy...

Niewiele brakowało, by stratowała go para koni w zaprzęgu. Zaskoczony i rozgniewany, Mallory chwycił bliższego za wędzidło, odzyskał równowagę, krzyknął ostrzegawczo.

Bat strzelił mu nad głowę. Stojąc na koźle otwartej bryczki, woźnica usiłował wyrwać się z otaczającego tłumu. Był typem dandysa, często spotykanym na torach wyścigowych. Miał na sobie płaszcz w nienaturalnym kolorze błękitu i sztuczny rubin wpięty w fular z błyszczącego jedwabiu. Pod bladym czołem, którego wypukłość podkreślały jeszcze ciemne, rozwichrzone włosy, bez chwili przerwy poruszały się błyszczące, ponure oczy. Zdawało się, że człowiek ten patrzy we wszystkie strony równocześnie – wszędzie, tylko nie na tor wyścigowy, który nadal przyciągał uwagę wszystkich oprócz niego i Mallory'ego. Dziwny człowiek, element jeszcze dziwniejszego trio – gdyż pasażerkami bryczki były dwie kobiety.

Jedna, nosząca woalkę, miała na sobie ciemną, niemal męską suknię, a kiedy bryczka zahamowała, powstała niepewnie i sięgnęła do drzwiczek. Próbowwała wysiąść, chwiejąc się jak pijana; ręce miała zajęte – trzymała w nich długie, drewniane pudło, podobne do futerału jakiegoś instrumentu optycznego. Druga kobieta gwałtownie pochwyciła swą zawoalowaną towarzyszkę i szarpnęła do tyłu.

Mallory, wciąż ściskając skórę upręży, patrzył na to zdumiony. Druga kobieta była rudowłosą ładacnicą w jaskrawej sukni, odpowiedniej dla jakiegoś baru albo i gorszego miejsca. Jej ładna, wymalowana twarz wyrażała posępną i stanowczą determinację.

Mallory dostrzegł, że ruda ładacznica uderzyła zamaskowaną damę – dyskretnie i mocno,

z wypraktykowaną złośliwością wbijając kostki zaciśniętych palców w żebra kobiety. Ta zgięła się wpół i opadła na siedzenie.

To poderwało Mallory'ego do działania. Skoczył ku bryczce i szarpnięciem otworzył lakierowane drzwiczki.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął.

– Zabieraj się stąd – zaproponowała ladacznica.

– Widziałem, jak uderzyłaś tę damę. Jak śmiałaś?

– Bryczka ruszyła znowu, niemal przewracając Mallory'ego. Wyprostował się szybko, skoczył do przodu, chwycił rękę damy.

– Natychmiast się zatrzymaj!

Dama podniosła się znowu. Okrągła, łagodna twarz pod czarną woalką była senna i nieprzytomna. Jeszcze raz spróbowała wysiąść, jakby nieświadoma, że powóz jest w ruchu. Nie umiała odzyskać równowagi. Całkiem naturalnym, eleganckim gestem podała Mallory'emu pudło.

Potknął się, chwytając oburącz niewygodny futerał. Z tłumu rozległy się gniewne krzyki: niedbałe powożenie mężczyzny rozzłościło widzów. Powóz znów się zatrzymał, a wyraźnie spłoszone konie parskały nerwowo.

Dygocząc z wściekłości, woźnica odrzucił bat i zeskoczył na ziemię. Rozepchnął na boki gapiów i podeszedł do Mallory'ego. Wyrwał z kieszeni parę prostokątnych okularów z różowymi szklami i wsunął je pod wypomadowane włosy nad uszami. Stał przed Mallorym, wyprostował pochyle ramiona i groźnym gestem wyciągnął rękę w kanarkowej rękawiczce.

– Proszę natychmiast zwrócić cudzą własność – rozkazał.

– O co tu chodzi? – spytał Mallory.

– Oddaj pudło, bo pożałujesz!

Zdumiony bezczelnością, Mallory przyjrzał się niskiemu mężczyźnie. Niewiele brakowało, by zaśmiał się w głos i pewnie by to zrobił, gdyby ruchliwe oczy za prostokątnymi szklami nie błyszczały szaleństwem jak u nałogowca zażywającego laudanum.

Stanowczo ustawił futerał między swymi ubłoconymi butami.

– Madame – zawołał. – Może pani wysiąść, jeśli takie jest pani życzenie. Ci ludzie nie mają prawa pani zatrzymać...

Hultaj błyskawicznie sięgnął pod niebieski płaszcz i skoczył naprzód jak szarpnięta za sznurki marionetka. Mallory odbił cios otwartą dłonią i poczuł ostry, kłujący ból w lewej nodze.

Napastnik potknął się lekko, wyprostował i zaatakował znowu, wściekle szczerząc zęby. W jego dłoni błysnęło wąskie stalowe ostrze.

Mallory był praktykującym adeptem naukowej szkoły boks Schillingforda. W Londynie co tydzień toczył pojedynki w jednej z sal gimnastycznych utrzymywanych przez

Towarzystwo Królewskie. A miesiące spędzone w dziczy Północnej Ameryki zapewniły mu praktykę w najbardziej brutalnych formach zapasów.

Lewym przedramieniem odbił rękę ze sztyletem i prawą pięścią uderzył przeciwnika w szczękę.

Dostrzegł sztylet leżący na zdeptanej murawie: groźna, wąska, obosieczna klinga, o rękojeści z czarnej gutaperki. Tamten zaatakował; krwawił z rozbitych warg. W natarciu nie było żadnej metody. Mallory przyjął Pierwszą Pozycję Schillingforda i wyprowadził cios w głowę.

Po pierwszej wymianie uderzeń gapie cofnęli się, gdy błysnęła stal. Teraz zamknęli krąg wokół walczących. Wewnętrzny pierścień składał się z robotników i bywalców wyścigów. Była to rubaszna hałastrą, pokrzykująca w zachwycie na widok czerwieni krwi, przelanej w tak niezwykłych okolicznościach. Kiedy Mallory jednym ze swoich najlepszych ciosów trafił prosto w podbródek, podniósł się entuzjastyczny wrzask, chwycono napastnika, który runął między ludzi, i pchnięto go z powrotem, wystawiając na kolejne trafienie. Dandys padł na murawę; krew zachlapała łososiowy jedwab fularu.

– Zniszczę cię – odezwał się z ziemi.

Pękł mu ząb – chyba górny kiel – a dziąsło krwawiło obficie.

– Uważaj! – zawołał ktoś.

Mallory obejrzał się natychmiast. Za nim stała rudowłosa kobieta; oczy lśniły jej demonicznie, coś błyszczało w dłoni. To dziwne, ale wyglądało jak szklana fiołka. Skierowała spojrzenie w dół, ale Mallory czujnie stanął pomiędzy nią i drewnianym futerałem. Przez pełną napięcia chwilę kobieta jakby rozważała wszelkie możliwe wyjścia, po czym podbiegła do powalonego mężczyzny.

– Zetrę cię na proch! – wycodził tamten przez zakrwawione wargi.

Kobieta pomogła mu wstać. Gapie drwili z niego, nazywając tchórzem i pyszałkiem.

– Spróbuj tylko – zaproponował Mallory i wystawił pięść.

Hultaj spojrzał mu w oczy z furją. Opierał się ciężko na ramieniu kobiety. A potem oboje zniknęli w tłumie. Mallory tryumfalnie chwycił futerał, odwrócił się i przecisnął przez krąg roześmianych mężczyzn. Jeden z nich serdecznie klepnął go w ramię.

Dotarł do porzuconej bryczki, podciągnął się i wsiadł do środka, między ławeczki z wytartego aksamitu i skóry. Gwar tłumu przycichał; wyścig dobiegł końca; ktoś wygrał.

Dama siedziała, bezwładna; jej oddech poruszał lekko woalką. Mallory rozejrzał się szybko, szukając potencjalnych napastników, ale zobaczył tylko tłum widzów. Zobaczył ich w sposób niezwykły, jakby czas zamarł, a chwilę uwiecznił dagerotyp, dzięki jakiemuś bajecznemu procesowi zdolny uchwycić najdrobniejszy odcień widma.

– Gdzie moja towarzyszka? – spytała kobieta cichym, obojętnym głosem.

– A kimże ona była, madame? – zapytał Mallory odrobinę sennie. – Nie sądzę, by ci ludzie byli właściwym towarzystwem dla damy...

Miał ranę w lewym udzie; krew przesączała się przez materiał spodni. Siedział na pluszowym siedzeniu, uciskał dłonią zranioną nogę i wpatrywał się w woalkę kobiety. Pracowicie ułożone loki – jasne, przyprószone chyba siwizną – dowodziły stałej opieki zdolnej garderobianej. Twarz wydawała się dziwnie znajoma.

– Czy my się znamy, madame?

Odpowiedzią było milczenie.

– Czy pozwoli się pani odprowadzić? – zaproponował. – Czy ma tu pani jakichś odpowiednich przyjaciół? Kogoś, kto się panią zaopiekuje?

– Łoża królewska – wymruczała.

– Pragnie pani dotrzeć do królewskiej łóż?

Nie pozwoli przecież, by ta obłąkana kobieta nagabywała królewską rodzinę... I nagle Mallory'emu przyszło do głowy, że spotka tam policjantów, a cała ta sprawa z pewnością należy do policji.

Spełnienie zachcianki nieszczęsnej damy będzie zatem najprostszym rozwiązaniem.

– Jak pani sobie życzy, madame – rzeki.

Wsunął drewniany futerał pod pachę i podał jej ramię.

– Udamy się zaraz do królewskiej łóż. Pozwoli pani ze mną.

Kulejąc lekko, poprowadził ją przez ludzki potop w stronę trybun. W drodze miał wrażenie, że kobieta dochodzi z wolna do siebie. Na jego ramieniu, lekko niczym pajęczyna, spoczywała jej dłoń w rękawiczce.

Czekał, aż przycichnie gwar. Nastąpiło to, gdy dotarł pod bielone filary trybun.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Edward Mallory, jestem członkiem Towarzystwa Królewskiego. Paleontologiem.

– Towarzystwo Królewskie – powtórzyła z roztargnieniem kobieta, a jej głowa okryta woalką pochyliła się niczym kwiat na łądźce. Miał wrażenie, że mamrocze coś jeszcze.

– Słucham?

– Towarzystwo Królewskie! Wyssaliśmy krew z tajemnic wszechświata...

Mallory spojrzał na nią zdumiony.

– Fundamentalne relacje w nauce o harmonii – mówiła dalej kobieta głosem łagodnym, znużonym i bardzo spokojnym – poddają się mechanicznej ekspresji, pozwalając na kompozycję złożonych i naukowych utworów muzycznych o dowolnym stopniu komplikacji i czasie trwania.

– Z pewnością... – Mallory próbował ją uspokoić.

– Sądzę, panowie – szepnęła kobieta – że kiedy zobaczycie jedno z moich dzieł, nie będziecie nade mną rozpaczać. Na swój sposób moje zwarte regimenty będą dzielnie służyć władcom ziemi. A z jakich materiałów składają się moje regimenty? Z ogromnych... liczb.

Gorączkowo ścisnęła ramię Mallory'ego.

– Pomaszerujemy niepowstrzymanie przy dźwiękach muzyki. –

Z dziwnym ożywieniem zwróciła do niego swą zasłoniętą twarz. – Czy to nie tajemnicze? Z pewnością moi żołnierze muszą się składać z liczb, inaczej wcale by nie istnieli. Ale czym są owe liczby? Oto zagadka...

– Czy to pani futerał, madame? – spytał Mallory.

Podał przedmiot w nadziei, że w ten sposób zapali w niej iskrę rozsądku.

Spojrzała na futerał, jakby go nie poznawała. Był piękny, z gładkiego palisandru, o rogach obitych mosiądzem. Mógłby służyć za pudło na rękawiczki jakiejś damy, miał jednak zbyt surowy wygląd i brakowało mu elegancji. Długie wieko przytrzymały dwa mosiężne haczyki. Wyciągnęła rękę i pogładziła pudło palcem wskazującym, jakby chciała się upewnić o jego fizycznej obecności. I wtedy coś się w niej obudziło, zaświtała świadomość zagrożenia.

– Zatrzyma pan to dla mnie, sir? – zwróciła się w końcu do Mallory’ego. Spokojny głos wibrował dziwnym, żalonym błaganiem. – Zatrzyma i przechowa bezpiecznie?

– Oczywiście – obiecał Mallory, wbrew sobie poruszony. – Oczywiście, że go przechowam. Jak długo pani zechce, madame.

Wolno przeciskali się wśród trybun do stopni prowadzących do królewskiej łoży. Mallory’ego coraz bardziej bolała noga, a spodnie miał lepkie od krwi. Kręciło mu się w głowie bardziej niż powinno po tak niewielkim skaleczeniu. Coś w dziwnych słowach kobiety i jej jeszcze dziwniejszym zachowaniu usypiało umysł; a może – przyszła mu do głowy ponura myśl – na sztylcie tamtego był jakiś jad. Teraz żałował, że nie zabrał klingi, by później przeprowadzić analizę. Może tej szalonej kobiecie też zaaplikowano jakiś narkotyk? Prawdopodobnie Mallory uniemożliwił spełnienie jakiegoś złowrogiego planu porwania...

Poniżej oczyszczono tor przed zbliżającym się wyścigiem powozów. Pięć potężnych maszyn – i maleńki, kroplowaty *Zephyr* – parkowało na swoich miejscach. Mallory zatrzymał się na moment, rozdarły, spoglądając na kruchy pojazd, od którego tak absurdalnie zależała teraz jego fortuna. Kobieta wybrała tę chwilę, by puścić jego ramię i pobiec spieszenie ku bielonym ścianom królewskiej łoży.

Zaskoczony Mallory pokuśtykał za nią. Przystanęła jeszcze przy dwójce strażników u drzwi. Wyglądali jak tajni policjanci, bardzo wysocy i sprawni. Szybkim, odruchowym gestem kobieta odsunęła woalkę i Mallory po raz pierwszy zobaczył jej twarz.

To była Ada Byron, córka premiera. Lady Ada Byron, królowa Maszyn.

Przemknęła przez drzwi, za plecy strażników. Nawet się nie obejrzała, nie rzuciła ani słowa podziękowania.

Mallory, z palisandrowym futerałem w ręku, natychmiast pospieszył za nią.

– Proszę zaczekać! – zawołał. – Milady!

– Chwileczkę, sir – przerwał mu dość grzecznie wyższy z policjantów.

Wyciągnął ciężką dłoń, obejrzał Mallory’ego od stóp do głów, zauważył drewniany futerał i wilgotną nogawkę. Skrzywił się pod wąsem.

– Czy jest pan gościem łoży królewskiej, sir?

– Nie – odparł Mallory. – Ale widzieliście chyba, że przed chwilą przeszła tędy lady Ada. Przydarzyło jej się coś nieprzyjemnego; obawiam się, że doznała wstrząsu. Udzieliłem jej skromnej pomocy...

– Pańskie nazwisko, sir? – przerwał mu drugi policjant.

– Edward... Miller – rzucił Mallory. Przejął go dreszcz nagłego podejrzenia.

– Mogę obejrzeć pańską kartę obywatela, panie Miller? – spytał pierwszy. – Co niesie pan w tym pudle? Proszę je otworzyć.

Mallory odsunął futerał i cofnął się. Policjanci obserwowali go z mieszaniną podejrzliwości i pogardy.

Od strony toru zabrzmiał huk. Gejzer pary z gwizdem buchnął z przerwanego spojenia kotła włoskiego pojazdu i zasnuł trybuny mgłą. Wybuchło zamieszanie; Mallory wykorzystał okazję, by odejść, kulejąc mocno. Policjanci nie ścigali go, obawiając się może opuścić swoje posterunki.

Mallory kuśtykał wzdłuż widowni, by jak najszybciej zniknąć w tłumie. Jakiś odruch obronny kazał mu zerwać z głowy i wcisnąć do kieszeni płaszcz pasiasty kaszkiet mechanika.

Znalazł miejsce na widowni, o wiele jardów od królewskiej łoży. Ułożył na kolanach obity mosiądzem futerał. Na nogawce znalazł tylko niewielkie rozcięcie, ale rana pod spodem wciąż krwawiła. Mallory skrzywił się niechętnie, usiadł i przycisnął do niej dłoń.

– Diabli – mruknął mężczyzna na ławce z tyłu pewnym siebie tonem pijaka. – Ten falstart obniży ciśnienie. To jasne; sprawa ciepła właściwego. To znaczy, że największy kocioł łatwo wygra.

– Czyli który? – spytał jego towarzysz, może syn.

Mężczyzna przerzucił biuletyn wyścigów.

– To będzie *Goliath*. Ścigant lorda Hansella. Bliźniaczy powóz zwyciężył w zeszłym roku.

Mallory spojrzał na zryty kopytami tor. Właśnie znosili na noszach kierowcę włoskiego powozu, nie bez trudności wydobywszy go z ciasnego siedzenia pilota. Kolumna brudnej pary wciąż unosiła się z przebitego kotła. Pracownicy toru zaprzęgli do unieruchomionego kadłuba parę koni.

Wysokie białe strugi strzelały z kominów innych wozów. Polerowane mosiężne blanki na szczycie komina *Goliatha* wywierały największe wrażenie. Smukły, delikatny komin Godwinowego *Zephyra* wydawał się przy nim karłem – umocowany linkami, których przekrój także miał opływowy kształt kropli.

– Straszny wypadek! – oświadczył młodszy z mężczyzn. – Wybuch ściął chyba głowę temu nieszczęsnemu cudzoziemcowi.

– Ale gdzie tam – zaprotestował starszy. – On miał tylko taki dziwaczny hełm.

– Nie rusza się.

– Jeżeli Włosi nie są zdolni do współzawodnictwa w dziedzinie techniki, to nie mają tu czego szukać – orzekł surowo starszy.

Pełen oczekiwania gwar podniósł się na trybunach, gdy konie odciągnęły na bok uszkodzony powóz.

– Teraz zobaczymy porządną wyścig! – zawołał starszy mężczyzna.

Mallory czekał w napięciu. Odruchowo otworzył palisandrowy futerał; kciuki jakby z własnej woli przesunęły mosiężne haczyki. W wyłożonym zielonym suknie wnętrzu znalazł duży plik mlecznobiałych kart. Wyjął jedną ze środka. To była dziurkowana karta Maszyny, przycięta wedle francuskiej normy, wykonana z jakiegoś zadziwiająco gładkiego sztucznego materiału. Bładym fioletowym atramentem ktoś ręcznie wypisał w rogu „#154”.

Mallory starannie wsunął kartę na miejsce i zamknął futerał.

Zatrzepotała flaga i powozy ruszyły.

Goliath i francuski *Vulcan* od razu wysunęły się na prowadzenie. Nieprzewidziana zwłoka – fatalna zwłoka, pomyślał z bólem serca Mallory – wychłodziła maleńki kocioł *Zephyra*, co bez wątpienia doprowadziło do utraty ciśnienia. *Zephyr* toczył się w ślad za większymi maszynami, podskakując zabawnie w głębokich koleinach. Zdawało się, że jego koła mają za słabą przyczepność.

Mallory nie był tym zdziwiony. Przepełniała go fatalistyczna rezygnacja.

Vulcan i *Goliath* zaczęły walczyć o pozycję na pierwszym zakręcie. Trzy pozostałe powozy sunęły za nimi rzędem. *Zephyr* wjechał w zakręt po bezsensownym, najszerszym możliwym luku, z daleka mijając ślady konkurentów. Za kierownicą maleńkiego pojazdu mistrz drugiego stopnia Henry Chesterton musiał chyba stracić rozum. Mallory przyglądał się temu z lodowatą apatią człowieka zrujnowanego.

Za zakrętem *Zephyr* nagle niewiarygodnie przyspieszył. Przemknął obok innych powozów z absurdalną, płynną łatwością, niby wilgotna pestka z dyni wystrzelona spod palców. Na zakręcie w połowie mili, osiągnąwszy zdumiewającą szybkość, balansował na dwóch kołach; na ostatnim okrążeniu trafił się jakiś wzgórek i cały pojazd wyraźnie leciał przez chwilę w powietrzu. Wznosząc obłok kurzu, wielkie koła napędowe odbiły się od ziemi z metalicznym zgrzytem; dopiero wtedy Mallory uświadomił sobie, że cały tłum na trybunach zamarł w śmiertelnej ciszy.

Ani jeden okrzyk nie zabrzmiał, gdy *Zephyr* śmignął przez linię mety. Zahamował, podskakując w koleinach pozostawionych przez konkurentów.

Pełne cztery sekundy minęły, nim sędzia machnął flagą. Inne powozy nadal pokonywały zakręt, o całe sto jardów w tyle.

W tłumie wybuchły okrzyki – nie tyle radości, co absolutnego niedowierzania, a nawet niewytłumaczalnego gniewu.

Henry Chesterton wysiadł z *Zephyra*, przerzucił szal przez ramię i oparł się swobodnie o

lśniący kadłub. Z chłodną wyższością patrzył, jak inne powozy mijają metę. Zanim tam dotarły, zdawały się starsze o całe stulecia. Stały się – jak pojął nagle Mallory – relikdami.

Sięgnął do kieszeni. Niebieskie bilety zakładów były na miejscu. Ich materialna natura nie zmieniła się wcale, ale teraz te dwie karteczki oznaczały wygraną wysokości czterystu funtów. Nie, nawet pięciuset, z czego pięćdziesiąt przypadnie zwycięskiemu Michaelowi Godwinowi.

Wśród rosnącego gwaru publiczności Mallory usłyszał jakiś głos. „Jestem bogaty”, zabrzmiały spokojnie słowa. To był jego własny głos.

Był bogaty.

* * *

Ten obraz to oficjalny dagerotyp z rodzaju rozprowadzanego przez brytyjską arystokrację w wąskich kręgach przyjaciół i znajomych. Fotografem mógł być Albert, książę małżonek – człowiek, którego szeroko opiewane zainteresowania sprawami nauki uczyniły najwyraźniej szczerym stronnikiem elity radykałów. Rozmiary pokoju i bogate draperie w tle sugerują, że sesja odbyła się w pracowni księcia w Pałacu Windsorskim.

Kobiety przedstawione na fotografii to lady Ada Byron oraz jej towarzyszka i *soidisant* opiekunka, lady Mary Somerville. Lady Somerville, autorka *O związkach nauk fizycznych* i tłumaczka *Mechaniki Niebios* Laplace’a, ma na twarzy pełen rezygnacji wyraz osoby przyzwyczajonej do wybryków młodszej przyjaciółki. Obie noszą złożone sandały i białe okrycia, pokrewne rzymskim togom, jednak i widocznymi wpływami francuskiego neoklasycyzmu. Są to kostiumy adeptek Stowarzyszenia Światła, tajnego wewnętrznego komitetu i międzynarodowego ramienia propagandowego Radykalnej partii Industrialnej. Starsza pani Somerville ma także na czole ozdobiony astronomicznymi symbolami diadem z brązu – tajny znak wysokiej pozycji, jaki ta *femme savante* zajmuje w radach europejskiej nauki.

Lady Ada, z nagimi rękami – poza sygnetem na palcu wskazującym – wkłada laurowy wieniec na czoło popiersia Isaaca Newtona. Mimo starannego ustawienia aparatu, niezwykle strój nie poprawia jej wyglądu, a jej twarz zdradza napięcie. W czerwcu 1855 roku, kiedy powstał ten dagerotyp, lady Ada miała czterdzieści jeden lat. Niedawno straciła dużą sumę pieniędzy podczas wyścigu Derby, choć te przegrane, znane wszystkim jej bliskim, były chyba tylko przykrywką dla jeszcze większych sum, zapewne na niej wymuszanych.

Jest Królową Maszyn, Czarodziejką Liczby. Lord Babbage nazywał ją „Małą Da”. Nie pełni żadnej oficjalnej funkcji w rządzie, a krótki okres rozkwitu matematycznego geniuszu jest już poza nią. Ada jest jednak prawdopodobnie najważniejszym ogniwem łączącym jej ojca, Wielkiego Oratora Radykalnej Partii Industrialnej, z Charlesem Babbage’em, szarą eminencją partii i głównym teoretykiem społecznym.

Ada jest matką.

Jej myśli są zamknięte.

ITERACJA TRZECIA

Spiskowcy

Oto Edward Mallory: wspina się po wspaniałych frontowych schodach Pałacu Paleontologii. Masywna, hebanowa poręcz wsparta jest na czarnych, odlanych z metalu prehistorycznych paprociach, skrzypach i miłorzębach.

Powiedzmy, że podąża za nim spocony bagażowy, obładowany kilkunastoma błyszczącymi pakunkami: owocami długiego popołudnia spędzonego na uważnych i metodycznych zakupach. Mallory, wchodząc po schodach, widzi, jak z przeciwka spuszcza po nich w dół swe potężne ciało lord Owen. Zaropiale oczy słynnego eksperta od anatomii gadów spoglądają niechętnie i Mallory ma wrażenie, że przypominają dwie otwarte ostrygi, gotowe do rozkrojenia. Mallory sięga do kapelusza, Owen mamrocze coś, co można uznać za powitanie.

Na pierwszym szerokim podejście Mallory widzi przy otwartym oknie grupę studentów, dyskutujących o czymś niegłośno. Zmierzch spowija w szarość przyczajone gipsowe behemoty w skalnym ogrodzie Pałacu. Bryza porusza długimi zasłonami.

* * *

Stojąc przed lustrem, Mallory obrócił się w prawo i w lewo. Rozpiął surdut i włożył ręce w kieszenie, by lepiej uwidocznić kamizelkę w mozaikę maleńkich niebieskich i białych kwadratów. Nazywano je szachownicą Ady, ponieważ lady sama stworzyła ten wzór, gdy zaprogramowała krosna Jacquarda, by tkwały czystą algebrę. Kamizelka robiła dostateczne wrażenie, uznał, choć przydałoby się coś jeszcze... Może laska. Otworzył cygarnicę i poczęstował dżentelmena w lustrze doskonałą hawaną. Niezły gest, ale przecież srebrna cygarnica to nie damska mufka i nie można się z nią obnosić. To już by była przesada.

Z wmurowanej w ścianę przy drzwiach rury komunikacyjnej dobiegł metaliczny stuk. Mallory przeszedł przez pokój i zdjął uszczelnioną kauczukiem mosiężną przykrywkę.

– Tu Mallory! – wykrzyknął, pochylając się nisko. Głos recepcjonisty był odległy i upiornie głuchy.

– Gość do pana, doktorze Mallory! Czy posłać jego kartę?

– Tak, proszę!

Nie przyzwyczajony do zamykania kraty na pneumatycznej rurze, zmagął się przez chwilę z blaszaną zatyczką. Walec z czarnej gutaperki wystrzelił z otworu jak z lufy armatniej i huknął o przeciwległą ścianę. Mallory ruszył po niego i bez zdziwienia zauważył na oklejonej tapetą gipsowej płycie liczne ślady uderzeń.

Odkręcił wieko walca i wytrząsnął z niego zawartość. *Mr Laurence Oliphant*, przeczytał na wytwornie kremowym kartoniku, *Pisarz i Dziennikarz*. Adres przy Picadilly i numer telegrafu. Dziennikarz z pretensjami, jeśli sądzić po wizytówce. Nazwisko jakby znajome... Czy nie czytał ostatnio w *Blackwood* o jakimś Oliphancie? Odwrócił kartę i przyjrzał się maszynowo drukowanemu portretowi jasnowłosego dżentelmena, nieco już łysiejącego od czoła. Duże ciemne oczy spaniela, tajemniczy półśmieszek, krótka broda. Z tą brodą i zakolami łysiny wąska czaszka pana Oliphanta wydawała się długa jak u iguanodona.

Mallory wsunął kartę do notesu i rozejrzał się po pokoju. Łóżko zasłały ślady dzisiejszych zakupów: kwity sklepowe, bibułki, pudełka po rękawiczkach i prawidła do butów.

– Proszę przekazać panu Oliphantowi, że spotkam się z nim w holu.

Szybko wrzucił wszystko, co niezbędne, do kieszeni swych nowych spodni, wyszedł, zamknął drzwi na klucz i ruszył korytarzem o białych ścianach udekorowanych okazami skamielin w gablotach między niskimi kolumnami z ciemnego marmuru. Jego nowe buty skrzypiały przy każdym kroku.

* * *

Pan Oliphant, o nieoczekiwanie długich kończynach, ubrany kosztownie i ze smakiem, stał oparty o ladę, plecami do recepcjonisty. Łokcie wsparł na marmurowym kontuarze, a nogi skrzyżował w kostkach. Swobodna poza wyrażała leniwą obojętność sportsmena. Mallory poznał już wielu reporterów, sędów o szalonych spojrzeniach, szukających materiałów na temat wielkiego Lewiatana. Teraz poczuł lekki dreszcz zaciekawienia. Ten człowiek emanował pewnością siebie kogoś o wyjątkowo dobrej pozycji.

Mallory przedstawił się. Odkrył siłę uścisku wąskiej dłoni dziennikarza.

– Przybywam w sprawach Towarzystwa Geograficznego – oznajmił Oliphant dostatecznie głośno, by usłyszała go niedaleka grupka uczonych. – Komitetu Badań. Chciałbym, doktorze Mallory, zasięgnąć u pana porady w pewnej kwestii.

– Oczywiście – zapewnił go Mallory. Królewskie Towarzystwo Geograficzne dysponowało bogatymi funduszami, a potężny Komitet Badań decydował, komu one

przypadną.

– Czy mogę prosić o rozmowę na osobności?

– Naturalnie.

Razem przeszli do salonu, gdzie znaleźli cichy zakątek, częściowo osłonięty chińskim parawanem z laki. Mallory odrzucił w tył poły surduta i usiadł w fotelu. Oliphant zajął miejsce naprzeciw, na skraju czerwonej jedwabnej sofy, plecami do ściany. Spokojnie rozejrzał się po sali i Mallory zrozumiał, że sprawdza, czy nikt nie może ich podsłuchać.

– Wydaje się, że dobrze zna pan Pałac – zagadnął dziennikarza. – Często pan tu bywa w sprawach Komitetu?

– Nie, niezbyt często. Chociaż raz spotkałem się tutaj z pańskim kolegą, profesorem Rudwickiem.

– Ach, Rudwick... No tak, biedaczysko... – Mallory był nieco zirytowany, ale nie zaskoczony, że Rudwick miał kontakty w Towarzystwie Geograficznym. Rudwick rzadko przepuszczał okazję, jeśli mógł wydostać jakieś pieniądze, wszystko jedno z jakiego źródła.

Oliphant pokiwał głową.

– Nie jestem uczonym, doktorze. Szczerze mówiąc, zajmuję się pisanem książek podróżniczych. Nic wielkiego, choć niektóre spotkały się z niejakim zainteresowaniem czytelników.

– Rozumiem.

Mallory nabrał przekonania, że rozpracował już swego rozmówcę: bogaty nierób, dyletant. Najprawdopodobniej z koneksjami. Większość takich gorliwych amatorów była dla nauki całkiem bezwartościowa.

– Widzi pan, doktorze – zaczął Oliphant – w Towarzystwie Geograficznym trwa obecnie gorąca dyskusja w kwestii właściwego doboru tematów. Być może jest pan świadom tej kontrowersji?

– Byłem w Ameryce – wyjaśnił Mallory. – Nie znam najnowszych sensacji.

– Nie wątpię, że bez reszty zajmowały pana wasze własne naukowe kontrowersje. – Uśmiech Oliphanta był rozbijający. – Katastrofa przeciwko Jednostajności. Rudwick często się o tym wypowiadał. Bardzo gorąco, muszę dodać.

– Trudna sprawa – wymamrotał Mallory. – Dość skomplikowana...

– Osobiście uważam argumentację Rudwicka za słabo umotywowaną – rzucił spokojnie Oliphant, ku miłemu zdziwieniu Mallory'ego. Pochlebiło mu, że dziennikarz pochylił się ku niemu w skupieniu. – Pozwoli pan, doktorze, że bardziej szczegółowo wyjaśnię cel mojej wizyty. Pewna grupa w Towarzystwie uważa, że zamiast gnać do Afryki i poszukiwać źródeł Nilu, powinniśmy raczej zająć się źródłami rozwoju naszego społeczeństwa. Czemu ograniczać badania do geografii fizycznej, gdy tak wiele problemów geografii politycznej, czy wręcz moralnej, pozostaje nierozwiązanych?

– Interesujące – przyznał Mallory.

Nie miał pojęcia, do czego może zmierzać rozmówca.

– Jako słynny badacz, co by pan powiedział na następującą propozycję... – Wzrok Oliphanta zdawał się w jakiś niezwykle sposób ogniskować w połowie dzielącego ich dystansu. – Przypuśćmy, drogi panie, że miałby pan badać nie rozległe pustkowia Wyoming, ale określone zaułki naszego Londynu...

Mallory skinął głową i przez moment rozważał myśl, że gość jest obłąkany.

– Czy możliwe byłoby – Oliphant drgnął lekko, jakby hamował swój entuzjazm – przeprowadzenie bezwzględnie obiektywnych badań statystycznych? Czy moglibyśmy opisać nasze społeczeństwo z niespotykaną dotąd dokładnością i głębią? Wyprowadzając nowe reguły z miriadów ruchów i zderzeń mieszkańców, z najdrobniejszych przemieszczeń gotówki z ręki do ręki, z burzliwego przepływu ruchu ulicznego... Kwestie te nazywamy dziś, niezbyt precyzyjnie, sprawami policyjnymi, sprawami służb publicznych, sprawami ochrony zdrowia. Ale jeśli spojrzeć na nie badawcze, nieustępliwe, czujne oko uczonego?

W spojrzeniu Oliphanta jasno zapłonął entuzjazm; nagły wybuch dowodził, że poza znudzonego ignoranta była tylko maska.

– W teorii – przyznał Mallory – takie perspektywy wydają się dość obiecujące. W praktyce jednak wątpię, by towarzystwa naukowe zagwarantowały moc Maszyn niezbędną dla tak szerokiego i ambitnego projektu. Sam długo musiałem walczyć o zgodę na prostą analizę naprężeń odkrytych przeze mnie kości. Popyt na czas Maszyn nie ustaje. A poza tym, dlaczego Towarzystwo Geograficzne miałoby zajmować się tym problemem? Odbierać fundusze koniecznym ekspedycjom zagranicznym? Myślę, że raczej badania zlecone bezpośrednio przez Parlament...

– Rządowi brakuje wizji niezbędnej, by dostrzec intelektualną przygodę. Brakuje obiektywizmu. Przypuśćmy natomiast, że byłyby to Maszyny policyjne zamiast, powiedzmy, należących do Instytutu w Cambridge. Co by pan wtedy powiedział?

– Policyjne Maszyny? – Idea była niezwykle. – Kto mógłby skłonić policję do wypożyczenia swoich Maszyn?

– Nocami często stoją bezczynnie – zauważył Oliphant.

– Doprawdy? – zdziwił się Mallory. – Niech mnie licho... To naprawdę interesujące... Ale gdyby Maszyny owe oddano w służbę nauce, panie Oliphant, z pewnością ich wolny czas zajęłyby szybko inne, ważniejsze projekty. Pańska propozycja wymaga potężnego wsparcia, żeby przesunąć się na początek kolejki.

– Ale w teorii godziłby się pan? – nalegał Oliphant. – Gdyby dostępne były rezerwy, uznałby pan, że temat wart jest wysiłku?

– Zanim aktywnie wsparłbym taki projekt, musiałbym najpierw zobaczyć szczegółowy program. Poza tym wątpię, by mój głos liczył się w Towarzystwie Geograficznym. Nie należę do niego, jak pan wie.

– Nie docenia pan swojej sławy. Nominacja Edwarda Mallory'ego, odkrywcy Lądowego

Lewiatana, bez trudu zyska akceptację.

Mallory'emu zabrakło słów.

– Rudwick został członkiem – dodał gładko Oliphant. – Po tej sprawie z pterodaktylem.

Mallory odchrząknął.

– Jestem pewien, że był godzien...

– Uznam to za zaszczyt, jeśli pozwoli mi pan osobiście dopilnować tej sprawy. Mogę obiecać, że nie będzie żadnych problemów.

Pewność siebie Oliphanta nie dopuszczała wątpliwości. Mallory uświadomił sobie, że to już *fait accompli*. Został chytrze wmanewrowany. Nie mógł już uprzejmie zrezygnować z przysługi, zresztą członkostwo w bogatym i potężnym Towarzystwie Geograficznym było rzeczą nie do pogardzenia. Na pewno pomoże w karierze zawodowej. Oczyma wyobraźni widział już tytuł przy swoim nazwisku: Mallory, członek Towarzystwa Królewskiego i Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

– To ja jestem zaszczycony, drogi panie – rzekł. – Choć obawiam się, że z mojego powodu czyni pan sobie zbyt wiele kłopotów.

– Poważnie interesuję się paleontologią.

– Dziwię się, że autor książek podróżniczych zdradza takie zainteresowania.

Oliphant złożył swe smukłe palce i uniósł je do wąskiej, nagiej górnej wargi.

– Przekonałem się, doktorze Mallory, że „dziennikarz” jest terminem wygodnie niedookreślonym, pozwalającym na spokojne poszukiwanie najrozmaitszych informacji. Z natury jestem człowiekiem o szerokich, choć niestety płytkich zainteresowaniach. – Rozłożył ręce. – Robię co mogę, by być w czymś użytecznym prawdziwym uczonym. Choć wątpię, czy zasłużyłem sobie na obecną, nie szukaną przeze mnie rolę w wewnętrznych kręgach wspaniałego Towarzystwa Geograficznego. Nagle zdobyta sława miewa takie rezultaty.

– Muszę wyznać, że nie znam pańskich książek – oświadczył Mallory. – Byłem za granicą i nie czytałem wiele. Rozumiem jednak, że utrafił pan w gust czytelników i odniósł sukces?

– Nie z powodu książek – odparł Oliphant, zaskoczony i nieco rozbawiony. – Byłem zamieszany w sprawę Poselstwa Tokijskiego. W Japonii. Pod koniec zeszłego roku.

– Ten skandaliczny atak na naszą ambasadę w Japonii? Mam rację? Zraniono dyplomatę? Byłem wtedy w Ameryce...

Oliphant wahał się przez chwilę, po czym zgiął lewą rękę, podwinął rękaw surduta oraz nieskazitelnie biały mankiet i odsłonił nabrzmiałą czerwoną szramę na lewym przegubie. Cięcie noża... Nie, gorzej: cięcie miecza, naruszające ścięgna. Mallory dopiero teraz zauważył, że dwa palce lewej dłoni Oliphanta są stale przykurczone.

– Więc to pan! Laurence Oliphant, bohater Poselstwa Tokijskiego!

Teraz przypominam sobie pańskie nazwisko. – Mallory pogładził brodę. – Powinien pan to umieścić na swojej wizytówce, drogi panie, a natychmiast bym wiedział, z kim mam do

czynienia.

Lekko zakłopotany Oliphant opuścił rękaw.

– Rana od japońskiego miecza dziwnie by wyglądała na *carte d'identité*...

– Trzeba przyznać, że istotnie ma pan szerokie zainteresowania.

– Czasami nie da się uniknąć pewnych powiązań, doktorze Mallory. Dla dobra kraju, jak to mówią. Sądzę, że doskonale pan zna takie sytuacje.

– Obawiam się, że nie całkiem rozumiem...

– Profesor Rudwick, już nieżyjący profesor Rudwick, z całą pewnością wiedziałby, o czym mówię.

Teraz Mallory zrozumiał aluzję Oliphanta.

– Pańska karta – przemówił szorstko – stwierdza, że jest pan dziennikarzem. Nie są to sprawy, o jakich rozmawia się z dziennikarzami.

– Obawiam się, że pański sekret nie jest, niestety, hermetyczny – stwierdził Oliphant z uprzejmą wyższością. – Każdy z uczestników ekspedycji do Wyoming zna prawdę. Piętnastu ludzi, niektórzy z nich mniej dyskretni, niż można by oczekiwać. Ludzie Rudwicka również wiedzieli o jego tajnych operacjach. A ci, którzy zorganizowali całą sprawę, którzy poprosili pana, by zrealizował ich plany, wiedzieli także.

– A skąd pan o tym wie, drogi panie?

– Prowadziłem dochodzenie w sprawie morderstwa Rudwicka.

– Sądzi pan, że jego śmierć miała jakiś związek z jego... działalnością w Ameryce?

– Wiem, że tak właśnie jest.

– Zanim posuniemy się dalej, panie Oliphant, muszę dokładnie wiedzieć, na czym stoimy. Kiedy mówi pan „działalność”, co konkretnie ma pan na myśli? Proszę mówić otwarcie. Proszę określić znaczenie swoich słów.

– Jak pan chce. Mówię tu o pewnej oficjalnej organizacji, która przekonała pana do przemytu samopowtarzalnych karabinów na tereny zamieszkane przez amerykańskich dzikich.

– A jak brzmi nazwa tej organizacji?

– Komisja Wolnego Handlu Towarzystwa Królewskiego – wyjaśnił cierpliwie Oliphant. – Istnieje ona... formalnie... dla studiów nad międzynarodowymi stosunkami handlowymi. Taryfy, inwestycje i tak dalej. Jednak jej ambicje, obawiam się, dalece przerastają te zadania.

– Komisja Wolnego Handlu jest legalnie działającą agencją rządową.

– W dziedzinie dyplomacji, doktorze Mallory, pańskie działania można interpretować jako potajemne uzbrajanie wrogów narodu, z którym Brytania nie znajduje się w stanie wojny.

– Mam zatem wnioskować – wtrącił gniewnie Mallory – że ma pan jak najgorszą opinię o...

– Handlu bronią. Proszę mnie źle nie zrozumieć: ma on swoje miejsce w polityce. –

Oliphant sprawdził, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Ale nie powinni się nim zajmować samozwańczy nadgorliwcy, mający nadmiernie wysoką opinię o swej roli w polityce zagranicznej.

– Nie lubi pan amatorów w tej grze?

Oliphant spojrzał Mallory’emu prosto w oczy, ale milczał.

– Chce pan w niej widzieć zawodowców? Ludzi takich jak pan?

Oliphant pochylił się, wspierając łokcie na kolanach.

– Profesjonalna instytucja – oznajmił zimno – nie porzuca swoich ludzi, by obcy agenci wypruwali im flaki w samym sercu Londynu.

A to, muszę wyznać, doktorze, jest niemal dokładnym opisem sytuacji, w jakiej się pan obecnie znalazł. Komisja Wolnego Handlu już panu nie pomoże, choć bardzo dokładnie wykonał pan ich zalecenia. Nie poinformowali pana nawet, że pańskie życie jest zagrożone. Czy się mylę?

– Francis Rudwick zginął podczas bójki na walkach szczurów. Wiele miesięcy temu.

– W styczniu... to zaledwie pięć miesięcy. Rudwick powrócił z Teksasu, gdzie potajemnie przekazał szczepom Komanczów karabiny wysłane przez pańską Komisję. W noc śmierci Rudwicka ktoś dokonał zamachu na byłego prezydenta Teksasu. Prezydent Houston z trudem uszedł z życiem. Jego sekretarz, obywatel brytyjski, został brutalnie zasztyletowany. Morderca wciąż jest na wolności.

– Myśli pan, że jakiś Teksanńczyk zabił Rudwicka?

– Uważam to niemal za pewnik. Działalność Rudwicka nie była może powszechnie znana tutaj, w Londynie, ale pozostawała całkiem wyraźna dla nieszczęsnych Teksanńczyków, którzy z ciał swoich towarzyszy regularnie wyciągają brytyjskie kule.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki przedstawia pan całą tę sprawę. – Mallory’ego z wolna ogarniał gniew. – Gdybyśmy nie dali im broni, na pewno by nam nie pomogli. A gdyby nie pomoc Cheyennów, kopalibyśmy tam przez całe lata...

– Wątpię, czy taka argumentacja przekona rangera z Teksasu – stwierdził Oliphant. – Wątpię zresztą, czy pojmie ją prasa...

– Nie mam zamiaru rozmawiać z prasą. Żałuję, że zgodziłem się na rozmowę z panem. Najwyraźniej nie jest pan przyjacielem Komisji.

– Wiem o Komisji więcej, niż miałbym na to ochotę. Przyszedłem pana ostrzec, doktorze Mallory, nie prosić o informacje. To ja mówiłem zbyt otwarcie... Ale zostałem do tego zmuszony, gdyż szaleństwa Komisji najwyraźniej zagrażają pańskiemu życiu.

Ten argument miał swoją wagę.

– Słuszne spostrzeżenie – przyznał Mallory. – Ostrzegł mnie pan i jestem panu wdzięczny. – Zastanowił się. – A co z Towarzystwem Geograficznym, panie Oliphant? Jakie zajmuje miejsce w tym wszystkim?

– Czujny i spostrzegawczy podróżnik może służyć interesom swojego kraju, nie

sprzeniewierzając się nauce. Towarzystwo Geograficzne od dawna jest ważnym źródłem informacji wywiadowczych. Mapy, trasy morskie...

– Ale ich nie nazywa pan amatorami, prawda? Chociaż oni też zaglądają ze ślepych latarniami tam, gdzie nie powinni?

Przez chwilę trwało milczenie.

– To są nasi amatorzy – rzekł w końcu oschle Oliphant.

– A na czym dokładnie polega różnica?

– Różnica polega na tym, doktorze Mallory, że amatorzy Komisji są mordowani.

Mallory parsknął gniewnie i opadł na oparcie fotela. Może Oliphant miał nieco racji. Nagła śmierć Rudwicka, jego rywala, najgroźniejszego z przeciwników, zawsze wydawała się nazbyt dogodnym zrządzeniem losu.

– A jak wygląda ten pański teksaski zabójca?

– Opisywano go jako wysokiego, ciemnowłosego i potężnie zbudowanego. Nosi kapelusz z szerokim rondem i długi jasny płaszcz.

– A nie jest przypadkiem takim szczerowatym modnisiem z wyścigów, z wypukłym czołem – Mallory dotknął skroni – i sztyletem w kieszeni?

Oliphant szeroko otworzył oczy.

– Wielkie nieba... – szepnął.

Mallory stwierdził nagle, że całkiem dobrze się bawi. Zaskoczenie tego wymuskanego szpiega poruszyło w nim głęboko ukryte złoże satysfakcji.

– Chciol mi przyłużyć, nicpuń – oświadczył gwarą z Sussex. – W dzień Derby, na wyścigach. Wyjątkowo paskudny łajdak.

– I co się stało?

– To ja mu dołożyłem.

Oliphant przyglądał mu się przez chwilę, wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Jest pan człowiekiem o nieoczekiwanych zdolnościach, doktorze Mallory.

– To samo można powiedzieć o panu. – Mallory urwał na moment. – Ale muszę coś wyznać. Nie wierzę, żeby chodziło mu o mnie. Była z nim kobieta, ulicznica, i razem wzięli pewną damę...

– Proszę mówić dalej – ponaglił Oliphant. – To bardzo ciekawe.

– Niestety, to niemożliwe. Dama, o którą chodzi, to osobistość.

– Pańska dyskrecja wystawia panu jak najlepsze świadectwo. Ale atak nożem to poważne przestępstwo. Zawiadomił pan policję?

– Nie. – Mallory rozkoszował się tłumioną ekscytacją Oliphanta. – Rozumie pan, chodzi o tę damę. Nie chciałem jej narażać.

– A może to była tylko sztuczka, mająca wciągnąć pana w bójkę? Coś podobnego udało się z Rudwickiem, który zginął, jak pan pamięta, podczas walk szczurów.

– Drogi panie – rzekł Mallory. – Tą damą był nie kto inny jak lady Ada Byron.

Oliphant zeszytniał.

– Córka naszego premiera?

– Nie znam innej.

– Trudno zaprzeczyć. – W głosie Oliphanta zabrzmiała nagle dziwna lekkość. – Przychodzi mi jednak do głowy, że wiele kobiet szczyli się podobieństwem do lady Ady, jako że nasza królowa Maszyn jest również królową mody. Tysiące kobiet próbuje ją naśladować.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, panie Oliphant, ale widywałem ją podczas sesji Towarzystwa Królewskiego. Słuchałem jej wykładu o matematyce maszynowej. Na pewno się nie pomyliłem.

Z kieszeni surduta Oliphant wyjął notes w skórzanej oprawie, ułożył go na kolanie, sięgnął po wieczne pióro.

– Proszę mi opowiedzieć o tym wydarzeniu.

– W największym zaufaniu?

– Ma pan moje słowo.

Mallory przedstawił nieco ocenioną wersję faktów. Jak najdokładniej opisał dręczycieli Ady i okoliczności starcia, nie wspominał jednak o drewnianym futerale z francuskimi maszynowymi kartami z kamforowanej celulozy. Uznał to za prywatną sprawę lady i jego. Powierzyła mu ten dziwny skarb i strzeżenie go uważał za swój święty obowiązek. Futerał z kartami, starannie owinięty w bawełnę służącą do pakowania znalezisk, oczekiwał na rozwój wydarzeń ukryty między skamielinami w jednej z osobistych szaf Mallory'ego w Muzeum Geologii Praktycznej.

Oliphant zamknął notes, schował pióro i skinął na kelnera. Ten, rozpoznawszy Mallory'ego, podał hucule-buff i różowy dżin dla przybysza.

– Chciałbym poznać pana z kilkoma moimi przyjaciółmi – rzeki Oliphant. – Centralne Biuro Statystyczne przechowuje bogate akta przestępców: pomiary antropologiczne, maszynowe portrety i tak dalej. Mógłby pan spróbować rozpoznać napastnika i jego współniczkę.

– Bardzo chętnie.

– Zagwarantujemy panu również ochronę policyjną.

– Ochronę?

– Oczywiście nie będzie to prosty policjant. Raczej ktoś z Sekcji Specjalnej. Są bardzo dyskretni.

– Nie chcę, żeby jakiś policjant wiecznie się za mną włóczył – zaprotestował Mallory. – Co ludzie powiedzą?

– Martwiłbym się raczej, co powiedzą, jeśli znajdą pana z rozprutym brzuchem w jakimś zaułku. Dwóch znakomitych znawców dinozaurów, obaj tajemniczo zamordowani? Prasa oszaleje.

– Nie potrzebuję strażnika. Nie boję się tego małego alfonsa.

– Może jest kimś mało znaczącym. Dowiemy się tego, kiedy go pan zidentyfikuje. – Oliphant westchnął lekko. – Bez wątpienia jest to sprawa niewielka, według standardów Imperium. Zgaduję jednak, że wymaga pieniędzy, by opłacić usługi podejrzanych Anglików z mrocznych zaułków Londynu. Wymaga też skrytego wsparcia amerykańskich uchodźców, którzy przybyli tu, uciekając przed rozszarpującymi ich kontynent wojnami.

– I sądzi pan, że lady Ada wplątała się jakoś w te groźne wypadki?

– Nie, drogi panie, to wykluczone. Może pan być pewien, że to – nieprawda. Kobieta, którą pan widział, w żaden sposób nie mogła być Adą Byron.

– Uznaję więc tę sprawę za zamkniętą – odparł Mallory. – Gdyby zapewnił mnie pan, że chodzi o Jady Adę i jej hazardowe zainteresowania, mógłbym się zgodzić. W tej sytuacji jednak zdam się na własne sądy.

– Decyzja należy do pana, ma się rozumieć – stwierdził chłodno Oliphant. – Zresztą gra zbyt krótko się toczy, by podejmować ważne decyzje. Ma pan moją wizytówkę? Proszę mi dać znać, jak się sprawy rozwiną.

– Obiecuję.

Oliphant wstał.

– I gdyby ktoś pytał, proszę pamiętać: dzisiaj omawialiśmy wyłącznie sprawy Towarzystwa Geograficznego.

– Musi pan jeszcze zdradzić mi imiona swoich mocodawców, panie Oliphant. Swoich prawdziwych mocodawców.

Oliphant z powagą pokręcił głową.

– Taka wiedza nigdy nie przynosi korzyści, drogi panie. Z takich pytań rodzą się jedynie kłopoty. Jeśli jest pan rozsądny, doktorze Mallory, nie będzie pan miał więcej do czynienia ze ślepych latarniami.

Przy odrobinie szczęścia cała ta sprawa skończy się niczym, rozplynie się, zniknie bez śladu jak nocny koszmar. Z całą pewnością przedstawię pańską kandydaturę w Towarzystwie Geograficznym, jak obiecałem. I mam nadzieję, że poważnie rozważy pan moją propozycję dotyczącą możliwego wykorzystania Maszyn z Bow Street.

Mallory przyglądał się, jak jego niezwykle gość wstaje, odwraca się i odchodzi po grubym dywanie. Jego długie nogi migały niby nożyce.

* * *

Ściskając w jednej ręce nową walizeczkę, a drugą trzymając się uchwyty nad głową, Mallory przeciskał się przez zatłoczony omnibus na podest wyjściowy. Kiedy szofer zwolnił przed brudnym wozem z asfaltem, Mallory zeskoczył na chodnik.

Mimo starań wsiadł chyba do niewłaściwego omnibusu. A może przejechał za daleko,

zacztyany w najnowszym wydaniu *Westminster Reiriew*? Kupił magazyn, ponieważ drukowali tam artykuł Oliphanta: inteligentne podsumowanie działań podczas wojny krymskiej. Oliphant, jak się okazało, był kimś w rodzaju eksperta od regionu Krymu; opublikował *Rosyjskie brzegi Morza Czarnego* o cały rok przed wybuchem konfliktu; opisał tam swoje przyjemne, choć dość kosztowne wakacje. Wyczulone oko Mallory'ego dostrzegało w nowym artykule liczne przebiegle zamaskowane insynuacje.

Jakiś łobuziak zgarnął mu miotłą gałązki spod stóp. Mallory zdziwiony podniósł głowę.

– Słucham, szefie?

Mallory drgnął i uświadomił sobie, że mówił do siebie. Zamyślony, stał nieruchomo i głośno demaskował przewrotność Oliphanta. Widząc, że na niego patrzy, chłopak wykonał salto do tyłu. Mallory rzucił mu dwupensówkę, odwrócił się i odszedł. Wkrótce znalazł się na Leicester Square; żwirowe alejki i żywopłoty tworzyły idealne miejsce na zasadzkę i kradzież. Zwłaszcza nocą, jako że na okolicznych ulicach roiło się od teatrów, pantomim i magicznych latarni.

Przekroczył Whitcomb, potem Oxenden, wreszcie dotarł na Haymarket – dziwnie wyglądający w jasnym świetle. Nie było śladu wulgarnych ulicznic; pewnie spały w dzień. Powodowany ciekawością, Mallory przeszedł całą długość ulicy. W słońcu sprawiała całkiem inne niż zwykle wrażenie: brudna i zmęczona sama sobą. W końcu, zauważywszy jego powolny krok, zaczepił go jakiś alfons i zaproponował paczkę kondomów, pewnej ochrony przeciw damskiej chorobie.

Mallory kupił je i wrzucił do walizeczki.

Skręcił w lewo i ruszył przez gwar Pall Mail; wzdłuż asfaltowej ulicy stały czarne parkany ekskluzywnych klubów, marmurowe frontony były bezpiecznie oddalone od ulicznego harmidru. Niedaleko stąd, na końcu Waterloo Place, stał pomnik księcia Yorku. Wielki Książę Yorku, Co Miał Dziesięć Tysięcy Ludzi, był teraz odległą, poczerniałą statua, maleńką wobec strzelistych stalowych iglic zarządu Towarzystwa Królewskiego.

Mallory wiedział już, jak ma iść dalej. Kładką dla pieszych przeszedł nad Pall Mail. W dole spoceni robotnicy z chustami na twarzach zrywali nawierzchnię skrzyżowania. Mieli do pomocy koparkę. Zorientował się, że przygotowują miejsce na nowy pomnik, z pewnością głoszący chwałę krymskiej wiktarii. Potem Regent Street dotarł do Circus, gdzie tłum bez końca wylewał się z zakurzonych marmurowych wrót stacji metra. Pozwolił, by porwał go ten bystry ludzki prąd.

Coś cuchnęło straszliwie; kłoczny fetor, ostry jak zapach octu. Przez moment Mallory miał wrażenie, że te miazmaty emanują z samego tłumu, z wycięć surdutów, z butów... Były intensywne jak piekło: jakaś głęboka chemiczna reakcja rozpalonych węgli i gnijących odchodów... Po chwili zdał sobie sprawę, że odór jest wydmuchiwany, wywiewany z trzewi Londynu przez pędzące dołem pociągi. Potem tłum pociągnął go na Jermyn Street i po chwili wąchał już aromatyczne towary magazynu serów Paxtona i Whitfielda. Spiesząc Duke Street,

zapomniał już o fetorze; przystanął na chwilę przed żelaznymi lampami hotelu Cavendish, poprawił zapięcia walizeczki i ruszył do celu, do Muzeum Geologii Praktycznej.

Była to imponująca, solidna budowla, przypominająca raczej fortecę. Mallory sądził, że podobna jest w tym do umysłu swego kustosza. Wbiegł po schodach i zanurzył się w przyjemnym chłódzie wnętrza. Złożył ozdobny podpis na karcie oprawnej w skórę księgi gości i przeszedł przez hol, między lśniącymi szybami mahoniowych gablot. Światło wpadało tu przez wielką kopułę ze szkła i stali; pod nią wisiał w uprząży czyściciel i polerował jedną taflę po drugiej: praca, która – zdaniem Mallory’ego – nie miała końca.

Na parterze muzeum wystawiono kręgowce oraz liczne pouczające ilustracje cudów geologii stratygraficznej. Powyżej, na odgradzonej galerii, w szeregu mniejszych gablot mieściły się okazy bezkręgowców. Grupka zwiedzających była spora, wśród nich zaskakująco wysoka liczba kobiet i dzieci, a także cała klasa zaniedbanych chłopców z rodzin robotniczych, w szkolnych mundurkach jakiejś rządowej akademii. Poważnie i z uwagą przyglądali się eksponatom, słuchając wyjaśnień przewodników w czerwonych marynarkach.

Mallory skręcił w wąskie, nie oznakowane drzwi i ruszył korytarzem między zaryglowanymi odrzwiami magazynów. Na końcu, przez drzwi gabinetu kustosza, usłyszał samotny, władczy głos. Zapukał, a potem słuchał z uśmiechem, jak mówca kończy szczególnie ozdobną figurę retoryczną.

– Wejść – zawołał tamten dopiero wtedy.

Mallory otworzył drzwi, a Thomas Henry Huxley wstał, by go powitać. Podali sobie ręce. Huxley dyktował coś swojemu sekretarzowi, młodemu człowiekowi w okularach, wyglądającemu na ambitnego studenta.

– To na razie wszystko, Harris – rzucił Huxley. – Jeśli można, przyslij tu Reeksa. Niech przyniesie szkice brontozaura.

Sekretarz schował notatki do skórzanej teczki i wyszedł, po drodze kłaniając się Mallory’emu.

– Jak się miewasz, Ned? – Huxley od stóp do głów obejrzał Mallory’ego swymi wąsko osadzonymi, bezlitośnie czujnymi oczami, które odkryły „warstwę Huxleya” u korzeni ludzkich włosów. – Bardzo dobrze wyglądasz. Można by wręcz powiedzieć, że doskonale.

– Miałem trochę szczęścia – wyjaśnił niechętnie Mallory.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczył, jak zza biurka Huxleya wysuwa się mały jasnowłosy chłopczyk w ubranku z marynarskim kołnierzem i spodenkach do kolan.

– Któż to jest?

– Przyszłość. – Huxley uśmiechnął się i wziął dziecko na ręce. – Mój syn Noel przyszedł dzisiaj pomóc ojcu w pracy. Powiedz „dzień dobry” panu doktorowi Mallory’emu.

– Dzień dobry, panie Mellowy – pisał chłopczyk.

– Doktorze Mallory – poprawił go łagodnie Huxley.

Noel szeroko otworzył oczy.

– Jest pan doktorem od leczenia, panie Mellowy?

Ta myśl najwyraźniej go przestraszyła.

– Kiedy ostatnio się widzieliśmy, kawalerze, ledwie umiałeś chodzić. – Mallory zaśmiał się serdecznie. – A teraz widzę, że wyrosłeś na małego dżentelmena. – Wiedział, że Huxley przepada za synem. – A jak tam twój mały braciszek?

– Teraz ma również siostrzyczkę – pochwalił się Huxley, stawiając malca na podłodze. – Przyszła na świat, kiedy byłeś w Wyoming.

– Musisz być bardzo zadowolony, panie Noelu.

Chłopiec uśmiechnął się przelotnie, z ostrożną uprzejmością, i wskoczył na ojcowski fotel. Mallory położył walizeczkę na regale, gdzie oprawne w czerwoną skórę stały dzieła Cuviera w oryginale.

– Mam pewien drobiazg, Thomas, który może cię zainteresować – rzekł, otwierając walizeczkę. – Prezent od Cheyennów.

Pamiętając, by wsunąć kondomy pod *Westminster Review*, wręczył Huxleyowi obwiązany sznurkiem pakunek.

– Mam nadzieję, że to nie jeden z tych okazów etnograficznych – mruknął uśmiechnięty kustosz, rozcinając sznurek nożem do kopert.

– Nie znoszę różnych paciorków i takich tam jeszcze...

W papierze leżało sześć pomarszczonych brązowych płatków wielkości półkoronówek.

– Podarunek od szamana Cheyennów. Specjalnie dla ciebie, Thomas.

– Całkiem jak nasi anglikańscy biskupi... – Huxley uniósł jeden z przedmiotów do światła. – Zasuszona materia roślinna. Kaktus?

– Tak przypuszczam.

– Joseph Hooker z Kew pewnie nam wyjaśni. – Ten szaman całkiem nieźle zrozumiał cel naszej ekspedycji. Co prawda, wyobraził sobie, że chcemy w Anglii ożywić martwego potwora. Powiedział, że te płatki pozwolą ci dotrzeć daleko i sprowadzić z powrotem duszę zwierzęcia.

– A co mam z nimi zrobić? Nawlec na łańcuszek?

– Nie, Thomas. Powinieneś je zjeść. Zjadasz, śpiewasz, łomoczesz w bębny i tańczysz niczym derwisz, póki nie zwalisz się na ziemię. Jak rozumiem, takie są standardowe metody. – Mallory parsknął śmiechem.

– Pewne roślinne toksyny mają zdolność wywoływania wizji – zauważył Huxley i ostrożnie schował płatki do szuflady. – Dziękuję ci, Ned. Później dopilnuję, żeby zostały właściwie skatalogowane. Obawiam się, że nawał zajęć zatrzymał naszego Reeksa. Zwykle jest bardziej punktualny.

– Sporo ludzi dzisiaj przyszło – rzucił Mallory, by wypełnić jakoś ciszę.

Syn Huxleya wyjął z kieszeni cukierka i teraz rozwijał go z chirurgiczną precyzją.

– A tak... – przyznał Huxley. – Brytyjskie muzea to nasze fortece intelektu, jak to

elokwentnie określił jeden z posłów. Nie ma co zaprzeczać: edukacja, i to masowa edukacja, jest obecnie naszym najważniejszym zadaniem. Chociaż bywają takie dni, kiedy mam ochotę rzucić wszystko i ruszyć w teren, jak ty.

– Jesteś tu potrzebny, Thomas.

– Ciągłe mi to powtarzają... Próbuję się stąd wyrwać, przynajmniej raz w roku. Zwykle do Walii, żeby pochodzić po górach. To odświeża umysł. – Huxley urwał na chwilę. – Czy wiesz, że mam zostać lordem?

– Nie! – wykrzyknął zachwycony Mallory. – Tom Huxley lordem!

Coś takiego! Wspaniała wiadomość.

Huxley był dziwnie posępny.

– W Towarzystwie spotkałem lorda Forbesa. „No cóż”, mówi do mnie, „cieszę się, mogąc powiadomić, że znajdzie się pan w Izbie Lordów; w piątek zapadła decyzja i słyszałem, że jest pan jednym z wybranych”. – Huxley bez żadnego wysiłku naśladował gesty Forbesa, jego sposób wymowy, nawet barwę głosu. – Nie widziałem jeszcze listy, ale autorytet Forbesa wydaje się tu pewną gwarancją.

– Oczywiście – zapewnił Mallory. – Dzielny chłop z tego Forbesa!

– Ale nie będę do końca pewien, dopóki nie otrzymam oficjalnego – potwierdzenia. Przyznam ci się, Ned, że trochę się obawiam. Premier nie cieszy się ostatnio najlepszym zdrowiem.

– Tak... Szkoda, że zachorował... Ale dlaczego cię to martwi? Twoje dokonania mówią same za siebie.

Huxley pokręcił głową.

– Ta chwila wydaje się dobrana nieprzypadkowo. Podejrzewam w tym plan Babbage’a i jego elitarnego towarzystwa, ostatnią próbę wprowadzenia do Izby Lordów naukowców i uczonych, póki Byron jeszcze wszystkim rządzi.

– To zbyt mroczne podejrzenia. W debacie byłeś przecież największym obrońcą ewolucji. Czemuż powątpiewać w wyroki losu?

Moim zdaniem to po prostu sprawiedliwość.

Gestem znamionującym głęboką powagę, Huxley położył dłonie na klapach surduta.

– Czy otrzymam tytuł lordowski, czy nie, mogę powiedzieć jedno: moja sprawa nie wymaga wsparcia. Nie prosiłem o szczególne przywileje. Jeśli zostanę lordem, to nie dzięki intrydze.

– Intryga w ogóle nie wchodzi w grę! – oświadczył Mallory.

– Ależ oczywiście, że wchodzi – rzucił gniewnie Huxley. – Chociaż nie usłyszysz, bym to przyznał publicznie. – Zniżył głos. – Ale znamy się przecież od wielu lat. Uważam cię za sprzymierzeńca, Ned, za przyjaciela prawdy.

Zaczął krążyć tam i z powrotem po tureckim dywanie przed biurkiem.

– Nasza fałszywa skromność nie ma sensu wobec materii tak poważnej. Mamy do

wypełnienia pewne obowiązki: wobec siebie, wobec zewnętrznego świata i wobec nauki. Chłoniemy sławę, co nie jest wielką przyjemnością, i znosimy niezliczone trudności, wśród nich sporo niewątpliwych cierpień. Cierpień, a nawet zagrożeń.

Mallory'ego wzburzyły zarówno nieoczekiwane wieści, jak i nieoczekiwane wyznania Huxleya. Ale Huxley zawsze był taki, pomyślał. Jeszcze jako student. Zawsze impetyczny i szczery. Po raz Pierwszy od powrotu z Kanady Mallory poczuł, że znowu trafił do swego prawdziwego świata, na jaśniejszy, wyższy poziom, gdzie przebywał umysł Huxleya.

– Jakiego to rodzaju zagrożenia? – spytał po chwili.

– Moralne. Ale i fizyczne. Walka o władzę zawsze rodzi niebezpieczeństwa. Władza lordów jest zjawiskiem politycznym. Partia i rząd, Ned. Pieniądze i prawo. Pokusa, być może nikczemne kompromisy... Rezerwy państwa są skończone; trwa ostre współzawodnictwo. Nisza nauki i edukacji musi być obroniona... Nie, poszerzona! – Huxley uśmiechnął się smętnie. – Ktoś musi własną ręką wyrwać pokrzywę. Alternatywą jest milczeć i pozwolić, by diabeł zwyciężył w świecie, który nadejdzie. Ale ja raczej pęknię na kawałki, niż pozwolę na prostytuowanie nauki!

Zaskoczony otwartością Huxleya, Mallory zerknął na chłopca, który ssał cukierka i stukał lśniącoymi bucikami o nogi krzesła.

– Jesteś odpowiednim człowiekiem do tych zadań, Thomas – zapewnił Mallory. – Wiesz chyba, że gdyby zaszła potrzeba, zawsze możesz liczyć na wszelką pomoc, jakiej zdołam ci udzielić.

– Miło to słyszeć, Ned. Wierzę w twoją szczerość i upór w dążeniu do celu. Dowiodłeś ich jasno podczas dwóch lat ciężkiej pracy na pustkowiach Wyoming. A przecież każdego tygodnia widuję ludzi, którzy głoszą wielkie oddanie nauce, a marzą tylko o złotych medalach i profesorskich biretach.

Huxley coraz szybciej krążył po pokoju.

– Ohydne miazmaty hipokryzji, oszustw i egoizmu otaczają dziś wszystko w Anglii. – Znieruchomiał nagle. – Wiesz, Ned, czasem wydaje mi się, że sam jestem nimi skażony, i taka możliwość napędza mnie straszliwym lękiem.

– Nigdy! – zapewnił go Mallory.

– Dobrze, że znowu znalazłeś się wśród nas. – Huxley podjął swój spacer. – W dodatku jesteś sławny... To jeszcze lepiej. Musimy wykorzystać tę okoliczność. Powinieneś napisać książkę, dokładny opis waszych doświadczeń.

– Dziwne, że o tym wspomniałeś. Właśnie mam w teczce taką – książkę: *Misja do Chin i Japonii*, autorstwa Laurence'a Oliphanta. Wydaje się bardzo inteligentny.

– Oliphant z Geograficznego? Ten człowiek to beznadziejny przypadek: o połowę za sprytny i kłamie jak polityk. Nie, proponuję coś prostszego, co zrozumie nawet mechanik. Wiesz, taki, który wstawia do salonu meble z Pembroke i fajansowego pasterza z pasterką. Zapewniam cię, Ned, że to bardzo ważna sprawa. No i pieniądze...

Mallory zaniepokoił się.

– Może i nieźle przemawiam, kiedy już się rozgrzeję... Ale żeby z zimną krwią napisać całą książkę...

– Znajdziemy ci jakiegoś gryziopórka z Grub Street, żeby wygładził co bardziej szorstkie fragmenty. Wierz mi, to ogólnie stosowana metoda. Ten Disraeli, którego ojciec założył *Kwartalnik Disraeliego*. Słyszałeś... Trochę wariat. Píše powieści sensacyjne. Śmiecie. Ale kiedy jest trzeźwy, można mu zlecić taką pracę.

– Benjamin Disraeli? Moja siostra Agatha uwielbia jego romanse.

Coś w skinięciu głową Huxleya miało zapewne uświadomić Mallory'emu, że kobieta z klanu Huxleyów za żadne skarby nie dałaby się przyłapać z popularną powieścią w rękę.

– Musimy jeszcze porozmawiać o sympozjum w Towarzystwie Królewskim, o twoim wykładzie na temat brontozaura. To będzie wielka okazja, Ned, i możliwość zaapelowania do szerszej publiczności. Czy masz jakąś dobrą fotografię dla prasy?

– Raczej nie...

– Więc musisz zajrzeć do Maulla i Polyblanka, dagerotypistów arystokracji.

– Zapamiętam.

Huxley podszedł do tablicy w mahoniowej ramie i sięgnął po kredę w srebrnym uchwycie. *Maull & Polyblank*, wypisał zamasytą kursywą.

Odwrócił się.

– Będzie ci także potrzebny kinotropista i znam akurat odpowiedniego. Często pracuje dla Towarzystwa. Ma skłonności do ozdobników, więc swoim dziurkowaniem może ci odebrać publiczność, jeśli tylko zobaczy szansę. Każdą żyłę wypełnia złotem, jak to określa. Ale to inteligentny człowiek. *John Keats*, zapisał.

– Jesteś nieoceniony, Thomas! Huxley zawahał się.

– Jest jeszcze jedna sprawa, Ned. Lękam się o niej wspomnieć.

– A to dlaczego?

– Nie chciałbym zranić twoich uczuć. Mallory uśmiechnął się z przymusem.

– Wiem, że nie jestem wielkim mówcą, ale dotąd jakoś dawałem sobie radę.

Huxley pomyślał chwilę i nagle uniósł rękę. – Jak byś to nazwał? – zapytał.

– Nazwałbym to kawałkiem kredy – odparł Mallory, żeby go zadowolić.

– *Krydy?*

– Kredy – powtórzył Mallory.

– Musimy coś zrobić z tymi twoimi samogłoskami, Ned. Znam pewnego fachowca, elokucjonistę. Bardzo dyskretny. Właściwie Francuz, ale mówi najwspanialszym angielskim, jaki w życiu słyszałeś. Tydzień lekcji u niego zdziała cuda.

Mallory zmarszczył brwi.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że potrzebuję aż cudów?

– Ależ skąd! To prosta sprawa właściwie przeszkolonego ucha. Byłbyś zdumiony,

wiedząc, jak wielu znanych mówców bywa u tego dżentelmena. – *Jules D'Alembert*, wypisał Huxley. – Jego lekcje są może dość drogie, ale...

Mallory zapisał nazwisko.

Ktoś zapukał do drzwi. Huxley starł tablicę oprawnym w heban filcem.

– Wejść! – zawołał. W progu stanął krępy mężczyzna w poplamionym gipsem fartuchu. – Pamiętasz zapewne pana Trenhama Reeksa, naszego młodszego kustosa.

Reeks wsunął pod pachę zwój papierów i podał Mallory'emu dłoń. Od kiedy widzieli się ostatnio, stracił trochę włosów i przybrał na wadze.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Męczymy się w pracowni nad odlewami tych kręgów. Zdumiewająca struktura. Sama jej skala powoduje nieprzewidziane problemy.

Huxley oczyścił blat biurka. Noel pociągnął ojca za rękaw i szepnął coś.

– No trudno – rzekł Huxley. – Przepraszam na moment, panowie. Wyprowadził chłopca z gabinetu.

– Gratuluję awansu, panie Reeks – rzekł Mallory.

– Dziękuję. – Reeks rozwinął plik i wcisnął na nos *pince-nez*. – Dziękuję również za to wspaniałe odkrycie. Choć muszę przyznać, że jego wielkość stanowi wyzwanie dla naszych murów. – Rozłożył arkusz papieru. – Jak pan widzi.

Mallory przyjrzał się rysunkowi: plan głównego holu muzeum z nałożonym szkicem szkieletu Lewiatana.

– Gdzie czaszka? – zapytał.

– Szyja sięga do korytarza wejściowego – wyjaśnił z dumą Reeks. – Musieliśmy przenieść kilka szaf...

– Czy ma pan widok z boku?

Reeks wyjął kolejny szkic. Mallory przestudiował go ze zmarszczonym czołem.

– Kto pana upoważnił do takiego ułożenia?

– Na razie opublikowano tylko kilka prac o tym stworze – odparł Reeks urażony. – Najdłuższa i najdokładniejsza jest dziełem doktora Foulke'a, w ostatnim numerze *Protokołów*.

Spod papierów wyjął egzemplarz. Mallory odsunął go niecierpliwie.

– Foulke zupełnie zniekształcił charakter tego eksponatu.

– Reputacja doktora Foulke'a... – Reeks zamrugnął niepewnie.

– Foulke jest uniformitarianinem! Był współpracownikiem Rudnicka i jego najwierniejszym sprzymierzeńcem! Artykuł Foulke'a to stek absurdów! Twierdzi tu, że bestia była zimnokrwista i żyła częściowo w wodzie! Że odżywiała się miękkimi wodorostami i poruszała niezgrabnie.

– Ale istota takich rozmiarów, doktorze Mallory, o tak straszliwym ciężarze... Wydaje się, że życie wodne, dla podtrzymania masy ciała...

– Rozumiem – przerwał Mallory. Z trudem nad sobą panował. Nie warto złościć się na

biednego Reeksa: był przecież tylko pracownikiem, który nie znał się na rzeczy, a chciał jak najlepiej. – To wyjaśnia, dlaczego tak wyciągnął mu pan szyję, niemal na poziomie podłogi... A także jaszczurcze... nie, płazie ułożenie stawów.

– Tak jest. Można sobie wyobrazić, jak głową na długiej szyi zbiera wodną roślinność. Nieczęsto jest zmuszony do przemieszczania tego wielkiego cielska zbyt daleko albo zbyt szybko. Chyba że zechce oddalić się od drapieżców, gdyby znalazł się jakiś dostatecznie głodny, by zaatakować takiego potwora.

– Panie Reeks, ten stwór nie był jakąś miękką salamandrą. Stał się pan ofiarą błędu naukowego. Ten stwór przypominał raczej dzisiejszego słonia albo żyrafę, ale w skali o wiele większej. Ewolucja przystosowała go do zrywania i pożerania koron drzew.

Mallory chwycił ołówek i zaczął rysować, szybko i sprawnie.

– Wiele czasu spędzał na tylnych nogach, wsparty na ogonie. z głową wysoko nad ziemią. Proszę zwrócić uwagę na zgrubienie kręgów ogonowych. To pewny znak ogromnego nacisku, pochodzącego z dwunożnej postawy. – Stuknął palcem w schemat i mówił dalej. – Stado tych zwierząt mogło w krótkim czasie zniszczyć cały las. One migrowały, panie Reeks, tak jak słonie; pokonywały ogromne odległości i to szybko, a po drodze ich apetyty zmieniały okolicę w pustynię. Brontozaur miał postawę wyprostowaną, z wąskim pasem barkowym i nogami w ułożeniu pionowym, umożliwiającym szybki marsz z wyprostowanymi kolanami, na podobieństwo słonia. Żadnych żabich łap.

– Wzorowałem jego postawę na krokodylu – zaprotestował Reeks.

– Instytut Analizy Maszynowej w Cambridge zakończył badania – naprężeń. – Mallory sięgnął do walizeczki i rzucił na biurko złożoną wstęgę wydruku. – Z nogami w tak absurdalnej pozycji zwierzę nie mogłoby nawet przez moment ustać na suchym lądzie.

– No właśnie – zauważył cicho Reeks. – To argument za hipotezą życia w wodzie.

– Proszę spojrzeć na jego palce! Są potężne jak fundamenty, bez śladu błony pławnej; to nie są stopy zwierzęcia pływającego. Proszę spojrzeć na kryzy kręgów lędźwiowych! To zwierzę zginało się w biodrach, by sięgnąć wyżej. Jak dźwig budowlany!

Reeks przetarł chusteczką swój *pince-nez*.

– Doktor Foulke nie będzie tym zachwycony – stwierdził. – Ani jego koledzy, śmiem zauważyć.

– Jeszcze z nimi nie zacząłem...

Huxley wszedł do gabinetu, prowadząc za rękę syna. Przyjrzał się obu mężczyznom.

– No tak. – Westchnął. – Widzę, że dyskusja się toczy.

– Chodzi o te bzdury Foulke'a – wyjaśnił Mallory. – Postanowił chyba wykazać, że dinozaury nie były zdolne do życia. Przedstawił mojego Lewiatana jako pływającego ślimaka, który wysysa zielsko z jakiegoś stawu.

– Musisz przyznać, że nie miał wielkiego mózgu.

– Nie wynika z tego, że był ociężały. Wszyscy się zgadzają, że dinozaur Rudwicka mógł

latać. Te stworzenia były szybkie i aktywne.

– Teraz, kiedy Rudwicka już nie ma, pojawiły się poglądy rewidujące jego teorie – poinformował Huxley. – Niektórzy twierdzą, że jego latający gad mógł co najwyżej szybować.

Ze względu na obecność dziecka, Mallory zduślił w ustach przekleństwo.

– No cóż, wszystko sprowadza się do podstawowej teorii. Frakcja uniformitariańska chce przedstawić dinozaury jako tępe i powolne.

Pasowałyby wtedy do ich krzywej stopniowego rozwoju, powolnego postępu aż po dzień dzisiejszy. Podczas gdy uznawszy rolę Katastrofy, godzisz się na wyższy poziom Darwinowskiego przystosowania tych zwierząt, choć może to razić próżność maleńkich współczesnych ssaków w rodzaju Foulke’a i jego popleczników. Huxley usiadł i wsparł głowę na dłoni.

– Nie zgadzasz się z takim ustawieniem eksponatu?

– Doktor Mallory wolałby chyba umieścić gada w pozycji stojącej – wtrącił Reeks. – Gotowego do spożycia czubka drzewa.

– Czy taka pozycja jest możliwa, panie Reeks?

Reeks był wyraźnie zaskoczony. Wsunął *pince-nez* do kieszeni pod fartuchem. Podrapał się po głowie.

– To chyba możliwe. Gdybyśmy ustawili go pod świetlikiem i umocowali do belek stropowych... Może trzeba by zgjąć mu szyję... Moglibyśmy skierować głowę w stronę zwiedzających! To by był dramatyczny efekt!

– Kęs dla Cerbera popularności – mruknął Huxley. – Chociaż o groźnych konsekwencjach dla nadwyrężonych nerwów paleontologii. Wyznaję, że nie czuję się na siłach rozstrzygnąć tej dyskusji.

Nie czytałem pracy Foulke’a, a ty, Ned, masz dopiero napisać coś na ten temat. A nie chciałbym podgrzewać debaty o Katastrofie. *Natura non facit saltum*.

– Ale Natura naprawdę dokonuje przeskoków – sprzeciwił się Mallory. – Dowodzą tego maszynowe symulacje. Złożone systemy zdolne są do nagłych transformacji.

– Dajmy spokój teorii. Co możesz wywnioskować z dostępnych w tej chwili dowodów?

– Mogę tę teorię zaprezentować jako bardzo prawdopodobną. I zrobię to podczas publicznego wykładu. Może nie jako całkiem pewną, ale to i tak lepiej niż moi przeciwnicy.

– Czy zaryzykujesz dla niej swoją naukową reputację? Czy przemyślałeś sobie wszystkie pytania, wszystkie obiekcje?

– Mogę się mylić – przyznał Mallory. – Ale na pewno nie tak absolutnie i całkowicie jak oni.

Huxley zastukał piórem o biurko.

– A gdybym zapytał... to sprawa elementarna... w jaki sposób brontozaur spożywał listowie drzew? Głowę ma niewiele większą niż koń, a zęby wyjątkowo marne.

– On nie przeżuwał zębami. Miał drugi żołądek. Sądząc po wielkości klatki piersiowej, organ ów był długi na jard i ważył ponad sto funtów. Sto funtów żołądka to większa siła mięśni niż szczęki czterech słoni.

– A po co gadowi taka ilość pożywienia?

– Nie był ciepłokrwisty w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale miał wysokie tempo metabolizmu. Wszystko wynika ze stosunku powierzchni do objętości. Ciało o tak wielkiej masie zachowuje ciepło nawet przy złej pogodzie. – Mallory uśmiechnął się. – Równania nie są trudne. Potrzebna była zaledwie godzina pracy jednej z mniejszych Maszyn Towarzystwa.

– Ta sprawa wywoła kłopoty – mruknął Huxley.

– Czy mamy pozwolić, by polityka stawiała na drodze prawdy?

– *Touche!* Pokonał nas, panie Reeks. Obawiam się, że musi pan zmienić swoje tak pracochłonne plany.

– Chłopcy w pracowni lubią takie wyzwania – zapewnił lojalnie Reeks. – I jeśli wolno mi zauważyć, doktorze Huxley, kontrowersja cudownie wpływa na frekwencję.

– Jeszcze jeden drobiazg – wtrącił pospiesznie Mallory. – Chodzi o stan czaszki. Niestety, jest rozbita na wiele fragmentów. Składanie jej wymaga dokładnych studiów i, w pewnym zakresie, domysłów. Kiedy przyjdzie na nią kolej, chciałbym przyłączyć się do pana w pracowni, panie Reeks.

– Oczywiście. Dopilnuję, żeby otrzymał pan klucz.

– Lord Gideon Mantell nauczył mnie wszystkiego, co wiem o modelowaniu gipsu – oświadczył Mallory nostalgicznie. – Zbyt wiele czasu minęło, odkąd zajmowałem się tym godnym rzemiosłem. Sprawi mi wielką przyjemność obserwacja najnowocześniejszych metod w tak przykładowym otoczeniu.

Huxley uśmiechnął się z lekkim powątpiewaniem.

– Mam nadzieję, Ned, że zdołamy cię zadowolić.

* * *

Ocierając kark chusteczką, Mallory smętnie przyglądał się budynkowi Centralnego Biura Statystycznego.

Starożytny Egipt był martwy od dwudziestu pięciu stuleci, ale Mallory poznał go w dostatecznym stopniu, by go nie lubić. Francuskie prace ziemne przy kopaniu Kanału Sueskiego były heroicznym wysiłkiem, a w efekcie wszystko, co egipskie, stało się w Paryżu modne. Szał ogarnął także Brytanię; kraj zalała fala spinek ze skarabeuszami, imbryków ze skrzydłami sokoła, okropnych stereogramów powalonych obelisków i miniaterek beznosego Sfinksa z imitacji marmuru. Manufaktury maszynowo haftowały na zasłonach, dywanach i kapach powozów całe stada zwierzęcogłowych pogańskich bóstw, napelniających Mallory’ego głębokim niesmakiem. Szczególnie nie znosił całego bełkotu na temat piramid:

ruin wzbudzających taki właśnie tępy podziw, jaki najbardziej raził jego intelekt.

Oczywiście, z zachwytem czytał o inżynierskich dokonaniach w Suezie. Z braku węgla Francuzi palili w kotłach ogromnych koparek mumiami nasyconymi bituminem, które układano w sagi i sprzedawano na tony. Mimo to niechętnie patrzył, jak wiele miejsca zajmuje w geograficznych pismach egiptologia.

Budynek Centralnego Biura Statystycznego, zbliżony w kształcie do piramidy, o wyraźnie egipskich zdobieniach, tkwił w administracyjnym sercu Westminsteru. Najwyższe kondygnacje zwały się ku wapiennemu wierzchołkowi. Dla zyskania przestrzeni, dolna część była wypukła niczym wielki kamienny brokuł. Ściany, przebijane przez wysokie kominy, podtrzymywały las wirujących wentylatorów o łopatkach irtująco podobnych do sokolich skrzydeł. Cały ten ogromny stos od ziemi po dach oplatany był grubymi czarnymi kablami telegraficznymi, wnikałymi do wnętrza, jak gdyby pojedyncze strumienie informacji o Imperium przewiercały lity kamień. Gęsta winorośl przewodów opadała w dół z klamer i kanałów, przypominając olinowania statków w zatłoczonym porcie.

Mallory przeszedł po gorącym, lepkiem asfalcie Horseferry Road, uważając na odchody gołębi, które stadami obsiadły płataninę kabli.

Forteczne drzwi budynku, obramowane kolumnami z kwiatami lotosu u szczytu i stylizowanymi na brytyjską modłę sfinksami, wyrastały na jakieś dwadzieścia stóp. Mniejsze robocze furtki wstawiono w narożnikach. Ponury Mallory wkroczył w chłodny półmrok i delikatny, ale wszechobecny zapach sody i oleju lnianego. Za sobą pozostawił bulgocącą zupe Londynu.

W przekłętym budynku nie było okien. Egipskie lampy rozjaśniały ciemność płomykami gazu odbitymi od wachlarzowatych zwierciadeł.

Przy biurku recepcji okazał kartę obywatelską. Urzędnik – a może ktoś w rodzaju policjanta, gdyż po wojskowemu nosił uniform Biura – starannie zanotował cel wizyty. Sięgnął po maszynowo drukowany plan budynku i krętą czerwoną linią wyrysował trasę Mallory'ego.

Mallory, wciąż wzburzony po porannym spotkaniu z Komitetem Nominacji Towarzystwa Geograficznego, podziękował mu może nieco zbyt szorstko. W jakiś sposób – nie wiedział, za jakie sznurki pociągnięto za sceną, ale intryga była oczywista – Foulke zdoła się wśliznąć do Komitetu. Foulke, którego teoria brontozaura jako stworzenia wodnego została odrzucona przez muzeum Huxleya, uznał hipotezę lądowego roślinożercy za osobisty atak. W rezultacie miła formalność zmieniła się w kolejny publiczny sąd nad radykalnym Katastrofizmem. Mallory uzyskał w końcu członkostwo Towarzystwa, jako że Oliphant zbyt dobrze przygotował grunt, by miała się powieść rozpaczliwa próba Foulke'a, ale wciąż był zirytowany. Wyczuwał, że ucierpiała jego reputacja. Dr Edward Mallory – „Lewiatan Mallory”, jak uparcie nazywała go brukowa prasa – musiał się wydać człowiekiem fanatycznym, wręcz małostkowym. I to w oczach znanych geografów najwyższej klasy, ludzi

takich jak Burton z Mekki czy Elliot z Kongo.

Maszerował zgodnie ze wskazówkami planu, mrucząc gniewnie pod nosem. Bogowie naukowych wojen wyraźnie mu nie sprzyjali. Nie tak, jak Thomasowi Huxleyowi. Starcia Huxleya z potężnymi przeciwnikami zyskały mu tylko sławę czarodzieja dyskusji, losem zaś Mallory'ego była wędrówka po tym mrocznym mauzoleum, gdzie miał nadzieję zidentyfikować nędznego alfonsa z wyścigów.

Za pierwszym zakrętem natrafił na marmurową płaskorzeźbę przedstawiającą biblijną Plagę Żab – ilustrację jednej z jego ulubionych opowieści. Zatrzymał się, by popatrzeć, i został niemal przewrócony przez stalowy wózek załadowany po burty plikami czystych kart do Maszyny.

– Przejdźcie! – zawołał goniec w sukiennej marynarce z mosiężnymi guzikami i pocztowej czapce z numerkiem.

Mallory spostrzegł ze zdumieniem, że człowiek ten nosi buty na kółkach: wysokie i sznurowane, z umocowanymi miniaturowymi osiami i bezszprychowymi rolkami z kauczuku. Przemknął korytarzem, bez wysiłku kierując ciężkim wózkiem, i zniknął za rogiem.

Mallory minął korytarz zablokowany pomalowanymi w jaskrawe pasy drewnianymi krzyżakami. W rozjaśnianym gazowym światłem półmroku pełzała wolno na czworakach para wariatek: dwie kobiety w średnim wieku, okryte od stóp do głów nieskazitelną bielą, w ciasnych turbanach kryjących włosy. Z tej odległości ich ubrania sprawiały nieprzyjemne wrażenie – wyglądały jak całuny. Jedna z nich podniosła się nagle ociężale i zaczęła starannie przecierać sufit gąbką na teleskopowym drągu.

To były sprzątaczkі.

Podążając zaznaczoną na planie drogą, dotarł do windy. Człowiek w uniformie przewiózł go na inne piętro. Powietrze było tu suche i nieruchome, a na korytarzach widział więcej ludzi. Pojawili się znowu ci dziwni policjanci Biura, a wśród nich poważni z wyglądu dżentelmeni: może adwokaci czy radcy, prawnicy wielkich kapitalistów – ludzie, do których zadań należało zdobywanie i przechowywanie wiedzy o zachowaniach i reakcjach ludności. Krótko mówiąc, ludzie z kręgów polityki, zajmujący się wyłącznie tym, co niematerialne. I chociaż zapewne mieli żony, dzieci i własne domy, tutaj sprawiali wrażenie widm albo upiórów.

Kilka jardów dalej Mallory musiał odskoczyć przed kolejnym posłańcem na kółkach. Oparł się o dekoracyjną żelazną kolumnę... Metal sparzył mu dłoń. Mimo bogatych ornamentów w kształcie kwiatów lotosu, kolumna była przewodem kominowym. Ze środka dobiegał stłumiony huk i stukot źle umocowanej rury.

Raz jeszcze zerknął na plan i skręcił w korytarz, gdzie po obu stronach zobaczył drzwi do gabinetów. Między nimi chodzili urzędnicy w białych fartuchach, przepuszczając młodych gońców z wózkami pełnymi kart. Gazowe płomienie dawały tu więcej światła, ale migotały w nieustannym przeciągu. Mallory obejrzał się przez ramię: na końcu korytarza stał gigantyczny

stalowy wentylator. Naoliwiony łańcuch zgrzytał lekko, napędzany niewidocznym motorem ukrytym w trzewiach piramidy.

Mallory zaczynał odczuwać oszołomienie. Najpewniej wszystko to jest jedną wielką pomyłką. Z pewnością istnieją lepsze sposoby wyjaśnienia tajemnicy dnia Derby niż ściganie alfonsów przy pomocy jakiegoś znajomego biurokraty Oliphanta. Dławiło go powietrze w tym budynku: rozgrzane, sterylne i martwe; podłogi i ściany wypolerowane i lśniące. Nigdy jeszcze nie widział pomieszczeń tak całkowicie wolnych od zwykłego kurzu. Te korytarze coś mu przypominały, inną wyprawę przez labirynt...

Lord Darwin...

Mallory spacerował kiedyś z wielkim uczonym po ocienionych, otoczonych żywopłotem alejkach Kentu. Darwin kłuł łaską wilgotną glebę i mówił, mówił – bez końca, metodycznie, straszliwie szczegółowo – o dżdżownicach. Niewidocznych dżdżownicach, bezustannie pracujących pod ziemią, tak że nawet największe głazy zapadają się powoli... Darwin mierzył prędkość tego procesu w Stonehenge, próbując ustalić wiek starożytnych menhirów.

Mallory szarpnął się za brodę, zapominając o planie w dłoni. Nawiedziła go wizja dżdżownic wijących się w rozpaczliwym pośpiechu, aż gleba faluje i wrze niczym wywar w kotle czarownic.

W ciągu lat, może nawet miesięcy, wszelkie pomniki powolniejszych eonów opadną jak wraki okrętów na skałę macierzystą...

– Czy mógłbym w czymś pomóc?

Mallory ocknął się nagle. Przed nim stał urzędnik w białym fartuchu i zza okularów przyglądał mu się podejrzliwie. Mallory rozejrzał się oszołomiony. Przez jedną cudowną chwilę znalazł się na krawędzi objawienia, ale teraz zniknęło, żałośnie nieciekawe, jak nieudane kichnięcie.

Co gorsza uświadomił sobie, że znowu mówił do siebie. Zapewne o dżdżownicach.

Z ponurą miną podał urzędnikowi mapę.

– Szukam KI-50 na Poziomie 5.

– To Kryminologia Ilościowa, sir. Tu są Badania Profilaktyczne. – Wskazał tabliczkę zawieszoną na najbliższych drzwiach.

Mallory kiwnął głową.

– KI znajdzie pan za Analizą Nieliniową, zaraz za rogiem na prawo.

Mallory ruszył przed siebie. Czuł na karku sceptyczny wzrok urzędnika.

Sekcja KI okazała się pszczelim plastrem maleńkich komórek. Sięgające na wysokość ramienia ścianki zakrywały niezliczone, wyłożone azbestem półki. Za pochyłymi blatami urzędnicy w fartuchach i rękawiczkach badali i poprawiali karty. Używali całej gamy specjalistycznych dziurkarskich narzędzi: szczypiec, żabek, kolorowych znaczników, jubilerskich lup, naoliwionej bibułki i gumowych uchwytów. Widok tych znajomych zajęć poprawił Mallory'emu nastrój.

KI-50 okazał się gabinetem podsekretarza działu Kryminologii Ilościowej. Oliphant powiedział, że człowiek ów nazywa się Wakefield.

Pan Wakefield nie miał swojego biurka, a raczej jego biurko obejmowało i pochłaniało cały gabinet, a on sam pracował w jego wnętrzu. Pulpity na chytrym systemie zawiasów wysuwały się ze ścian, potem znikwały znowu pośród niezwyklej kolekcji wyspecjalizowanego sprzętu biurowego. Były tam stojaki z prasą, segregatory z pocztą, wielkie wysuwane kartoteki, katalogi, książki kodów, przewodniki dziurkarskie, skomplikowany wielotarczowy zegar i trzy tarcze telegrafu, których lśniąco igły przebiegały po literach alfabetu, a drukarki pracownice perforowały taśmę.

Sam Wakefield okazał się bladym Szkotem o jasnych, przerzedzonych włosach. Może i nie uciekał spojrzeniem, ale z pewnością oczy miał bardzo ruchliwe. Wyraźny przodozgrzyz naruszał linię dolnej wargi.

Mallory'emu wydał się niezwykle młody jak na swoje stanowisko – miał najwyżej czterdziestkę. Bez wątplenia, jak większość zdolnych dziurkaczy, Wakefield dorastał w maszynowym fachu. Pierwsza Maszyna Babbage'a, obecnie cenny zabytek, powstała nie więcej niż trzydzieści lat temu, ale błyskawiczny rozwój wiedzy o jej zastosowaniach przeorał życie całej generacji.

Mallory przedstawił się.

– Przepraszam za opieszałość – powiedział – ale zgubiłem drogę w tych korytarzach...

Dla Wakefielda nie było to niespodzianką.

– Może napije się pan herbaty? Mam tu doskonały biskopt.

Mallory pokręcił głową i szerokim gestem podsunął gospodarzowi cygarnicę.

– Zapali pan? Wakefield pobladł.

– Nie! Nie, dziękuję. Zagrożenie pożarowe... Wbrew przepisom! Mallory urażony schował cygarnicę.

– Rozumiem... Ale nie pojmuję, co może być szkodliwego w dobrym cygarze.

– Popiół – odparł z mocą Wakefield. – I cząsteczki kurzu. Płyną przez powietrze, widzi pan, zanieczyszczają oleje, brudzą tryby. A czyścić Maszyny naszego Biura... Nie muszę panu tłumaczyć, Mallory, że to syzyfowa praca.

– Naturalnie – wymamrotał Mallory. Spróbował zmienić temat. – Jak pan zapewne wie, jestem paleontologiem. Jednakże znam się nieco na dziurkarstwie. Ile jardów wałów tu kręcicie?

– Jardów? Nasze wały mierzymy w milach, doktorze Mallory.

– Naprawdę? Aż taka moc?

– Aż tyle kłopotów, można by powiedzieć. – Wakefield skromnie machnął dłonią w białej rękawiczce. – Od tarcia w ruchu wirowym wytwarza się ciepło, które rozszerza mosiądz, co z kolei uszkadza zęby trybów. Wilgoć źle wpływa na olej smarowniczy, a przy suchej pogodzie wirująca Maszyna tworzy niewielkie ładunki lejdeckie, które przyciągają wszelki brud.

Tryby się blokują, karty skleja się w podajnikach... – Wakefield westchnął. – Nauczyliśmy się, że warto przestrzegać wszelkich zasad, mających za zadanie utrzymywanie czystości, temperatury i wilgotności. Nawet nasze ciasto do herbaty jest wypiekane specjalnie dla Biura, by zmniejszyć niebezpieczeństwo okruszków.

Sformułowanie „niebezpieczeństwo okruszków” wydało się Mallory’emu zabawne, jednak poważna mina rozmówcy przekonała go, że nie chodzi tu o żart.

– Próbowaliście Octowego Płynu Czyszczącego Colgate’a? – zapytał. – W Cambridge prawie modlą się do niego.

– A, tak – Wakefield przeciągnął to słowo. – Kochany stary Instytut Analizy Maszynowej... Chciałbym, żebyśmy my mogli pracować tak spokojnie jak akademicy. Trzęsą się nad swoim mosiądzem, ale tutaj, w służbie publicznej, musimy raz za razem realizować najbardziej męczące procedury. Czasami wręcz gną się dźwięnie dziesiątne.

Mallory niedawno odwiedził Instytut, wiedział zatem o najnowszych osiągnięciach i był zdecydowany to zademonstrować.

– A słyszał pan o nowych kompilatorach z Cambridge? Rozkład zużycia trybów jest bardziej jednostajny...

Wakefield nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Parlament i policja traktują nas jak źródło danych. Zawsze do dyspozycji, ale trzymanym na krótkiej smyczy. Rozumie pan, fundusze.

Nie wyobrażają sobie nawet skali naszych potrzeb. To zresztą stara historia i jestem pewien, że dobrze panu znana. Sam pan jest człowiekiem nauki. Nie chciałbym okazać braku szacunku, ale ci z Izby Gmin nie potrafiliby odróżnić prawdziwego dziurkarstwa od maszyny do szycia.

Mallory skubnął brodę.

– To rzeczywiście przykre. Mile wałów! Kiedy wyobrażę sobie, ile by można z tym dokonać, doprawdy dech mi zapiera.

– Jestem pewien, że szybko go pan odzyska, doktorze Mallory. W dziurkarstwie potrzeba zawsze rośnie, by przekroczyć możliwości. To niemal prawo natury!

– Może i jest takie prawo – zauważył Mallory – Na jakimś poziomie Natury, którego jeszcze nie poznaliśmy.

Wakefield uśmiechnął się uprzejmie i zerknął na swój zegar.

– Szkoda wielka, kiedy czyjeś wyższe aspiracje zostają stłumione prozą życia codziennego. Nieczęsto mam okazję podyskutować o filozofii Maszyn. Chyba że z moim *soi-disant* kolegą Oliphantem.

Wspominał panu może o swoich wizjonerskich planach wykorzystania naszych Maszyn?

– Jedynie przelotnie. Odniosłem wrażenie, że jego plan, ee... badań socjalnych wymagałby większej mocy Maszyn, niż ten, którym dysponujemy w Anglii. Nadzorowanie każdej transakcji na Picadilly i tak dalej. Szczerze mówiąc, sądzę, że to utopijne mrzonki.

– W teorii, mój panie – odparł Wakefield – jest to całkowicie możliwe. Naturalnie, czujnym okiem śledzimy ruch telegraficzny, rejestry kredytowe i tym podobne. Wąskim gardłem jest u nas czynnik ludzki, albowiem jedynie wytrawny analityk potrafi zmienić w przydatną wiedzę surowe dane z Maszyny. Natomiast ambitna skala tego planu, w porównaniu ze skromnym funduszem osobowym Biura...

– Nie chciałbym swoją osobą powiększać ciężaru obowiązków – wtrącił Mallory – ale pan Oliphant sugerował, że mógłby mi pan pomóc zidentyfikować pewnego przestępcę i jego współniczkę. Wypełniłem dwa formularze, w trzech kopiach każdy, i przesłałem je przez gońca...

– W zeszłym tygodniu – dokończył Wakefield. – Tak jest. I zrobiliśmy, co tylko było w naszej mocy. Zawsze chętnie świadczymy – przysługi dżentelmenom tak zasłużonym jak pan czy Oliphant. Napad i zagrożenie śmiercią słynnemu uczonemu to sprawa poważna. – Wakefield sięgnął po naostrzony ołówek i blok kratkowanego papieru. – Ale też nie tak niezwykle, by zwrócić szczególną uwagę pana Oliphanta. Nie sądzi pan?

Mallory milczał.

Wakefield spoważniał.

– Nie musi się pan obawiać, panie Mallory. Proszę mówić szczerze. Nie pierwszy raz pan Oliphant lub jego przełożeni korzystają z naszej pomocy. Jako zaprzysiężony urzędnik Korony mogę panu zagwarantować całkowitą dyskrecję. Nic, co pan powie, nie wyjdzie poza te ściany. – Pochylił się. – A zatem: co może mi pan powiedzieć?

Mallory myślał intensywnie. Być może lady Ada popełniła jakieś szaleństwo, jakiś desperacki czy nierozważny akt wtrącił ją w szpony tego hultaja i jego ulicznicy. Ale z pewnością nie pomoże jej imię „Ada Byron” zapisane na tej kartce Wakefielda. Zresztą Oliphant też nie byłby z tego zadowolony.

Wyznał więc z udawanym ociąganiem:

– Sam nie wiem, co powiedzieć, panie Wakefield, ponieważ nie sądzę, by sprawa była aż tak poważna. Nie ma w niej nic, czym zasłużyłaby na pańską uwagę. Jak już wyjaśniłem w liście, na Derby spotkałem pijanego łobuza, który chciał się popisać z nożem. Nie myślałem o tym, ale pan Oliphant sugerował, że może mi coś zagrażać. Przypomni mi o jednym z moich kolegów, zamordowanym niedawno w dziwnych okolicznościach. W dodatku sprawa ta wciąż nie została rozwiązana.

– Profesor Fenwick, znawca dinozaurów?

– Rudwick – poprawił Mallory. – Słyszał pan o nim?

– Zasztyletowany. W cyrku szczurów. – Wakefield puknął się w zęby srebrnym ołówkiem. – Pisały o nim wszystkie gazety. Rzuciło to fatalne światło na całe środowisko uczonych. Można powiedzieć, że skompromitował kolegów.

Mallory pokiwał głową.

– Całkowicie się z panem zgadzam. Ale pan Oliphant zdaje się sądzić, że te dwa wypadki

są ze sobą powiązane.

– Hazardziści, którzy śledzą i mordują uczonych? – zdziwił się Wakefield. – Szczerze mówiąc, nie dostrzegam żadnego motywu. Chyba że, proszę wybaczyć śmiałą sugestię, chodzi o znaczne długi hazardowe. Czy pan i Rudwick byliście przyjaciółmi? Może wspólnie graliście na wyścigach?

– Ależ skąd. Prawie go nie znałem. I zapewniam pana, że nie mam takich długów.

– Pan Oliphant nie wierzy w przypadek – stwierdził Wakefield. Wyjaśnienia Mallory’ego chyba go przekonały, ponieważ najwyraźniej stracił zainteresowanie dla sprawy. – Oczywiście, rozważa nakazuje zidentyfikować tego opryszka. Jeśli tego pan od nas oczekuje, z pewnością możemy pomóc. Zaraz ktoś zaprowadzi pana do biblioteki i Maszyn. Kiedy już znajdziemy numer napastnika, staniemy na pewniejszym gruncie.

Odchylił zatyczkę i krzyknął do rury komunikacyjnej. Natychmiast zjawił się młody asystent w rękawiczkach i fartuchu.

– To pan Tobias – przedstawił go Wakefield. – Jest do pańskiej dyspozycji.

Rozmowa dobiegła końca; oczy Wakefielda zaszkliły się – myślał już o innych obowiązkach. Odruchowo skinął głową.

– Miło mi było pana poznać. Proszę dać znać, gdybyśmy mogli jeszcze się przydać.

– Był pan niezwykle uprzejmy – zapewnił Mallory.

Młody Tobias wygolił cał skóry, by uzyskać modne intelektualne oblicze, jednak od tego czasu minęło już kilka dni i nad czołem wyrosła mu krótka szczecina. Przez labirynt komórek Mallory ruszył za nim w stronę korytarza. Zauważył jego dziwny, kołyszący krok – chłopiec miał obcasy tak starte, że widać było gwoździe, a jego tanie bawełniane spodnie były wypchane na kolanach.

– Dokąd idziemy, panie Tobias?

– Do Maszyn, sir. Na dół.

Zatrzymali się przy windzie. Pomysłowy wskaźnik informował, że stoi na innym piętrze. Mallory sięgnął do kieszeni, spomiędzy scyzoryka i kluczy wyłowił złotą gwineę.

– Proszę.

– A cóż to takiego? – zapytał Tobias, przyjmując monetę. – Nazywamy to napiwkem, drogi chłopcze – odparł Mallory z nieco wymuszoną jowialnością. – Aby zagwarantować szybką obsługę.

Tobias przyjrzał się monecie, jakby pierwszy raz w życiu oglądał profil Alberta. Zza okularów rzucił Mallory’emu badawcze, surowe spojrzenie.

Drzwi windy otworzyły się i Tobias schował pieniądze do kieszeni fartucha. Razem weszli do środka, między niewielką grupkę pasażerów, a windziarz opuścił swą klatkę w dół, w głąb trzewi Biura.

Na dole Mallory wyszedł za Tobiasem. Wyminieli rząd klap poczty pneumatycznej i przeszli przez wahadłowe drzwi o krawędziach oklejonych grubym filcem. Kiedy byli już

sami, Tobias zatrzymał się nagle.

– Wie pan chyba, że nie należy proponować korzyści materialnych człowiekowi pracującemu w służbie publicznej.

– Wygląda pan, jakby się to panu mogło przydać.

– Dziesięciodniowa pensja? Zapewne. Pod warunkiem, że nie uznaję pana za oszusta.

– Nie chciałem nikogo urazić – zapewnił łagodnie Mallory. – Ten budynek jest dla mnie obcym terytorium. Uznałem, że rozsądnie byłoby zyskać miejscowego przewodnika.

– A dlaczego mój pryncypał się nie nadaje?

– Miałem nadzieję, że pan mi to wytłumaczy, panie Tobias.

Ta uwaga okazała się bardziej od pieniędzy skuteczna dla pozyskania sympatii chłopaka. Wzruszył ramionami.

– Wakey nie jest taki zły. Na jego miejscu postępowałbym podobnie. Ale dzisiaj przepuścił przez Maszynę pański numer. Wyciągnął plik druków wysoki na dziewięć cali. Ma pan gadatliwych przyjaciół, panie Mallory.

– Naprawdę? – Mallory uśmiechnął się z przymusem. – Takie akta muszą być interesującą lekturą. Chętnie bym je obejrzał.

– Przypuszczam, że dane mogłyby trafić w niepowołane ręce – przyznał Tobias. – Oczywiście, gdyby kogoś na tym przyłapali, straciłby pracę.

– A lubi pan tę pracę, panie Tobias?

– Płacę marnie. Gazowe światło niszczy oczy. Ale ma swoje zalety.

Wzruszył ramionami i przez kolejne drzwi przeszedł do hałaśliwego przedsionka. Trzy ściany zastawione były półkami i szafami kartotek, czwarta została przeszkłona.

Za szybą ciągnęła się obszerna hala pełna wysokich Maszyn. Było ich tak wiele, że z początku Mallory uznał, iż ściany wyłożone są lustrami, niczym w jakiejś eleganckiej sali balowej. Przypominało to karnawałową dekorację, zaplanowane złudzenie optyczne: ogromne, identyczne Maszyny, wielkie jak postawione sztorcem wagony kolejowe, każda na sprężystych klockach grubości przynajmniej stopy. Trzydzieści stóp nad nimi bielony sufit przebijały pędzące pasy transmisyjne; mniejsze wały pobierały energię z ogromnych kół zamachowych, wirujących na osadzonych w murze osiach. Dziurkacze w białych fartuchach chodzili po nieskazitelnie czystej podłodze, wyglądając przy Maszynach niczym karły. Włosy nosili spięte pod pomiętymi białymi beretami, nosy i usta ukryte za prostokątami białej gazy.

Tobias z absolutną obojętnością przyglądał się szeregom wirujących kół.

– Całymi dniami wpatrują się w dziurki na kartach. I żadnych pomyłek! Jedno niewłaściwe uderzenie dziurkarki to wszystko, co może odróżniać pastora od podpalacza. Wielu biedaków zostało w ten sposób zrujnowanych...

Szum i stuk ogromnych mechanizmów zagłuszał jego słowa. W bibliotece siedzieli dwaj mężczyźni, spokojni i dobrze ubrani, pogrążeni w pracy. Razem pochylali się nad wielkim kwadratowym albumem kolorowych rycin.

– Proszę usiąść – powiedział Tobias.

Mallory zajął miejsce przy bibliotecznym stole, na obrotowym krześle ustawionym na kauczkowych kółkach. Tobias przyniósł kartotekę. Usiadł naprzeciw i przerzucał karty, od czasu do czasu sięgając palcem w rękawicze do niewielkiego pojemnika z woskiem. Wreszcie wyjął dwie karty.

– Jakich może pan udzielić wskazówek?

– Wypełniłem kwestionariusze. Przełożyliście je na język Maszyn, prawda?

– KI przyjęło dane. Ale musieliśmy przerzucić je do Antropometrii Kryminalnej. Te karty często ostatnio były w ruchu... Zdążyli już posortować. – Wstał nagle i sięgnął po notes z luźnymi kartkami: poradnik dziurkacza. Z wyrazem wzgardliwej obojętności porównał jedną z kart Mallory'ego do jakiegoś wyrysowanego tam ideału. – Czy wypełnił pan formularze w całości?

– Chyba tak...

– Wzrost podejrzanego... – mruczał chłopak. – Zasięg ramion... Długość i szerokość lewego ucha, lewej stopy, lewego przedramienia, lewego palca wskazującego...

– Podąłem jak najlepsze oszacowania. A dlaczego tylko lewa strona, jeśli wolno spytać?

– Mniej się zmienia pod wpływem pracy fizycznej – wyjaśnił Tobias. – Wiek, zabarwienie skóry, włosów, oczu. Blizny, znamiona... Ach, jest: deformacje.

– Miał taką wypukłość z boku głowy – odpowiedział Mallory.

– Frontalna plagiocefalia. Rzadkie... dlatego od razu zauważyłem. Ale może pomóc. W Antropometrii Kryminalnej są czuli na punkcie czaszek.

Tobias wsunął karty w szczelinę i pociągnął sznur dzwonka. Po chwili przyszedł po nie dziurkacz.

– Co teraz? – spytał Mallory.

– Teraz poczekamy, aż je przekręcą.

– Jak długo?

– Zawsze trwa to dwa razy dłużej, niż się człowiek spodziewa. Nawet jeśli przewidywany czas pomnoży się przez dwa. To chyba prawo natury.

Mallory przytaknął. Nie da się uniknąć oczekiwania, ale można ten okres wykorzystać.

– Długo pan tu pracuje, panie Tobias?

– Nie tak długo, żeby już zwariować. Mallory parsknął śmiechem.

– Myśli pan, że żartuję – zauważył Tobias ponuro.

– To dlaczego pan tu przyszedł, jeśli tak pan nienawidzi tego fachu?

– Każdy nienawidzi, kto ma choć odrobinę rozsądku. Oczywiście, praca jest miła, jeśli człowiek trafi na górne piętra i wejdzie między ważnych. – Dyskretnie wskazał kciukiem sufit. – Mnie to, rzecz jasna, nie dotyczy. Ale potrzebują takich jak ja. Przyjmują nas dziesiątkami, setkami... Po dwóch, najwyżej trzech latach oczy i nerwy wysiadają. Można oszaleć od wpatrywania się w te dziurki. Zwariować jak tańcząca wiewiórka. – Tobias wsunął

dłonie w kieszenie fartucha. – Założę się, że patrząc na nas, młodszych urzędników podobnych do siebie jak białe gołębie, myśli pan, że jesteśmy wszyscy tacy sami. Ale nie, drogi panie. Wcale nie. Widzi pan, w Wielkiej Brytanii jest ograniczona liczba osób, które potrafią czytać i pisać, liczyć i dodawać tak sprawnie, jak tego potrzebują w Biurze. Większość znajduje lepsze posady... jeśli tylko mają dość rozumu, żeby ich szukać. Dlatego do Biura trafiają... niespokojne typy. – Tobias uśmiechnął się blade. – Kiedyś zatrudniali nawet kobiety. Szwaczki, które straciły pracę po wprowadzeniu mechanicznych krosien. Rząd wciąż je zatrudnia, żeby czytały i dziurkowały karty. Dobrze sobie z tym radzą te... te byłe szwaczki.

– To dość dziwaczna polityka – zauważył Mallory.

– To konieczność. – odparł Tobias. – Takie są okoliczności. Pracował pan kiedy dla rządu Jej Królewskiej Mości, panie Mallory?

– W pewnym sensie...

Pracował dla Komisji Wolnego Handlu Towarzystwa Królewskiego. Uwierzył w ich patriotyczne przemowy, w obietnice zakulisowych wpływów... A kiedy już zrobił, co chcieli, porzucili go, żeby sam sobie radził. Prywatna audyencja u przewodniczącego Komisji, lorda Galtona, uścisk dłoni, wyrazy „głębokiego ubolewania”, że niemożliwe jest „otwarte wyrażenie uznania dla jego cennych usług”... I to wszystko. Nie dostał nawet podpisanego świstka papieru.

– Jaka to była praca?

– Widział pan kiedyś tak zwanego Lądowego Lewiatana?

– W muzeum. Nazywają go brontozaurem, gadzim słoniem. Miał zęby na końcu trąby. Bestia pożerała drzewa.

– Rozsądny z pana młodzieniec, Tobias.

– Pan jest Lewiatan Mallory! – zawołał Tobias. – Słynny uczony!

Zarumienił się nagle.

Uderzył gong. Tobias poderwał się i z wystającej ze ściany tacy zdjął plik złożonego w harmonię papieru.

– Mamy szczęście. Podejrzany już załatwiony. Mówiłem, że ta czaszka nam pomoże.

Rozłożył papier przed Mallorym.

Był to zbiór maszynowych portretów: ciemnowłosi Anglicy o ponurych spojrzeniach. Małe kwadraciki druku były jednak dostatecznie duże, by nieznacznie zniekształcić ich twarze: zdawało się, że wszyscy mają czarne kropelki śliny na wargach i brud w kąciach oczu. Wyglądali jak bracia, jak niezwykle podgatunek ludzi przewrotnych i niechętnych. Portrety nie miały podpisów, tylko numery obywatelskie.

– Nie spodziewałem się aż tylu – rzekł Mallory.

– Można by zawęzić wybór przy dokładniejszych parametrach antropometrycznych – odparł Tobias. – Ale proszę się nie spieszyć i przeglądać uważnie. Jeśli go mamy, to jest tutaj.

Mallory spoglądał na galerię przestępców, wielu z niepokojąco zniekształconymi czaszkami. Wyraźnie przypominał sobie oblicze napastnika z Derby. Pamiętał je wykrzywione w morderczej wściekłości, z krwawą pianą i połamanymi zębami. Obraz na zawsze wyrył się w jego umyśle, tak żywy jak kształty wyrostków kręgowych grzbietu bestii, kiedy pierwszy raz dostrzegł swoją zdobycz w skałach osadowych w Wyoming. W jednej chwili Mallory zobaczył wtedy własną chwałę, nadchodzącą sławę. Tak samo w twarzy napastnika dostrzegł śmiertelne wyzwanie, które może odmienić całe jego życie.

Ale żaden z tych posępnych wizerunków nie odpowiadał temu, który przechował w pamięci.

– Czy są jakieś powody, dla których moglibyście nie mieć u siebie wizerunku tego człowieka?

– Może nie ma akt kryminalnych. Moglibyśmy jeszcze raz przepuścić jego kartę i porównać z danymi całej ludności. Ale zajęłoby to tygodnie czasu Maszyn i wymagałoby specjalnej zgody tych z góry.

– A dlaczego tak długo?

– Panie Mallory, w naszych rejestrach mamy każdego mieszkańca Brytanii. Każdego, kto starał się o pracę, płacił podatki albo został aresztowany. – Tobias mówił przepraszającym tonem; wyraźnie bardzo chciał pomóc. – A może jest cudzoziemcem?

– Jestem pewien, że to Brytyjczyk i drań. Był uzbrojony i niebezpieczny. Ale po prostu tutaj go nie widzę.

– Może portret nie oddaje podobieństwa. Do policyjnych fotografii ci przestępcy często wydymają policzki; wtykają sobie watę do nosa albo próbują innych sztuczek. Jestem przekonany, że ma go pan tutaj.

– Nie wierzę. Czy jest jeszcze inna możliwość? Tobias usiadł ciężko, załamany.

– Nic więcej nie mamy. Chyba że zmieni pan opis.

– A czy ktoś mógł usunąć jego portret?

– To byłoby fałszowaniem oficjalnych danych! – zawołał wzburzony Tobias. – Przestępstwo karane zesłaniem. Z pewnością nikt z urzędników nie zrobiłby czegoś takiego.

Zaległo ciężkie milczenie.

– Jednakże... – zachęcił rozmówcę Mallory.

– No cóż... Dane są nietykalne. Jak pan wie, tego właśnie mamy pilnować. Ale istnieją pewne wysoko postawione osobistości poza Biurem... Ludzie, którym powierzono bezpieczeństwo kraju. Pewnie zna ich pan...

– Nie sądzę.

– Bardzo nieliczni dżentelmeni na stanowiskach wymagających zaufania i dyskrecji. – Tobias rozejrzał się nerwowo i zniżył głos. – Słyszał pan może o tym, co nazywają Gabinetem Spraw Specjalnych? Albo Sekcją Specjalną policji z Bow Street?

– Jeszcze ktoś? – spytał Mallory.

– Rodzina królewska, naturalnie. Wszyscy tu przecież służymy Koronie. Gdyby sam Albert wydał polecenie ministrowi statystyki...

– A co z premierem? Lordem Byronem?

Tobias nie odpowiedział. Twarz mu stężała.

– To było nieistotne pytanie – zapewnił Mallory. – Proszę zapomnieć, że je zadałem. Widzi pan, to przyzwyczajenie naukowca: kiedy jakiś temat mnie zainteresuje, badam go szczegółowo aż do granic pedanterii. Ale w tym przypadku nie ma to znaczenia. – Z demonstracyjnym skupieniem raz jeszcze obejrzał portrety. – To z pewnością moja wina. Światło tu nie jest najlepsze.

– Odkręć gaz! – zaoferował się chłopak.

– Nie, zachowam swoją uwagę dla kobiety. Może z nią będziemy mieli więcej szczęścia.

Tobias opadł na krzesło. Czekali, aż Maszyna przemiele dane. Mallory udał obojętne zaniepokojenie.

– Wolno to idzie, nieprawdaż, panie Tobias? Młody człowiek o pańskiej inteligencji z pewnością tęskni za większymi wyzwaniem.

– Kiedy ja kocham Maszynę – odparł Tobias. – Nie te ogromne niezgrabne monstra, ale te sprytniejsze, estetyczne. Chciałem nauczyć się dziurkowania.

– Więc czemu nie jest pan w szkole?

– Nie stać mnie było. Rodzina się nie zgadzała.

– A próbował pan egzaminów państwowych?

– Nie dostałem stypendium... Przepadłem na egzaminie z rachunku. – Tobias posmutniał.

– Zresztą, nie jestem naukowcem. Pociąga mnie sztuka. Kinotropia!

– Praca w teatrze, co? Mówią, że trzeba się z tym urodzić.

– Każdego zaoszczędzonego szylinga wydaję na czas Maszyn – oznajmił chłopiec. – Mamy taki niewielki klub entuzjastów. Rankami Palladium wynajmuje nam kinotrop. Bywa, że można tam zobaczyć zdumiewające rzeczy, na przemian z amatorskim śmieciem.

– Fascynujące. Słyszałem, że... – Z trudem przypominał sobie nazwisko. – Słyszałem, że John Keats jest w tym dobry.

– Jest stary – stwierdził bezlitośnie Tobias i wzruszył ramionami. – Powinien pan zobaczyć Sandysa. Albo Hughesa. Czy Etty'ego. Jest jeszcze taki dziurkacz z Manchesteru... Ma rzeczywiście świetne prace: Michael Radley. Zeszłej zimy oglądałem jego pokaz w Londynie. Jakiś cykl wykładów, z Amerykaninem.

– Wykłady kinotropowe mogą być pouczające.

– Nie... Mówcą był jakiś zwariowany jankeski polityk. Gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym go za drzwi i puszczał tylko obrazy.

Mallory umilkł. Tobias wiercił się przez chwilę: nie śmiał mówić dalej, choć miał ochotę. Potem uderzył gong. Chłopiec wystrzelił jak z procy, wyhamował ze zgrzytem zdartych butów, potem wrócił z kolejnym plikiem kartek.

– Rudowłose – oznajmił i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Mallory z uwagą studiował wizerunki kobiet: kobiet upadłych, kobiet zrujnowanych, ze znamionami upadku i ruiny nieodwracalnie wyrytymi w czarnych kwadracikach druku. W przeciwieństwie do męskich twarzy, oblicza kobiet ożywały przed jego oczami. Oto istota ze wschodnich dzielnic Londynu, o puciołowej twarzy i wzroku dzikszym niż squaw Cheyennów. Oto Irlandka o słodkim spojrzeniu, której wystająca szczeka z pewnością dostarczyła niejednej goryczy. A to ulicznica z włosami jak strzecha i oczami mętnymi od dżinu. Tu wyzwanie, tam opanowanie i bezczelność, gdzie indziej proszący wzrok kobiety, której kark zbyt długo już tkwi w klamrze dagerotypu.

Oczy z wyrachowanym spojrzeniem zranionej niewinności wzbudziły w nim dreszcz rozpoznania. Mallory stuknął w portret i podniósł głowę.

– To ona!

Tobias drgnął.

– Doskonale, sir. Zapiszę jej numer.

Małą mahoniową prasą wydziurkował na czystej karcie numer obywatelski i gotową wsunął do szczeliny w ścianie. Starannie zgarnął skrawki papieru do zamykanego klapą kosza na odpadki.

– Teraz dowiem się o niej wszystkiego, prawda? – Mallory sięgnął do kieszeni po notes.

– Prawie. Dostaniemy drukowany wyciąg.

– Czy mogę zabrać te dokumenty ze sobą i dokładniej je przestudiować?

– Nie... Formalnie rzecz biorąc, ponieważ nie jest pan funkcjonariuszem prawa... – Tobias zniżył głos. – Wyznam szczerze, że za parę szylingów każdy urzędnik z magistratu poda panu te dane na srebrnej tacy. Kiedy zna się czyjś numer obywatelski, sprawa jest prosta. To typowa dziurkarska sztuczka: odczytywać maszynowe dane ludzi z grup przestępczych. Nazywają to „pociąganiem za sznurki” albo „zapiekaniem w cieście”.

Ta wiadomość zainteresowała Mallory’ego.

– A gdybym chciał zobaczyć własne akta?

– Pan jest dżentelmenem, nie zwykłym kryminalistą. Nie ma pana w aktach policyjnych. Ludzie z magistratu albo urzędnicy sądowi musieliby wypełnić odpowiednie formularze i podać rozsądne uzasadnienie takich żądań. Nie spełniamy ich zbyt często.

– Wymogi prawa? – domyślił się Mallory.

– Nie, sir. To nie prawo nas powstrzymuje, ale związane z tym kłopoty. Takie poszukiwania wymagają czasu Maszyn i pieniędzy, – a obu tych rzeczy zawsze nam brakuje. Gdyby jednak prośbę złożył ktoś z Parlamentu albo jakiś lord...

– Przypuśćmy, że miałbym przyjaciela tutaj, w samym Biurze – rzucił Mallory. – Kogoś, kto ceni mnie dla mojej wielkoduszności.

Tobias odpowiedział z ociąganiem, wyraźnie trochę skrepowany.

– Nie jest to proste. Każdy obrót Maszyny podlega rejestracji, a wszystkie poszukiwania

wymagają sponsora. To, co robiliśmy dzisiaj, działo się z polecenia Wakefielda, więc nie będzie z tym żadnych kłopotów. Ale pański przyjaciel musiałby podać fałszywe nazwisko sponsora i ryzykować wykrycie. To oszustwo maszynowe, jak wyludzanie kredytów czy manipulacja akcjami. I jest podobnie karane.

– Pouczające – stwierdził Mallory. – Przekonałem się niejednokrotnie, że rozmowa z kimś, kto naprawdę zna się na swojej pracy, zawsze przynosi korzyści. Pozwoli pan, że dam mu swoją wizytówkę.

Wyjął z portfela jedną z *cartes-de-visite* od Maulla i Polyblanka. Złożył pięcioletni banknot, schował pod kartę i wręczył chłopcu. Była to spora suma. Inwestycja.

Tobias sięgnął pod fartuch, odszukał brudny skórzany portfel, wsunął wizytówkę i pieniądze, po czym wydobył trochę pomięty prostokąt lśniącego kartonu. J. J. TOBIAS, ESQ., głosiły groteskowo ozdobne litery maszynowego gotyku. KINOTROPIA I REKWIZYTY. Pod spodem adres w Whitechapel.

– Proszę nie zwracać uwagi na numer telegrafu – uprzedził Tobias. – Przestałem go wynajmować.

– Czy interesuje się pan kinotropią francuską, panie Tobias?

– O tak... Ostatnio z Montmartre'u dociera do nas wspaniały materiał.

– Jak rozumiem, francuskie *ordinateurs* wykorzystują specjalny format kart?

– Format Napoleona – wyjaśnił Tobias. – Karty są mniejsze, z jakiejś sztucznej substancji, która niezwykle szybko przesuwają się przez kompilatory. To bardzo ułatwia działanie kinotropu.

– Czy zna pan w Londynie kogoś, kto mógłby wypożyczyć taki francuski kompilator?

– Żeby przetłumaczyć dane z francuskich kart?

– Tak – rzucił Mallory z udawaną obojętnością. – Oczekuję danych od kolegi z Francji. Chodzi o pewną naukową kontrowersję... kwestię dość abstrakcyjną, jednak wymagającą dochowania naukowej tajemnicy. Wolałbym przejrzeć te dane na osobności.

– Oczywiście. To znaczy, owszem, znam człowieka, który ma francuski kompilator. Pozwoli go panu używać, jeśli tylko mu pan zapłaci. W zeszłym roku w londyńskich kręgach dziurkaczy panowała moda na standard francuski. Jednak nastroje odwróciły się, gdy dotarły wieści o kłopotach z Wielkim Napoleonem.

– Doprawdy?

Tobias kiwnął głową, zachwycony, że może pochwalić się wiedzą.

– Powszechnie uważa się teraz, że Francuzi projektowali Napoleona ze zbyt wielkim rozmachem i popełnili jakiś techniczny błąd.

Mallory pogładził brodę.

– Czy to nie brytyjska duma zawodowa przez pana przemawia?

– Ależ skąd! Wszyscy wiedzą, że z początkiem roku Wielkiemu Napoleonowi zdarzył się jakiś wypadek i od tej pory ani razu nie zakręcił się jak należy. – Tobias zniżył głos do szeptu.

– Niektórzy twierdzą, że chodzi o sabotaż! Zna pan to francuskie określenie: *sabotage*? Pochodzi od słowa *sabots*. To drewniane chodaki, jakie noszą francuscy robotnicy. Mogą kopniakami zrzucić Maszynę z bloków. – Na myśl o tym Tobias uśmiechnął się szeroko, jego zachwyt nieco zaniepokoił Mallory’ego. – Francuzi mają kłopoty z luddytami, podobnie jak my przed laty.

Dwa krótkie dźwięki zabrzmiały z parowego gwizdka i odbiły się echem od bielonego sufitu. Dwaj poważni dżentelmeni, do których dołączył trzeci, równie poważny, zamknęli albumy i wyszli.

Gong przywołał Tobiasa do szczeliny w ścianie. Chłopiec wstał wolno, ustawił krzesło, przeszedł wzdłuż stołu, zdmuchnął nie istniejący kurz z albumów i odstawił je na półkę.

– Chyba czeka już nasza odpowiedź – zauważył Mallory.

Tobias, stojąc plecami do niego, skinął głową.

– Prawdopodobnie, sir. Ale jestem już po godzinach. Te dwa gwizdki...

Mallory wstał niecierpliwie i podszedł do ściany.

– Nie! – zawołał Tobias. – Nie bez rękawiczek! Ja to zrobię!

– Rękawiczki, też mi coś! Kto się dowie?

– Kryminalna Atropometria! To ich pokój, a niczego nie nienawidzą bardziej niż płam po palcach. – Tobias zdjął z tacy plik dokumentów. – Nasza podejrzana to niejaka Florencja Bartlett, z domu Russell, ostatnio zamieszkała w Liverpoolu...

– Dziękuję panu, Tobias – przerwał mu Mallory, zwijając wydruk, by łatwiej ukryć go pod kamizelką. – Jestem głęboko wdzięczny za pomoc.

* * *

Kiedyś, w arktycznie mroźny ranek w Wyoming, gdy szron pokrył brunatną, zdeptaną preriową trawę, Mallory tkwił przy letnim kotle parowej fortecy ekspedycji i grzebał w gasnącym palenisku, zasilanym wyschniętym bizonim nawozem. Usiłował rozmiękczyć twardy jak żelazo pasek suszonej wołowiny, którą jego ludzie jadali na śniadania, obiady i kolacje. Wtedy właśnie, w chwili krańcowego zmęczenia, kiedy oddech zamarzał mu na brodzie i grabiąły otarte od łopaty palce, Mallory poprzysiągł sobie, że nigdy już nie będzie narzekał na letnie upały.

Nie przewidział jednak takiego duszącego żaru, jak dzisiaj w Londynie.

Noc minęła bez jednego podmuchu wiatru, a jego łóżko cuchnęło potem. Spał na pościeli, okrywając swoją nagość zmoczonym tureckim ręcznikiem. Wstawał co godzinę, by zwilżyć go na nowo. Teraz materac przesiąkł wilgocią, a w pokoju było duszno i gorąco jak w szklarni. Unosił się także zapach tytoniowego dymu, gdyż ślęcząc nad aktami Florencji Russell Bartlett, wypalił pół tuzina swoich znakomitych hawańskich cygar. Dokumenty traktowały przede wszystkim o zabójstwie jej męża, znanego w Liverpoolu kupca, wiośną

1853 roku.

Modus operandi polegał na zatruciu arszenikiem, który pani Bartlett uzyskiwała z trutek na muchy i przez długie tygodnie podawała mężowi w miksturze leczniczej, Hydropatycznym Wzmacniaczu dra Gove'a. Po nocach na Haymarket Mallory wiedział, że płyn dra Gove'a jest znanym afrodyzjakiem, choć akta o tym nie wspominały. Zanotowano także wcześniejsze zgony matki Bartlett w 1852 i brata jej męża w 1851; przypisano je odpowiednio pęknięciu wrzodu żołądka i cholerze. Jednak owe rzekome schorzenia dawały objawy bardzo podobne do zatrucia arszenikiem. Nigdy formalnie nie oskarżona o te zabójstwa, pani Bartlett uciekła z aresztu, terroryzując strażnika przemyconym derringerem.

Ludzie z Centralnego Biura Statystycznego podejrzewali zapewne, że wyjechała do Francji, ponieważ ktoś dołączył do akt tłumaczenie raportu francuskiej policji z 1854 roku. Dotyczył procesu o *crimepassionel*, jaki miał odbyć się przed paryskim sądem. Niejaka „Florencja Murphy”, aborcjonistka, rzekomo uciekinierka z Ameryki, została aresztowana i oskarżona o *uitriolage*, oblanie kwasem siarkowym z intencją okaleczenia lub oszpecenia. Ofiara, Marie Lemoine, żona zamożnego importera jedwabiu z Lyonu, była najwyraźniej jej rywalką.

Jednakże „pani Murphy” zniknęła z celi i ze wszystkich późniejszych raportów policyjnych w pierwszym dniu jej procesu jako *vitrioleuse*.

Mallory przetarł wodą twarz, szyję i pachy, myśląc posepnie o witriolu.

Ledwie zasnuował buty, a znów był spocony. Wyszedł z pokoju; niezwykle lato opanowało Pałac. Niespodziewanie wilgotne powietrze falowało nad posadzkami jakby nad niewidocznym bagniskiem. Nawet palmy u stóp schodów sprawiały wrażenie jurajskich. Pomaszerował do jadalni, gdzie cztery jajka na twardo, mrożona kawa, wędzony śledź, pomidor, szynka i zimny melon dodały mu sił. Jedzenie podawali tu niezłe, choć śledź trochę już pachniał – nic dziwnego w takim upale. Mallory podpisał rachunek i poszedł odebrać pocztę.

Niesprawiedliwie ocenił śledzia. Na zewnątrz jadalni cuchnął cały Pałac: jak zepsuta ryba albo coś bardzo do niej podobnego. W głównym holu unosił się mydlany aromat pozostały po porannym sprzątaniu, ale powietrze było ciężkie od dopływającego z zewnątrz fetoru czegoś obrzydliwego i najwyraźniej od dawna martwego. Mallory wiedział, że zna skądś ten zapach: żrący jak kwas, zmieszany ze wstrętnym smrodem rzeźni... Nie mógł sobie przypomnieć. Po chwili fetor rozwiął się jakoś.

Podszedł do kontuaru i zapytał o listy. Podstarzały recepcjonista powitał go z demonstracyjną uprzejmością: sutymi napiwkami Mallory zyskał sobie lojalność personelu.

– Moja skrzynka jest pusta? – zapytał nieco zdziwiony.

– Jest za mała, doktorze Mallory.

Recepcjonista schylił się i wyjął zza lady spory wiklinowy kosz, wypełniony po brzegi kopertami, gazetami i paczkami.

- A niech to! – mruknął Mallory. – Z każdym dniem coraz gorzej!
- Cena sławy, sir. – Recepcjonista ze zrozumieniem pokiwał głową.
- Boję się, że będę musiał to wszystko przeczytać... – Mallory był załamany.
- Jeśli wolno coś poradzić, sir... Chyba rozsądnie by pan zrobił, angażując sekretarza.

Mallory prychnął niechętnie. Nie cierpiał sekretarzy, służących, lokajów, pokojówek, całego tego brudnego interesu ze służbą. Jego matka pracowała kiedyś jako służąca u bogatej rodziny w Sussex, za dawnych czasów, jeszcze przed radykałami. To wciąż sprawiało mu ból.

Przeniósł kosz w zaciszny kąt biblioteki i zaczął przeglądać przesyłki. Najpierw magazyny: *Protokoły Królewskiego Towarzystwa*, *Herpetologia Wszystkich Narodów*, *Dzienniki Systematyki Dynamicznej*, *Annales Scientifiques de l'École des Ordinateurs*, z dość ciekawym artykułem o mechanicznych nieszczęściach Wielkiego Napoleona... Męczyły go te prenumeraty, ale podejrzewał, że redakcje były zadowolone. A zadowoleni redaktorzy to połowa sukcesu przy publikacji własnych prac.

Potem listy. Mallory szybko rozkładał je na oddzielne stosy. Najpierw prośby o wsparcie. Kiedyś popełnił błąd i odpowiedział na kilka, które wydały mu się szczególnie łzawe i szczerze, a teraz musiał opędzać się od roju oszustów.

Drugi stos to zaproszenia na wykłady, prośby o wywiad, rachunki ze sklepów. Geolodzy i paleontolodzy katastrofiści proponowali współautorstwo uczonych artykułów.

Następnie listy pisane kobiecą ręką. Entuzjastki historii naturalnej... Huxley nazywał to „zrywaniem kwiatków”. Pisały dziesiątkami, zwykle prosząc tylko o autograf albo, jeśli byłby tak uprzejmy, o podpisaną *carte-de-visite*. Inne przysyłały proste szkice zwykłych jaszczurek, prosząc o ekspertyzę taksonomiczną. Jeszcze inne delikatnie wyrażały podziw, czasem wierszem, i zapraszały go na herbatkę, gdyby kiedyś odwiedził Sheffield albo Nottingham czy Brighton. Niektóre listy, często charakteryzujące się ostrym charakterem pisma, potrójnymi podkreśleniami i dołączonymi kosmykami włosów, wyrażały kobiecy podziw słowami tak śmiałymi, że czuł się zakłopotany. Tych ostatnich przychodziło więcej, odkąd *Domowy tygodnik kobiet* opublikował jego portret.

Mallory znieruchomiał nagle. Niewiele brakowało, a odrzuciłby list od swojej siostry Ruth. Kochana mała Ruthie... ale, oczywiście, to dziecko miało już dobre siedemnaście lat. Otworzył list od razu.

Kochany Nedzie,

Piszę do ciebie pod dyktando mamy, gdyż ręce dzisiaj bardzo ją bolą. Ojciec dziękuje ci za piękny pled z Londynu. Francuska maść pomogła mi na ręce (mamie) całkiem dobrze, choć to raczej kolana mi dokuczają. Wszyscy w Lewes tęsknimy za tobą, chociaż wiemy, żeś bardzo zapracowany i masz dużo spraw w Królewskim Towarzystwie. Głośno czytamy wszystkie twoje amerykańskie przygody, które drukuje w Rodzinnym Muzeum pan Disraeli. Agatha pyta, czy mógłbyś dla niej zdobyć

autograf pana Disraeliego, bo jej ulubiona powieść to jego Tancred. Ale najwspanialsza wiadomość, to że nasz kochany Brian wrócił z Bombaju bezpiecznie, właśnie dzisiaj, 17 czerwca! Przywiózł ze sobą naszego przyszłego brata, por. Jerry'ego Rawlingsa, także z Artylerii Sussex, który prosił naszą Madeline, żeby na niego czekała, więc oczywiście zaczęła. Teraz mają się pobrać i mama chce ci zwłaszcza przekazać to, że ślub NIE będzie kościelny, ale cywilny, u sędziego pokoju pana Whitterspoona na ratuszu w Lewes. Czy możesz przyjechać 29 czerwca? Tato wydaje za mąż przedostatnią pannę – nie chciałam tego pisać, ale mama mi kazała.

Ucałowania

Ruth Mallory (panna)

A więc mała Madeline ma wreszcie swojego mężczyznę. Biedna istota... Cztery lata to długie narzeczeństwo, zwłaszcza że zaręczyła się z żołnierzem w takiej tropikalnej dziurze jak Indie. Miała osiemnaście lat, kiedy przyjęła od niego pierścionek; teraz kończy dwadzieścia dwa. Długie oczekiwanie to okrutny los dla młodej i żywej dziewczyny. Podczas swej ostatniej wizyty w domu Mallory zauważył, że ta próba wyostrzyła język i temperament Madeline; czasem wręcz trudno było z nią wytrzymać. Wkrótce już tylko mała Ruthie pozostanie w domu, żeby opiekować się rodzicami. A kiedy i ona wyjdzie za mąż... Mallory potarł spoconą brodę. Zastanowi się nad tym we właściwym czasie. Madeline miała trudniejsze życie niż Ernestina, Agatha czy Dorothy. Powinna dostać teraz coś specjalnego, tylko dla siebie. Prezent ślubny, który zaświadczy, że jej nieszczęścia dobiegły końca.

Mallory zaniósł kosz z pocztą do swojego pokoju, wysypał listy obok zasłanego papierami biurka i wyszedł z Pałacu, po drodze zwracając kosz w recepcji.

Grupa kwaków, mężczyzn i kobiet, stała na chodniku przed Pałacem. Znowu zawodzili te swoje nieznośne śpiewane kazania; były to chyba „Tory do Nieba”. Pieśń nie miała wiele wspólnego z ewolucją, bluźnierstwem czy skamielinami, ale być może monotonia bezsensownych protestów znużyła nawet samych kwaków. Minął ich, nie zwracając uwagi na proponowane ulotki. Było gorąco... nienormalnie gorąco... potwornie gorąco. Nie widział słońca, ale powietrze zamarło w śmiertelnym spokoju, a zachmurzone niebo miało posępny szary kolor, jakby chciało spłynąć deszczem, ale zapomniało, jak się to robi.

Przeszedł Gloucester Road na róg Cromwell Road. Na skrzyżowaniu stał nowy konny posąg Lorda Protektora, ulubieńca radykałów. Były też omnibusy, sześć na godzinę, ale wszystkie niemożliwie zatłoczone. Przy takiej pogodzie nikt nie miał ochoty na piesze spacer.

Mallory wszedł do stacji metra przy Gloucester Road, przy rogu Ashburn Mews. Już miał zejść schodami w dół, gdy naprzeciw zobaczył niewielki tłumek, uciekający niemal biegiem. Przepłoszył ich fetor tak jadowity, że i jego zatrzymał w miejscu.

Londyńczycy przyzwyczaili się do nieprzyjemnych zapachów w metrze, ale ten fetor

należał do innej kategorii. W porównaniu do upału na ulicach, powietrze tu było chłodne, jednak cuchnęło potwornie, jak coś, co zgniło w zapieczętowanym szklanym słoju. Mallory podszedł do kasy; była zamknięta, a na szybie wisiała tabliczka z napisem PRZEPRASZAMY ZA WSZELKIE NIEWYGODY. Ani słowa na temat natury problemu.

Mallory zawrócił. Przed hotelem Baileya, po drugiej stronie Courtfield Road, stały konne dorożki. Już miał przejść przez ulicę, gdy zauważył jedną stojącą niedaleko przy krawężniku, najwyraźniej wolną. Skinął woźnicy i podszedł do drzwi. Wewnątrz siedział jeszcze pasażer, więc grzecznie zaczekał aż wysiądzie. Obcy jednak jakby przeląkł się wzroku Mallory'ego; przycisnął do twarzy chusteczkę i zsunął się poniżej poziomu okna. Zaczął kaszleć. Może był chory albo właśnie wyszedł z metra i jeszcze nie odzyskał tchu.

Zirytowany Mallory przeszedł na drugą stronę i wsiadł do dorożki pod Baileyem.

– Picadilly – polecił.

Woźnica cmoknął na spoconą szkapę i ruszyli. W ruchu, gdy lekki wietrzyk dmuchnął przez okno, upał był mniej dokuczliwy i Mallory poweselał. Cromwell Road, Thurloe Place, Brompton Road – w swych dalekowzrocznych planach rząd przeznaczył te części Kensington i Brompton na ciągi muzeów i pałaców Towarzystwa Królewskiego. Kolejno przesuwaly się za oknem ich kopuły i kolumnady: Fizyka, Ekonomia, Chemia... Można narzekać na niektóre pomysły radykałów, myślał Mallory, ale trudno odmówić rozsądku i sensu tym wspaniałym budowlom przeznaczonym dla uczonych, wykonujących najszlachetniejszą pracę ludzkości. Wspomagając naukę, pałace z pewnością dziesięciokrotnie zwrócą wysokie koszty poniesione na ich budowę.

Jechali wzdłuż Knightsbridge, obok Hyde Park Corner, aż do Łuku Napoleona, daru Ludwika Napoleona dla upamiętnienia angielsko-francuskiej ententy. Wielki żelazny łuk na gęstym szkielecie wsporników i sworzni podtrzymywał sporą grupę skrzydlatych kupidynów i okrytych luźnymi szatami dam z pochodniami. Piękny pomnik i zgodny z najnowszą modą. Jego elegancja i trwałość zdawały się przeczyć istnieniu w historii choćby śladu niezgody między Wielką Brytanią a jej najwierniejszym sprzymierzeńcem, Cesarstwem Francuskim. Być może, myślał kwaśno Mallory, „nieporozumienia” czasów wojen napoleońskich da się jakoś zrzucić na tyrana Wellingtona.

Wprawdzie w Londynie nie pozostał ani jeden pomnik księcia Wellingtona, jednak Mallory miał czasem wrażenie, że wspomnienia o nim, niczym niespokojny duch, wciąż nawiedzają miasto. Kiedyś zwycięzca spod Waterloo był tu witany entuzjastycznie, jako zbawca narodu: Wellington został nobilitowany i otrzymał najwyższe urzędy w państwie. Jednak we współczesnej Anglii potępiano go jako zarozumiałego brutala, drugiego króla Jana, rzeźnika własnego burzącego się ludu. Radykałowie nigdy nie zapomnieli swego pierwszego i groźnego przeciwnika. Całe pokolenie minęło od śmierci Wellingtona, ale premier Byron wciąż opluwał pamięć księcia żrącym kwasem swej elokwencji.

Mallory, choć gorący zwolennik Partii Radykalnej, nie dał się przekonać retorycznymi

napaściami. Miał własną opinię o dawno zmarłym tyranie. Podczas swej pierwszej wyprawy do Londynu, jako sześciolatek chłopiec, widział raz księcia Wellingtona: przejeżdżał złocistą kareta, otoczony dudniącą, dźwięczącą eskortą kawalerii. Zrobił na nim wielkie wrażenie – nie tyle widok słynnej twarzy z zakrzywionym nosem za wysokim kołnierzem, z bokobrodami, zadbanej, surowej i posępnej, co raczej podziw ojca, mieszanina strachu i zachwyty.

Jakaś mglista pamięć tej wizyty – z roku 1831, pierwszego roku Ciężkich Czasów i ostatniego dawnego reżimu w Anglii – budziła się w Mallorym za każdym razem, kiedy widział stolicę. Kilka miesięcy później, w Lewes, jego ojciec wiwatował, gdy rozeszła się wieść o śmierci Wellingtona w zamachu bombowym. Jednak mały Ned w tajemnicy szlochał z żalu, którego przyczyny już teraz nie pojmował.

Jako dorosły człowiek uważał księcia Wellingtona za zacofanego ignoranta, ofiarę wstrząsów przekraczających jego zdolność rozumienia; raczej drugiego Karola niż króla Jana. Wellington nierozsądnie stanął w obronie interesów upadającej, dekadentckiej arystokracji torysów, których przeznaczeniem była utrata władzy na rzecz rosnącej w siłę klasy średniej i uczonych merytokratów. Ale przecież sam Wellington wcale nie miał błękitnej krwi – kiedyś był zwykłym Arthurem Wellesleyem z dość skromnej irlandzkiej rodziny.

Co więcej, Mallory był zdania, że jako żołnierz Wellington wykazał godne podziwu opanowanie swego rzemiosła. Dopiero jako cywilny polityk i reakcyjny premier nie docenił rewolucyjnych przemian nadchodzącej epoki przemysłu i nauki. Za ten brak wizji zapłacił utratą honoru, władzy, nawet życia.

Anglia zaś, którą Wellington znał i którą tak źle władał, Anglia dzieciństwa Mallory’ego, zsuwała się w otchłań strajków, manifestacji, demonstracji, rozruchów, stanu wyjątkowego i niemal całkowitej anarchii. Dopiero Radykalna Partia Industrialna, ze swą racjonalną wizją nowego porządku, ocaliła kraj przed upadkiem.

Mimo to, myślał Mallory, mimo to powinni mu zostawić jakiś pomnik.

Dorożka toczyła się przez Picadilly, mijając Down Street, Whitehorse Street, Half-Moon Street. Mallory zajrzał do notesu i znalazł *carte-de-visite* Laurence’a Oliphanta. Mieszkał przy Half-Moon Street. Mallory miał już chęć zatrzymać dorożkę i sprawdzić, czy Oliphant jest w domu. Jeśli – w przeciwieństwie do większości modnych snobów – wstawał z łóżka przed dziesiątą, miałby może u siebie wiadro lodu i kropelkę czegoś na rozszerzenie porów. Myśl o nagłym zakłóceniu rozkładu dnia Oliphanta i może przyłapaniu go na jakiejś intrydze, sprawiła Mallory’emu przyjemność.

Ale wszystko po kolei. Odwiedzi Oliphanta, kiedy zrealizuje cel swej wyprawy.

Wysiadł z dorożki przy wejściu do Burlington Arcade. Gigantyczny żelazny ziggurat Fortnuma & Masona wznosił się po drugiej stronie ulicy, między rzędami witryn jubilerów i eleganckich sklepów. Dorożkarz oszukał go, ale Mallory nie protestował, będąc w pobłażliwym nastroju. Zresztą wydawało się, że ten los nie omija nikogo: kawałek dalej jakiś

mężczyzna wyskoczył z dorożki i wulgarnie awanturował się z fiakrem.

Mallory'emu nic nie sprawiało większej przyjemności niż zakupy w tej okolicy, gdzie w pełni odczuwał satysfakcję ze swego niespodziewanego bogactwa. Zdobył pieniądze dzięki aktowi na wpół szalonej brawury, ale tajemnica ich pochodzenia była bezpieczna. Londyńskie Maszyny kredytowe kręciły się dla ulotnych zysków z hazardu równie ochoczo, co dla wdowiego grosza.

Co zatem wybrać? Może tę ogromną żelazną wazę z ośmiokątną podstawą i ośmioma ażurowymi panelami otaczającymi kolumnowy piedestał, wywołującymi wrażenie niezwyklej elegancji? Ozdobne bukszpanowe pudełko z rzeźbioną pokrywą, oprawę dla termometru z weneckiego szkła? Hebanową solnicę zdobioną kolumnkami, razem ze srebrną łyżeczką do soli, bogato rzeźbioną w trójlistne koniczyny i liście dębu, z ozdobną spiralą na uchwycie i monogramem do wyboru?

U J. Walkera &Co., w niewielkim, ale niezwykle gustownym sklepie za oknem wystawowym słynnej Arcade, Mallory znalazł prezent, który uznał za idealny. Był to zegar, pięknym dźwiękiem katedralnych dzwonów wybijający godziny i kwadranse. Mechanizm, który pokazywał także daty, dni tygodnia i fazy księżyca, stanowił przykład osiągnięć brytyjskiego rzemiosła, choć, naturalnie, elegancka szafka zegara z pewnością wzbudzi większy podziw u ludzi obojętnych na cuda mechaniki. Szafkę tę, z najlepszego lakierowanego *papier-mache* wykładanego turkusowym szkłem, zwieńczała grupa złocistych postaci. Była wśród nich młoda i zdecydowanie atrakcyjna Britannia, bardzo skąpo odziana, podziwiająca postęp cywilizacji i szczęście mieszkańców, osiągnięte przez Czas i Naukę. Ten godny temat ilustrowało dodatkowo siedem rycin, zmieniających się w każdy dzień tygodnia, umieszczonych na ukrytym w podstawie kole.

Cena wynosiła całe czternaście gwinei – przedmiot takiej artystycznej wartości nie mógł być wyceniony w zwykłych funtach, szylingach i pensach. Mallory'emu przyszła do głowy wulgarnie praktyczna myśl, że młodej parze bardziej by się przydało czternaście brzęczących gwinei gotówką. Ale pieniądze szybko się rozejdą, jak zawsze, kiedy człowiek jest młody; taki zegar zaś może przez całe pokolenia być ozdobą domu.

Kupił zegar za gotówkę, rezygnując z oferty rocznego kredytu. Sprzedawca, wyniosły starszy mężczyzna, spocony pod sztywnym kołnierzem w stylu Regencji, zademonstrował system korkowych bloków, zabezpieczających mechanizm przed wstrząsami podczas podróży. Do zegara dołączono również zamykaną skrzynkę z uchwytem, wyłożoną korkową formą pod burgundowym aksamitem.

Mallory wiedział, że nigdy nie wciśnie swej zdobyczy do zatłoczonego parowego omnibusu. Będzie musiał wynająć dorożkę i przymocować skrzynkę z zegarem na dachu. Ryzykowny plan;

Londyn roił się od młodych złodziejasków zwanych „bagażowymi”. Z małpią zręcznością wskakiwali na dachy powozów i nożami przecinali mocujące rzemienie. Zanim

powóz się zatrzymał, rabusie znikali bezkarnie w jakiejś spelunce, przekazując łup z rąk do rąk, póki zawartość bagażu ofiary nie trafiła do tuzina sklepów ze starzyzną. Mallory wywłókł swój nabytek przez tylne wyjście Burlington Arcade, gdzie konstabl na posterunku zasalutował mu uprzejmie. Na zewnątrz, w Burlington Gardens, jakiś obdarty młody człowiek w pogniecionym kapeluszu i brudnym płaszczu, siedzący najwyraźniej bez celu na brzegu cementowego gazonu, poderwał się nagle na nogi. Przygarbiony, kulejąc teatralnie, zbliżył się do Mallory'ego. Dotknął runda kapelusza, uśmiechnął się żałośnie i zaczął mówić jednym tchem:

– Proszę o wybaczenie, łaskawy panie, jeśli pozwoli pan zwracać się tak do siebie na ulicy komuś, kto chodzi niemal w łachmanach, chociaż nie zawsze tak było i nie z mojej winy się stało, ale przez ciężkie choroby w rodzinie i wiele niezasłużonych cierpień, byłbym nieskończenie wdzięczny gdybyś, łaskawy panie, zdradził mi, która jest godzina.

Godzina? Czyżby skądś wiedział, że Mallory kupił właśnie zegar? Ale obdartus nie zwracał uwagi na jego nagły niepokój i kontynuował tym samym natrętnie monotonnym tonem:

– Łaskawy panie, nie żebranie jest moim zamiarem, gdyż wychowała mnie najlepsza z matek i żabracko jest nie dla mnie zajęciem, nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać, gdyby nawet taki nikczemny był mój zamiar, wołałbym raczej umrzeć z głodu, ale łaskawy panie, w imię miłosierdzia apeluję, byś pozwolił mi pełnić funkcję twojego tragarza i ponieść tę paczkę, która tak ci ciąży, za dowolną opłatą, jaką twoje ludzkie serce uzna za odpowiednią za moje usługi...

Przerwał nagle. Rozszerzonymi oczami spojrzał ponad ramieniem Mallory'ego; usta zacisnęły się ciasno, jak usta szwaczki, która odgryza nitkę. Potem obdartus odstąpił wolno o trzy kroki, tak by Mallory nadal odgradzał go od tego, co zobaczył. Wreszcie odwrócił się na pięcie swych dziurawych, wypchanych gazetami butów i odszedł pospiesznie, bez śladu utykania, znikając na zatłoczonym chodniku Cork Street.

Mallory odwrócił się natychmiast. Z tyłu zbliżał się wysoki, długonogi, szczupły mężczyzna z niewielkim okrągłym nosem, w albertowskim surducie i gładkich spodniach. Kiedy dostrzegł Mallory'ego, podniósł do twarzy chusteczkę, zakaszał dyskretnie i musnął nią oczy. Potem drgnął, przesadnie mocno okazując, że czegoś zapomniał, zawrócił i ruszył z powrotem do bramy Burlington Arcade. Ani razu nie popatrzył wprost na Mallory'ego.

Mallory za to udał nagle zainteresowanie zamkami pudła zegara. Postawił je na ziemi, pochylił się i przyjrzał kawałkom lśniącego mosiądzu; myśli mu szalały, a zimny dreszcz przebiegał po plecach. Ta sztuczka z chustką zdradziła hultaja. Mallory rozpoznał w nim człowieka, którego widział przy stacji metra w Kensington: ten kaszlący dżentelmen, który nie chciał wysiąść z dorożki. Co więcej, uświadomił sobie nagle Mallory, tym samym człowiekiem był również awanturnik, który na Picadilly klócił się z dorożkarzem o zapłatę. Szedł za Mallorym od samego Kensington. Śledził go.

Mallory chwycił swoje pudło i ruszył przez Burlington Gardens. Potem skręcił w prawo na Old Bond Street. Nerwy miał napięte, instynkt łowcy rozgrzewał krew. Niemądrze zrobił, oglądając się wtedy. Mógł zdradzić się wobec prześladowcy. Teraz nie patrzył już za siebie, ale szedł swobodnie, jakby był na spacerze. Przystanął przed jubilerem, przy wyłożonych na aksamicie kameach, bransoletach i balowych diademach dla wielkich dam. W szybie za kratami obserwował odbicie ulicy.

Kaszlący Dżentelmen pojawił się niemal natychmiast. Przez chwilę trzymał się z dala, pilnując, by przechodnie oddzielali go od Mallory'ego. Miał może trzydzieści pięć lat, szpakowate bokobrody i ciemny, maszynowo szyty surdut, który wcale nie rzucał się w oczy. Twarz mogła należeć do każdego: może była bardziej obrzmiała, z trochę zimniejszym spojrzeniem i bardziej posępną miną pod okrągłym nosem.

Mallory skręcił jeszcze raz, tym razem w lewo, w Bruton Street; pudło z zegarem z każdym krokiem stawało się cięższe. Sklepy tutaj nie miały wygodnie nachylonych szyb. Zdjął kapelusz na widok pięknej kobiety i udał, że ogląda się za nią, podziwiając jej kostki. Kaszlący Dżentelmen wciąż szedł za nim.

Być może Kaszlący był współnikiem tego opryszka z wyścigów i jego ulicznicy... Wynajęty zbój, morderca z derringerem w kieszeni surduta. Albo buteleczką witriolu. Mallory'emu włosy zjeżyły się na karku na myśl o nagłym uderzeniu kuli albo wilgotnym, palącym dotknięciu kwasu.

Ruszył szybszym krokiem; pudło boleśnie obijało mu się o łydki. Na Berkeley Square niewielki parowy dźwig, sapiąc dzielnie między dwoma złamanymi platanami, uderzył rozhuśtaną kulą z lanego żelaza w pękającą fasadę starego domu. Grupka gapiów podziwiała tę scenę. Przyłączył się do nich, stając przy barierze z drewnianych kozłów; wciągnął w nozdrza ostry zapach starego tynku i uświadomił sobie, że jest chwilowo bezpieczny. Zerknął z ukosa i wypatrzył Kaszłącego Dżentelmena. Zgubiwszy Mallory'ego w tłumie, sprawiał wrażenie zagniewanego i niespokojnego. Ale nie wydawał się człowiekiem szalonym z nienawiści czy chętnym do zabijania. Rozglądał się wśród nóg patrzących, szukając pudła zegara.

Oto nadarzyła się okazja zgubienia prześladowcy. Kryjąc się za drzewami, Mallory ruszył biegiem. Na końcu placu skręcił w Charles Street; po obu stronach wyrastały wielkie osiemnastowieczne domy – rezydencje lordów. Na ozdobnych starych parkanach wisiały nowe herby. Za jego plecami z wozowni wysunął się pretensjonalny powóz, dostarczając Mallory'emu pretekstu, by się obejrzeć i zbadać ulicę.

Manewr się nie powiódł. Kaszlący Dżentelmen był o kilka jardów za nim, może trochę zdyszany i zaczerwieniony od upału, ale wciąż na tropie. Czekał, aż Mallory ruszy dalej, i cały czas uważał, żeby na niego nie spojrzeć. Patrzył za to z wyraźnym zainteresowaniem na drzwi baru o nazwie „Jestem tylko posłańcem”. Mallory'emu przyszło do głowy, by zawrócić i wejść pod „Posłańca”, gdzie mógłby w tłumie zgubić Kaszłącego. Albo może wskoczyć w

ostatniej chwili do ruszającego omnibusu... gdyby zdołał wcisnąć jakoś do środka swoje bezcenne pudło.

Niewielkie jednak wiązał nadzieje z takimi planami. Prześladowca miał nad nim wyraźną przewagę znajomości terenu i wszystkich chytrych sztuczek londyńskiego opryszka. Mallory poczuł się jak brnący ociężałe bizon z Wyoming. Człapał przed siebie z ciężkim zegarem, ręka go bolała i był coraz bardziej zmęczony.

Przy rogu Queens Way spychacz i dwie koparki pracowicie ryły w ruinach Shepherd Market. Plac otaczał wysoki płot z desek połamanych i podziurawionych przez niecierpliwych widzów. Kobiety w chustach na głowach i plujący tytoniem sprzedawcy owoców, usunięci ze swych tradycyjnych miejsc, niczym ostatnią cytadelę ustawili stragany tuż za płotem. Mallory przeszedł wzdłuż ław z nadpsutymi ostrygami i przywiedłymi jarzynami. Przy końcu ogrodzenia, z powodu jakiejś niedokładności projektu, pozostał wąski zaułek: z jednej strony zakurzone deski, z drugiej pokruszone cegły. Zielsko wyrastało pomiędzy wilgotnych od moczu kocich łbów. Mallory zajrzał tam w chwili, gdy przykucnięta wiedźma w kapeluszu podniosła się właśnie, poprawiając spódnicę. Wyminęła go bez słowa. Mallory dotknął kapelusza.

Uniósł pudło nad głowę i ułożył je delikatnie na szczycie muru z omszałych cegieł. Dla bezpieczeństwa podparł je jeszcze kawałkiem tynku, po czym umieścił obok kapelusz.

Przycisnął się plecami do płotu.

Po chwili zjawił się Kaszłący Dżentelmen. Mallory ruszył do ataku i z całej siły wymierzył cios w żołądek. Mężczyzna stęknął i zgiął się wpół, a Mallory poprawił lewym sierpowym w szczękę. Mężczyzna zgubił kapelusz i opadł na kolana.

Mallory chwycił go za surdut i pchnął na mur. Hultaj odbił się i rozciągnął jak długi; bioto zachlapało mu twarz. Mallory chwycił go za gardło i za klapę.

– Kim jesteś?

– Ratunku! – wychrypiało słabo mężczyzna. – Mordują! Mallory wciągnął go trzy jardy w głąb zaułka.

– Nie udawaj durnia, zbójcu! Dlaczego mnie śledzisz? Kto ci zapłacił? Jak się nazywasz?

Mężczyzna rozpaczliwie próbował oderwać od gardła dłoń Mallory’ego.

– Puść mnie...

Surdut mu się rozsunał. Mallory spostrzegł brązowy skórzany pasek kabury i natychmiast sięgnął po ukrytą tam broń.

Nie był to pistolet. Wsunęła mu się do ręki niczym śliski wąż – pałka z rękojeścią oplecioną rzemieniem, gruba i czarna, z indyjskiej gumy, na końcu rozszerzona na podobieństwo łyżki do butów. Sprężynowała, jakby czarna guma oblewała stalową spiralę.

Mallory machnął groźnym urządzeniem; pałka sprawiała wrażenie, jakby bez trudu mogła złamać kości. Kaszłący Dżentelmen odsunął się przestraszony.

– Odpowiadaj!

Błyskawica trafiła Mallory'ego w tył głowy. Prawie stracił przytomność; poczuł, że pada, ale zdążył podeprzeć się ręką, ciężką i bezwładną jak barani udziec. Drugi cios prześliznął się tylko po ramieniu. Mallory przetoczył się na plecy i warknął – niski, chrapliwy odgłos, krzyk, jakiego nigdy nie słyszał z własnej krtani. Kopnął napastnika i udało mu się trafić w łydkę. Tamten odskoczył, przeklinając.

Mallory zgubił pałkę. Podniósł się z trudem i przykucnął; kręciło mu się w głowie. Drugi z przeciwników był krępy i niski. Nosił okrągły, wbity niemal po brwi melonik. Stał nad wyciągniętymi nogami Kaszłącego Dżentelmena i groźnie machnął na Mallory'ego krótką skórzaną pałką.

Mallory'emu krew pulsowała w karku; oblała go fala mdłości i oszołomienia. Poczuł, że lada chwila zemdleje; jakiś zwierzęcy instynkt podpowiedział mu, że jeśli teraz upadnie, ci dwaj z pewnością zatłuką go na śmierć.

Odwrócił się i na chwiejnych nogach wybiegł z zaułka. Miał wrażenie, że głowa mu zgrzyta i grzechocze, jakby tarły o siebie popękane kości czaszki. Czerwona mgła kłębiła się przed oczyma.

Powlókl się do ulicy i skręcił za róg. Tu oparł się o ścianę, z rękami na kolanach. Jakaś poważna para minęła go, zerkając z lekkim niesmakiem. Z nosa mu ciekło, a mdłości dławily w gardle, ale spojrzał na nich wyzywająco. Domyślał się, że gdyby tamci dranie wyczuli jego krew, rozerwaliby go na strzępy.

Czas płynął. Przechodnie mijali go, spoglądając obojętnie, z zaciekawieniem lub dezaprobatą. Uważali go pewnie za pijanego albo chorego. Przez załzawione oczy Mallory dostrzegł na ścianie budynku emaliowaną tablicę z nazwą ulicy.

Half-Moon Street. Half-Moon Street, gdzie mieszka Oliphant.

Sięgnął do kieszeni po notes. Wciąż był na miejscu, a dotyk grubej skórzanej okładki dodawał otuchy. Drżącymi palcami odszukał wizytówkę Oliphanta.

Kiedy dotarł na miejsce, na drugim końcu Half-Moon Street, nie zataczał się już, a zawroty głowy ustąpiły miejsca pulsującemu bólowi.

Oliphant mieszkał w rezydencji z czasów króla Jerzego, podzielonej na mniejsze mieszkania. Od ulicy odgradzał ją ozdobny parkan z kutego żelaza. Na parterze szerokie okno wychodziło na spokojny Green Park. Ktoś obolały, pobity i pokrwawiony nie pasował do tej miłej, cywilizowanej okolicy. Mallory wściekle zastukał kołatką w kształcie głowy słonia.

Otworzył mu lokaj. Obejrzał Mallory'ego od stóp do głów.

– Czym mogę...? Ojej... – Odwrócił się, wznosząc głos do krzyku. – Proszę pana!

Mallory wszedł do przedpokoju, całego w kafelkach i boazerii. Oliphant zjawił się niemal natychmiast. Mimo wczesnej godziny był ubrany wyjściowo, z niewielką muszką i chryzantemą w butonierce. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację.

– Bligh! Zaraz idź do kuchni i weź od kucharki brandy. Miskę wody. Ręczniki.

Bligh, lokaj, zniknął. Oliphant podszedł do otwartych drzwi, zbadał wzrokiem ulicę,

zamknął je i zaryglował. Wziął Mallory'ego pod ramię, zaprowadził do salonu i ostrożnie usadził na stolku przy fortepianie.

– A więc został pan napadnięty – stwierdził. – Z tyłu... Tchórzliwa zasadzka, sądząc po pańskich ranach.

– Jak to wygląda?

– Uderzenie ciężkim i tępym narzędziem. Skóra pękła i ma pan sporego sińca. Krwawił pan dość obficie, ale to już mija.

– Czy to poważne?

– Widziałem gorsze rany – zapewnił pocieszająco Oliphant. – Natomiast wydaje mi się, że całkiem pan sobie zniszczył ten piękny surdut.

– Śledzili mnie na Picadilly. Nie zauważyłem tego drugiego, dopóki nie było już za późno. – Mallory wyprostował się nagle. – A niech to licha! Mój zegar! Zegar, prezent ślubny. Zostawiłem go w zaułku przy Shepherd Market. Te opryszki na pewno go ukradną.

Wrócił Bligh z miską wody i ręcznikami. Był niższy i starszy od swego pana, gładko wygolony, z grubym karkiem i wylupiastymi oczami. Owłosione przeguby miał grube niczym górnik. Oliphantowi okazywał szacunek bez uniżoności, jakby był starym sługą rodziny.

Oliphant zwilżył ręcznik i stanął za Mallorym.

– Proszę się nie ruszać.

– Mój zegar – powtórzył Mallory.

Oliphant westchnął.

– Bligh, czy mógłbyś zobaczyć, co się stało z własnością tego dżentelmena? Misja wiąże się z pewnym ryzykiem.

– Oczywiście, sir – odparł spokojnie lokaj. – A pańscy goście?

Oliphant zastanawiał się przez chwilę, przecierając mokrym ręcznikiem ranę.

– W przeciwieństwie do dyplomatów i katastrofistów?

Uśmiech Oliphanta sprawił, że Mallory nie mógł poczuć urazy.

Sięgnął po surdut; krew zaplamiła cały kołnierz.

– Co teraz? Powinienem iść na policję?

– To pańskie prawo. Ufam jednak, że patriotyczna dyskrecja nie pozwoli panu wspominać o pewnych sprawach.

– Takich jak lady Ada Byron?

Oliphant zmarszczył czoło.

– Takie szalone spekulacje na temat córki premiera z pewnością byłyby bardzo niedyskretne.

– Rozumiem. A co z przemytem broni dla Komisji Wolnego Handlu Towarzystwa Królewskiego? Żywię niczym nie uzasadnione przekonanie, że skandale Komisji różnią się od skandali lady Ady.

– No cóż... – Oliphant westchnął. – Z radością powitałbym publiczne ujawnienie

posunąć Komisji, jednak obawiam się, że cała ta sprawa musi pozostać *sub rosa*, w interesie imperium brytyjskiego.

– Rozumiem. To co właściwie pozostało mi do zdradzenia policji?

Oliphant uśmiechnął się lekko.

– Powie im pan, że został uderzony w głowę przez nieznanych sprawców z nieznanych powodów.

– To śmieszne – mruknął gniewnie Mallory. – Czy wy, rządowi mędracy, na nic nie możecie się przydać? To nie są salonowe gierki! Zidentyfikowałem tę zbrodniarkę, która pomagała więzić lady Adę! Nazywa się...

– Florencja Bartlett. I niech pan łaskawie nie krzyczy.

– Skąd pan... – Mallory urwał nagle. – No tak, pański przyjaciel Wakefield. Podejrzewam, że obserwował, co robię w Biurze Statystycznym i natychmiast pobiegł, żeby panu wszystko opowiedzieć.

– To jego obowiązek, choć niezbyt miły, by obserwować, co dzieje się z jego ukochanymi Maszynami – odparł chłodno Oliphant. – Ale spodziewałem się, że to raczej pan mi powie. Zwłaszcza kiedy się okazało, że spotkał pan prawdziwą *femme fatale*. Jednak nie był pan chętny do dzielenia się informacją.

– A może weźmiesz ich ze sobą, Bligh? Z pewnością będą zadowoleni ze spaceru. Wyjdźcie tylnymi drzwiami. Starajcie się nie robić publicznych scen.

– Co mam im powiedzieć, sir?

– Prawdę, oczywiście. Powiedz, że przyjaciel domu został napadnięty przez cudzoziemskich agentów. Ale uprzedź, że nie wolno im nikogo zabijać. I jeśli nie znajdą zegara pana Mallory’ego, niech nie myślą, że źle to o nich świadczy. Obróć wszystko w żart, jeśli będzie trzeba, ale nie dopuść, by poczuli, że utracili prestiż.

– Rozumiem, sir.

– Przepraszam, że sprawiłem kłopot – mruknął Mallory.

– Nonsens. Po to przecież jesteśmy. – Oliphant podał mu na dwa palce brandy w kryształowym pucharku.

Po pierwszym łyku Mallory poczuł, że otrząsa się z otępienia. Nadal był obolały, ale mniej oszołomiony i bardziej przytomny.

– Pan miał rację, a ja się myliłem – oświadczył. – Ścigali mnie jak zwierzę! To nie były zwykłe złodziejzki. Jestem pewien, że mieli złe zamiary.

– Teksańczycy?

– Londyńczycy. Jeden wysoki z bokobrodami, drugi mały i gruby w meloniku.

– Ktoś ich wynajął. – Oliphant zmoczył ręcznik. – Przydałby się panu szew albo dwa. Mam wezwać lekarza? Czy też zaufa pan mojemu doświadczeniu? Wykonywałem już takie zabiegi w dzikich krajach.

– Ja również. Proszę, niech pan działa, jeśli to konieczne.

Pociągnął kolejny łyk brandy, Oliphant zaś przyniósł igłę z nitką. Mallory zdjął surdut, zacisnął zęby i wpatrzył się w niebieską, kwiecistą tapetę. Oliphant zręcznie przebił igłą rozerwaną skórę i zaszył ranę.

– Niezła robota – ocenił zadowolony. – Niech pan unika niezdrowych wyziewów, a pewnie ominie pana gorączka.

– Cały Londyn jest jednym wielkim wyziewem. Ta potworna pogoda... Nie ufam lekarzom, a pan? Sami nie wiedzą, o czym mówią.

– Mallory burknął coś pod nosem.

– To nie jest sprawa dla zwykłej policji. Mówiłem już, że powinien pan dostać specjalną ochronę. Teraz, obawiam się, muszę na to nalegać.

– Do diabła... – mruknął Mallory.

– Znam człowieka idealnego do takich zadań. Inspektor Ebenezer Fraser z Sekcji Specjalnej Bow Street. Właśnie z tej Sekcji Specjalnej, więc nie powinien pan mówić o tym zbyt głośno. Ale przekona się pan, że inspektor Fraser... czy też pan Fraser, gdyż woli, żeby tak się do niego zwracać... jest bardzo sprawny, bardzo rozsądny i bardzo dyskretny. Wiem, że pod jego opieką będzie pan bezpieczny, a nawet pan sobie nie wyobraża, jaką sprawi mi to ulgę.

Na tyłach domu trzasnęły drzwi. Usłyszeli kroki, zgrzyt, brzęk, dziwne głosy. Potem wszedł Bligh.

– Mój zegar! – wykrzyknął Mallory. – Dzięki Bogu!

– Znaleźliśmy go na murze, sir. Był podparty kawałkiem cegły. Dobrze ukryły. – Bligh ustawił pudło na podłodze. – Nawet nie zadrapany. Podejrzewam, że złodziejaszki schowały go tam, by wrócić po niego później.

Oliphant skinął głową i, unosząc brew, zerknął na Mallory'ego.

– Dobra robota, Bligh.

– Znaleźliśmy jeszcze to, sir. – Bligh zademonstrował zdeptany cylinder.

– To tego zbója – wyjaśnił Mallory.

Kapelusz Kaszłącego Dżentelmena był zalany zwietrzałym moczem, choć naturalnie nikt z obecnych nie wspomniał nawet o tym nieprzyzwoitym fackie.

– Przykro mi, że nie znaleźliśmy pańskiego kapelusza, sir – dodał Bligh. – Zapewne porwał go jakiś łobuziak.

Z lekkim skrzywieniem niesmaku Oliphant zbadał zniszczony cylinder. Odwrócił go i obejrzał podszewkę.

– Nie ma metki.

Mallory przyjrzał się szybko.

– Maszynowa produkcja. Moim zdaniem Moses & Son. Sprzed mniej więcej dwóch lat.

– Hm... – Oliphant zamrugał niepewnie. – W takim razie dowody wykluczają udział cudzoziemca. To z pewnością londyński weteran. Używa taniej brylantyny, ma jednak

dostatecznie dużą czaszkę, by posiadać nieco sprytu. Wyrzuć to na śmietnik, Bligh.

– Tak jest, sir. – Lokaj wyszedł.

Mallory z satysfakcją poklepał pudło zegara.

– Pański służący wyświadczył mi wielką przysługę. Sądzi pan, że weźmie mi za złe niewielki dowód wdzięczności?

– Zdecydowanie – oświadczył Oliphant.

Mallory wyczuł, że popełnił gafę. Zgrzytnął zębami.

– A co z pańskimi... gośćmi? Czy wolno mi podziękować im osobiście?

– Dlaczego nie? – Oliphant uśmiechnął się łobuzersko.

Zaprowadził Mallory'ego do jadalni. Ze stołu odkręcono mahoniowe nogi i wielki, błyszczący blat opierał się na ornamentach narożnych, ledwie kilka cali nad podłogą. Wokół zasiadło ze skrzyżowanymi nogami pięciu Azjatów, pełnych egzotycznej godności: pięciu trzeźwych mężczyzn w skarpetkach, ubranych w szyte na miarę wieczorowe smokingi z Savile Row. Wszyscy mieli wysokie jedwabne cylindry na krótkich i bardzo ciemnych włosach.

Była też z nimi kobieta, klęcząca u stóp stołu, o twarzy nieruchomej jak maska i długich, jedwabistych, czarnych włosach. Okrywała ją jakaś luźna suknia w kolorowe jaskółki i liście klonu.

– Doktor Edward Mallory *san a goshokai shimasu* – przedstawił gościa Oliphant.

Mężczyźni powstali z niezwykłą gracją: odchylali się do tyłu, wsuwali pod siebie stopę i podnosili się nagle na ugiętych nogach, niczym tancerze.

– Ci dżentelmeni pozostają w służbie Jego Cesarskiej Wysokości mikada Japonii – wyjaśnił Oliphant. – To pan Matsuki Koan, pan Mori Arinori, pan Fusukawa Yukichi, pan Kanaye Nagasawa, pan Hisanobu Sameshima.

Przedstawieni kolejno zginali się w biodrach.

Oliphant nie próbował nawet przedstawiać kobiety. Klęczała sztywno i obojętnie, jakby w głębi serca brzydziła się spojrzeniem Anglika. Mallory uznał, że rozsądek nakazuje nie wspominać o niej ani też nie zwracać na nią przesadnej uwagi. Zwrócił się do Oliphanta.

– To Japończycy, prawda? Zna pan ich mowę?

– Parę słów... jak to w dyplomacji.

– Czy zechce więc im pan podziękować, że tak dzielnie odzyskali mój zegar?

– Rozumiemy pana, doktorze Marori – odezwał się jeden z Japończyków. Mallory natychmiast zapomniał ich dziwaczne imiona, miał jednak wrażenie, że mówiący nazywa się Yukichi. – To dla nas zaszczyt być pomocnym brytyjskiemu przyjacielowi pana Oliphanta, któremu nasz władca wyraził wdzięczność.

Pan Yukichi skłonił się ponownie. Mallory nie wiedział, co powiedzieć.

– Dziękuję za tę grzeczną przemowę, drogi panie. Doskonale radzi pan sobie z językiem, jeśli wolno zauważyć. Nie jestem dyplomatą, ale serdecznie panom dziękuję. To wielka

uprzejmość...

Japończycy naradzili się między sobą.

– Mamy nadzieję, że nie został pan ciężko poraniony w tym barbarzyńskim ataku cudzoziemców na swą brytyjską osobę – przemówił znowu pan Yukichi.

– Nie.

– Nie widzieliśmy pańskiego wroga ani też żadnej źle wychowanej i gwałtownej osoby.

Pan Yukichi mówił łagodnym tonem, jednak błyski w oczach nie pozostawiały wątpliwości, co zrobiłby on i jego koledzy, gdyby spotkali takiego opryszka. Jako grupa, Japończycy sprawiali wrażenie wyrafinowanych i wykształconych: dwóch nosiło okulary bez ramek, jeden miał monokl i modne żółte rękawiczki. Byli jednak młodzi, sprawni i silni, a cylindry nosili na głowach niczym hełmy Wikingów.

Oliphant nagle zgął nogi i z uśmiechem usiadł u szczytu stołu. Mallory usiadł także; kolana strzeliły mu głośno. Japończycy poszli za przykładem Oliphanta, powracając do dumnych i sztywnych póz. Kobieta nawet nie drgnęła.

– Wobec okoliczności – zaczął Oliphant – takich, jak straszliwy upał i męczący pościg za wrogami państwa... należy nam się coś do picia. – Wziął ze stołu mosiężny dzwonek. – Lepiej się poznamy. *Nani o onomi ni narimasu ka?*

Japończycy porozmawiali chwilę, z zadowoleniem kiwając głowami.

– Uisuki...

– Whisky... Doskonały wybór – pochwalił Oliphant. Natychmiast pojawił się Bligh z wózkiem zastawionym alkoholami.

– Brakuje nam lodu, sir.

– A to czemu, Bligh?

– Kucharce nie chcieli więcej sprzedać. Od zeszłego tygodnia cena wzrosła trzykrotnie.

– Nie szkodzi. Lód i tak by się nie zmieścił w butelce tej lalki – rzucił Oliphant tak swobodnie, jakby ta uwaga miała jakiś sens. – A teraz, doktorze Mallory, proszę pilnie uważać. Pan Matsuki Koan, który przybył do nas z bardzo postępowej prowincji Satsuma, demonstrował właśnie cuda japońskiego rzemiosła... Kto jest twórcą, czy mógłby mi pan przypomnieć, panie Matsuki?

– Wykonali ją synowie rodu Hosokawa – odpowiedział pan Matsuki z ukłonem. – Nasz pan, *Satsuma daimyo*, jest ich patronem.

– Sądzę, Bligh, że pan Matsuki będzie pełnił honory domu – rzekł Oliphant.

Bligh wręczył panu Matsuki butelkę whisky. Ten zaczął przelewać trunek do eleganckiego ceramicznego dzbanka obok prawej ręki klęczącej Japonki. Nie zareagowała. Mallory zaczął podejrzewać, że jest może chora albo sparaliżowana. Pan Matsuki z ostrym drewnianym stuknięciem wsunął jej dzbanek w dłoń. Powstał, wcisnął w kark kobiety srebrny klucz i zaczął przekręcać. Twarz miał całkiem bez wyrazu. Z wnętrza klęczącej dobiegił wysoki jęk sprężyny.

– To lalka! – zawołał Mallory.

– Raczej marionetka – poprawił go Oliphant. – O ile wiem, właściwy termin to „automat”.

Mallory nabrał tchu.

– Rozumiem! Jak któraś z tych zabawek Jacquota-Droza albo słynna kaczka Vaucansona!

– Roześmiał się. Na pierwszy rzut oka było oczywiste, że ta nieruchoma twarz to w rzeczywistości rzeźbione i malowane drewno. – Cios musiał otumanić mi umysł. Wielkie nieba, toż to istny cud!

– Każdy włos jej peruki był ręcznie mocowany – odparł Oliphant. – Jest darem dla Jej Królewskiej Wysokości. Myślę jednak, że spodoba się również księciu małżonkowi, a zwłaszcza młodemu Alfredowi.

Automat zaczął nalewać drinki. Pod rękawem krył się zawias w łokciu i drugi w nadgarstku. Lalka nalewała z cichym szelestem linek i stłumionym stukaniem drewna.

– Porusza się jak sterowana Maszyną tokarka Maudsleya – zauważył Mallory. – Czy stamtąd wzięli plany?

– Nie. To ich własny pomysł.

Pan Matsuki stawiał na blacie stołu ceramiczne kubki z whisky.

– Nie ma w niej ani odrobiny metalu – mówił dalej Oliphant. –

Tylko bambus, plecione końskie włosie i sprężyny z fiszbinu. Japończycy od dawna potrafią wytwarzać takie lalki. Nazywają je *karakuri*.

Mallory wypił łyk whisky. Szkocka, *singlemalt*. Trochę kręciło mu się już w głowie po brandy Oliphanta, a teraz widok lalki wzbudził w nim wrażenie, że trafił na świąteczną pantomimę.

– Czy ona chodzi? – zapytał. – Albo gra na flecie? Czy cokolwiek innego?

– Nie, tylko nalewa. Za to obiema rękami.

Mallory poczuł na sobie spojrzenia Japończyków. Było oczywiste, że nie uważali lalki za cud. Chcieli wiedzieć, co on, Brytyjczyk, o niej myśli. Chcieli wiedzieć, czy zrobiła na nim wrażenie.

– Jest doprawdy niezwykła – wyrzucił z siebie. – Tym bardziej, gdy weźmie się pod uwagę prymitywną naturę Azji.

– Japonia to Brytania Azji – zauważył Oliphant.

– Wiemy, że to nic wielkiego – rzekł pan Yukichi. Oczy mu błyszczały.

– Nie, to prawdziwe cudo. – Mallory nie ustępował. – Moglibyście pokazywać ją za biletami.

– Wiemy, że to drobnostka w porównaniu z waszymi wielkimi brytyjskimi Maszynami. Jest tak, jak mówił pan Oliphant: jesteście waszym młodszym bratem na tym świecie.

– Nauczymy się – wtrącił inny Japończyk. Odezwał się po raz pierwszy. Zapewne był to ten, który nazywał się Arinori. – Mamy wielkie zobowiązania wobec Brytanii. Swoją flotą ze

stali Brytania otworzyła nasze porty. Przebudziliśmy się i opanowaliśmy lekcję, jakiej nam udzieliliście. Pozbyliśmy się szoguna i jego zacofanych *bakufu*. Teraz mikado poprowadzi nas w nową erę postępu.

– Będziemy waszymi sprzymierzeńcami – dodał szlachetnie pan Yukichi. – Brytania Azji przyniesie cywilizację i oświecenie wszystkim azjatyckim ludom.

– To godne pochwały – przyznał Mallory. – Ale cywilizacja, budowa imperium, nie są takie proste. Trzeba na nie kilku stuleci...

– Teraz wszystkiego uczymy się od was – odparł pan Arinori. Zaczerwienił się; whisky zdawała się rozpalać w nim wewnętrzny ogień. – Zbudowaliśmy wielkie szkoły i flotę, tak jak wy. W Choshu mamy Maszynę! Kupimy ich więcej! Zbudujemy własne!

Mallory parsknął. Ci mali cudzoziemcy wydawali mu się tak młodzi, tak idealistyczni, inteligentni, a nade wszystko szczerzy. Było mu ich żal.

– Piękne plany, młody panie, które czynią panu zaszczyt. Ale sprawa nie jest łatwa. Widzisz, tutaj, w Brytanii, poświęciliśmy Maszynom wiele wysiłku... Można je wręcz nazwać głównym dziełem naszego narodu. Nasi uczeni pracują nad Maszynami od dziesięcioleci. Nie wiem, jak chcecie w ciągu kilku krótkich lat osiągnąć to, co my zdobyliśmy...

– Poniesiemy wszelkie konieczne ofiary – odparł chłodno pan Yukichi.

– Są inne sposoby udoskonalenia waszej ojczyzny. Ale to, co proponujecie, jest po prostu niemożliwe!

– Poniesiemy wszelkie konieczne ofiary!

Mallory zerknął na Oliphanta, który siedział z przyklejonym uśmiechem, wpatrzony w nakręcaną dziewczynę, napełniającą porcelanowe filiżanki. Być może lekki chłód w pokoju był jedynie tworem wyobraźni Mallory'ego, czuł jednak, że popełnił gafę.

Panowała cisza, zakłócana jedynie stukaniem automatu. Mallory powstał. Serce biło mu mocno.

– Wdzięczny jestem za pańską uprzejmość, panie Oliphant. I za pomoc pańskich gości, ma się rozumieć. Ale nie mogę dłużej zostać.

Bardzo tu przyjemnie, ale ważne sprawy...

– Jest pan pewien? – zapytał serdecznie Oliphant.

– Tak.

Oliphant podniósł głos.

– Bligh! Poślij chłopaka kucharki, żeby sprowadził dorożkę dla doktora Mallory'ego.

* * *

Noc minęła Mallory'emu niespokojnie. Ze snu, w którym dyskutował z Kaszłącym Dżentelmanem o katastrofizmie, wyrwało go pukanie do drzwi.

– Chwileczkę!

Zsunął nogi z łóżka, ziewnął szeroko i delikatnie obmacał tył głowy. W ciągu nocy rana trochę krwawiła i na poduszce pozostała różowa plama, ale opuchlizna zmniejszyła się i nie było oznak gorączki. To zapewne wynik terapeutycznego działania brandy Oliphanta.

Na mokrą od potu skórę wciągnął nocną koszulę, owinął się szlafrokiem i otworzył drzwi. Pałacowy *concierge*, Irlandczyk nazwiskiem Kelly, stał w korytarzu z parą ponurych sprzątaczek. Niosły szczotki, cynkowe wiadra i czarne gumowe lejki; przy nich stał wózek pełen zakorkowanych pojemników.

– Która to godzina, Kelly?

– Dziewiąta, sir.

Kelly wszedł, cmokając przez pożółkłe zęby. Kobiety podążały za nim, ciągnąc swój wózek. Krzykliwe etykiety stwierdzały, że każdy z ceramicznych pojemników zawiera „Patentowany Deodoryzator Utleniający Condy’ego, I galon”.

– Co to jest?

– Manganian sody, sir, do rur w Pałacu. Chcemy nim przepłukać wszystkie klozety. Oczyszczimy rury aż do głównych kanałów.

Mallory poprawił szlafrok. Był trochę zakłopotany, pokazując się sprzątaczkom z nagimi stopami i łydkami.

– Kelly, przecież to nie pomoże, choćbyś przepłukał rury aż do piekła. Jesteśmy w Londynie, w środku wściekle gorącego lata. Nawet Tamiza cuchnie.

– Musimy coś zrobić, sir – wyjaśnił Kelly. – Nasi goście skarżą się coraz głośniejsze. Trudno powiedzieć, żebym się im dziwił.

W toalecie kobiety przez lejek wlały do muszli pojemnik fioletowej cieczy. Deodoryzator wydzielал ostry zapach amoniaku, na swój sposób bardziej dokuczliwy niż wyczuwalny w pokojach fetor. Potem, kichając, szorowały porcelanę, póki Kelly władczy gestem nie pociągnął za łańcuch spłuczki.

Wreszcie wyszli i Mallory mógł się ubrać. Sprawdził w notesie: popołudniowy rozkład dnia miał wypełniony, ale rano zaplanował tylko jedno spotkanie. Nauczył się już, że wobec guzdralstwa Disraeliego, najlepiej rezerwować dla niego pół dnia. Przy odrobinie szczęścia zdąży jeszcze oddać surdut do pralni albo zajrzeć do fryzjera, żeby przyszyć sklezione włosy.

Kiedy wszedł do jadalni, dwóch innych gości, także spóźnionych na śniadanie, rozmawiało przy herbacie. Jednym z nich był członek rady muzeum, niejaki Belshaw, drugim pracownik muzeum, którego nazwisko brzmiało chyba Sydenham... Mallory nie mógł sobie przypomnieć.

Belshaw podniósł głowę, a Mallory skinął mu uprzejmie. Belshaw popatrzył na niego z ledwie skrywanym zdumieniem. Mallory wyminął ich stolik i zajął swoje zwykłe miejsce pod złożonym kandelabrem. Belshaw i Sydenham zaczęli gorączkowo szeptać między sobą.

Mallory zdziwił się. Co prawda, nie został Belshawowi formalnie przedstawiony, ale czy

tamtego mógł urazić zwykły ukłon? Poblady Sydenham zerkał ukradkiem w jego stronę. Mallory sprawdził, czy może ma rozpięty rozporek... Nie. Jednak mężczyzna wytrzeszczał oczy, najwyraźniej szczerze przestraszony. Czyżby otworzyła się rana na głowie i krew ściekała z włosów na szyję? Nie, chyba nie...

Zamówił śniadanie; kelner wysłuchał go z kamienną twarzą, jakby wybór śledzia i jajek był poważnym wykroczeniem.

Mallory nic z tego nie rozumiał. Miał już zamiar podejść do Belshawa i zapytać go wprost, o co chodzi. Układał sobie właśnie przemowę, gdy obaj mężczyźni wstali i wyszli, porzucając niedopitą herbatę. Mallory z ponurą miną dokończył śniadania. Postanowił, że nie pozwoli, by ten incydent go zdenerwował.

Zajrzał do holu, by odebrać swój kosz listów. Stały recepcjonista był nieobecny – z powodu nieżyty oskrzeli, jak wyjaśnił jego zmiennik. Z koszem w ręku Mallory wycofał się na swoje ulubione miejsce w bibliotece. W kącie sali zebrało się tam już pięciu jego kolegów z Pałacu. Dyskutowali o czymś zawzięcie. Kiedy Mallory podniósł głowę, zdawało mu się, że wszyscy zerkają na niego ukradkiem... Ale to przecież nonsens.

Dość pobieżnie przejrzał pocztę. Głowa go trochę bolała i umysł nie działał jak należy. Znalazł zwykłą dawkę nudnej korespondencji naukowej i tradycyjny ładunek listów z wyrazami podziwu i prośbami o pomoc. Być może zatrudnienie osobistego sekretarza okaże się jednak nieuniknione.

Mallory'emu przyszło nagle do głowy, że pan Tobias z Centralnego Biura Statystycznego nadawałby się na to stanowisko. Być może byłby bardziej śmiały, wiedząc, że czeka na niego inna praca. Mallory chciałby bowiem poznać wiele tajemnic Biura. Na przykład dane lady Ady, jeśli taki mityczny plik kart w ogóle istnieje. Albo Oliphanta z jego fałszywymi uśmiechami i wątpliwymi zapewnieniami. Albo też lorda Charlesa Lyella, obwieszonego medalami uczonego wodza frakcji uniformitariańskiej.

Te trzy osoby znajdowały się zapewne poza jego zasięgiem. Ale może Tobias zdoła wyszperać dane Petera Foulke'a: złośliwego łobuza, którego intrygi stawały się coraz bardziej widoczne.

W końcu ujawnią się całkowicie; Mallory był tego pewien. Wszystkie sekretne działania zostaną wydobyte na powierzchnię niczym kości odłamane od warstwy łupków. Oczyma duszy zobaczył ustawione w gablotach szkielety elity radykałów. Teraz, jeśli tylko będzie miał czas i okazję do pracy, wyrwie całą tajemnicę z jej kamiennego leża.

Jego uwagę zwrócił dziwny pakiet: nietypowych rozmiarów, gruby i kwadratowy, z kolorowym zestawem francuskich znaczków pocztowych. Żółtą kopertę, niezwykle sztywną i śliską, wykonano z jakiegoś niespotykanego wodoszczelnego materiału, przypominającego mikę. Mallory sięgnął po sheffieldzki nóż, wybrał najmniejsze z kilku ostrzy i rozciął pakiet.

Wewnątrz była jedna francuska karta maszynowa standardu Napoleona. Zdumiony Mallory wytrząsnął ją na stół. Przyszło mu to nie bez trudu, gdyż pakiet był od środka

dziwnie wilgotny. Kartę pokrywały kropelki jakiejś chemicznej mikstury, w zetknięciu z powietrzem wydzielającej obrzydliwy zapach.

Na karcie, czystej i bez dziurek, ktoś wypisał drukowanymi, dużymi literami:

DO DRA EDWARDA MALLORY'EGO, PAŁAC PALEONTOLOGII,
LONDYN: JEST PAN W POSIADANIU RZECZY SKRADZIONEJ W EPSOM.
ZWRÓCI NAM PAN JĄ CAŁĄ I NIE USZKODZONĄ, ZGODNIE ZE
WSKAZÓWKAMI PRZEKAZYWANymi W KOLUMNIE DROBNYCH
OGŁOSZEŃ LONDYŃSKIEGO DAILY EXPRESS. DOPÓKI NIE ODZYSKAMY
NASZEJ WŁASNOŚCI, BĘDZIE PAN CIERPIAŁ Z POWODU ROZMAITYCH
KAR, KTÓRYCH KULMINACJĄ STANIE SIĘ – W RAZIE KONIECZNOŚCI –
PAŃSKIE CAŁKOWITE I ZUPEŁNE UNICESTWIENIE. EDWARDZIE
MALLORY, ZNAMY TWÓJ NUMER, TWOJĄ TOŻSAMOŚĆ, TWOJĄ
HISTORIĘ I TWOJE AMBICJE. JESTEŚMY W PEŁNI ŚWIADOMI KAŻDEJ
TWOJEJ SŁABOŚCI. OPÓR JEST BEZCELOWY. NATYCHMIASTOWA I
PEŁNA KAPITULACJA TO TWOJA JEDYNA SZANSA. KAPITAN SWING

Mallory znieruchomiał; pamięć na nowo ożywiła rano w Wyoming, kiedy wstał rano i w legowisku znalazł śpiącego grzechotnika, grzejącego się ciepłem jego ciała. Przez sen czuł, jak wąż wiję się pod nim, jednak nie zwracał na to uwagi. Ten list był niby łuska znaleziona o świcie.

Chwycił kartę i zbadał ją dokładnie. Kamforowana celuloza, nasycona czymś cuchnącym... Drobne czarne litery zaczynały już znikać. I nagle karta sparzyła mu palce; upuścił ją natychmiast, tłumiąc okrzyk zdumienia. Leżała pogięta na stoliku i łuszczyła się w warstwy cieńsze niż najcieńsza skórka cebuli; jednocześnie brązowieła na brzegach, aż w końcu uniosła się z niej smuga żółtego dymu i Mallory zrozumiał, że materiał zaraz się zapali.

Nerwowo sięgnął do kosza, chwycił ostatnie wydanie *Kwartalnika Towarzystwa Geologicznego* i szybko przykrył kartę. Rozsypała się w jakieś splątane włókna, zmieszane z nadpaloną politurą blatu.

Mallory otworzył kopertę listu z prośbą o wsparcie, wyrzucił zawartość i grzbietem geologicznego pisma zgarnął do niej popiół. Stolik nie ucierpiał zbyt mocno.

– Doktor Mallory?

Mallory drgnął nerwowo i podniósł głowę. Naprzeciw stał wysoki, gładko wygolony mężczyzna, londyńczyk, w ciemnym ubraniu i z poważną miną. W rękę trzymał jakieś papiery i notatnik.

– Wyjątkowo marny egzemplarz – oświadczył Mallory, dumny z tej zaimprovizowanej wymówki. – Zakonserwowany w kamforze! Fatalna technika.

Zgniół kopertę i wsunął ją do kieszeni.

Przybysz bez słowa wręczył mu wizytówkę.

Na karcie Ebenezera Fräsera wydrukowano jego imię, nazwisko, numer telegrafu i niewielkie wypukłe godło państwa. Nic więcej. Na drugiej stronie znalazł się maszynowy portret jego oblicza, kamiennego i śmiertelnie poważnego, co było chyba zwykłym wyrazem twarzy tego człowieka.

Mallory wstał i wyciągnął rękę, ale zorientował się, że palce wciąż ma wilgotne od palnej mikstury. Ukłonił się więc, usiadł i ukradkiem wytarł dłoni o spodnie. Skóra kciuka i palca wskazującego sprawiała wrażenie wysuszonej, jakby zanurzył je w formalinie.

– Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje – wymruczał Fraser, zajmując miejsce przy stole. – Odzyskał pan siły po wczorajszym napadzie?

Mallory rozejrzał się. Inni obecni w bibliotece nadal tłoczyli się w kącie. Sprawiali wrażenie zaciekawionych jego wyczynami i nagłym przybyciem Fräsera.

– To drobiazg. Każdemu może się to zdarzyć... w Londynie.

Fraser lekko uniósł brew.

– Żałuję, panie Fraser, że fatygował się pan z powodu mojego przykrego wypadku.

– To żaden kłopot, sir. – Fraser otworzył notatnik w skórzanych okładkach, a z gładkiego, kwakerskiego surduta wyjął wieczne pióro. – Kilka pytań?

– Szczerze mówiąc, jestem w tej chwili nieco zajęty...

Fraser uciszył go chłodnym spojrzeniem.

– Jestem tu od trzech godzin, sir, czekając, aż zechce pan porozmawiać.

Mallory wymamrotał jakieś przeprosiny. Fraser nie zwrócił na nie uwagi.

– O szóstej rano byłem świadkiem niezwykłego zdarzenia. Jakiś gazeciarz wykrzykiwał na cały świat, że Lewiatan Mallory został aresztowany za morderstwo.

– Ja? Edward Mallory?

Fraser przytaknął.

– Nie rozumiem. Dlaczego gazeciarz miałby rozgłaszać takie ohydne kłamstwa?

– Sprzedał sporo swoich gazet – odparł sucho Fraser. – Sam jedną kupiłem.

– Wielkie nieba! I co tam o mnie piszą?

– Nie ma ani słowa o Edwardzie Mallorym. Sam może pan sprawdzić. – Rzucił na stół złożony *Daily Express*.

Mallory starannie włożył gazetę do swego kosza.

– To jakiś złośliwy figiel – domyślił się. W gardle mu zaschło. –

Ci ulicznicy są zdolni do wszystkiego...

– Kiedy znowu wyszedłem, nicponia już nie było. Ale wielu pańskich kolegów słyszało jego krzyki. Mówili o tym przez cały ranek.

– Rozumiem... To by wyjaśniało pewną... – Odchrząknął. – No tak. Fraser obserwował go obojętnie.

– A teraz proszę spojrzeć na to...

Z notatnika wyjął złożony papier, rozwinął go i przesunął ku niemu po mahoniowym blacie.

Maszynowy wydruk dagerotypu. Wyciągnięty na stole martwy mężczyzna, z kawałkiem płótna osłaniającego łedźwie. Zdjęcie wykonano w kostnicy. Ciało zostało rozprute od brzucha po mostek jednym przerażającym ciosem. Skóra na piersi, nogach i wystającym brzuchu była marmurowo biała, dziwnie kontrastując z ogorzałymi od słońca rękami i twarzą.

Człowiekiem tym był Francis Rudwick.

Pod zdjęciem był również podpis: *Naukowa autopsja*, głosił. „*Batrachijny*” obiekt został rozcięty i otwarty w katastroficznej sekcji. Pierwszy z Serii.

– Wielki Boże...

– Dagerotyp pochodzi z akt policyjnych – poinformował Fraser. –

Wydaje się, że wpadł w niepowołane ręce.

Mallory z grozą i zdumieniem przyglądał się zwłokom.

– Co to może znaczyć? Fraser przygotował pióro.

– Co to znaczy „batrachijny”? – zapytał.

– To z greki – wyrzucił Mallory. – Od *Batrachos*, płaz. Głównie żaby i ropuchy. – Z trudem dobierał słowa. – Kiedyś... lata temu, w dyskusji... powiedziałem, że jego teorie... Wie pan, geologiczne teorie Rudwicka...

– Dziś rano słyszałem tę historię. Wśród pańskich kolegów jest powszechnie znana. – Fraser przerzucił kartki notatnika. – Powiedział pan Rudwickowi: „Rozwój ewolucji nie dopasowuje się do batrachijnej tępoty pańskiego intelektu”. – Urwał na chwilę. – On rzeczywiście był trochę podobny do żaby, prawda?

– To się zdarzyło podczas publicznej dyskusji w Cambridge – rzekł wolno Mallory. – Obaj byliśmy podnieceni...

– Rudwick stwierdził, że jest pan „szalony jak kapelusznik” – przypomniał Fraser. – Zdaje się, że źle pan przyjął tę uwagę.

Mallory zaczerwienił się.

– Nie miał prawa tak mówić z tą swoją zarozumiałą miną...

– Byliście wrogami.

– Tak, ale... – Mallory otarł czoło. – Nie wierzy pan chyba, że miałem cokolwiek wspólnego z tym... – Wskazał dagerotyp.

– Jestem pewien, że nie świadomie – uspokoił go Fraser. – Jak sądzę, pochodzi pan z Sussex, prawda? Z miasteczka Lewes?

– Istotnie.

– Wszystko wskazuje na to, że w urzędzie pocztowym w Lewes ktoś nadał dziesiątki tych wydruków.

– Dziesiątki? – Mallory był wstrząśnięty.

– Przesłano je do pańskich kolegów z Towarzystwa Królewskiego. Anonimowo.

– Jezu Chryste! – jęknął Mallory. – Oni chcą mnie zniszczyć!

– Fraser nie odpowiedział.

Mallory spojrzał na zdjęcie z kostnicy. I nagle ogarnęło go przeraźliwie silne poczucie zwykłej ludzkiej litości.

– Biedaczysko Rudwick... Co oni z nim zrobili!

Fraser przyglądał mu się bez słowa.

– Był jednym z nas! – zawołał gniewnie Mallory. Mówił szczerze. – Żaden teoretyk, ale piekielnie dobry kopacz. Mój Boże, kiedy pomyślę o jego rodzinie...

– Rodzina... – zanotował Fraser. – Muszę to sprawdzić. Całkiem możliwe, że powiedziano im, iż to pan jest mordercą.

– Przecież kiedy zginął Rudwick, byłem w Wyoming. Wszyscy o tym wiedzą.

– Człowiek bogaty może kogoś wynająć.

– Nie jestem bogaty. Fraser milczał.

– Nie byłem – poprawił się Mallory. – Nie wtedy. Fraser obojętnie przerzucał kartki notatnika.

– Wygrałem pieniądze na wyścigach. Fraser okazał lekkie zaciekawienie.

– Moi koledzy zauważyli, jak je wydaję – dokończył Mallory, czując lodowaty dreszcz. – I zastanawiali się, skąd wziąłem tyle pieniędzy. Obgadują mnie za plecami, co?

– Zazdrość rozwiązuje języki...

Nagły lęk ogarnął Mallory'ego. W powietrzu, niby rój szerszeni, zawisła groźba. Wolno pokręcił głową, zacisnął zęby. Nie pozwoli się oszukać ani zastraszyć. Czekala go praca. Istnieją przecież dowody potwierdzające prawdę. Pochylił się i, marszcząc czoło, przestudiował zdjęcie.

– Piszą tu „pierwszy z serii” – oświadczył. – To groźba, panie Fraser. To sugeruje, że nastąpią podobne zabójstwa. „Katastroficzna sekcja” odnosi się do naszej naukowej sprzeczki. Jakby to ona była przyczyną jego śmierci.

– Uczni bardzo poważnie traktują takie sprzeczki – zauważył Fraser.

– Chce pan powiedzieć, że moi koledzy naprawdę wierzą, że to ja wysiałem te zdjęcia? Że wynająłem zabójców, niczym Machiavelli? Że jestem niebezpiecznym szaleńcem, który przechwala się mordowaniem rywali?

Fraser nie odpowiedział.

– Wielki Boże, co ja mam robić?

– Moi przełożeni uznali, że sam mam kierować tą sprawą – oświadczył oficjalnym tonem Fraser. – Muszę prosić, by zaufał pan mojej dyskrekcji, doktorze Mallory.

– Ale co mam robić z atakami na moją reputację? Czy powinienem zaczepiać kolejno wszystkich ludzi w tym budynku i tłumaczyć, że nie jestem jakimś przeklętym wampirem?

– Rząd nie dopuści, by ktoś prześladował w taki sposób wybitnego uczonego – zapewnił cicho Fraser. – Jutro na Bow Street komisarz wyda oświadczenie przeznaczone dla

Towarzystwa Królewskiego. Wyjaśni w nim, że stał się pan ofiarą pomówienia, oraz że jest pan niewinny i wolny od wszelkich podejrzeń w sprawie Rudwicka.

Mallory potarł brodę.

– Myśli pan, że to pomoże?

– Jeśli okaże się to konieczne, opublikujemy takie oświadczenie w gazetach.

– Ale czy taki rozgłos nie wzbudzi tym większych podejrzeń?

Fraser poprawił się w fotelu.

– Doktorze Mallory, moja instytucja istnieje w celu likwidacji spisków. Mamy w tym względzie pewne doświadczenia. Mamy też pewne możliwości. Nie przestraszy nas jakaś banda intrygantów.

Zamierzamy schwycić ich wszystkich, od góry do dołu, i stanie się to prędzej czy później. Jeśli tylko będzie pan ze mną szczery i opowie wszystko, co wie.

Mallory wyprostował się.

– Szczerość tkwi w mojej naturze, panie Fraser. Ale chodzi tu o mroczną i skandaliczną historię.

– Proszę się nie obawiać o moją wrażliwość.

Mallory rozejrzał się po mahoniowych półkach, oprawnych rocznikach, zebranych pismach i wielkich atlasach. Wyczuwał w powietrzu podejrzliwość, niby ostry, gryzący zapach. Po wczorajszej bójce na ulicy Pałac wydawał mu się domem i fortecą, jednak dzisiaj zmienił się w borsuczą norę, – To nie jest właściwe miejsce na taką opowieść – mruknął.

– Istotnie – przyznał Fraser. – Ale powinien pan zająć się swymi naukowymi sprawami, tak jak zawsze. Proszę robić dobrą minę do złej gry, a pańscy wrogowie pomyślą, że ich plan zawiódł.

Rada wydała się Mallory’emu rozsądna. Przynajmniej pozwalała na jakieś działanie. Natychmiast poderwał się na nogi.

– Załatwić codziennie sprawy? Tak, to właściwe rozwiązanie.

Fraser także się podniósł.

– Będę panu towarzyszył, sir, za pańskim pozwoleniem. Wierzę, że szybko zakończymy tę sprawę.

– Może pan zmienić zdanie, gdy dowie się pan o wszystkim – mruknął Mallory.

– Pan Oliphant udzielił mi wszelkich informacji.

– Wątpię. Pomiń to, co najgorsze.

– Nie jestem przeklętym politykiem – przypomniał Fraser tym samym łagodnym tonem. – Czy możemy już ruszać, sir?

* * *

Niebo nad Londynem przypominało namiot z żółtej mgły. Wisiało nad miastem jak

ogromna meduza; jej macki – brud wypływany przez miejskie kominy – skręcały się i kołysały jak smużka dymu ze świecy w całkowicie nieruchomym powietrzu, a w końcu znikwały w pokrywie chmur. Niewidoczne słońce świeciło słabym, rozmytym blaskiem.

Mallory rozejrzał się dookoła. Londyński letni ranek wydał mu się niezwykle dzięki temu niewiarygodnemu bogactwu przygaszonego bursztynowego światła.

– Panie Fraser, jest pan rdzennym londyńczykiem, jak mniemam.

– Tak jest.

– Czy widział pan już kiedy taką pogodę? Fraser spojrzał w niebo i zastanowił się.

– Nie, odkąd byłem chłopcem. Dymy węglowe były wtedy naprawdę gęste. Ale radykałowie budują wyższe kominy. Dzisiaj dym rozwiewa się po okolicznych hrabstwach. Przynajmniej większość.

Mallory zafascynowany obserwował płaską powłokę chmur. Żałował, że nie poświęcił więcej czasu na studiowanie doktryn pneumodynamiki. Statyczna chmura zdradzała niezdrowy brak naturalnych turbulencji, jakby dynamiczna struktura atmosfery doznała nagłej stagnacji. Cuchnące tunele metra, wysychająca Tamiza, a teraz jeszcze to...

– Nie jest chyba tak gorąco jak wczoraj – zauważył.

– To mrok, sir.

Na ulice wyległy takie tłumy, jakie tylko w Londynie są możliwe. Wszystkie omnibusy i dorożki były pełne, każde skrzyżowanie zablokowane masą wózków i karet, z przeklinającymi woźnicami i zdyszanymi końmi. Parowe powozy jechały wolno, wiele z nich ciągnęło wyładowane zapasami przyczepy na gumowych oponach. Letni *exodus* wyższych sfer zmieniał się w ucieczkę. Mallory'ego zbytnio to nie dziwiło.

Długa droga dzieliła ich od Fleet Street i spotkania z Disraelim. Rozsądek nakazywał raczej spróbować metra i wytrzymać jakoś Fetor.

Ale Brytyjskie Bractwo Saperów i Górników zablokowało wejście na stację przy Gloucester Road. Strajkowali. Ustawili pikiety na przejściach i układali worki z piaskiem, jak armia szykująca się do obrony. Spory tłum obserwował te działania. Panował porządek. Ludzie nie wyglądali na zirytowanych zuchwałością strajkujących; byli raczej zaciekawieni czy też zdziwieni. A może cieszyli się, widząc, że metro nie działa. Najpewniej jednak zwyczajnie bali się kopaczy. Górnicy w hełmach wysypywali się z podziemnych tuneli niby gromady muskularnych koboldów.

– Nie podoba mi się to, panie Fraser.

– Mnie także nie, sir.

– Porozmawiajmy z tymi chłopcami.

Mallory przeszedł przez ulicę. Zbliżył się do krępego górnika z czerwonym nosem, który pokrzykiwał na gapiów i wciskał im ulotki.

– Co się tu dzieje, bracie saperze?

Kopacz zmierzył go wzrokiem i uśmiechnął się szeroko, nie wypuszczając z zębów

kościanej wykałaczkii. W uchu miał duży pozłacany kolczyk... A może i złoty, jako że Bractwo było bogatym związkiem i posiadało wiele cennych patentów.

– Wy tłumaczę, skoro pan tak grzecznie pytasz. To przez te przekłete zajęczomózgie pociągi pneumatyczne. Napisaaliśmy w petycji do lorda Babbage’a, że te wściekle tunele nigdy się porządnie nie wywietrzają. Ale jakiś cholerny drań uczony wygłosił jakiś pieprzony dumny wykład, a teraz w dziurach śmierdzi jak zgniłe siki.

– To poważna sprawa, mój panie.

– Masz pieprzoną rację, chłopie.

– Czy zna pan nazwisko tego konsultanta? Kopacz zasięgnął rady dwóch kolegów w hełmach.

– Lord nazywał się Jefferies.

– Znam Jefferiesa! – wykrzyknął zdumiony Mallory. – Twierdzi, że pterodaktyl Rudwicka nie mógł latać. Uważa, że udowodnił, iż był to „tępy szybujący gad”, który nie umiał nawet machnąć własnymi skrzydłami. Ten łajdak jest niekompetentny! Powinno się go oskarżyć o oszustwo!

– Sam pan jesteś uczonym?

– Nie takim jak on.

– A co z pana kumplem glina? – Górnik nerwowo szarpnął za obręcz w uchu. – Nie zapisze sobie tego w swoim diabelskim notesie?

– Na pewno nie – zapewnił z godnością Mallory. – Chcieliśmy tylko poznać całą prawdę o tej sprawie.

– Jak wasza uczona wysokość chce poznać prawdę, to niech – zlezie na dół i zeskrobie wiadro tego gówna z obmurówki. Kanalarze po dwudziestu latach w fachu rzygają od smrodu jak koty. Górnik odwrócił się do damy w krynolinie.

– Nie możesz tam wejść, słodziutka. Ani jeden pociąg nie jeździ dzisiaj w Londynie.

Mallory ruszył dalej.

– To prawdziwy skandal! – mruczał głośno. – Kiedy uczony podejmuje się takiej konsultacji, powinien dokładnie poznać fakty.

– To przez pogodę – zauważył Fraser.

– Wcale nie! To kwestia naukowej etyki! Sam miałem takie zlecenie: jakiś człowiek z Yorkshire chciał zbudować szklaną cieplarnię według wzorca kręgosłupa i żeber brontozaura. Rusztowanie będzie mocne i trwałe, powiedziałem mu, ale szyby muszą przeciekać na brzegach. Czyli: nie ma pracy, nie ma honorarium za poradę, za to moja naukowa reputacja pozostaje bez skazy. – Mallory odetchnął ciężkim powietrzem, odkasznął i splunął do rynsztoka. – Nie mogę uwierzyć, że ten dureń Jefferies udzielił lordowi Babbage’owi tak fatalnej rady.

– Nie widziałem jeszcze, żeby uczony tak bezpośrednio rozmawiał z górnikiem.

– To nie zna pan Neda Mallory’ego. Szanuję każdego uczciwego człowieka, który zna się

na swojej pracy.

Fraser zastanowił się chwilę. Sądząc po wyrazie twarzy, miał chyba pewne wątpliwości.

– Ci pańscy górnicy to niebezpieczni buntownicy.

– To wspaniały radykalny związek. Od początku stali twardo u boku Partii. To się nie zmieniło.

– W Ciężkich Czasach zabili sporo policjantów.

– Ale to była policja Wellingtona.

Fraser ponuro skinął głową.

Nie mieli innego wyjścia, niż iść pieszo do mieszkania Disraeliego. Długonogi Fraser, który bez trudu dotrzymywał kroku Mallory’emu, nie protestował. Zawrócili więc i wkroczyli do Hyde Parku.

Mallory liczył na odrobinę świeżego powietrza, jednakże letnia trawa żółkła w martwym upale, a zielonkawy blask pod konarami drzew wydawał się posępny i złowrogi.

Niebo zmieniło się w misę dymu; kłębił się i gęstniał coraz bardziej. Niezwykle to zjawisko najwyraźniej przeraziło londyńskie szpaki, gdyż wielkie ich stado wzleciało nagle nad parkiem. Manewry ptaków stanowiły elegancką lekcję fizyki dynamicznej. To niezwykle, jak systemowa interakcja tylu ptaków potrafi uformować w powietrzu regularne kształty: trapez, ściętą piramidę zmieniającą się w spłaszczony półksiężyc, który następnie wygiął się pośrodku niby nadchodząca fala. Można by napisać piękną pracę o tym zjawisku.

Mallory potknął się o korzeń. Fraser chwycił go za ramię.

– Sir...

– Słucham, panie Fraser.

– Proszę mieć oczy otwarte. Być może ktoś nas śledzi. Mallory rozejrzał się, całkiem na próżno. Park był pełen ludzi, ale nie dostrzegł wśród nich Kaszłącego Dżentelmena ani opryszka w meloniku.

Przy Rotten Row niewielka grupka amazonek – „pięknych ujeżdżaczek”, jak nazywała je prasa, co było eufemizmem oznaczającym eleganckie kurtyzany – otoczyła jedną ze swego grona, zrzuconą z siodła przez kasztanowego wałacha. Kiedy Mallory i Fraser podeszli bliżej, zobaczyli, że zwierzę padło na ziemię i, tocząc pianę z pyska, leży zdyszane w trawie obok toru. Amazonka pobrudziła się mocno, ale nie odniosła obrażeń. Głośno przeklinała Londyn, cuchnące powietrze, kobiety, które zachęcały ją do galopu i mężczyznę, który kupił jej konia.

Fraser grzecznie zignorował niegodny spektakl.

– W naszej pracy, drogi panie, nauczyliśmy się cenić otwarty teren. Wokół nas nie ma w tej chwili żadnych uchylonych drzwi ani dziurek od klucza. Czy zechce więc pan własnymi słowami opowiedzieć o swoich kłopotach? O rym, co widział pan osobiście?

Przez chwilę Mallory miał chęć zaufać Fraserowi. Ze wszystkich ludzi, do których mógłby się zwrócić o pomoc, ten doświadczony policjant wydawał się stworzony do tego, by śmiało zmierzyć się z zagrożeniem. Jednak taka ufność niosła ze sobą ryzyko i narażała nie

tylko jego opinię.

– Panie Fraser, w tej sprawie chodzi o reputację pewnej wielkiej damy. Zanim przemówię, musi mi pan dać słowo dżentelmena, że nie naruszy pan jej interesów.

Fraser założył ręce na plecy. Zastanawiał się przez chwilę.

– Ada Byron? – zapytał w końcu.

– Ależ tak! Oliphant panu powiedział?

Fraser pokręcił głową.

– Pan Oliphant jest niezwykle dyskretny. Ale nas, z Bow Street, często wzywają dla wyciszenia rodzinnych skandali Byronów. Można by wręcz powiedzieć, że specjalizujemy się w takich działaniach.

– Ale przecież odgadł pan niemal natychmiast. Jak to możliwe?

– Smutne doświadczenia, sir. Znam słowa, jakich pan użył, znam ten ton pełen czci... „Interesy pewnej wielkiej damy”... – Fraser rozejrzał się po mrocznym parku. Na zgrabnych tekowych ławkach siedzieli mężczyźni z rozpiętymi kołnierzykami, zarumienione damy z wachlarzami i dzieci, w cuchnącym upale płaczliwe i niezdolne. – Księżne i hrabiny... Wszystkie pamiętają, jak w Ciężkich Czasach spalono im te piękne rezydencje. Kobiety radykałów... Może i noszą się dumnie, ale nikt nie nazywa ich „wielkimi damami”, nie tym staromodnym tonem... Chyba że mówi o samej królowej albo o naszej tak zwanej królowej Maszyn.

Wyminął martwego szpaka, który leżał na zwirowej ścieżce z rozłożonymi skrzydełkami i łapkami sterczącymi w górę. Dwadzieścia jardów dalej musieli zwolnić, by przejść między kilkunastoma takimi ciałami.

– Najlepiej będzie, jeśli zacznie pan od początku, sir. Od nieżyjącego pana Rudwicka i jego spraw.

– Zgoda. – Mallory otarł pot z czoła. Na chusteczce pozostały plamki sadzy. – Jestem doktorem nauk, paleontologiem. Jak z tego – wynika, jestem szczerym entuzjastą Partii. Rodzina moja nie jest zbyt zamożna, ale dzięki radykałom z wyróżnieniem obroniłem doktorat. Lojalnie wspieram rząd.

– Proszę mówić dalej.

– Przez dwa lata z lordem Loudonem szukałem skamielin w Południowej Ameryce, jednak nie zaliczałem się do wielkich odkrywców. Kiedy zaproponowano mi własną ekspedycję, szczerze finansowaną, przyjąłem ją natychmiast. Podobnie, jak dowiedziałem się później, uczynił nieszczęsny Francis Rudwick. I z podobnych powodów.

– Obaj przyjęliście pieniądze od Komisji Wolnego Handlu Towarzystwa Królewskiego.

– Nie tylko fundusze, ale i rozkazy, panie Fraser. Zabrałem ze sobą do Ameryki piętnastu ludzi. Prowadziliśmy wykopaliska i dokonaliśmy wielkiego odkrycia. Ale też przemycaliśmy broń dla czerwonoskórych, by pomóc im w walkach z Jankesami. Kreśliliśmy mapy i wyznaczaliśmy szlaki z Kanady, szczegółowo opisując układ terenu. Gdyby kiedyś wybuchła

wojna między Brytanią a Ameryką... – Mallory urwał na chwilę. – Zresztą już trwa przecież wojna, prawda? Popieramy konfederatów z Południa na wszelkie sposoby, z wyjątkiem oficjalnego udziału w walkach.

– Nie wiedział pan, że z powodu takiej działalności Rudwickowi może cokolwiek zagrażać?

– Zagrażać? Oczywiście, że mogło zagrażać. Ale nie w domu, nie w Anglii... Byłem w Wyoming, kiedy tutaj zamordowano Rudwicka; nie miałem o tym pojęcia, póki nie wróciłem do Kanady i nie przeczytałem o zbrodni w gazetach. To był cios... Zażarcie zwalczałem jego teorie; wiedziałem, że pojechał kopać do Meksyku, ale nie domyślałem się, że łączy nas ten sam sekret. Nie miałem pojęcia, że Rudwick jest wysłannikiem Komisji. Wiedziałem tylko, że jest świetnym uczonym. – Mallory głęboko odetchnął cuchnącym powietrzem. Własne słowa zdumiały go; nigdy tego otwarcie nie przyznał, nawet przed sobą samym. – Przypuszczam, że trochę mu zazdrościłem. Był starszy ode mnie i był uczniem Bucklanda.

– Bucklanda?

– To jedna z najwybitniejszych postaci w naszej branży. Też już nie żyje. Ale, prawdę mówiąc, nie znałem Rudwicka zbyt dobrze. Był niegrzeczny, wyniosły i zimny w kontaktach z ludźmi. Najlepiej wypadał, kiedy przebywał na wyprawie gdzieś za morzem, z daleka od przyzwoitego towarzystwa. – Mallory potarł dłonią kark. – Kiedy przeczytałem o jego śmierci w jakiejś bójce, nie do końca mnie to zdziwiło.

– Wie pan, czy Rudwick znał Adę Byron?

– Nie... – odparł zaskoczony Mallory. – Nie wiem. Ani on, ani ja nie dotarliśmy tak wysoko w uczonych kręgach. Nie do poziomu lady Ady. Może i został jej przedstawiony, ale chyba bym słyszał, gdyby cieszył się jej zainteresowaniem.

– Sam pan mówił, że był zdolny.

– Ale nie *galante*. Fraser zmienił temat.

– Oliphant uważa chyba, że Rudwicka zamordowali Teksaszczyki.

– Nic nie wiem o żadnych Teksaszczykach – odparł gniewnie Mallory. – Kto w ogóle coś wie o Teksasie? Przeklęta pustynia, nie wiadomo jak daleko stąd! Jeśli Teksaszczyki zabili nieszczęsnego Rudwicka, flota królewska powinna w odwecie zbombardować ich porty albo coś w tym rodzaju. – Pokręcił głową. Cała ta brzydka sprawa, która kiedyś wydała mu się śmiałym i chytrym posunięciem, teraz zmieniła się w niechlubną i wstydliwą, jak nędzne oszustwo. – Rudwick i ja byliśmy głupcami, pozwalając się wykorzystać w działaniach Komisji. Paru bogatych lordów spiskujących na salonach, by nękać Jankesów! Przecież jankeskie republiki same skaczą sobie do gardeł, biją się o niewolnictwo, o prawa poszczególnych prowincji i inne podobne głupstwa! Z tego powodu zginął Rudwick, a przecież mógł żyć dalej i wykopywać prawdziwe cuda. Wstyd mi za siebie.

– Niektórzy powiedzą, że wypełnił pan patriotyczny obowiązek. Że uczynił pan to w interesie Anglii.

– Pewnie tak. – Mallory otrząsnął się. – Ale to wielka ulga rozmawiać o tym otwarcie, po tak długim milczeniu.

Na Fraserze opowieść wyraźnie nie zrobiła wielkiego wrażenia. Mallory przypuszczał, że dla inspektora z Sekcji Specjalnej to znana historia, a może zaledwie fragment większej i mroczniejszej intrygi. Jednak Fraser nie drażył kwestii politycznych, za to skoncentrował się na szczegółach zbrodni.

– Proszę opowiedzieć o pierwszym ataku na pańską osobę.

– To się stało podczas Derby. Zauważyłem w wynajętej bryczce zawołowaną damę, traktowaną brutalnie przez mężczyznę i kobietę, których uznałem za przestępców. Ta kobieta okazała się Florencją Russell Bartlett, o czym pewnie pan wie.

– Tak. Bardzo pilnie poszukujemy pani Bartlett.

– Nie udało mi się zidentyfikować jej towarzysza. Usłyszałem jednak jego nazwisko: Swing, albo kapitan Swing.

Fraser wydawał się nieco zaskoczony.

– Wspominał pan o tym Oliphantowi?

– Nie. – Czując, że stąpa po kruchym lodzie, Mallory nie powiedział nic więcej.

– Może to i lepiej – stwierdził Fraser po chwili namysłu. – Pan Oliphant miewa czasem dziwne idee, a „kapitan Swing” to nazwisko słynne w kręgach konspiracji. Mityczna osobistość, podobnie jak „Ned Ludd” czy „generał Ludd”. Dawne bandy Swinga to luddyci z terenów wiejskich. Głównie podpalacze. W Ciężkich Czasach zaczęli szaleć; zabili sporo ziemian i puścili z dymem wiele pięknych rezydencji.

– Aha... – mruknął Mallory. – Więc myśli pan, że ten człowiek jest luddytą?

– Nie ma już luddytów – odparł spokojnie Fraser. – Są martwi jak wasze dinozaury. Podejrzewam raczej jakiegoś pomyslowego miłośnika historii. Mamy jego rysopis, mamy swoje metody... Kiedy go złapiemy, zapytamy, skąd taki wybór pseudonimu.

– W każdym razie z całą pewnością nie był robotnikiem wiejskim.

– Przypominał raczej sfrancuziałego dandysa. Kiedy chciałem bronić owej damy, zaatakował mnie sztyletem! Skaleczył mnie w nogę. Chyba miałem szczęście, że ostrze nie było zatrute.

– Może i było. Większość trucizn nie jest tak skuteczna, jak się powszechnie sądzi.

– W każdym razie powaliłem hultaja i odpędziłem go i jego towarzyszkę od ofiary. Dwa razy poprzysiągł, że mnie zabije. „Zniszczy”... Takiego słowa użył. Potem uświadomiłem sobie, że tą damą może być jedynie lady Ada Byron. Przemówiła do mnie bardzo dziwnie, jakby oszołomiona narkotykiem albo śmiertelnie przerażona. Poprosiła, żeby doprowadzić ją do Łoży Królewskiej, ale kiedy się tam zbliżyliśmy, umknęła mi dzięki sprytnemu podstępowi. Bez słowa podziękii...

Mallory przerwał, wbijając rękę w kieszenie.

– To chyba w skrócie cała sprawa, panie Fraser. Wkrótce potem wygrałem dużą sumę

pieniędzy, postawiłem bowiem na parowy powóz zbudowany przez jednego z przyjaciół. Udzielił mi pożytecznej informacji, która przemieniła mnie ze skromnego uczonego w człowieka zamożnego. – Skubnął brodę. – A choć to wielka zmiana, w owym czasie wydała mi się mniej niezwykła niż tamto spotkanie.

– Rozumiem.

Zbliżyli się do Hyde Park Corner, gdzie mówcy na drewnianych skrzynkach wykrzykiwali głośno swoje hasła, często przerywając z powodu kaszlu. Fraser i Mallory milczeli, wymijając grupki sceptycznych słuchaczy.

Przeszli przez gęstą od powozów Knightsbridge. Mallory czekał, aż Fraser się odezwie, ale policjant zachowywał milczenie. Przy żelaznej bramie Green Parku przystanął, odwrócił się i przez chwilę obserwował ulicę.

– Możemy skrócić sobie drogę przez Whitehall – oznajmił w końcu. – Znam boczne uliczki.

Mallory skinął głową i ruszył w ślad za policjantem.

Przy Pałacu Buckingham zmieniała się warta. Zgodnie ze swym zwyczajem, rodzina królewska spędzała lato w Szkocji, lecz elitarna Brygada Gwardii Królowej nieodmiennie wypełniała codzienny rytuał. Żołnierze maszerowali dumnie, odziani w najnowsze i znakomite mundury z wojny krymskiej: szare z naukowo wykreślonymi plamami, mającymi zmylić wzrok przeciwników, co zresztą doskonale powiodło się z Rosjanami. Za piechurami zaprząg artyleryjskich koni ciągnął wielką wojskową kaliopeę; w nieruchomym, dusznym powietrzu dziwnie obco i groźnie rozbrzmiewał wesoły dźwięk piszczałek i kobz.

Mallory czekał, aż Fraser zdradzi swoje przemyślenia. Wreszcie nie wytrzymał.

– Czy wierzy pan, że spotkałem lady Adę Byron, panie Fraser?

Policjant odkaszlnął i splunął dyskretnie.

– Tak, wierzę. Nie podoba mi się ta sprawa, ale i nie widzę w niej nic szczególnie niezwykłego.

– Nie?

– Nie. Jak sądzę, odgadłem, co leży u jej korzeni: problemy związane z hazardem. Lady Ada posiada Modus.

– Modus? Co to takiego?

– To legenda w kręgach graczy, doktorze Mallory. Modus to system obstawiania, tajemna sztuczka Maszyny matematycznej, pozwalająca pokonać bukmacherów. Każdy dziurkacz marzy o Modusie, mój panie. To ich kamień filozoficzny, stwarzający złoto z powietrza.

– Czy to realne? Czy taka analiza jest możliwa?

– Jeśli tak, to może lady Ada potrafiłaby ją przeprowadzić.

– Przyjaciółka Babbage’a... – szepnął Mallory. – Tak, w to bym mógł uwierzyć.

– No właśnie. Być może lady Ada posiada Modus, a może tylko myśli, że go posiada – kontynuował Fraser. – Nie jestem matematykiem, ale wiem, że nigdy nie istniał system

zakładów wart choćby pensa. W każdym razie znowu wplątała się w coś niedobrego. – Fraser prychnął z niesmakiem. – Od lat już ściga to widmo; bywała w bardzo nieodpowiednim towarzystwie: szulerów, oszukańczych – dziurkaczy, lichwiarzy i jeszcze gorzej. Jej hazardowe długi sięgnęły granicy publicznego skandalu. Mallory z roztargnieniem wsunął kciuki za pas z pieniędzmi.

– No cóż, gdyby istotnie odkryła Modus, nie miałyby więcej długów.

Fraser rzucił mu spojrzenie pełne współczucia dla jego naiwności.

– Prawdziwy Modus zniszczyłby instytucję wyścigów! Odebrałby utrzymanie wszystkim graczom... Widział pan kiedyś, jak na wyścigach tłum rzuca się na oszusta? Takie poruszenie wywołałby Modus. Pańska Ada może posiadać intelekt, ale zdrowego rozsądku ma tyle co mucha.

– Jest wielką uczoną, panie Fraser! Jest geniuszem. Czytałem jej prace; matematyka na najwyższym...

– Lady Ada Byron, królowa Maszyn... – przerwał mu Fraser grobowym głosem, tonem nie tyle pogardy, ile wielkiego znużenia.

– Kobieta z charakterem. Podobna do matki, co? Nosi zielone okulary i pisze uczone książki... Chce poruszyć wszechświat, grać w kości ze sferami. Kobiety nigdy nie wiedzą, kiedy przestać...

Mallory uśmiechnął się.

– Czy jest pan żonaty, panie Fraser?

– O nie...

– Ja też nie. Jeszcze nie. Lady Ada także nigdy nie wyszła za mąż. Jest oblubienicą nauki.

– Każdej kobiecie potrzebny jest mężczyzna, który by ją okiełznał. Tak Bóg zdecydował urządzić stosunki kobiet i mężczyzn.

Mallory zmarszczył brwi.

Fraser zauważył jego minę i przemyślał ostatnie zdanie.

– To ewolucyjna adaptacja gatunku ludzkiego – poprawił się.

Mallory wolno pokiwał głową.

* * *

Fraser wyraźnie wolał nie spotykać się z Benjaminem Disraelim. Rzucił jakieś usprawiedliwienie o konieczności obserwacji ulicy, jednak Mallory sądził, że policjant zna reputację pisarza i nie ufa jego dyskrecji. Zresztą trudno się dziwić.

Mallory poznał w Londynie wielu ludzi dobrze zorientowanych w życiu towarzyskim, ale „Dynamik” Disraeli był londyńczykiem z krwi i kości. Mallory nie považał go za zbyt, jednak jego towarzystwo uznał za zabawne. Disraeli znał – albo udawał, że zna – wszystkie zakulisowe intrygi w Izbie Gmin, wszystkie kłótnie wśród wydawców i w uczonych

towarzystwach, wszystkie przyjęcia i literackie wtorki u lady Tej-A-Tej czy Takiej-A-Takiej. I potrafił czynić aluzje do tej wiedzy, by sprawiała wrażenie niemal magicznej.

Mallory przypadkiem wiedział, że Disraeliemu zabroniono wstępu do trzech czy czterech klubów – być może dlatego, że choć był zadeklarowanym i znanym agnostykiem, pochodził z rodziny żydowskiej. Za to jego zachowanie i manery budziły nieprzeparte uczucie, że każdy, kto nie zna „Dynamika”, jest imbecylem albo gburem. Sprawiało to wrażenie niemal mistycznej aury, emanującej z tego człowieka. I chwilami Mallory mimo woli w nią wierzył.

Służąca w czepku i fartuszu wprowadziła Mallory’ego do pokoju. Disraeli wstał już i właśnie jadł śniadanie, na które składały się mocna czarna kawa i cuchnący plaster makreli smażony w dżinie. Miał na sobie bambosze, turecki szlafrok i aksamitny fez z ozdobnym chwostem.

– Witaj, Mallory. Ależ mamy dzień. Potworny.

– W samej rzeczy.

Disraeli wsunął do ust ostatni kęs makreli i zaczął nabijać swoją pierwszą dzisiaj fajkę.

– Jesteś właśnie człowiekiem, jakiego mi trzeba. Trochę dziurkacz, trochę ekspert techniczny...

– Doprawdy?

– Chodzi o tę nową zabawkę, którą kupiłem w zeszłą środę. Sprzedawca przysięgał, że ułatwi mi życie.

Zaprowadził gościa do gabinetu, przypominającego trochę pokój Wakefielda w Centralnym Biurze Statystycznym, choć w skromniejszej skali i z biurkiem zaśmieconym popiołem z fajki, okropnymi magazynami i nie dojedzonymi kanapkami. Na podłodze leżały korkowe części opakowania i stosy wiórków.

Disraeli kupił sobie maszynę piszącą Colta & Maxwella. Zdołał jakoś wyciągnąć ją ze skrzyni i ustawić na wygiętych żelaznych nogach. Stała na dębowej podłodze, przed patentowym fotelem biurowym.

– Wygląda całkiem zwyczajnie – stwierdził Mallory. – W czym problem?

– Umiem naciskać pedały i jakoś sobie radzę z dźwigniami – odparł Disraeli. – Ta mała wskazówka przesuwana się na potrzebne litery. Ale nic nie wychodzi na zewnątrz.

Mallory otworzył kłapę w obudowie, zręcznie przesunął dziurkowaną taśmę przez rolki, sprawdził, czy w podajniku jest zapas papierowej wstęgi. Disraeli nie ułożył jej prawidłowo na ząbkach. Mallory usiadł w fotelu, pedałem rozpedził Maszynę do odpowiedniej prędkości i chwycił dźwignię.

– Co mam napisać? Podyktuj mi coś.

– Wiedza to potęga – rzucił bez namysłu Disraeli.

Mallory tam i z powrotem przesunął wskazówkę po szklanej tarczy z alfabetem. Dziurkowana taśma wysuwała się powoli i nawijała na sprężynową rolkę, a obrotowa głowica drukująca stuknęła głośno. Mallory odczekał, aż koło zamachowe znieruchomieje, i wyrwał ze

szczeliny pierwszy arkusz papieru. WIEDZA TO POTĘGA, głosił napis.

– Wymaga wprawnej ręki – stwierdził, wręczając kartkę dziennikarzowi. – Ale przyzwyczaisz się.

– Ręcznie umiem pisać szybciej od tego – poskarżył się Disraeli. – I to ładniejszym pismem. O wiele. – Owszem – przyznał pobłaźliwie Mallory. – Ale nie możesz ponownie załadować taśmy. Trochę kleju i nożyczki, a zrobisz z niej pętlę i maszyna będzie wypływać stroną za stroną, póki nie przestaniesz pedałowac. Tyle kopii, ile tylko zechcesz.

– Czarujące...

– I oczywiście możesz poprawiać, co napisałeś. Prosta sprawa cięcia i klejenia taśmy.

– Profesjonaści nigdy nic nie poprawiają – odparł z godnością Disraeli. – A przypuśćmy, że zechcę napisać coś eleganckiego i ozdobnego. Coś takiego jak... – zamachał dymiącą fajką – „Są takie chwile myślowego tumultu, kiedy, jak podczas straszliwych konwulsji Natury, wszystko wydaje się anarchią i powracającym chaosem; a jednak, niczym w czasie walk w samej Naturze, w takich chwilach niepojętych wstrząsów jakaś nowa zasada porządku czy nowy impuls postępowania rozwija się, zapanowuje, reguluje i wprowadza harmonię oraz konsekwencję w te namiętności i żywioły, które zdawały się grozić jedynie desperacją i zniszczeniem”.

– Całkiem niezłe – przyznał Mallory.

– Podoba ci się? To z nowego rozdziału twojej książki. Ale jak mam się skupić na elokwencji, kiedy pedałowuję i wysilam się jak praczka?

– Jeśli popełnisz błąd, zawsze możesz z taśmy wydrukować stronę po raz drugi.

– Twierdzili, że urządzenie pozwoli na oszczędność papieru.

– Możesz wynająć wprawnego sekretarza i dyktować.

– Mówili, że pieniędzy też zaoszczędzę! – Disraeli posłał bursztynowy cybuch fajki. – Podejrzewam, że nie ma na to rady. Wydawcy wymuszają na nas tę innowację. Już teraz *Evening Telegraph* używa do składu wyłącznie Maszyn. Sporo się o tym mówi w rządzie. Wiesz, bractwa zecerskie. Ale dość tej mechaniki, Mallory. Do pracy. Niestety, musimy się spieszyć. Chciałbym zrobić dzisiaj notatki do co najmniej dwóch rozdziałów.

– Dlaczego?

– Z grupą przyjaciół wyjeżdżam z Londynu na kontynent. Najpewniej do Szwajcarii. Jakaś niewielka chata w Alpach, gdzie paru wesołych skrybów może zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Rzeczywiście, tutaj nie jest najlepsze – przyznał Mallory. – Fatalna pogoda.

– To temat rozmów we wszystkich salonach – zgodził się Disraeli i zasiadł za biurkiem. Zaczął przeszukiwać stosy notatek. – Londyn zawsze latem cuchnie, ale obecny smród nazywają już Wielkim – Fetorem. Wszystkie rodziny z wyższych sfer planują wybrać się w podróż. Albo już wyjechały. W mieście nie zostanie chyba ani jedna elegancka dusza. Mówią, że Parlament ma uciekać w górę rzeki, do Hampton Court, a sądy do Oksfordu.

– Naprawdę?

– Tak jest! Uruchomiono szczególne środki. Wszystko zaplanowano *sub rosa*, żeby nie wzbudzać paniki. – Disraeli obejrzał się i mrugnął. – Ale te środki zostaną użyte, możesz mi wierzyć.

– Jakie środki, Dynamik?

– Racjonowanie wody, wyłączenie z użytku wszystkich kominów i latarni gazowych, takie tam rzeczy – wyjaśnił swobodnie Disraeli.

– Można wygadywać, co się chce na instytucję merytorycznego lordostwa, ale przynajmniej gwarantuje, że nasz rząd nie jest głupi. –

Rozłożył na biurku notatki. – Rząd opracował bardzo szczegółowe plany na wypadek zagrożenia. Wszystkie te inwazje, pożary, susze i zarazy... – Kartkował notatki, od czasu do czasu śliniąc kciuk. –

Niektórzy uwielbiają myśleć o katastrofach.

Mallory’emu trudno było uwierzyć w te plotki.

– A co dokładnie znajduje się w tych planach „na wypadek zagrożenia”?

– Najróżniejsze rzeczy. Plany ewakuacji, jak przypuszczam.

– Nie sugerujesz chyba, że rząd planuje ewakuować Londyn?

Disraeli uśmiechnął się chytrze.

– Gdybyś powąchał Tamizę koło Parlamentu, nie dziwiłbyś się, że nasi mędrcy chcą stąd uciec.

– Aż tak źle?

– Tamiza to cuchnący, niosący zarazę ściek! – oznajmił Disraeli.

– Gęsty od wycieków browarów, gazowni, przetwórni chemicznych i mineralnych! Gnijąca materia zwisa niczym ohydne wodorosty z filarów Westminster Bridge, a każdy przepływający parowiec wzburza brudną falę, fetorem swym dobijającą niemal załogę.

– Pisałeś o tym artykuł, prawda? – Mallory uśmiechnął się.

– Dla *Porannej Fanfary*. – Disraeli wzruszył ramionami. – Przyznaję, – że moja retoryka jest może nadto barwna. Ale to piekielne lato i tej prawdy nic nie zmieni. Parę dni porządnego ulewnego deszczu, żeby przepłukać Tamizę i rozproszyć te duszące chmury, a wszystko znowu będzie dobrze. Ale jeśli pogoda się nie zmieni, ludzie starzy albo z chorymi płucami mogą srodze ucierpieć.

– Naprawdę tak myślisz? Disraeli zniżył głos.

– Podobno w dokach znowu wybuchła cholera. W Limehouse. Mallory poczuł lodowaty dreszcz.

– Kto to powiedział?

– Pani Plotka. Ale czy można w to wątpić w takich okolicznościach? W czasie tak fatalnego lata jest całkiem możliwe, że wyziewy i fetor rozprzestrzenia śmiertelną zarazę. – Disraeli wytrząsnął fajkę i załadował ją na nowo ze szczelnego nawilżacza, pełnego czarnego

tureckiego tytoniu. – Kocham to miasto, Mallory, ale przychodzą czasem takie chwile, kiedy ostrożność musi zwyciężyć oddanie. Wiem, że masz rodzinę w Sussex. Na twoim miejscu wyjechałbym tam jak najszybciej.

– Przecież mam wygłosić odczyt. Za dwa dni. O brontozaurze. Z towarzyszeniem kinotropu.

– Odwołaj wykład – poradził Disraeli, męcząc się z zapalniczką. – Przelóż na później.

– Nie mogę. To ma być wielkie wydarzenie, publiczne i zawodowe.

– Mallory, nikt go nie zobaczy. W każdym razie nikt z tych, którzy się liczą. Stracisz tylko czas.

– Przyjdą ludzie pracy – oznajmił z uporem Mallory. – Niższych klas nie stać na wyjazd z Londynu.

– Istotnie. – Disraeli wypuścił kłęb dymu. – To wspaniale. Ludzie, którzy czytają te nowelki po dwa pensy. Nie zapomnij polecić mnie swoim słuchaczom.

Mallory zacisnął tylko wargi. Disraeli westchnął.

– Bierzmy się do pracy. Powinniśmy dzisiaj sporo załatwić. – Zdjął z półki ostatni numer *Rodzinnego Muzeum*. – Co sądzisz o zeszłotygodniowym odcinku?

– Świetny. Jak dotąd najlepszy.

– Za dużo w nim naukowych teorii. Potrzebujemy więcej scen sentymentalnych.

– Co jest złego w teorii, skoro to dobra teoria?

– Nikt oprócz specjalistów nie ma ochoty czytać o obciążeniu zawiasów gadziej zuchwy. Szczerze mówiąc, w dinozaurach interesuje ludzi tylko jedno: dlaczego te potwory wyginęły.

– Zgodziliśmy się chyba, żeby zachować to na koniec.

– A tak. To będzie wspaniały efekt, ta spadająca kometa i czarna burza pyłowa, ścierająca z powierzchni ziemi wszystkie wielkie gady. Bardzo dramatyczny, bardzo katastroficzny koniec. To właśnie podoba się czytelnikom w katastrofizmie. Katastrofizm robi o wiele większe wrażenie od uniformizmu i tego całego gadania, że Ziemia ma tysiące milionów lat. To męczące i nudne... Nudne, wręcz nie do wytrzymania.

– W żadnej z tych teorii nie dopatrzysz się odwołań do prymitywnych emocji! – zawołał oburzony Mallory. – Dowody potwierdzają moje tezy. Spójrz na Księżyc: cały jest pokryty kraterami po uderzeniach komet.

– Owszem – mruknął obojętnie Disraeli. – Rygorystyczna logika naukowa. Tym lepiej.

– Nikt nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób Słońce może płonąć choćby przez dziesięć milionów lat! Żadne spalanie nie mogłoby trwać tak długo! To narusza podstawowe zasady fizyki!

– Na chwilę dajmy temu spokój! Całym sercem popieram twojego przyjaciela Huxleya, że powinniśmy walczyć z powszechną ignorancją, ale od czasu do czasu trzeba psu rzucić kość. Nasi czytelnicy chcą się czegoś dowiedzieć o Lewiatanie Mallorym jako człowieku.

Mallory prychnął niechętnie.

– Dlatego chcę wrócić do sprawy tej indiańskiej dziewczyny.

Mallory pokręcił głową. Tego się właśnie obawiał.

– To nie była dziewczyna. To była miejscowa kobieta...

– Wyjaśniliśmy już, że nigdy nie byłeś żonaty – wyjaśniał cierpliwie Disraeli. – Nie chcesz się przyznać do ukochanej w Anglii. Przyszła pora, żeby ujawnić tę indiańską pannę. Nie musisz być nieprzyzwoity ani wulgarny. Wystarczy kilka ciepłych słów o niej, jedna czy druga rycerska uprzejmość, parę sugestii. Kobiety uwielbiają takie historie. A czytają o wiele więcej niż mężczyźni. – Sięgnął po wieczne pióro. – Nie powiedziałeś nawet, jak miała na imię.

Mallory usiadł w fotelu.

– Cheyennowie nie mają imion w naszym rozumieniu. A już zwłaszcza ich kobiety.

– Przecież jakoś musieli ją wołać?

– Czasem nazywali ją Wdową Czerwonego Koca, czasami Matką Plamistego Węża albo Matką Kulawego Konia. Ale nie mógłbym przysiąc, że takie naprawdę były jej imiona. Mieliśmy za tłumacza takiego zapitego półkrwi Francuza, a on kłamał jak pies.

– To znaczy, że nigdy nie rozmawiałeś z nią bezpośrednio? – spytał rozczerowany Disraeli.

– Sam nie wiem. W końcu zacząłem całkiem dobrze sobie radzić z językiem znaków. Jej imię brzmiało Wak-see-nee-ha-wah albo Wak-nee-see-wah-ha. Coś w tym rodzaju.

– A gdybym ją nazwał Preriową Lilią?

– Dynamik, ona była wdową. Miała dwoje dorosłych dzieci. Brakowało jej kilku zębów i była chuda jak wilczyca.

Disraeli westchnął rozczerowany.

– Nie chcesz mi pomóc, Mallory.

– No dobrze. – Mallory skubnął brodę. – Była dobrą szwaczką, to pewne. Zdobyliśmy jej przyjaźń, dając w prezencie igły. Stalowe igły, nie drzazgi z kości bizona. I szklane paciorki, ma się rozumieć. One wszystkie chciały paciorków.

– Wrodzone zamięłowanie do kobiecych zajęć i przyrządów pozwoliło przezwyciężyć początkowe zawstydzenie i nieufność Preriowej Lilii – rzekł Disraeli, notując szybko.

Powoli snuł swoją opowieść, a Mallory wiał się w fotelu.

Prawda była całkiem inna. Prawda nie nadawała się do opisanie w cywilizowanej gazecie. Mallory zdołał jakoś zapomnieć o tej brzydkiej sprawie. Gdy jednak Disraeli tworzył swą sentymentalną wersję, prawda powróciła z okrutną wyrazistością.

Wokół stożkowatych namiotów padał śnieg, a Cheyennowie byli pijani. Wyli i wrzeszczeli – istne pandemonium. Nie mieli pojęcia, czym jest alkohol; dla nich był trucizną i złym duchem. Biegali i zataczali się jak obłąkani, strzelali z karabinów w puste amerykańskie niebo, wreszcie padali na stwardniały grunt i przeżywali wizje; widać było tylko białka ich oczu. Kiedy raz zaczęli, mogli tak ciągnąć godzinami.

Mallory nie chciał odwiedzać wdowy. Od wielu dni walczył z pokusą, ale w końcu nadeszła chwila, że powinien jakoś położyć kres tej sprawie. Z pewnością będzie to mniejszą szkodą dla jego duszy. Wypił dwa cale z butelki whisky – dwa cale taniego samogonu z Birmingham, przysłanego razem z karabinami. Potem wszedł do namiotu, gdzie wdowa siedziała skulona w kocach i skórach, przy ogniu z nawozu bizonów. Dwoje dzieci wyszło, osłaniając przed wiatrem smagłe twarze.

Mallory pokazał jej nową igłę i gestami – nieprzyzwoitymi gestami – wytłumaczył, o co mu chodzi. Wdowa kiwnęła głową, mocno i powoli jak ktoś, dla kogo skinięcie jest obcą mową. Osunęła się na stos skór i ułożyła na plecach, z rozłożonymi nogami. Mallory wczółgał się na nią, wsunął się pod koc, wyjął ze spodni nabrzmiały, obolały członek i wcisnął jej między nogi. Myślał, że skończy szybko i może bez większego wstydu, ale wszystko to było dla niego nazbyt dziwne i niepokojące. Stosunek trwał bardzo długo; wdowa przyglądała mu się z wyrzutem i jakby zawstydzeniem. Ciekawie skubnęła włos z jego brody. Aż w końcu ciepło, słodkie tarcie i jej ostry, zwierzęcy zapach coś w nim uwolniły i wytrysnął potężnie w jej wnętrzu, choć nie miał zamiaru tego robić. Potem był u niej jeszcze trzykrotnie i każdorazowo zdążył się wycofać, nie ryzykując obciążenia nieszczęsnej istoty dzieckiem. Żałował, że naraził ją za pierwszym razem. Jeśli jednak była ciężarna, gdy odjeżdżał, najprawdopodobniej nosiła nie jego dziecko, ale któregoś z pozostałych mężczyzn.

Disraeli przeszedł w końcu do innych spraw i rozmowa stała się łatwiejsza. Jednak Mallory opuścił dziennikarza mocno wzburzony. To nie kwiecista proza wzbudziła w nim demona, ale dzika moc własnych wspomnień. Potężny *animus* powrócił. Mallory był pobudzony i niepokojony przez żądzę; z trudem nad sobą panował. Od Kanady nie miał żadnej kobiety, a francuska dziewczyna w Toronto nie wydawała się całkiem czysta. Tęsknił za Angielką, jakąś młodą wieśniaczką z mocnymi białymi nogami i pulchnymi, piegowatymi ramionami...

Wyszedł na Fleet Street. Na dworze oczy zapiekły go niemal natychmiast. W sunącym dookoła tłumie nie dostrzegł ani śladu Frasera. Panował zmrok, doprawdy niezwykle jak na tę porę dnia. Ledwie minęło południe, a kopułę katedry Św. Pawła spowijał brudny opar. Gęste kłęby oleistej mgły skrywały iglice i reklamowe proporce przy Ludgate Hill. Na Fleet Street panował chaos, rozlegało się strzelanie z batów, sapanie pary i krzyki. Kobiety na chodnikach kuliły się pod brudnymi od sadzy parasolkami i szły pochylone, wszyscy zaś zasłaniali chustkami usta i nosy. Mężczyźni i chłopcy ciągnęli rodzinne walizy i kufry, a sadza plamiła ich letniskowe słomkowe kapelusze. Zatłoczony pociąg wycieczkowy przejechał po wąskich, wzniesionych nad poziom ulicy torach linii do Chatham i Dover; obłok dymu wisiał w szarym powietrzu niczym proporzec.

Mallory spojrzał w niebo. Macki dymu zniknęły, pochłonięte przez opadającą, półprzezroczystą falę mgły. Tu i tam na ulicę opadały szare płatki czegoś podobnego do śniegu. Przyjrzał się jednemu, który wylądował mu na rękawie: dziwny, żużłowaty strzęp

skrystalizowanego kurzu. Pod dotknięciem rozsypał się w drobny popiół.

– Doktorze Mallory! – krzyknął nagle Fraser, stojący pod latarnią po drugiej stronie ulicy. Machał ręką w sposób, jak na niego, niezwykle ożywiony.

Mallory dopiero teraz uświadomił sobie, że inspektor woła go pewnie już od dobrej chwili.

Z trudem przebił się przez tłok na ulicy. Wymijał dorożki, wózki, spore stadko beczących, zasapanych owiec. Zadyszał się przy tym wysiłku.

Obok Frasera stało jeszcze dwóch obcych o twarzach ciasno owiniętych chustami. Wyższy chodził tak chyba dość długo, gdyż materiał pod nosem był już żółtobrazowy.

– Zdejmijcie to, chłopcy – polecił Fraser.

Dwaj mężczyźni niechętnie ściągnęli chusty pod brody.

– Kaszlący Dżentelmen – zawołał zdumiony Mallory.

– Pozwoli pan – rzucił złośliwie Fraser. – To jest pan J. C. Tatę, a to jego przyjaciel, pan George Velasco. Podają się za prywatnych agentów czy kogoś w tym rodzaju. – Usta Frasera stały się cieńsze, niemal tak, jakby rozciągnął wargi w uśmiechu. – Panowie, jak sądzę, zdążyli już poznać doktora Edwarda Mallory’ego.

– Znamy go – przyznał Tatę. Na brodzie miał wyraźnego sińca, dotąd ukrytego pod chustą. – To istny szaleniec! Morderczy maniak! Powinien siedzieć w Bedlam!

– Pan Tatę pracował w londyńskiej policji. – Fraser przeszył Tatę ciężkim spojrzeniem. – Dopóki nie utracił stanowiska.

– Sam zrezygnowałem – oznajmił Tatę. – Odszedłem dla zasady, jako że nie ma sposobu, by uzyskać sprawiedliwość w policji państwowej. I wiesz o tym nie gorzej ode mnie, Ebenezerze Fraser!

– Co do pana Velasco, to właśnie drugi z pańskich tajemniczych prześladowców – kontynuował inspektor. – Jego ojciec przybył do Londynu jako hiszpański uciekinier i rojalista, lecz nasz młody George chętnie przykładą ręki do wszystkiego: fałszowania paszportów, nielegalnego śledzenia ludzi, atakowania na ulicy słynnych uczonych...

– Jestem obywatelem brytyjskim i tutaj się urodziłem – oznajmił smagły niski mieszaniec, zerkając niechętnie na Mallory’ego.

– Nie zadzieraj nosa, Fraser – dodał Tatę. – Deptałeś ulice razem – ze mną, a jeśli teraz jesteś taki ważny, to tylko dlatego, że przymykasz oczy na brudne skandale ministrów. No dalej, załóż nam kajdanki! Zabierz nas do aresztu! Nie oszczędzaj nas! Wiesz, że ja także mam przyjaciół.

– Nie pozwolę doktorowi Mallory’emu cię uderzyć. Nie obawiaj się, Tatę. Ale wyjaśnij może, dlaczego go śledziliście.

– Zawodowa dyskrecja – sprzeciwił się pytany. – Nie możemy donosić na zleceniodawcę.

– Nie bądź durniem.

– Ten twój dżentelmen to krwawy morderca! Swojemu rywalowi wypruł flaki!

– Nic takiego nie uczyniłem – oświadczył Mallory. – Jestem uczonym, członkiem Towarzystwa Królewskiego, a nie jakimś zamachowcem, czającym się w ciemnej uliczce.

Tatę i Velasco wymienili sceptyczne spojrzenia. Velasco parsknął niepowstrzymanym śmiechem.

– Co w tym zabawnego? – zapytał Mallory.

– Wynajął ich jeden z pańskich kolegów – odparł Fraser. – To intryga Towarzystwa Królewskiego. Czy nie mam racji, panie Tatę?

– Mówiłem już, że nie powiem.

– Chodzi o Komisję Wolnego Handlu? – spytał Mallory. Żadnej odpowiedzi.

– Czy to Charles Lyell?

Tatę wzniosł w górę czerwone od dymu oczy i szturchnął Velasco w żebra.

– Ten twój doktor Mallory jest czysty jak śnieg, Fraser. Miałeś rację. – Otarł twarz poplamioną chustką. – Do czego to dochodzi w Londynie, który cuchnie nie do wytrzymania, w kraju pod rządami uczonych szaleńców, którzy mają za dużo pieniędzy i serca z kamienia...

Mallory miał ochotę pozwolić hultajowi jeszcze raz posmakować swej pięści, ale szybko stłumił ten instynktowny odruch. Z wyższością pogładził się po brodzie i uśmiechnął zimno.

– Kimkolwiek jest ten zleceniodawca – rzekł – nie będzie zachwycony, że pan Fraser i ja was przyłapaliśmy.

Tatę przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek i milczał. Velasco wcisnął ręce w kieszenie; wydawał się gotów do natychmiastowej ucieczki.

– Doszło wprawdzie do starcia między nami – mówił dalej Mallory. – Szczycę się jednak umiejętnością pokonywania naturalnej niechęci i obiektywnego oglądu sytuacji. Teraz, kiedy utraciliście przewagę tajności, która pozwalała wam mnie śledzić, nie przydadcie się już swemu patronowi. Czy nie mam racji?

– A jeśli nawet... – mruknął Tatę.

– Wy dwaj moglibyście się za to przydać niejakiemu Nedowi Mallory’emu. Ile wam płaci ten tajemniczy zleceniodawca?

– Ostrożnie – uprzedził Fraser.

– Jeśli obserwowaliście mnie uważnie, to wiecie, że jestem człowiekiem szczodrym.

– Pięć szylingów dziennie – mruknął Tatę.

– Dla każdego – wtrącił Velasco. – Plus wydatki.

– Kłamię – stwierdził Fraser.

– Pod koniec tygodnia pięć złotych gwinei będzie czekać na was w moim pokoju w Pałacu Paleontologii – obiecał Mallory. – W zamian za tę sumę chcę, żebyście swojego byłego patrona traktowali dokładnie tak, jak mnie do tej pory... Poetycka sprawiedliwość! Gdziekolwiek pójdzie, macie go skrycie śledzić i donosić mi o wszystkim, co robi. Do tego was wynajął, prawda?

– Mniej więcej – przyznał Tatę. – Możemy się nad tym zastanowić, szefie, jeśli

dostaniemy te pieniądze w depozyt.

– Możecie dostać część – ustąpił Mallory. – Ale wtedy musicie dać mi w depozyt informację.

Velasco i Tatę spojrzeli po sobie.

– Jedną chwilę. Musimy się naradzić.

Po czym obaj prywatni detektywi oddalili się, by znaleźć spokojne miejsce za żelaznym parkanem wokół obelisku.

– Ci dwaj nie są warci pięciu gwinei rocznie – stwierdził Fraser.

– Podejrzewam, że to złodzieje i opryszki – zgodził się Mallory. – Ale nie ma znaczenia, kim są. Zależy mi na tym, co wiedzą.

Po chwili wrócił Tate. Znow zakrył twarz chustką.

– Ten człowiek nazywa się Peter Foulke – rzekł stłumionym głosem. – Nie zdradziłbym tego nawet na torturach, gdyby łobuz nie puszył się i nie dawał nam rozkazów niczym jakiś lord. Nie wierzy w naszą uczciwość. Nie wierzy, że będziemy działać w jego interesie. Nie wierzy chyba, że wiemy, jak się wykonuje taką robotę.

– Do diabła z nim – wtrącił Velasco. Pomiędzy chustką a rondem melonika jego ulizane loki sterczały jak wysmarowane brylantyną skrzydła. – Dla żadnego Petera Foulke’a Velasco i Tatę nie wejdą w drogę Sekcji Specjalnej.

Mallory wręczył Tate’owi wyjęty z portfela sztywny funtowy banknot. Tatę przyjrzał mu się, z wprawą karciarza złożył między palcami i schował błyskawicznie.

– Może jeszcze jeden dla mojego przyjaciela, żeby przypieczętować umowę?

– Od początku podejrzewałem, że to Foulke – rzekł Mallory.

– Więc jeszcze coś, o czym pan nie wie, szefie. Nie tylko my za panem chodzimy. Kiedy biega pan po mieście jak słoń i gada do siebie, jakiś elegancik i jego pani następują panu na pięty... Przynajmniej przez trzy dni z ostatnich pięciu.

– Ale nie dzisiaj, co? – odezwał się gniewnie Fraser.

Tatę zachichotał pod chustą.

– Pewnie cię zobaczyli i dali spokój, Fraser. Ta twoja kwaśna mina na pewno by ich przeraziła. Są strachliwi jak koty.

– Wiedzą, że ich widzieliście?

– Nie są głupi, Fraser. Sprytni i bystrzy. On to hazardzista, albo nie znam się na ludziach, a ona to bystra laleczka. Próbowala zagadać słodko do Velasco i dowiedzieć się, kto nas wynajął. – Tatę urwał na moment. – Nie powiedzieliśmy – dodał.

– Czy mówili coś o sobie? – chciał wiedzieć Fraser.

– Powiedziała, że jest siostrą Francisa Rudwicka – odparł Velasco. – Prowadzi śledztwo w sprawie śmierci brata. Sama powiedziała, nawet nie musiałem pytać.

– Nie uwierzyliśmy w to ich gadanie – stwierdził Tate. – Wcale nie była podobna do Rudwicka. Ale ładny kawałek muślinu. Słodka buzia, rude włosy. Już raczej była jego lalą.

- Jest morderczynią – oświadczył Mallory.
- Zabawne, szefie, ale to samo mówiła o panu.
- Wiecie, gdzie można ich znaleźć? – spytał Fraser. Tatę pokręcił głową.
- Moglibyśmy się rozejrzeć – zaproponował Velasco.
- Możecie, kiedy będziecie śledzić Foulke’a – rzekł Mallory pod wpływem nagłej inspiracji. – Mam przeczucie, że mogą być w zмовie.
- Foulke wyjechał do Brighton – poinformował Tatę. – Nie mógł wytrzymać Fetoru... Taki wrażliwy. A skoro mamy jechać do Brighton, Velasco i ja powinniśmy dostać na bilet kolejowy. To wydatki.
- Na mój rachunek. – Mallory wręczył Velasco kolejny funtowy banknot.
- Doktor Mallory zażąda ścisłego rozliczenia tej kwoty – uprzedził Fraser. – I pokwitowań.
- Nie ma sprawy, szefie. – Tatę zasalutował do ronda kapelusza. – Jesteśmy zachwyceni, służąc interesom narodu.
- I lepiej panuj nad językiem, Tatę.
- Tatę zignorował go i uśmiechnął się porozumiewawczo do Mallory’ego.
- Niedługo się spotkamy, szefie.
- Odeszli. Fraser i Mallory spoglądali za nimi przez chwilę.
- Moim zdaniem stracił pan dwa funty – orzekł Fraser. – Już nigdy nie zobaczy pan tej parki.
- To chyba niezbyt wygórowana cena – mruknął Mallory.
- Wcale nie. Są sposoby o wiele tańsze.
- Przynajmniej nikt nie będzie mi się czał za plecami.
- Nie, sir. Ci dwaj już nie.

* * *

Zjedli po suchej kanapce kupionej od ulicznego sprzedawcy. Nadal nie mogli znaleźć dorożki – wokół nie zauważyli ani jednej. Stacje metra wciąż były zamknięte, a pikiety gniewnych kopaczy wykrzykiwały obraźliwe epitety pod adresem przechodniów.

Drugie zaplanowane spotkanie, przy Jermyn Street, okazało się dla Mallory’ego rozczarowaniem. Zjawił się w muzeum, by porozmawiać o swoim wystąpieniu. Niestety, pan Keats, kinotropista Towarzystwa Królewskiego, telefonicznie zawiadomił o ciężkiej chorobie, Huxleya zaś porwano na posiedzenie jakiegoś komitetu uczonych lordów, rozważającego obecną sytuację. Mallory nie zdołał nawet odwołać swego wykładu, jak sugerował mu Disraeli, gdyż Trenham Reeks nie chciał podejmować takiej decyzji bez zgody Huxleya, a Huxley nie zostawił adresu ani numeru telegrafu.

Nastroj Mallory’ego pogorszył się jeszcze bardziej na widok niemal pustego Muzeum

Geologii Praktycznej. Zniknęły grupy uczniów i entuzjastów historii naturalnej, zastąpione przez kilka smętnych typów, którzy wyraźnie zajrzeli tu, szukając odrobiny świeżego powietrza i ucieczki przed upałem. Kręcili się i spacerowali pod wysokim szkieletem Lewiatana, jakby marzyli o połamaniu kości i wyssaniu szpiku.

Mallory'emy pozostał zatem jedynie powrót do Pałacu Paleontologii i przygotowanie się do kolacji w YMAA – Agnostycznym Stowarzyszeniu Młodych Mężczyzn. W YMAA skupiał się młody narybek nauki; jako gość honorowy, Mallory miał wygłosić po posiłku kilka uwag. Cieszył się na to spotkanie, gdyż członkowie YMAA stanowili wesołą grupę, nie tak pompatyczną jak mogłaby sugerować nazwa. Poza tym czysto męskie towarzystwo pozwoli mu popisać się kawałami odpowiednimi dla młodych kawalerów. Dynamik Disraeli opowiedział mu kilka całkiem niezłych. Teraz jednak Mallory zastanawiał się, jak wielu z jego gospodarzy zostało jeszcze w Londynie, w jaki sposób młodzi ludzie zdołają przybyć, gdyby wciąż mieli na to ochotę, a co najgorsze, jak będzie wyglądać kolacja w sali na piętrze pubu „Pod Dominikaninem”, niedaleko mostu Blackfriars, tuż nad Tamizą.

Ulice wyraźnie pustoszały. Zamknięto kolejne sklepy. Mallory rozglądał się za fryzjerem, który przyszybyłby mu włosy i brodę, jednak szczęście mu nie sprzyjało. Obywatele Londynu uciekli z miasta albo ukrywali się za szczelnie zamkniętymi oknami. Dym opadł już do poziomu gruntu i mieszał się z cuchnącą mgłą. Wszędzie kłębiły się żółte opary, a widoczność spadła do kilkunastu jardów. Z rzadka tylko z mgły wyłaniali się przechodnie podobni do elegancko ubranych widm. Fraser prowadził go bez słowa skargi i bez błędzenia. Mallory podejrzewał, że doświadczony policjant mógłby wieść go przez ulice Londynu z zawiązanymi oczami. Obaj przesłoniли twarze chustkami. Wydawało się to rozsądnym środkiem ostrożności, choć Fraser sprawiał teraz wrażenie nie tylko małomównego, ale jeszcze zakneblowanego.

– Kinotropy są tu sprawą kluczową – tłumaczył Mallory, gdy maszerowali przez Brompton Road. Żółte opary przesłaniały iglice naukowych pałaców. – Inaczej to wyglądało, kiedy wyjeżdżałem z Anglii. Dwa lata temu tych przeklętych machin nie spotykało się na każdym kroku. A dzisiaj bez jednej z nich nie mogę wygłosić wykładu. – Zakaszał. – Niedobrze mi się zrobiło, kiedy zobaczyłem ten ekran na Fleet Street, nad wejściem do redakcji *Ewning Telegraph*. Stukał jak szalony nad głowami przechodniów. „Metro zamknięte z powodu strajku kopaczy”, ogłaszali. „Parlament obradował nad stanem Tamizy”.

– Co w tym złego? – zdziwił się Fraser.

– Bo to nic nie mówi. Kto w Parlamencie? Jaki właściwie jest ów stan Tamizy? Co zdecydował Parlament? Coś mądrego czy jakieś głupstwa?

Fraser burknął coś pod nosem.

– To tylko groźny pozór informacji. Tymczasem nikt nie został o niczym poinformowany. To tylko slogany, puste słowa! Nie wysłuchano argumentów, nie rozważono dowodów. To nie są wiadomości, ale źródło rozrywki dla nierobów.

– Niektórzy powiedzieliby pewnie, iż dla nierobów lepiej jest wiedzieć cokolwiek niż nic.

– Niektórzy okazaliby się głupcami, Fraser. Te kinoslogany to jak drukowanie banknotów bez pokrycia w złocie albo wypisywanie czeków przy pustym koncie. Jeśli gmin prowadzi rozmowy na takim poziomie, to można się tylko cieszyć, że mamy jeszcze Izbę Lordów.

Powoli wyprzedził ich wóz straży pożarnej. Zmęczeni strażacy stali na bocznych stopniach, z twarzami poczerniałymi od dymu pożaru, a może od samego tylko londyńskiego powietrza albo cuchnących sadzy z komina powozu. Mallory’emu wydało się to dziwną ironią, że wóz straży pożarnej napędzany jest przez płonący stos węgla. Chociaż może była w tym jakaś logika, gdyż przy takiej pogodzie konny zaprzęg trudno byłoby zmusić do galopu nawet na sąsiednią przecznicę.

* * *

Mallory tęsknił za kuflem hucule-buffu, żeby zwilżyć obolałe gardło. Jednak w Pałacu Paleontologii było więcej dymu niż na zewnątrz. Pachniało nieprzyjemnie i ostro, jakby spalonym materiałem.

Być może galony manganianu sody przegryzły pałacowe rury. W każdym razie Fetor pokonał chyba tutejszych gości, gdyż hol był pusty, a z jadalni nie dobiegał nawet najcichszy szept.

Mallory czekał na kelnera w barze, pośród lakierowanych parawanów i mebli wyłożonych czerwonym jedwabiem, gdy nagle zjawił się sam Kelly. Twarz miał poważną i stanowczą.

– Doktorze Mallory...

– Słucham, Kelly.

– Mam dla pana złe wieści. Zdarzył się przykry wypadek. Pożar.

Mallory zerknął na Frasera.

– Tak jest – zapewnił *concierge*. – Kiedy wychodził pan dzisiaj, czy nie zostawił pan czasem ubrania przy palniku gazowym? Albo tłącego się cygara?

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że palił się mój pokój?

– Obawiam się, że tak, sir.

– Poważna sprawa?

– Tak sądzą wszyscy goście. Strażacy również. – Kelly nie wspomniał o uczuciach służby, ale jego mina świadczyła o nich wyraźnie.

– Zawsze gaszę gaz! – zawołał Mallory, – Nie pamiętam dokładnie... ale zawsze to robię!

– Pańskie drzwi były zamknięte. Strażacy musieli je wyłamać.

– Obejrzymy pokój – oznajmił spokojnie Fraser.

Drzwi do pokoju zostały wyrąbane toporkami strażaków, podłogę zalewała mieszanina piasku i wody. Stosy magazynów i listów Mallory’ego spłonęły doszczętnie, ogień pochłonął

biurko i sporą część poczerniałego dywanu. W ścianie za biurkiem ziała dziura, odsłaniająca zwęglone krokwie i belki. Szafa pełna londyńskich garniturów zmieniła się w stos popiołu i odłamków lustra.

Mallory z trudem panował nad wściekłością i uczuciem skrępowania.

– Zamknął pan drzwi? – spytał Fraser.

– Zawsze zamykam. Zawsze!

– Mogę zobaczyć klucz?

Mallory wręczył mu go. Fraser przyklęknął przy rozrąbanych drzwiach i dokładnie obejrzał dziurkę zamka. Potem wstał.

– Czy w holu zauważono jakieś podejrzanе osoby? – zwrócił się do Kelly’ego.

Concierge był urażony.

– Czy wolno spytać, kim pan jest, że chce mnie pan przesłuchiwać?

– Inspektor Fraser z Bow Street.

Kelly syknął przez zęby.

– Nie, inspektorze – zapewnił. – Nikogo podejrzanego, o ile mi wiadomo.

– Panie Kelly, muszę pana prosić o zachowanie dyskrecji. Zakładam, że podobnie jak w innych instytucjach Towarzystwa Królewskiego, przyjmujecie tylko gości, którzy są uznanymi naukowcami?

– To nasza stała polityka, inspektorze.

– Ale wasi goście mogą przyjmować wizyty?

– Tylko mężczyzn. Albo dam w odpowiednim towarzystwie. Żadnych skandali!

– Dobrze ubrany hotelowy włamywacz – stwierdził Fraser. – I podpalacz. Ale nie tak dobry podpalacz jak włamywacz: dość niezręcznie zmiotł wszystkie te papiery pod biurko i wokół szafy. Miał wytrych do tego zamka. Trochę się pomęczył, bo widać zadrapania, ale nie sądzę, żeby zajęło mu to więcej niż pięć minut.

– Nie do wiary... – mruknął Mallory.

Kelly był bliski łez.

– Uczony gość ofiarą podpalenia! Sam nie wiem, co powiedzieć!

Od czasów Ludda nie słyszałem o takiej niegodziwości! To zbrodnia, doktorze Mallory! Ohydna zbrodnia!

Mallory pokręcił głową.

– Powinienem cię ostrzec, Kelly. Mam groźnych wrogów.

– Wiemy o tym, sir. – Kelly przełknął ślinę. – Wśród pracowników wiele się o tym mówi.

Fraser badał szczątki biurka, rozgrzebując popioły zagiętym mosiężnym prętem z szafy.

– Wosk – oznajmił.

– Jesteśmy ubezpieczeni, doktorze Mallory – przypomniał sobie Kelly. – Nie jestem pewien, czy nasza polisa obejmuje takie przypadki, ale mam nadzieję, że wynagrodzimy panu straty. Proszę przyjąć szczere wyrazy ubolewania.

– Dotknęło mnie to – stwierdził Mallory, rozglądając się po pogorzelisku. – Ale szkoda nie jest tak wielka, jak na to liczyli. Najważniejsze dokumenty trzymam w pałacowym sejfie. I oczywiście nigdy nie zostawiam tu pieniędzy. – Zastanowił się. – Zakładam, Kelly, że sejf w Pałacu nie został okradziony...

– Nie, sir. A raczej... Natychmiast pobiegnę sprawdzić.

Skłonił się i wyszedł pośpiesznie.

– To pański znajomy z Derby – rzekł Fraser. – Nie ośmielił się dzisiaj chodzić za nami, ale jak tylko wyszliśmy, zakradł się na górę, pokonał drzwi i zapalił świece pod pańskimi papierami. Kiedy podniesiono alarm, na pewno od dawna już go tu nie było.

– Musi sporo wiedzieć o moim rozkładzie zajęć – stwierdził Mallory. – Obawiam się wręcz, że wie o mnie wszystko. Zdobył mój numer. Robi, co chce.

– W pewnym sensie – zgodził się Fraser. Odrzucił mosiężny pręt. – Jest zaledwie zuchwałym amatorem. Doświadczony podpalacz używa płynnej nafty, która spala wszystko, czego dotknie. Spala się także sama.

– Chyba nie pójde dzisiaj na kolację do Agnostyków. Nie mam się w co ubrać.

Fraser stał nieruchomo.

– Widzę, że dzielnie znosi pan ten cios – powiedział. – Jak uczony i jak dżentelmen, doktorze Mallory.

– Dziękuję. – Mallory zastanowił się. – Fraser, muszę się napić.

Inspektor wolno pokiwał głową.

– Na miłość boską! Chodźmy gdzieś, gdzie można się porządnie i do nieprzytomności upić, gdzie stoją meble bez fałszywej pozłoty!

Jak najdalej od modnego Pałacu; gdzieś, gdzie bez przeszkód wpuszczają człowieka w jednym płaszczu na grzbiecie.

Kopnął szczątki spalonej szafy.

– Wiem, czego panu trzeba – zapewnił Fraser. – Świetne miejsce, żeby spuścić trochę pary. Jest tam alkohol, tańce i wesołe panie.

Mallory znalazł poczerńiałe mosiężne kołki z wojskowego płaszcza z Wyoming. To odkrycie mocno go zabiło.

– Nie będzie pan chciał mnie niańczyć? Oliphant pewnie to panu zlecił, ale uważam, że byłby to poważny błąd. Jestem w bojowym nastroju, panie Fraser.

– Nie popełnię tego błędu. Los dzisiaj panu nie sprzyjał. Ale Cremorne Gardens jeszcze przed nami.

– Najbardziej chciałbym zobaczyć tego nożownika na celowniku strzelby na bizony!

– Doskonale pana rozumiem.

– Mallory otworzył srebrną cygarnicę – przynajmniej ona mu została – i zapalił ostatnią hawanę. Zaciągał się głęboko, póki tytoniowy dym nie uspokoił wzburzonej krwi.

– Z drugiej strony – oświadczył – myślę, że te pańskie Cremorne Gardens na razie mi

wystarczą.

* * *

Fraser wskazywał drogę wzdłuż Cromwell Lane, obok wysokiego stosu jasnych cegieł, tworzących Szpital Schorzeń Piersi. Tego wieczoru budynek wygląda upiornie, pomyślał niechętnie Mallory.

Jeszcze długo nie opuszczało go jakieś niewyraźne poczucie medycznej grozy. W rezultacie zatrzymali się w najbliższym pubie, gdzie wypił cztery, może nawet pięć szklaneczek zaskakująco przyzwoitej whisky. W pubie tłoczyli się miejscowi z New Brompton, całkiem przyjaźni i mili, choć co chwilę wrzucali dwupensówki do pianoli, brzęczącej „Come to the Bower” – piosenkę, której Mallory nie znosił. Nie potrafiłby tu odpocząć. Poza tym nie były to Cremorne Gardens.

Na pierwszą oznakę poważnych kłopotów natrafili o kilka przecznic dalej, na New Brompton Road, przy Manufakturze Patentowanych Okryć Podłogowych Bennett & Harper. Niespokojny tłum umundurowanych ludzi kłębił się przed bramą fabryki. Widocznie były jakieś problemy z pracownikami.

Dopiero po chwili Fraser i Mallory zorientowali się, że tłum złożony jest prawie wyłącznie z policjantów. Bennett & Harper produkowali kolorową, wodoodporną wykładzinę z juty, korka i pochodnych węgla. Można ją było ciąć i wyklejać łazienki i kuchnie, przez co stała się popularna w klasach średnich. Z pół tuzina kominów fabryka wyrzucała także wielkie ilości dymu, bez którego miasto chwilowo wołałoby się obejść. Pierwsi zjawili się – przynajmniej tak głośno twierdzili – inspektorzy z Królewskiego Biura Patentowego, których stan wyjątkowy zmusił do pełnienia obowiązków nadzorców. Jednak panowie Bennett i Harper, nie chcąc tracić całodniowej produkcji, nie uznali prawa inspektorów do zamknięcia zakładu.

Wkrótce przybyło jeszcze dwóch inspektorów z Komitetu Przemysłu Towarzystwa Królewskiego. Zamieszanie sprowadziło miejscowego konstabla, a po nim lotny oddział policji z Bow Street w zarekwirowanym parowym omnibusie. Ze względu na strajk metra, rząd przejął zresztą większość omnibusów i całe mnóstwo dorożek.

Policja natychmiast wygasila paleniska – znakomita robota i dowód dobrych intencji rządu. Jednak robotnicy wciąż przebywali na terenie fabryki, pozbawieni zajęcia i zniecierpliwieni: jak dotąd nikt nie wspomniał o zapłacie za wolny dzień, oni zaś uważali, że w tych okolicznościach płaca im się należy. Nie ustalono także, kto odpowiada za pilnowanie własności panów Bennetta i Harpera, a także kto jest władny w odpowiednim czasie wydać zgodę na ponowne uruchomienie kotłów.

Co najgorsze, wystąpiły jakieś poważne kłopoty z policyjnym telegrafem – wiadomości przekazywano zapewne przez westminsterską piramidę Centralnego Biura Statystycznego.

Mają tam problemy z Fetorem, domyślił się Mallory.

– Jest pan z Sekcji Specjalnej, Fraser – rzekł. – Mógłby pan jakoś ustawić tych tępaków.

– Bardzo zabawne.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie widzimy policjantów patrolujących ulice. A oni pewnie po całym Londynie pilnują fabryk.

– A pan jest z tego bardzo zadowolony – burknął Fraser.

– Biurokraci! – rzucił wesoło Mallory. – Mogli przewidzieć, że do tego dojdzie. Gdyby tylko porządnie przestudiowali teorie katastrofizmu. Mamy do czynienia z połączeniem synergicznych interakcji; cały system, podwajając okres, pędzi ku chaosowi.

– Czy mógłbym wiedzieć, co to oznacza?

– W największym skrócie... – Mallory uśmiechnął się pod chustką. – I w terminach laików: wszystko dwa razy szybciej robi się dwa razy gorsze, aż w końcu rozpadnie się zupełnie.

– To naukowe teorie. Nie sądzi pan chyba, że ma to jakiś związek z rzeczywistą sytuacją w Londynie.

– Ciekawe pytanie. – Mallory kiwnął głową. – Głęboko zakorzenione w metafizyce. Jeśli potrafię dokładnie wymodelować jakieś zjawisko, czy to oznacza, że je rozumiem? A może mam do czynienia ze zwykłym zbiegiem okoliczności albo błędem metody? Oczywiście, jako przekonany symulacjonista, pokładam wiarę w modelowaniu maszynowym. Jednakże samą doktrynę bez wątpienia można zakwestionować. Wypływamy na głębokie wody, Fraser. To problemy, nad którymi zwykli dyskutować stary Hume i biskup Berkeley.

– Nie jest pan przypadkiem pijany?

– Może troszkę pobudzony. Podchmielony, można by powiedzieć.

Ruszyli dalej, rozsądnie pozostawiając policjantów ich sporom.

Mallory poczuł nagle, że brakuje mu dobrego, mocnego płaszcza z Wyoming. Zatęsknił za swoją manierką, lunetą, dodającym pewności ciężarem strzelby na plecach. Za zimnym, czystym, pustym horyzontem, gdzie życie przeżywało się w pełni, a śmierć, gdy przychodziła, była szybka i uczciwa. Dobrze byłoby wyjechać z Londynu, znowu wyruszyć na wyprawę. Mógłby odwołać wszystkie sprawy. Mógłby zwrócić się o fundusze do Towarzystwa Królewskiego albo, jeszcze lepiej, do Geograficznego. Mógłby opuścić Anglię!

– To niepotrzebne – stwierdził Fraser. – Właściwie mogłoby jeszcze pogorszyć sytuację.

– Czyżbym mówił na głos?

– Trochę. Tak.

– Gdzie w tym mieście można kupić dobrą strzelbę myśliwską?

Dotarli już poza Chelsea Park, do miejsca zwanego Camera Square. Sklepy oferowały tu rozmaite instrumenty optyczne: talbotypy, latarnie magiczne, kolorymetry, teleskopy dla amatorów obserwacji gwiazdnych. Były też małe mikroskopy dla przyszłych uczonych; chłopcy często się interesowali ruchliwymi żyjątkami w zwykłej wodzie. Te maleńkie

stworzonka nie miały żadnego praktycznego znaczenia, ale ich badanie mogło poprowadzić młode umysły ku doktrynom prawdziwej Nauki. Ogarnięty sentymentem Mallory przystanął przed wystawą z takimi właśnie mikroskopami. Przypomniały mu łagodnego, starego lorda Mantella, który pierwszy dał mu pracę w muzeum w Lewes. Od sprzątanía przeszedł do katalogowania kości i ptasich jaj, a w końcu otrzymał prawdziwe stypendium w Cambridge. Co prawda, lord trochę zbyt chętnie używał brzozonej różgi, ale pewnie nie częściej, niż Mallory na to zasługiwał.

Gdzieś we mgle rozległ się dziwny brzęczący odgłos. Mallory obejrzał się i zobaczył niezwykłą, pochyloną widmową postać; za nią trzepotały poły kurtki, a pod pachami ścisnęła dwie laski.

Odskoczył w ostatniej chwili; chłopiec przemknął obok z dzikim okrzykiem. Zwykły londyński chłopak, trzynastolatek w butach z kółkami. Zakręcił szybko, wyhamował sprawnie i zaczął popychać się laskami pod górę. Po chwili Fräsera i Mallory'ego otoczyło całe stadko dzieciaków; podskakiwały i krzyczały z diabelskiej uciechy. Żaden z pozostałych chłopców nie miał butów z kółkami, ale prawie wszyscy nosili niewielkie kwadratowe maseczki, jakich używali urzędnicy Biura Statystycznego, kiedy zbliżali się do swoich Maszyn.

– Hej, chłopcy! – warknął Fräser. – Skąd wzięliście te maski? Nie zwrócili na niego uwagi.

– Ale jazda! – wykrzyknął któryś. – Spróbuj jeszcze raz, Bill! Inny trzy razy machnął nogą, jakby dopełniał jakiegoś rytuału, potem podskoczył jak najwyżej i zakrakał „Cukru!”. Pozostali śmiali się głośno.

– Uspokójcie się! – rozkazał im Fräser.

– Kwaśna gęba! – wrzasnął mały łobuziak. – Paskudny kapelusz! Cała grupa zataczała się wręcz ze śmiechu.

– Gdzie wasi rodzice? – wypytywał Fräser. – Nie powinniście biegać po ulicy przy takiej pogodzie.

– Same głupoty – prychnął chłopiec z kółkami. – Naprzód, dzielna załogo! Bill Pantera prowadzi!

Odepchnął się laskami. Inni pobiegli za nim, krzycząc i hałasując.

– Za dobrze ubrani jak na uliczników – zauważył Mallory.

Chłopcy odbiegli niedaleko i szykowali się do zabawy w „strzał z bata”. Każdy z nich chwycił sąsiada za rękę i utworzyli łańcuch. Ten z kółkami zajął pozycję na końcu.

– Nie podoba mi się to – mruknął Mallory.

Łańcuch zaczął wirować, każde jego ogniwo nabierało rozpędu, aż chłopiec na kółkach wystrzelił jak z procy. Jechał z radosnym wrzaskiem, trafił na jakąś nierówność na chodniku, potknął się i głową naprzód runął w wielką szybę.

Z wystawy posypały się odłamki, szklane płyty zsuwały się jak ostrza gilotyny.

Młody Bill Pantera leżał na chodniku: wydawał się nieprzytomny albo martwy. Przez

moment panowała pełna lęku cisza.

– Skarby! – pisnął któryś z chłopców.

Z szaleńczymi okrzykami cała grupa rzuciła się do rozbitej witryny, by chwycić wszystko, co na niej stało: teleskopy, trójnogi, chemiczne kolby...

– Stać! – zawołał Fraser. – Policja!

Sięgnął pod surdut, jednym szarpnięciem ściągnął z twarzy chustkę i trzy razy dmuchnął mocno w niklowany policyjny gwizdek.

Chłopcy zniknęli natychmiast. Kilku upuściło łup, ale pozostali mocno ściskali zdobycz i uciekali niczym makaki. Fraser pobiegł za nimi, tuż za nim Mallory; razem dotarli do sklepu, przed którym wciąż leżał nieruchomy Bill Pantera. Gdy się zbliżyli, chłopiec uniósł się na łokciu i potrząsnął zakrwawioną głową.

– Jesteś ranny, synu – powiedział Mallory.

– Jestem zdrow jak ryba! – odparł niewyraźnie Bill Pantera. Skórę na głowie miał rozciętą aż do kości, krew ściekała mu na uszy. – Nie dotykajcie mnie, zamaskowani bandyci!

Mallory niechętnie zsunął chustkę i spróbował się uśmiechnąć.

– Jesteś pokaleczony. Potrzebujesz pomocy.

Razem z Fraserem pochylili się nad rannym.

– Ratunku! – wrzasnął chłopiec. – Na pomoc, wierna załogo!

Mallory rozejrzał się. Może któregoś z chłopców można by posłać po pomoc.

Błyszczący trójkątny odłamek szkła, wirując, nadleciał z mgły i trafił Frasera prosto w kark. Policjant wyprostował się gwałtownie, szeroko otwierając oczy z wyrazem niemal zwierzęcego szoku.

Bill Pantera podniósł się niepewnie na kolana, potem skoczył na nogi. Od strony niedalekiego sklepu dobiegł głośny trzask, dźwięczny brzęk szkła i pełne zachwyty krzyki.

Z pleców Frasera sterczało szklane ostrze. Wbiło się głęboko.

– Zabiją nas! – zawołał Mallory i pociągnął inspektora za sobą.

Za nimi niczym bomby pękały kawałki szkła – jedne, ciśnięte na ślepo, rozpryskiwały się na ścianach, inne wypadały z ram wystawowych.

– Niech to diabli... – wymruczał Fraser. We mgle zabrzmiał krzyk Billa Pantery:

– Skarby, moi mili! Skarby!

– Zaciśnij pan zęby – poradził Mallory.

Owinął dłoń chustką i wyrwał szkło z pleców Frasera. Z ogromną ulgą zobaczył, że wyszło w jednym kawałku. Fraser drgnął.

Mallory ostrożnie pomógł mu zdjąć surdut. Krew poplamiła koszulę aż do pasa, choć rana nie była tak poważna, jak Mallory się obawiał. Szkło przebiło skórzany pas kabury, w której tkwił nieduży wielolufowy pistolet.

– Pas powstrzymał uderzenie – oznajmił. – Szkło przebiło skórę, ale niezbyt głęboko. Trzeba tylko zahamować krwawienie...

– Na komisariacie. – Fraser wyraźnie pobladł. – Przy Kings Road West.
Za nimi z trzaskiem posypała się nowa kaskada szkła.
Szli szybko; Fraser krzywił się przy każdym kroku.
– Lepiej niech pan zostanie ze mną – powiedział – i przeczeka noc na komisariacie. Robi się nieprzyjemnie.
– Jasne – odparł Mallory. – Niech się pan nie martwi.
– Nie żartuję, Mallory.
– Na pewno.
Dwie godziny później był już w Cremorne Gardens.

* * *

Dokument poddany analizie to ręcznie pisany list. Usunięto nagłówek, zaś kartka została pospiesznie złożona, jednak badania pisma potwierdzają, że to autentyczny rękopis Edwarda Mallory’ego, spisany w pośpiechu i w stanie sugerującym pewną utratę koordynacji ruchowej.

Papier średniej jakości, silnie pożółkły, należy do gatunku powszechnie używanego przez instytucje publiczne w okolicach roku 1850. Prawdopodobnie pochodzi z komisariatu policji przy Kings Road West.

Tekst, napisany wyblakłym atramentem i stalówką wytartą od długiego używania, brzmi:

*MADAME,
nikomu nie powiedziałem. Ale komuś powiedzieć muszę. Wnioskuje zatem, że Ty musisz stać się moją powiernicą, jako że nie ma nikogo innego.*

Kiedy wziąłem na przechowanie Pani własność, uczyniłem to bez przymusu. Proszę Pani traktuję jak królewskie polecenie, a wrogowie Pani są, oczywiście, moimi wrogami. Najwyższym przywilejem, jakiego mogę od życia oczekiwać, jest stanie się Twoim paladynem.

Proszę, Pani, nie lękaj się o moje bezpieczeństwo. Błagam, nie podejmuj żadnych kroków, które miałyby mi pomóc, ale Panią mogłyby narazić na niebezpieczeństwo. Wszelkie ryzyko w tej grze podejmę chemie, jednak ryzyko owo istnieje naprawdę. Gdyby spotkało mnie najgorsze, Pani własność mogłaby nigdy nie zostać odebrana.

Zbadałem te karty i zgaduję chyba, do czego mają służyć, chociaż dalece wykraczają poza granice mojej skromnej znajomości Maszyn. Jeśli popełniłem impertynencję, proszę o wybaczenie.

Zapakowałem karty w czystą tkaninę i osobiście zapieczętowałem w szczelnym gipsowym pojemniku. Pojemnikiem tym jest czaszka egzemplarza brontozaura w Muzeum Geologii Praktycznej przy Jermyn Street. Własność Pani spoczywa teraz

całkowicie bezpieczna, około trzydziestu stóp nad ziemią. Nawet żywa dusza nie wie o tym, za wyjątkiem Ciebie, Pani, oraz

*unizonego sługi waszej lordowskiej mości
Edwarda Mallory'ego, członka TK, KTG*

ITERACJA CZWARTA

Siedem Plag

Obiekt jest patriotyczną plakietką żałobną z ciężkiej białej porcelany. Produkowano je dla upamiętnienia śmierci władców albo głów państw. Pod bezbarwną początkowo glazurą, spękaną teraz i pożółkłą pod działaniem czasu, widoczne są rysy lorda Byrona.

W okresie kilku miesięcy po śmierci premiera w całej Anglii sprzedano dziesięć tysięcy takich przedmiotów. Same płytki były standardowe, trzymane w zapasie na okazję zgonu odpowiednio ważnej osobistości. Portret Byrona, otoczony girlandą kwiatów, ozdobny zwój i postacie przedstawiające wczesną historię Industrialnej Partii Radykalnej, został maszynowo wydrukowany na błonie z przezroczystego materiału, następnie przeniesiony na porcelanę, pokryty glazurą i wypalony.

Po lewej stronie Byrona, przy długim zwoju pergaminu brytyjski lew w koronie pręży się tryumfalnie nad niewyraźnie narysowanym *wężem*, najprawdopodobniej przedstawiającym idee luddytów.

Zarówno w czasie starań Byrona o przywództwo, jak i w późniejszym okresie często przypomniano jego pierwszą mowę w Izbie Lordów w lutym 1812 roku. Nalegał wtedy na darowanie win luddytom. Pytany o to, Byron miał jakoby odpowiedzieć: „Bo też są luddyci, drogi panie, i luddyci”. Wypowiedź ta jest być może apokryfem, jednak doskonale odpowiada wszystkiemu, co wiadomo o charakterze premiera; można się też zapewne odnieść do niezwyklej surowości, z jaką później stłumił on i unicestwił zrodzony w Manchesterze ruch antyindustrialny, którego przywódcą był Walter Gerard. Była to bowiem forma luddyzmu atakującego nie dawny porządek, lecz nowy, który stworzyli sami radykałowie.

Obiekt ten należał do inspektora Ebenezera Frasera, z Sekcji Specjalnej z Bow Street.

* * *

Mallory został z Fraserem. Przyglądał się, jak lekarz policyjny czyści ranę brudną gąbką i

owija bandażem, aż wreszcie nabrał pewności, że inspektor przestał zwracać na niego uwagę. By tym łatwiej stłumić wyraźne podejrzenia Frasera, pożyczył od dyżurnego kartkę i zaczął pisać list.

Tymczasem komisariat z wolna wypełniał się hałaśliwymi włóczęgami i najrozmaitszego gatunku awanturnikami. Grupa ta była interesująca jako zjawisko społeczne, jednak Mallory nie miał ochoty spędzać nocy na zimnej pryczy w brudnej celi. Miał ochotę na coś zupełnie innego.

Po chwili uprzejmie zapytał znękanego i zmęczonego sierżanta o drogę, starannie zanotował wskazówki i wymknął się na ulicę. Bez żadnych kłopotów trafił do Cremorne Gardens.

Tu sytuacja znakomicie odzwierciedlała dynamikę kryzysu w mieście. Panował spokój. Z pozorów nikt nie myślał o tym, co się dzieje na zewnątrz, a fale lokalnego rozprężenia nie rozbiły jeszcze systemu.

I nie cuchnęło tak strasznie. Gardens leżały w Chelsea Reach, powyżej najgorszego odcinka Tamizy. Od rzeki dmuchała lekka, nie całkiem nieprzyjemna bryza, niosąca słaby zapach ryb. Mgła była rozrywana przez potężne ulistnione konary starych więzów. Słońce już zaszło i ku uciechu publiczności zapłonęły tysiące przymglonych gazowych światełek.

Mallory potrafił sobie wyobrazić sielankowy urok tych ogrodów w weselszym czasie. Wokół widział barwne klomby geranium, dobrze utrzymane trawniki, obrośnięte winoroślą altany, ławeczki i – oczywiście – słynny Kryształowy Krąg. A także „monstrualną platformę”, ogromną salę balową pod dachem i bez ścian, gdzie tysiące ludzi mogło się przechadzać albo tańczyć walce czy polki na wytartych deskach podłogi. Wewnątrz sprzedawano drinki i przekąski, a wielki panmelodion dźwięczał wyborem melodii z popularnych oper.

Jednakże dzisiejszej nocy nie przybyły tu tysiące. Może ze trzysta osób krążyło wkoło, z czego najwyżej setkę można by uznać za osoby godne szacunku. Ta setka to ludzie znużeni siedzeniem w domu, uznał Mallory, albo pary, których nic nie mogło wystraszyć. Spośród pozostałych dwie trzecie stanowili mężczyźni, mniej lub bardziej zdesperowani, i prostytutki, mniej lub bardziej zuchwałe.

Przy barze na platformie Mallory wypił jeszcze dwie whisky. Alkohol był tani i dziwacznie pachniał – albo przesiąknięty Fetorem, albo doprawiony amoniakiem, potażem czy kwasją. A może indyjską jagodą, gdyż ciecz miała barwę marnego portera. Dwie szklaneczki whisky paliły go w żołądku jak gorące węgle.

Prawie nikt nie tańczył; kilka par z pewnym skrępowaniem próbowało walca. Mallory nawet w najlepszej formie nie uważał się za tancerza. Obserwował kobiety. Jedna z nich, wysoka, o pięknych kształtach, tańczyła ze starszym, brodatym dżentelmenem. Mężczyzna był krępy i sztywny w kolanach, ale kobieta poruszała się wyprostowana jak struna, tańczyła z gracją profesjonalistki; błyskały mosiężne obcasy jej butów. Spływająca w dół spódnica sugerowała kształt i szerokość bioder – z pewnością nie korygowanych rusztowaniem

fiszbinu. Miała piękne kostki w czerwonych pończochach, a spódnica kończyła się o dwa cale wyżej niż wypadło.

Nie widział jej twarzy.

Panmelodion zagrał nową melodię, ale otyły dżentelmen był już chyba zmęczony. Zatrzymali się oboje i przeszli do grupy przyjaciół: starsza, skromna kobieta w kapeluszu, jeszcze dwie młode dziewczyny, wyglądające na ładacznicę, i kolejny starszy dżentelmen o zimnej twarzy, wyglądający na cudzoziemca... Może Holender albo przybysz z któregoś z księstw niemieckich. Dziewczyna, która tańczyła, rozmawiała z pozostałymi i odchyłała głowę, jakby się śmiała. Miała piękne czarne włosy i zawieszony na wstążce pod szyją kapelusz, odrzucony na plecy: piękne, solidne kobiece plecy nad wąską talią.

Mallory ruszył wolno w ich stronę. Dziewczyna z pozornym zapałem mówiła coś do cudzoziemca, lecz jego twarz zdradzała niechęć i jakby pogardę. Dziewczyna dygnęła lekko i odwróciła się.

Po raz pierwszy Mallory zobaczył jej twarz. Miała długą szczękę, gęste brwi, szeroką, ruchliwą szczelinę ust, zaznaczone różem wargi. Twarz nie była właściwie brzydka, ale zdecydowanie pospolita. Jednak szare oczy spoglądały bystro i nonszalancko, a dziwnie zmysłowy wyraz sprawił, że Mallory znieruchomiał nagle. I ta doskonała figura... Widział, jak idzie – sunie, tańczy niemal – w stronę baru. I znowu te cudowne biodra i linia pleców... Pochylona nad kontuarem gawędziła z barmanem, a spódnica uniosła się jej prawie do łydki. Widok tej umięśnionej nóżki przejął go lubieżnym dreszczem. Poczuł się, jakby go kopnęła.

Podszedł do baru. Dziewczyna nie gawędziła z barmanem, ale kłóciła się z nim po kobiecemu, jękliwie i błagalnie. Chciała się napić, a nie miała pieniędzy; przekonywała go, że zapłaci jej znajomi. Barman nie wierzył, ale nie chciał tego powiedzieć wprost.

Mallory zastukał szylingiem o szynkwias.

– Barman! Proszę podać pani, czego sobie życzy.

Odwróciła się z irytacją i zdziwieniem. Ale natychmiast się opanowała, uśmiechnęła i spojrzała spod opuszczonych rzęs.

– Wiesz, co najbardziej lubię, Nicholas – powiedziała.

Barman przyniósł jej wysoki kieliszek szampana i odebrał od Mallory'ego pieniądze.

– Uwielbiam szampana – oznajmiła. – Po szampanie tańczy się jak piórko. Tańczy pan?

– Potwornie – odparł Mallory. – Czy mogę odprowadzić panią do domu?

Zmierzyła go wzrokiem i uniosła kącik ust w kpiącym lecz zmysłowym uśmieszku.

– Odpowiem za momencik.

I odeszła do swoich znajomych.

Mallory nie czekał; uznał, że to tylko wybieg. Ruszył wolno wzdłuż promenady i przyglądał się innym kobietom. Po chwili jednak dostrzegł, że dziewczyna o pospolitej twarzy macha do niego. Podszedł.

– Chyba mogę z tobą iść, ale nie wiem, czy ci się to spodoba.

– Dlaczego nie? – zdziwił się. – Ty mi się podobasz.

Parsknęła śmiechem.

– Nie o tym mówię. Nie mieszkam tutaj, w Brompton, ale w Whitechapel.

– To daleko...

– Pociągi nie jeżdżą. I na pewno nie złapiemy dorożki. Bałam się, że będę musiała spać w parku!

– A twoi przyjaciele? – zdziwił się Mallory.

Potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że nie dba o nich. Piękna szyja ukazywała pod brodą skrawek maszynowej koronki.

– Chcę wrócić do Whitechapel. Zabierzesz mnie tam? Nie mam pieniędzy, ani pensa.

– Zgoda. – Mallory podsunął jej łokieć. – To pięć mil pieszo... ale nogi masz doprawdy cudowne.

Z uśmiechem ujęła go pod rękę.

– Możemy wsiąść na parowiec przy moło Cremorne.

– Aha... Wycieczka po Tamizie?

– Nie jest droga. – Z gigantycznej platformy zeszli po stopniach w mrok rozświetlany migotliwymi płomykami latarni. – Nie mieszkasz w Londynie, prawda? Jesteś przejazdem?

Mallory pokręcił głową.

– Dasz mi suwerena, jeśli się z tobą prześpię? Milczał, zaskoczony jej zuchwałością.

– Możesz zostać całą noc – dodała. – Mam bardzo ładny pokój.

– Tak, tego właśnie chcę.

Potknął się na zwirowej alejce. Dziewczyna podtrzymała go, potem śmiało spojrzała w oczy.

– Trochę wypileś, co? Ale pocziwie wyglądasz. Jak ci na imię?

– Edward. Zwykle mówią do mnie Ned.

– Ja też tak się nazywam! – zawołała. – Harriet Edwardes, z „e” na końcu. To mój pseudonim artystyczny. Ale przyjaciele mówią do mnie Hetty.

– Masz kształty bogini, Hetty. Nie dziwię się, że występujesz na scenie.

Zuchwale spojrzała mu w oczy.

– Lubisz niegrzeczne dziewczyny, Ned? Bo mam dziś ochotę robić niegrzeczne rzeczy.

– Bardzo lubię – zapewnił Mallory.

Objął ją w tali, przycisnął dłoń do obfitej piersi i pocałował w usta. Pisnęła zaskoczona, po czym zarzuciła mu ręce na szyję. Całowali się długo pod ciemnym pniem wiązu. Czuł na zębach język Hetty.

Odsunęła się nieco.

– Musimy iść do domu, Ned. Zgoda?

– Zgoda – odparł, dysząc ciężko. – Ale pokaż mi nogi. Teraz. Proszę.

Rozejrzała się niespokojnie, po czym uniosła halki aż do kolan i opuściła je znowu.

– Są doskonale – stwierdził. – Mogłabyś pozować malarzom.

– Pozowałam malarzom – oświadczyła. – To się nie opłaca.

Przy moło zabuczał parowiec. Ruszyli biegiem i w ostatniej chwili wpadli na pokład. Wysilek sprawił, że whisky zakręciła Mallory’emu w głowie. Dał dziewczynie szylinga na dwa bilety po dwa pensy i znalazł płócienny leżak na dziobie promu. Nieduży stateczek dodał pary; boczne koła chlupotały w czarnej wodzie.

– Chodźmy do baru – zaproponowała. – Dają tam drinki.

– Chcę obejrzeć Londyn.

– Chyba ci się nie spodoba to, co zobaczysz w tym rejsie.

– Spodoba, jeśli tu ze mną zostaniesz.

– Ależ nawijasz, Ned... – Zaśmiała się. – Z początku wzięłam cię za policjanta, taki byłeś surowy i poważny. Ale policjanci tak nie mówią ani na trzeźwo, ani po pijanemu.

– Nie lubisz komplementów?

– Lubię. Są słodkie. Ale szampana też lubię.

– Za chwilę – rzucił Mallory. Był bardziej pijany niż planował. Wstał, podszedł do relingu i chwycił mocno, by powróciło czucie w palcach. – Strasznie ciemno w mieście – zauważył.

– Rzeczywiście – przyznała, stając tuż obok.

Pachniała słonym potem, herbacianymi różami i żądzą. Zastanawiał się, czy dużo ma tam włosów i w jakim są kolorze. Nie mógł się doczekać, żeby to sprawdzić.

– A dlaczego, Ned? – Co?

– Dlaczego jest tak ciemno? Z powodu mgły?

– Lampy gazowe – wyjaśnił. – Rząd nakazał wygaszenie wszystkich gazowych latarni, ponieważ za bardzo dymią.

– To chytre.

– A teraz ludzie biegają po ciemnych ulicach i rozwalają wszystko dookoła.

– Skąd wiesz? Wzruszył ramionami.

– Nie jesteś z policji?

– Nie, Hetty.

– Nie lubię policjantów. Zawsze tak gadają, jakby wiedzieli coś, czego człowiek nie wie. I nie chcą powiedzieć, skąd to wiedzą.

– Mógłbym ci wytłumaczyć. Chciałbym ci wytłumaczyć. Ale byś nie zrozumiała.

– Oczywiście, że bym zrozumiała, Ned. – Głos Hetty był wesoły jak dzwon pogrzebowy.
– Uwielbiam słuchać, co mówią mądrzy mężczyźni.

– Londyn to złożony system, który został wytrącony ze stanu równowagi. Jest jak... jak ktoś pijany do nieprzytomności w pokoju pełnym butelek whisky. Whisky jest ukryta, więc ciągle musi jej szukać. Znajduje butelkę, pije z niej, potem odstawia i natychmiast zapomina. A potem chodzi i znowu szuka. I tak w kółko.

– A potem kończy mu się alkohol i musi kupić więcej – dokończyła Hetty.

– Nie. Nigdy mu się nie kończy. Siedzi tam demon, który bez przerwy dopełnia butelki. Dlatego jest to otwarty system dynamiczny. Ten człowiek cały czas krąży po pokoju i nigdy nie wie, jaki będzie jego kolejny krok. Na ślepo, bez pojęcia zatacza kręgi, ósemki, wszystkie figury, jakie potrafi wykreślić łyżwiarz. Ale nigdy nie przekracza progu. Aż raz gasną światła, a on natychmiast wybiega z pokoju w zewnętrzną ciemność. Wtedy może mu się zdarzyć wszystko, gdyż zewnętrzna ciemność jest Chaosem. To Chaos, Hetty.

– A tobie to się podoba?

– Co?

– Nie mam pojęcia, co znaczy to, co właśnie powiedziałeś. Ale widzę, że ci się to podoba. Lubisz o tym myśleć. – Spokojnym, całkiem naturalnym gestem przysunęła dłoń do jego spodni. – Ależ jest sztywny!

Cofnęła rękę i uśmiechnęła się tryumfalnie.

Mallory nerwowo rozejrzał się po pokładzie. Dostrzegł może dziesięć osób, ale nikt chyba nie patrzył. Trudno było to ocenić w mglistej ciemności.

– Drażnisz się ze mną – powiedział.

– Wyciągnij go, to zobaczysz, jak umiem podrażnić.

– Wolę zaczekać na właściwy czas i miejsce.

– Coś podobnego: mężczyzna to mówi. – Zaśmiała się. Jednostajny plusk kół łopatkowych nagle zmienił ton. Z czarnych wód Tamizy uniósł się potworny smród, plusnęły bąbelki.

– Obrzydlistwo! – zawołała Hetty, zasłaniając usta dłonią. –

Chodźmy do baru, Ned. Proszę!

Niezwykła ciekawość przykuła Mallory'ego do miejsca.

– Czy dalej jest jeszcze gorzej? – zapytał. – W dole rzeki?

– O wiele gorzej – odparła Hetty przez palce. – Widziałam, jak ludzie mdleją od tego.

– Więc dlaczego promy wciąż płyną?

– One zawsze płyną. To statki pocztowe.

– Aha... – Mallory ucieszył się. – Czy mogę tu kupić znaczek?

– W środku – wyjaśniła Hetty. – I mnie też możesz coś kupić.

* * *

Hetty zapaliła lampę naftową w ciasnym przedpokoju mieszkanka przy Flower-and-Dean Street. Mallory, szczęśliwy, że może się wreszcie skryć przed mglistą niesamowitością zaułka Whitechapel, wyminął dziewczynę i wszedł do bawialni. Na kwadratowym stoliku leżał nierówny stos ilustrowanych brukowców, wciąż jakoś dostarczanych mimo Fetoru. W półmroku rozróżniał wielkie litery maszynowo drukowanych nagłówków, krzyczących o

złym stanie zdrowia premiera. Stary Byron zawsze udawał chorego; bez przerwy się skarżył na bóle kości, płuc albo wątroby.

Hetty weszła do bawialni z lampą w rękę i na zakurzonej tapecie rozkwitły wyblakłe róże. Mallory upuścił na stolik złotego suwerena. Nie lubił kłótni w takich sprawach i zawsze płacił z góry. Usłyszała brzęk monety i uśmiechnęła się. Potem zrzuciła ubłocone buciki, kołysząc biodrami przeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. Zza progu wyskoczył szary kot; Hetty wzięła go na ręce, głaskała i nazywała Tobym. Po chwili wypuściła go na schody. Mallory obserwował ją niecierpliwie.

– Teraz twoja kolej – oznajmiła i skinęła głową.

Sypialnia była ciasna i panował w niej bałagan. Pod ścianą stało duże dębowe łóżko i wysokie, pociemniałe zwierciadło, kiedyś pewnie warte sporo pieniędzy. Hetty ustawiła lampę na podrapanej komodzie, rozpięła guziki bluzki, ściągnęła rękawy i rzuciła ją na bok, jakby ubranie sprawiało jej więcej kłopotów, niż było tego warte. Sprawnie zsunęła spódnicę.

– Nie nosisz krynoliny – zauważył chrapliwie Mallory.

– Nie lubię tego.

Rozpięła i odłożyła na bok sztywną halkę. Zręcznie odczepiła druciane haftki gorsetu, rozluźniła sznurówki, przeciągnęła go przez biodra i westchnęła z ulgą. Została tylko w koronkowej koszuli.

Mallory zdjął surdut i buty. Penis napierał na guziki rozporka i Mallory chciałby go uwolnić, ale nie miał ochoty na paradowanie z taką erekcją w świetle lampy.

Hetty w koszuli wskoczyła do łóżka; zużyte sprężyny jęknęły głośno. Mallory przysiadł na krawędzi materaca, pachnącego tanią wodą pomarańczową i potem Hetty. Zdjął spodnie i niewymowne, zostając w samej koszuli.

Pochylił się, odpiął kieszonkę pasa z pieniędzmi i wyjął kondom.

– Zrobię to w pancerzu, moja droga – wymruczał. – Zgoda? Hetty uniosła się na łokciu.

– Pokaż.

Zademonstrował jej zwiniętą błonę baraniego jelita.

– Nie z tych uduziwnionych – zauważyła z wyraźną ulgą. – Rób jak chcesz, skarbie.

Mallory starannie naciągnął błonę na swój wyprężony penis. Tak będzie lepiej, pomyślał zadowolony ze swej zapobiegliwości. Czuł, że jeszcze panuje nad sobą, że będzie bezpieczny, a jednocześnie dostanie to, za co płaci. Wsunął się pod pomietą koldrę.

Hetty objęła go za szyję i pocałowała namiętnie swymi szerokimi wargami, jakby chciała je przykleić do jego ust. Zaskoczony Mallory czuł na zębach jej język, podobny do śliskiego, ciepłego węgorza.

To dziwne uczucie gwałtownie pobudziło jego żądze. Wspiął się na nią; jej mocne ciało wydawało się cudownie miękkie pod cienką tkaniną. Po krótkiej walce podciągnął jej koszulę do pasa. Hetty stękała rozkosznie, gdy Mallory szperał w jej wilgotnym runie, wreszcie zniecierpliwiona sięgnęła ręką i bez ceremonii wbiła jego penisa w swój srom.

Oderwała usta, kiedy zaczęli kopulować. Po chwili sapali oboje niczym parowozy. Łóżko trzeszczało i zgrzytało pod nimi jak rozregulowany panmelodion.

– Och Ned, kochanie! – krzyknęła nagle, wbijając mu paznokcie w plecy. – Ależ jesteś cudownie wielki! Zaraz dojdę!

Zacząła więc się pod nim, jakby napadły ją konwulsje. Jeszcze bardziej pobudzony tym, że kobieta w trakcie stosunku mówi po angielsku, wytrysnął nagle, jakby ssanie jej lędźwi przemocą wyrwało z niego nasienie.

Przez chwilę leżeli zdyszani. Hetty pocałowała go w zarośnięty policzek, trzepocząc rzęsami z wpół zawstydzoną miną kobiety zwyciężonej przez pożądanie.

– Było wspaniale, Ned. Naprawdę umiesz to robić. A teraz może coś zjemy? Konam z głodu.

– Dobrze – zgodził się Mallory.

Zsunął się z wilgotnej kołyski jej bioder. Odczuwał wdzięczność, jak dla każdej kobiety, która okazała mu swą łaskawość, a także odrobinę wstydu za siebie i za nią. Ale był też głodny. Od wielu godzin nic nie jadł.

– Możemy zamówić kolację u Harta. Pani Cairns nam przyniesie. To moja gospodyni. Mieszka obok.

– Świetnie.

– Ale musisz zapłacić i dać jej napiwek.

Hetty wstała z łóżka. Szybko obciągnęła koszulę, lecz widok jej wspaniałych pośladków zdążył wzbudzić w nim dreszcz zachwytu. Zastukała w ścianę sypialni. Po chwili rozległa się odpowiedź.

– Jeszcze nie śpi? – zdziwił się Mallory.

– Jest przyzwyczajona. – Przy akompaniamencie zgrzytów i jęków, Hetty wśliznęła się z powrotem do łóżka. – Nie przejmuj się panią Cairns. Co środę awanturuje się ze swoim nieszczęsnym mężem i cały dom nie śpi.

Mallory ostrożnie zdjął kondom, rozciągnięty ale cały. Wrzucił go do *pot-de-chatnbre*.

– Może otworzymy okno? Wściekły upał...

– Nie, skarbie, bo wpuścisz tu Fetor! – Hetty uśmiechnęła się i podrapała pod kołdrą. – Zresztą okna i tak się nie otwierają.

– Dlaczego?

– Ramy są zabite gwoździami. Dziewczyna, która mieszkała tu ze mną zeszłej zimy... Dziwna taka, wyniosła i dumna, ale strasznie się bała jakichś wrogów. To chyba ona zabiła okna. Ale i tak w końcu ją dostali, biedactwo.

– W jaki sposób? – zdziwił się Mallory.

– Nigdy nie sprowadzała tu mężczyzn, przynajmniej ja nie widziałam. Ale kiedyś przyszli po nią z policji. Tajniacy... Wiesz, o co mi chodzi. Mnie też porządnie wymęczyli, jakbym wiedziała, co takiego ona zrobiła albo z kim się zadawała. Nie wiem nawet, jak się naprawdę

nazywała. Sybil jakoś. Sybil Jones.

Mallory poskrobał się w brodę.

– A co takiego zrobiła ta Sybil Jones?

– Miała dziecko z posłem do Parlamentu – wyjaśniła Hetty. – Nazywa się... zresztą pewnie nie chcesz wiedzieć. Była dziwką polityków, która trochę śpiewała. Ja jestem dziwką, która pozuje. *Conna-issez-vous poses plastique?*

– Nie.

Mallory ze zdziwieniem spostrzegł, że na kolanie wylądowała mu pchła. Złapał ją i zgniótł na krwawą miazgę między paznokciami.

– Ubieramy się w obcisle kostiumy, w takim kolorze jak skóra, a potem tańczymy i pozwalamy dżentelmenom gapić się na nas. Pani Winterhalter – widziałeś ją dzisiaj w Cremorne, ustawiała nas –

Jest moją opiekunką, jak to mówią. Przyszło strasznie mało ludzi, a ci szwedzcy dyplomaci, z którymi tam byliśmy, mają węża w kieszeni. Na szczęście ty się pojawiłeś.

Ktoś zastukał do drzwi mieszkania. Hetty wstała.

– *Donnez-moi* cztery szylingi.

Mallory wręczył jej kilka monet, które natychmiast zniknęły w dłoni. Hetty wróciła po chwili z pogiętą i odrapaną tacą z laki, na której leżał niekształtny bochenek chleba, kawał szynki, musztarda, cztery smażone kielbaski i zakurzona mała butelka ciepłego szampana.

Napełniwszy dwa kolorowe, wysokie kieliszki, zaczęła jeść spokojnie i w milczeniu. Mallory wpatrywał się w jej piegowate ręce i ramiona, w obfite piersi z ciemnymi sutkami, widoczne pod cienką koszulą. Przez moment zastanawiał się nad pospolitością jej twarzy. Łyknął kwaśnego, marnego szampana i wygłodniały zaczął pochłaniać zieleniejącą już szynkę.

Hetty skończyła kielbaski. Potem z krzywym uśmieszkiem wysliznęła się z pościeli i kucnęła przy łóżku, podciągając koszulę do pasa.

– Ten szampan przelatuje przez człowieka na wylot – poskarżyła się. – Muszę na nocnik. Nie patrz, chyba że chcesz.

Mallory grzecznie odwrócił głowę i słuchał bębnienia moczu o porcelanę.

– Umyjemy się – oświadczyła. – Przyniosę miskę.

Wróciła z miednicą cuchnącej londyńskiej wody i przetarła się trucką.

– Masz piękne kształty – rzekł Mallory.

Ręce i stopy miała drobne, lecz kolumnowa krągłość łydek i ud stanowiła prawdziwy cud anatomii ssaka. Pełne pośladki były bez skazy. Wydawały mu się dziwnie znajome, podobne do białych kobiecych pośladków, jakie oglądał na dziesiątkach historycznych obrazów. Przyszło mu do głowy, że to pewnie te same. Wąski srom porastały jasne włosy.

Uśmiechnęła się, widząc jego spojrzenie.

– Chciałbyś mnie zobaczyć nago?

- Bardzo.
- Za szylinga?
- Zgoda.

Z wyraźną ulgą zrzuciła koszulę; na całej skórze wystąpiły krople potu. Delikatnie przejechała gąbką pod pachami.

– Mogę pozować całkiem nieruchomo przez całe pięć minut. Nawet nie drgnę – oznajmiła trochę niewyraźnie. Wypiła prawie całego szampana. – Masz zegarek? Pokażę ci za dziesięć szylingów. Założymy się?

- Jestem pewien, że potrafisz.

Hetty schyliła się z gracją, chwyciła lewą kostkę i uniosła nad głową wyprostowaną w kolanie nogę. Zaczęła obracać się wolno, poruszając jedynie stopą.

- Podoba ci się?
- Wspaniale – przyznał oszołomiony Mallory.
- Patrz, umiem położyć obie dłonie płasko na podłodze – zapewniła, zginając się w pasie.
- Londyńskie dziewczyny tak ciasno się sznurują, że by się przy tym całkiem połamały.

Zrobiła szpagat na podłodze i spojrzała na niego, pijana i tryumfująca.

- Nie znałem życia, póki nie przyjechałem do Londynu. – Mallory westchnął.
- Więc ściągaj koszulę i będziemy się parzyć nago. – Twarz jej poczerwieniała, szare oczy wychodziły na wierzch. Mallory rozebrał się. Podeszła do niego z emaliowaną miską. – W takim potwornym upale lepiej to robić nago. Zresztą zawsze lubię nago. Ojej, ależ masz umięśnione ciało. Lubię takich zarośniętych. Obejrzymy sobie twojego koguta. – Chwyciła mocno, odciągnęła skórę, potem zanurzyła w wodzie. – Nie jesteś chory, skarbie... Nic ci nie dolega, masz pięknego kogucika. Może przelecisz mnie bez tej paskudnej błony i zaoszczędzisz sobie dziewięć pensów?

- Dziewięć pensów to niewiele – odparł Mallory.

Wsunął kolejnego kondoma i dosiadł jej. Pocił się jak kowal. Z obojga ściekał pot pachnący marnym szampanem, jednak lepka skóra jej dużych piersi wydawała się całkiem chłodna. Galopowała pod nim z zamkniętymi oczami; w kąciu jej ust widział czubek języka. Pięty wbiła mu mocno w pośladki. W końcu wystrzelił, jęcząc przez zaciśnięte zęby. W uszach mu szumiało.

- Ależ z ciebie lubieżny diabeł, Ned. Szyja i ramiona poczerwieniały jej z gorąca.
- Ty też – wysapał.
- To prawda, skarbie. I lubię to robić z mężczyzną, który wie, jak należy traktować dziewczynę. Teraz napijemy się piwa. Lepiej chłodzi od szampana.
- Dobrze. Zgoda.
- I jeszcze papirosi. Lubisz papirosi?
- A co to takiego?
- Tureckie papirosy z Krymu. Od wojny wszyscy je palą.

– Palisz tytoń? – zdziwił się Mallory.

– Nauczyłam się od Gabrielle – wyjaśniła, wstając z łóżka. – Mieszkała tutaj, kiedy zniknęła Sybil. Była Francuzką z Marsylii. Ale popłynęła do Meksyku z jakimś wojakiem z ambasady. Wyszła za niego, szczęściara.

Hetty owinęła się w *robe-de-nuit* z żółtego jedwabiu. W blasku lampy strój, mimo wystrzępionych brzegów, robił wrażenie bardzo eleganckiego.

– Słodka była ta mała Gabrielle. *Donnez-moi* cztery szylingi, skarbie. Nie, pięć.

– Wydasz resztę z funta?

Hetty z kwaśną miną odliczyła mu piętnaście szylingów i zniknęła w bawialni. Długo nie wracała; pewnie ucięła sobie pogawędkę z gospodynią. Mallory leżał swobodnie w łóżku i nasłuchiwał dziwnych dalekich odgłosów metropolii: brzęku dzwonków, odległych wrzasków, huków, które mogły być strzałami. Miał wrażenie, że jest pijany jak lord, a to bardzo mu odpowiadało. Z pewnością wkrótce znów ciężar legnie mu na sercu, zwiększony o wyrzuty sumienia po grzesznej nocy, teraz jednak unosiło go wspomnienie cielesnej rozkoszy; czuł się swobodny i lekki.

Hetty wróciła z drucianym koszem butelek w jednej ręce i zapalonym papierosem w drugiej.

– Długo cię nie było – zauważył.

Wzruszyła ramionami.

– Na dole była awantura. Jacyś pijacy... – Postawiła koszyk, sięgnęła do środka i rzuciła mu butelkę. – Widzisz, jaka zimna? Trzymają je w piwnicy. Sprytnie, prawda?

Mallory zdjął skomplikowany kapsel z porcelany, korka i drutu. Wypił łączywie. NEWCASTLE ALE, informowały wypukłe litery na butelce. Nowoczesny browar, gdzie warzą piwo w stalowych kadziach, wielkich jak okręty. Porządny, maszynowy napitek, wolny od oszukańczych dodatków jalapy czy indyjskich jagód.

Hetty weszła do łóżka w szlafroku, osuszyła butelkę i sięgnęła po następną.

– Zdejmij ten szlafrok – poprosił Mallory.

– Nie dałeś mi szylinga.

– Trzymaj.

Wsunęła monetę pod materac i uśmiechnęła się.

– Niezły z ciebie gość, Ned. Lubię cię. – Zdjęła szlafrok i rzuciła go na żelazny hak w drzwiach, ale chybiła. – Jestem dziś w dobrym humorze. Spróbujmy jeszcze raz.

– Za chwilę.

Mallory ziewnął. Powieki zaciążyły mu nagle, w oczach poczuł piasek. Ból zaczął pulsować w tyle głowy, gdzie uderzył go Velasco... Zdawało się, że to już całe wieki temu. I że całe wieki minęły, odkąd robił coś innego poza piciem i kopulowaniem.

Hetty zaczęła się bawić jego miękkim penisem.

– Kiedy ostatni raz miałeś kobietę, Ned?

– No... Jakieś dwa miesiące temu. Trzy.

– A kim ona była?

– Była... – Była kanadyjską ładacznicą, chciał powiedzieć Mallory, ale urwał nagle. – Dlaczego pytasz?

– Powiedz. Lubię słuchać, co robią ludzie z wyższych sfer.

– Nie wiem nic na ten temat. Ani ty, jak przypuszczam.

Hetty wypuściła jego penisa i skrzyżowała ramiona. Oparła się o podgłówek. Po chwili zapaliła kolejnego papirosi, pocierając lucyferem o łatę szorstkiego tynku. Wypuściła dym nosem. Dziwaczny widok, pomyślał Mallory.

– Myślisz, że nic nie wiem – powiedziała. – A słyszałam takie rzeczy, jakich sobie nawet nie wyobrażasz.

– Nie wątpię – zgodził się uprzejmie Mallory. Dopił swoje piwo.

– Wiedziałaś, że stara lady Byron nago chłoszcze swojego męża? Nie chce mu stanąć, dopóki nie wyłoi mu tyłka niemiecką szpicrutą. Powiedział mi to jeden policjant, który robił do mnie słodkie oczy, a on wiedział od ich lokaja.

– Naprawdę?

– W ogóle rodzina Byronów jest lubieżna i zepsuta do szpiku kości. On teraz jest już za stary, ale za młodych lat przetrząłby owcę. Znaczy, lord Byron. Przetrząłby nawet krzak, gdyby myślał, że w środku jest owca! A jego żona też nie lepsza. Nie sypia z innymi, ale należy do sióstr chłoszczących.

– Zdziwiałeś. A co wiesz o ich córce?

Hetty milczała przez chwilę. Zaskoczył go poważny nagle wyraz jej twarzy.

– Ada to dopiero ziółko! To największa ładacznica w całym Londynie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo Ada sypia z kim zechce i nikt nie śmie nawet pisać o tym, co wyczynia. Miała już połowę Izby Lordów, a wszyscy oni trzymają się jej spódnicy jak mali chłopcy. Zważ ich jej faworytami albo paladynami, a jeśli któryś z nią zerwie i ośmieli się szepnąć słowo przeciwko niej, reszta dopilnuje, żeby marnie skończył. Otaczają ją, chronią i oddają cześć, jak rzymscy księża swojej Madonnie.

Mallory burknął coś pod nosem. To gadanie ładacznicy, którego nawet słuchać nie wypada. Wiedział, że lady Ada ma swoich adoratorów, ale sama myśl, że pozwala mężczyznom się posiąść, że w matematycznym łóżu królowej Maszyn istnieją jakieś sapania i wytryski, penis i srom... Lepiej o tym nie myśleć. W głowie mu się zakręciło jak od whisky.

– Twoja wiedza fachowa robi wrażenie, Hetty – wymamrotał. – Trudno zaprzeczyć, że dysponujesz danymi o swojej profesji...

Hetty, która piła z butelki, roześmiała się głośno. Piana spłynęła jej na piersi.

– O Jezu! – zawołała, krztusząc się i rozmazując piwo po skórze. – Ale masz gadane, Neddie! Patrz, co przez ciebie zrobiłam.

– Przepraszam.

Uśmiechnęła się kpiąco i sięgnęła po tłącego się papierosa.

– Weź jakąś ścierkę i umyj je porządnie – zaproponowała. – Na pewno masz ochotę, co?

Mallory bez słowa wziął się do pracy. Przysunął miskę, zmoczył ręcznik, starannie wycierał jej piersi i wzniesienie brzucha z pępkiem pośrodku. Hetty obserwowała go spod przymkniętych powiek, zaciągając się papierosem i strzepując popiół na podłogę, jakby jej ciało należało do kogoś innego. Po chwili w milczeniu chwyciła go za penisa i zaczęła pieścić, gdy on wycierał jej nogi.

Mallory założył osłonę; szło mu niezgrabnie i niemal stracił erekcję. Na szczęście jednak zdołał wejść w nią i w chętnym ciele szybko odzyskał sztywność. Pompował ciężko, zmęczony i pijany; czuł ból w ramionach, przegubach i grzbiecie. Jądra sprawiały wrażenie obolałych, a wytrysk zdawał się równie trudny, jak wyciąganie zardzewiałego gwoźdźca. Sprężyny łóżka trzeszczały niczym stado metalowych świerszczy. Mallory czuł się tak, jakby przebiegł całe mile; Hetty, której papieros zgasł, przypalając blat szafki, była jak w transie, a może tylko oszołomiona albo pijana. Przez chwilę zastanawiał się już, czy zwyczajnie nie przerwać, powiedzieć jej, że nic z tego nie będzie... Ale nie mógł nawet znaleźć słów, które zadowalająco wyjaśniłyby jego sytuację. Dlatego pompował dalej. Myślami odbiegał daleko, do innej kobiety, swojej rudowłosej kuzynki. Kiedyś widział, jak za żywopłotem w Sussex chłopak bierze ją od tyłu. Był to przypadek: wszedł na drzewo wybierać kukułcze jaja. Rudowłosa kuzynka wyszła potem za tego chłopaka, miała teraz czterdzieści lat i dorosłe dzieci, była krągłą kobietką w okrągłym kapelusiku. Ale Mallory nie mógł na nią spojrzeć, by nie przypomnieć sobie wyrazu udręki i rozkoszy na piegowatej twarzy. Teraz uchwycił się tego obrazu jak galernik wiosła i z uporem dążył do szczytowania. Wreszcie w lędźwiach poczuł dziwne ciepło, zapowiadające, że wytrysk nastąpi wkrótce, że nic już go nie powstrzyma. Pchnął z nową desperacją, dysząc głośno, aż wreszcie wymęczony orgazm z prędkością pocisku przepłynął po bolącym grzbiecie falą niezwyklej rozkoszy, która dotarła do ramion, nóg, nawet do nagich stóp. Wtedy krzyknął: głośny, zwierzęcy jęk ekstazy, który jego samego zaskoczył.

– Bosko – uznała Hetty.

Mallory stoczył się z niej i sapał w dusznym powietrzu jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Mięśnie miał jak z gumy, przy wysiłku wypocił z siebie całą whisky. Czuł się absolutnie cudownie. Czuł, że mógłby teraz umrzeć. Gdyby tamten hultaj pojawił się nagle i zastrzelił go na miejscu, przyjąłby to z ulgą. Nie musiałby już powracać z tych wyżyn zmysłowości, nie musiałby stawać się znowu Edwardem Mallorym, mógłby na zawsze pozostać niezwykle istotą, tonącą w zapachu kobiecego seksu i herbacianych róż.

Po chwili jednak uczucie zniknęło i znów był sobą. Zbyt znużony na wyrafinowane uczucia winy i skruchy, był jednak gotów do wyjścia. Jakiś nieokreślony kryzys przeminął, epizod dobiegł końca. Na razie nie miał jeszcze siły, żeby się ruszyć, ale wiedział, że to już

niedługo. Pokój ładaczniczy przestał wydawać się sanktuarium. Ściany stały się nierzeczywiste jak matematyczna abstrakcja, ograniczenie niezdolne dłużej powstrzymać jego pędu.

– Prześpijmy się trochę – wymruczała Hetty bełkotliwie, pijana i zmęczona.

– Dobry pomysł.

Rozsądnie zostawił w zasięgu ręki pudełko lucyferów, zgasił lampę i niby platońska dusza leżał w upalnych londyńskich ciemnościach. Drzemał z otwartymi oczami; pchła uctowała spokojnie i metodycznie na jego kostkach. Właściwie nie spał, odpoczywał tylko przez nieokreślony czas. Kiedy myśli zaczęły szaleć, zapalił jednego z papierosów Hetty – przyjemny rytuał, choć bez większego sensu, jeśli idzie o właściwe wykorzystanie tytoniu. Potem wstał i na wycucie oddał mocz do *pot-de-chambre*. Chyba nachlapał trochę na podłogę... a może to było coś innego. Chętnie wytarłby nogi, ale chyba nie było warto.

Czekał, aż coś w rodzaju świtu pojawi się w smętnym, nagim oknie Hetty, wychodzącym na ślepą ścianę. Wreszcie przybył: słaby poblask, niepodobny do uczciwego poranka. Mallory zdążył wytrzeźwieć; gardło miał suche, głowę jak wypchaną bawełną strzelniczą. Nic strasznego, jeśli tylko nie poruszał się gwałtownie, wysyłając jednak złowróżbne pulsacje bólu.

Zapalił świecę, znalazł swoją koszulę. Hetty przebudziła się i jęknęła. Patrzyła na niego. Włosy miała splecione i wilgotne, oczy wytrzeszczone, o wyrazie, który niemal go przestraszył. Uroczone, jakby powiedzieli w Sussex... magiczne.

– Nie wychodzisz jeszcze?

– Wychodzę.

– Dlaczego? Jest ciemno.

– Zawsze wstaję wcześniej. – Zastanowił się. – Dawne obozowe przyzwyczajenie Hetty parsknęła.

– Wracaj do łóżka, dzielny żołnierzyku. Nie bądź głuptasem. Zostań jeszcze trochę. Umyjemy się i zjemy śniadanie. Przyda ci się, prawda? Solidne, porządne śniadanie.

– Raczej nie. Już późno. Muszę iść, mam ważne sprawy. – Jak to późno? – Ziewnęła. – Jeszcze nawet nie świta.

– Późno. Jestem tego pewien.

– A co mówi Big Ben?

– Przez całą noc nie słyszałem Big Bena – uświadomił sobie nagle Mallory. – Rząd musiał go wyłączyć.

To chyba trochę przestraszyło Hetty.

– W takim razie francuskie śniadanie – zaproponowała. – Przyślą nam z dołu. Bułeczka, dzbanek kawy. Tanio.

Pokręcił głową.

Hetty zmrużyła oczy. Odmowa chyba ją zaskoczyła. Usiadła; łóżko zatrzeszczało. Poprawiła potargane włosy.

– Nie wychodź. Pogoda jest okropna. Skoro nie możesz spać, to chodź się kochać.

– Chyba już nie dam rady.

– Wiem, że mnie lubisz, Neddie. – Uniosła wilgotną od potu kołdrę. – Chodź, popieść mnie, a zobaczysz, że ci stanie.

Czekała odsłonięta.

Mallory nie chciał jej rozczarować. Podeszedł, poklepał jej piękne biodra, przesunął dłońmi po bujnej gładkości piersi. Dotyk jej ciała sprawiał rozkosz, ale penis – choć zadrżał – nie budził się.

– Naprawdę muszę iść – stwierdził.

– Uda się. Musisz tylko chwilę poczekać.

– Nie mogę zostać dłużej.

– Nie proponowałabym ci tego, gdybyś nie był taki miły – powiedziała wolno Hetty. – Ale mogę sprawić, że stanie ci od razu, jeśli tylko zechcesz. *Connaissez-vous la belle gamahuche?*

– A co to takiego?

– Cóż, gdybyś był z Gabrielle, nie ze mną, już byś wiedział. Zawsze to robiła ze swoimi dżentelmenami; mówiła, że szaleją za tym. Nazywają to gamahuszem, francuską rozkoszą.

– Chyba nie rozumiem.

– Ssanie penisa.

– Ach to... – Słyszał już takie określenie, ale tylko jako najohydniejsze z obraźliwych przekleństw. Nie spodziewał się, że znajdzie się w sytuacji, kiedy coś takiego może zostać wykonane jako akt fizyczny. Skubnął brodę. – Aha... Ile by to kosztowało?

– Niektórym nie zrobiłabym tego za żadną cenę – zapewniła. –

Ale lubię cię, Ned, i dla ciebie mogłabym zrobić.

– Za ile? Mrugnęła.

– Dziesięć szylingów? pół funta...

– Raczej nie – odparł.

– Niech będzie pięć szylingów, pod warunkiem, że tam nie skończysz. Ale musisz mi to obiecać. Poważnie.

Implikacje tej propozycji przejęły go dreszczem niesmaku.

– Nie, nie zależy mi na tym. Zaczął się ubierać.

– A przyjdiesz jeszcze? Kiedy znów mnie odwiedzisz?

– Wkrótce.

Westchnęła, wiedząc, że kłamie.

– No dobrze. Idź, skoro musisz. Ale posłuchaj, Neddie.

Wiem, że mnie polubiłeś. Co prawda, nie mogę sobie przypomnieć twojego nazwiska, ale wiem, że widziałam w gazetach twój portret. Jesteś sławnym uczonym i masz sporo pieniędzy. Mam rację, prawda?

Mallory nie odpowiedział.

– Taki człowiek jak ty może wpaść w kłopoty, jeśli trafi w Londynie na nieodpowiednią dziewczynę – mówiła szybko. – Ale z Hetty Edwardes jesteś bezpieczny jak sejf. Chodzę tylko z dżentelmenami i jestem bardzo dyskretna.

– Nie wątpię w to – zapewnił Mallory, ubierając się pośpiesznie.

– We wtorki i czwartki tańczę w Teatrze Pantaskopii przy Haymarket. Przyjdiesz mnie zobaczyć?

– Jak tylko będę w Londynie.

Zostawił ją wtedy i po omacku wyszedł na korytarz. Biegając niemal po schodach, zdarł sobie skórę z łydki o pedał czyjegoś przypiętego łańcuchem bicykla.

* * *

Niebo nad Hartem nie przypominało niczego, co Mallory w życiu oglądał. A jednak poznał je – nawiedzało jego myśli: niska kopuła pełna wybuchowych nieczystości, ociekająca zabójczym pyłem. Niebo, które było zwiastunem Katastrofy.

Szara plama słońca podpowiedziała mu, że jest koło ósmej. Świt przyszedł, ale nie przyniósł dnia. Był pewien, że takie właśnie niebo oglądały lądowe Lewiatany po wstrząsającym planetą uderzeniu Wielkiej Komety. Dla okrytych łuską stad, bezustannie przemierzających dziewicze dżungle, pędzonych uczuciem niezaspokojonego głodu w ich ogromnych, przypominających kadzie fermentacyjne żołądkach, musiało to być niebo Armageddonu. Burze Katakizmu przeorywały ziemię epoki kredy, szalały pożary, pył wzbity uderzeniem komety opadał we wrzącej atmosferze, by zniszczyć i zabić więdnące listowie. Aż wreszcie potężna Dinozauria, zaadaptowana do świata, który się rozpadał, runęła w otchłań masowej zagłady. Maszynaria ewolucji ruszyła pośród chaosu, by zapłodnić martwą Ziemię nowymi gatunkami.

Szedł przez Flower-and-Dean Street, oszołomiony i męczony kaszlem. Widział nie dalej niż na trzydzieści stóp przed sobą, gdyż w zaułku kłębiła się gęsta żółta mgła i oczy łzały od jej kwaśnego zapachu.

Bardziej dzięki szczęściu niż w sposób zamierzony wyszedł na Commercial Street, zwykle zatłoczoną i gwarną. Dziś była pusta, a na gładkim asfalcie leżały tylko stosy odłamków szkła ze sklepowych witryn.

Minął jedną przecnicę, potem następną. Chyba żadna wystawa nie pozostała nienaruszona. Wyrwane w bocznych zaułkach baikowce musiały tu latać na wszystkie strony jak deszcz meteorów. Zdawało się, że trąba powietrzna spustoszyła sklep spożywczy, pozostawiając na ulicy głębokie po kostki zaspy mąki i cukru. Mallory wymijał rozbite kapusty, zgniecione śliwki, stłuczone słoje brzoskwiniowych konfitur i skopane piłki wędzonych szynek. Plamy wilgotnej mąki wskazywały na podeszwy męskich trzewików,

małe bose stopy uliczników, kształtne ślady damskich bucików i zamiatających ziemię sukien.

Z mgły wynurzyły się cztery niewyraźne postacie: trzy męskie i kobieca, wszystkie porządnie ubrane, wszystkie starannie zamaskowane grubą tkaniną. Na jego widok cała czwórka natychmiast przeszła na drugą stronę. Szli wolno, niespiesznie, rozmawiając ściszonymi głosami.

Mallory maszerował dalej, do wtóru zgrzytającego pod obcasami szkła. Garderoba Męska Meyera, Galanteria Petersona, Paryska Pralnia Pneumatyczna LaGrange'a... wszystkie demonstrowały rozbite witryny i drzwi powyrywane z zawiasów. Frontony zostały gęsto obrzucone kamieniami, ceglami i surowymi jajami.

Pojawiła się kolejna zwarta grupa przechodniów: mężczyźni i chłopcy. Niektórzy pchali wyładowane taczki, choć wyraźnie nie byli sprzedawcami. W maskach sprawiali wrażenie zmęczonych, oszołomionych, poważnych... Jakby uczestniczyli w pogrzebie. W swym powolnym marszu przystanęli przed rozbitym warsztatem szewca i z gasnącym entuzjazmem padlinożerców przebierali w rozrzuconych butach.

Mallory uświadomił sobie, że okazał się głupcem. Kiedy bezrozumnie marnował czas, Londyn dostał się we władzę anarchii. Powinien być teraz w Sussex, z rodziną. Powinien szykować się do ślubu małej Madeline, oddychać czystym wiejskim powietrzem, cieszyć się towarzystwem siostr i braci, porządnym domowym jedzeniem i przyzwoitymi, prostymi napitkami. Nagle ogarnęła go nostalgia; nie pojmował, jaki to chaotyczny amalgamat żądy, ambicji i okoliczności rzucił go w to straszne i groźne miejsce. Ciekawe, co teraz porabiają jego krewni. A właściwie, która jest godzina?

Przypomniawszy sobie zegar Madeline. Okuta mosiądzem skrzynka mieszcząca prezent ślubny dla siostry, spoczywała spokojnie w sejfie Pałacu Paleontologii, poza jego zasięgiem. Pałac wznosił się o siedem mil od Whitechapel. Siedem mil chaosu.

Z pewnością istnieje jakaś droga powrotna, jakiś sposób pokonania tej odległości. Ciekawe, czy jeżdżą choćby niektóre pociągi metra albo omnibusy. Może dorożka? Konie udusiłyby się w tej paskudnej mgle. Pozostały mu tylko własne nogi. Zapewne głupotą będzie próba przejścia przez cały Londyn; zapewne rozsądniej byłoby ukryć się niczym szczur w jakiejś zacisznej piwnicy i czekać, aż katastrofa przetoczy się górą. A jednak Mallory poczuł, że niemal odruchowo prostuje ramiona, a nogi podążają naprzód jakby z własnej woli. Nawet pulsujący ból głowy zaczął mijać, gdy tylko skoncentrował umysł na celu. Z powrotem do Pałacu. Z powrotem do życia!

– Hej tam! Na ulicy! Proszę pana!

Wołanie rozbrzmiewało echem nad głową niby głos nieczystego sumienia. Zdziwiony spojrzawszy w górę.

Z okna drugiego piętra, nad sklepem Braci Jackson, Kuśnierzy i Kapeluszników, sterczała czarna lufa strzelby. Za nią Mallory dostrzegł łysiejącą głowę w okularach, zapewne subiekta.

Tamten wychylił się, odsłaniając pasiastą koszulę i czerwone szelki.

– W czym mogę pomóc? – To zdanie wyrwało się Mallory’emu odruchowo.

– Bardzo będę wdzięczny! – krzyknął subiekt. Głos mu się łamał. – Drogi panie, zechciej łaskawie spojrzeć na nasze drzwi. Tu obok, pod schodami. Może tam leżeć ktoś ranny.

Mallory skinął ręką i podszedł do wejścia sklepu. Podwójne drzwi były całe, choć mocno poobijane i poplamione jankami. Młody człowiek w pasiastej marynarskiej koszulce i szerokich u dołu spodniach leżał pod nimi twarzą w dół, z żelaznym łomem w ręku.

Mallory chwycił za rękaw szorstkiej marynarskiej bluzy i przewrócił go na plecy. Zobaczył, że kula przebiła mu krtań. Był martwy. Uderzenie o bruk skrzywiło mu nos i nadało dziwaczny wygląd bezkrwistej twarzy – jakby pochodził z jakiejś bezimiennej krainy pływających po morzach albinosów.

Mallory wyprostował się.

– Zastrzelił go pan! – krzyknął.

Wyrażnie wzburzony subiekt zakaszał głośno i nie odpowiedział.

Za plecionym pasem martwego marynarza Mallory zauważył drewnianą kolbę rewolweru. Wyjął broń: była obcej produkcji, z masywnym bębenkiem z dziwnymi nacięciami i wgłębieniami. Pod cuchnącą czarnym prochem długą ośmiokątną lufą umieszczono coś w rodzaju tłoka. Mallory zerknął na drzwi sklepu. Najwyraźniej szturmował je cały tłum – uzbrojona tłuszcza, gotowa do najgorszych występów. Łajdacy musieli uciec, kiedy zginął marynarz.

Wrócił na ulicę i machnął rewolwerem.

– Zbój był uzbrojony! – zawołał. – Dobrze pan zrobił...

Kula ze strzelby subiekta wzbila fontannę kurzu na cementowym stopniu, a rykoszet o włos minął Mallory’ego.

– Na rany boskie, uważaj, durniu jeden! – ryknął. – Przestań natychmiast!

Przez chwilę panowała cisza.

– Przepraszam, sir! – krzyknął wreszcie subiekt.

– Co pan wyprawiasz, do diabła?

– Powiedziałem, że przepraszam! Ale lepiej niech pan odrzuci ten rewolwer, sir!

– Akurat! – wrzasnął Mallory i wcisnął broń za pasek spodni. Chciał zażądać, żeby subiekt zszedł na dół i przykrył czymś zabitego, zrezygnował jednak. Sąsiednie okna uchyliły się nagle, ukazując kolejne cztery lufy wysunięte w obronie majątku braci Jackson.

Mallory cofnął się, pokazując puste dłonie. Próbował się uśmiechnąć. A kiedy mgła wokół niego zgęstniała, odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Dalej szedł już ostrożniej, trzymając się środka ulicy. Znalazł podeptaną koszulę i małym zębatym ostrzem swojego sheffieldzkiego noża odciął z niej rękaw. Zrobił z niego maskę.

Obejrzał rewolwer marynarza; wyjął z bębena pocerniałą łuskę. Pozostało jeszcze pięć naboń. Broń była nieporęczna i nierówno oksydowana, choć mechanizm wykonano

przyzwocie i dokładnie. Na boku ośmiokątnej lufy odczytał wybite niewyraźnie litery: BALLESTERMOLINA. Poza tym nie znalazł żadnych oznaczeń.

Dotarł do Aldgate High Street. Pamiętał tę ulicę z nocnego spaceru w towarzystwie Hetty od przystani przy London Bridge. Teraz wyglądała jeszcze bardziej niesamowicie niż nocą. W wyniku jakiegoś zawirowania chaosu, tłuszcza dotąd jej nie ruszyła.

Rytmiczny dźwięk gongu rozległ się we mgle za jego plecami. Odskoczył; obok przemknął pod pełną parą wóz straży pożarnej; czerwone burty były wgięte i poobijane. Londyński tłum brutalnie zaatakował strażaków... Zaatakował wyszkolonych ludzi i maszyny broniące miasta przed ogniem. Uderzyło to Mallory'ego jako przykład perwersyjnej głupoty, jednak nie zdołało go zdziwić. Zmęczeni strażacy stali na stopniach powozu; na twarzach mieli dziwaczne gumowe maski z błyszczącymi szkłem otworami na oczy i żebrowanymi rurami do oddychania. Mallory żałował, że nie ma takiej dla siebie; oczy mu łzawiły i mrużył powieki jak pirat w pantomimie. Wciąż jednak szedł dalej.

Aldgate przeszła w Fenchurch, Lombard, potem Poultry Street, a wciąż całe mile dzieliły go od celu, jeśli celem można nazwać Pałac Paleontologii. Kręciło mu się i dudniło w głowie od wczorajszej marnej whisky i dzisiejszego jeszcze gorszego powietrza. Znalazł się chyba bliżej Tamizy, gdyż pojawiły się wilgotne, lepkie opary. Czul mdłości.

Przy Cheapside leżał przewrócony na bok miejski omnibus. Wszystkie okna były wybite, a z wozu został jedynie wypalony szkielec. Mallory miał nadzieję, że wewnątrz nikt nie zginął. Dymiący wrak zbyt cuchnął, by miał ochotę przyglądać się dłużej.

Na dziedzińcu katedry św. Pawła zobaczył ludzi. Powietrze było tu nieco czystsze i można było dostrzec kopułę. Pod drzewami zebrała się spora grupa mężczyzn i chłopców. Mallory za zdumieniem odkrył, że grają w kości na stopniach arcydzieła Wrena.

Kawałek dalej Cheapside została zablokowana przez grupki zapalonych i gorliwych graczy. Kręgi tych nicponi obsiadły chodniki po obu stronach. Mężczyźni klęczeli, by pilnować rosnących stosów monet i banknotów. Ich przywódcy, twardzi cockneye o zmrużonych oczach, którzy zdawali się materializować z zakrzepłego londyńskiego Fetoru, krzyczeli głośno i chrapliwie:

– Szyling na wejście! Kto spróbuje? Kto spróbuje, chłopcy?

Z kręgów graczy dobiegały tryumfalne okrzyki wygrywających i stłumione przez maski gniewne pomruki.

Na każdego grającego przypadało trzech, którzy tylko się przyglądali. Wszystko to sprawiało wrażenie ulicznego karnawału, cuchnącej i przestępczej, ale przecież londyńskiej zabawy. Wokół nie było śladu policji, żadnej władzy, żadnego poczucia przyzwitości. Mallory przeciskał się czujnie przez niebyt gęsty tłum, z dłonią na rękojeści zdobycznego rewolweru. W bocznym zaułku dwaj zamaskowani mężczyźni kopali trzeciego. Potem zabrali mu zegarek i portfel. Przynajmniej dziesięć osób przyglądało się temu z minimalnym tylko zainteresowaniem.

Ci londyńczycy są jak gaz, myślał Mallory. Jak obłok maleńkich atomów. Więzy społeczne pękły i po prostu rozproszyli się, niczym te doskonale sprężyste kulki gazu, o których mowa w prawach fizycznych Boyle'a. Większość, sądząc po strojach, wyglądała na szacownych obywateli; teraz nie dbali o nic, gdyż Chaos zredukował ich aż do moralnej pustki. Większość nie widziała jeszcze nigdy niczego choćby trochę podobnego do tych wydarzeń. Nie poznali żadnych norm pozwalających na ocenę i porównanie. Stali się marionetkami własnych prymitywnych impulsów.

Jak Cheyennowie z Wyoming, tańczący w diabelskim uścisku alkoholu, tak i obywatele cywilizowanego Londynu poddali się pierwotnemu szaleństwu. A rozpoznawszy na ich twarzach wyraz zdziwionej błogości, Mallory doszedł do wniosku, że im to odpowiada. Bawili się doskonale. Dla nich była to rozkosz, niegodziwa swoboda, jakiej jeszcze nie zaznali.

Za plecami tłumu, na nietykalnym dotąd ceglanym murze Paternoster Row, ktoś nakleił rząd krzykliwych afiszów. Były to reklamy najtańsze i niemal wszechobecne, nękające wzrok w całym Londynie: MAGNETYCZNE PIGUŁKI OD BÓLU GŁOWY PROFESORA REDBOURNE'A; PŁATY DORSZA U BEARDSLEYA; NAJLEPSZA SODA LITOWA MCKESSONA & ROBBINSA, MYDŁO DO ZĘBÓW ARNICA... I plakaty teatralne: MADAME SCAPIGLIONI u Saville'a przy Leicester Square, VAUXHALL – SYMFONIA PANMELODIONOWA... Przedstawienia, myślał Mallory, które z pewnością nigdy nie dojdą do skutku. I rzeczywiście, afisze naklejono z pospieszną niedbałością, w rezultacie czego pomarszczył się papier. Świeży klej wyciekał spod nich strumykami białej mazi. Ten widok zaniepokoił Mallory'ego, choć nie umiałby wyjaśnić dlaczego.

Ale pośród tych zwykłych afiszów, przyklejony, jakby właśnie tam było jego miejsce, tkwił jeszcze jeden, potrójnej szerokości, rozmiarów końskiej derki, wydrukowany maszynowo i pofałdowany od wilgotnego kleju. Nawet farba drukarska wydawała się jeszcze wilgotna.

Jakiś obłęd...

Mallory stanął przed nim jak wryty, porażony prymitywnym szaleństwem afisza. Wydrukowano go w trzech kolorach: czarnym, czerwonym i brzydkim szaroróżowym, który wyglądał na mieszaninę dwóch pierwszych.

Szkarłatna kobieta z zawiązanymi oczami – Bogini Sprawiedliwości? – w rozmazanej szkarłatnej todze, wznosiła szkarłatny miecz z napisem LUDD nad głowami dwóch naszkicowanych tylko postaci, mężczyzny i kobiety przedstawionych jako popiersia. Król i królowa? A może lord i lady Byron? Szkarłatna bogini deptała wielkiego dwugłowego węża czy może smoka; na jego wijącym się cielsku wypisano: MERYTOKRACJA. Za boginią kontury londyńskich budowli stały w szkarłatnych językach płomieni, zaś niebo nad rozmaitymi zniekształconymi figurami wypełniały kłęby czarnego dymu. W górnym prawym rogu wisieli na szubienicy trzej ludzie: kapłani albo uczeni, w lewym pod brodatą gwiazdą

komety wymachiwała flagami i pikami jakobinów niewyraźna masa koślawych gestykulujących postaci, biegnących ku jakiemuś niewidocznemu celowi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Mallory przetarł piekące oczy. Na wielki prostokątny afisz naniesiono mnóstwo mniejszych obrazków, niczym kul na stół bilardowy. Tutaj bożek wiatru wydmuchiwiał chmurę podpisaną ZARAZA. Tam pocisk armatni, czy może bomba wybuchał w fontannie stylizowanych odłamków, a eksplozja odrzucała małe, czarne, niekształtne skrzaty. Trumna zasypana kwiatami miała na wieku pętlę. Naga kobieta przysiadła u stóp potwora: elegancko ubranego mężczyzny z głową gada. Małeńki człowiek w epoletach modlił się u stóp szubienicy, a kat w kapturze, z podwiniętymi rękawami, wskazywał szorstko na stryczek... Wszystkie te motywy łączyły chmury dymu, rozrzucone po obrazie jak grudy biota. Był także podpis, na samym dole: SIEDEM PLAG NIERZĄDNICY BABILONDYNU.

Babilondyn. Dlaczego babi? Jakie plagi i dlaczego akurat siedem? Cały plakat sprawiał wrażenie złożonego z przypadkowych fragmentów maszynowych obrazów. Mallory wiedział, że nowoczesne drukarnie mają specjalnie wydziurkowane karty, drukujące konkretne obrazy – całkiem jak za dawnych czasów gotowe drewniane bloki z wyciętymi literami. Przy tanich maszynowych wydrukach można było otrzymać ten sam zamówiony rysunek nawet w setkach egzemplarzy. Ale tutaj kolory były obrzydliwe, a obrazki wciśnięte tu i tam, jakby przez szaleńca. A co najgorsze, plakat miał chyba wyrażać – choć z trudem i niezbyt zrozumiale – coś, co było po prostu nie do pojęcia.

– Mówiłeś coś do mnie? – zapytał nagle mężczyzna stojący obok Mallory’ego.

Mallory drgnął zaskoczony.

– Nic – mruknął.

Mężczyzna spoglądał ponad ramieniem Mallory’ego: bardzo wysoki, chudy cockney, z brudnymi żółtymi włosami pod wielkim cylindrem. Chyba pijany, gdyż w oczach błyszczało mu szaleństwo. Twarz kryła się za tamponem z materiału w groszki. Ubrany był w brudne łachmany, tylko buty miał pewnie ukradzione – całkiem nowe. Cuchnął tygodniami nie mytego potu, odorem włóczęgostwa i obłędu. Przyjrzał się z uwagą afiszowi.

– Twoi przyjaciele, prezesie? – zapytał znowu.

– Nie – odparł Mallory.

– Wyłumacz mi, o co w tym chodzi. – Cockney nie ustępował. – Słyszałem, jak gadasz do siebie. Wiesz przecież, nie?

Ostry głos mężczyzny drżał, a kiedy odwrócił wzrok od afisza i popatrzył na Mallory’ego, w oczach zapłonął mu ogień nienawiści.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknął Mallory.

– Błuzni przeciwko Chrystusowi Zbawicielowi! – wychrypiał mężczyzna. Głos wzniósł się, zaciśnięta pięść zawisła w górze. – Na świętą krew Chrystusa, która zmyła grzechy nasze...

Sięgnął ku Mallory'emu. Ten odbił jego rękę.

– Zabijmy go! – zasugerował usłużnie anonimowy głos.

Te złośliwe słowa naładowały powietrze niczym butelkę lejdejską. Mallory i jego przeciwnik znaleźli się nagle w środku grupy ludzi. Nie byli już przypadkowymi częstkami, ale ogniskiem prawdziwych kłopotów. Wysoki cockney, możliwe, że popchnięty, wpadł na Mallory'ego. I zgiął się wpół od ciosu w dołek. Ktoś wrzasnął: piskliwy, radosny krzyk ścinający krew w żyłach. Ciśnięta bryła błota chybiła Mallory'ego i trafiła w afisz. I jakby na dany znak, nagle wybuchły krzyki, spadł grad uderzeń i ciosów.

Mallory odpychał atakujących i podskakiwał na deptanych stopach. W końcu wyrwał zza pasa rewolwer, skierował lufę w powietrze i nacisnął spust.

Nic. Czyjś łokieć trafił go mocno w żebra.

Kciukiem odciągnął kurek, nacisnął znowu. Huk był ogłuszający.

W ułamku sekundy tłum wokół niego zaczął topnieć. Napastnicy padali, kłębili się, odpełzali na czworakach w gwałtownej, zwierzęcej chęci ucieczki. Na oczach Mallory'ego deptano ludzi. Przez moment stał nieruchomo, wciąż trzymając nad głową rewolwer. Bawełniana maska kryła wyraz zdumienia na jego twarzy.

Powrócił mu zdrowy rozsądek. Wycofał się. Chciał wcisnąć bron za pasek i uciekać biegiem, ale z lękiem zauważył, że kurek jest odciągnięty, a rewolwer gotowy do strzału; wystarczyłby lekki nacisk. Odsunął od siebie zdradziecką broń na odległość ramienia.

Po długiej chwili zatrzymał się zmęczony. Za nim, stłumione przez mgłę, dobiegły strzały i zwierzęce wrzaski wściekłości, drwiny i uciechy.

– Wielki Boże – mruknął.

Zaczął oglądać mechanizm. Diabelska zabawka sama odwodziła iglicę, przenosząc część energii wybuchającego prochu na tłok pod lufą; ten z kolei wciskał nacinany bębenek na nieruchome koło, wsuwając do komory kolejny nabój i napinając kurek. Mallory chwycił broń, oburącz złapał za kurek i ostrożnie naciskał spust. Wreszcie zabezpieczył mechanizm i wsunął rewolwer za pasek.

Nie wyprzedził linii naklejanych afiszów. Wciąż ' ciągnęły się przed nim jak niewyczerpany strumień, w nierównym szeregu nalepiane jeden na drugim. Podążał za nimi pustą z pozoru ulicą. Gdzieś z daleka dobiegł trzask tłuczonego szkła i wybuchy chłopięcego śmiechu.

KLUCZE DORABIAMY TANIO, głosił plakat. Eleganckie PŁASZCZE PRZECIWDESZCZOWE dla INDII i KOLONII. Uczniów DROGISTÓW i APTEKARZY przyjmę.

Przed sobą usłyszał spokojny stuk końskich kopyt i zgrzyt kół. Po chwili z mgły wynurzył się powóz plakaciarza z wysokimi burtami oklejonymi krzykliwymi afiszami. Człowiek w masce i szarym płaszczu przeciwdeszczowym przytwierdzał do muru ociekający klejem papier. Mur chroniony był wysokim żelaznym parkanem, oddalonym jakieś pięć stóp

od cegieł, jednak mężczyźnie to nie przeszkadzało. Miał specjalną rolkę na długim kijku.

Mallory podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć. Plakaciarz zajęty pracą nawet nie odwrócił głowy. Afisz, ciasno nawinięty na czarnym gumowym wałku, został przyciśnięty do muru i wprasowany od dołu do góry. Jednocześnie plakaciarz wcisnął ręczny tłok w uchwycie urządzenia, wystrzeliwując strumienie gęstego białego kleju z dwóch rurek umocowanych na końcach wałka. Jeszcze jeden przejazd, żeby docisnąć afisz, i sprawa była skończona.

Wóz ruszył dalej. Mallory zbliżył się i obejrzał plakat, zachwalający upiększające działanie Mydła „Czysta Cera” Colgate’a.

Wóz jechał dalej. Plakaciarz zauważył Mallory’ego i chyba trochę się zezłościł, gdyż mruknął coś do woźnicy i powóz przyspieszył.

Mallory podążał za nim dyskretnie. Wóz przystanął na rogu Fleet Street, gdzie na płotach tradycyjnie wisiały wielkie plakaty londyńskich gazet. Teraz jednak nowy afisz zuchwałe przykrył reklamę *Fanfary Porannej*, potem kolejną, i kolejną.

Tym razem były to afisze teatralne. DR BENET Z PARYŻA miał wygłosić wykład o *Terapeutycznych własnościach snu akwaticznego*, TOWARZYSTWO FALANSTERII CHAUTAQUA Z SUSQUEHANNA zapraszało na sympozjum poświęcone *Filozofii społecznej zmarłego dra Coleridge’a*; był również *Wykład naukowy z kinotropem*, prezentowany przez DRA EDWARDA MALLORY’EGO.

Mallory zatrzymał się i uśmiechnął pod maską. EDWARD MALLORY! Musiał przyznać, że nazwisko dobrze się prezentowało w osiemdziesięciopunktowym maszynowym gotyku. Wielka szkoda, że wykład nie dojdzie do skutku, ale najwyraźniej Huxley – czy raczej ktoś z jego podwładnych – złożył zamówienie na afisze i nie zdołał go odwołać.

Szkoda, pomyślał Mallory. Z nową sympatią popatrzył na odjeżdżający powóz. EDWARD MALLORY. Chętnie zatrzymałby ten afisz na pamiątkę; pomyślał nawet, by zerwać go z muru, lecz zniechęciły go zacieki kleju.

Przyjrzał się dokładniej, w nadziei, że zapamięta tekst. Druk nie był tak doskonały, jak powinien: tu i tam czarne litery miały na krawędziach ślady czerwieni, jakby nie wyczyszczono należycie zabrudzonych czerwonym tuszem igieł drukujących.

„Muzeum Geologii Praktycznej przy Jermyn Street ma zaszczyt zaprosić Publiczność Londyńską na jedyne dwa pokazy DRA EDWARDA MALLORY’EGO. Dr Mallory, członek Towarzystwa Królewskiego i Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, zaprezentuje emocjonującą historię odkrycia słynnego ŁĄDOWEGO LEWIATANA w dzikim Wyoming; swoje teorie o jego środowisku, obyczajach i odżywianiu; swoje spotkania z dzikimi INDIANAMI Cheyenne; szczegóły SMUTNEGO i OHYDNEGO MORDU swego rywala, PROFESORA RUDWICHA; Sekrety Profesjonalnego Hazardu, w szczególności WALK SZCZURÓW, zostaną wyjawione chętnym poznania METOD OBSTAWIANIA; następnie zobaczymy wysoce zmysłowy TANIEC 7 WELONÓW w wykonaniu grupy panien Mallory, opowiadających o swym wprowadzeniu w SZTUKĘ MIŁOŚCI. Wstęp tylko dla Panów;

Cena 2 szyl. 6 p. Pokazowi towarzyszyć będzie znakomita kinotropia pana KEETSA”.

Mallory zgrzytnął zębami i ruszył biegiem. Wyprzedził jadący wolno powóz i oburącz złapał muła za uzdę. Zwierzę potknęło się i zatrzymało, parskając. Brudny łeb miało owinięty płócienną maską przerobioną z worka na obrok.

Woźnica krzyknął głośno zza czarnej od sadzy maski. Zeskoczył z kozła i machnął groźnie drewnianą pałką.

– Hej, ty! Puszczaj! – zawołał. – Nie żartuj, chłopie, i spływaj stąd...

Głos cichł z wolna, gdy mężczyzna wzrokiem oceniał Mallory’ego. Rytmicznie uderzał pałką o otwartą dłoń.

Drugi plakaciarz wybiegł zza powozu i stanął obok kolegi, niby widły trzymając wałek na długiej rączce.

– Proszę nam nie przeszkadzać – odezwał się woźnica. – Nie robimy przecież nic złego.

– Właśnie że robicie! – ryknął Mallory. – Skąd, łajdaki, wzięliście te afisze? Gadać mi tu natychmiast!

Wyższy z plakaciarzy groźnie machnął swoim kapiącym od kleju wałkiem.

– Londyn jest dzisiaj otwarty dla każdego! Nie podoba ci się, że lepimy nasze arkusze, to spróbuj się z nami!

Jedna z wielkich tablic ogłoszeniowych na burcie powozu otworzyła się ze zgrzytem zawiasów. Służyła widać za drzwiczki, gdyż przez otwór wyskoczył z wnętrza tęgi, łysiejący mężczyzna. Był ubrany w obcisłą czerwoną kurtkę i kraciaste spodnie wciśnięte w cholewy skórzanych butów. Miał gołą głowę i okrągłą, rumianą twarz nie osłoniętą maską. Ku zdumieniu Mallory’ego, palił wielką, dymiącą fajkę.

– Co się tu dzieje? – zapytał spokojnie.

– Jakiś zbój, sir! – wyjaśnił woźnica. – Jakiś goryl, nasłany przez Indora!

– Jak to? Sam? – zdziwił się grubas, unosząc lekko brwi. – Coś tu się nie zgadza. – Zmierzył Mallory’ego wzrokiem. – Wiesz, kim jestem, synu?

– Nie. A kim jesteście?

– Jestem tym, którego nazywają Królem Plakaciarzy, mój chłopcze. Musisz być całkiem zielony w tym fachu, jeśli tego nie wiesz.

– Nie zajmuję się waszym fachim. Ja, drogi panie, jestem doktorem Edwardem Mallorym.

Grubas skrzyżował ramiona i zakołysał się na piętach. – I co?

– Przed chwilą nalepiliście plakat, który mnie zniesławia.

– Aha – mruknął Król. – Więc tu cię boli... – Uśmiechnął się z wyraźną ulgą. – No cóż, to już nie moja sprawa, doktorze Edwardzie Mallory. Ja je tylko rozlepiam. Nie drukuję ich i nie odpowiadam za nie.

– Nie będziecie więcej rozwieszać tych oszczerstw! – oznajmił Mallory. – Żądam oddania wszystkich pozostałych i chcę wiedzieć, skąd je wzięliście!

Dumnym gestem Król uspokoił swych gniewnych pomocników.

– Jestem człowiekiem zapracowanym, doktorze Mallory. Jeśli zechce pan wejść ze mną do powozu i porozmawiać jak człowiek rozsądny, wtedy może pana wysłucham. Ale nie mam czasu na krzyki ani groźby.

Przeszył Mallory’ego spojrzeniem swych błękitnych oczu.

– Hm... – Mallory był zaskoczony. Wiedział, że to on ma rację, ale spokojna riposta Króla stępiła ostrze jego gniewu; nagle poczuł się głupio i całkiem nie w swoim żywiole. – Naturalnie – wymruczał. – Chętnie.

– Bardzo dobrze. Tom, Jemmy, wracajcie do pracy.

Król zręcznie wspiął się do powozu.

Po chwili wahania Mallory poszedł w jego ślady i wsunął się do niezwykłego wnętrza. Nie było tu żadnych siedzeń; podłogę od ściany do ściany pokrywała miękka brązowa tapicerka, na podobieństwo tureckiej otomany. Wszystkie ściany przesłaniały półki z gładkiego drewna, gęsto wypełnione rolkami zwiniętych afiszów. Duża kłapa w suficie była otwarta i wpuszczała do środka przymgłone światło. Unosił się ostry zapach kleju i taniego czarnego tytoniu.

Król rozciągnął się wygodnie, wsparty na grubej, haftowanej poduszce. Woźnica strzelił z bata, muł zarżał, a powóz szarpnął i potoczył się wolno.

– Dżin z wodą? – zaproponował Król, otwierając szafkę.

– Czystą wodę, jeśli można.

– Czysta woda, wedle życzenia.

Król nalał z glinianego dzbanka do blaszanego kubka. Mallory ściągnął maskę pod brodę i wypił łączywie. Król nalał mu drugą porcję, potem trzecią.

– Może kropelkę cytryny do smaku? – mrugnął wesoło. – Mam nadzieję, że znasz pan swoje możliwości.

Mallory odchrząknął.

– Bardzo jestem wdzięczny.

Bez maski czuł się dziwnie obnażony. A ten przejaw uprzejmości w powozie Króla, w połączeniu z odorem kleju, gorszym chyba nawet niż smród Tamizy, całkiem go oszołomił.

– Żałuję., jeśli... tego... odezwałem się nazbyt ostro.

– Chłopcy są zapalczywi – odparł taktownie Król. – W naszym fachu człowiek musi czasem użyć pięści. Ledwie wczoraj moi chłopcy mieli gwałtowny spór ze starym Indorem i jego gorylami. Poszło o miejsce do nalepiania przy Trafalgar Square. – Król westchnął z niechęcią.

– Sam miałem poważne kłopoty w tych niezwykłych okolicznościach – zapewnił chrapliwie Mallory. – Ale zasadniczo jestem człowiekiem rozsądnym. Bardzo racjonalnym. Nie z tych, co szukają zwady. W to nie wiercie.

Król pokiwał głową.

– Nie słyszałem jeszcze, żeby Indor wynajął uczonego na goryla. A w was, mój panie, po stroju i manierach poznałem uczonego.

– Macie bystre oko.

– Chcę w to wierzyć. A teraz, skorośmy to sobie już wyjaśnili, może zechcecie mi wyjaśnić, o co macie do nas pretensje.

– Te afisze, które rozlepiacie, to fałszyfikaty. Oszczercze fałszyfikaty. Z całą pewnością nie są legalne.

– Jak już wcześniej tłumaczyłem, to nie moja sprawa – odparł Król. – Może wyjaśnię panu kilka faktów handlowych. Prosto z mostu. Za rozlepienie setki dwukoronowych afiszów dostają jednego funta i jednego szylinga. Inaczej mówiąc dwa i pięćdziesiąt dwie setne pensa za sztukę. Powiedzmy: trzy pensy dla równego rachunku. Jeśli za taką cenę zechcesz pan nabyć niektóre z moich plakatów, możemy pogadać o interesach.

– Gdzie są? – zapytał Mallory.

– Rozejrzyjcie się po półkach, a z pewnością je znajdziecie.

Kiedy woźnica zatrzymał powóz, żeby nakleić kolejne afisze, Mallory zaczął przeszukiwać zapasy. Rulony były ciasno zwinięte, ciężkie i twarde jak maczugi.

Król podał jeden z nich przez klapę w dachu. Potem spokojnie opróżnił cybuch fajki, nabił go z papierowej torebki, zapalił niemiecką zapalką. Po czym z zadowoloną miną wypuścił kłęb cuchnącego dymu.

– Tutaj są! – oznajmił Mallory. Odwinął z rulonu wierzchni afisz i machnął nim w powietrzu. – Co za okropieństwo! Z początku robi doskonałe wrażenie, ale tekst jest ohydny oszczerstwem!

– Standardowy rulon. Czterdzieści sztuk. To będzie dziesięć szylingów.

– Czytajcie. Przecież tutaj oskarżają mnie wprost o morderstwo.

Król uprzejmie obejrzał plakat. Poruszając wargami, odczytał tytuł.

– Ma Lory – powiedział po chwili. – To jeden z tych pokazów na lorach?

– Mallory! Tak się nazywam.

– Połówkowy format teatralny, bez ilustracji – stwierdził Król. – Druk trochę rozmazany... A tak, przypominam sobie. – Zaciągnął się dymem. – Mogłem przewidzieć, że nic dobrego nie wyniknie z tego zlecenia. Ale trzeba przyznać, że łajdak zapłacił z góry.

– Kto? Komu?

– Przy Limehouse, w dokach West India. Spore tam zamieszanie, doktorze Mallory. Te łobuzy zaklejają nowiutkimi afiszami wszystkie mury i płoty w okolicy. Od wczoraj. Moi chłopcy chcieli im wyjaśnić, że to nasz teren, ale kapitan Swing... tak kazał się nazywać... postanowił skorzystać z naszych usług.

Mallory poczuł strużki potu pod pachami.

– Kapitan Swing, tak?

– Sądząc po ubraniu, jakiś miłośnik sportów. Niski, rudy, wąskie oczy... Ma guza na

głowie, o tutaj. Zwariowany jak pluskwa, moim zdaniem. Ale zachowywał się grzecznie. Kiedy już wyjaśniliśmy mu reguły tego fachu, obiecał nie sprawiać kłopotów z afiszami. Wyglądał, jakby nie brakowało mu gotówki.

– Znam tego człowieka! – Głos Mallory’ego drżał. – To konspirator i luddyta. Możliwe, że najniebezpieczniejszy w całej Anglii!

– Co pan mówisz... – mruknął Król.

– Jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa publicznego!

– Nie wyglądał na groźnego. Taki śmieszny mały kogucik... Nosił okulary i gadał do siebie.

– Ten człowiek to wróg publiczny! Spiskowiec najgorszego rodzaju!

– Ja tam polityką się nie interesuję – oświadczył Król i rozparł się Wygodnie. – Przepisy Regulacyjne Rozwieszania Ogłoszeń... O, to jest polityka. Wariacki interes. Te przekłete przepisy bardzo sztywno określają, gdzie można naklejać afisze. Ale powiem panu, doktorze Mallory, że osobiście znam posła, który wprowadził tę ustawę do Parlamentu. Wynajął mnie do swojej kampanii wyborczej. I nie zależało mu, gdzie zawisną jego plakaty. Wszystko jedno, byle były jego.

– Wielki Boże! – przerwał mu Mallory. – Na samą myśl, że ten człowiek hula po Londynie, z pieniędzmi Bóg jeden wie z jakiego źródła... Wzbudzając zamieszki i podsycając rebelię podczas stanu zagrożenia! I ma do dyspozycji maszynową prasę drukarską! To koszmar! To potworne!

– Nie podniecaj się pan, doktorze – upomniął go łagodnie Król. – Mój ukochany ojciec, niech Bóg ma w opiece jego duszę, powtarzał mi często: „Kiedy wszyscy wokół tracą głowy, synu, ty pamiętaj, że cokolwiek się stanie, funt ma zawsze dwadzieścia szylingów”.

– To prawda – zgodził się Mallory. – Ale...

– Mój kochany tatuś rozlepił afisze w Ciężkich Czasach! Jeszcze w trzydziestych latach, kiedy kawaleria szarżowała na ludzi pracy, a stary hakonosy Wellington wyleciał w powietrze. To były czasy naprawdę ciężkie, mój panie, o wiele cięższe od dzisiejszych, z tym całym nieistotnym Fetorem. To ma być stan zagrożenia? Ja nazywam to okazją i korzystam z niej.

– Chyba nie rozumiecie powagi kryzysu...

– Ciężkie Czasy... Wtedy wydrukowali pierwsze czteroarkuszowe dwukoronówki! Rząd torysów płacił ojcu... a był on kościelnym i plakaciarzem parafii Św. Andrzeja w Holborn... żeby zamalowywał afisze radykałów. Musiał do tej pracy wynajmować kobiety, taki był na nią popyt. Za dnia zamalowywał, a nocą naklejał nowe. Kiedy trwa rewolucja, człowiekowi nadarza się wiele okazji.

Mallory westchnął.

– Tato wynalazł urządzenie, które nazywamy Patentowym Rozsuwanym Wysięgnikiem Klejącym. Ja także dokonałem w nim kilku mechanicznych udoskonaleń. Służy do nalepiania

afiszów pod mostami – dla statków. Jesteśmy przedsiębiorczą rodziną, drogi panie, i niełatwo zbić nas z pantałyku.

– Akurat się to wam przyda, kiedy Londyn zmieni się w stos popiołów... Przecież sami pomagacie temu draniowi w jego anarchistycznym spisku.

– Moim zdaniem jest całkiem odwrotnie, doktorze. – Król zachichotał. – Kiedy ostatnio go widziałem, to on płacił pieniądze do mojej kieszeni, nie *vice versa*. Właśnie sobie przypomniałem, że powierzył mi na przechowanie trochę afiszów... O tam, w górnym rzędzie.

– Wstał, ściągnął z półki papiery i rzucił je na podłogę. – Widzisz pan, to całkiem bez znaczenia, jakie bzdury wypisują i drukują. Prawda jest taka, że afisze są z samej swej natury nieskończone, regularne jak przyływ na Tamizie albo dym w Londynie. Prawdziwi synowie Londynu nazywają miasto „Dymnikiem”. Jest wieczne, jak Jerozolima czy Rzym, albo, jak niektórzy by powiedzieli, jak szatańskie pandemonium. I nie zobaczysz pan, doktorze, żeby Król Plakacıarzy przejmował się zadymionym Londynem. O nie!

– Ale ludzie uciekają!

– Chwilowy obłęd. Wszyscy tu wrócą. Nie mają się gdzie podziać. Tutaj jest centrum świata, mój panie.

Mallory milczał.

– A zatem – dodał Król – jeśli chcesz pan posłuchać mojej rady, to zapłać pan dziesięć szylingów za ten rulon, który ściskasz w garści. Za funta dorzucę jeszcze resztę afiszów naszego przyjaciela kapitana Swinga. Dodatkowe dwadzieścia szylingów, doktorze, a możesz opuścić te ulice i odpocząć w domu.

– Niektóre zostały już naklejone – przypomniał Mallory.

– Mogę kazać chłopcom je zamalować. – Król zastanowił się. – A w każdym razie zalepić innymi. Jeśli tylko będzie im się to opłacało.

– A czy to zakończy sprawę? Szczerze wątpię.

– Na pewno lepiej, niż pan mógłbyś ją zakończyć tym pistoletem, który wystaje panu zza paska. Taki przedmiot nie przystoi dżentelmenowi i uczonemu.

Mallory nie odpowiedział.

– Posłuchaj pan mojej rady, doktorze Mallory, i schowaj pan tę armatę, zanim sam pan sobie zrobisz krzywdę. Mam wrażenie, że mógłbyś pan poranić moich chłopców. Na szczęście wypatrzyłem pistolet przez otwór w burcie i wyszedłem, żeby zaprowadzić porządek. Wracaj pan do domu i ostudź gorącą krew.

– A dlaczego wy nie siedzicie w domu, jeśli mnie to doradzacie?

– Bo to jest mój dom, drogi panie. – Król wsunął pieniądze Mallory’ego do kieszeni kurtki. – W ładne dni moja kobieta i ja pijamy tu herbatkę i rozmawiamy o dawnych czasach... o murach, nabrzeżach i płotach...

– Nie mam domu w Londynie. Zresztą interesy wzywają mnie do Kensingtonu – wyjaśnił Mallory.

- To spory kawałek, doktorze.
- Istotnie. – Mallory poskrobał się po brodzie. – Ale przyszło mi do głowy, że stoi tam wiele muzeów i pałaców nauki, których nigdy jeszcze nie dotknął papier afisza.
- Doprawdy? – zdziwił się Król. – Coś takiego...

* * *

Mallory pożegnał się z Królem o dobrą milę przed Pałacem Paleontologii. Nie mógł już dłużej wytrzymać w oparach kleju, a kołysanie powozu wywoływało mdłości. Wysiadł chwiejnie, ściskając w spoconych dłoniach ciężkie zwoje oszczerczych i anarchistycznych druków. Za jego plecami Jemmy i Tom gorliwie rozlepiali plakaty na dziewiczych ceglach murów Pałacu Ekonomii Politycznej.

Mallory oparł zrolowane afisze o rzeźbioną latarnię i zawiązał maskę na nosie i ustach. W głowie mu się kręciło. Być może, pomyślał, klej zawierał odrobinę arszeniku albo tusz miał w sobie jakąś mocno aromatyczną pochodną węgla. Był osłabiony i czuł się jak zatruty. Kiedy znów podniósł zwoje afiszów, papier marszczył się w spoconych palcach niczym skóra topielca.

Zdołał chyba pomieszać szyki wielogłowemu jak hydra spiskowi łajdaka. Ale to drobne zwycięstwo wydawało się niegodne uwagi w porównaniu z nieskończonymi na pozór rezerwami złośliwej pomysłowości Swinga. Mallory potykał się w ciemności, szarpany przez niewidzialne kły...

A jednak udało mu się zdobyć kluczowy dowód: łotr pojawił się znowu w dokach West India. Tak blisko, że mógłby niemal chwycić go za gardło, a jednocześnie tak daleko – to dosyć, żeby doprowadzić człowieka do obłądu.

Mallory potknął się o stosik końskiego nawozu, potem zarzucił sobie rulony na ramię. Czystą fantazją była myśl o bezpośredniej walce z hultajem – samotnie, bez pomocy. Ukrywał się o całe mile stąd... Całe mile ogarniętego chaosem Londynu. Mallory dotarł wprawdzie do Pałacu, ale musiał na to poświęcić niemal wszystkie siły.

Zmusił się do skupienia na najpilniejszych sprawach. Przede wszystkim odda te przekłete afisze do pałacowego sejfu. Kiedyś mogą się przydać jako dowód. Postawi je w miejscu ślubnego prezentu Madeline. Potem znajdzie jakiś sposób, żeby wyrwać się z przekłętą Londynu; pojedzie do rodziny, co już dawno powinien uczynić. W zielonym Sussex znajdzie spokój, rozsądek i bezpieczeństwo. Przekładnie życia znowu zazębą się jak należy.

Rulony wysliznęły mu się i rozsypały na asfalcie; jeden mocno uderzył go w goleń. Pozbierał je, stęknął ciężko i spróbował zarzucić na drugie ramię.

W cuchnącej mgłę na Knightsbridge sunęła wolno jakaś procesja. Niewyraźne w oddali widma były chyba wojskowymi powozami, niskimi gąsienicowymi monstrami z wojny krymskiej. Mgła tłumiła ciężkie sapanie tłoków i słaby, nieustający brzęk stalowych ogni.

Przejeżdżały kolejno, a Mallory wyteżał wzrok, ściskając swoje brzemię. Każdy z powozów ciągnął na holu jakąś platformę. Ładunek wyglądał na okryte brezentem armaty; żołnierze przylgnęli do nich jak ostrzygi do skał, a bagnety na karabinach sterczały niczym kolce jeźowców. Przynajmniej dziesięć bojowych powozów, może i dwadzieścia. Mallory z niedowierzaniem przetarł załzawione oczy.

Przy Brompton Concourse zauważył trzech zamaskowanych mężczyzn w kapeluszach: wybiegli pospiesznie zza wyłamanych drzwi. Nie próbowali go zaczepiać.

Wejście do Pałacu Paleontologii zatarasowano drewnianymi kozłami. Jednak nikt nie pilnował barykady; Mallory bez trudu wyminął ją i po śliskich od wilgoci stopniach ruszył do głównego wejścia. Podwójne drzwi zasłonięto ochronną kotarą z nasyczonego wodą brezentu, zwisającą od stropu po mokrą posadzkę. Gruba wilgotna tkanina pachniała wapnem. Za kotarą drzwi były lekko uchylone. Mallory wsunął się do wnętrza.

Służący okrywali białym muślinem meble w holu i w salonie. Inni – dziwnie liczni – szorowali, zmywali i omiatali ściany. Były tu kobiety i sporo dzieci w różnym wieku. Krzatali się wszędzie w pożyczonych fartuchach pałacowej służby, przestraszeni, ale i trochę podnieceni.

Mallory uświadomił sobie nagle, że ci obcy to rodziny pracowników Pałacu, szukający schronienia i osłony w najwspanialszym znanym sobie budynku publicznym. Ktoś – zapewne Kelly, major-domus, z pomocą uczonych, jacy tu jeszcze zostali – organizował pracę uchodźców.

Mallory dźwignął swe papierowe brzemię i ruszył do recepcji. Widział tu solidnych przedstawicieli klas pracujących. Może i sytuowali się nisko na drabinie społecznej, ale byli Brytonami do szpiku kości. Nie dali się zastraszyć; instynktownie stanęli w obronie swoich naukowych instytucji i obywatelskich wartości prawa i porządku. Zrozumiał w patriotycznym uniesieniu, że oblęd chaosu osiągnął swoje granice i w szalejącym wirze pojawiło się jądro spontanicznego ładu. Teraz, jak w podlegającej procesowi krystalizacji mętnej cieczy, wszystko ulegnie zmianie.

Rzucił zniecierpliwiony ładunek na opuszczone biurko recepcjonisty. W kącie stukał nierówno telegraf, a dziurkowana taśma odwijiała się wolno na podłogę. Mallory zobaczył ten niewielki cud i odetchnął głęboko, jak nurek, który wysunął głowę nad wodę.

W Pałacu unosił się ostry zapach środka dezynfekcyjnego, ale powietrze było cudownie zdatne do oddychania. Mallory zerwał i twarzy brudną maskę i wcisnął ją do kieszeni. Gdzieś w tym błogosławionym sanktuarium znajdzie się pewnie jedzenie. Może też znajdzie miskę wody i mydło, a także proszek siarkowy na pchły, które *od* rana czuł na sobie. Jajka. Szynkę. Trochę wina. Znaczkę pocztową, pralnię, czyszczenie butów – całą boską, gęstą sieć Cywilizacji.

Jakiś obcy ruszył w stronę Mallory'ego: brytyjski żołnierz, podoficer artylerii w eleganckim galowym mundurze. Miał na sobie dwurzędowy niebieski frak, błyszczący od

naszywek, mosiężnych guzików i złocistych epoletów; wąskie spodnie zdobił czerwony wojskowy lampas. Żołnierz nosił na głowie okrągłą czapkę ze złotym otokiem, a przy jego białym pasie wisiała zapięta kabura. Wyprostowany jak struna, z wysoko podniesioną głową i surową miną, młody człowiek maszerował przez hol. Mallory wyprostował się szybko, trochę zaskoczony i nawet zawstydzony z powodu swego pomiętego, przeпоconego ubrania, które fatalnie się prezentowało w zestawieniu z wymuskany mundurem.

I nagle ogarnęła go radość.

– Brian! – wykrzyknął. – Brian, mój chłopcze!

Żołnierz przyspieszył kroku.

– Ned... To ty, prawda? – Radosny uśmiech przeciął krótką brodę brata. Chłopak oburącz uściskał Mallory'emu dłoń.

Mallory zauważył z satysfakcją, że wojskowa dyscyplina i naukowo opracowana dieta dobrze bratu posłużyły: zyskał parę cali wzrostu i parę funtów wagi. Brian Mallory, szóste dziecko w rodzinie, często sprawiał wrażenie cichego i nadto potulnego. Teraz jednak wyrósł na dobre sześć stóp cztery cale w wojskowych butach, zaś błękitne oczy sprawiały wrażenie, jakby niejedno już widziały.

– Czekaliśmy na ciebie, Ned – oświadczył.

Jakiś zapomniany instynkt sprawił, że dźwięczny głos zabrzmiał tonem z dzieciństwa. Dla Mallory'ego było to echo odległych wspomnień z czasów, kiedy jako najstarszy musiał się opiekować gromadką dzieciaków. I to znajome wezwanie sprawiło, że chwycił drugi oddech. Oszołomienie zniknęło; poczuł się silniejszy, pewny siebie. Sama obecność młodego Briana przywróciła mu siły.

– Niech mnie licho! – rzucił. – Jak dobrze znowu cię widzieć!

– Dobrze, że w końcu wróciłeś. Słyszeliśmy już o pożarze w twoim pokoju... Zniknąłeś gdzieś w Londynie i nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewasz. Nie wiedzieliśmy z Tomem, co począć.

– Tom też tu jest?

– Obaj przyjechaliśmy do Londynu tym jego powozikiem – wyjaśnił Brian. Spoważniał nagle. – Mamy złe wieści, Ned. I nie da się ich przekazać inaczej niż prosto w oczy.

– Co się stało? – Mallory przygotował się na najgorsze. – Czy... Czy to ojciec?

– Nie. Tato czuje się dobrze, a przynajmniej tak dobrze, jak to teraz możliwe. Chodzi o nieszczęsną Madeline!

– Tuż przed ślubem? – jęknął Mallory. – Co się stało?

– To przez mojego przyjaciela, Jerry'ego Rawlingsa – mruknął Brian. Wyprostował ramiona, wyraźnie zakłopotany i zasmucony. – Jeny naprawdę miał wobec naszej Madeline poważne zamiary. Ciągłe o niej mówił, Ned, i ze względu na nią dochowywał czystości. Ale w domu dostał list... taki list, Ned, taki ohydny, potworny list! Myślałem, że serce mu pęknie.

– Jaki list, na miłość boską?

– Nie był podpisany. Tylko „Ktoś, kto wie”. Ale nadawca naprawdę wiele wiedział o naszej rodzinie, o najdrobniejszych sprawach. I napisał, że Madeline... Madeline nie była cnotliwa. Tyle że bardziej wulgarnie.

Mallory poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Rozumiem – powiedział zduszonym głosem. – Mów dalej.

– Jak się pewnie domyślasz, zaręczyny zostały zerwane. Biedna Maddy, jak nigdy przedtem, dostała waporów. Myśleliśmy, że coś sobie zrobi... A teraz siedzi sama w kuchni i oczy wypłakuje.

Mallory milczał, przetrawiając w myślach informacje Briana.

– Długo byłem poza domem, w Indiach i na Krymie – podjął Brian z wahaniem. – Nie wiem, jak dokładnie stoją sprawy. Powiedz mi szczerze: czy myślisz, że było coś z prawdy w tym paskudnym liście do Jerry’ego?

– Co? Nasza Madeline? Boże święty, Brian, to dziewczyna Mallorych! – Mallory wałnął pięścią o kontuar. – Nie, to oszczerstwo. To świadomy, zdradziecki atak na honor naszej rodziny!

– Ale dlaczego... Jak ktoś mógł nam zrobić *coś* takiego? – zdumiał się Brian z wyrazem smutku i wściekłości jednocześnie.

– Wiem, dlaczego to się stało... I znam zbrodniarza, który tego dokonał.

Brian szeroko otworzył oczy.

– Znasz?

– Tak. To ten sam, który podpalił mój pokój. I wiem, gdzie się w tej chwili ukrywa!

Brian przyglądał mu się w zdumieniu.

– Uczyniłem sobie z niego wroga... – wyjaśnił Mallory, starannie dobierając słowa. – Chodzi o mroczną sprawę państwowej wagi.

Uzyskałem pewne wpływy, Brian, i odkryłem pewien sekret, tajemną intrygę, której taki człowiek jak ty, honorowy żołnierz Korony, na pewno by nie pochwalił.

Brian wolno pokręcił głową.

– Widziałem w Indiach pogańskie zbrodnie, od których twardych mężczyzn ogarniały mdłości – powiedział. – Ale zobaczyć coś podobnego w Anglii, to więcej, niż potrafię znieść!

– Skubnął swoje bokobrody gestem, który Mallory’emy wydał się dziwnie znajomy. – Wiedziałem, że słusznie robimy, przyjeżdżając do ciebie, Ned.

Jak nikt inny, potrafisz od razu dostrzec samo sedno problemu. Rozkazuj zatem! Co powinniśmy uczynić w tej strasznej sprawie? Co możemy zrobić?

– Nosisz w kaburze pistolet... Czy działa jak należy?

Oczy Briana błysnęły.

– Wyznam ci szczerze, że nie jest to broń regulaminowa. To wojenne trofeum, zabrane martwemu carskiemu oficerowi.

Zaczął odpinać kaburę.

Mallory pokręcił głową i rozejrzał się nerwowo po holu.

– Nie będziesz bał się go użyć, gdyby zaszła taka potrzeba?

– Bał się? Gdybyś nie był cywilem, Ned, bardzo byś mi się naraził. Mallory przyglądał się bratu z uwagą. Brian śmiało spojrzał mu w oczy.

– To dla rodziny, prawda? Po to walczyliśmy z Ruskimi... za bliskich, którzy zostali w domu.

– Gdzie Thomas?

– Poszedł coś zjeść do... Pokażę ci.

Brian zaprowadził brata do pałacowego salonu. W cichych salach, zajmowanych zwykle przez uczonych, teraz siedzieli hałaśliwi, rozgadani ludzie, na ogół robotnicy. Łapczywie jedli ziemniaki na pałacowej porcelanie. Młody Tom Mallory, modnie ubrany w krótką kurtkę i kraciaste spodnie, siedział z kimś przy stole nad resztkami smażonej ryby i lemoniadą.

Jego towarzyszem był Ebenezer Fraser.

– Ned! – zawołał Tom. – Wiedziałem, że przyjdiesz. – Wstał i przysunął jeszcze jedno krzesło. – Siadaj z nami, siadaj! Twój przyjaciel, pan Fraser, był tak uprzejmy, że zaprosił nas na lunch.

– Co u pana słyszać, doktorze Mallory? – zapytał z ponurą miną Fraser.

– Jestem trochę zmęczony – odparł Mallory, siadając przy stoliku. – Ale coś do jedzenia i hucule-buff postawią mnie na nogi. A co z panem, Fraser? W dobrym zdrowiu, mam nadzieję? – Zniżył głos. – I jakież to sprytne kłamstwa opowiadał pan moim braciom, jeśli wolno spytać?

Fraser milczał.

– Sierżant Fraser pracuje w londyńskiej policji – oznajmił Mallory. – Tej tajnej.

– Naprawdę? – wystraszył się Tom.

Kelner przecisnął się do ich stolika. Należał do stałej służby. Był wyraźnie zmęczony.

– Doktorze Mallory – powiedział przepraszającym tonem. – Pałacowa spiżarnia jest prawie pusta. Jeśli zgodzi się pan zjeść zwykłą rybę z ziemniakami...

– Doskonale. I gdybyś wymieszał mi hucule-buffa... Zresztą, mniejsza z tym. Przynieś kawy, mocnej i czarnej.

Fraser z melancholijną zadumą spoglądał za odchodzącym kelnerem.

– Musiał pan spędzić pracowitą noc – zauważył.

Brian i Tom obserwowali go z niechętnie i podejrzliwie.

– Odkryłem, że ten łajdak... to znaczy kapitan Swing... pojawił się znowu w dokach West India. Próbuje wzniecić powstanie!

Fraser zacisnął wargi.

– Ma maszynową prasę drukarską i bandę współników. Dziesiątkami i setkami drukuje wywrotowe dokumenty. Dziś rano skonfiskowałem kilka egzemplarzy... Obsceniczne, oszczercze, luddyczne kłamstwa!

– Bardzo się pan napracował.

– Niedługo wezmę się do poważniejszej pracy, Fraser. Zamierzam wytropić tego łotra i zakończyć całą sprawę!

Brian pochylił się w napięciu.

– To ten „kapitan Swing” napisał te kłamliwe oszczerstwa o naszej Maddy?

– Tak.

Tom wyprostował się na krześle, zaczerwieniony z emocji.

– Doki West India... Gdzie to jest?

– Za Limehouse Reach, po drugiej stronie Londynu – wyjaśnił Fraser.

– W takim razie nie ma na co czekać – oznajmił Tom. – Mam tu swojego *Zephyra*.

– Sprowadziłeś tu wyścigowy powóz Bractwa? – zdziwił się Mallory.

– Nie tamtego grata. – Tom pokręcił głową. – Mam tu najnowszy model. Istne чудо. Stoi w pałacowych stajniach. W ciągu przedpołudnia dowiózł nas tutaj z Sussex, a mógłby jechać jeszcze szybciej, – gdyby nie ciągnął przyczepy z węglem. – Roześmiał się. – Możemy dojechać, gdzie nam przyjdzie ochota.

– Nie traćmy głów, panowie – ostrzegł Fraser.

Zamilkli na chwilę. Kelner wprawnie ułożył na stole nakrycie. Na widok smażonej fladry i ziemniaków Mallory poczuł kurcze w żołądku.

– Jesteśmy wolnymi obywatelami Wielkiej Brytanii i możemy chodzić, gdzie tylko mamy ochotę – oświadczył stanowczo i natychmiast chwycił za sztućce.

– Mogę tylko stwierdzić, że to nierozsądne – odparł Fraser. – Na ulicach trwają zamieszki, a człowiek, którego szukacie, jest chytry jak żmija.

Mallory prychnął pogardliwie. Fraser był stanowczy.

– Doktorze Mallory, moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby nie spotkało pana nieszczęście. Nie mogę pozwolić, żeby drażnił pan gniazdo węży w najgorszym slumsie Londynu.

Mallory napił się gorącej kawy.

– Wie pan, że on chce mnie zniszczyć – oznajmił, patrząc Fraserowi prosto w oczy. – Jeśli nie skończę z nim teraz, kiedy jest szansa, będzie powoli rozrywał mnie na kawałki. Nie może pan nic zrobić, żeby mnie przed nim obronić. Ten człowiek nie jest podobny do mnie ani do pana, Fraser. On jest poza granicą człowieczeństwa.

Stawką jest życie lub śmierć: on albo ja. I wie pan, że to szczerą prawdą.

Argumenty wyraźnie poruszyły Fräsera. Tom i Brian, zaalarmowani wiadomościami odsłaniającymi prawdziwą przyczynę ich nieszczęść, spojrzeli na siebie niepewnie, po czym zwrócili gniewny wzrok na Fräsera.

– Nie działajmy pochopnie – rzekł z wahaniem policjant. – Kiedy mgła się rozwieje, powróci prawo i porządek...

– Kapitan Swing żyje we mgle, która nigdy się nie rozwiewa.

– Nie widzę sensu tej dyskusji, panie Fraser. – Brian machnął ręką.

– Świadomie wprowadził pan w błąd mnie i mojego brata! Nie mam powodu, by doceniać pańskie rady.

– Brian ma rację. – Tom obserwował inspektora z mieszaniną pogardy i podziwu. – Ten człowiek twierdził, że jest twoim przyjacielem, Ned. Razem z Brianem mówiliśmy o tobie bez skrepowania. A teraz próbuje nam rozkazywać! – Potrząsnął zaciśniętą pięścią, żyłastą i twardą od ciężkiej pracy. – Mam zamiar dać temu Swingowi szkołę! A jeśli w tym celu muszę zacząć od pana, panie Fraser, to jestem gotów!

– Ciszej, chłopcy – uspokoił braci Mallory; inni goście zaczęli już na nich zerkać. Powoli otarł wargi serwetką. – Szczęście nam sprzyja, panie Fraser – dodał cicho. – Zdobyłem dzisiaj rewolwer. A młody Brian także jest uzbrojony.

– Wielkie nieba... – mruknął Fraser.

– Nie boję się Swinga. Proszę nie zapominać, że powaliłem go na Derby. Przy spotkaniu sam na sam to tchórzliwy kundel.

– On siedzi w dokach, Mallory! Myśli pan, że lekkim krokiem przejdziecie przez obszar rozruchów w najgorszej dzielnicy Londynu?

– My, chłopcy Mallorych, nie jesteśmy elegancikami z jakiejś szkoły tańca! – oświadczył Mallory. – Myśli pan, że londyńscy nędzarze są groźniejsi od dzikich z Wyoming?

– Szczerze mówiąc, tak – odparł wolno Fraser. – O wiele groźniejsi, śmiem sądzić.

– Na rany boskie, Fraser! Skończ pan z tym urzędowym narzekaniem! Musimy wziąć się z tym upiorem za bary, a lepsza okazja już się nie zdarzy! W imię porządku i sprawiedliwości, proszę nas nie zatrzymywać!

Fraser westchnął.

– A przypuścimy, że podczas tej męskiej wyprawy zostanie pan schwytany w pułapkę i zamordowany, jak pański kolega Rudwick?

Co wtedy? Jak to wyjaśnię swoim przełożonym?

Brian przeszył inspektora stalowym wzrokiem żołnierza.

– Czy miał pan kiedy siostrę, panie Fraser? Czy patrzył pan, jak szczęście tej dziewczyny, zdeptane przez potwora, rozpryskuje się niby porcelanowy kubek? A wraz z jej złamanym sercem pęka szczerze serce krymskiego bohatera, którego jedynym celem było uczynienie jej swą żoną...

– Dość! – jęknął Fraser.

Brian umilkł, zniechęcony.

Fraser oburącz poprawił klapy surduta.

– Jak się zdaje, nadszedł czas, by podjąć ryzyko – rzekł, wzruszając ramionami. Skrzywił się lekko. – Odkąd pana spotkałem, doktorze Mallory, szczęście mi nie sprzyjało. Sądzę, że pora już to zmienić. – Oczy rozbliły mu nagle. – Kto śmie twierdzić, że nie zdołamy zapędzić śmierzdźla w ślepy zaułek? Aresztujemy go! Jest sprytny, ale czterech dzielnych

ludzi może zaskoczyć łajdaka znienacka, kiedy niczym jakobicki księżę przechadza się wśród nędzarzy Londynu. – Zmarszczył brwi i gniewnie wykrzywił usta. Był to zaskakująco straszny widok.

– Fortuna sprzyja mężnym – zauważył Brian.

– A Bóg opiekuje się głupcami – mruknął Fraser. Pochylił się, podciągając nogawki na kościstych kolanach. – To poważna sprawa, panowie. Nie zabawa dla amatorów. Groźna sprawa. Bierzemy we własne ręce prawo, nasze życia i nasz honor. Jeśli mamy tego dokonać, musimy działać w najgłębszej, nienaruszalnej tajemnicy.

Czując, że zwycięża, Mallory przemówił z zapalem, który jego samego zaskoczył.

– Moi bracia i ja szanujemy pańskie doświadczenie, sierżancie Fraser. Jeśli poprowadzi nas pan ku triumfowi sprawiedliwości, chętnie staniemy na pańskie rozkazy. Nie musi pan wątpić w naszą dyskrecję i nasze poświęcenie. Stawką jest święty honor naszej ukochanej siostry.

Tom i Brian byli wyraźnie zdumieni tą nagłą zmianą kursu; obaj pozostawali nieufni wobec policjanta. Jednak obietnica Mallory’ego nie wywołała ich protestów. Poszli za przykładem starszego brata.

– Nie zdradzę niczego – obiecał Tom. – Raczej zgine.

– Mam nadzieję, że słowo brytyjskiego żołnierza ma swoją wagę – dodał Brian.

– W takim razie spróbujemy – rzekł Fraser fatalistycznym tonem.

– Muszę rozpaść pod kotłem *Zephyra*. – Tom wstał z krzesła. – Moje cudo potrzebuje pół godziny od zimnego startu.

Mallory skinął głową. Miał zamiar dobrze wykorzystać każdą minutę tego czasu.

* * *

Przed Pałacem Mallory – umyty, uczesany i posypyany proszkiem na pchły – wsiadł na drewnianą przyczepę z węglem. Pod opływową skorupą *Zephyra* ledwie znalazło się miejsce dla dwóch osób. Zajęli je Tom i Fraser, którzy dyskutowali teraz, pochyleni nad planem londyńskich ulic.

Brian udeptał sobie siedzisko na luźnym brezencie, narzuconym na malejący stos węgla.

– Te nowoczesne powozy zużywają sporo paliwa – zauważył ze stoickim spokojem. Usiadł naprzeciw Mallory’ego. – Tom naprawdę uwielbia tę maszynę; przez całą drogę z Lewes opowiadał mi o *Zephyrach*.

Powóz ruszył wolno; ogumione drewniane koła przyczepy skrzypiały rytmicznie. Z rosnącą prędkością potoczyli się Kensington Road. Brian strzepnął iskrę z nienagannie gładkiego rękawa.

– Załóż maskę – poradził Mallory, wręczając bratu jedną z tych, które w Pałacu szyły kobiety: pikowany kwadrat płótna wypchany taną konfederacką bawełną.

Brian wciągnął powietrze.

– Nie jest tak źle.

Mallory starannie zawiązał tasiemki własnej maski.

– Na dłuższą metę, mój chłopcze, miazmaty źle wpływają na zdrowie.

– To nie w porównaniu ze smrodem na wojskowym statku transportowym. – Pod nieobecność Frasera Brian czuł się swobodniej.

– Znowu stał się bardziej chłopakiem z Sussex, mniej zaś surowym młodym podoficerem.

– Dym węglowy z maszynowni, na prawo i lewo chłopcy rzygający swoimi racjami... Płynęliśmy prosto z Bombaju przez ten nowy francuski kanał. Całe tygodnie tkwiłszy wewnątrz piekielnego transportowca! Wściekły egipski upał, a potem prosto w objęcia krymskiej zimy. Jeśli wtedy nie powaliła mnie cholera ani czwartaczka, to nie będę się przejmował jakąś londyńską mgiełką.

– W Kanadzie często o tobie myślałem – odezwał się Mallory. – Zaciągnąłeś się na pięć lat, a tu wojna... Ale wiedziałem, że nie przyniesiesz nam wstydu, Brian. Wiedziałem, że spełnisz swój obowiązek.

– My, chłopaki Mallorych, rozjechaliśmy się po całym świecie – stwierdził filozoficznie Brian. Głos miał spokojny, ale zarumienił się, słysząc pochwałę brata. – A gdzie jest teraz Michael? Gdzie poczciwy stary Mickey?

– W Hong Kongu, o ile wiem. Z pewnością byłby tu dzisiaj z nami, gdyby szczęśliwy los sprowadził jego statek do angielskiego portu. Nigdy nie wymigiwał się od porządnej walki.

– Po powrocie widziałem Ernestinę i Agathę – rzekł Brian. – A także ich maluchy. – Nie wspomniał o Dorothy. W rodzinie nikt już nie wspominał Dorothy. Brian przesunął się na brezencie, zerkając czujnie na blanki naukowych pałaców. – Nie lubię walk ulicznych – wyznał. – Tylko wtedy Ruscy potrafili nam rzeczywiście dokuczyć: na ulicach Odessy. Przekradali się od domu do domu, strzelali z ukrycia jak bandyci. To nie była cywilizowana wojna.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie stanęli uczciwie do bitwy, twarzą w twarz?

Brian spojrzał na niego zaskoczony, po czym parsknął jakimś dziwnym śmiechem.

– Z początku próbowali, pod Almą i Inkermann. Ale spuściliśmy im takie lanie, że zwyczajnie wpadli w panikę. Możesz uznać, że jest w tym też moja zasługa, Ned. To znaczy Artylerii Królewskiej.

– Coś podobnego – mruknął Mallory.

– Jesteśmy najbardziej naukową formacją. Nasi wojskowi radykałowie kochają artylerię.

– Brian zwilżył śliną palec i zgasił kolejną iskrę z komina. – To szczególnie uczeni! Zamyśleni, z okularami na nosach i liczbami w głowach. Nigdy nie widzieli nagiej szabli ani bagnetu. Zresztą, wcale nie trzeba oglądać takich rzeczy, żeby wygrać nowoczesną wojnę. Najważniejsze są trajektorie i czas opóźnienia zapalników.

Brian podejrzliwie obserwował dwóch idących ulicą mężczyzn w luźnych płaszczach.

– Ruscy robili co mogli. Potężne reduty pod Redanem i Sewastopolem... Kiedy wypaliły nasze ciężkie działa, ich bunkry rozpadły się jak skrzynie fajerwerków. Potem zaczęli się okopywać, ale kartacze z baterii mózdzierzowych sprawiły się wspaniale. – Oczy Briana zaszły mgłą wspomnień. – Szkoda, że tego nie widziałeś, Ned: biały dym i ziemia wylatująca w powietrze wzdłuż zapory ogniowej, każdy pocisk uderzający w cel, równo i pod linię, niczym drzewa w sadzie. A kiedy cichły działa, nasza piechota... głównie Francuzi, to przede wszystkim oni szli do szturmów... przechodzili przez palisady i wykańczali biednych Iwanów ze sprężynowych karabinów.

– W gazetach pisali, że Rosjanie walczyli bez respektu dla wojskowych zasad honoru.

– Załamali się, widząc, że nie mogą nas ruszyć. Zaczęli walkę partyzancką, organizowali zasadzki, strzelali do białych flag... Brzydka walka, niehonorowa. Nie mogliśmy na to przystać. Musieliśmy podjąć odpowiednie kroki.

– Przynajmniej wszystko szybko się skończyło. – Mallory westchnął. – Nikt nie chce wojny, ale był już najwyższy czas, żeby udzielić lekcji carowi Mikołajowi. Nie sądzę, żeby ten tyran spróbował jeszcze kiedyś szarpać brytyjskiego Lwa za ogon.

Brian przytaknął.

– To zadziwiające, czego potrafią dokonać te nowe pociski zapalające. Można je rzucać w kratownicę, równiutko jak na cieście. – Przycichł. – Powinieneś zobaczyć płonącą Odesę, Ned. To było jak ognisty huragan... Potężny huragan.

– Tak, czytałem o tym. – Mallory pokiwał głową. – Taka „burza ogniowa” nastąpiła podczas oblężenia Filadelfii. Podobny efekt. Bardzo ciekawa zasada.

– Hm... – mruknął Brian. – W tym cały problem z Jankesami. Żadnego wojskowego rozsądku. Pomyśl tylko: robić takie rzeczy we własnych miastach! Trzeba być zupełnym durniem!

– Jankesi to dziwny naród...

– Naród za głupi, żeby sobą rządzić. To fakt. – Rozejrzał się czujnie. Tom wyminął *Zephyrem* dymiący wrak omnibusu. – Poznałeś Jankesów w Ameryce?

– W ogóle nie widziałem Amerykanów. Tylko Indian. – A im mniej będę o tym opowiadał, tym lepiej, pomyślał Mallory. – A skoro już o tym mowa: jak ci się podobało w Indiach?

– Indie to okropne miejsce – odparł Brian. – Pełne niezwykłych cudów, ale okropne. W Azji jest tylko jeden naród obdarzony takim rozsądkiem: to Japończycy.

– Słyszałem, że brałeś udział w kampanii indyjskiej. Ale do dziś nie wiem, kim właściwie są ci „Sipaje”.

– Sipaje to miejscowi żołnierze. Mieliliśmy masę kłopotów z buntownikami. Muzułmańskie bzdury: poszło o świński tłuszcz w nabojach do karabinów! Czysta tubylcza głupota, ale wiesz, muzułmanie nie jedzą wieprzowiny i są strasznie przesądni. Marnie to

wyglądało, ale na szczęście wicekról Indii nie przydzielił miejscowym oddziałom nowoczesnej artylerii. Jedna bateria moździerzy Wolseleya potrafi w pięć minut wysłać do piekła cały bengalski regiment.

Złociste pagony błysnęły, gdy Brian wzruszył ramionami.

– A jednak podczas buntu widziałem w Meerut i Lucknow takie okrucieństwa... Nie przypuszczałbyś nawet, że człowiek jest zdolny do czynów tak ohydnych i barbarzyńskich. Zwłaszcza że to nasi miejscowi żołnierze, których sami wyszkoliliśmy.

– Fanatycy. – Mallory pokiwał głową. – Ale przeciętni Hindusi – z pewnością czuli wdzięczność za przyzwoite rządy. Koleje, telegraf, akwedukty...

– Wiesz... Kiedy widzisz hinduskiego fakira, jak siedzi w świątynnej niszy, brudny i nagi, z kwiatem we włosach, czy możesz zgadnąć, co mu tam chodzi po głowie? – Umilkł na chwilę. I nagle wyciągnął rękę ponad ramieniem Mallory'ego. – Patrz tam... Co ci nicponie robią?

Mallory obejrzał się. Na rogu bocznej uliczki cały chodnik obsiadł spory, hałaśliwy krąg graczy.

– Grają w kości – wyjaśnił.

Grupka obdartych, zarośniętych mężczyzn – prymitywnych stróżów bezprawia – stała na posterunku pod markizą. Z rąk do rąk podawali sobie butelkę dżinu. Gruby łajdak wykonał obsceniczny gest w stronę przejeżdżającego *Zephyra*, a jego zaskoczeni towarzysze wykrzykiwali coś z niedowierzaniem zza masek z gałganów.

Brian padł na dno przyczepy i wyrzwał ponad drewnianą burtą.

– Są uzbrowieni?

– Raczej nie... – Mallory zamrugł niepewnie. – I chyba nie mają złych zamiarów...

– Zamierzają nas zaatakować – oznajmił Brian.

Mallory zerknął na brata ze zdziwieniem, lecz nagle przekonał się, że Brian miał rację. Obdarci ludzie ruszyli za *Zephyrem*. Biegli pustą ulicą, wygrażali pięściami i wymachiwali butelką. Zdawało się, że pełni są wścieklej, złośliwej energii, niczym wiejskie psy biegnące za karetą. Brian przyklęknął na jedno kolano, odpiął klapę kabury, ujął dziwnie dużą rękojeść pistoletu...

I niemal spadł na ziemię, kiedy Tom otworzył przepustnicę *Zephyra*. Mallory złapał brata za pas, szarpnął mocno i Brian upadł bezpiecznie na podłogę. *Zephyr* śmignął ulicą; przyspieszenie zepchnęło na ulicę kaskadę węgla. Ścigający zatrzymali się, patrząc z niedowierzaniem, a potem niczym ludzie niespełna rozumu schylili się po grudy węgla, jakby to były szmaragdy.

– Skąd wiedziałeś, że to zrobią? – zdziwił się Mallory.

Brian chusteczką otrzepał kolana z węglowego pyłu.

– Wiedziałem.

– Ale dlaczego?

– Pewnie dlatego, że my jesteśmy tutaj, a oni tam. Bo my jedziemy, a oni chodzą piechotą.

Patrzył na brata zaczerwieniony, jakby odpowiedź była dla niego trudniejsza niż strzelanina.

Mallory usiadł i odwrócił wzrok.

– Weź maskę – poradził łagodnie. – Zabrałem ją specjalnie dla ciebie.

Brian uśmiechnął się niepewnie i zawiązał na szyi tasiemki.

* * *

Na rogach ulic przy Picadilly stali żołnierze z bagnetami na karabinach, w nowoczesnych płamistych mundurach i obwisłych kapeluszach. Jedli owsiankę z blaszanych menażek. Mallory machał radośnie tym sługom porządku, jednak w odpowiedzi spoglądali na *Zephyra* z taką podejrzliwością, że szybko zrezygnował. Kilka ulic dalej, na rogu Longacre i Drury Lane, żołnierze otoczyli niewielki oddział londyńskiej policji. Policjanci kręcili się jak skarczone dzieci, niepewnie ściskając swoje nie wystarczające w tej sytuacji pałki. Kilku straciło hełmy, wielu miało brudne bandaże na dłoniach, głowach i nogach.

Tom zatrzymał *Zephyra*, by dorzucić węgla, Fraser zaś, a wraz z nim Mallory, zaczęli wypytывать policjantów. Dowiedzieli się, że sytuacja na południowym brzegu Tamizy całkowicie wymknęła się spod kontroli. W Lambeth wybuchały potyczki na kamienie i pistolety. Wiele ulic zabarykadowały bandy rabusiów. Krążyła pogłoska, że rozbito szpital Bedlam, a uwolnieni szaleńcy biegają swobodnie po ulicach.

Policjanci mieli twarze brudne od sadzy, byli zmęczeni, kaszleli. Wszyscy sprawni fizycznie funkcjonariusze wyszli na ulice, a komitet stanu wyjątkowego wezwał armię. Ogłoszono godzinę policyjną. Godni zaufania ochotnicy zgłaszali się na West Endzie, gdzie otrzymywali pałki i karabiny.

Ta litania nieszczęść rozwiązała ostatnie wątpliwości Mallory'ego co do ich wyprawy. Fraser powstrzymał się od komentarzy, ale wrócił do *Zephyra* z wyrazem pośpiechu i determinacji na twarzy.

Tom ruszył dalej. Poza zasięgiem władzy wojska sytuacja szybko się pogarszała. Nastąpiło południe, upiorny bursztynowy blask lał się z brudnego nieba, a grupy londyńczyków jak muchy obsiadły skrzyżowania. Zamaskowani ludzie chodzili we wszystkie strony – zaciekawieni, głodni czy zrozpaczeni – niespiesznie i spokojnie. *Zephyr* gwizdkiem rozpraszał ten amorficzny tłum; ludzie rozstępowali się odruchowo.

Cheapside patrolowały dwa porwane omnibusy, pełne zabijaków o surowych obliczach. Mężczyźni z pistoletami stali na bocznych stopniach, a na dachach piętrzyły się skradzione meble. Thomas bez trudu wyminął oba pojazdy; pod kołami *Zephyra* zachrząściło szkło.

Na Whitechapel zobaczyli brudne, bose dzieciaki, wspinające się jak małpy na czerwono

pomalowane ramię wielkiego dźwigu budowlanego. Brian wziął je za szpiegów czy zwiadowców, gdyż niektóre machały kolorowymi szmatami i wrzeszczały coś do ludzi w dole. Mallory uznał za bardziej prawdopodobne, że urwisy wspięły się tak wysoko w nadziei na świeższe powietrze.

Cztery martwe, spuchnięte konie, masywne pociągowe perszerony, leżały na ulicy w Stepney. Zastrzelono je. Zeszytywniałe zwłoki wciąż miały na sobie uprząż. Kilka jardów dalej zobaczyli wóz: platformę bez kół, okradzioną już ze sprzętem. Tuzin beczek stoczono z niej na ulicę i rozbito; miejsca rabunku otaczały teraz lepkie kałuże wyschniętego piwa. Nad nimi unosiły się roje much. Biesiadnicy zniknęli, pozostawiając tylko rozbite naczynia, brudne łachmany kobiecych sukien i pojedyncze buty.

Mallory spostrzegł ospowatą wysypkę afiszów rozlepionych wokół miejsca tej pijackiej orgii. Rzucił kawałkiem węgla w kabinę *Zephyra* i zatrzymali się.

Tom i Fraser wyszli z powozu. Policjant prostował zeszytywniałe nogi i masował obolałe żebra.

– O co chodzi?

– Podburzanie – odparł Mallory.

Cała czwórka, rozglądając się czujnie dookoła, stanęła pod ścianą – odwieczną powierzchnią ogłoszeniową z otynkowanych desek. Stare afisze pokrywały ją warstwą tak grubą, że przypominała skórę sera. Ktoś nalepił tu ze dwadzieścia plakatów kapitana Swinga, takich samych, krzykliwych i marnie wydrukowanych. Przedstawiały wielką uskrzydloną kobietę z włosami w płomieniach, pod nią widniały dwie kolumny gęstego tekstu. Niektóre słowa, z pozoru zupełnie przypadkowe, wyróżniono czerwonym drukiem. Wszyscy stali w milczeniu, próbując odcyfrować rozmazane litery. Po chwili młody Thomas wzruszył ramionami.

– Muszę się zająć powozem – wyjaśnił i odszedł.

Brian zaczął czytać na głos:

– „WEZWANIE DO LUDU! Jesteście swobodnymi Władcami, Ziemi i trzeba wam tylko ODWAGI, by zwyciężyć w WOJNIE z ładaczną Babilondyn i jej wykształconymi złodziejami. Krwi! Krwi!

Zemsty! Zemsta, zemsta! Plagi, straszliwe klątwy i tak dalej na wszystkich, co nie dbają o powszechną sprawiedliwość! BRACIA I SIOSTRY! Nie klękajcie już przed wampirem-kapitalistą ani idiotą-uczonem! Niechaj niewolnicy ukoronowanych zbójów czołgają się u stóp Newtona! ZNISZCZYMY Molocha Pary i strzaskamy jego żelaza! Powieście na latarniach dwie setki tyranów, a zyskacie szczęście i wolność już na zawsze! Naprzód! Naprzód!!! Nasza nadzieja w ludzkim Potopie, nie ma dla nas innego wyjścia niż powszechna WOJNA!

Walczymy o WYZWOLENIE wszystkich uciskanych, rewolucjonistów, nędzarzy, przestępców, wszystkich DREŹCZONYCH przez Siedmiokrotnie Przeklętą Ładaczną, której

ciało jest siarką piekielną, która dosiada koszmarnego wierzchowca z żelaza... „,

Było tego o wiele więcej.

– Na miłość boską, co to paskudztwo ma oznaczać? – zdumiał się Mallory. W głowie mu szumiało.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – mruknął Fraser. – To bełkot szaleńca!

– Brian wskazał dolny brzeg afisza.

– Nie rozumiem, o co chodzi z tymi „Siedmioma Kłątami” czy plagami”? Píše o nich, jakby to były straszliwe nieszczęścia, ale ani razu ich nie wymienia ani nie wylicza. Co to może znaczyć...

– Czego on właściwie chce? – dopytywał się Mallory. – Nie wierzy chyba, że masakra jest najlepszym rozwiązaniem problemów, które go gnębią... Jakiegokolwiek by były...

– Nie ma żadnej dyskusji z tym potworem – oznajmił posępnie Fraser. – Miał pan rację, doktorze Mallory. Cokolwiek się zdarzy, niezależnie od ryzyka, musimy się go pozbyć! Nie ma innej drogi!

Wrócili do *Zephyra*, gdzie Tom kończył dosypywać węgiel. Mallory przyjrzał się braciom: ich poczerwieniałe oczy lśniły nad maskami blaskiem odwagi i męskiego zdecydowania. Fraser mówił w imieniu wszystkich: byli zjednoczeni, nie potrzebowali więcej słów. Pośród morza nikczemności, chwila ta wydała mu się pełna chwały. Miał wrażenie, że po raz pierwszy od wieków jest oczyszczony, całkowicie oddany celowi i wolny od wątpliwości.

Gdy *Zephyr* toczył się przez Whitechapel, podniecenie zaczęło przygasać, w jego miejsce pojawiła się koncentracja i przyspieszony puls. Mallory poprawił maskę, sprawdził działanie rewolweru Ballestera-Moliny, zamienił kilka słów z Brianem. Gdy jednak rozproszyły się wątpliwości, gdy życie i śmierć czekały na wynik rzutu kości, niewiele mieli sobie do powiedzenia. W końcu, jak Brian, Mallory z nerwową czujnością zaczął obserwować każde mijane okno i drzwi.

Zdawało się, że produkcje tego łajdaka pokrywały wszystkie mury w Limehouse. Niektóre w sposób jasny i oczywisty zdradzały swoje obłąkanie. Inne zaś były podstępnie zamaskowane. Mallory zauważył pięć oszczerczych ogłoszeń o jego wykładzie. Część mogła być prawdziwa, gdyż nie zdołał przeczytać tekstu. Jednak widok własnego nazwiska atakował wyczulone zmysły i był niemal bolesnym wstrząsem.

Nie był zresztą jedyną ofiarą tych dziwacznych fałszyfikatów. Ogłoszenie Banku Anglii zachwalało depozyty w funtach ciała.

Pozorna oferta wycieczki pierwszą klasą kolei zachęcała czytelników do rabowania bogatych pasażerów. I tak diabelską była drwina tych fałszywych afiszów, że nawet całkiem zwyczajne ogłoszenia wydawały mu się podejrzanym. Wpatrywał się w nie, szukając podwójnych znaczeń, a każde wydrukowane słowo zmieniało się w groźny nonsens. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy z wszechobecności londyńskich plakatów, zagęszczenia

natrętnych słów i obrazów. Do dzisiaj.

* * *

Zephyr mknął bez przeszkód po asfaltowych ulicach, Mallory'ego zaś ogarnęło niewytłumaczalne duchowe znużenie. Było to zmęczenie samym Londynem, przytłaczającą fizycznością miasta, jego koszmarną bezgranicznością, ulicami, podwórzami, zaułkami, placami i alejami, jego kamieniem w powłoce mgły i czarną od sadzy cegłą. Wywołujące nudności markizy, ohydne lufciki, brzydkie umocowane linami rusztowania, potwornie nieustępliwe żelazne latarnie i granitowe słupki, kantory, sklepy z odzieżą i trafiki tytoniowe. Miasto zdawało się rozciągać dookoła niczym bezlitosna otchłań geologicznego czasu.

Wrogi okrzyk przerwał jego zamyślenie. Na ulicę wybiegli zamaskowani mężczyźni: obdarci, groźni, blokujący przejazd. *Zephyr* zahamował gwałtownie, szarpiąc przyczepą.

Mallory na pierwszy rzut oka poznał, że to zbójce najgorszego gatunku. Pierwszy, zepsuty młodzik z dziobatą, brudną twarzą, w wytłuszczonej kurtce i sztruksowych spodniach, miał na głowie wytartą futrzaną czapkę, nasuniętą nisko na czoło – nie tak jednak nisko, by ukryć krótko, po więziennemu ścięte włosy. Drugi, mocny i krępy, około trzydziestopięcioletni, nosił sztywny od brudu cylinder, kraciaste spodnie i sznurowane buty z okutymi czubkami. Trzeci był krępy i krzywonogi, w skórzanych bryczesach i zachłapanych pończochach, z ustami ukrytymi pod zwojem długiego szala.

W tym momencie z rozbitego sklepu żelaznego wybiegli kolejni dwaj wspólnicy – potężni, niezgrabni młodzi ludzie w koszulach z luźnymi krótkimi rękawami i w za wąskich spodniach. Uzbroili się w to, co wpadło im w rękę: żelazne szczypce i jardowej długości pogrzebacz. Zwykle domowe sprzęty, w dłoniach bandytów wyglądały przerażająco i okrutnie.

Starszy mężczyzna, zapewne ich przywódca, ściągnął chustę pod brodę i uśmiechnął się złośliwie, ukazując żółte zęby.

– Wyłazić z tej bryczki – rozkazał. – Ale już!

Jednak Fraser przystąpił już do działania. Wysiadł spokojnie, z pewną miną, niby nauczyciel uspokajający rozbrykaną klasę. Po czym oznajmił wyraźnie i stanowczo:

– Nic z tego, panie Tally Thompson! Znam was... i myślę, że wy też mnie znacie! Jesteście aresztowani za rozbój.

– Niech mnie diabli – jęknął Tally Thompson. Pobladł ze zdumienia.

– To sierżant Fraser! – wrzasnął ze zgrozą dziobaty chłopak i cofnął się o dwa kroki.

Fraser wyjął parę oksydowanych kajdanek.

– Nie! – krzyknął Thompson. – Tylko nie to! Nie wytrzymam w nich! Nie chcę ich zakładać!

– A reszta niech się odsunie z drogi – rzucił Fraser. – Ty, Bobie Miles... Po co nas

okrażasz? Odlóż to głupie żelastwo, bo i ciebie będę musiał przymknąć.

– Na miłość boską, Tally! Zastrzel go! – krzyknął zbój z twarzą zasłoniętą szalem. Fraser zręcznie zatrzasnął kajdanki na przegubach Thompsona. – A więc mamy broń, Tally? – zapytał i wyrwał derringera zza nabijanego ćwiekami pasa przestępcy. – To fatalnie. – Obejrzał się na pozostałych. – To co, chłopcy? Idziecie?

– Chodźmy stąd – jęczał Bob Miles. – Musimy iść, tak kazał pan sierżant!

– Zabijcie go, durnie! – wykrzyknął krzywonogi. Jedną ręką przytrzymał szal, drugą wyrwał zza pasa krótki nóż o szerokim ostrzu. – To przeklęty gliniarz, idioci! Załatwcie go! Swing was udusi, jeśli uciekniecie! – Podniósł głos. – Jest tu policja! – zawołał tonem człowieka sprzedającego kasztany. – Chodźcie wszyscy, a załatwimy przeklętych gliniarzy!

Fraser uderzył błyskawicznie; trafił derringerem w dłoń przeciwnika. Ten upuścił nóż i zawył.

Trzej pozostali bandyci rzucili się do ucieczki. Tally Thompson również próbował, ale Fraser lewą dłonią szarpnął go za skute rękę, pociągnął i powalił na kolana.

Człowiek w szalu odskoczył, jakby pchany niewidzialną siłą, i, utykając, odszedł na kilka kroków. Potem zatrzymał się, pochylił, podniósł ciężkie żelazko i trzymając je za mahoniowy uchwyt wziął szeroki zamach.

Fraser wymierzył z derringera i wypalił. Człowiek zgiął się w pół, ugiął kolana i upadł na ziemię. Wił się bezradnie.

– Zabił mnie – jęczał. – Dostałem w brzuch... Zginałem! Fraser przyłożył Tally’emu Thompsonowi w ucho.

– Ta twoja pukawka to złom, Tally. Celowałem w nogi.

– Nie chciał zrobić nic złego – jęczał Tally.

– Miał pięcioletnie żelazko – przypomniał Fraser.

Obejrzał się na Mallory’ego i Briana, stojących w oszołomieniu na przyczepce.

– Zejdźcie tu, chłopcy. I słuchajcie mnie dobrze. Musimy zostawić twój powóz, Tom. Teraz będą go szukać. Trzeba stąd zniknąć.

Mocno szarpnął za kajdanki, podrywając więźnia na nogi.

– A ty, Tally, zaprowadzisz nas do kapitana Swinga.

– Nie zaprowadzę, sierżancie!

– Owszem, Tally.

Fraser pociągnął Thompsona do przodu, oglądając się za Mallorym.

Cała piątka okrążyła jęczącego, krztuszącego się bandytę, który wił się na chodniku w kałuży krwi. Krzywe nogi dygotały spazmatycznie.

– Niech mnie piekło pochłonie, jeśli ten łajdak nie udaje – mruknął obojętnie Fraser. – Kto to jest, Tally?

– Nie mówił, jak się nazywa.

– Nie zwalniając kroku, Fraser zrzucił z głowy Thompsona pomięty kapelusz. Cylinder

sprawił wrażenie przyklejonego do czaszki warstwą brudu i pomady.

– Na pewno go znałeś.

– Ale nie jego imię! – upierał się Tally. Z rozpaczą spoglądał za utraconym kapeluszem. – To Jankes, nie?

– Ale jaki Jankes? – zapytał Fraser, wietrząc oszustwo. – Konfederat? Unionista? Teksańczyk? Kalifornijczyk?

– Z Nowego Jorku.

– Co? – Inspektor nie dowierzał. – Chcesz powiedzieć, że był Manhattańskim Komunardem? – Obejrzał się na konającego przestępcę, opanował się szybko i przemówił z lekkim sceptycyzmem. – Nie mówił jak nowojorski Jankes.

– Nie wiem, skąd przyjechał. Swing go lubił i tyle.

Fraser skręcił w wąską alejkę, przecinaną zardzewiałymi mostkami nad drogą. Wysokie ceglane mury lśniły od wilgoci.

– Czy Swing ma więcej takich doradców? Więcej ludzi z Manhattanu?

– Swing ma wielu przyjaciół – odparł Tally, wyraźnie odzyskując panowanie nad sobą. – I załatwi was, jeśli staniecie mu w drodze.

– Tom... – Fraser zwrócił się do brata Mallory’ego. – Umiesz się posługiwać rewolwerem?

– Rewolwerem?

– Weź ten. – Wręczył chłopcu zdobycznego derringera. – Został ci tylko jeden strzał. W razie czego czekaj, aż podejda tak blisko, żebyś mógł ich dotknąć.

Pozbywszy się obciążenia, Fraser bez wahania sięgnął do kieszeni surduta, wyjął krótką, obciążoną skórą pałkę i, nie zwalniając kroku, zaczął z oszałamiającą precyzją okładać Thompsona po umięśnionych ramionach i barkach.

Mężczyzna kulił się i stękał od razów, wreszcie zaczął wyć. Ciekło mu z nosa.

Fraser przerwał i schował pałkę.

– Ależ z ciebie dureń, Tally Thompsonie – stwierdził z jakąś dziwną sympatią. – Nic nie wiesz o policjantach? Przyszedłem po twojego bezcennego Swinga całkiem sam, a tych wesołych chłopców zabrałem, żeby obejrzel sobie zabawę! No gadaj: gdzie się schował?

– W takim wielkim magazynie w dokach – wykrztusił Tally. – Pełnym łupów... towarów. I broni: całe skrzynie zmyślnych gnatów...

– Który magazyn?

– Nie wiem – zajęczał Tally. – Nigdy przedtem nie byłem za tymi piekielnymi wrotami. I nie znam nazw tych piekielnych składów.

– Jakie nazwisko jest nad wrotami? Kto jest właścicielem?

– Nie umiem czytać, sierżancie. Przecież wiecie.

– Więc gdzie to jest? – Fraser nie ustępował. – Doki importowe czy eksportowe?

– Importowe...

– Na południowym brzegu? Czy północnym?

– Południowym, mniej więcej w połowie...

Daleko za nimi rozległy się krzyki, trzask pękającego szkła, podobny do bicia w bęben huk uderzeń czegoś ciężkiego o blachę. Tally umilkł i nadstawił ucha. Skrzywił się drwiąco.

– Znaleźli waszą bryczkę! – oznajmił. Zniknął gdzieś jego błagalny ton. – Chłopaki Swinga wróciły i znalazły waszą bryczkę, sierżancie!

– Ilu jest ludzi w tym magazynie?

– Słuchaj pan, jak ją rozwalają! – zawołał Tally. Jakiś dziecięcy zachwyt stłumił jego lęk.

– Ilu ludzi? – powtórzył Fraser i trzepnął go w ucho.

– Rozwalają ją na kawałki! – Tally otrząsnął się tylko po ciosie. – Ludd rozprawi się z waszym ślicznym powozikiem!

– Zamknij paszczę, ty draniu! – wybuchnął Tom głosem piskliwym z wściekłości i żalu.

Zaskoczony Tally przyjrzał mu się z uśmiechem satysfakcji.

– O cóż chodzi, paniczku?

– Zamknij się, mówię!

Tally wyszczerzył zęby jak małpa.

– To nie ja walę w wasz powóz! Na tamtych krzycz, mały! Każ im przestać!

Szarpnął się nagle do tyłu, wyrывая skute ręce z uchwytu Frasera. Policjant zatoczył się i niewiele brakowało, a przewróciłby Briana. Tally odwrócił się i przyłożył dłonie do ust.

– Kończcie zabawę, moje zuchy! – Krzyk odbijał się echem w ceglany wóz. – Naruszacie własność prywatną!

Tom zamachnął się błyskawicznie i wymierzył cios pięścią. Głowa Tally’ego odskoczyła do tyłu, głośno wypuścił powietrze, zachwiał się i niby worek runął na ulicę.

Zapanowała cisza.

– A niech mnie, Tom – mruknął Brian. – Ładnie mu przyłożyłeś.

Z pałką w rękę, Fraser przestąpił nad bezwładnym łotrem i kciukiem podniósł mu powiekę. Potem spokojnym wzrokiem zmierzył Toma.

– Masz temperament, mój chłopcze...

Tom zdarł z twarzy maskę i dyszał ciężko.

– Miałem ochotę go zastrzelić! – wyrzucił z siebie drżącym głosem. Zmieszany, spojrzał błagalnie na Mallory’ego. – Naprawdę chciałem, Ned... Zabić na miejscu!

Mallory skinął głową.

– Uspokój się, mały.

Fraser otworzył kajdanki. Były śliskie od krwi z obdartych nadgarstków Tally’ego.

– Ten łajdak cholernie dziwacznie się zachowywał – stwierdził Brian, zaciągając gwarą z Sussex. – Czy oni tam wszyscy poszaleli? Cały Londyn zwariował?

Mallory smętnie pokiwał głową.

– Ale nie tak, żeby nie mogła ich wyleczyć solidna pięść – dodał Weselej. Klepnął Toma

po ramieniu. – Niezły z ciebie bokser, mój chłopcze! Padł jak zarżnięty wół!

Brian parsknął śmiechem. Tom uśmiechnął się niepewnie i roztarł obolałe kostki.

Fraser wstał, schował pałkę i kajdanki, po czym truchtem ruszył w głąb uliczki. Trójka braci pobiegła za nim.

– To nic takiego – powiedział Tom. Głos mu się łamał.

– Nie żartuj – zaprotestował Mallory. – Żeby dziewiętnastoletni chłopak powalił takiego zaprawionego w bójkach łajdaka? To niesamowite!

– Nie było uczciwej walki – przypomniał Tom. – Miał skute rękę.

– Jeden cios – zachwycił się Brian. – Rozciągnąłeś go na ziemi jak szmatę!

– Ciszey! – syknął Fraser.

Umilkli. Zaulek kończył się skrawkiem pustego placu po zburzonym budynku. Resztki fundamentów pokrywały odłamki cegieł i szare kolce połamanych belek. Fraser wymijał je, idąc. Niebo nad nimi miało barwę szarozółtą, mgła rozstępowała się czasem, odsłaniając gęste zielonkawe chmury koloru pleśni.

– Diabła tam... – rzekł Tom, siląc się na wesołość. – Nie mogą nas przecież usłyszeć, panie Fraser. Nie w tym wściekłym hałasie, jaki robią przy moim powozie.

– To nie tamtymi się teraz martwię, mój chłopcze – odparł Fraser bez gniewu. – Możemy napotkać strażę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Brian i nagle zatrzymał się. – Wielkie nieba! Co tak cuchnie?

– Tamiza – odparł Fraser.

Na granicy placu wyrastał gruby, niski mur z cegieł. Mallory wspiął się na niego. Oddychał płytko, przyciskając maskę do warg. Po drugiej stronie muru – fragmentu nabrzeża Tamizy – teren opadał o dziesięć stóp, do koryta rzeki. Trwał odpływ; płytka Tamiza była tylko powolną strugą między szerokimi pasami zaschniętego biota.

Na drugim brzegu wznosiła się stalowa wieża nawigacyjna Cuckold's Point, ozdobiona flagami sygnałowymi. Mallory nie potrafił ich odczytać. Może kwarantanna? Albo blokada?

Nurt rzeki był pusty.

Fraser rozglądał się czujnie po błotnej pustyni. Mallory poszedł za jego przykładem. Niewielkie łodzie tkwiły w mule jak przymurowane cementem. Tu i tam, wzdłuż zakrętu nabrzeża Limehouse, zrytymi zębami pogłębiarek kanałami ściekały strugi jaskrawozielonej mazi.

Coś podobnego do rzecznej bryzy – ale nie bryza, a raczej miękki, wilgotny opar zgęszczonego Fetoru – uniosło się znad Tamizy i wionęło w ich stronę.

– Boże święty! – wykrzyknął z niedowierzaniem Brian i szybko przyklęknął za murem. Sam czując mdłości, Mallory słyszał, jak brat wymiotuje gwałtownie.

Opanował się z wysiłkiem. Nie było to łatwe. Najwyraźniej odsłonięta Tamiza zwyciężała nawet legendarny smród ładowni transportowców Królewskiej Artylerii.

Thomas, który także pobladł, był jednak bardziej od Briana wytrzymały – może

uodporniony przez dymiące kominy parowych powozów.

– Popatrzcie tylko na to paskudztwo – odezwał się nagle zduszonym głosem. – Wiedziałem, że mamy suszę na lądzie, ale coś takiego nawet mi nie przyszło do głowy... – Zwrócił na Mallory’ego swe zdumione, zaczerwienione oczy. – Ned... powietrze, woda... Chyba nigdy jeszcze nie zdarzyło się nic tak okropnego.

Fraser był urażony.

– Londyn w lecie nigdy nie wygląda najlepiej...

– Ale spójrzcie na rzekę – zawołał naiwnie Tom. – O, patrzcie: tam płynie statek!

W górę Tamizy sunął duży bocznokołowiec. Wyglądał niezwykle: pokład płaski jak tratwa, kanciasta nadbudówka z ukośnych nitowanych blach, czarne pancerne burty z ciągnącymi się od dzioba po rufę białymi kwadratami klap działowych. Na rufie dwóch marynarzy w gumowych rękawicach i gumowych hełmach z rurami sprawdzało głębokość ołowianą sondą.

– Co to za okręt? – zdziwił się Mallory, przecierając załzawione oczy.

Brian wstał chwiejnie, wychylił się przez mur, otarł usta i splunął.

– Kieszonkowy pancernik – wyjaśnił chrapliwym głosem. –

Rzeczna kanonierka.

Zacisnął palcami nos i drżał cały.

Mallory słyszał o takich okrętach, ale nigdy jeszcze ich nie oglądał.

– Z kampanii Mississippi w Ameryce. – Osłonił oczy dłonią, żałując, że nie ma lunety. – Czy płynie pod flagą konfederatów? Nie wiedziałem, że mamy w Anglii okręty tej klasy. Nie, widzę brytyjską banderę!

– Patrz tylko na łopatki kół – zdumiewał się Tom. – Woda w rzece musi być gęsta jak klej...

Nikt nie skomentował tej uwagi. Fraser wyciągnął rękę.

– Posłuchajcie, panowie. Kilka prętów stąd znajduje się głęboko wryty kanał. Prowadzi do nabrzeża doków West India. Skoro woda opadła tak nisko, przy odrobinie szczęścia możemy przekraść się tym kanałem i dotrzeć do doków nie zauważeni.

– Chcesz pan powiedzieć: przebrnąć przez to błoto do brzegu – poprawił go Mallory.

– Nie! – krzyknął Brian. – Musi być jakiś inny sposób.

Fraser pokręcił głową.

– Znam te doki. Otacza je ośmiostopowy mur zwieńczony ostrym *cheval-de-frise*. Są wrota ładunkowe i bocznica kolei żelaznej, ale te z pewnością będą czujnie strzeżone. Swing dobrze wybrał. To miejsce jest niemal fortecą.

– A czy Swing nie będzie pilnował też rzeki? – zapytał Brian.

– Bez wątplenia – przyznał Fraser. – Ale jak wielu ludzi będzie stało czujnie na warcie nad tym cuchnącym bagnem? Dla Swinga czy kogokolwiek innego?

Mallory skinął głową, całkiem przekonany.

- Ma rację, chłopcy.
- Przecież upapramy się po szyję w tym śmierdzącym błocie! – zaprotestował Brian.
- Nie jesteśmy z cukru.
- Ale mój mundur, Ned! Wiesz, ile mnie kosztował ten frak?
- Dam ci swój powóz za te błyszczące złote naszywki – mruknął Tom.

Brian skrzywił się.

– W takim razie musimy się rozebrać – zarządził Mallory i zdjął surdut. – Jak parobkowie na farmie w Sussex, słonecznym rankiem ładujący pachnące siano. Ukryjemy miejskie stroje w ruinach. Tylko szybko.

Rozebrał się do pasa, za pasek podwiniętych spodni wsunął pistolet i, opuściwszy się z nabrzeża, na wpół zeskoczył, na wpół zsunął się w brudne błoto.

Dno rzeki było twarde i suche jak cegła. Mallory zaśmiał się głośno. Kolejno dołączali do niego pozostali. Ostatni zszedł Brian; kopnął zaschnięte błoto swym lśniącym, wyczyszczonym butem.

- Ależ ze mnie dureń – stwierdził. – Pozwoliłem się namówić na zdjęcie munduru.
- To pech – zakpił Tom. – Nigdy nie wytrzepiesz trocin z tej swojej eleganckiej czapki.

Fraser odpiął kołnierzyk. Został w białej koszuli, przeciętej szelkami – dziwnie eleganckimi, z czerwonego jedwabiu. Pod pachą, w nowej skórzanej kaburze, tkwił krótki wielolufowy pistolet. Mallory zauważył wypukłość opatrunku pod koszulą i paskiem upręży.

– Nie narzekajcie, chłopcy – rzucił policjant, ruszając przed siebie. – Są ludzie, którzy całe życie spędzają w mule Tamizy.

– Kto to taki? – zapytał Tom.

– Błotne ptaszki. – Fraser ostrożnie wybierał drogę. – Zimą i latem w czasie odpływu brną po pas w błoto. Szukają kawałków węgla, zardzewiałych gwoździ, każdego rzecznośmiecica, na którym mogą zarobić choć pensa.

– Żartuje pan...

– Przede wszystkim dzieci. I sporo starych, chorych kobiet.

– Nie wierzę – oznajmił Brian. – Gdyby powiedział pan: w Bombaju czy Kalkucie, mógłbym się zgodzić. Ale nie w Londynie!

– Nie powiedziałem, że ci biedacy są Brytyjczykami. Zwykle to cudzoziemcy. Uchodźcy żyjący w nędzy.

– Chyba że tak... – z wyraźną ulgą mruknął Tom.

Maszerowali dalej, starając się oddychać możliwie płytko. Mallory miał zatłakany nos, a w gardle czuł flegmę. Nie skarżył się: dzięki temu całkiem utracił zmysł węchu. Brian mamrotał coś bez przerwy; jego monotony głos pasował jakoś do tej wyprawy.

– Brytania jest nazbyt gościnna dla tych przeklętych cudzoziemskich uciekinierów. Gdyby to ode mnie zależało, odstawiłbym wszystkich do Teksasu...

– Wszystkie ryby tu chyba pozdychały – stwierdził Tom. Schylił się i oderwał od podłoża

twardą jak szkło płytę zaschniętego błota. Zademonstrował Mallory'emu zatopioną w nim siatkę płaskich rybich ości. – Patrz, Ned... Całkiem jak twoje skamieliny.

Kilka jardów dalej czekała ich pierwsza przeszkoda: rów zrobiony przez pogłębiarkę, wypełniony do połowy czarnym mułem, przecinanym żyłami bladej, oleistej cieczy. Nie było rady; musieli wskoczyć i brnąć przez ten wąwóz. Brian miał pecha i pośliznął się; wstał oblepiony brudem, strzepując błoto z palców i przeklinając głośno w języku, który Mallory uznał za hindustani.

Za rowem skorupa błota stała się zdradziecka; rozsuwała się i pękała pod nogami. Pod spodem była smolista, lepka maź, wypuszczająca bąbelki gazu. Jeszcze gorsze rzeczy czekały ich przy tunelu wejściowym doków. Tutaj brzegi kanału tworzyły smołowane pale porośnięte zielonymi wodorostami, śliskie od wilgoci i smarów, wznoszące się na piętnaście stóp powyżej linii wody. Sama woda zaś, wypełniająca kanał od brzegu do brzegu, była chłodną i szarą, z pozoru bezdenną zupą. Na powierzchni pływały plamy zielonej cieczy.

Znaleźli się w ślepym zaułku.

– Co teraz zrobimy? – zapytał ponuro Mallory. – Będziemy pływać?

– Nigdy! – oświadczył Brian. Oczy miał czerwone i błyszczące szaleńczo.

– – Może spróbujemy wspiąć się na ściany?

– Nie damy rady – jęknął Tom, spoglądając na oślizłe pale. – Ledwie możemy oddychać!

– Nawet rąk bym nie umył w tej wodzie – zarzekał się Brian. – A mam je umazane cuchnącym błotem.

– Ciszej! – przerwał mu Fraser. – Ludzie Swinga z pewnością was usłyszą. Jeśli przyłapią nas tutaj, na dole, to zastrzelą jak psy. Siedźcie cicho i dajcie mi pomyśleć.

– Boże, ten Fetor! – zawołał Brian, nie zwracając na niego uwagi. Był bliski paniki. – To gorsze niż transportowiec... gorsze niż ruski okop! Jezu Chryste! Pod Immermann widziałem, jak chowają tygodniowe szczątki Ruskich, a nawet one nie śmierdziały tak potwornie!

– Przestań! – szepnął Fraser. – Coś słyszę!

Kroki. Tupot grupy ludzi zbliżających się do brzegu.

– Mają nas – stwierdził zrozpaczony Fraser. Spojrzał na pionową ścianę i sięgnął po pistolet. – Przedstawienie skończone... Drogo sprzedajmy swoje życie, chłopcy!

Ale w tej samej chwili – jednej z serii momentów tak krótkich, że normalnie bezużytecznych dla ludzkiego umysłu – natchnienie ogarnęło umysł Mallory'ego niby podmuch alpejskiego wiatru.

– Chować broń – rozkazał z żelazną pewnością w głosie. – Nie patrzcie w górę. Róbcie to co ja!

I zaczął śpiewać marynarską szantę, głośno i ochryple.

*W porcie Santiago gorąca jest miłość,
Zapominamy, co w domu było.*

*Więc mocno całuj, aż do łez
Polly i Meg, i Dolores...*

– Dalej, chłopcy – zachęcił z pijackim gestem ręki. Tom i Brian, nic nie rozumiejąc, dołączyli do chóru, spóźnieni i niepewni.

*Żegnajcie nam, dziewczęta młode,
Jutro ruszamy już na wodę!*

– I druga zwrotka! – wybełkotał Mallory.

*W Vera Cruz ciepłe dni szybko płyną,
Żegnaj nam Jane i Angelino...*

– Ahoj! – rozległ się głośny okrzyk ze szczytu nabrzeża.

Mallory z udawanym zdziwieniem podniósł głowę. Zobaczył skrócone perspektywą sylwetki: nad nimi stało pół tuzina łotrzyków z karabinami na ramionach. Wołający wychylił się przez szczyty pali; głowę i twarz owinał chustą z barwnego jedwabiu. Na kolanie, – z pozorną niedbałością, oparł lśniący pistolet z długą lufą. Jego białe spodnie były nieskazitelnie czyste.

– Ahoj, na brzegu! – Mallory odchylił głowę. Powitalnym gestem rozłożył szeroko ramiona i niemal przewrócił się na plecy. – W czym możemy pomóc eleganckim dżentelmenom?

– Oto zagadka! – oznajmił przywódca wyszukany tonem człowieka, który rzuca przed wieprze perły swego dowcipu. – Jak bardzo zalane, jak absolutnie pijane mogą być cztery londyńskie ptaszki? – Podniósł głos. – Czy nie czujecie tam w dole potwornego smrodu?

– Pewnie! – przyznał Mallory. – Ale chcemy sobie obejrzeć indyjskie doki.

– Po co? – Pytanie zadano lodowatym tonem.

Mallory zaśmiał się chrapliwie.

– Bo jest tam mnóstwo rzeczy, na które mamy ochotę. To chyba jasne, nie?

– Na przykład czysta bielizna? – rzucił ktoś z oddziału.

Zabrzmiął śmiech, przerywany stękaniem i kaszlem.

Mallory też się roześmiał i uderzył dłonią w nagą pierś.

– Dlaczego nie! Możecie nam pomóc, chłopaki? Rzućcie tu jakiś sznur albo co...

Przywódca zmrużył oczy widoczne między fałdami jedwabiu; zacisnął palce na rękojeści pistoletu.

– Nie jesteś marynarzem! Człowiek morza nie mówi „sznur”. Zamsze powie „lina”!

– A co ci do tego, kim jestem? – wrzasnął Mallory. – Rzućcie nam sznur! Albo drabinę!

Albo jakiś wściekły balon! Albo idźcie do diabła!

– Słusznie gada! – wtrącił Tom. Głos drżał mu lekko. – Kto by was potrzebował?

Przywódca odszedł, jego ludzie zniknęli także.

– Tylko szybko! – ryknął jeszcze Mallory na pożegnanie. – Nie chcecie chyba zatrzymać wszystkiego dla siebie!

Brian pokręcił głową.

– Jezu, Ned... – szepnął. – Myślisz, że się uda?

– Będziemy udawać rabusiów – odparł cicho Mallory. – Pijanych nicponiów, gotowych do każdej awantury. Przyłączymy się do nich i dotrzemy do Swinga!

– A jeśli zaczną wypytywać?

– Udawaj głupka.

– Hej tam! – zabrzmiał z góry piskliwy głos.

– Czego? – zapytał szorstko Mallory.

Nad nimi stał chudy chłopak, mniej więcej piętnastoletni. Stał na palu z karabinem w ręku.

– Lord Byron nie żyje! – wrzasnął. Mallory jakby dostał w twarz.

– A kto to mówi? – zapytał Tom w nagle zapadłej ciszy.

– To prawda! Stary łajdak kopnął w kalendarz! Jest zimny jak gład! Chłopak zaśmiał się radośnie i odbiegł, skacząc z pala na pal.

Wymachiwał nad głową karabinem. Po chwili zniknął. Mallory z trudem odzyskał głos.

– To nieprawda.

– Nie – zgodził się Fraser.

– W każdym razie mało prawdopodobne. – To tylko marzenia tych anarchistów.

– Przez chwilę trwało milczenie.

– Oczywiście... – Mallory szarpnął brodę. – Jeśli Wielki Orator naprawdę umarł, to oznacza... – Brakło mu słów, ale pozostali patrzyli na niego, szukając wskazówek: milczący, pełni oczekiwania. – Cóż... – Westchnął. – Śmierć Byrona oznacza koniec ery wielkości!

– Wcale nie musi – zaprotestował Fraser. Panował nad swoim głosem. – W Partii wielu jest ludzi utalentowanych. Charles Babbage jeszcze żyje! Lord Colgate, lord Brunei... Choćby książę małżonek. Albert to człowiek rozsądny i przewidujący.

– Lord Byron nie mógł umrzeć! – wyrzucił z siebie Brian. – Stoimy w śmierzącym bloku i wierzymy w śmierzące kłamstwa!

– Ciszej! – rozkazał Mallory. – Musimy wstrzymać się z sądami w tej kwestii, dopóki nie zdobędziemy pewnych dowodów!

– Ned ma rację – stwierdził Tom. – Premier na pewno by go poparł. To metoda naukowa. Tego zawsze nas uczył lord Byron.

W dół opadł gruby, nasmołowany sznur, związany w luźną pętlę. Przywódca anarchistów, smukły młodzian z twarzą ukrytą pod kolorowym jedwabiem, stanął z nogą na palu,

wspierając podbródek na rękę z łokciem na kolanie.

– Wsadź w to tyłek, przyjacielu – rzucił. – Wyciągniemy cię w mgnieniu oka.

– Dziękuję uprzejmie – odparł Mallory.

Pomachał swobodnie ręką i przestąpił pętlę.

Kiedy poczuł szarpnięcie, oparł zabłocone buty o śliskie belki i szybko dotarł na szczyt.

Dłonią w rękawicze przywódca zrzucił pustą pętlę z powrotem.

– Witaj, mój panie, w chwalebnej kompanii awangardy ludzkości.

Jestem markiz Hastings. – Samozwańczy arystokrata skłonił się lekko, po czym stanął w dumnej pozie, z wysuniętą brodą i ręką wspartą na biodrze.

Mallory zrozumiał, że mówi poważnie.

Tytuł markiza był reliktem z czasów przed radykałami; miał jednak przed sobą jakiegoś pretendenta, żywą skamielinę, dowodzącą oddziałem żmij. Mallory nie zdziwiłby się bardziej, gdyby zobaczył młodego plezjozaura, wysuwającego długą szyję z głębin cuchnącej Tamizy.

– Chłopcy – rzucił młody markiz. – Skropcie wodą kolońską naszego pachnącego przyjaciela. Gdyby postąpił nierozsądnie, wiecie, co macie robić.

– Zastrzelić go? – upewnił się ktoś absurdalnie.

Markiz skrzywił się demonstracyjnie – aktorska mimika, oznaczająca naruszenie dobrych manier. Chłopiec w kradzionym policyjnym hełmie i podartej jedwabnej koszuli pochlapał nagą szyję i plecy Mallory’ego chłodną wodą kolońską.

Po chwili na linie wyjechał w górę Brian.

– Czy to wojskowe spodnie dostrzegam pod błotem? – zdziwił się markiz. – Uciekłeś z koszar, przyjacielu?

Brian wzruszył ramionami.

– Podoba ci się taki urlop w Londynie?

Brian pokiwał głową zamasyście, jak głupek.

– Dajcie tej brudnej osobie nowe spodnie – polecił markiz.

Zwrócił się do swego oddziału: sześciu ludzi opuszczało pętlę z entuzjazmem zespołu startującego w przeciąganiu liny. – Towarzyszu Shillibeer! Jesteście podobnej budowy... Oddajcie mu swoje spodnie.

– Ale, towarzyszu markizie...

– Każdemu według potrzeb, towarzyszu Shillibeer. Zdejmujcie je natychmiast.

Shillibeer niezręcznie ściągnął spodnie i wręczył je Brianowi. Nie nosił bielizny i teraz nerwowo obciągał dłonią koszulę.

– Na miłość boską... – Markiz westchnął zniechęcony. – Czy każdy drobiazg trzeba wam tłumaczyć? – Wskazał Mallory’ego. – Ty! Zajmij miejsce Shillibeera przy linie. Ty, żołnierzu, który przestałeś być służalcem tyrana, a jesteś człowiekiem w pełni wolnym... wkładaj spodnie.

Towarzyszu Shillibeer, przestańcie się wiercić. Nie macie się czego wstydzić. Możecie

iść zaraz do kwatery głównej i pobrać świeżą odzież.

– Dziękuję, sir!

– Towarzyszu – poprawił go młodzian. – Znajdź sobie coś ładnego, Shillibeer. I przynieś jeszcze wody kolońskiej.

Jako następny wyjechał Tom. Mallory pomagał go wciągać. Bandytom przeszkadzały w ruchach luźno wiszące, nieprawidłowo noszone karabiny. Były to standardowe victorie, ciężkie, jednostrzałowe zabytki, używane teraz jedynie przez tubylcze wojska w koloniach. Rebelianci zaopatrzyli się też w wielkie kuchenne noże i własnej roboty pałki, poutykane w najdziwniejszych zakamarkach zrabowanej modnej odzieży. Nosili krzykliwe szarfy, przepocone jedwabie, wojskowe bandolier; bardziej przypominali tureckich baszybuzuków niż Brytyjczyków. Dwaj z nich byli jeszcze chłopcami; drugą parę stanowili mocno zbudowani, krępi opryszkowie, cuchnący alkoholem. Ostatnim, ku zaskoczeniu Mallory'ego, okazał się szczupły, milczący Murzyn ubrany w liberię lokaja.

Markiz Hastings dokładnie obejrzał Toma.

– Jak ci na imię?

– Tom, proszę pana.

– A jak on ma na imię? – Markiz wyciągnął rękę. – Ned.

– A on?

– Brian – odparł Tom. – Chyba.

– A jak, zechciej mi zdradzić, ma na imię ten ponury gagatek na dole, który tak bardzo przypomina policjanta?

Tom zawahał się.

– Nie wiesz?

– Nie chciał się nam przedstawić – wtrącił Mallory. – Nazywaliśmy go po prostu Wielebnym.

Markiz spojrzał na niego podejrzliwie.

– Dopiero dzisiaj spotkaliśmy Wielebnego – wyjaśnił gładko Tom. – Nie jesteśmy, jak to mówią, przyjaciółmi od serca.

– Przypuśćmy więc, że zostawimy go na dole – zaproponował markiz.

– Wyciągnijcie go – sprzeciwił się Mallory. – Jest sprytny.

– Tak? A co z tobą, towarzyszu Nedzie? Nie jesteś nawet w połowie tak głupi, jak udajesz. I wcale nie jesteś pijany.

– To dajcie się czegoś napić – odparł zuchwale Mallory. – Przydałby mi się też taki. jeden karabin, jeśli już mamy się dzielić łupem.

Markiz zerknął na rewolwer Mallory'ego, przechylił głowę i mrugnął, jakby obaj żartowali.

– Wszystko w swoim czasie, mój gorliwy przyjacielu – rzekł. Skinął wąską dłonią w rękawiczce. – No dobrze. Wyciągajcie go.

Fraser wyjechał w pętli na górę.

– Witaj, Wielebny – rzekł markiz. – Jakiegoż jesteś wyznania, jeśli wolno spytać?

Fraser zrzucił pętlę.

– A jak myślisz, szefie? Jestem czułym kwakrem.

Cały oddział zarechotał. Fraser, udając łajdacką radość z ich uciechy, potrząsnął zamaskowaną głową.

– Nie – wychrypiał. – Nie jestem kwakrem. Jestem falbansterem.

Śmiech ucichł.

– Falbansterem – upierał się Fraser. – Jednym z tych żółtonosych jankeskich wariatów...

– Falansterzystą, chciałeś powiedzieć – przerwał mu spokojnie markiz. – Inaczej mówiąc, laickim kaznodzieją Falansteru Susquehanny?

Fraser przyglądał mu się tępo.

– Mówię tu o utopijnych doktrynach profesora Coleridge’a i wielbego Wordswortha – dodał markiz z delikatną groźbą w głosie.

– Zgadza się – burknął Fraser. – Jednego z tych dwóch.

– Mam wrażenie, że nosisz policyjny pistolet w policyjnej kaburze, mój pacyfistyczny falansteryjny przyjacielu.

– Dostałem je od policjanta, nie? Ale on już nie żyje. Znowu rozległ się przerywany kaszlem rechot, bojący obok Mallory’ego chłopiec szturchnął starszego opryszka. w głowie mi się kręci od smrodu, Henry. Moglibyśmy już wracać?

– Zapytaj markiza – odparł Henry.

– Ty go zapytaj... On zawsze się ze mnie naśmiewa...

– Słuchajcie wszyscy! – zawołał markiz. – Jupiter i ja odprowadzimy nowych rekrutów do kwatery głównej. Pozostali ruszą dalej na patrol.

Czterej łotrzykowie zaszemrali niechętnie.

– Nie narzekajcie – upomniął ich markiz. – Wiecie, że wszyscy towarzysze kolejno pełnią wartę nad rzeką, tak samo jak wy.

Potem wraz z Murzynem ruszyli wzdłuż nabrzeża. Mallory nie mógł pojąć, że młody człowiek odwraca się plecami do uzbrojonych obcych. Była to albo zwykła głupota, albo wykalkulowana brawura.

Mallory porozumiał się wzrokiem z Tomem, Brianem i Fraserem. Wszyscy czterej mieli broń, gdyż anarchiści nie pofatygowali się nawet, by im ją odebrać. Jedna chwila wystarczyłaby, aby zastrzelić ich przewodnika, możliwe, że trzeba by zabić i Murzyna, choć nie był uzbrojony. Haniebna to rzecz atakować od tyłu, ale taka jest wojenna konieczność. Pozostali towarzysze rozglądali się jednak nerwowo i Mallory zrozumiał, że to od niego oczekują działania. Ta wyprawa zmieniła się w jego przedsięwzięcie, gdyż nawet Fraser postawił swe życie na los Edwarda Mallory’ego.

Mallory przyspieszył kroku i zrównał się z markizem Hastings.

– Co jest w tej waszej kwaterze, wasza lordowska wysokość? Dużo pięknych łupów, mam nadzieję.

– Dużo pięknej nadziei, mój łupiący przyjacielu. Ale mniejsza z tym. Powiedźcie mi, towarzyszu Nedzie, co byście zrobili z tym łupem, gdybyście już go mieli?

– To by zależało, co to takiego – odparł niepewnie Mallory.

– Zanieślibyście wszystko do waszej nory, potem sprzedali za ułamek wartości jakiemuś żydowskiemu paserowi, wydali pieniądze na pijaństwo, a po dwóch dniach obudzilibyście się w brudnej celi na komisariacie, z policyjnym butem na karku.

Mallory pogładził brodę.

– A co wy byście zrobili z łupem?

– Zaprząglbym go do pracy, ma się rozumieć. Zużyjemy towary dla sprawy tych, którzy nadali im wartość. Mam tu na myśli prosty lud Londynu, wyzyskiwane masy, klasy pracujące, które wytwarzają wszelkie bogactwa tego miasta.

– Dziwne to słowa...

– Rewolucja nie grabi, towarzyszu Nedzie. Rekwirujemy, konfiskujemy, uwalniamy! Was z przyjaciółmi przyciągnęły tu jakieś importowane błyskotki. Myślicie tylko, żeby porwać stąd tyle, ile za kilka chwil zdołacie złapać w ręce. Dlaczegoż zadowalać się garścią nędznych szylingów? Moglibyście zdobyć Londyn, współczesny Babilon! Moglibyście zdobyć przyszłość!

– Przyszłość, co? – Mallory obejrzał się na Frasera.

Ponad bawełnianą maską, oczy policjanta wyrażały szczere obrzydzenie. Mallory wzruszył ramionami.

– A ile można dostać za kwaterkę przyszłości, wasza lordowska miłość?

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mnie tak nie nazywał – odparł ostro markiz. – Zwracasz się do weterana ludowej rewolucji, żołnierza ludu, który dumny jest z prostego tytułu „towarzysza”.

– Przepraszam bardzo...

– Nie jesteś głupi, Ned. Nie mogłeś mnie wziąć za lorda radykałów. Nie jestem burżuazyjnym merytokratą! Jestem rewolucjonistą, z krwi i przekonań śmiertelnym wrogiem tyranii Byrona i wszystkich jego dzieł!

Mallory zakaszał.

– No dobrze – odezwał się nowym, ostrzejszym głosem. – O co w tym wszystkim chodzi? Zdobyć Londyn? Nie mówicie tego poważnie. Od czasów Wilhelma Zdobywcy nikomu się to nie udało.

– Ucz się historii, przyjacielu – odparował markiz. – Wat Tyler tego dokonał. Cromwell tego dokonał. Sam Byron tego dokonał! – Roześmiał się. – Lud Powstały przejął Nowy Jork! Rozmawiamy tu sobie, a tam ludzie pracy rządzą Manhattanem! Zlikwidowali bogatych! Spalili Tróję! Zdobyli środki informacji i produkcji. Jeśli – zwykli jankesi są do tego zdolni,

to tym bardziej lud angielski, o wiele bardziej zaawansowany na drodze historycznego rozwoju. Mallory zrozumiał, że ten człowiek – ten chłopiec raczej, gdyż pod swą maską, mimo przechwałek, był jeszcze bardzo młody – z całego serca wierzy w te obłąkane teorie.

– Ale jest przecież rząd – zaprotestował. – Przyślą armię.

– Wystarczy zabić klasę oficerów, a zwykli żołnierze powstaną wraz z nami. Spójrz na swojego przyjaciela. Jest chyba zadowolony z naszego towarzystwa. Prawda, towarzyszu Brianie?

Brian bez słowa kiwnął głową i pomachał ubłoconą ręką.

– Nie pojąłeś jeszcze genialnej strategii naszego kapitana – rzekł markiz. – Stoimy oto w sercu brytyjskiej stolicy, jedynym obszarze na Ziemi, którego imperialistyczna elita Brytanii nie zechce niszczyć w obronie swej zbrodniczej hegemonii. Lordowie radykałów nie zbombardują, nie spalą Londynu, by stłumić to, co mylnie uważają za przejściowe niepokoje. Ale... – Uniósł wyprostowany palec. –

Kiedy w całym mieście wzniesiemy barykady, przyjdzie im walczyć twarzą w twarz z pełną bitewnego zapалу klasą robotniczą, ludźmi rozbudzonymi pierwszym w życiu poczuciem prawdziwej swobody!

Urwał na chwilę, z trudem nabierając tchu w cuchnącym powietrzu.

– Wielu z klasy wyzyskiwaczy – podjął, kaszląc – wyjechało już z Londynu, uciekając przed Fetorem. Kiedy spróbują wrócić, rewolucyjne masy powitają ich stalą i ogniem. Będziemy atakować z dachów, z bram, z zaułków, kanałów i domów gry! – Przerwał, by otrzeć nos wyjętą z rękawa zasmarkaną chustką. – Zarekwirujemy każdy instrument zorganizowanego wyzysku: gazety, linie telegraficzne, pocztę pneumatyczną, pałace, koszary i biura! Użyjemy ich dla wielkiej sprawy wolności!

Mallory odczekał chwilę, ale zdawało się, że młody fanatyk powiedział już wszystko.

– I chcecie, żebyśmy wam pomogli? Przyłączyli się do tej waszej ludowej armii?

– Oczywiście!

– A co będziemy z tego mieli?

– Wszystko – odparł markiz. – Na zawsze.

Przy nabrzeżach doków West India stały przycumowane statki. Kanał, odnoga cuchnącej Tamizy, wydawał się czystszy, dopóki między plamami brudu Mallory nie zobaczył pływających w wodzie trupów. Zamordowani marynarze, załogi pozostawiane przez armatorów do pilnowania statków w porcie. Zwłoki pływały jak drewno; widok przejmował chłodem do szpiku kości. Idąc za markizem chodnikiem między żurawiami, Mallory naliczył piętnaście czy szesnaście ciał. Być może, myślał, większą część załóg zabito gdzie indziej albo namówiono, by przyłączyły się do piratów Swinga. Nie wszyscy marynarze byli lojalni wobec władzy i porządku. Przypominał o tym rewolwer Ballester-Molina, zimnym metalem uciskający mu brzuch.

Markiz i jego Murzyn szli dalej spokojnie. Minęli porzucony statek, gdzie ciemny opar –

dym albo para – kłębił się groźnie nad otwartymi lukami. Czterech anarchistów, obok karabinów ustawionych w nierówny kozioł, grało w karty na barykadzie z beli zrabowanego perkalu.

Inni strażnicy, zarośnięci bandyci w pogniecionych cylindrach i jeszcze gorszych spodniach – uzbrojone ludzkie wraki – spali na przewróconych taczkach i tragach, między szczątkami rozbitych beczek, koszy, zwojami lin cumowniczych, deskami ramp ładunkowych i stosami węgla z unieruchomionych parowych żurawi. Z magazynów po drugiej stronie kanału, na południu, słychać było kanonadę strzałów. Markiz nie zwracał na to uwagi, nie zwolnił nawet kroku, nie spojrzał.

– Zdobyliście wszystkie te statki? – zapytał Mallory. – Musicie mieć wielu ludzi, towarzyszu markizie.

– Z każdą godziną więcej – zapewnił go chłopiec. – Nasi ludzie przeczesują Limehouse i budzą do walki każdą robotniczą rodzinę. Czy znacie pojęcie wzrostu wykładowego, towarzyszu Nedzie?

– Nie... – skłamał Mallory.

– To matematyczny termin dziurkarski – wyjaśnił obojętnie markiz. – Bardzo interesująca dziedzina: dziurkarstwo maszynowe. O nieskończonych zastosowaniach dla naukowych studiów nad socjalizmem... – Myślał chyba o czymś innym; był wyraźnie zdenerwowany. – Jeszcze jeden dzień Fetoru, a będziemy mieli więcej ludzi niż londyńska policja! Nie jesteście moimi pierwszymi rekrutami. Zdobyłem w tym spore doświadczenie. Zresztą mogę się założyć, że nawet mój Jupiter by sobie poradził.

Klepnął Murzyna w ramię.

Czarny nie zareagował. Mallory zaczął podejrzewać, że jest głuchoniemy. Nie nosił maski – może jej nie potrzebował.

Markiz doprowadził ich do największego z ciągu magazynów. Nawet pośród gwiazd handlowego firmamentu, takich jak Whitby, Evan-Hare, Aaron, Madras & Pondicherry i S-ka, ten był istnym pałacem komercyjnej nowoczesności. Szerokie wrota ładunkowe uniosły się na sprytnym systemie obciążników, odsłaniając wnętrze stalowej konstrukcji, ze stropem rozcinanym świetlikami z mlecznego szkła, ciągnącym się daleko i szeroko jak boisko piłkarskie. Poniżej dachu rozrastała się płatanina stalowych klamer, pajęczyna pomostów i suwnic, gdzie maszynowo kierowane wózki mogły przemieszczać się jak pająki. Gdzieś tam sapały tłoki parowe i słychać było znajomy stukot maszynowej prasy drukarskiej.

Ale prasa ukryta była w głębi, poza labiryntem łupów, które mogłyby oszołomić nawet Borgię. Wokół leżały stosy, stogi, góry towarów: brokaty, fotele, wazony, żyrandole, wazy, materace, żelazne figurki i baseniki dla ptaków, stoły bilardowe i bary, łóżka i filary, zwinięte dywany i marmurowe kominki...

– Niech mnie licho! – wykrzyknął Tom. – Jak to wszystko zebraliście?

– Jesteśmy tu już od wielu dni – odparł markiz. Ściągnął chustę, odsłaniając niemal

dziewczęco piękne oblicze i opadający jasny wąs. – Ale nie brakuje też towarów w innych magazynach i wszyscy będziecie mogli popracować przy taczach i noszach. To niezła zabawa. I to jest wasze, gdyż należy w równym stopniu do nas wszystkich.

– Wszystkich? – zdziwił się Mallory.

– Oczywiście. Wszystkich towarzyszy. Mallory wskazał Murzyna.

– A co z nim?

– Co? Mój Jupiter? – Markiz zamrugnął, wyraźnie nie rozumiejąc. –

Jupiter też należy do nas wszystkich, ma się rozumieć. Nie jest tylko moim służącym, ale służy wspólnemu dobru. – Wytarł nos chustką. – Chodźcie za mną.

Stosy łupów zmieniły załadowany z naukową precyzją magazyn w monstrualną szczurzą norę. Idąc za markizem, mijali ławice strzaskanych kryształów, jeziora oliwy, trzeszczące aleje wysłane łupinami fistaszków.

– To dziwne... – mruknął chłopiec. – Kiedy tu byłem ostatnio, wszędzie kręcili się towarzysze.

Góry towarów małały bliżej tylnej części hali. Minęli stukającą prasę drukarską, ukrytą w ślepym zaułku sięgających wysoko paczek papieru. Ktoś przerzucił przez barykadę plik afiszów, przewracając niemal markiza, który zwinnie przeskoczył nad przeszkodą.

Mallory usłyszał czyjś głos, wysoki i przenikliwy.

Przy tylnej ścianie magazynu sporą powierzchnię zmieniono w zaimprovizowaną salę wykładową. Tablica, stół zastawiony szklanymi kolbami i pulpit stały chwiejnie na podium ze skrzynek mydła. Nie dopasowane do siebie krzesła z dębu i klonu służyły milczącej publiczności w liczbie około sześćdziesięciu osób.

– A więc tu są – stwierdził markiz dziwnie drżącym głosem. – Mamy szczęście. Doktor Barton zaszczyca nas swoim wykładem. Siadajcie, towarzysze. Zapewniam was, że nie pożałujecie.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Mallory’ego, zostali zmuszeni do zajęcia miejsc w ostatnim rzędzie. Murzyn stanął pod ścianą, założywszy ręce do tyłu.

Siedzący obok markiza Mallory przetarł w zdumieniu piękące oczy.

– Ten wasz doktor nosi suknię!

– Ciszej – szepnął z oburzeniem chłopak.

Kobieta, trzymając w dłoni hebanową obsadkę z kredą, atakowała zebranych głosem piskliwym, ale pełnym fanatyzmu. Dziwna akustyka sali zniekształcała jej słowa, sprawiając, że brzmiały jak wypowiedane przez membranę. Był to wykład poświęcony chyba wstrzeźliwości, oskarżała bowiem „truciznę alkoholu” i zagrożenie, jakie stanowi dla „rewolucyjnego ducha klasy robotniczej”. Na stole przed sobą rozstawiła butelki trunków, duże, ze szklanymi korkami, oznaczone rysunkiem czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Wokół stały kolby destylacyjne, leżały czerwone gumowe węże, druciane klatki i laboratoryjne stojaki.

Siedzący po prawej stronie Tom stuknął Mallory'ego w ramię i szepnął niemal przerażony:

– Ned! Ned! Czy to lady Ada?

– Wielki Boże, chłopcze – syknął Mallory. Strach zjeżył mu włosy na ramionach i karku.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Oczywiście, że to nie ona.

Tom uspokoił się; był zdziwiony i jakby czymś urażony.

– Więc kim ona jest?

Kobieta na podium podeszła do tablicy i wypisała damskim, ozdobnym pismem słowa „Degeneracja neurasteniczna”. Potem odwróciła głowę, ponad ramieniem kierując do słuchaczy fałszywy uśmiech. Wtedy Mallory ją rozpoznał.

To była Florencja Russell Bartlett.

Ze zduszonym jękiem zdumienia zeszytywniał na krześle. Coś – pewnie włókienko bawełny z maski – utkwilo mu w krtani niczym cierń. Zaczął się krztusić. W zaschniętym gardle drapało go straszliwie. Próbował się uśmiechnąć, szepnąć jakieś przeprosiny, ale miał wrażenie, że stalowe szczypce zacisnęły mu się na tchawicy. Z najwyższym wysiłkiem walczył ze spazmami kaszlu. Łzy płynęły mu z oczu, ale nie mógł się powstrzymać ani nawet stłumić koszmarne go odgłosu. Niczym rozkrzyczany handlarz zwrócił na siebie powszechną uwagę. Wreszcie poderwał się na nogi, ze stukiem przewrócił krzesło i, zataczając się, wyszedł zgięty wpół i prawie ślepy.

Rękami macając drogę, brnął przed siebie przez zamglony labirynt łupów; potknął się o coś, z traskiem zrzucił jakiś drewniany przedmiot. Cudem udało mu się znaleźć schronienie w jakimś zakątku i tam pochylił się rozdygotany; kula żółci i flegmy w gardle dławiła mu oddech. Mogę tu umrzeć, pomyślał zrozpaczony; oczy wychodziły mu z orbit. Coś we mnie pęknie. Serce nie wytrzyma.

Aż nagle atak ustał, kaszel przeminął. Mallory wciągnął powietrze do płuc, odchrząknął, odzyskał oddech. Dłonią otarł plwociny z brody. Odkrył, że opiera się o rzeźbę: naturalnej wielkości hinduska dziewczyna z patentowego sztucznego marmuru Coate'a, półnaga, z dzbanem wody wspartym na okrytym wstęgą materiału biodrze. Dzban był z litego kamienia, oczywiście, choć każdy atom ciała Mallory'ego błagał o wodę.

Ktoś klepnął go mocno w plecy. Odwrócił się, oczekując Toma albo Briana; zobaczył markiza.

– Dobrze się czujecie?

– Przejściowy atak – wychrypiał Mallory. Machnął ręką, niezdolny się wyprostować.

Markiz wsunął mu w dłoń srebrną flaszkę.

– Pijcie. To pomoże.

Spodziewał się brandy, ale kiedy przytknął flaszkę do warg, poczuł w ustach gęstą ciecz smakującą lekko lukrecją i żywicą. Przełknął z wahaniem.

– Co... Co to jest?

– Jeden z ziołowych wywarów doktor Barton – wyjaśnił markiz. – Specyfik pomagający na Fetor. Pozwólcie, że zwilżę wam tym maskę; opary oczyszczą płuca.

– Wolałbym nie – szepnął Mallory.

– Czy jesteście w stanie wrócić na wykład?

– Nie! Nie.

Markiz przyjrzał mu się sceptycznie.

– Doktor Barton jest medycznym geniuszem. To pierwsza kobieta w historii, która z wyróżnieniem ukończyła Heidelberg. Gdybyście wiedzieli, jakich cudów dokonywała we Francji wśród chorych, skazanych już na śmierć przez tak zwanych ekspertów...

– Wiem – stęknął Mallory.

Zaczynał odzyskiwać siły, a wraz z nimi chęć, by przydusić tego markiza, potrząsnąć tym przeklętym groźnym durniem, aż wszystkie bzdury wypłyną z niego jak klej. Odczuwał też samobójczą ochotę, by wyrzucić z siebie prawdę – że wie, iż ta doktor Barton jest trucicielką, cudzołożnicą, *uitrioleuse* poszukiwaną przez policję co najmniej dwóch krajów. Mógłby wyznać to szeptem, a potem zabić markiza Hastings i ukryć gdzieś jego ciało.

Słabość minęła; zastąpiło ją racjonalne planowanie, chłodne i twarde jak lód.

– Wolę raczej porozmawiać z wami, towarzyszu – oświadczył – niż słuchać wykładów.

– Naprawdę? – Hastings się rozpromienił.

Mallory z zapalem kiwnął głową.

– Ja... Przekonałem się, że zawsze odnoszę korzyść, słuchając kogoś, kto zna się na swojej robocie.

– Nie potrafię was rozszyfrować, towarzyszu – wyznał markiz. – Czasem wydajecie mi się typowym egoistycznym durniem, ale w chwilę później jesteście człowiekiem wyrafinowanym i inteligentnym... Z pewnością o klasę wyższym niż wasi przyjaciele.

– Sporo podróżowałem – wyjaśnił Mallory. – Myślę, że to poszerza horyzonty.

– Dokąd podróżowaliście, towarzyszu?

– Do Argentyny. Do Kanady. – Mallory wzruszył ramionami. – Tu i tam na Kontynencie...

Markiz rozejrzał się czujnie, jakby szukał szpiegów przyczajonych między basenami dla ptaków i żyrandolami. Nie znalazł żadnego; uspokoił się nieco i przemówił z nowym zapalem, choć ściszym głosem:

– A znacie może amerykańskie Południe? Konfederację?

Mallory pokręcił głową.

– Jest tam w Południowej Karolinie miasto Charleston. Czarująca miejscowość. Żyje tam liczna grupa dobrze urodzonych brytyjskich uchodźców, którzy uciekli przed radykałami. Zrujnowani brytyjscy *cavaliers*.

– Bardzo miło – mruknął Mallory.

– Charleston to miasto wyrafinowane i kulturalne, jak każde w Brytanii.

– A wy się tam urodziliście, tak? – Mallory popełnił błąd, wygłaszając na głos swoje wnioski, gdyż Hastings był wyraźnie czuły na tym punkcie. Zmarszczył brwi. Mallory pospiesznie ciągnął dalej: – Musiało się wam dobrze powodzić w Charlestonie, skoro macie Murzyna.

– Mam nadzieję, że nie jesteście antyniewolniczym bigotem... Tak wielu Brytyjczyków jest nimi... Pewnie chcielibyście, żebym wysłał biednego Jupitera do jakiejś malarycznej dżungli w Liberii!

Mallory pohamował się, by nie przytaknąć. W istocie był abolicjonistą i zwolennikiem repatriacji Murzynów.

– W Cesarstwie Liberyjskim nieszczęsny Jupiter nie przetrwałby ani dnia – oświadczył markiz. – A wiecie, że umie czytać i pisać? Sam go nauczyłem. Czytuje nawet poezję.

– Wasz Murzyn czyta wiersze?

– Nie „wiersze”. Poezję. Wielkich poetów. Johna Milтона... Ale pewnie nigdy o nim nie słyszeliście.

– Jeden z ministrów Cromwella – odparł natychmiast Mallory. – Autor dzieła *Areopagitica*.

Markiz skinął głową, wyraźnie zadowolony.

– John Milton napisał poemat epicki, *Raj utracony*. To opowieść biblijna wierszem.

– Jestem agnostykiem.

– A słyszeliście o Williamie Blake’u? Pisał i sam ilustrował swoje zbiory wierszy.

– Nie mógł znaleźć porządnego wydawcy, co?

– Wciąż jeszcze żyją w Anglii wspaniali poeci. Słyszeliście kiedy nazwisko Johna Wilsona Crokera? Winthropa Mackwortha Praeda? Bryana Wallera Proctera?

– Niewykluczone – przyznał Mallory. – Czytam trochę... Głównie pensowe przygody.

Dziwiło go to niezwykle zainteresowanie markiza tak abstrakcyjnym tematem. Poza tym martwił się o Toma i pozostałych – co sobie wyobrażają, kiedy siedzą tam i czekają na jego powrót. Mogą stracić cierpliwość i spróbować czegoś nieprzemyślanego, co im wszystkim zaszkodzi.

– Percy Bysshe Shelley był poetą, zanim w Ciężkich Czasach stanął na czele luddytów. I wiecie, że Percy Shelley żyje! Byron zesłał go na wyspę św. Heleny. Pozostaje uwięziony w rezydencji Napoleona I. Niektórzy mówią, że napisał tam całe księgi sztuk i sonetów.

– Bzdura – stwierdził Mallory. – Shelley zmarł w więzieniu, wiele lat temu.

– Żyje – upierał się markiz. – Niewielu jest tego świadomych.

– Za chwilę powiecie, że Charles Babbage pisuje poezje – odparował poirytowany Mallory. – Jaki w tym sens?

– Mam taką teorię... – wyznał młodzieniec. – Właściwie nie tyle poważną teorię, co raczej poetycką intuicję. Ale odkąd przestudiowałem prace Karola Marksa i, oczywiście, wielkiego Williama Collinsa, mam uczucie, że dokonano gwałtu na prawdziwej, naturalnej

drodze rozwoju ludzkości. – Markiz skrzywił się. – Ale wątpię, żebyście mnie rozumieli, mój pocziwcze.

Mallory gwałtownie pokręcił głową.

– Rozumiem bardzo dobrze. Mówicie o Katastrofie.

– Tak. Można tak to określić.

– Historia realizuje się poprzez Katastrofę. Tak działa świat, to – jedyny sposób jaki jest, był i będzie. Nie ma historii; wszystkim rządzi ślepy traf.

– Jesteś kłamcą! – zawołał markiz. Utracił swój chłód.

Mallory poczuł, że ta głupia obraza dotknęła go do żywego.

– Bujasz w obłokach, chłopcze! „Historia”... Uważasz, że powinieneś mieć tytuł i majątek, a ja powinienem gnić w Lewes i robić kapelusze. I o to tylko ci chodzi! Jesteś durniem; radykałów nie interesuje twój Marks i Collins ani cała ta poetyczna pantomima. Wybijają was tutaj jak szczury na arenie!

– Nie jesteś tym, za kogo się podajesz – szepnął markiz. Zbladł jak ściana. – Kim jesteś? Czym jesteś?

Mallory napiął mięśnie.

– Szpieg! – Młodzieniec szeroko otworzył oczy i sięgnął po broń.

Mallory uderzył go pięścią w twarz. Markiz zatoczył się, a Mallory złapał go za ramię i lufą rewolweru zadał jeden, potem drugi cios w głowę. Markiz upadł zakrwawiony.

Mallory chwycił jego pistolet, wyprostował się i rozejrzał. Murzyn Jupiter stał o pięć jardów od niego.

– Widziałem – oznajmił spokojnie.

Mallory milczał. Wymierzył w niego obie lufy.

– Uderzyliście mojego pana. Zabiliście go?

– Chyba nie.

Murzyn skinął głową. Rozłożył otwarte dłonie: powoli, jakby udzielał błogosławieństwa.

– Wy mieliście rację, sir, a on mylił się całkowicie. Nie istnieje historia. Nie ma postępu ani sprawiedliwości. Nie ma nic prócz grozy i przypadku.

– To możliwe – przyznał ostrożnie Mallory. – Ale jeśli krzykniesz, będę cię musiał zastrzelić.

– Gdybyście go zabili, sir, krzyknąłbym z całą pewnością. Mallory obejrzał się.

– Jeszcze oddycha.

Zapadła cisza. Murzyn stał nieruchomo, sztywny i doskonały, niezdecydowany i nieporuszony niczym platoński stożek idealnie wyważony na wierzchołku, czekający na jakieś pchnięcie spoza zakresu przyczynowości, by określiło kierunek jego upadku. Po chwili westchnął.

– Wracam do Nowego Jorku – oświadczył.

Odwrócił się na pięcie i odszedł niespiesznie, znikając między wysokimi barykadami

towarów.

Mallory był pewien, że nie podniesie alarmu. Odczekał jednak chwilę, by przekonać się o słuszności tej wiary. Markiz poruszył się na podłodze i jęknął. Mallory zdarł mu z głowy jedwabną chustkę i zakneblował go.

Błyskawicznie wciągnął nieprzytomnego młodzieńca za masywną urnę z terakoty.

Wysiłek wysuszył mu gardło. Miał wrażenie, że krtań pokrywa zakrwawiony papier ścierny. Wokół nie było nic do picia... z wyjątkiem tej srebrnej flaszki podejrzanego wywaru. Mallory obmacał kieszenie markiza, znalazł ją i zwilżył usta. Napój wzbudził mrowienie na podniebieniu, jak wytrawny szampan. Był obrzydliwy, ale w jakiś sposób zdawał się dodawać sił. Wypił jeszcze kilka łyków.

Potem wrócił do sali wykładowej i zajął miejsce obok Frasera. Policjant uniósł pytająco brew, a w odpowiedzi Mallory poklepał ręką pistoletu markiza, zatkniętego za pas obok rewolweru Ballestera-Moliny. Fraser ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Florencja Russell Bartlett kontynuowała swoje przemówienie. Jej zachowanie wywoływało niemal okultystyczny paraliż u słuchaczy. Mallory spostrzegł z niesmakiem i obrzydzeniem, że kobieta demonstruje jakieś podejrzanе urządzenia, mające zapobiegać ciąży. Krążek z miękkiej gumy, gąbkowy tampon z umocowaną nitką. Wyobrażnia mimo woli podsunęła mu ponury obraz stosunku z użyciem tych dziwacznych przedmiotów. Sama myśl o tym budziła mdłości.

– Przed chwilą zabiła królika – syknął Fraser. – Zanurzyła mu nos w wywarze z cygara.

– Nie zabiłem chłopaka – odpowiedział mu szeptem Mallory. –

Ma chyba wstrząs mózgu...

Bartlett bredziła o doborze selektywnym, prowadzonym dla wzmocnienia ludzkiego gatunku. W przyszłości, jaką planowała, miały nie istnieć normalne małżeństwa. „Powszechna wolna miłość” zastąpi cnotę. Reprodukacja zostanie powierzona ekspertom... Koncepcje jak widma krążyły po wybrzeżach świadomości Mallory’ego. Przypomnił sobie nagle – właściwie bez żadnego powodu – że dzisiaj, właśnie o tej porze, miał się odbyć jego tryumfalny wykład o brontozaurze z towarzyszeniem kinotropowego pokazu autorstwa pana Keatsa. Ten zbieg okoliczności przyprawił go o lodowaty dreszcz.

Brian pochylił się nagle i, sięgnąwszy nad kolanami Frasera, w żelaznym uścisku zamknął przegub Mallory’ego.

– Ned! – syknął. – Chodźmy stąd! To przeklęte miejsce!

– Jeszcze nie – odparł Mallory. Ale doznał wstrząsu. Poprzez dłoń brata w jego ciało popłynęła mesmeryczna fala czystej paniki. – Nie wiemy, gdzie się ukrywa Swing. Może być wszędzie w tym labiryncie...

– Towarzysze! – zawołała śpiewnie Bartlett głosem lodowatym i ostrym jak brzytwa. – Tak, wy czterej z tyłu! Jeśli już musicie nam przeszkadzać, jeśli macie wieści tak bardzo nie cierpiące zwłoki, to z pewnością zechcecie się nimi podzielić z innymi towarzyszami w

Chautauqua!

Wszyscy czterej zamarli.

Bartlett przeszła ich spojrzeniem Meduzy. Inni słuchacze, uwolnieni spod jej paraliżującego wpływu, oglądali się na nich z okrutną uciechą. Oczy tłumu lśniły rozkoszną ulgą skazańców, którzy widzą, że przeznaczona im kara spotyka kogoś innego...

Tom i Brian szeptali gorączkowo.

– Czy ona mówi o nas?

– O Boże, co teraz zrobimy?

Mallory czuł się tak, jakby uwiązł w koszmarze. Stanowcze słowo może przełamać ten paraliż, uznał.

– Jest tylko kobietą – oznajmił głośno i spokojnie.

– Cicho! – syknął Fraser. – Nie odzywaj się!

– Nie macie nam nic do powiedzenia? – drwiła Bartlett. – Tak myślałam...

Mallory wstał.

– Ja mam coś do powiedzenia!

Niczym diabełki wyskakujące z pudełka trzech mężczyźni spośród publiczności poderwali się, podnosząc ręce.

– Pani doktor! Doktor Barton!

Bartlett kiwnęła głową i wskazała kredą.

– Towarzysz Pye ma głos.

– Doktor Barton – wykrzyknął Pye. – Nie poznaję tych towarzyszy. Zachowują się wstecznie i uważam... uważam, że zasługują na krytykę!

Pełna napięcia cisza ogarnęła salę. Fraser szarpnął Mallory'ego za nogawkę.

– Siadaj, durniu! Straciłeś rozum?

– Mam wieści – zawołał Mallory przez płócienną maskę. – Wieści dla kapitana Swinga!

Bartlett wyglądała na zaszokowaną. Zerknęła nerwowo na wszystkie strony.

– Zdradźcie je nam wszystkim – nakazała. – Nie mamy tu przed sobą tajemnic.

– Wiem, gdzie jest Modus, pani Bartlett! – krzyknął Mallory. – Czy mam to powiedzieć wszystkim tym frajerom i tępakom?

Trzasnęły przewracane krzesła. Ludzie podrywali się na nogi. Bartlett wrzasnęła coś piskliwie, lecz harmider zagłuszył jej słowa.

– Potrzebuję Swinga! Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy! – Mallory kopnął puste krzesło przed sobą i wyrwał zza pasa broń. – Siadać, łajdaki! – Wymierzył w publiczność. – Wybiję dziurę w pierwszym, który się ruszy!

Odpowiedzią były wystrzały.

– Uciekajmy! – rzucił chrapliwie Brian.

On, Fraser i Tom zniknęli natychmiast.

Krzesła pękały w drzazgi i padały na podłogę z obu stron Mallory'ego. Słuchacze

strzelali do niego. Wymierzył obie lufy w Bartlett na podium i pociągnął za spusty.

Żaden nie wystrzelił. Zapomniał odciągnąć kurki. Broń markiza miała chyba jakąś niklowaną dźwigienkę bezpiecznika.

Ktoś rzucił w niego krzesłem; Mallory uchylił się odruchowo, ale wtedy coś uderzyło go mocno w stopę. Cios był tak silny, że odebrał mu czucie w nodze. Zachwiał się. Wykorzystał tę okazję, by się wycofać.

Jakoś nie potrafił się rozpędzić. Może został ranny. Kule świstały wokół, budząc nostalgiczne wspomnienia dalekiego Wyoming.

Fraser machał do niego z bocznego zaułka. Mallory podbiegł, skręcił, pośliznął się.

Fraser spokojnie wyszedł na nie osłoniętą przestrzeń i uniósł swój policyjny pistolet. Stał w pozie pojedynkowicza: prawa ręka wyciągnięta, głowa wyprostowana, ciało odwrócone bokiem, by stanowić jak najmniejszy cel. Wystrzelił dwukrotnie; zabrzmiały krzyki. Potem chwycił Mallory'ego za ramię.

– Tędy!

Serce Mallory'ego biło szaleńczo. Nie mógł pewnie stanąć na nogach.

Kulejąc, wbiegł do zaułka, zakończonego ślepą ścianą. Fraser nerwowo szukał jakiegoś przejścia, gdzie mogliby się przeczołgać. Tom podsadzał Briana na wysoki, chwiejny stos kartonowych pudeł.

Mallory wyhamował przy braciach, odwrócił się, uniósł broń. Szybko zerknął na swoją stopę – zabłąkana kula oderwała mu obcas. Podniósł głowę i zobaczył kilku bandytów, ścigających go z wrzaskiem.

Potężny huk wstrząsnął budynkiem. Stosy puszek w kłębach dymu potoczyły się po podłodze. Mallory szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Cała szóstka łajdaków jak rażona piorunem leżała nieruchomo na Ziemi.

– Ned! – krzyknął Brian ze szczytu stosu pudeł. – Zabierz ich broń!

Kłęczał na jednym kolanie; dym unosił się z otwartej komory rosyjskiego pistoletu. Brian załadował kolejny nabój z mosiądzu i czerwonego woskowanego papieru, gruby jak policyjna pałka.

Mallory'emu dzwoniło w uszach. Skoczył do przodu, pośliznął się w kałuży krwi i niemal upadł. Oparł się prawą ręką i rewolwer wystrzelił; kula odbiła się od żelaznej belki pod stropem. Mallory przystanął, ostrożnie spuścił kurki obu pistoletów, wcisnął je za pasek. Bezcenne sekundy mijały bezpowrotnie.

Zaułek spływał krwią. Wystrzał rosyjskiej armaty straszliwie podziurawił napastników. Jeden z nieszczęśników charczał jeszcze, gdy Mallory wyciągał spod niego karabin Victoria z kolbą czerwoną od krwi. Przez chwilę mocował się z bandolierem, ale zrezygnował. Wziął za to jeszcze jeden jankeski rewolwer z drewnianą rękojeścią. Coś ukłuło go boleśnie, kiedy brał broń do ręki. Spojrzał zdumiony na zranioną dłoń, potem na kolbę. W drewno wbił się skręcony odłamek metalu – ostry jak brzytwa opilek żelaza.

Trzasnęły strzały. Kule wbijały się w stosy towarów z dziwnym chrzęstem i melodyjnym brzękiem szkła.

– Mallory! – zawołał Fraser. – Tędy!

Odkrył szczelinę przy ścianie magazynu. Mallory odwrócił się, by zarzucić karabin na ramię i poszukać Briana. Dostrzegł, że młody artylerzysta przeskoczył nad zaułkiem, szukając dogodnej pozycji do następnego strzału.

Ruszył za Fraserem. Przez kilka jardów przeciskał się z trudem, stękając. Kule uderzały o cegły przed nimi i za nimi, wszystkie jednak wysoko ponad ich głowami. Kilka źle wymierzonych pocisków przebiło blaszany dach z odgłosem przypominającym uderzenia werbli.

Wynurzyli się w kolejnym ślepych zaułku. Tom pracował już jak szatan, układając barykadę z damskich toaletek na zgiętych nogach. Meble leżały w stosie, niby pokryte białym lakierem martwe tropikalne pająki.

Coraz głośniejszą rozbrzmiewała kakofonia wystrzałów. Z tyłu rozległy się okrzyki wściekłości i lęku – napastnicy znaleźli zabitych.

Tom wcisnął żelazny pręt łóżka pod wysoki stos skrzynek, zaparł się mocno i przewrócił je na ziemię.

– Ilu? – wysapał.

– Sześciu.

Chłopak wyszczerzył zęby w szaleńczym uśmiechu.

– Oni nas tylu nie zabijają. Gdzie jest Brian?

– Nie wiem.

Mallory wręczył bratu karabin. Tom ujął go za lufę, zdziwiony ściekającą krwią.

Fraser, trzymający wartość przy szczelinie, wystrzelił ze swojego pistoletu. Rozległ się przeraźliwy dziewczęcy krzyk i szelest, jakby szczura uwieszonego w norze.

Dokładniej mierzone strzały uderzyły w stosy opakowań dookoła – krzyk zwrócił uwagę ścigających. Stożkowy pocisk wielkości kciuka spadł znikąd do stóp Mallory’ego i wirował na podłodze.

Fraser stuknął go w ramię. Mallory obejrzał się. Policjant ściągnął maskę; oczy mu błyszczały, a czarna szczecina pokryła blade policzki.

– Co teraz, doktorze Mallory? Jakiś nowy błyskotliwy manewr?

– To przecież mogło się udać – zaprotestował Mallory. – Gdyby mi uwierzyła, mogła nas zaprowadzić prosto do Swinga. Z kobietami nigdy nic nie wiadomo...

– Ależ uwierzyła panu, uwierzyła... – Fraser zaśmiał się nagle: dziwny, suchy chichot, podobny do tarcia dwóch kawałków drewna. – Co pan tam ma?

– Pistolet. – Mallory wręczył mu zdobytą broń. – Uważaj pan, w kolbie tkwi szrapnel.

Fraser obcasem wyłamał metalowy kolec.

– Nie widziałem jeszcze czegoś takiego jak pukawka tego chłopaka! Wątpię, czy jest

legalna, nawet dla jednego ze wspaniałych krymskich bohaterów.

Kula z karabinu odłupała kawałek stolika i o włos chybiła Frasera. Mallory rozejrzał się zaskoczony.

– Niech to diabli!

Daleki strzelec wspiał się jak małpa na stalową belkę pod dachem i właśnie ładował karabin.

Mallory wyrwał Tomowi karabin, owinał zakrwawiony pas wokół przedramienia i wymierzył starannie. Nacisnął spust. Bezskutecznie, gdyż z tego jednostrzałowca ktoś już musiał wcześniej wypalić. Lecz strzelec z przerażeniem otworzył usta i z łomotem skoczył w dół.

Mallory otworzył zamek, wyrzucając pustą łuskę.

– Powinienem zabrać ten przeklęty bandolier!

– Ned! – Brian pojawił się nagle po lewej stronie, skulony na stosie skrzyń. – Tam... Bele bawełny!

– Dobrze!

Podążyli za nim; wspięli się na ścianę paczek w kaskadach fiszbinów i świec. Kule świstały i stukały wokół nich – Mallory domyślił się, że kolejni bandyci dotarli na belki pod dachem, ale nie miał czasu sprawdzić. Fraser wyprostował się raz i wystrzelił, jednak bez widocznych efektów.

Dziesiątki stufuntowych bel konfederackiej bawełny, owiniętych jutą i sznurami, ułożono w piramidę sięgającą niemal sufitu.

Brian gwałtownie pomachał im ręką, po czym zniknął po drugiej stronie stosu. Mallory zrozumiał: była to naturalna forteca. Wymagała tylko niewielkich przygotowań.

Razem z Tomem wyciągnęli belę ze szczytu i zrzucili w dół, zstępując w powstałą jamę. Pociski z cichym stukiem wbijały się w bawełnę. Fraser podniósł się i odpowiedział ogniem.

Wyrzucili kolejną belę, potem trzecią. Fraser zeskoczył do nich, potknął się, ale natychmiast przyłączył do pracy. Upłynęła gorączkowa minuta; niby mrówki w pudle cukru w kostkach wygrzebali tunel do wnętrza stosu.

Przeciwnicy wiedzieli już, gdzie się ukryli. Kule stukały o mury bawełnianej twierdzy, lecz nie były groźne. Mallory oderwał wielki kłęb, otarł krew i pot z czoła i ramion. Przerzucanie beli okazało się ciężką, męczącą pracą; nic dziwnego, że Południowcy powierzali ją swoim Czarnym. Fraser odsłonił wąską szczelinę między belami.

– Dajcie inny pistolet! – rzucił.

Mallory wręczył mu długolufą broń markiza. Fraser wystrzelił, zmrużył oczy, kiwnął głową.

– Piękna sztuka...

Odpowiedziała mu salwa niegroźnych strzałów. Stękając z wysiłku, Tom wyrzucił z jamy kolejną belę. Uderzyła o coś, co brzęknęło jak zgniatana pianola.

Sprawdzili zapasy. Tom miał derringera z jednym nabojem; przyda się może, jeśli anarchiści ruszą do szturmów jak piraci do abordażu, ale nie wcześniej. Rewolwer Mallory'ego miał jeszcze trzy pełne komory, wielolufowiec Fräsera trzy pociski, a pistolet markiza pięć. Mieli też pusty karabin Victoria i krótką pałkę Fräsera.

Nie było ani śladu Briana.

W głębi magazynu zabrzmiały stłumione gniewne okrzyki... Rozkazy, domyślił się Mallory. Kanonada ucichła nagle i zapadła złowróżbna cisza, przerywana jakimś szelestem i czymś, co brzmiało jak uderzenia młotków. Wyjrzał ostrożnie. Nie dostrzegł wrogów, ale wrota magazynu zostały zamknięte.

Zmierzch okrył budynek falą szarości. Nad oszklonym dachem szybko zapadała ciemność – tak nieprzenikniona, jakby to Feter na zewnątrz nagle zgęstniał.

– Może powinniśmy uciekać? – szepnął Tom.

– Nie możemy bez Briana – odparł Mallory.

Fraser potrząsnął głową ponuro. Nie mówił głośno o swych wątpliwościach, były jednak aż nadto wyraźne.

Przez chwilę pracowali w półmroku: poszerzali jamę, wkopywali się głębiej, wynosili bele, by służyły jako blanki. Odgłosy tych wysiłków wywołały odpowiedź wroga: błyski wystrzałów rozjaśniły ciemność, kule rykoszetowały od stalowych belek nad głowami. Tu i tam wśród stosów towaru lśniły płomyki latarni.

Znowu krzyki rozkazów i strzały umilkły. Coś zabębniło po blaszanym dachu i ucichło.

– Co to było? – zdziwił się Tom.

– Brzmiało jak uciekające szczury – stwierdził Mallory.

– Deszcz! – oświadczył Fraser.

Mallory nie odpowiedział. Jeśli nawet, to raczej deszcz popiołów, uznał.

Ciemność rozjaśniła się znowu, całkiem niespodziewanie. Mallory wyjrzał przez krawędź. Grupa łajdaków podkrađła się niemal do stóp umocnień. Szli boso, w milczeniu; niektórzy trzymali noże w zębach. Mallory krzyknął na alarm i zaczął strzelać.

Natychmiast oślepiły go własne wystrzały, ale rewolwer, kopiąc i szarpiąc rękę, zdawał się żyć własnym życiem. W jednej chwili zużył pozostałe trzy naboje. I nie na próżno; z tak bliskiej odległości nie można było chybić. Dwaj atakujący leżeli bez ruchu, trzeci próbował się odczołgać, reszta uciekła przerażona.

Mallory słyszał, jak zbierają się gdzieś poza zasięgiem wzroku, jak przeklinają, przepychają się... Jak maczugę chwycił pusty rewolwer za gorącą lufę.

Budynek zadrżał od strasznego huku pistoletu Briana.

Przez długą przerażającą minutę słychać było potępięncze wrzaski rannych i konających, harmider, przekleństwa i stuki.

I nagle między nich wskoczyła jakaś cuchnąca prochem strzelniczym ciemna postać.

Brian.

– Dobrze, żeście mnie nie zastrzelili – stwierdził. – Niech to diabli, ależ tu ciemno...

– Nic ci się nie stało? – chciał wiedzieć Mallory.

– Jakieś draśnięcia – odparł Brian. – Patrz, co ci przyniosłem, Ned.

Wręczył bratu jakiś przedmiot. Gładka, ciężka kolba i lufa pasowały do ręki jak jedwab: strzelba na bizony.

– Mają tam całą skrzynię tych ślicznotek – wyjaśnił Brian. – W takim małym kantorku po drugiej stronie. I amunicję też, chociaż mogłem wziąć tylko dwa pudełka.

Mallory natychmiast zaczął ładować strzelbę; mosiężne ładunki jeden po drugim wsuwały się w sprężynowy zamek, tykający jak precyzyjny zegar.

– Dziwna sprawa – oświadczył Brian. – Chyba nie wiedzieli, że się między nimi przekradam. Żadnej strategii. Nie wierzę, żeby jacyś wojskowi zdrajcy znaleźli się wśród tych mętów. Niemożliwe.

– Ta twoja pukawka to istne cudo, mój chłopcze – rzekł Fraser.

Brian westchnął.

– Już nie, panie Fraser. Miałem tylko dwa naboje. Żałuję, że się nie pohamowałem, ale kiedy dostrzegłem szansę na ogień zaporowy, nie mogłem się powstrzymać.

– To głupstwo. – Mallory pieścił drewnianą kolbę strzelby. – Gdybyśmy mieli cztery takie, moglibyśmy się bronić choćby i tydzień.

– Bardzo mi przykro – odparł Brian. – Ale raczej nie będę już prowadził rozpoznania walką. Trochę oberwałem.

Jakaś zabłąkana kula drasnęła mu goleń. W płytkiej ranie bielą naga kość, a brudny but był pełen krwi. Fraser i Tom opatrzyli go tamponami czystej bawełny. Tymczasem Mallory trzymał wartę ze strzelbą.

– Wystarczy – zaprotestował w końcu Brian. – Co jest, chcecie przebić lady Nightingale? Widzisz coś, Ned?

– Nie – odparł Mallory. – Ale słyszę, że coś knują.

– Wrócili do punktu zbornego – oświadczył Brian. – Zbierali się przed atakiem tuż poza waszą linią ognia, ale przeczesalem ich tą carską hakownicą. Wątpię, żeby znowu ruszyli do szturm. Braknie im ducha bojowego.

– Co zrobią w takim razie?

– Pewnie spróbują działań saperskich. Jakieś ruchome barykady albo tarcze na kołach. – Próbował splunąć. – Niech mnie, od Lucknow nie byłem tak wysuszony.

– Przykro mi – mruknął Mallory.

Brian westchnął.

– W Indiach w naszym regimencie mieliśmy takiego chłopaka do noszenia wody. Ten piekielny mały Hindus wart był dziesięciu tych drani.

– Widziałeś tę kobietę? – zapytał Mallory. – Albo kapitana Swinga?

– Nie. Trzymałem się w ukryciu i skradałem dookoła. Szukałem przede wszystkim

lepszego broni, czegoś z większym zasięgiem. Widziałem dziwne rzeczy. Tę myśliwską strzelbę Neda znalazłem w małym kantorze. W środku nie było nikogo, tylko taki gryziopiórek. Pisał coś przy biurku. Palły się dwie świece, dookoła leżały jakieś papiery. Pełno tam było skrzyń z karabinami na eksport. Nie mogę pojąć, dlaczego trzymają porządne strzelby w skrzyniach, a ludziom rozdają victorie.

Fala mętnego, zielonkawego światła wlała się do wnętrza magazynu. Zanim przygasła, odsłoniła sylwetkę uzbrojonego mężczyzny, wciąganego do góry na linie. Szybki jak myśl Mallory wziął go na muszkę, wypuścił powietrze z płuc i wypalił. Mężczyzna runął do przodu i zawisł bezwładnie.

Pociski zastukały o bawełnę. Mallory schylił się szybko.

– Piękne umocnienia z tych beli – stwierdził z satysfakcją Brian i poklepał podłogę z jutowych płacht. – Hickory Johnson ukrywał się za takimi w Nowym Orleanie. I spuścił nam niezłe baty.

– Co się działo w tym kantorku, Brian? – chciał wiedzieć Tom.

– Gryziopiórek zrobił sobie coś w rodzaju papirosi. Znać je? Tureckie skręty. Tyle że ten hultaj wyjął z jakiejś aptekarskiej fiołki kropłomierz, nakapał z niego na papier, a potem zwinął jakieś specjalne liście ze słoika. Przyjrzałem mu się dobrze, kiedy zapalał to od świecey. Miał taki nieobecny wzrok, jak nasz brat Ned, kiedy duma o swoich naukowych problemach. – Brian zaśmiał się bez złośliwości. – Jakoś nie wypadało mu przeszkadzać, więc tylko cichutko zabrałem strzelbę i pudełko czy dwa naboje. Potem zniknąłem.

Tom parsknął śmiechem.

– Dobrze mu się przyjrzałeś? – spytał Mallory.

– Pewnie.

– Miał takiego guza na czole, o tutaj?

– Niech mnie diabli porwą, jeśli nie miał!

– To był kapitan Swing!

‘ – Więc jestem skończonym durniem! – wykrzyknął Brian. – Nie uchodzi strzelać komuś w plecy, ale gdybym wiedział, że to on, rozwalilibym mu ten guzowaty łeb!

– Doktorze Edwardzie Mallory! – zawołał ktoś w półmroku.

Mallory wstał i wyrzucił zza beli. W dole stał markiz Hastings. Miał bandaż na głowie, w rękę trzymał latarnię. Powiewał białą chustką na kiju.

– Lewiatanie Mallory, przychodzę jako parlamentariusz!

– Mów zatem – odparł Mallory, uważając, by nie wystawiać głowy.

– Wpadliście w pułapkę, doktorze Mallory. Ale mamy dla pana propozycję. Jeśli zdradzi nam pan, gdzie został ukryty pewien skradziony przez pana wartościowy obiekt, pozwolimy odejść panu i pańskim braciom. Ale ten policyjny szpieg z Sekcji Specjalnej musi zostać. Chcemy mu zadać kilka pytań.

Mallory zaśmiał się pogardliwie.

– Posłuchaj mnie, Hastings i wy wszyscy! Przyślijcie nam tego maniaka Swinga i jego morderczą dziwkę ze związanymi rękami! Wtedy pozwolimy pozostałym wymknąć się stąd, zanim przybędzie armia!

– Ten pokaz bezczelności nic panu nie da – stwierdził markiz. – Podpalimy bawełnę i upieczecie się tam jak króliki.

Mallory obejrzał się.

– Mogą to zrobić?

– Tak ciasno upakowana bawełna za diabła nie będzie się palić – pocieszył go Brian.

– Pewnie, podpalajcie! – krzyknął Mallory. – Spalcie cały ten skład i niech was wszystkich dym zadusi!

– Był pan bardzo zuchwały, doktorze Mallory, i szczęście panu sprzyjało. Ale nasi najlepsi ludzie patrolują w tej chwili ulice Limehouse i likwidują policję. Wkrótce powrócą: doświadczeni żołnierze, weterani z Manhattanu! Ruszą na bagnety i szturmem wezmą waszą kryjówkę! Wyjdźcie teraz, kiedy macie jeszcze szansę zachowania życia.

– Nie boimy się jankeskich mętów! Sprowadźcie ich, a posmakują kartaczy!

– Złożyliśmy panu ofertę. Proszę ją przemyśleć, jak to przystoi uczonemu.

– Idź do diabła – odpowiedział Mallory. – Przyślij mi Swinga. Ciebie mam już dosyć, ty mały zdradziecki alfonsie!

Markiz wycofał się. Po chwili zabrzmiały rzadkie wystrzały. Celując w rozbłyski, Mallory zużył pół pudełka naboí.

Anarchiści podjęli próbę wykorzystania maszyny oblężniczej. Była to pośpiesznie sklecona osłona z trzech ciężkich wózków, do których umocowano pochyłą tarczę z marmurowych blatów stolików. Osłona była zbyt szeroka, by zmieściła się w wąskim, krętym korytarzu prowadzącym do beli bawełny, buntownicy musieli więc przesuwac ustawione w stosy towary, składając je za wózkami. Mallory zdołał zranić dwóch z nich, jednak szybko nabrali rozsądku i wkrótce wzniesli osłaniający ich maszynę tunel.

W magazynie znalazło się teraz o wiele więcej ludzi. Pociemniało jeszcze bardziej, ale tu i tam widać było latarnie, a liczni strzelcy zajęli miejsca na belkach pod stropem. Oprócz jęków rannych słychać było głośnie rozmowy, czy może nawet kłótnie.

Maszyna oblężnicza zbliżała się coraz bardziej. Atakujący byli już w martwej strefie. Gdyby Mallory wychylił się poza umocnienia, z pewnością trafiliby go snajperzy.

Maszyna oblężnicza dotarła do podstawy piramidy z bel bawełny. W dole zabrzmiały odgłosy szarpania.

Zza osłaniającej tarczy rozległ się głuchy, niewyraźny głos, być może wspomagany megafonem.

– Doktorze Mallory!

– Słucham.

– Chciał pan ze mną rozmawiać, więc jestem. Rozbijamy mur pańskiego pałacu. Wkrótce

straciecie osłonę.

– To ciężka praca dla zawodowego hazardzisty, kapitanie Swing! Może pan sobie poobcierać te delikatne paluszki!

Tom i Fraser wspólnym wysiłkiem zrzucili na oblegających ciężką belę. Odbiła się, nie wyrządzając szkody. Kanonada pocisków przeorała twierdzę, a obrońcy musieli błyskawicznie szukać schronienia.

– Przerwać ogień! – krzyknął Swing i roześmiał się głośno.

– Uważaj, Swing! Jeśli mnie zastrzelisz, nigdy się nie dowiesz, gdzie jest ukryty Modus.

– Zarozumiały głupiec, jak zawsze! Ukradłeś nam Modus na Derby. Mogłeś nam go zwrócić i ocalić się przed nieuchronnym zniszczeniem! Ty uparty ignorancie, nie masz nawet pojęcia, do czego on naprawdę służy!

– Prawnie należy do Królowej Maszyn. Wiem o tym doskonale.

– Jeśli tak myślisz, to niczego nie wiesz.

– Wiem, że to własność Ady, bo sama mi to powiedziała. I tylko jej zdradziłem miejsce jego ukrycia.

– Kłamca! – krzyknął Swing. – Gdyby Ada wiedziała, już byśmy go mieli. Ada jest jedną z nas!

Tom jęknął głośno.

– Jesteście jej dręczycielami, Swing!

– Mówię ci, że Ada jest nasza.

– Córką Byrona nigdy nie zdradziłaby kraju.

– Byron nie żyje – zawołał Swing ze strasliwą pewnością w głosie. – I wszystko, co zbudował, wszystko, w co wierzyłeś, teraz legnie w gruzach.

– Marzysz tylko.

Zapadła cisza. Po chwili Swing przemówił znowu, łagodnym tonem.

– Armia strzela teraz do ludu, doktorze Mallory.

Mallory nie odpowiedział.

– Brytyjska armia, ostoja waszej tak zwanej cywilizacji, strzela na ulicach do waszych współobywateli. Mężczyźni i kobiety uzbrojeni jedynie w kamienie, są mordowani z szybkostrzelnych karabinów. Słyszysz pan? Mallory milczał.

– Budowaliście na piasku, doktorze Mallory. Drzewo waszego dobrobytu wyrasta na glebie zbrodni i mordy. Masy nie zniosą was dłużej. Krew krzyczy z siedmiokrotnie przeklętych ulic Babilondynu.

– Wyjdź, Swing! – wrzasnął Mallory. – Wyjdź z tej ciemności, pokaż mi swoją twarz!

– Raczej nie – odparł Swing.

Znowu zapadła cisza.

– Zamierzałem wziąć pana żywcem, doktorze Mallory – stwierdził Swing, kończąc rozmowę. – Jeśli jednak istotnie powierzył pan swój sekret Adzie Byron, nie jest mi pan

więcej potrzebny. Moja zaufana przyjaciółka, moja towarzyszka życia, schwytała Królową Maszyn w sieć doskonałą! Będziemy mieli lady Adę i Modus, i przyszłość na dodatek. A pana losem stanie się grobowiec w głębinach Tamizy.

– Więc zabij nas wreszcie i skończ z tym gadaniem! – krzyknął nagle Fraser, rozdrażniony poza granice wytrzymałości. – Sekcja Specjalna dopilnuje, żebyś zawisł na stryczku, choćby miało to potrwać sto lat!

– Oto głos władzy – zadrwił Swing. – Wszechmocnego rządu brytyjskiego. Dobrze sobie radzicie, kiedy trzeba masakrować bezbronnych nędzarzy na ulicach. Ale zobaczymy, jak wasi nadęci plutokraci biorą szturmem ten magazyn, gdzie trzymamy jako zastaw towary warte miliony.

– Jesteś kompletnie obłąkany – stwierdził Mallory.

– Jak myślicie, dlaczego tutaj założyłem swój sztab? Rządzą wami sklepikarze, którzy majątek cenią wyżej od ludzkiego życia! Nigdy nie ostrzelają własnych składów, własnych towarów. Jesteśmy tu nietykalni!

– Ty oszalały durniu! – Mallory zaśmiał się pogardliwie. – Jeśli Byron istotnie umarł, to rząd jest teraz w rękach lorda Babbage’a i jego komitetu stanu wyjątkowego. Babbage to pragmatyk. Nie powstrzyma go troska o towary.

– Babbage jest pionkiem kapitalistów.

– On jest wizjonerem, obłąkany błaznie! Kiedy tylko się dowie, że tu jesteś, bez namysłu wysadzi ten skład w powietrze!

Grom wstrząsnął budynkiem. Coś zastukało o dach.

– To deszcz! – wykrzyknął Tom.

– To artyleria – rzekł Brian.

– Nie, słuchajcie... Pada, Brian. Fetor się skończył! To błogosławiony deszcz!

Chłodna woda zaczęła ściekać przez ażur podziurawionego kulami dachu.

– To deszcz. – Mallory polizał dłoń. – Deszcz! Wygraliśmy, chłopcy! – Zagrzmiało. – Nawet jeśli nas tu pozabijają – krzychał – tamci już ponieśli klęskę! Kiedy powietrze Londynu znów stanie się świeże i czyste, nie będą mieli gdzie się ukryć.

– Może i pada – przyznał Brian. – Ale to są dziesięciocalowe działa okrętowe z nabrzeża...

Pocisk wpadł przez dach w ulewę gorących odłamków.

– Mają nas w zasięgu! – zawołał Brian. – Chowajcie się, na miłość boską!

Zaczął rozpaczliwie rozgarniać bele bawełny.

Mallory obserwował zdumiony, jak pocisk za pociskiem przebija dach w równych odstępach, niby szewskie szydło. Fontanny płonących szczątków wznosiły się jak po upadku żelaznych komet.

Szklany świetlik rozpadł się na tysiące ostrych jak noże odłamków. Brian wrzeszczał coś do Mallory’ego, ale głos był niesłyszalny w kakofonii wybuchów. Po chwili oszołomienia

Mallory schylił się, by pomóc bratu; podniósł belę bawełny i przykucnął w okopie.

Siedział nieruchomo ze strzelbą na kolanach. Błyski światła wpadały przez rozpadający się dach. Żelazne belki zaczęły giąć się pod naciskiem, nity strzelały na boki jak serie pocisków. Cały budynek dygotał niby arkusz blachy okładany młotem.

Brian, Tom i Fraser klęczeli w pozach rozmodlonych Beduinów, zatykając rękami uszy. Odpryski płonącego drewna i strzępy tkanin opadały na bele dookoła i, podskakując przy każdym kolejnym wstrząsie, wypalały otwory w bawełnie. Cały budynek zmienił się w wir powietrza i żaru.

Fragment dachu runął i opadł wolno niby skrzydło łabędzia. Strugi deszczu walczyły z ogniem w magazynie.

Poczucie piękna wypełniło duszę Mallory'ego. Wstał, trzymając w dłoniach strzelbę jak czarodziejską różdżkę. Bombardowanie ustało, ale hałas nie cichł, gdyż pożar ogarnął budynek. W setkach miejsc tryskały brudne języki płomieni, skręcane porywami wiatru w fantastyczne kształty.

Mallory stanął na krawędzi bawełnianego parapetu. Pociski artyleryjskie rozbiły w drzazgi osłonięty chodnik, niby tunel termitów, zmiażdżony ciężkim butem. Mallory stał nieruchomo; uszy wypełniał mu wspaniały monotonny huk. Patrzył, jak jego wrogowie uciekają z krzykiem.

Jakiś człowiek zatrzymał się wśród płomieni i odwrócił. To był Swing. Spojrzał na Mallory'ego, nieruchomego jak posąg, a rozpaczliwy podziw wykrzywił mu twarz. Wykrzyknął coś, wykrzykiwał to coraz głośniejsze... ale był tylko małym człowieczkiem, bardzo daleko, i Mallory nie mógł go słyszeć. Wolno pokręcił głową.

Wtedy Swing uniósł broń. Czując, że ogarnia go ciepła fala miłego zdziwienia, Mallory rozpoznał znajomy kształt karabinu Cuttsa-Maudsleya.

Swing pochylił się, wymierzył, nacisnął spust. Wokół Mallory'ego zabrzmiały przyjemnie wysokie, śpiewne dźwięki, z muzycznym werblem podziurawionego dachu za plecami. Mallory, z niezrównaną i niezamierzoną gracją podniósł do ramienia strzelbę, wycelował, strzelił. Swing zatoczył się i runął na ziemię. Karabin w jego dłoni nadal podskakiwał i stukał, nawet kiedy wyczerpał się bębnowy magazynek.

Mallory przyglądał się bez szczególnego zainteresowania, jak Fraser, z pajęczą zwinnością przeskakując nad szczątkami i trzymając w dłoni pistolet, zbliża się do powalonego anarchisty. Założył Swingowi kajdanki i zarzucił sobie na ramię jego bezwładne ciało.

Mallory'ego zapiekły oczy: dym płonącego magazynu zbierał się pod resztkami dachu. Zamrugał i spojrzał w dół, gdzie Tom pomagał kulejącemu Brianowi zejść na ziemię.

Obaj przyłączyli się do Frasera, który ponaglił go gestem ręki. Mallory uśmiechnął się, zszedł na dół i ruszył za nimi. Cała trójka biegła między coraz gęściejszymi płomieniami, a on podążał wolno ich śladem.

Katastrofa rozbiła fortecę Swinga, która rozpadała się jak gejzer ceglanych kostek domina. Pograżony w błogostanie Mallory, zgrzytając o chodnik gwoździami odłamanego obcasa, wracał do Londynu, odrodzony.

W ulewie oczyszczającego deszczu.

* * *

12 kwietnia 1908 roku, w wieku lat osiemdziesięciu trzech, Edward Mallory zmarł w swoim domu w Cambridge. Dokładne okoliczności jego śmierci są niejasne; oczywiście podjęto kroki pozwalające dokonać ceremonii należnych po zgonie byłego Prezesa Towarzystwa Królewskiego. Zapiski doktora George'a Sandysa, przyjaciela i osobistego lekarza lorda Mallory'ego, dowodzą, że wielki uczony zmarł na wylew krwi do mózgu. Sandys zanotował także, zapewne dla własnych celów, że zmarły leżał na łożu śmierci, mając na sobie patentowy zestaw elastycznej bielizny, skarpety na podwiązki i dokładnie zasznurowane wieczorowe buty.

Doktor, człowiek dokładny, opisał także przedmiot znaleziony pod długą siwą brodą zmarłego. Na szyi wielkiego uczonego, na cienkim stalowym łańcuszku, wisiał antyczny damski pierścień z herbem rodziny Byronów i mottem CREDE BYRON. Zaszyfrowana notatka doktora jest jedynym znanym świadectwem istnienia tego – zapewne – legatu. Całkiem możliwe, że Sandys przywłaszczył sobie pierścień, choć w dokładnym spisie pozostawionych rzeczy, dokonany po jego śmierci w roku 1940, nie ma o nim wzmianki. Nie wspomina też o nim testament Mallory'ego, długi dokument, poza tym detalem nienagannie szczegółowy.

* * *

Wyobraźmy sobie Edwarda Mallory'ego w naukowym gabinecie jego wspaniałego domu w Cambridge. Jest późno. Wielki paleontolog, który dawno już pozostawił za sobą badania terenowe i zrezygnował z prezesury Towarzystwa, poświęcał ostatnie lata życia teorii i bardziej subtelnym kwestiom naukowej administracji.

Lord Mallory dawno też zmodyfikował wyznawaną w czasach młodości radykalną doktrynę katastrofizmu, z wdziękiem porzucając zdyskredytowaną teorię, jakoby Ziemia miała nie więcej niż trzysta tysięcy lat. Metody datowania radioaktywnego dowiodły, że jest inaczej. Wystarczyło mu, że katastrofizm okazał się szczęśliwą drogą ku wyższym prawom geologii. Droga ta doprowadziła do jego największego tryumfu: odkrycia dryfu kontynentalnego w 1865 roku.

Bardziej niż brontozaur, bardziej niż jaja ceratopsa z pustyni Gobi, ten właśnie niewiarygodny wzlot nieskrępowanej intuicji zapewnił mu nieśmiertelną sławę.

Mallory, który sypia niewiele, siada przy opływowym blacie japońskiego biurka ze sztucznej kości słoniowej. Za rozsuniętymi kotarami jaskrawe kule lśnią przez wielobarwny, abstrakcyjny deseń okien sąsiedniej willi. Dom sąsiada, podobnie jak rezydencja Mallory'ego, jest starannie skomponowaną burzliwą symfonią form organicznych, przykrytą dachem z błyszczących smoczych łusek. To dominujący w Anglii styl nowoczesnej architektury, chociaż moda ta powstała na przełomie wieku i wywodzi się z kwitnącej Republiki Katalonii.

Mallory niedawno zamknął potajemne spotkanie Stowarzyszenia Światła. Jako najwyższy Hierarcha tego topniejącego bractwa dziś wieczorem nosi oficjalny kostium swego urzędu: wełniany ornat barwy indygo obszyty szkarłatem. Długą do kostek togę tego samego koloru, podobnie obszytą, zdobią koncentryczne kręgi półsłachetnych kamieni. Zdjął już koronę z kutej złotej blachy, z osłoną szyi z zachodzących na siebie złożonych łusek; spoczywa ona teraz na małej stołowej drukarce.

Wkłada okulary, nabija fajkę, zapala. Jego sekretarz Cleveland, człowiek wyjątkowo dokładny i uporządkowany, pozostawił mu dwa zbiory dokumentów, ułożone na biurku w dwóch teczkach z brązowego kartonu z mosiężnymi klamrami. Jedna teczka leży po lewej stronie biurka, druga po prawej. Nie sposób przewidzieć, Którą wybierze.

Wybiera teczkę z lewej strony. Jest to maszynowo drukowany raport od starszego funkcjonariusza Meirokushy, słynnego bractwa japońskich uczonych, pełniącego, co nie powinno dziwić, funkcję najdalej na wschód wysuniętego orientalnego oddziału Stowarzyszenia Światła. W Anglii nie zachował się tekst tego raportu, można go jednak odnaleźć w Nagasaki – wraz z notką, że został nadany do Hierarchy 11 kwietnia standardowym kanałem. Raport informuje, że Meirokusha, doświadczona przez tragiczny spadek liczby członków i coraz częstszy brak aktywności tych, co pozostali, przegłosowała, by zawiesić dalsze spotkania na czas nieokreślony. Do informacji dołączony jest szczegółowy rachunek za przekąski i napoje, a także czynsz za nieduży pokój na piętrze Seiyoken, restauracji w Tsukiji, dzielnicy Tokio.

Choć wieści te trudno uznać za nieoczekiwane, lorda Mallory'ego wypełnia poczucie straty i rozgoryczenia. Jego temperament, porywczy w najlepszych latach, nie zmienił się z wiekiem. Oburzenie przekształca się w bezradną wściekłość. I Zawodzi arteria.

Ten łańcuch wydarzeń nie następuje.

Wybiera teczkę z prawej strony. Jest grubsza i to go intryguje. Zawiera szczegółowy raport z badań w terenie. Nadawcą jest ekspedycja paleontologiczna Towarzystwa Królewskiego, prowadząca poszukiwania na wybrzeżach Pacyfiku w zachodniej Kanadzie.

Z przyjemnym uczuciem budzącej się nostalgii za latami własnych wypraw dokładnie studiuje raport.

Współczesna praca naukowa nie może się chyba bardziej różnić od tej z lat jego młodości. Brytyjscy naukowcy przelecieli w głąb lądu z kwitnącej metropolii Victorii i wygodnie jeździli w góry ze swej luksusowej bazy w nadbrzeżnej wiosce Vancouver. Ich

przywódcą, jeśli można tak go określić, jest młody absolwent Cambridge nazwiskiem Morris, którego Mallory pamięta jako ekscentrycznego kędzierzawego młodzieńca, noszącego aksamitne peleryny i krzykliwe modernistyczne kapelusze.

Badają warstwy kambryjskie, ciemne łupki o niemal litograficznej jakości. Jak się zdaje, roi się w nich od najrozmaitszych form: cienkich jak papier i sprasowanych resztek pradawnej fauny bezkręgowej. Mallory, specjalista od kręgowców, zaczyna tracić zainteresowanie. Jest przekonany, że widział już więcej trylobitów, niż można od kogokolwiek wymagać, a szczerze mówiąc, zawsze trudno mu było wzbudzić w sobie entuzjazm dla czegośkolwiek mniejszego niż dwa cale. Co gorsza, język raportu wydaje mu się nienaukowy i nacechowany całkiem nieodpowiednim radykalnym entuzjazmem.

Zaczyna przeglądać klisze.

Stworzenie na pierwszej z nich ma pięcioro oczu. I długi, zębaty ryj zamiast paszczy.

Jest tam beznogi promienisty stwór, same wypukłości i galareta, z płaską zębatą paszczą, która nie zamyka się, ale zwęża jak źrenica oka.

Jest inny, którego nogi to czternaście rogowych, ostrych szpikulców... Nie ma głowy, oczu, wnętrzości, ale ma siedem maleńkich otworów gębowych z kleszczami, każdy na czubku giętkiej macki.

Tych stworzeń nie łączy żaden związek z żadną znaną istotą z dowolnego okresu geologicznego.

Krew wraz ze zdumieniem napływa Mallory'emu do głowy. Umysł zaczyna sortować niezliczone implikacje tych odkryć, krok za krokiem niosąc go ku niezwykłemu, nadprzyrodzonemu lśnieniu – ekstatyczny pęd do całkowitego zrozumienia, wciąż jaśniejszego, czystszej, coraz bliższego...

Głowa uderza o blat, gdy Mallory zsuwa się na ziemię. Pada na plecy przed fotelem; kończyny ma odrętwiałe i lekkie; wciąż szybuje otulony światłem cudu, światłem zadziwiającej wiedzy, napierającej, wciąż napierającej na granice rzeczywistości – wiedzy konającej, by się narodzić.

ITERACJA PIĄTA

Wszystkowidzące Oko

Popołudnie przy Horseferry Road, 12 listopada 1855. Fotografia wykonana przez A. G. S. Hullcoopa z Wydziału Antropometrii Kryminalnej. Migawka Hullcoopowego talbota „Excelsior” uchwyciła jedenastu mężczyzn, zstępujących szerokimi schodami od głównego wejścia Centralnego Biura Statystycznego. Triangulacja wykazała, że Hullcoop ze swym potężnym obiektywem ukrył się na dachu budynku wydawnictwa przy Holywell Street.

Najbardziej do przodu wysuniętym z tej jedenastki jest Laurence Oliphant. Spod runda cylindra jego oczy spoglądają ze spokojem i ironią.

Wysokie, matowe kapelusze tworzą powtarzający się pionowy motyw, charakterystyczny dla fotografii tego okresu.

Podobnie jak pozostali, Oliphant nosi ciemny płaszcz i spodnie w jaśniejszym odcieniu. Szyję owinał szerokim, ciemnym jedwabnym szalem. Daje to efekt kolumnowy, pełen godności, choć coś w pozie Oliphanta zdaje się sugerować swobodny krok sportowca.

Pozostali mężczyźni to prawnicy, funkcjonariusze Biura i przedstawiciel Zakładów Colgate’a. Za nimi, ponad Horseferry Road, wiszą smołowane miedziane kable biurowych telegrafów.

Zwiększenie rozdzielczości ujawnia, że blade plamy na linach to gołębie.

Chociaż popołudnie jest niezwykle słoneczne, Oliphant, częsty gość Biura, otwiera parasol.

Na cylindrze przedstawiciela Colgate’a widać podłużny przecinek gołębih odchodów.

* * *

Oliphant siedział samotnie w niewielkiej poczekalni, połączonej oszklonymi drzwiami z gabinetem. Na beżowych ścianach wisiały barwne diagramy, ukazujące szkody czynione przez rozmaite straszne choroby. W biblioteczkę tkwiły grube dzieła medyczne. Pod ścianą

stały rzeźbione drewniane ławy, mogące pochodzić z jakiegoś zburzonego kościoła, na podłodze leżał chemicznie barwiony wełniany chodnik.

Przyjrzał się mahoniowej szafce na instrumenty i wielkiemu zwojowi szarpiei, ułożonych na górnej półce biblioteczki.

Ktoś wymówił jego nazwisko.

Przez szyby w drzwiach gabinetu zobaczył twarz: bladą, z wypukłym czołem oblepionym mokrymi kosmykami ciemnych włosów.

– Collins – wyszeptał. – Kapitan Swing...

Inne twarze, cały legion twarzy ludzi, którzy odeszli, imion wypchniętych z pamięci.

– Panie Oliphant...

W drzwiach stanął doktor McNeile. Nieco zakłopotany, Oliphant podniósł się z ławy i odruchowo poprawił surdut.

– Dobrze się pan czuje, panie Oliphant? Przed chwilą miał pan niezwykle wyraz twarzy...

McNeile był szczupły i nosił krótko przystryżoną brodę. Miał ciemne włosy i szare oczy, tak jasne, że wydawały się przezroczyste.

– Tak, doktorze, dziękuję. A pan?

– Doskonale. Po niedawnych wydarzeniach pojawiają się czasem zadziwiające symptomy. Mam pacjenta, pewnego dżentelmena, który siedział na piętrze omnibusu, kiedy na Regent Street pojazd został uderzony w bok przez powóz parowy, mknący z szybkością około dwudziestu mil na godzinę!

– Doprawdy? To straszne...

Ku przerażeniu Oliphanta, McNeile zatarł swe wąskie, białe dłonie.

– Rezultatem kolizji nie był żaden uraz fizyczny. Nic. Najmniejszych obrażeń. – Przeszył gościa swym czujnym, niemal bezbarwnym spojrzeniem. – Natomiast w następstwie zaobserwowaliśmy bezsenność, początki melancholii, amnezję... liczne objawy, zwykle przypisywane utajonej histerii. – McNeile uśmiechnął się przelotnie, ale tryumfująco. – Zaobserwowaliśmy, panie Oliphant, wyjątkowo czystą, kliniczną formę nerwicy pourazowej zlokalizowanej w kręgosłupie.

Przepuścił Oliphanta przez drzwi do wyłożonego elegancką boazerią i prawie pustego gabinetu. Stały w nim tylko rozmaite urządzenia elektromagnetyczne. Oliphant zdjął surdut i kamizelkę, po czym umieścił je na mahoniowym wieszaku.

– A pańskie... ataki, panie Oliphant?

– Ustały na szczęście po ostatniej wizycie.

Czy to prawda? Właściwie trudno było powiedzieć.

– Spał pan spokojnie.

– Tak, raczej tak.

– Jakież sny warte wspomnienia? Wizje na jawie?

– Nie.

McNeile przyjrzał mu się bladymi oczami.

– Bardzo dobrze.

Czując się jak głupiec w sztywnej koszuli z podwiązkami na rękawach, Oliphant wspiał się na „stół manipulacyjny” – dziwaczny mebel, przypominający zarazem szezlong i ławę tortur. Elementy urządzenia pokrywał sztywny, maszynowo zdobiony brokat, gładki i zimny w dotyku. Oliphant spróbował ułożyć się wygodnie, ale McNeile uniemożliwił mu to, przekręcając jedno i drugie mosiężne kółko.

– Proszę się nie ruszać – polecił. Oliphant przymknął oczy.

– Ten Pocklington... – powiedział McNeile.

– Słucham?

Oliphant otworzył oczy. McNeile stał nad nim i na ruchomym stojaku mocował żelazną spiralę.

– Pocklington. Usiłuje przypisać sobie zasługę zażegnania cholery w Limehouse.

– Nie słyszałem tego nazwiska... To medyk?

– Ależ skąd! Jest inżynierem... Mechanikiem. Twierdzi, że zwalczył cholere prostym zabiegiem przesunięcia dźwigni miejskich pomp wodnych!

McNeile mocował pleciony miedziany przewód.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Nic dziwnego, drogi panie. Ten człowiek jest albo durniem, albo najgorszym rodzajem szarlatana. Napisał do *Timesa*, że cholera to nic więcej jak wynik działania zakażonej wody.

– Myśli pan, że to niemożliwe?

– To całkowicie przeczy oświeconym teoriom medycznym. – McNeile chwycił drugi przewód. – Ten Pocklington, widzi pan, jest w pewnym sensie faworytem lorda Babbage’a. Został zatrudniony, by rozwiązać problemy z wentylacją pociągów pneumatycznych.

Słyszając w głosie lekarza ton zazdrości, Oliphant poczuł lekką, choć niegodną, satysfakcję. Babbage, przemawiając na uroczystym pogrzebie Byrona, wyraził żal, że współczesna medycyna pozostaje bardziej sztuką niż nauką. Jego mowa, naturalnie, została powszechnie opublikowana.

– Proszę zamknąć oczy na wypadek, gdyby przeskoczyła iskra.

McNeile wciągnął duże, sztywne, skórzane rękawice. Podłączył do masywnego ogniwa przewody i gabinet wypełnił słaby, niezwykle zapach elektryczności.

– Proszę się odprężyć, panie Oliphant. To ułatwi odwrócenie biegunów.

* * *

Half-Moon Street oświetlała wielka lampa Webba, żebrowana koryncka kolumna zasilana gazem ziemnym. Jak wszystkie inne londyńskie webby, i ta pozostawała zgaszona w okresie letniego stanu wyjątkowego, z obawy przed wyciekami i eksplozją. W rzeczy samej zdarzyło

się kilka wybuchów, które rozerwały chodniki; większość przypisywano temu samemu gazowi, który dostarczano do lamp. Lord Babbage był wielkim entuzjastą metody Webba; w rezultacie każdy uczeń wiedział, że metan wytwarzany przez jedną krowę może zaspokoić potrzeby ogrzewania, oświetlania i gotowania przeciętnego gospodarstwa domowego.

Zbliżając się do domu, Oliphant zerknął na lampę. Jej światło było kolejnym symbolem powrotu do normalności, lecz symbole nie przynosiły mu pociechy. Kataklizm fizyczny – i groźniejszy jeszcze społeczny – przeminęły, jednak śmierć Byrona wywoływała powtarzające się fale destabilizacji. Oliphant wyobrażał sobie, jak rozchodzą się niby zmarszczki na stawie, przecinają z innymi, wzbudzonymi w nie odkrytych punktach krytycznych, i tworzą groźne, nieprzewidywalne obszary turbulencji. Jednym z takich obszarów był z pewnością problem Charlesa Egremonta i obecnego polowania na luddyckie czarownice.

Oliphant wiedział z absolutną zawodową pewnością, że luddyci nie istnieją. Mimo wysiłków kilku obłąkanych anarchistów, londyńskie zamieszki ostatniego lata nie miały żadnego spójnego, zorganizowanego planu. Wszelkie rozsądne aspiracje klasy robotniczej zostały już zaspokojone przez radykałów. Za swych młodych lat Byron doskonale wyreżyserowaną demonstracją łaski, powstrzymał ramię sprawiedliwości. Dawni przywódcy luddytów, którzy zawarli pokój z radykałami, byli teraz spokojnymi, zamożnymi przewodniczącymi szacownych związków zawodowych i cechów rzemiosł. Niektórzy nawet stali się bogatymi przemysłowcami, choć ostatnio spokój ich ducha został mocno zakłócony przez Egremonta, systematycznie odgrzebującego dawno zamknięte sprawy.

Druga fala luddyzmu rozlała się w burzliwych latach czterdziestych. Tym razem skierowana była przeciwko radykałom; charakteryzowały ją populistyczne żądania przywilejów oraz skłonność gwałtów i przemocy. Koniec jej położyła wewnętrzna zdrada, zaś najmężniejszych, takich jak Walter Gerard, spotkała publiczna kara. Dzisiaj grupy w rodzaju Piekiełnych Kotów z Manchesteru, do których jako chłopak należał Michael Radley, były zwykłymi młodzieżowymi gangami bez żadnych celów politycznych. Wpływy kapitana Swinga wciąż mogą być dostrzegalne w wiejskiej Irlandii czy nawet Szkocji, lecz Oliphant przypisywał to raczej polityce rolnej radykałów, pozostającej daleko w tyle za ich wspaniałą organizacją przemysłu.

Nie, myślał, kiedy Bligh otworzył przed nim drzwi, duch Neda Ludda nie krąży raczej nad krajem. Jak więc można rozumieć wściekłą kampanię Egremonta?

– Dobry wieczór, sir.

– Dobry wieczór, Bligh.

Wręczył lokajowi cylinder i parasol.

– Kucharka przygotowała zimny udziec, sir.

– Doskonale. Zjem w gabinecie.

– Dobrze się pan czuje?

– Owszem, dziękuję. – Albo magnesy McNeile’a, albo ta diabelsko niewygodna pozycja

sprawiły, że bolał go grzbiet. McNeile'a poleciła mu lady Brunei. Kręgosłup lorda Brunela ucierpiał jakoby od licznych wstrząsów w czasie jego kariery. U Oliphanta doktor McNeile zdiagnozował ostatnio „duchowe ataki”, jak upierał się je nazywać, jako symptomy nerwicy pourazowej – stanu, w którym biegunowość magnetyczna kręgosłupa pacjenta zostaje odwrócona w wyniku wstrząsu. McNeile twierdził, że można ten uraz wyleczyć poprzez stosowanie elektromagnetyzmu. W tym celu Oliphant co tydzień składał wizyty w jego gabinecie przy Harley Street. Działania Szkota przypominały Oliphantowi niezdrowe zainteresowanie jego ojca mesmeryzmem.

Oliphant senior przez lata pełnił służbę prokuratora w Cape Colony, następnie został mianowany sędzią na Cejlonie. W konsekwencji Oliphant odebrał prywatną, z konieczności dość fragmentaryczną edukację, której zawdzięczał zarówno płynne opanowanie języków współczesnych, jak i całkowitą nieznajomość greki i łaciny. Rodzice byli ewangelikami dość ekscentrycznego wyznania, a chociaż sam dochowywał pewnych aspektów ich wiary, wciąż z lodowatym dreszczem wspominał eksperymenty ojca: żelazne różdżki, kryształowe kule...

Wspinając się na pokryte chodnikiem schody, myślał, jak też lady Brunei dostosuje się do roli żony premiera.

Kiedy chwycił za poręcz, znowu odezwała się japońska rana.

Z kieszeni kamizelki wyjął klucz, model Maudslaya z potrójnym piórem, i otworzył drzwi gabinetu. Bligh, posiadacz jedynego duplikatu, zaświecił gazowe lampy i rozpalił węgle na kominku.

Gabinet wyłożony był dębową boazerią. Umieszczone we wnęce okno wychodziło na park. Stary, zwykły stół z refektarza, sięgający niemal od ściany do ściany, służył Oliphantowi za biurko. Nowoczesny fotel na szklanych kółkach regularnie wędrował wokół blatu, gdy praca prowadziła Oliphanta od jednego pliku dokumentów do drugiego i z powrotem. Te codzienne peregrynacje sprawiały, że kółka zaczęły wycierać wzór na niebieskim aksminsterze.

Trzy telegrafy Colta i Maxwella pod szklanymi kopułami zajmowały najbliższy okna róg stołu. Taśmy spływały z nich do drucianych koszy ustawionych na dywanie. Był tam również sprężynowy transmiter i szyfrująca dziurkarka taśm, otrzymana niedawno z Whitehall. Kable tych urządzeń, w ciasnym rękawie z jedwabiu barwy burgunda, wiły się do kwiecistego pierścienia pod środkowym karniszem i znikwały w boazerii, pod błyszczącą mosiężną płytą z insygniami Poczty.

Natychmiast zaczął stukać jeden z odbiorników. Oliphant przeszedł wzdłuż stołu i odczytał wiadomość, gdy wysuwała się wolno z mahoniowej podstawy aparatu.

BARDZO ZAJĘTY WYJĄTKOWYM BRUDEM ALE TAK PROSZĘ MNIE
KONIECZNIE ODWIEDZIĆ STOP WAKEFIELD KONIEC

Wszedł Bligh; na tacy niósł plastry baraniny i pikle.

– Przyniosłem butelkę piwa, sir – oznajmił, układając serwetkę i sztucce na pustej części blatu, przeznaczonej właśnie do tego celu.

– Dziękuję ci, Bligh.

Oliphant uniósł palcem wiadomość od Wakefielda, po czym opuścił ją do drucianego kosza.

Bligh nalał piwa i wyszedł, zabierając tacę i pustą ceramiczną butelkę. Oliphant przepchnął fotel na miejsce i usiadł. Rozsmarował na mięsie marynatę Branstona.

Samotny posiłek przerwał mu stukot jednego z trzech odbiorników. Zerknął na róg stołu i zobaczył, że taśma wysuwa się z aparatu po prawej stronie. Maszyna z lewej, która odebrała zaproszenie Wakefielda, podłączona była do jego prywatnego numeru. Prawa oznaczała sprawy policji, pewnie coś od Betteredge’a albo Frasera. Odłożył sztucce i wstał.

Patrzył, jak wiadomość wysuwa się ze szczeliny.

DOT F B JEST PAN POTRZEBNY NATYCHMIAST STOP FRASER
KONIEC

Sięgnął do kamizelki po niemiecki zegarek po ojcu, by zanotować godzinę. Chowając go, musnął palcami szkło osłaniające środkowy z trzech telegrafów. Nie odebrał żadnej wiadomości od dnia śmierci poprzedniego premiera.

* * *

Dorożka zawiozła go na Brigsome’s Terrace, przy jednej z tych arterii, jakie speculanci budowlani uwielbiali wycinać w prastarej i wciąż w dużej części niezbadanej dzicy wschodniego Londynu. Przy ulicy stały najohydniejsze budynki, jakie kiedykolwiek powstały z cegieł i zaprawy. Budowniczy, który zamierzał spekulować tymi ponurymi więziennymi blokami, zapewne powiesił się za drzwiami jakiejś pobliskiej tawerny, zanim dokończono dzieła.

Ulice, które mijała dorożka, zdawały się właśnie takie, jakich można się spodziewać w takich chwilach – mroczne zaułki, do których z pozoru nie zagląda światło dnia ani zwyczajny przechodzień. Padała lekka mżawka i Oliphant żałował, że nie wziął przeciwdeszczowego płaszcza, jaki jeszcze przy drzwiach proponował mu Bligh. Dwaj mężczyźni przed numerem 5 mieli na sobie długie czarne peleryny z impregnowanej egipskiej bawełny. Ten nowy wynalazek pochodził z Nowej Południowej Walii, sprawdzał się na Krymie i doskonale nadawał się do ukrycia broni tego rodzaju, jaką z pewnością ukrywali ci dwaj.

– Wydział Spraw Specjalnych – rzucił Oliphant i rażnym krokiem wyminął

wartowników.

Zaskoczeni jego tonem i zachowaniem, pozwolili mu przejść. Trzeba będzie poinformować o tym Frasera.

Wszedł do mieszkania i znalazł się w bawialni oświetlonej potężną karbidową lampą na trójnogu. Jej bezlitosny blask wzmacniał jeszcze wklęsły krążek polerowanej blachy. Umeblowanie tworzyły ocalone szczątki dawnego dobrobytu. W rogu stało pianino i – o wiele za duża na ten mały pokój – szyfoniera. Ze swymi połączanymi zdobieniami zrobiła na nim wrażenie żałośnie wspaniałej. Pośród pustkowi bezbarwnej wykładziny rozkwitał różami i liliami wytarty brukselski dywan. Szydełkowane firanki przesłaniały okna wychodzące na Brigsome's Terrace. Tuż obok, w dwóch wiszących donicach, pieniały się rośliny z gatunku kaktusów, rozrastające się w kolczastej i pajęcznej obfitości.

Oliphant wyczuł ostry zapach, o wiele bardziej przenikliwy niż odór karbidu.

Z tylnej części domu wynurzył się Betteredge. Nosił wysoki cylinder, w którym wyglądał tak amerykańsko, że mógłby uchodzić za jednego z tych agentów Pinkertona, których codziennie śledził. Prawdopodobnie efekt ten był starannie zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach, aż po patentowe kamasze z elastycznymi klinami. Co niezwykle, twarz wyrażała powagę i niepokój.

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność, sir – wyjąkał. Stało się coś niedobrego.

– Pan Fraser czeka na pana. Niczego nie ruszaliśmy.

Oliphant pozwolił mu poprowadzić się po wąskich, niebezpiecznie stromych schodach. Dotarli do pustego korytarza, oświetlonego kolejną karbidową lampą. Wielkie, rozległe kontynenty saletry znaczyły nagie gipsowe ściany. Zapach spalenizny był tu mocniejszy.

Przez drzwi, w jeszcze ostrzejszy blask... Ponura twarz Frasera, klęczącego przy rozciągniętym ciecie. Zamierzał coś powiedzieć, ale Oliphant uciszył go gestem dłoni.

Tutaj więc tkwiło źródło zapachu. Na staromodnej toalecie stał nowoczesny obozowy palnik Primusa; mosiężny zbiornik paliwa lśnił jasno jak zwierciadło. Na pierścieniu stał czarny żeliwny rondel. Cokolwiek podgrzewało się w tym naczyniu, teraz było tylko zwęgloną i cuchnącą ostro masą. i Oliphant przyjrzał się zwłokom. Ten człowiek był olbrzymem; w niewielkim pomieszczeniu nie dało się uniknąć przestępowania nad jego rozrzuconymi na boki rękami. Oliphant pochylił się, zbadał wykrzywioną twarz i zamglone śmiercią oczy.

– Co o tym myślicie? – zwrócił się do Frasera.

– Podgrzewał fasolę z puszkii – odparł policjant. – Jadł prosto z rondla. O, tym. – Czubkiem buta wskazał kuchenną łyżkę pokrytą odrapaną niebieską emalią. – Moim zdaniem był sam. Zdążył zjeść dobrą trzecią część puszkii, zanim powaliła go trucizna.

– Trucizna... – Oliphant wyjął z kieszeni cygarnicę i srebrną obcinarkę. – Jak myślicie, co to było?

Wyciągnął cygaro, przyciął je.

– Coś mocnego, sądząc po jego wyglądzie.

– Tak... Potężny chłop.

– Sir – wtrącił Betteredge. – Powinien pan to zobaczyć. Zademontrował bardzo długi nóż w skórzaną, poplamioną od potu pochwie. Zwisało z niej coś w rodzaju uprzęży. Ciemna rogowa rękojeść okuta była mosiądzem. Betteredge wyjął nóż. Klinga, długa jak w marynarskich sztyletach, miała tylko jedno ostrze i dziwaczne, odwrotne wygięcie przy czubku.

– Co to jest ten kawałek mosiądzu u góry? – zapytał Oliphant.

– Do odbijania uderzeń przeciwnika – wyjaśnił Fraser. – Miękki materiał. Chwyta ostrze. Amerykańska robota.

– Znaki producenta?

– Nie, sir – odparł Betteredge. – Chyba ręcznie kutą u kowala.

– Pokaż broń – rzucił Fraser.

Betteredge wsunął nóż do pochwy i odłożył go na toaletkę. Spod płaszcza wyjął ciężki rewolwer.

– Francusko-meksykański – oświadczył tonem sprzedawcy. – Model Ballestera-Moliny. Po pierwszym strzale sam się ładuje.

Oliphant uniósł brew.

– Wojskowy?

Rewolwer wyglądał dość kanciasto.

– Tania produkcja – wtrącił Fraser, zerkając uważnie na Oliphanta. – Prawdopodobnie dla oddziałów amerykańskich. Policja konfiskuje je marynarzom. Za wiele ich jest...

– Marynarzom?

– Konfederatom, Jankesom, Teksańczykom...

– Teksańczycy... – Oliphant przygryzł czubek nie zapalonego cygara. – Zgadza się chyba, że takiej narodowości był nasz przyjaciel?

– Miał kryjówkę na strychu. Wchodzi się tam przez klapę. – Betteredge owinął rewolwer.

– Pewnie strasznie tam zimno...

– Miał koce, sir.

– Puszka...

– Słucham?

– Puszka, Betteredge, w której znajdował się ostatni posiłek tego człowieka.

– Nie, sir. Nie znaleźliśmy żadnej puszkę.

– Czysta robota. – Oliphant zwrócił się do Fräsera. – Odczekała, aż trucizna zrobi swoje, potem wróciła i usunęła dowody.

– Nie ma obawy. Chirurg znajdzie dla nas wszystko co trzeba.

Oliphanta nagle ogarnęły mdłości – spowodowane obojętnością Fräsera, bliskością zwłok, przenikliwym odorem spalonej fasoli. Odwrócił się i wyszedł na korytarz, gdzie ktoś z

ludzi Frasera ustawiał karbidową lampę.

Cóż to za ohydny dom przy ohydnej ulicy, miejsce najohydniejszych interesów. Wezbrała w nim fala obrzydzenia, gwałtownej i bezradnej niechęci dla tajemnego świata, jego nocnych spraw, powikłanych intryg, jego przeklętych legionów i dusz potępionych.

Dłonie mu drżały, kiedy pocierał lucyfera, by zapalić cygaro.

– Sir, odpowiedzialność...

– Mój przyjaciel z rogu Chancery Lane sprzedał mi tytoń nie tak dobry jak zazwyczaj. – Oliphant zmarszczył brwi, zezując na żarzący się czubek. – Trzeba bardzo uważać, kiedy wybiera się cygara.

– Przeszukaliśmy ten dom od piwnic po dach, panie Oliphant. Jeśli tu mieszkała, nie zostawiła żadnych śladów.

– Doprawdy? A do kogo należała ta elegancka szyfoniera na dole? Kto podlewał kaktusy? Czy w ogóle podlewa się kaktusy? Może przypominały naszemu teksańskiemu przyjacielowi ojczyznę... – Zaciągnął się cygarem, potem zszedł schodami na dół. Betteredge ruszył za nim, jak usłużny młody seter.

Jakiś sztywny osobnik z Antropometrii Kryminalnej stał zadumany przed pianinem, jakby usiłował przypomnieć sobie melodię. Oliphant wiedział, że z rozmaitych artykułów, jakie miał w swojej czarnej walizce, najmniej nieprzyjemne są kalibrowane płócienné taśmy do Bertillonowskich pomiarów czaszki.

– Sir... – odezwał się Betteredge, kiedy antropometrysta zniknął na schodach. – Jeśli uważa pan, że jestem odpowiedzialny... Za jej zgubienie...

– Wydaje mi się, Betteredge, że posiałem cię do Garricka na przedstawienie. Miałeś zdać raport na temat tych akrobatycznych dam z Manhattanu. Prawda?

– Tak jest, sir...

– Widziałeś zatem tę manhattańską trupe?

– Tak, sir.

– Ale... pozwól mi zgadnąć... Ją także tam zobaczyłeś?

– Tak, sir. Jak również Makrelę i jego dwójkę!

Oliphant zdjął okulary i przetarł szkła.

– Jak akrobatki, Betteredge? Muszą być niezwykle, skoro przyciągnęły tak liczną publiczność.

– Boże wielki, sir, one okładają się cegłami! Kobiety biegają po scenie boso, tylko hm... w szarfach i kawałkach gazy. Żadnej przyzwoitej odzieży...

– Podobało ci się, Betteredge?

– Szczerze mówiąc nie, sir. To jak pantomima w Bedlam. Ale skoro przyszli Pinkersi...

„Makrela” było przezwiskiem głównego agenta Pinkertona, filadelfijczyka z bujnymi bokobrodami, który przedstawiał się najczęściej jako Beaufort Kingsley DeHaven, ale czasami też jako Beaumont Alexander Stokes. Został nazwany „Makrelą” z powodu wyboru

zawsze tego samego składnika śniadania, o czym informował Betteredge i inni wywiadowcy.

Od prawie osiemnastu miesięcy Makrela i jego dwaj podwładni byli stałym elementem londyńskiej sceny. Oliphant uznał ich za niezwykle interesujących; ponadto stanowili pretekst dla uzyskania rządowych funduszy. Organizacja Pinkertona, choć oficjalnie była firmą prywatną, służyła jako główny organ gromadzenia danych wywiadowczych dla ogarniętych wojną Stanów Zjednoczonych. Siatka obejmowała zarówno Stany Skonfederowane, jak Republikę Teksasu i Kalifornię. W rezultacie agenci Pinkertona dysponowali często strategicznie ważnymi informacjami.

Kiedy Makrela i jego zespół przybyli do Londynu, pewni ludzie w Sekcji Specjalnej skłonni byli zastosować rozmaite klasyczne metody wymuszania współpracy. Oliphant postarał się szybko odrzucić te sugestie; przekonywał, że Amerykanie będą nieskończenie bardziej wartościowi, jeśli pozwoli się im działać swobodnie... Naturalnie, pod stałą obserwacją Sekcji Specjalnej i jego własnego Wydziału Spraw Specjalnych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Oczywiście, w praktyce Wydziałowi brakowało ludzi do takich przedsięwzięć, więc Sekcja Specjalna przekazała zadanie Betteredge'owi i zwykłej grupie nie rzucających się w oczy londyńczyków. Wszyscy byli doświadczonymi wywiadowcami, osobiście przeszkolonymi przez Oliphanta. Betteredge podlegał mu bezpośrednio. Oliphant oceniał materiały wywiadowcze, po czym przekazywał je Sekcji Specjalnej. Taki układ uznał za bardzo wygodny. Sekcja na razie powstrzymywała się od komentarzy.

Poruszenia agentów Pinkertona stopniowo odsłoniły nie podejrzewane dotąd poziomy tajnej działalności. Uzyskane informacje stanowiły niejednorodną mieszaninę, jednak to właśnie Oliphantowi odpowiadało. Pinkersi, co z satysfakcją wyjaśnił Betteredge'owi, dostarczają odpowiednik próbek geologicznych. Oni dokonają odwiertów, a Brytania zbierze zyski.

Betteredge odkrył niemal natychmiast, ku swej szczerzej dumie, że niejaki Fuller, jedyny, przepracowany urzędnik teksaskiego poselstwa, był opłacany przez Pinkertona. Ponadto Makrela wykazał niezwykle zainteresowanie sprawami generała Sama Houstona; posunął się nawet do osobistego włamania do wiejskiej rezydencji wygnanego prezydenta Teksasu. Potem przez kilka miesięcy jego agenci śledzili Michaela Radleya, sekretarza Houstona, którego zamordowanie w Grand Hotelu prowadziło bezpośrednio do kilku dochodzeń prowadzonych obecnie przez Oliphanta. – I zobaczyłeś panią Bartlett, oglądającą przedstawienie Komunardów. Jesteś całkiem pewien?

– Bez wątpienia, sir.

– Makrela i jego koledzy wiedzieli o niej? A ona o nich?

– Nie, sir. Gapili się na tę pantomimę Komunardów, wrzeszczeli i gwizdali. Pani Bartlett przekradła się za scenę podczas antraktu. Potem trzymała się z tyłu. Ale klaskała. – Betteredge zmarszczył czoło.

– Pinkersi nie próbowali jej śledzić?

– Nie.

– Ale ty spróbowałeś?

– Tak, sir. Kiedy pokaz się skończył, kazałem Bootsowi i Becky Dean pilnować naszych przyjaciół, a sam poszedłem za nią.

– Postąpiłeś bardzo nierozsądnie, Betteredge – stwierdził Oliphant niezwykle łagodnym tonem. – Powinieneś posłać za nią Bootsa i Becky. Mają większe doświadczenie, a zespół zawsze jest bardziej efektywny od samotnego wywiadowcy. Łatwo mogłeś ją zgubić.

Betteredge skrzywił się.

– Albo mogła cię zabić, Betteredge. Jest morderczynią. I to zadziwiająco sprawną. Wiadomo, że zwykle nosi przy sobie witról.

– Sir, przyjmę pełną...

– Nie, Betteredge. Nie. Dajmy temu spokój. Ona zabiła już naszego teksańskiego Goliata. Bez wątpienia z premedytacją. To ona dostarczała mu żywność, pomagała i informowała. Tak jak to uczyniła ona i jej przyjaciele w tę noc grozy w Grand Hotelu... Dostarczała mu puszek z fasolą. Był od niej uzależniony. Ukrywał się na tym strychu. Wystarczyło zatruć jedną puszkę.

– Ale dlaczego nagle zwróciła się przeciw niemu?

– To kwestia lojalności, Betteredge. Nasz Teksańczyk był fanatycznym patriotą. Patrioci sprzymierzają się z samym diabłem w walce o dobro swego narodu, ale są sprawy, przed którymi się cofną. Najpewniej zażądała od niego jakiejś strasznej przysługi, a on odmówił. – Wiedział to z zeznań Collinsa: bezimienny Teksańczyk był niepewnym sprzymierzeńcem. – Sprzeciwił się jej, pokrzyżował jej plany... Tak samo jak zabity profesor Rudwick. Dlatego spotkał go los taki sam jak człowieka, którego zabił.

– Musi być zdesperowana.

– Możliwe. Ale nie ma powodu przypuszczać, że ją zaalarmowałeś, śledząc aż tutaj.

Betteredge zamrugał niepewnie.

– Sir... Kiedy wysłał mnie pan na przedstawienie Komunardów, podejrzewał pan, że ją tam spotkam?

– Ależ skąd... Wyznam ci, Betteredge, że był to zwykły kaprys. Lord Engels, mój znajomy, jest zafascynowany owym Marksem, założycielem Komuny.

– Engels, ten tekstylny magnat?

– Tak. Jest nieco ekscentryczny w tej kwestii.

– W kwestii tych kobiet Komunardów?

– Ogólnie w kwestii teorii pana Marksa, a w szczególności przyszłości Manhattańskiej Komuny. To właśnie szczodrość Friedricha umożliwiła im przyjazd.

– Najbogatszy człowiek w Manchesterze opłaca taką podróż? – Betteredge był szczerze poruszony tą wiadomością.

– To niezwykle, przyznaję. Sam Friedrich jest synem bogatego przemysłowca z Nadrenii... W każdym razie byłem ciekaw twojego raportu. I oczywiście spodziewałem się, że

nasz pan Makrela przybędzie na przedstawienie. Stany Zjednoczone nad wyraz sceptycznie obserwują czerwoną rewolucję na Manhattanie.

– Jedna z kobiet wystąpiła z rodzajem... hm, kazania przed pantomimą. Plotła jak najęta. Coś o „żelaznych prawach”...

– „Żelazne prawa historii”. Tak, znam to. Bardzo doktrynerskie.

Ale Marks wiele elementów swej teorii zapożyczył od lorda Babbage’a... Tak wiele, że jego doktryna może pewnego dnia zawładnąć Ameryką. – Mdłości minęły. – Ale nie zapominajmy, Betteredge, że Komuna powstała w okresie powszechnych rozruchów antywojennych. Ludzie protestowali przeciwko poborowi do wojska Unii.

Marks i jego wyznawcy przechwycili władzę, korzystając z chaosu, nieco zbliżonego do naszych problemów ostatniego lata w Londynie. Tutaj, naturalnie, wyszliśmy z tego w dobrej formie, mimo że w samym środku rebelii straciliśmy naszego Wielkiego Oratora. Właściwa sukcesja władzy jest rzeczą kluczową, Betteredge.

– Rozumiem, sir. – Betteredge kiwnął głową.

Pod wpływem patriotycznej mowy Oliphanta zapomniał o komunardowskich sympatiach lorda Engelsa. Oliphant stłumił westchnienie. Chciałby sam wierzyć w to wszystko.

* * *

Oliphant drzemał w drodze do domu. Śnił, co często mu się zdarzało, o wszechwiedzącym Oku, z którego nieskończonej perspektywy można było rozstrzygnąć każdą, nawet najmniejszą zagadkę.

Po przybyciu odkrył, ku źle skrywanej irytacji, że Bligh przygotował mu kąpiel w składanej gumowej wannie, przepisanej ostatnio przez doktora McNeile’a. W nocnej koszuli, szlafroku i haftowanych kapciach, z rezygnacją i niesmakiem obejrzał nowy mebel, ustawiony przed całkiem dobrą i całkiem pustą wanną z białej porcelany, zajmującą dużą część łazienki. Gumowa wanna była produkcji szwajcarskiej: miękkiej, czarny pojemnik, naprężony teraz i wypukły od ciężaru wody. Podtrzymywana skomplikowaną składaną konstrukcją z tekowego drewna krytego czarną farbą, z kranem łączyła się długim węzłem z ceramicznymi kurkami.

Oliphant zdjął szlafrok i nocną koszulę, zsunął kapcie, po czym z chłodnych, ośmiokątnych marmurowych płytek zstąpił w miękką, ciepłą paszczę. Niewiele brakowało, by się przewróciła, kiedy usiłował w niej usiąść. Podtrzymywana ramą elastyczna powłoka nieprzyjemnie ugięła się pod stopami. W dodatku, co szybko odkrył, obrzydliwie przylegała do pośladków. Zgodnie ze wskazaniem McNeile’a, powinien leżeć w wodzie przez kwadrans, wspierając głowę na małej pneumatycznej poduszeczce z podgumowanego płótna, dostarczonej w tym celu przez producenta. McNeile utrzymywał, że żeliwny korpus porcelanowej wanny utrudnia kręgosłupowi naturalne próby powrotu do właściwej

biegunowości magnetycznej. Oliphant przesunął się lekko, krzywiąc się na obsceniczny dotyk miękkiej gumy.

Bligh przygotował gąbkę, pumeks i świeżą kostkę francuskiego mydła w bambusowym koszyczku przymocowanym do krawędzi wanny. Bambus, jak podejrzewał Oliphant, także nie ma żadnych właściwości magnetycznych. Jęknął cicho, po czym wziął mydło i gąbkę i zaczął się myć. Wolny już od pilnych codziennych spraw, podjął – jak to często czynił – próbę szczegółowego i systematycznego uporządkowania wspomnień. Posiadał naturalny dar pamięci, rozwinięty w młodości dzięki doktrynom edukacyjnym ojca. Pod wpływem głębokiego zainteresowania mesmeryzmem i sztuczkami magicznymi wprowadził on syna w zawile dyscypliny mnemotechniki. Umiejętności te okazały się dla Oliphanta niezwykle przydatne w latach późniejszych i teraz praktykował je tak regularnie, jak niegdyś odmawiał modlitwę. Już prawie rok minął od dnia, kiedy przeszukiwał dobytek Michaela Radleya w pokoju 37 w Grand Hotelu.

Radley posiadał nowoczesny kufer podróżny, który – ustawiony pionowo i otwarty – służył jako kombinacja szafy i biurka. Kufer ten, pogniecione pudło na kapelusze i sakwojaż z mosiężnymi okuciami stanowiły cały bagaż sekretarza. Całe to skomplikowane wyposażenie kufra wzbudziło u Oliphanta poczucie beznadziejności. I Wszystkie zawiasy, pręty, haczyki, niklowane zasuwki i skórzane klapy mówiły wyraźnie o przewidywanych wyprawach, których zabity już nigdy nie podejmie. Równie żalosne były trzy grosy ozdobnych *cartes-de-viste*, z manchesterskim numerem telegraficznym Radleya, rozplanowanych na francuską modłę i wciąż owiniętych w bibułkę z drukarni.

Zaczął rozpakowywać kolejne części kufra, z precyzją lokaja wykładając na hotelowe łóżko ubrania Radleya. Sekretarz wyraźnie gustował w jedwabnych nocnych koszulach. Oliphant obejrzał metki producentów i znaki pralni, wyrócił kieszenie i zbadał palcami szwy.

Artykuły toaletowe Radleya schowane były w wyjmowanej saszetce z impregnowanego jedwabiu.

Oliphant zbadał jej zawartość, po kolei wyjmując każdy przedmiot: pędzel do golenia z borsuczej sierści, samoostrzącą brzytwę, szczoteczkę do zębów, puszkę proszku do zębów, torebkę na gąbkę... Zastukał o nogę łóżka trzonkiem pędzla z kości słoniowej. Otworzył futerał brzytwy ze sztucznej skóry; nikiel błysnął na tle fioletowego aksamitu. Wysypał proszek na arkusz papieru listowego z nagłówkiem Grandu. Zajrzał do torebki na gąbkę i znalazł gąbkę.

Błysk brzytwy przyciągnął wzrok. Wyrzuciwszy zawartość na sztywny gors wieczorowej koszuli, małym scyzorykiem, który zwykle nosił przy dewizce, podważył aksamitną wyściółkę futerału. Odgięła się łatwo, odsłaniając złożony ciasno arkusz cienkiego papieru.

Na papierze, ołówkiem, pismem rozmazanym od częstego wycierania i poprawiania, wypisano coś, co wyglądało na brudnopis listu. Bez daty, bez adresu ani nagłówka, był też nie

podpisany.

Ufam, że pamiętasz P. dwie rozmowy z zeszłego sierpnia, kiedy to w 2 z nich łaskawie powierzy mi swoje Hipotezy. Z radością spieszę powiadomić, że pewne manipul. pozwoliły uzyskać wersję – prawdziwą wers. P. oryg. – która, w moim szczerym przekonaniu, da się wreszcie uruchomić, tym samym demonstrując ów Dowód, od tak dawna poszukiwany i oczekiwany.

Pozostała część kartki była czysta, jeśli nie liczyć słabo widocznych prostokątów, zawierających drukowane litery ALG, COMP i MOD.

ALG, COMP i MOD stały się w efekcie mitycznym trójgłowym smokiem, często nawiedzającym wyższe poziomy wyobraźni Oliphanta. Odkrycie prawdopodobnego znaczenia tego szyfru, dokonane po lekturze transkrypcji przesłuchania Williama Collinsa, nie przepędziło tego obrazu; Alg-Comp-Mod wciąż go nie opuszczał, niby chimera o węzowej szyi z obrzydliwie ludzkimi głowami. Była wśród nich twarz Radleya, martwego, z otwartymi ustami i oczami przesłoniętymi mgłą. Były marmurowo zimne rysy dalekiej i obojętnej lady Ady, obramowane lokami i pierścieniami stanowiącymi dowody z dziedziny czystej geometrii. Jednak trzecia głowa, kołysząca się z boku na bok, kryła się przed jego spojrzeniem. Czasami wyobrażał sobie, że jest tam twarz Edwarda Mallory'ego, rozsądnie ambitnego i beznadziejnie szczerego. Innym razem miał wrażenie, że widzi piękne i groźne oblicze Florencji Bartlett, otoczone oparami witriolu.

Czasami zaś, zwłaszcza w takich chwilach jak ta, w lepkim uścisku gumowej wanny, kiedy dryfował w stronę kontynentu snu, ta twarz była jego własną, a oczy jej wypełniał lęk, którego nie potrafił nazwać.

* * *

Następnego ranka spał do późna i został w łóżku. Bligh dostarczył mu z gabinetu dokumenty do przestudiowania, mocną herbatę i grzanek z anchois. Oliphant przejrzał ministerialne akta Wilhelma Stieberta, pruskiego agenta podającego się za niejakiego Schmidta, wydawcę emigracyjnego pisma. Z dużo większym zaciekawieniem przeczytał pełen odnośników raport z Bow Street, dotyczący kilku ostatnich prób przemytu amunicji. Każdy z tych incydentów wiązał się z ładunkiem przeznaczonym na Manhattan. Kolejne akta zawierały kilka maszynowo drukowanych kopii listów pana Copelanda z Bostonu. Copeland, który handlował drewnem, był na brytyjskim żołdzie. W korespondencji opisywał system fortów obronnych na wyspie Manhattan, dołączając też szczegółowe notatki o ich wyposażeniu. Jako doświadczony czytelnik, Oliphant prześliznął się wzrokiem po opisie południowej baterii na Governor's Island – jakiś zabytek, sądząc po szczegółach – i szybko

dotarł do pogłosek, jakoby Komuna rozmieściła miny od Wybrzeża Roamera po Cieśninę.

Oliphant westchnął. Wątpił, czy rzeczywiście kanał został zaminowany, choć przywódcy Komuny z pewnością chcieli, by w to uwierzono. Zresztą wkrótce te plotki mogą się zmienić w prawdę, jeśli tym panom z Komisji Wolnego Handlu pozwoli się działać bez przeszkód.

W drzwiach stanął Bligh.

– Ma pan spotkanie z panem Wakefieldem, sir. W Centralnym Biurze Statystycznym.

Godzinę później Betteredge powitał go w otwartych drzwiach dorożki.

Oliphant wsunął się do wnętrza i usiadł. Czarne rolety z grubego płótna były zaciągnięte, przesłaniając widok na Half-Moon Street i blask ostrego listopadowego słońca. Woźnica popędził konia. Betteredge otworzył stojącą na podłodze walizeczkę, wyjął lampę i mosiężnym aparatem ze śrubami i sworzniami sprawnie umocował ją do poręczy siedzenia. Wnętrze walizeczki połyskiwało niby miniaturowy arsenał. Agent wręczył Oliphantowi fioletową teczkę.

Oliphant otworzył ją i przejrzał dokumenty opisujące okoliczności śmierci Radleya.

On sam przebywał wówczas w palarni w towarzystwie generała i tego nieszczęsnego Radleya. Obaj dużo pili. Porównując style ich pijaństwa, trzeba przyznać, że Radley był bardziej elegancki, mniej przewidywalny i groźniejszy. Pijany Houston rozkoszował się rolą amerykańskiego barbarzyńcy: spocony i wulgarny, z przekrwionymi oczami, rozpiął się na sofie, opierając zabłocony but o poręcz. Mówiąc, palił, słuwał, przeklinał Oliphanta i Brytanię, a przy tym bez przerwy strugał kawałek sosnowego drewna, od czasu do czasu ocierając nóż o podeszwę buta. Radley za to aż wibrował, pobudzony alkoholem. Oczy mu błyszczały, a policzki pokrywał rumieniec.

Wizyta Oliphanta została zaplanowana, by zaniepokoić Houstona w wigilię jego wyjazdu do Francji. Jednak demonstracja źle skrywanej wrogości między generałem a jego sekretarzem była czymś nieoczekiwanym.

Miał nadzieję posiać ziarno zwątpienia przed francuskim cyklem wystąpień; w tym celu, licząc przede wszystkim na Radleya, zdołał przekonać ich o niezwykle bliskiej współpracy służb wywiadowczych Wielkiej Brytanii i Francji. Oliphant sugerował, że Houston posiada przynajmniej jednego potężnego nieprzyjaciela w szeregach Police des Chateaux, gwardii i tajnej policji będącej w dyspozycji cesarza Napoleona. Wprawdzie Police des Chateaux jest nieliczna, dowodził, lecz nie podlega żadnym prawnym czy konstytucyjnym ograniczeniom. Radley w każdym razie, mimo swego stanu, najwyraźniej zauważył ukrytą groźbę.

Przerwał im boy, który przyniósł liścik dla Radleya. Kiedy wchodził, Oliphant zauważył za drzwiami niespokojną twarz młodej kobiety. Radley przeprosił ich, wyjaśniając, że musi chwilę porozmawiać z kimś z prasy.

Wrócił do palarni po dziesięć minutach. Wtedy Oliphant opuścił towarzystwo. Pod nieobecność Radleya musiał wysłuchać długiej i wyjątkowo kwiecistej mowy generała, który w tym czasie wypił ponad pół kufła brandy.

Telegraficznie wezwany z powrotem do Grandu, Oliphant zjawił się tam przed świtem; natychmiast spytał o hotelowego detektywa, emerytowanego policjanta nazwiskiem McQueen. Recepcjonista, pan Parkes, posłał go do pokoju Houstona, pod numer 24.

Gdy Parkes starał się uspokoić histeryczną żonę przedsiębiorcy drogowego z Lancashire, przebywającą w chwili tragedii pod numerem 25, McQueen sprawdził drzwi pokoju Houstona i odkrył, że nie są zamknięte. Przez wybite okno wpadał do wnętrza śnieg, a zimne już powietrze cuchnęło prochem, krwią i – jak to delikatnie określił detektyw – „zawartością jelit martwego dżentelmena”. Zauważywszy czerwoną ruinę, jaką stanowiły zwłoki Radleya, aż nazbyt widoczne w zimnym świetle dnia, McQueen nakazał Parkesowi wezwać telegraficznie policję. Swoim uniwersalnym kluczem zamknął drzwi, zapalił lampę i resztą okiennej zasłony zakrył widok z ulicy.

Stan odzieży Radleya dowodził, że ktoś przeszukał jego kieszenie. W otaczającej ciało kałuży krwi i innej materii leżały rozmaite drobne przedmioty: zapalniczka, cygarnica, monety o różnych nominałach. Z lampą w ręku detektyw zbadał pokój; odkrył kieszonkowy pistolet Leacocka i Hutchingsa, z rękojeścią z kości słoniowej. Trzy z pięciu luf zostały wystrzelone – całkiem niedawno, jak ocenił McQueen. Kontynuując badanie, znalazł wśród odłamków rozbitego szkła krzykliwie błyszczącą główkę laski generała Houstona. Obok leżał zakrwawiony pakiet, ciasno owinięty w brązowy papier. Jak się okazało, zawierał około setki kart kinotropowych; zawile wzory dziurek uległy zniszczeniu w wyniku trafienia przez dwie kule. Kule te z miękkiego ołowiu, mocno zniekształcone, wypadły McQueenowi na dłoń, kiedy oglądał karty.

Dalsze badanie pokoju, przeprowadzone przez ludzi z Centralnego Biura Statystycznego – na żądanie Oliphanta udało się odsunąć od sprawy londyńską policję – wykazało niewiele ponad to, co odkrył weteran McQueen. Spust pistoletu Leacocka i Hutchingsa leżał pod fotelem. Dziwniejszym znaleziskiem okazał się biały diament o prostokątnym szlifie, piętnastokaratowy, najwyższej czystości, który tkwił wbity między dwie deski podłogi.

Dwaj ludzie z Antropometrii Kryminalnej, nie bardziej niż zwykle tajemniczy, przy pomocy dużych kwadratów lepkiej bibułki zdjęli z dywanu najróżniejsze włosy i strzępki. Zazdrośnie strzegli tych próbek i natychmiast się z nimi wynieśli. Nikt więcej o nich nie słyszał.

– Skończył pan, sir?

Spojrzał na Betteredge’a, potem na dokumenty; wciąż widział lepką kałużę krwi Radleya.

– Jesteśmy przy Horseferry Road, sir. Powóz zatrzymał się.

– Tak... Dziękuję.

Zamknął teczkę i oddał ją Betteredge’owi. Potem wysiadł i wspiął się na szerokie stopnie.

Niezależnie od okoliczności wizyty, wchodząc do Centralnego Biura Statystycznego zawsze czuł lekkie podniecenie. Podobnie teraz: wrażenie, że jest w jakiś sposób obserwowany... jest znany i policzony. No tak, Oko...

Kiedy rozmawiał z umundurowanym portierem, z korytarza po lewej stronie wynurzyła się grupa młodszych mechaników. Nosili maszynowo skrojone wełniane kurtki i wypolerowane półbuty na podeszwach z nacinanej gumy. Każdy ścisnął nieskazitelną białą brezentową teczkę z narzędziami, z rogami obitymi skórą i mosiężnymi nitami. Niektórzy wyjmowali już z kieszeni fajki i cygara.

Oliphant poczuł ostre ukłucie głodu tytoniowego. Często przychodziło mu żałować koniecznego w Biurze zakazu palenia. Obejrzał się za mechanikami, którzy znikali już pomiędzy kolumnami i sfinksami z brązu. Żonaci mężczyźni, pewni biurowej emerytury, mieszkają pewnie w Camden Town, w New Cross czy innym przyzwoitym przedmieściu. W swoich małych salonikach stawiają rzeźbione kredensy i ozdobne holenderskie zegary. Ich żony podają herbatę na tacach pokrytych kolorową laką.

W drodze do windy minął irytująco banalną pseudobiblijną płaskorzeźbę. Windziarz skłonił się lekko; do środka wszedł jeszcze posepny dżentelmen, ścierający chusteczką białą plamę na ramieniu płaszcza.

Przesuwne drzwi mosiężnej klatki zatrzasnęły się z hukiem. Winda ruszyła w górę. Dżentelmen w ubrudzonym płaszczu wysiadł na trzecim przystanku. Oliphant dotarł do piątego, do siedziby Kryminologii Ilościowej i Analizy Nieliniowej. Co prawda, ta ostatnia wydawała mu się nieskończenie ciekawsza od tej pierwszej, dziś jednak potrzebował właśnie KI, a w szczególności osoby podsekretnego wydziału, Andrew Wakefielda.

Urzędnicy w KI siedzieli w osobnych ciasnych komórkach rozdzielonych ścianami ze stalowych rurek, azbestu i forniru. Wakefield kierował nimi z komórki nieco większej. Jego łysiejącą głowę otaczały mosiężne gałki niezliczonych szuflad z kartotekami.

Podniósł wzrok, kiedy wszedł Oliphant; duże przednie zęby zachodziły mu na dolną wargę.

– Oliphant – rzekł. – Cóż za radość, jak zawsze. Przepraszam na moment.

Wsunął kilka dziurkowanych kart do sztywnej niebieskiej koperty wyścielonej bibułką, po czym starannie przeciągnął czerwony sznureczek między dwoma połówkami patentowej klamry. Potem odłożył kopertę na wyłożoną azbestem półkę, gdzie leżało już kilka identycznych.

Oliphant uśmiechnął się.

– Wyobrażasz sobie, że umiem czytać dziurki, Andrew?

Wysunął ze skrytki składane siedzenie stenografa i usiadł, kładąc na kolanach złożony parasol.

– Wie pan, co jest w tej niebieskiej kopercie, prawda? – Trzasnęły sprężyny, gdy Wakefield wsunął składany blat do wąskiej szczeliny.

– Nie w tej konkretnej... Ale przypuszczam, że o to właśnie chodzi.

– Istnieją ludzie, którzy potrafią czytać karty, Oliphant. Ale nawet młodszy technik odczyta podstawowe instrukcje tak łatwo, jak pan czyta kina w tunelach metra.

– Nigdy nie czytam kin w tunelach metra, Andrew.

Wakefield parsknął. Oliphant wiedział, że jest to odpowiednik śmiechu.

– A jak stoją sprawy w *corps diplomatique*, Oliphant? Walczymy z „luddyckim spiskiem”, nieprawdaż...

Nie dało się nie dostrzec ironii w głosie Wakefielda, jednak Oliphant udał, że traktuje pytanie poważnie.

– Jak dotąd nie wywarło to znaczących wpływów. Przynajmniej w obszarach moich zainteresowań.

Wakefield skinął głową. Sądził zapewne, że „obszary zainteresowań” Oliphanta ograniczone są do działalności cudzoziemców na gruncie brytyjskim. Na jego prośbę Wakefield regularnie zlecał badanie plików dotyczących grup tak różnych jak Karbonariusze, Rycerze Białej Kamelii, Towarzystwo Feniańskie, Rangerzy z Teksasu, grecka Hetairai, Agencja Detektywistyczna Pinkertona czy konfederackie Biuro Badań Naukowych. O wszystkich było wiadomo, że działają w Brytanii.

– Mam nadzieję, że teksaskie materiały, jakie dostarczyliśmy, okazały się przydatne – rzucił Wakefield. Sprężyny zatrzęszczały, kiedy się pochylił.

– Bardzo – zapewnił go Oliphant.

– Nie wie pan przypadkiem... – Wakefield wyjął z kieszeni pozłacany automatyczny ołówek – czy ich poselstwo nie planuje przeprowadzki do nowej siedziby?

– Z ich obecnej, przy St James? Tuż za rogiem od Berry’ego, handlarza win?

– Dokładnie.

Oliphant zawahał się, jakby rozważał tę kwestię.

– Nie przypuszczam. Nie mają pieniędzy. Sądzę, że w rezultacie będzie to zależeć od dobrej woli ich gospodarza...

Wakefield uśmiechnął się; zębami przygryzł dolną wargę.

– Wakefield – odezwał się Oliphant. – Powiedz mi szczerze: kto chce to wiedzieć?

– Antropometria Kryminalna.

– Naprawdę? Czyżby oni także zaangażowali się w działalność obserwacyjną?

– Myślę, że chodzi o kwestie techniczne. Eksperymentalne. – Wakefield odłożył ołówek.

– Ten pański uczoney... Mallory, prawda?

– Tak. Co z nim?

– Widziałem recenzję jego książki. Podobno wyjechał do Chin?

– Do Mongolii. Kieruje ekspedycją Towarzystwa Geograficznego. Wakefield zacisnął wargi i kiwnął głową.

– Przestanie się kręcić pod nogami...

– Miejmy nadzieję, że będzie bezpieczny. Nie taki zły człowiek, trzeba przyznać. Szczerze podziwiał techniczne aspekty pracy waszego Biura. Ale ja sam także mam techniczną sprawę, Andrew.

– Doprawdy?

– Związaną z procedurami pocztowymi. Wakefield chrząknął cicho, całkiem obojętnie.

Oliphant wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją podsekretarzowi. Była otwarta. Wakefield sięgnął do koszyka pod łokciem po parę białych rękawiczek, wciągnął je, wyjął z koperty białą telegraficzną kartę adresową, zbadał ją i spojrzał na Oliphanta.

– Grand Hotel – oznajmił.

– Tak jest.

Znak firmy był wydrukowany na karcie. Oliphant przyglądał się, jak Wakefield odruchowo bada palcami rzędy dziurek, szukając śladów zużycia, co mogłoby spowodować zacięcie.

– Chce pan wiedzieć, kto to wysłał?

– Ta informacja znajduje się już w moim posiadaniu.

– Nazwisko adresata?

– Znam go także.

Jęknęły sprężyny – nerwowo, wydało się Oliphantowi. Wakefield powstał z lekkim metalicznych trzaskiem i ostrożnie wsunął kartę w mosiężną szczelinę osłoniętego szkłem aparatu, zawieszonego nad rzędem kartotek. Zerknął na gościa, wyciągnął dłoń w rękawicze i szarpnął hebanowy uchwyt dźwigni. Kiedy sunęła w dół, aparat szumiał jak prasa kredytowa w sklepie. Gdy Wakefield ją puścił, zaczęła wolno powracać do dawnej pozycji, brzęcząc i stukając niczym maszyna hazardowa. Wakefield obserwował wirujące koła literowe; zwalniały, wreszcie znieruchomiały. Aparat ucichł nagle.

– Egremont – odczytał Wakefield głośno, ale spokojnie. – „Pod bukami”, Belgravia.

– Istotnie – przyznał Oliphant. Wakefield wyjął kartę ze szczeliny. – Potrzebny mi jest tekst tego telegramu, Andrew.

– Egremont... – powtórzył Wakefield, jakby nie słyszał. Wrócił na miejsce, wsunął kartę do koperty i zdjął rękawiczki. – Wydaje się wszechobecny... Nasz prawy i szanowany Charles Egremont. Nie mają końca wysiłki, jakie dla nas podejmuje...

– Tekst wiadomości, Andrew, znajduje się gdzieś tutaj, w Biurze. Istnieje fizycznie, jestem przekonany, w postaci iluś tam cali taśmy telegraficznej.

– Wie pan, że mam pięćdziesiąt mil wałów wciąż zabrudzonych po Fektorze? Nie mówiąc już o tym, że pańska prośba jest raczej bardziej niż zwykle nieregulaminowa...

– „Zwykle nieregulaminowa”? To dobre...

– Pańscy przyjaciele z Sekcji Specjalnej przychodzą tu co godzinę i żądają, żeby zakręcić trybami, a potem zakręcić jeszcze... W nadziei strącenia luddytów, którzy jakoby skrywają się pod skrzydłami narodu! Kim jest ten człowiek, Oliphant?

– Dość młodym politykiem radykałów, jak rozumiem. A raczej był nim do czasu Fektoru i ówczesnych rozruchów.

– Raczej do śmierci Byrona.

– Ale przecież mamy teraz lorda Brunela, prawda?

– Prawda. I pod jego okiem jakiś wściekły obłęd w Parlamencie.

Oliphant pozwolił, by cisza się przeciągnęła.

– Gdybyś mógł dla mnie zdobyć treść tego telegramu, Andrew... – rzekł wreszcie niegłośnie. – Byłbym ci bardzo wdzięczny.

– To bardzo ambitny człowiek, Oliphant. I ma ambitnych przyjaciół.

– Nie jesteś odosobniony w tej opinii. Wakefield westchnął.

– W tych okolicznościach absolutna dyskrecja...

– Z całą pewnością!

– Ale poza wszystkim, nasze wały są brudne. Oblepione zagęszczoną materią. Mechanicy pracują na trzy zmiany i odnoszą pewne sukcesy, stosując aerozole lorda Colgate’a... Czasem jednak tracę wiarę, że kiedyś uda się doprowadzić system do porządku, że zawiruje jak należy... – Zniżył głos. – Wie pan, że Napoleon już od miesięcy nie wykonuje należycie swych wyższych funkcji?

– Cesarz? – Oliphant udał, że nie rozumie.

– Napoleońskie wały, wedle danych, porównawczy eh, to prawie dwukrotnie więcej niż nasze. A on po prostu nie działa.

Ta myśl przepełniała go chyba grozą.

– Mieli swój własny Feter, co?

Wakefield ponuro pokręcił głową.

– No właśnie – rzekł Oliphant. – Najpewniej jakieś tryby zablokowały się na łupinie cebuli...

Wakefield parsknął.

– Czy odszukasz mi ten telegram? W wolnej chwili, ma się rozumieć.

Wakefield ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Zuch – pochwalił go Oliphant.

Zasalutował złożonym parasolem i wstał, by ruszyć w drogę powrotną między komórkami KI i pochylonymi, ciepłymi głowami urzędników Wakefielda.

* * *

Oliphant jako profesjonalista wybrał okrężną trasę z tawerny w Soho, gdzie odstawił go Betteredge, na Dean Street. Teraz wkroczył do brudnego domu; drzwi były otwarte. Zamknął je starannie za sobą i wspiał się po nagich stopniach na piętro. Chłodne powietrze pachniało gotowaną kapustą i tytoniowym dymem.

Zastukał dwa razy, a potem jeszcze dwa.

– Proszę, proszę wejść. Napuści pan zimna...

Brodaty pan Hermann Kriege, ostatnio z nowojorskiej *Volks Tribune*, sprawiał wrażenie,

jakby włożył na siebie całą posiadaną odzież. Zupełnie jakby się założył, że potrafi nosić całą zawartość straganu szmaciarza.

Zamknął drzwi za Oliphantem i zasunął łańcuch.

Kriege miał dwa pokoje; ten z oknem wychodzącym na ulicę był bawialnią, drugi pełnił funkcje sypialni. Wszystko tu było połamane i wystrzępione; panował straszliwy nieporządek. Duży staromodny stół przykryty ceratą stał pośrodku bawialni. Na nim leżały rękopisy, książki, gazety, lalka z drezneńską główką, przyrządy do szycia, wyszczerbione filizanki, brudne łyżeczki, pióra, noże, świece, kałamarz, gliniane fajki i tytoniowy popiół.

– Proszę, proszę siadać.

W licznych warstwach odzieży bardziej niż zwykle podobny do niedźwiedzia, Kriege szerokim gestem wskazał krzesło z trzema nogami. Mrugając od obłoków dymu z paleniska i z fajki, Oliphant odszukał stolek, który wydawał się cały, choć córka Kriegego bawiła się na nim w kuchnię. Ryzykując parą spodni, strzepnął lepkie okruchy i usiadł naprzeciw gospodarza przy stole zasłanym rozmaitym śmieciem.

– Prezencik dla pańskiej małej Traudl – powiedział, wyjmując z kieszeni płaszcz paczuszkę owiniętą w bibułę, którą przytrzymywał kwadrat samoprzylepnego papieru z wyciśniętymi inicjałami magazynu zabawek przy Oxford Street. – Zastawa do herbaty dla lalek.

Położył paczuszkę na stole.

– Nazywa pana „wujkiem Lanym”. Nie powinna znać pańskiego imienia.

– Wielu jest Lanych w Soho, jak sędzę. – Oliphant wyjął gładką kopertę, odpieczętował i ułożył obok paczuszki, wyrównując ją do brzegów blatu. Zawierała trzy używane pięciofuntowe banknoty.

Kriege milczał. Cisza przedłużała się.

– Manhattańska Kobieta Trupa Czerwonej Pantomimy – odezwał się wreszcie Oliphant.

Kriege parsknął pogardliwie.

– Safickie gwiazdy z Bowery przybyły do Londynu? Pamiętam je z Purdy’ego. Przekonały do sprawy Martwe Króliki, które dotąd angażowały się w politykę, jedynie rzucając kamieniami i wywołując bójki podczas wyborów municypalnych. Chłopcy od rzeźnika, pucybuci, prostytutki z Chatham Square i z Five Points... To była ich publiczność. Spoceni proletariusze, przychodzący popatrzeć na kobietę wystrzeloną z armaty, rozplaszczoną na ścianie i zdrapywaną jak papier... Powiadam panu, sir, że błędnie kieruje pan swoje zainteresowania.

Oliphant westchnął.

– Drogi przyjacielu, zadawanie pytań to moja praca. Musisz zrozumieć, że nie wolno mi zdradzić powodów, dla których zadaję konkretne pytanie. Wiem, że wiele wycierpiałeś. Wiem, że cierpisz i teraz, na wygnaniu.

Znacząco rozejrzał się po koszmarным pokoju.

– Cóż zatem chce pan wiedzieć?

– Pojawiła się sugestia, że pośród wielu elementów przestępczych, aktywnych w okresie niedawnych niepokojów publicznych, byli również agenci Manhattanu... – Oliphant urwał wyczekująco.

– Uważam to za mało prawdopodobne.

– Na jakiej podstawie, Kriege?

– Wedle mojej wiedzy Komuna nie jest zainteresowana zakłócaniem brytyjskiego *status quo*. Wasi radykałowie demonstrowali przyjazną obojętność dla amerykańskiej walki klas. Więcej nawet: pański kraj zachowywał się często niemal jak sojusznik. – W głosie Kriegego brzmiała gorycz i wyraźny cynizm. – Można sobie wręcz wyobrazić, że w interesie Brytanii leżało, by Unia Północna utraciła na rzecz Komunardów swe największe miasto.

Oliphant poprawił się ostrożnie na niewygodnym stołku.

– Był pan bliskim znajomym pana Marksa, o ile mi wiadomo...

Wiedział, że aby wydobyć od Kriegego konkretną informację, należało rozbudzić w nim jego życiową pasję.

– Znajomym? To ja go powitałem, kiedy schodził ze statku. Uściśnął mnie i nie minęła minuta, a pożyczył dwadzieścia dolarów w zlocie, żeby opłacić czynsz w Bronxie! – Kriege zaśmiał się krótko, lecz śmiech został zduszony przez wściekłość. – Była wtedy przy nim jego Jenny, chociaż ich małżeństwo nie przetrwało rewolucji... Ale miał w łóżku irlandzką robotnicę z Brooklynu, kiedy wypędził mnie z Komuny, drogi panie, za głoszenie „religianctwa i wolnej miłości”! Wolna miłość, myślałby kto!

Duże, blade dłonie Kriegego z zaniedbanymi paznokciami z roztargnieniem skubały plik papierów.

– Został pan bezlitośnie wykorzystany, panie Kriege...

Oliphant pomyślał o swoim przyjacielu, lordzie Engelsie; wydawało się rzeczą zdumiewającą, że inteligentny producent tekstyliów utrzymywał kontakty – co prawda, na odległość – z takimi ludźmi. Kriege był niegdyś członkiem tak zwanego „Komitetu Centralnego” Komuny, dopóki Marks nie kazał mu się wynosić. W Unii Północnej wyznaczono cenę za jego głowę, odpłynął więc z Bostonu pod pokładem, bez pensa przy duszy, pod przybranym nazwiskiem, z żoną i dzieckiem, by przyłączyć się do tysięcy amerykańskich uchodźców w Londynie.

– Te mimy z Bowery...

– Tak? – Oliphant pochylił się z uwagą.

– W Partii istnieją frakcje...

– Proszę mówić dalej.

– Anarchiści udający komunistów, feministki, wszelkie odmiany niewłaściwych ideologii, rozumie pan, ukryte komórki, nie podlegające władzy Manhattanu...

– Rozumiem – potwierdził Oliphant.

Myślał o stosach składanej papierowej wstęgi, zawierającej spowiedź Williama Collinsa.

* * *

Znów pieszo, Oliphant ruszył okrężną drogą przez Soho na Compton Street, gdzie zatrzymał się przed pubem znanym jako Błękitny Dzik.

„DŻENTELMEN – WIELBICIEL SPORTU”, poinformował go wielki afisz, „Szczery Entuzjasta destrukcji tych Szkodników” oferował „ZŁOTY ZEGAREKREPETIER ZA ZABICIE ICH PRZEZ PSY o wadze do 13 i 3/4 funta”. Pod rozmazanym arkuszem malowany drewniany szyld informował o „Szczurach w stałej ofercie, dla wygody Dżentelmenów, pragnących wypróbować swoje psy”.

Wszedł do wnętrza. Natychmiast powitał go Fraser, a także ostry odór psów, tytoniowego dymu i oparów taniego dżinu.

Przy długim barze tłoczyli się mężczyźni ze wszystkich warstw społeczeństwa; wielu trzymało pod pachami zwierzęta. Były wśród nich buldogi, szkockie teriery i małe, brązowe teriery angielskie. Na niskich, ścianach z surowego drewna wisiały pęki skórzanych obroży.

– Przybył pan dorożką, sir? – zapytał Fraser.

– Nie, pieszo. Z miejsca poprzedniego spotkania.

– Hej tam! – krzyknął barman. – Nie blokować baru! Ludzie mszyli na salę, gdzie młody kelner zawołał głośno:

– Proszę o zamówienia, panowie!

Z Fraserem u boku, Oliphant podążył za grupą właścicieli psów. Nad dużym kominkiem wisiały oszklone gabloty z wypchanymi głowami sławnych niegdyś zwierząt. Oliphant zwrócił uwagę na łeb bullteriera z wytrzeszczonymi szklanymi oczami.

– Wygląda jakby zginął od uduszenia – stwierdził, wskazując gablotę Fraserowi.

– Zniszczyli ją przy wypychaniu, sir – wtrącił kelner, jasnowłosy chłopak w brudnym pasiastym fartuchu. – A była kiedyś dobra... Nie było lepszej w całej Anglii. Widziałem, jak raz zabiła dwadzieścia z rzędu, chociaż w końcu ją dostały. Te szczury z kanałów są straszne; mogą psa zakazić, chociaż zawsze płukaliśmy jej zęby wodą z miętą.

– Jesteś synem Sayersa – stwierdził Fraser. – Chcemy zamienić z nim słowo.

– Znam pana, sir! Był tu pan w sprawie tego uczonego prezesa...

– Prowadź do ojca, Jem... I to chyżo – przerwał mu Fraser, nie pozwalając, by chłopiec ogłosił gościom o przybyciu policjanta.

– Na górze, sir. Oświeć arenę.

– Zuch – pochwalił Fraser i wręczył mu szylinga.

Razem z Oliphantem weszli na szerokie drewniane schody, prowadzące do pomieszczenia będącego niegdyś salonem. Fraser otworzył drzwi i weszli do sali walk szczurów.

– Zamknięte! – huknął grubas z żółtymi bokobrodami.

Oliphant zobaczył drewnianą arenę średnicy około sześciu stóp, otoczoną barierą sięgającą do łokci. Ponad nią wisiał ośmioramienny gazowy żyrandol, jasno oświetlający pomalowaną na biało podłogę. Sayers, właściciel Błękitnego Dzika, w ciasnej jedwabnej kamizelce, wyszedł im na spotkanie, trzymając w lewym ręku żywego szczura.

– To pan, panie Fraser. Bardzo przepraszam.

Chwycił zwierzaka za kark i zręcznie wydłubał mu przednie zęby. Jako jedyne narzędzie użył swego mocnego kciuka.

– Mam zamówienie na tuzin z usuniętymi zębami – wyjaśnił.

Wrzucił okaleczonego szczura do drucianej klatki, gdzie było już kilka innych. Potem zwrócił się do przybyszów. – Czym mogę służyć, panie Fraser?

Fraser wyjął maszynowo drukowany portret z kostnicy.

– Tak, to wasz człowiek – potwierdził Sayers, unosząc brwi. –

Wielkie chłopisko, z długimi nogami. I trup, sądząc z wyglądu.

– Jesteście pewni? – Oliphant czuł teraz smród szczurów. – Czy to właśnie zabójca profesora Rudwicka?

– Zgadza się, sir. Różni tu przychodzą, ale niewielu takich argentyńskich gigantów.

Fraser wyjął notes i coś zapisywał.

– Argentyńskich? – zdziwił się Oliphant.

– Mówił po hiszpańsku – odparł Sayers. – W każdym razie na hiszpański mi to wyglądało. Uważasz pan, nikt z nas nie widział, jak to zrobił, ale był wtedy w barze. To pewne.

– Kapitan przyszedł! – zawołał od drzwi syn Sayersa.

– Diabli! A ja nawet połowie jego szczurów nie wyłamałem zębów!

– Fraser – mruknął Oliphant. – Mam ochotę na grzany dzin.

Zejdźmy do baru i pozwólmy panu Sayersowi dokończyć przygotowań przed wieczornymi walkami.

Pochylił się nad większą klatką; inaczej niż tamta, zbudowana była z żelaznych sztab. Wydawało się, że mieści całą górę szczurów.

– Uważaj pan na palce – ostrzegł Sayers. – Możesz mi pan wierzyć: jak ugryzą, długo pan tego nie zapomni. Nie są z tych najczyściejszych.

W sali jakiś młody oficer, zapewne wspomniany kapitan, groził, że zaraz wyjdzie, jeśli każą mu czekać dłużej.

– Na pańskim miejscu nie piłbym tego – mruknął Fraser, zerkając na szklaneczkę grzanego dzinu. – Prawie na pewno jest fałszowany.

– Szczerze mówiąc, całkiem niezły – stwierdził Oliphant. – Ma leciuteńki posmak, jakby piołunu.

– Jakaś oszałamiająca trucizna... – Możliwe. Francuzi używają tego w swoich dekoktach.

Co pan sądzi o naszym dzielnym kapitanie?

Oliphant skinął szklaneczką džinu w stronę mężczyzny, który z wyraźną irytacją krążył po sali, oglądając łapy prezentowanych sobie psów. Co chwila wykrzykiwał, że pójdzie sobie, jeśli natychmiast nie otworzą areny.

– Krym – stwierdził Fraser.

Kapitan pochylił się, by popatrzeć na pazury młodego teriera na rękach krępego, smagłego mężczyzny, któremu spod melonika sterczały wypomadowane kosmyki.

– Velasco – mruknął Fraser jakby do siebie. W jego głosie zabrzmiało coś nieprzyjemnie zbliżonego do zadowolenia. W jednej chwili znalazł się przy mężczyźnie.

Kapitan spojrzał na niego. Przystojną młodą twarz wykrzywił gwałtowny tik, a Oliphant zobaczył oczami wyobraźni czerwony Krym: miasta płonące jak ogniska, rozorane pociskami równiny sypkiej ziemi, z której wyrastały białe kwiaty, będące ludzkimi rękami. Zadrżał od wyrazistości tej wizji i natychmiast o niej zapomniał.

– Czy my się znamy, drogi panie? – zapytał kapitan z jowialnością podszytą groźbą.

– Panowie! – zawołał Sayers, stając na schodach.

Pod przewodem kapitana, całe towarzystwo z wyjątkiem Oliphanta, Frasera, smagłego mężczyzny i jeszcze jednego człowieka ruszyło na górę. Ten czwarty, siedzący na poręczy wytartego fotela, zakaszał głośno. Oliphant zauważył, jak Fraser zaciska palce na ramieniu ofiary.

– Nie powinieneś próbować takich diabelnych numerów, Fraser – oznajmił człowiek na fotelu. Wyprostował nogi i wstał.

Oliphant usłyszał w jego głosie pewne wyrachowanie. Podobnie jak jego smagły kolega, mężczyzna nosił eleganckie, nowe ubranie z najmodniejszych sklepów przy Oxford Street; maszynowo skrojony gabardynowy płaszcz miał kolor niebieski, przechodzący w barwę lawendową. Obaj nosili w klapach niewielkie znaczki w barwach Union Jacka.

– Diabelnych, panie Tatę? – odparł Fraser tonem nauczyciela, który zamierza kogoś wyłajać, a może i gorzej.

– Uczciwe ostrzeżenie, Fraser – wtrącił smagły mężczyzna, wytrzeszczając piwne oczy. – Pracujemy dla Parlamentu!

Mały terier drżał na jego rękach.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Oliphant. – A jakież to sprawy załatwia Parlament na walkach szczurów?

– Mógłbym zapytać o to samo – odparł wyższy i zakaszał.

Fraser spojrzał na niego groźnie.

– Fraser – rzucił Oliphant. – Czy ci dwaj dżentelmeni to owi prywatni agenci, o których wspomniałeś w związku z doktorem Mallorym?

– Tatę i Velasco – potwierdził inspektor.

– Panie Tate... – Oliphant podszedł bliżej. – Miło mi pana poznać, sir. Jestem Laurence

Oliphant, dziennikarz.

Tate zamrugał niepewnie, zaskoczony tą wylewnością. Fraser zrozumiał sugestię i niechętnie puścił ramię Velasco.

– Panie Velasco... – Oliphant uśmiechnął się serdecznie.

Velasco przyglądał mu się podejrzliwie.

– Dziennikarz? A jaki dziennikarz? – chciał wiedzieć. Spoglądał na przemian to na Oliphanta, to na Frasera.

– Głównie artykuły podróżnicze – wyjaśnił Oliphant. – Chociaż obecnie, z nieocenioną pomocą pana Frasera, pracuję nad historią Wielkiego Fetoru.

Tate zerknął na niego ponuro.

– Mówił pan: Mallory. Co z Mallorym?

– Rozmawiałem z doktorem Mallorym przed wyjazdem do Chin. Jego przeżycia w czasie Fetoru były doprawdy niezwykle i stanowią znakomitą ilustrację zagrożeń, jakie w tak chaotycznym okresie mogą stać się udziałem każdego.

– Każdego? – powtórzył Velasco. – Bzdura! Sprawa Mallory’ego to była sprawa uczonych, a ten pański... pan... Fraser wie o tym aż za dobrze.

– Owszem, w samej rzeczy. I dlatego tak się cieszę, że spotkałem panów właśnie dzisiaj.

Velasco i Tate spojrzeli po sobie niepewnie.

– Naprawdę? – spytał Tate.

– Absolutnie. Widzicie, panowie, doktor Mallory opowiedział mi o nieszczęśliwym nieporozumieniu z jego rywalem, słynnym uczonym, Peterem Foulke. Jak się zdaje, nawet w najwyższych kręgach intelektualnych, w okresie bezprecedensowego napięcia...

– Nie zobaczysz pan więcej tego przekłętą Petera Foulke’a w tych najwyższych przeklętych kręgach – przerwał mu Velasco. – Nie pomoże mu zadzieranie nosa. – Odczekał chwilę dla lepszego efektu. – Został przyłapany w łóżku z dziewczyną, nawet nie dwunastoletnią!

– Nie! – Oliphant udał zdumienie. – Foulke? Ale przecież...

– Tak było – potwierdził Tate. – W Brighton. A ci, co go przyłapali, spuścili mu tęgie lanie i wyrzucili gołego na ulicę!

– Ale nie myśmy tego dokonali – oznajmił twardo Velasco. – I nikt nam tego nie udowodni.

– Budzi się nowy trend – rzekł Tate. Wypiął zapadniętą pierś, by lepiej zademonstrować Union Jacka w klapie. Czerwony od dżinu czubek nosa błyszczał wilgocią. – Nie ma tolerancji dla dekadencji! – Równy zaakcentował wszystkie cztery sylaby. – Czy to w kręgach uczonych, czy w innych, choćby najwyższych. Ukryte zepsucie kwitło pod rządami Byrona, i to na wszelkie sposoby. Dobrze o tym wiesz, Fraser! – Fraser szeroko otworzył oczy na ten zuchwały zarzut, zaś podniecony Tate zwrócił się do Oliphanta. – Ten Fetor był dziełem Neda Ludda, mój panie. To jest ta pańska historia!

– Sabotaż na tytaniczną skalę – oświadczył posepnie Velasco, jakby cytował czyjąś mowę. – Wspierany przez spiskowców z najwyższych sfer naszego społeczeństwa! Ale są jeszcze wśród nas patrioci, sir, patrioci, którzy wyrwą zło z korzeniami!

Terier na jego rękach zawarczał. Zdawało się, że Fraser za chwilę udusi i człowieka, i psa.

– Prowadzimy śledztwo na zlecenie Parlamentu – rzekł Tate. –

Chodzi o sprawę posła. Jestem przekonany, że nie zechcecie nam przeszkadzać.

Oliphant położył dłoń na rękawie Frasera. Z tryumfalnym uśmieszkiem Velasco uspokoił zwierzę i odszedł w stronę schodów. Tate podążył za nim. Z góry rozległo się wściekłe szczekanie psów i chrapliwe krzyki widzów.

– Pracują dla Egremonta – stwierdził Oliphant.

Fraser skrzywił się z niesmakiem. Niesmakiem i czymś w rodzaju zaskoczenia.

– Nic więcej nie mamy tu do zrobienia, Fraser. Zamówiłeś dorożkę, jak sądzę?

* * *

Pan Mori Arinori, faworyt Oliphanta wśród jego młodych japońskich „uczniów”, żywił gorący zachwyt dla wszystkiego, co brytyjskie. Oliphant, który zwykle rankiem jadał tylko lekki posiłek, a często nie jadał wcale, czasami godził się na solidne „angielskie” i śniadanie, żeby zrobić przyjemność Mori. Dzisiaj młody Japończyk włożył najluźniejszy z golfowych tweedów i szal z tartanu Królewskiego Irlandzkiego Bractwa Inżynierów Parowych.

Jest w tym jakiś zabawny i melancholijny element paradoksu, dumal Oliphant, patrząc, jak Mori smaruje grzankę marmoladą, gdy jego samego ogarniała tymczasem nostalgiczna tęsknota za Japonią, gdzie służył jako sekretarz Rutherforda Alcocka. Pobyt w Edo nauczył go podziwu dla przygaszonych barw i subtelnych faktur świata rytuałów i cieni. Tęsknił za bębnieniem kropli deszczu na papierowych ścianach, za kwitnącymi roślinami, pochyłającymi się w wąskich alejkach, za blaskiem trzcinowych lamp, zapachami i mrokiem, cieniami Dolnego Miasta...

– Orlphant-san, grzanka jest doskonała, wręcz wyśmienita! Jest pan smutny, Orlphant-san?

– Nie, panie Mori. Skądże. – Chociaż nie był głodny, nałożył sobie plaster bekonu. Stłumił nagle wspomnienie obrzydliwej porannej kąpieli i czarnej przylegającej gumy. – Myślałem o Edo. Zapamiętałem to miasto jako pełne czaru.

Mori przeżuwał chleb z marmoladą i obserwował Oliphanta swymi błyszczącymi ciemnymi oczami. Po chwili sprawnie otarł usta serwetką.

– „Czar”. Wasze słowo na dawne zwyczaje. Dawne zwyczaje hamują rozwój mojego narodu. W tym tygodniu wysłałem do Satsumy list, w którym przedstawiłem moje argumenty przeciwko noszeniu mieczy.

Lśniące oczy przemknęły szybko ku skrzywionym palcom lewej ręki gospodarza. Blizna pod mankietem zaboląła, jakby pobudzona uwagą Mori.

– Ależ panie Mori... – Oliphant odłożył srebrny widelec, porzucając niechciany bekon. – Miecz w waszym kraju jest pod wieloma względami symbolem feudalnej etyki i uczuć z nią związanych... obiektem szacunku, ustępującego jedynie temu, jaki żywi się wobec swego suwerena.

Mori uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Obrzydliwy zwyczaj z barbarzyńskich i dzikich wieków. Dobrze będzie się go pozbyć, Oriphant-san. To nowe czasy!

To ostatnie zdanie było jego ulubionym powiedzeniem.

Oliphant odpowiedział uśmiechem. Mori łączył w sobie śmiałość i współczucie z pewną kłopotliwą często zuchwałością, co wydawało się niezwykle atrakcyjne. Niejednokrotnie, ku oburzeniu Bligha, Mori płacił jakiemuś cockneyowi-dorożkarzowi pełną należność plus napiwek, po czym zapraszał go do kuchni Oliphanta na posiłek.

– Musicie się nauczyć postępować rozważnie, panie Mori.

Wprawdzie pan może uważać noszenie mieczy za prymitywny obyczaj, jednak otwarte wystąpienie w sprawie tak drobnej może wywołać opór wobec innych, ważniejszych reform i głębszych przemian, jakie pragnie pan przeprowadzić w waszym społeczeństwie.

Mori z powagą kiwnął głową.

– Pańskie argumenty z pewnością mają swoją wagę, Oriphant-san. Byłoby na przykład o wiele lepiej, gdyby wszystkich Japończyków uczyć angielskiego. Nasz skromny język na nic się nie przydaje w wielkim świecie poza naszymi wyspami. Już wkrótce potęga pary i Maszyny opanuje nasz ląd. Związany z nimi język angielski musi wykluczyć wszelkie użycie japońskiego. Nasza inteligentna rasa, gorliwa w zdobywaniu wiedzy, nie może być uzależniona od tak słabego i niepewnego środka komunikowania się. Musimy zrozumieć zasadnicze prawdy z bezcennego skarbcza zachodniej nauki! Oliphant przechylił głowę na ramię i z uwagą przyglądał się Mori.

– Panie Mori – rzekł. – Proszę wybaczyć, jeśli źle pana zrozumiałem... Ale czy mam rację sądząc, że proponuje pan ni mniej ni więcej tylko świadome wyeliminowanie języka japońskiego?

– To nowe czasy, Oriphant-san, nowe czasy! Wszelkie logiczne argumenty przemawiają za rezygnacją z naszego języka.

– Kiedyś musimy dłużej o tym porozmawiać, panie Mori – uśmiechnął się Oliphant. – Teraz jednak chciałbym spytać, czy jest pan zajęty dziś wieczorem. Proponuję rozrywkę.

– Z najwyższą chęcią, Oriphant-san – rozpromienił się Mori. – Angielskie zabawy towarzyskie zawsze sprawiają mi wielką przyjemność.

– Pójdziemy zatem na Whitechapel, do teatru Garricka. Obejrzymy tam, jak rozumiem, absolutnie niezwykłą pantomimę.

* * *

Zgodnie z nierówno wydrukowanym programem, Klaun nazywał się Kawka Kawitacja, choć był to może najmniej niezwykły aspekt wieczornego przedstawienia, na którym Manhattańska Kobięca Trupa Czerwonej Pantomimy wykonywała *Mazulem, Nocną Sowę*. Wśród innych postaci byli „Freedman, Biurowy Dziobek, czarny chłopiec”, „Levy Stickemall, kupiec dający dwa sigara za pięć centów”, „Jankes Handlarz”, „Sklepowa Złodziejka”, „Pieczony Indyk” i eponimiczna „Mazulem”.

Wszyscy aktorzy, sądząc z programu, byli kobietami, choć w kilku przypadkach nie można by tego stwierdzić w inny sposób. Klaun, cały w falbankach, w satynie pokrytej deseniem naszytych cekinów, prezentował głowę łysą jak jajo i złowroźnie blade oblicze Pierrota, muśnięte tylko kolorem wykreślonego konturu warg.

Przedstawienie poprzedziła krótka, ale gorąca przemowa niejakiej „Helen America”. Jej falujące łono, najwyraźniej swobodne pod warstwą niemal przejrzystych wstęg, miało zapewne przyciągać uwagę głównie męskiej widowni. Przemówienie składało się ze sloganów, zdaniem Oliphanta raczej tajemniczych niż porywających. Na przykład, o co mogło jej chodzić, kiedy oznajmiła, że „nie mamy innego okrycia prócz naszych kajdanów”?

Sprawdziwszy w programie, odkrył, że Helen America jest autorką *Mazulem, Nocnej Sowy*, a także *Arlekina Panattahah* i *Geniusza Algonkinów*.

Akompaniament muzyczny był dziełem pucułowatej organistki. Oliphant miał wrażenie, że jej oczy błyszczą albo szaleństwem, albo laudanum.

Pantomima zaczynała się w czymś, co – jak Oliphant przypuszczał – miało wyglądać na pokój hotelowy. Perypatetyczny Pieczony Indyk – zapewne grany przez karlicę – nożem atakował jedzących. Oliphant szybko zgubił wątek, jeśli w ogóle jakiś istniał. Sceny były co chwila akcentowane przez kolejne postacie, rzucające wypchanymi cegłami w głowy partnerek. Przedstawieniu towarzyszył kinotrop, choć składał się tylko z wulgarnie wyzywających obrazków, nie mających chyba żadnego związku z akcją.

Oliphant zerknął na Mori; Japończyk siedział nieruchomo, trzymając na kolanach swój bezcenny cylinder. Twarz miał bez wyrazu. Publiczność krzyczała głośno, reagując nie tyle na treść pantomimy, jakakolwiek by była, co na wirowe, dziwnie pozbawione formy tańce Komunardek, ich obnażone łydki i kostki, wyraźnie widoczne pod wystrzępionymi skrajami zwiewnych kostiumów.

Oliphanta zaczął boleć krzyż.

Choreografia przyspieszała, zmierzając do czegoś w rodzaju baletowego szturmu. W powietrzu było gęsto od cegieł. Aż nagle, niespodziewanie, *Mazulem, Nocna Sowa* dobiegła końca.

Tłum wrzeszczał, klaskał i gwizdał. Oliphant zauważył zwalistego mężczyznę o

zapadniętych policzkach, z grubą trzcinową laską na ramieniu, stojącego przy wejściu pod scenę. Spod zmrużonych powiek obserwował publiczność.

– Chodźmy, panie Mori. Wyczuwam dziennikarską okazję.

Mori wstał, chwytając cylinder i elegancką laseczkę. Ruszył za Oliphantem pod scenę.

– Laurence Oliphant, dziennikarz... – Oliphant wręczył zwalistemu mężczyźnie wizytówkę. – Czy zechciałby pan łaskawie przekazać to, wraz z prośbą o wywiad, pannie America?

Mężczyzna wziął kartę, zerknął na nią i upuścił na podłogę. Oliphant dostrzegł, że sękata pięść zaciska się na lasce. Mori syknął głośno jak parowiec. Oliphant obejrzał się: Japończyk, w cylindrze wbitym mocno na głowę, przyjął pozę samurajskiego wojownika, ściskając oburącz uchwyt swej wieczorowej laseczki. Na giętkich przegubach nieskazitelną bielą lśniły mankiety spięte złotymi łańcuszkami.

Spod sceny wynurzyła się nie uczesana, ekstrawagancko ufarbowana głowa Helen America. Oczy miała obramowane ciemnym pudrem.

Mori stał nieruchomo.

– Panna Helen America? – Oliphant wyjął następną wizytówkę. –

Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Laurence Oliphant, dziennikarz...

Helen America wykonała serię szybkich gestów przed twarzą swego rodaka – jakby chciała wyczarować coś z powietrza. Mężczyzna opuścił laskę; cały czas zerkał gniewnie na Mori. Laska, jak zauważył Oliphant, była niewątpliwie obciążona.

– Cecil jest głuchoniemy – wyjaśniła, wymawiając imię z wyraźnym amerykańskim „e”.

– Bardzo mi przykro. Dałem mu swoją kartę...

– Nie umie czytać. Mówicie, mister, że jesteście z gazety?

– Jestem okazjonalnym dziennikarzem. Pani zaś, panno America, jest autorką pierwszej wody. Pozwoli pani, że przedstawię mojego dobrego przyjaciela, pana Mori Arinori, posła mikada Japonii.

Rzuciwszy mordercze spojrzenie Cecilowi, Mori z gracją odwrócił laskę, zdjął kapelusz i skłonił się na sposób europejski. Szeroko otwierając oczy, Helen America przyglądała mu się, jakby miała przed sobą tresowanego psa. Nosila pocerowany wojskowy płaszcz w tym odcieniu szarości, który Konfederaci nazywali orzesznikiem; jedynie oryginalne guziki regimentu zostały zastąpione zwykłymi kościanymi.

– Nie widziałam jeszcze tak ubranego Chińczyka – powiedziała.

– Pan Mori jest Japończykiem.

– A wy, mister, jesteście z gazety.

– Tak, w pewnym sensie.

Helen America uśmiechnęła się, odsłaniając złoty ząb.

– Podobало się wam przedstawienie?

– Było niezwykle, naprawdę niezwykle. Uśmiechnęła się szerzej.

– Przyjdźcie więc na Manhattan, mister, gdyż w posiadaniu Ludu Powstałego jest dawna Olimpia, na wschód od Broadwayu, przy Houston Street. Najlepiej nas oglądać na naszej własnej scenie.

Cienkie paski srebra przebijały jej uszy pod splątaną burzą farbowanych loków.

– Sprawiloby mi to wielką przyjemność. I równie wielką przyjemnością byłoby przeprowadzenie wywiadu z autorką...

– Nie ja to napisałam. To Fox.

– Przepraszam...

– George Washington Lafayette Fox: marksowski Grimaldi, Talma socjalistycznej pantomimy! Trupa zdecydowała, by wydrukować, że to ja jestem autorką, chociaż ciągle przeciw temu protestuję.

– Ale pani wstępna przemowa...

– Tak, napisałam ją, mister, i jestem z tego dumna. Ale biedny Fox...

– Nic o nim nie słyszałem – poddał się w końcu Oliphant, nieco zdziwiony.

– Bardzo się przepracowywał – wyjaśniła. – Wielki Fox, który – osobiście podźwignął socjalistyczną pantomimę na jej obecny poziom rewolucyjnego znaczenia, wpędził się w szaleństwo, pracując nad jednorazowymi pokazami, doprowadził do całkowitego wyczerpania próbami stworzenia jeszcze bardziej wyrazistych aktów i szybszych transformacji. Osunął się w demencję, a jego grymasy były zbyt ohydne, by je oglądać. – Przemawiała scenicznym głosem; teraz przeszła do bardziej poufnych wyznań. – Doznawał ataków najokropniejszej nieprzyzwoitości, mister. W rezultacie garderobiany czekał w gotowości, żeby wybiec na scenę i unieszkodliwić go, gdyby stał się nazbyt obsceniczny. – Jakże mi przykro...

– Manhattan nie jest miejscem dla szaleńców, choć przykro to mówić. Teraz przebywa w szpitalu w Sommerville w Massachusetts.

Jeśli chcecie to opublikować, proszę bardzo.

Oliphant przyglądał się jej; brakowało mu słów. Mori Arinori cofnął się nieco i chyba obserwował widzów powoli opuszczających teatr Garricka. Głuchoniemy Cecil zniknął gdzieś razem ze swoją obciążoną ołowiem laską.

– Mogłabym chyba zjeść konia z kopytami – wyznała szczerze Helen America.

– Pozwoli więc pani, że zaproszę ją na posiłek. Gdzie życzy sobie pani pójść?

– Tu za rogiem jest taki lokal.

Zeszła ze stopni pod scenę i Oliphant zobaczył, że ma na nogach parę gumowych butów, jakie Amerykanie nazywali chickamaugas – wielkie, niezgrabne i wojskowe. Z Mori u boku, ruszył za nią do wyjścia. Nie czekała, by podał jej ramię.

Poprowadziła ich ulicą – jak obiecała – za róg. Gazowe latarnie płonęły przed stukającym kinoszyldem: klocki wyświetlały na zmianę MOSES I SYNOWIE – AUTOCAFE oraz CZYSTO, NOWOCZEŚNIE, SZYBKO. Helen America obejrzała się, uśmiechnęła zachęcająco i zakołysała kształtnymi biodrami pod konfederackim płaszczem i postrzępionym

muślinem swego niezwykłego kostiumu.

Autocafe było zatłoczone i gwarne, pełne miejscowych z Whitechapel. Skroplona para pokrywała szyby okien. Oliphant nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego.

Helen America zademonstrowała im, jak spożywa się tu posiłki. Wzięła ze stosu prostokątną gutaperkową tacę i pchnęła ją wzdłuż błyszczącej cynkowej lady. Ponad ladą umieszczono kilkadziesiąt miniaturowych okienek w mosiężnych ramach. Oliphant i Mori poszli za jej przykładem. Za każdym okienkiem wystawiono inne danie. Oliphant zauważył szczeliny na monety i sięgnął po portmonetkę. Helen America wybrała pasterski placek, smażone kiełbaski i frytki. Oliphant wrzucał niezbędne monety. Dodatkowe dwa pensy pozwalały obficie połać jedzenie podejrzonej jakości brązowym sosem z kurka. Mori wybrał pieczonego ziemniaka, swoją ulubioną potrawę, ale zrezygnował z sosu. Oliphant, zdeorientowany dziwnym wystrojem jadalni, zdecydował się na kufel maszynowego piwa z innego kurka.

– Clystra pewnie mnie zabije – zauważyła Helen America, kiedy ustawili tacę na śmiesznie małym metalowym stoliku. Zarówno stół, jak i cztery krzesła były przyśrubowane do podłogi. – Nie lubi, kiedy rozmawiamy z dżentelmenami z prasy. – Wzruszyła ramionami pod orzesznikowym płaszczem. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i zaczęła rozkładać niewielki stosik tanich cynowych sztućców. Wręczyła Mori nóż i widelec. – Byliście kiedy w mieście zwanym Brighton, mister?

– Owszem, byłem.

– Jak tam jest?

Mori z wyraźnym zainteresowaniem oglądał prostokątną tackę z grubej szarej tektury pod swoim ziemniakiem.

– Bardzo przyjemna miejscowość – zapewnił Oliphant. – Bardzo malownicza. Pawilon Hydropatyczny cieszy się sporą sławą...

– Czy to w Anglii? – spytała Helen America, przeżuwając kiełbasę.

– Tak, w Anglii.

– Dużo tam ludzi pracy?

‘ – Może nie w takim sensie, o jaki pani zapewne chodzi. Chociaż rozmaite pensjonaty i lokale zatrudniają bardzo wiele osób.

– Odkąd tu jesteśmy, ani razu nie widziałam prawdziwych robotników... Jedźmy jednak!

I Po czym Helen America wzięła się do dzieła. Konwersacje przy stole, jak domyślił się Oliphant, nie były zbyt cenione na Czerwonym Manhattanie.

Pozostawiła po sobie tekturowe „talerze” całkowicie opróżnione z resztek i okruchów; ostatnie krople sosu wytarła frytką, specjalnie; w tym celu pozostawioną na boku.

Oliphant wyjął notes. Otworzył go i wyjął zwykłą białą kartkę z wydrukowanym portretem Florencji Bartlett, pochodzącym z akt Bow Street.

– Czy zna pani Florę Barnett, panno America? To amerykańska aktorka, niezwykle

popularna na Manhattanie. Tak mi przynajmniej mówiono...

– Żadna z niej aktorka, mister. Ani Amerykanka. Jest z Południa, chociaż i to za dużo powiedziane. Wcale nie lepsza od przeklętych Francuzic. Lud Powstały nie potrzebuje takich jak ona. Do diabła, sporo już ich powywieszaliśmy!

– Takich jak ona?

Helen America wyzywająco spojrzała mu w oczy.

– Akurat jesteście dziennikarzem...

– Przykro mi, jeśli...

– Przykro jak im wszystkim. Tyle was to wszystko obchodzi...

– Proszę, panno America... Chciałem tylko...

– Dziękuję za jedzenie, mister, ale nic ze mnie nie wyciśniecie, zrozumiano? A ten brontozaur nie ma tutaj nic do roboty! To po pierwsze! Nie macie do niego prawa i pewnego dnia stanie w manhattańskim Metropolitan, ponieważ należy do Ludu Powstałego! Dlaczego wam, Angolom, się wydaje, że możecie sobie przypływać Wykopywać bogactwa naturalne Ludu?

Przez drzwi, jakby na sygnał, wmaszerowała budząca lęk Klaun z Manhattańskiej Kobiecej Trupy Czerwonej Pantomimy. Łysą czaszkę kobiety okrywał kretonowy kapelusz w groszki, a jej chicka-maugas były jeszcze większe niż u Helen America.

– Właśnie wychodzę, towarzyszeko Clystra – zawołała Helen America.

Klaun rzuciła Oliphantowi mordercze spojrzenie, po czym obie kobiety wyszły.

Oliphant zerknął na towarzysza.

– Niezwykły wieczór, panie Mori.

Mori, najwyraźniej pogrążony w kontemplacji gwaru i ruchu w autocafe, odpowiedział dopiero po chwili.

– Będziemy mieli takie miejsca w moim kraju, Oriphant-san! Czyste! Nowoczesne! Szybkie!

* * *

Kiedy Oliphant wrócił na Half-Moon Street, Bligh podążył za nim na górę, do drzwi gabinetu.

– Czy mogę wejść na chwilę, sir?

Zamknął za sobą drzwi własnym kluczem i przeszedł do miniaturowego drewnianego biurka, gdzie mieściły się przyrządy fajczarskie. Odkręcił pokrywę nawilżacza i z wnętrza wydobyl niewielki szeroki cylinder z czarnej emaliowanej blachy.

– Jakiś młody człowiek dostarczył to do drzwi kuchennych, sir. Nie podał nazwiska, choć pytałem. Pozwoliłem sobie otworzyć to osobiście, pamiętając niektóre co bardziej barbarzyńskie zamachy za granicą...

Oliphant wziął pojemnik i odkręcił denko; była tam perforowana taśma telegrafu.

– A ten młody człowiek?

– Niższy technik Maszyn, sir, sądząc po stanie jego obuwia. Poza tym ani na chwilę nie zdjął bawełnianych rękawiczek technika.

– Nie zostawił żadnej wiadomości?

– Owszem, sir. „Przekaż mu” powiedział, „że nie możemy zrobić nic więcej, zbyt wielkie zagrożenie, nie wolno mu prosić znowu”.

– Rozumiem. Czy zechciałbyś przynieść mi dzbanek mocnej zielonej herbaty?

W samotności Oliphant zdjął ciężki klosz z osobistego telegrafu odbiorczego – była to kwestia poluzowania czterech mosiężnych śrub. Ułożył szklaną kopułę w bezpiecznym miejscu, po czym przez kilka minut studiował instrukcję obsługi dostarczoną przez producenta. Przeszukał kilka szuflad i znalazł potrzebne narzędzia: mosiężną korbkę z drewnianym uchwytem i mały niklowany śrubokręt z monogramem Spółki Colt & Maxwell. Nożowym wyłącznikiem u podstawy aparatu odciął elektryczne połączenie z urzędem pocztowym. Śrubokrętem dokonał koniecznych nastawień, ostrożnie nałożył koniec taśmy na błyszczące stalowe ząbki, zablokował płytki przewodnicy i odetchnął głęboko.

Wyraźnie czuł bicie serca, napór nocnej ciszy w ciemnościach Green Park i spojrzenie Oka. Wziął korbkę, wsunął jej sześciokątny wierzchołek w otwór aparatu i zaczął wolno ale równomiernie obracać zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Młoteczki z literami wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały, odcyfrowując kod dziurek na taśmie. Nie chciał patrzeć, dopóki ze szczeliny nie wysunęła się cała wiadomość.

Wreszcie koniec... Przy pomocy nożyczek i kleju rozmieścił pasek telegramu na arkuszu przebitkowego papieru:

DROGI CHABLESIE KOMA DZIEWIĘĆ LAT TEMU SPROWADZIŁEŚ NA
MNIENAJWIĘKSZĄ HAŃBĘ KOMA JAKA MOŻE SPOTKAĆ KOBIETĘ STOP
OBIECAŁEŚ MI KOMA CHARLES KOMA ŻE OCALISZ MOJEGO DROGIEGO
OJCA STOP TYMCZASEM WYKORZYSTAŁEŚ MOJE CIAŁO I DUSZĘ STOP
DZISIAJ OPUSZCZAM LONDYN W TOWARZYSTWIE POTĘŻNYCH
PRZYJACIOŁ STOP DOBRZE WIEDZĄ KOMA JAKIM ZDRAJCĄ SIĘ
OKAZAŁEŚ WOBEC WALTERA GERARDA I MNIENIE STOP NIE PRÓBUJ MNIENIE
SZUKAĆ KOMA CHARLES KOMA BO CI SIĘ TO NIE UDA STOP MAM
NADZIEJĘ KOMA ŻE TY I PANI EGREMONT BĘDZIECIE DZISIAJ SPAĆ
MOCNO STOP SYBIL GERARD KONIEC

Bligh przyniósł mu herbatę, lecz ledwie to zauważył, prawie godzinę siedząc nieruchomo, pochylony nad wiadomością. Potem nalał sobie filiżankę letniego płynu, sięgnął po papier, wyjął wieczne pióro i zaczął komponować – w swym bezbłędnym, dyplomatycznym

francuskim – list do niejakiego monsieur Arslau z Paryża.

* * *

W powietrzu wciąż unosił się zapach magnezji.

Książę małżonek odwrócił się z teutońską powagą, porzucając skomplikowaną stereoskopową kamerę szwajcarskiej produkcji, i powitał Oliphanta po niemiecku. Nosił akwamarynowe okulary z okrągłymi szklami nie większymi od florena i ubrany był w nieskazitelnie biały kombinezon fotografa. Palce miał poplamione azotkiem srebra.

Oliphant skłonił się, życząc Jego Wysokości miłego dnia, w mowie, która z wyboru była językiem obowiązującym na królewskim dworze. Udał, że podziwia szwajcarską kamerę, złożony aparat, którego stereoskopowe obiektywy niby oczy spoglądały spod gładkiego mosiężnego czoła. Podobnie jak oczy pana Carta, muskularnego szwajcarskiego lokaja księcia małżonka, wydały mu się nazbyt szeroko rozstawione.

– Przyniosłem Affiemu mały prezent, Wasza Wysokość – oznajmił.

Mówił po niemiecku, podobnie jak książę, z lekkim akcentem saksońskim – pamiątka po długotrwałej i trudnej misji, jaką tam pełnił na polecenie królewskiej rodziny. Krewni księcia Alberta Coburga, jak zawsze pomysłowi w sztuce matrymonialnej polityki, chcieliby poszerzyć swoją niewielką krainę... Bardzo delikatna sprawa, skoro brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych starało się utrzymywać niemieckie minipaństwa tak podzielone, jak to tylko było politycznie możliwe.

– Czy młody książę zakończył już dzisiejsze lekcje?

– Affie źle się dziś czuje – odparł Albert, spoglądając przez swoje barwne okulary w głąb jednego z obiektywów. Wyjął niewielki pędzelek i lekko omył powierzchnię soczewki. Wyprostował się. – Czy sądzi pan, że studiowanie statystyki jest zbyt ciężkim brzemieniem dla młodego, delikatnego umysłu?

– Wasza Wysokość pyta o moją opinię? Analiza statystyczna jest w samej rzeczy potężną techniką...

– Jego matka i ja różnimy się w poglądach na tę kwestię – wyznał zasmucony książę. – Zaś postępy Alfreda w tej dziedzinie są dalece niezadowalające. Tym niemniej statystyka jest naszym kluczem do przyszłości. Statystyka w Anglii jest wszystkim.

– Czy czyni postępy w innych dziedzinach? – Oliphant zmienił temat.

– W antropometrii – odparł z roztargnieniem książę. – W eugenicie. To potężne gałęzie nauki, ale może mniej obciążające młodociany mózg.

– Czy mógłbym zamienić z nim słowo, Wasza Wysokość? Wiem, że chłopiec ma najlepsze chęci.

– Z pewnością jest w swoim pokoju.

Przez nawiedzane przeciągami wspaniałości królewskich apartamentów Oliphant ruszył

do pokoju Alfreda, gdzie powitał go radosny pisk. Książę wyskoczył boso z pozwijanej pościeli i przesadził zrećnie tory starannie wykonanej miniaturowej kolejki.

– Wujek Larry! Wujek Lany! Cudownie! Co mi przyniosłeś?

– Najnowszego Barona Zordę.

W kieszeni Oliphanta, owinięty w zieloną bibułę, pachnący świeżą, taną farbą drukarską, tkwił egzemplarz *Paternostera, parowego bandyty* autorstwa niejakiego „Barona Zordy”, trzeci tom popularnej serii. Młody książę Alfred okazał niezwykle entuzjazm dla dwóch wcześniejszych zeszytów, *Armii szkieletów* i *Sterników cara*. Krzykliwa, barwna okładka książki przedstawiała śmiałego Paternostera z pistoletem w dłoni, wyglądającego z kabiny wehikułu, który wyglądał na parowy powóz najnowszej mody: okryty blachą, wypukły od strony dziobu i bardzo wąski z tyłu. Kolorowa wklejka, którą Oliphant szczegółowo obejrzał w kiosku przy Picadilly, gdzie kupił książkę, dokładniej przedstawiała zawadiackiego rozbójnika Barona Zordy. W szczególności uwzględniała jego kostium, w tym szeroki, nabijany ćwiekami pas i rozszerzane dołem spodnie z zapinanymi rozcięciami u mankietów.

– Wspaniale. – Chłopiec niecierpliwie rozerwał zieloną bibułę. – Spójrz na jego powóz, wujku Lany! Opływowy, jak nie wiem co!

– Tylko to, co najszybsze, dla zuchwałego Paternostera, Affie. A popatrz dalej. Ubrał się jak Ned Szczękołamacz.

– Ależ ma spodnie – mruknął z podziwem Alfred. – I ten wściekle bombowy pas!

– A co u ciebie, Affie? – zapytał Oliphant, nie zwracając uwagi na nieodpowiednie słownictwo księcia. – Co się działo od moich poprzednich odwiedzin?

– Wszystko dobrze, wujku Lany... – Cień lęku przemknął po twarzy chłopca. – Ale boję się... boję się, że... Ona się popsuka i... – Wskazał japońską lalkę, smętnie opartą o masywne łóżko z baldachimem, otoczoną wzburzonym morzem litografowanej blachy i malowanego ołowiu. Długa drzazga z jakiegoś półprzezroczystego materiału sterczała groteskowo z jej wspaniałej szaty. – To sprężyna, wujku. Chyba za mocno ją nakręciłem. Wyskoczyła na wierzch przy dziesiątym obrocie.

– Japończycy napędzają swoje lalki sprężynami z fiszbinu, Affie. Nazywają je „wielorybimi wąsami”. Nie nauczyli się jeszcze od nas produkcji prawdziwych sprężyn, ale wkrótce opanują tę umiejętność. A wtedy ich lalki nie będą się psuły tak łatwo.

– Tato mówi, że za bardzo wychwalasz tych Japończyków – oświadczył Alfred. – Mówi, że uważasz ich za równych Europejczykom.

– Uważam, Affie. W tej chwili ich urządzenia mechaniczne nie dorównują naszym, ze względu na niedostatki wiedzy z dziedziny nauk stosowanych. Pewnego dnia w przyszłości, Japończycy mogą jednak poprowadzić cywilizację na wyżyny dzisiaj niewyobrażalne. Oni i może Amerykanie...

Chłopiec przyglądał mu się z powątpiewaniem.

– Ojcu by się nie spodobało to, co powiedziałaś.

– Rzeczywiście, chyba nie.

Oliphant spędził pół godziny na kolanach, patrząc, jak Alfred demonstruje działanie swojej małej francuskiej Maszyny, napędzanej – podobnie jak jej kuzyn, Wielki Napoleon – sprężonym powietrzem. Zabawkowa Maszyna zamiast kart wykorzystywała wstęgi taśmy telegraficznej, co przypomniało Oliphantowi o liście do Arslaua. Bligh dostarczył go pewnie do ambasady francuskiej; całkiem możliwe, że list płynie już do Paryża z pocztą dyplomatyczną.

Alfred podłączył swoją Maszynę do małego kinotropu. Nagle rozległ się ceremonialny klekot klamki – do drzwi w Pałacu Buckingham nie stuknęło się nigdy. Oliphant powstał, uchylił wysokie białe skrzydło i zobaczył dobrze sobie znaną twarz Nasha. Kiedyś nierozsądne spekulacje akcjami kolei żelaznej doprowadziły pałacowego *valet-de-chambre* do bliskiej i niepożądanego znajomości z policyjnym Wydziałem Oszustw. Oliphant przyczynił się do zatuszowania sprawy – uprzejmość właściwie zainwestowana, jak się teraz przekonał, widząc szacunek i gorliwość Nasha.

– Przybył telegram, sir – oznajmił lokaj. – Bardzo pilny.

* * *

Prędkość jazdy wehikułu Sekcji Specjalnej była jednym, i to nie najmniej ważnym – z powodów niepokoju Oliphanta. Sam Paternoster nie mógłby marzyć o niczym szybszym czy bardziej radykalnie opływowym.

Szybko jak myśl przemknęli przez St James Park; nagie czarne gałęzie lip przemykały na zewnątrz niby porwane wiatrem smużki dymu. Szofer nosił skórzane gogle z okrągłymi szklami i najwyraźniej był zachwycony szaleńczą jazdą. Od czasu do czasu uruchamiał gwizdek, który płoszył konie i pieszych. Palacz, muskularny młody Irlandczyk, obłąkańczo szczyrzył zęby i sypał węgiel do paleniska.

Oliphant nie miał pojęcia, dokąd zmierzają. Teraz, kiedy zbliżali się do Trafalgar Square, uliczny ruch zmuszał szofera do szarpania za linkę gwizdka bez chwili przerwy; żałobny, przenikliwy dźwięk przywodził na myśl rozpacz jakiegoś morskiego potwora. Na ten głos pojazdy rozstępowały się przed nimi jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Mijani policjanci w hełmach salutowali. Urwisy i zamiatacze oglądali się z zachwytem za smukłą blaszaną rybą, pędzącą Strandem jak rakieta.

Zapał już mrok. Skręcając we Fleet Street, szofer zahamował ostro i szarpnął dźwignię, wypuszczając potężną strugę gorącej pary. Opływowy powóz zatrzymał się.

– Proszę, sir – rzucił szofer, ściągając gogle, by spojrzeć przez łamaną szybę. – Niech pan na to popatrzy.

Ruch uliczny, jak przekonał się Oliphant, został całkowicie zablokowany wzniesionymi

niedawno drewnianymi zaporami, na których zawieszono latarnie. Za nimi stali posepni żołnierze w mundurach polowych, z gotowymi do strzału karabinami Cuttsa-Maudsleya. Jeszcze dalej widział brezentowe płachty wiszące luźno z drewnianych drągów, jak gdyby ktoś na samym środku Fleet Street próbował ustawić sceniczne dekoracje.

Palacz otarł twarz chustą w grochy.

– Jest tam coś, czego prasa nie powinna oglądać – stwierdził.

– W takim razie wystawili to na niewłaściwej ulicy. – Szofer zaśmiał się.

Oliphant wysiadł z powozu. Natychmiast zbliżył się do niego Fraser.

– Znaleźliśmy ją – oznajmił ponuro.

– I zdaje się, że przy okazji zwróciliście na siebie powszechną uwagę. Może lepiej byłoby zrezygnować z piechoty?

– To nie jest temat do żartów, sir. Proszę ze mną.

– Czy jest tu Betteredge?

– Nie widziałem go. Tędy proszę.

Fraser wskazał drogę między dwoma drewnianymi kozłami. Żołnierz przepuścił ich, sztywno skinąwszy głową.

Oliphant zauważył wąsatego dżentelmena, pogrążonego w rozmowie z dwoma policjantami.

– To Halliday – stwierdził. – Szef Antropometrii Kryminalnej.

– Zgadza się, sir – potwierdził Fraser. – Wszędzie ich tu pełno.

Dokonano włamania do Muzeum Geologii Praktycznej. Towarzystwo Królewskie jest wściekle jak gniazdo szerszeni, a jutro we wszystkich porannych gazetach ten przekłety Egremont będzie krzyczał, że to zbrodnia luddytów. Całe szczęście, że doktor Mallory wyjechał do Chin.

– Mallory? A dlaczego?

– Chodzi o Lądowego Lewiatana. Pani Bartlett i jej kohorta usiłowali wynieść czaszkę tego stwora.

Wyminęli prowizoryczne zasłony. Szorstki materiał w równych odstępach znaczyły szerokie strzały – symbole kwatermistrzostwa wojskowego.

Dorożkarska szkapa leżała na boku w wielkiej kałuży ciemnej krwi. I Sama dorożka, typowa jednokonna bryczka, spoczywała przewrócona nieopodal. Czarne matowe burty były podziurawione kulami.

– Było z nią dwóch ludzi – poinformował Fraser. – Trzech, jeśli doliczyć tego trupa, którego zostawili w muzeum. Bryczką powoził jankeski uciekinier nazwiskiem Russell; silny chłop, mieszkał na Sef ven Dials. Drugim był Henry Dease z Liverpoolu, doświadczony włamywacz. Zapudłowałem go z dziesięć razy, kiedy jeszcze chodziłem w mundurze. Potem już nie. Tam ich ułożyli, sir. – Wyciągnął rękę. – Russell, woźnica, wdał się najwidoczniej w awanturę z prawdziwym dorożkarzem o to, kto powinien ustąpić pierwszeństwa. Policjant ze

służby ruchu próbował interweniować, a wtedy Russell wyjął pistolet.

Oliphant wpatrywał się w przewróconą dorożkę.

– Policjant był nie uzbrojony, ale przypadkiem przechodziło tędy dwóch detektywów z Bow Street...

– Ale ta bryczka, Fraser...

– To robota powozu wojskowego. Resztką tymczasowego garnizonu stacjonuje przy wiadukcie Holborn. – Urwał. – Dease miał rosyjski pistolet.

Oliphant z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ośmiu cywilów trafiło do szpitala – podjął Fraser. – Jeden z detektywów zginął. Ale chodźmy, sir... Lepiej mieć to już za sobą.

– Czemu mają służyć te brezentowe zasłony?

– Ustawili je ci z Antropometrii Kryminalnej.

Oliphant miał wrażenie, że porusza się we śnie; kończyny miał odrętwiałe i całkiem bezwładne. Pozwolił się doprowadzić do miejsca, gdzie na noszach leżały trzy nakryte płachtami ciała.

Twarz Florencji Bartlett była straszliwą ruiną.

– Witriol – wyjaśnił Fraser. – Miała przy sobie pojemnik i kula go strzaskała.

Oliphant odwrócił się szybko. Szarpały nim mdłości. Podniósł do ust chusteczkę.

– Przepraszam, sir. Nie ma sensu, żeby oglądał pan dwóch pozostałych.

– Betteredge, Fraser... Widziałeś go?

– Nie, sir. Oto czaszka, a raczej to, co z niej zostało.

– Czaszka?

Na drewnianym blacie ułożono starannie kilka masywnych fragmentów skamieniałej kości i zabarwionego gipsu.

– Jest tu pan Reeks z muzeum. Przyszedł zabrać ją z powrotem. Twierdzi, że nie jest tak bardzo zniszczona, jak można by sądzić. Może pan usiądzie, sir? Poszukam jakiegoś stołka...

– Nie. Dlaczego mi się wydaje, że ściągnęła tu połowa Antropometrii Kryminalnej?

– No cóż, sir, panu łatwiej odpowiedzieć na to pytanie niż mnie. – Fraser zniżył głos. – Co prawda, słyszałem pogłoski, jakoby pan Egremont i lord Galton odkryli niedawno, że mają ze sobą wiele wspólnego.

– Lord Galton? Teoretyk eugeniki?

– I kuzyn lorda Darwina. To człowiek Antropometrii w Izbie Lordów. Ma duże wpływy w Towarzystwie Królewskim. – Fraser wyjął notes. – Lepiej pokażę panu, dlaczego uznałem za konieczne sprowadzić tu pana jak najszybciej. – Zawrócił za szczytki powozu.

Rozejrzał się czujnie, czy ktoś ich nie obserwuje, po czym wręczył Oliphantowi złożoną kartkę niebieskawego papieru. – Zabrałem to z torebki tej Bartlett.

List nie był podpisany i nie miał daty.

To, czego z takim uporem poszukujecie, zostało odnalezione, choć w bardzo niezwyklej kryjówce. Jak mnie poinformował nasz wspólny znajomy z Derby, dr Mallory, ów przedmiot ukryty jest wewnątrz czaszki Lądowego Lewiatana. Mam nadzieję, że tę kluczową informację uznacie za pełne wyrównanie wszelkich moich długów wobec was. Grozi mi teraz pewne niebezpieczeństwo, a to wskutek niedawnych wydarzeń politycznych; z całą pewnością jestem obserwowana przez rządowych agentów. Proszę, weźcie to pod uwagę przy możliwych próbach dalszych kontaktów. Przysięgam, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Eleganckie pismo, dobrze znane zarówno Oliphantowi, jak i Fraserowi, należało do lady Ady Byron.

– Tylko my dwaj widzieliśmy ten list – zapewnił Fraser. Oliphant złożył papier na czworo i schował do cygarnicy.

– A co to było takiego, Fraser? Co ukryto w czaszce?

– Odprowadzę pana za zapory, sir.

Reporterzy rzucili się naprzód, kiedy Fraser i Oliphant przekroczyli linię zapór. Fraser chwycił Oliphanta pod ramię i skierował do grupy mundurowych policjantów; z niektórymi witał się po imieniu.

– Odpowiadając na pańskie pytanie, sir – rzekł, gdy policja odepchnęła hałaśliwy tłum za mur granatowych mundurów i mosiężnych guzików – muszę przyznać, że nie wiem. Ale mamy to.

– Macie? Z czyjego upoważnienia?

– Z niczyjego, prócz własnego rozumu. Ten oto Harris znalazł to w dorożce, zanim zjawili się ci z Antropometrii. – Fraser niemal się uśmiechnął. – Chłopcy ze służb nie przepadają za Antropometrią. Zarozumiali amatorzy, prawda, Harris?

– Tak jest, sir – zgodził się policjant z jasnymi bokobrodami. – Właśnie tacy.

– Więc gdzie to jest?

– Tutaj, sir. – Harris wręczył mu tanią czarną teczkę. – Tak, jak to znaleźliśmy, sir. Jest w środku.

– Myślę, sir, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast pan to stąd zabierze – poradził Fraser.

– Rzeczywiście, Fraser. Zgadzam się w pełni. Powiedz temu chłopcu z Sekcji Specjalnej, który czeka w takim eleganckim parowym powoziku, że nie będzie mi już potrzebny. Dziękuję wam, Harris. Dobranoc.

Policjanci rozstapili się sprawnie. Oliphant z teczką w ręku przeszedł pewnie przez tłum gapiów, przepychających się, by lepiej widzieć żołnierzy i brezentowe zasłony.

– Przepraszam, szefie... Rzuć pan jakiegoś miedziaka...

Oliphant spojrzał w dół, prosto w zmrużone oczy małego Bootsa. Wyglądał na kalekiego dżokeja, ale nie był jednym ani drugim. Oliphant rzucił mu pensa. Boots zręcznie pochwycił

monetę i podszedł bliżej, wsparty na przyciętej kuli. Cuchnął mokrym barchanem i wędzoną makrelą.

– Kłopoty, szefie. Becky wytłumaczy.

Zawrócił na kuli i pokuśtykał przed siebie, mrużąc gniewnie: żebrak szukający lepszego zarobku.

Był jednym z dwójki najbardziej utalentowanych wywiadowców Oliphanta.

Druga z tej dwójki, Becky Dean, dogoniła Oliphanta, kiedy zbliżał się do rogu Chancery Lane. Przebrała się za lepszej klasy ulicznice, na wysokich obcasach, bezczelną.

– Gdzie się podział Betteredge? – zapytał Oliphant, jakby mówił do siebie.

– Porwany – odparła Becky Dean. – Niecałe trzy godziny temu.

– Porwany przez kogo?

– Dwaj ludzie w karecie. Śledzili pana. Betteredge ich wykrył i ustawił nas, żebyśmy pilnowali pilnujących.

– Nic o tym nie wiedziałem.

– Przyszedł do nas przedwczoraj.

– A kim byli ci ludzie?

– Jeden to taki ulizany alfons, niby prywatny detektyw. Velasco się nazywa. Drugi był z rządu, tak na oko.

– I porwali go w biały dzień? Siłą?

– Przecież pan wie, jak się robi takie rzeczy – mruknęła Becky Dean.

* * *

W przyjemnym aromacie zaplecza sklepu tytoniowego na rogu Chancery Lane i Carey Street, Oliphant potrzywał niebieską kartkę nad płomieniem mosiężnej zapalniczki w kształcie Turka w turbanie.

Patrzył, jak papier zmienia się w delikatny różowawy popiół.

Teczka zawierała automatyczny rewolwer Ballestera-Moliny, posrebrzaną kieszonkową manierkę wypełnioną jakimś mdlącym, słodko pachnącym wywarem i drewniany futerał. Poszukiwanym obiektem był najwyraźniej ten ostatni, poplamiony jeszcze szorstkim białym gipsem. Mieścił w sobie bardzo dużą ilość maszynowych kart formatu Napoleona, wyciętych z jakiegoś dziwnego mlecznego materiału, śliskiego w dotyku.

– Paczka – zwrócił się Oliphant do pana Beadona, właściciela sklepu – może zostać wydana tylko mnie osobiście.

– Z całą pewnością, sir.

– Mój człowiek, Bligh, jest jedynym wyjątkiem.

– Jak pan sobie życzy.

– Gdyby ktoś wypytywał, Beadon, wyślijcie chłopca, żeby zawiadomił Bligha.

- Z przyjemnością, sir.
- Dziękuję, Beadon. Czy mógłbyś wypłacić mi czterdzieści funtów z mojego rachunku?
- Czterdzieści? – Tak.
- Owszem, to możliwe, sir. Z radością.

Beadon wyjął z kieszeni surduta pęk kluczy i podszedł do bardzo nowoczesnego z wyglądu sejfu.

- I jeszcze tuzin dobrych hawańskich cygar. Aha, Beadon...
- Tak, sir?
- Myślę, że lepiej będzie, jeśli schowasz paczkę do sejfu.
- Oczywiście, sir.
- O ile pamiętam, niedaleko stąd mieści się Lambs... Ten klub.
- Istotnie, sir. Przy Holborn. To krótki spacer.

* * *

Kiedy szedł przez Chancery Lane, zaczął padać pierwszy tego roku śnieg: drobne suche płatki, które pewnie nie zdołają przylgnąć do chodnika.

Bootsa i Becky Dean nigdzie nie było widać. Mógł więc spokojnie przyjąć, iż zajęci są swoją zwykłą niedostrzegalną pracą.

Przecież pan wie, jak się robi takie rzeczy.

Przecież wiedział. Ile to razy już sprawił, że ktoś zniknął, zniknął bez śladu? Choćby w samym Londynie. Jak można siedzieć wśród przyjaciół, saczyć mozelskie wino, słuchać uprzejmej i obojętnej rozmowy, a jednak nieść w myślach brzemię takiej wiedzy?

Collins miał być ostatnim, absolutnie ostatnim. A teraz zniknął Betteredge, w dodatku porwany przez całkiem inną instytucję.

Na początku wydawało się to rozwiązaniem przerażająco eleganckim i rozsądnym.

Na początku był to jego pomysł.

Oko. Wyczuwał je teraz – tak, z całą pewnością wszytkowidzące spojrzenie spoczywało na nim, gdy, skinąwszy głową portierowi w liberii, wkroczył do marmurowego westybulu Lambs, klubu Andrew Wakefielda.

Mosiężne skrytki pocztowe, budka telegraficzna, wszędzie francuskie forniry, wszędzie pełna nowoczesność. Obejrzał się na przeszklone drzwi. Naprzeciw wejścia, za podwójnym strumieniem przyprószonych śniegiem powozów, dostrzegł samotną postać w wysokim cylindrze.

Boy skierował go do jadalni wykończonej ciemną dębową boazerią, z olbrzymim kominkiem rzeźbionym we włoskim marmurze.

– Laurence Oliphant – przedstawił się głównemu szefowi sali w obcisłej marynarce. – Do pana Andrew Wakefielda.

Wyraz niepokoju przemknął po twarzy kelnera.

– Przykro mi, sir, ale nie...

– Dziękuję – przerwał mu Oliphant. – Sądzę, że widzę tam pana Wakefielda.

Z kelnerem następującym mu na pięty, Oliphant przeszedł między stolikami. Jedzący oglądali się za nim.

– Andrew – powiedział głośno, kiedy stanął przed Wakefieldem. – Jakie to szczęście, że cię tu spotykam.

Wakefield był sam. Przez moment zdawało się, że ma jakieś trudności z przełykaniem.

– Sir... – zaczął kelner.

– To mój przyjaciel. Musimy porozmawiać. Proszę usiąść, Oliphant, zwracamy na siebie uwagę.

– Dziękuję. – Oliphant przysunął sobie krzesło.

– Czy zje pan coś, sir? – zapytał kelner.

– Nie, dziękuję.

Kiedy zostali sami, Wakefield westchnął głośno.

– Niech to diabli, Oliphant, czy nie wyraziłem się jasno?

– A cóż takiego się stało, Andrew, co tak bardzo cię przeraziło?

– To chyba oczywiste.

– Doprawdy?

– Lord Galton sprzymierzył się z tym piekielnym Egremontem. A jest patronem Antropometrii Kryminalnej. Zawsze był. Praktycznie on ją założył. I jest kuzynem Charlesa Darwina, Oliphant. Ma duże wpływy w Izbie Lordów.

– Owszem. A także w Towarzystwie Królewskim oraz w Geograficznym. Dobrze znam lorda Galtona, Andrew. Wspiera systematyczną hodowlę gatunku ludzkiego.

Wakefield odłożył sztucce.

– Można powiedzieć, że Antropometria Kryminalna przejęła całe Biuro. Praktycznie rzecz biorąc, Centralne Biuro Statystyczne jest teraz kontrolowane przez Charlesa Egremonta.

Oliphant przyglądał się, jak górne zęby Wakefielda zaczynają przygryzać dolną wargę.

– Przyszedłem tu prosto z Fleet Street. Skala przemocy w naszym społeczeństwie... – Wyjął spod surduta rewolwer. – ... czy raczej, powinienem powiedzieć, skala ukrywanej przemocy, niepominiernie wzrosła.

Nie sądzisz, Andrew? – Położył broń na obrusie między nimi. – Weźmy na przykład ten rewolwer. Aż nazbyt łatwo go zdobyć. Jest francusko-meksykańskiej produkcji, choć zaprojektowany przez Hiszpanów. Jak mi mówiono, niektóre jego części wewnętrzne: sprężyny i różne drobiazgi są pochodzenia brytyjskiego, dostępne na wolnym rynku. Coraz trudniej więc określić, skąd naprawdę taka broń pochodzi. To symboliczne dla pewnych aspektów obecnej sytuacji. Nie sądzisz?

Wakefield zbladł jak ściana.

– Wydajesz się zdenerwowany, Andrew. Bardzo mi przykro.

– Oni nas wykasują – oświadczył Wakefield. – Przestaniemy istnieć. Nie pozostanie nic, żaden dowód na to, że kiedykolwiek żyliśmy. Ani grzbiet czeku, ani kredyt w banku, absolutnie nic.

– Właśnie o tym mówię, Andrew.

– Proszę mi tu nie moralizować, Oliphant. Wasza grupa wszystko to zaczęła: zniknięcia, zagubione pliki, usunięte nazwiska, stracone numery, historie poprawiane, by pasowały do konkretnych celów... Nie, mówiąc ze mną, proszę nie przybierać takiego tonu...

Oliphant nie wiedział, co odpowiedzieć. Wstał, pozostawiając rewolwer na stole i nie oglądając się, wyszedł z jadalni.

W marmurowym westybulu zwrócił się do lokaja w burgundowej liberii, który odsiewał niedopałki cygar z wypełnionej piaskiem marmurowej urny.

– Przepraszam bardzo... Czy zechciałby mnie pan skierować do biura stewarda klubu?

– Nie ma sprawy – rzucił krótko lokaj.

Czy może użył jakiegoś innego amerykańskiego powiedzonka... W każdym razie wskazał Oliphantowi korytarz wyłożony lustrami, pełen sztucznych roślin w doniczkach.

Pięćdziesiąt pięć minut później, po zwiedzeniu pomieszczeń klubu, obejrzawszy album fotografii z dorocznych bali w Lambs, po złożeniu prośby o przyznanie członkostwa i wpłaceniu – za pośrednictwem swego numeru kredytowego – wcale niemałej i nie podlegającej zwrotowi opłaty wstępnej, Oliphant uściśnął dłoń wypomadowanego stewarda, wsunął mu funtowy banknot i poprosił, by wypuścić go tylnym wyjściem.

Okazało się, że są to kuchenne drzwi, wychodzące na właśnie taki brudny i wąski zaułek, jakiego się spodziewał.

Po kwadransie stał już w zatłoczonym barze przy Bedford Road, raz jeszcze czytając telegram, który niejaka Sybil Gerard wysłała niegdyś do pana Charlesa Egremonta, parlamentarzysty mieszkającego na Belgravii.

– Dwóch swoich chłopców straciłam w zarazie na Krymie, wielmożny panie... A ten telegram też pewnie stamtąd, co? Co?

Oliphant złożył papier i schował do cygarnicy. Przyglądał się swemu mętnemu odbiciu w cynkowym kontuarze. Spojrzał na pustą szklankę. Spojrzał na kobietę, wychudłą wiedźmę w łańchmanach nieokreślonego koloru, o policzkach czerwonych od dzinu pod patyną brudu.

– Nie – odparł. – To nie moja tragedia.

– Mój Roger tam zginął... I mały Tommy. I nawet strzępków nie przysłali z powrotem, nawet piekielnych łańchmanów...

Dał jej monetę. Podziękowała bełkotliwie i odeszła. Chyba zdołał chwilowo zatrzeć swoje ślady. Był zupełnie sam. Nadszedł czas, by poszukać dorożki.

W ogromnej, wysokiej hali wielkiego dworca tysiące głosów mieszało się ze sobą, redukując elementy słów do dźwiękowego odpowiednika mgły, jednolitej i nieprzeniknionej.

Oliphant spokojnie i bez pośpiechu realizował swoje plany. Zakupił bilet pierwszej klasy do Dover, z rezerwacją na wieczorny ekspres o dziesiątej. Kasjer umieścił jego kartę Kredytu Państwowego w maszynie i mocno szarpnął dźwignię.

– Proszę bardzo, sir. Rezerwacja na pańskie nazwisko.

Oliphant podziękował i przeszedł do drugiego okienka, gdzie znów wyjął kartę.

– Chciałbym zarezerwować kabinę na porannym promie do Ostendy.

Jakby przypomniawszy sobie o czymś w chwili, kiedy chował już kartę i bilety do portfela, poprosił jeszcze o bilet drugiej klasy na nocny prom do Calais.

– Dzisiaj wieczorem, sir?

– Tak.

– To będzie *Bessemer*, sir. Z kredytu państwowego?

Oliphant zapłacił za bilet do Calais funtowymi banknotami z sejfów pana Beadona.

Za dziesięć dziewiąt, według ojcowskiego złotego zegarka.

O dziewiątej, w ostatniej chwili, wsiadł do ruszającego pociągu i bezpośrednio konduktorowi zapłacił za podróż pierwszą klasą do Dover.

* * *

Pasażerski prom *Bessemer*, z wychylnym salonem, z podwójnym pokładem spryskanym morską pianą, pod pełną parą mknął przez noc do Calais. Oliphant, który ze swoim biletem drugiej klasy i banknotami odwiedził płatnika, siedział teraz w brokatowym fotelu w salonie, sączył nie najlepszą brandy i przyglądał się współpasażerom. Z satysfakcją zaobserwował, że byli to zupełnie przeciętni ludzie.

Nie lubił wychylnych salonów. Maszynowo sterowane ruchy kabiny, w zamierzeniu kompensujące kołysanie, wydawały mu się bardziej dokuczliwe niż zwykłe poruszenia statku na falach. „W dodatku sama kabina była praktycznie pozbawiona okien. Zawieszona na pierścieniach w studni centralnej, znajdowała się tak głęboko między burtami, że nieliczne bulaje były umieszczone wysoko na ścianach, ponad linią wzroku. Ogólnie rzecz biorąc, jeśli miało to być lekarstwo na *mai de mer*, Oliphant uważał taki zabieg za przesadę. Publiczność jednak była najwyraźniej zafascynowana nowym zastosowaniem niewielkiej Maszyny, porównywalnej z Maszyną artyleryjską. Jej jedynym zadaniem było utrzymywanie podłogi salonu tak blisko poziomu, jak to tylko możliwe. Dokonywała tego, wykorzystując coś, co prasa – w żargonie dziurkaczy – określała jako „sprzężenie zwrotne”. Za to podwójne koła łopatkowe, na dziobie i na rufie *Bessemera*, zwykle umożliwiały pokonanie dwudziestu jeden mil z Dover do Calais w godzinę i trzydzieści minut.

Wolałby raczej znaleźć się na górnym pokładzie i poczuć na twarzy morski wiatr; mógłby wtedy wyobrazić sobie, że zmierza do jakiegoś wspanialszego, łatwiej osiągalnego celu. Jednak pokład spacerowy promu nie miał żadnej osłony prócz żelaznego relingu, a wiatr nad Kanałem dmuchał zimny i wilgotny. Zresztą, jak przypominał sam sobie, liczył się teraz tylko jeden cel, a i to najprawdopodobniej absurdalny. Mimo to trzeba spróbować: Sybil Gerard to ostatnia szansa. Przeczytawszy telegram do Egremonta, zrezygnował z przepuszczenia jej numeru przez Maszynę. Obawiał się, że zwróci to niepożądaną uwagę. Miał rację, naturalnie, skoro Antropometria Kryminalna objęła władzę w Centralnym Biurze Statystycznym. Poza tym podejrzewał, że dane Sybil Gerard mogą już nie istnieć.

Walter Gerard z Manchesteru, zaprzysiężony wróg postępu, agitator praw człowieka. Powieszony. A jeśli Walter Gerard miałby córkę, to co by się z nią stało? A jeśli została pohańbiona, jak sama twierdziła, przez Charlesa Egremonta?

Poczuł rwanie w plecach. Pod brokatowym pokrowcem, utkanym na maszynie Jacquarda w powtarzający się wizerunek *Bessemera*, końskie włosie pozostawało chłodne.

Ale jeśli nawet się nie uda, pomyślał, to przynajmniej na krótko wyrwał się z miękkiej czarnej paszczy patentowej szwajcarskiej wanny doktora McNeile'a.

Odstawił niedokończoną brandy, opuścił głowę i drzemał.

I śnił, być może, o Oku.

O wpół do drugiej *Bessemer* przycumował do nabrzeża w Calais.

* * *

Apartament monsieur Luciena Arslau znajdował się w Passy. W południe Oliphant wręczył swoją kartę dozorczy, który pocztą pneumatyczną przesłał ją Arslauowi. Niemal natychmiast dwukrotnie odezwał się gwizdek umocowany do niklowanego ustnika rury komunikacyjnej. *Consierge* przysunął ucho do otworu; Oliphant dosłyszał ciche francuskie słowa.

Consierge wskazał mu windę.

Na piątym piętrze, Oliphanta powitał służący w liberii, noszący ozdobny korsykański sztylet na szerokiej wstędze *gros de Naples*. Młody człowiek zdołał skłonić się nisko, nie spuszczać przy tym wzroku z Oliphanta. Monsieur Arslau żałuje, jak wyjaśnił, że nie jest w tej chwili w stanie przyjąć monsieur Oliphanta. Czy, czekając, monsieur Oliphant zechciałby się może odświeżyć?

Oliphant odparł, że byłby bardzo wdzięczny, gdyby mógł się wykapać. Z radością powitałby także dzbanek kawy.

Został przeprowadzony przez obszerną bawialnię, pełną atlasów i złoceń, szafek *boulle*, brązów, statuetek i porcelany; jaszczurczooki cesarz i jego piękna cesarzowa, niegdyś panna Howard, spoglądali z bliźniaczych olejnych portretów. A potem przez pokój poranny o

ścianach zawieszonych rycinami. Pełna gracji spirala schodów wznosiła się z ośmiokątnego przedpokoju.

Dwie godziny później, po kąpieli w marmurowej wannie o przyjemnie solidnej konstrukcji, po wypiciu mocnej francuskiej kawy i lunchu złożonym z krokietów *a la Maintenon*, w pożyczonej koszuli usztywnionej o wiele bardziej, niż to lubił, został wprowadzony do gabinetu monsieur Arslaua.

– Drogi Oliphant – zawołał Arslau w swojej doskonałej angielszczyźnie. – Co za radość. Żałuję, że nie mogliśmy zobaczyć się wcześniej, ale...

Szerokim gestem wskazał duże mahoniowe biurko, pełne teczek i papierów. Zza zamkniętych drzwi dobiegał nie cichnący stukot telegrafu. Na ścianie wisiała oprawiona rycina przedstawiająca Wielkiego Napoleona z potężnymi wieżami walów wyrastającymi ponad kratownicą szkła i żelaza.

– Ależ to drobnostka, Lucien. Jestem wdzięczny, że miałem dość czasu, by w pełni wykorzystać twoją gościnność. Twój kucharz zna niezwykle sposoby przyrządzania baraniny; tak delikatne mięso nie mogło chyba pochodzić z jakiejś zwyczajnej owcy.

Arslau uśmiechnął się. Prawie dorównywał wzrostem Oliphantowi, miał nieco szersze ramiona, około czterdziestu lat i siwiejącą brodę, którą przycinał w stylu Cesarstwa. Nosił krawat haftowany w maleńkie złote pszczoły.

– Dostałem twój list, oczywiście.

Podszedł do biurka i usiadł na wysokim krześle wyłożonym ciemnozieloną skórą. Oliphant zajął miejsce w fotelu naprzeciwko.

– Muszę ci się przyznać do niezdrowej ciekawości, Laurence, dotyczącej sprawy, którą się obecnie zajmujesz. – Arslau splótł palce i spojrzał ponad nimi, unosząc brwi. – Natura twej próby raczej nie uzasadnia środków ostrożności, jakie uznałeś za konieczne...

– Wręcz przeciwnie, Lucien. Musisz wiedzieć, że nie narzucałbym się w ten sposób naszemu znajomemu, gdyby powody nie były najwyższej wagi.

– Ależ nie, drogi przyjacielu. – Arslau lekceważąco machnął ręką. – Prosiłeś o najdrobniejszą z przysług. Pomędzy kolegami, takimi ludźmi jak my, to właściwie nic. Jestem po prostu ciekawy... To jedna z moich wad. Przesyłasz mi list za pośrednictwem cesarskiej poczty dyplomatycznej... A to niemały wyczyn dla Anglika, choć wiem, że zaznajomiłeś się już z naszym przyjacielem Bayardem. W liście tym prosisz mnie o pomoc w odszukaniu pewnej angielskiej awanturnicy; nic więcej. Sądzisz, że może zamieszkiwać we Francji. A jednak podkreślasz konieczność zachowania ścisłej tajemnicy; ostrzegasz mnie przed komunikowaniem się z tobą telegraficznie albo zwyczajnym listem. Polecasz czekać na swój przyjazd. Jak mam to wszystko rozumieć? Czyżbyś uległ wreszcie czarowi jakiejś kobiety?

– Niestety nie.

– Wobec obowiązującego aktualnie modelu angielskiej kobiecości, drogi przyjacielu,

uważam to za całkowicie zrozumiałe. Zbyt wiele waszych kobiet aspiruje do męskiego poziomu intelektualnego. Są ponad krynoliny, ponad pudry, ponad wysiłki, by być piękną, ponad uprzejmość i przyjemne zachowanie. Jakież monotonne, praktyczne, absolutnie brzydkie życie będzie kiedyś losem Anglika, jeśli taki trend się utrzyma. Dlaczegoż więc, zapytuję, przepłynąłeś Kanał, by szukać jakiejś awanturnicy? I to angielskiej awanturnicy? Co nie znaczy, że ich nam tutaj brakuje. Aż gęsto tu od nich, nie wspominając nawet o pochodzeniu... – Arslau uśmiechnął się – ... naszej cesarzowej.

– Ty także się nie żenisz, Lucien – zauważył Oliphant, próbując zmienić temat.

– Ale spójrz na instytucję małżeństwa! Kto może stwierdzić, która z kobiet będzie słusznym wyborem spośród dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu pomyłek? Która okaże się jedynym węgorzem wyjętym z baryłki pełnej węży? Dziewczyna na krawężniku może być jedyną istotą spośród wszystkich kobiet wszechświata, która potrafi uczynić mnie szczęśliwym, drogi przyjacielu. A jednak mijam ją w całkowitej niewiedzy i ochlapuję błotem spod kół! – Arslau roześmiał się. – Nie, nie ożeniłem się, a twoja misja jest misją polityczną.

– Oczywiście.

– Sprawy w Brytanii nie układają się najlepiej. Nie potrzebuję swoich brytyjskich źródeł, żeby to odkryć, Laurence. Wystarczą mi gazety. Śmierć Byrona...

– Stawką może być polityczny kierunek rozwoju Brytanii, Lucien... więcej nawet, jej ostateczna stabilność jako państwa. Nie muszę ci przypominać, jak niezwykle ważna jest wzajemna pomoc i wsparcie naszych dwóch krajów.

– A sprawa tej panny Gerard? Mam rozumieć, że sugerujesz, jakoby była ona kluczem do tej sytuacji?

Oliphant wyjął cygarnicę i zapalił hawanę Beadona. Końcami palców musnął złożony telegram Sybil Gerard. Zamknął futerał.

– Pozwolisz, że zapalę?

– Proszę bardzo.

– Dziękuję. Sprawy związane z osobą Sybil Gerard są całkowicie brytyjskie, całkowicie wewnętrzne. Być może zaczną kiedyś dotyczyć również Francji, jednakże w sposób jak najbardziej pośredni. – Oliphant przyciął cygaro.

– Czy jesteś tego pewien?

– Jestem.

– A ja nie. – Arslau wstał i przysunął Oliphantowi mosiężną popielniczkę na drewnianym stojaku. Wrócił do biurka, ale nie siadał. – Co wiesz o Towarzystwie Jacquardowskim?

– Są przybliżonym odpowiednikiem naszego Towarzystwa Parowego Intelaktu. Prawda?

– Tak i nie. Wśród Jacquardinów istnieje także inne, tajne bractwo. Określają się jako Les Fils de Vaucanson. Niektórzy z nich są anarchistami, inni sprzymierzyli się z Marianne, jeszcze inni z Bractwem Uniwersalnym i innymi mętami. Spiskowcy walki klas, rozumiesz? Inni to zwykli kryminaliści. Ale przecież wiesz o tym, Laurence.

Oliphant wyjął zapalną z pudełka ozdobionego nadrukowanym wizerunkiem *Bessemera* i zapalił cygaro.

– Przekonujesz mnie, że kobieta, którą znasz jako Sybil Gerard, nie ma znaczenia dla Francji.

– Uważasz, że jest inaczej? – zdziwił się Oliphant.

– Możliwe. Powiedz mi, co wiesz o naszych kłopotach z Wielkim Napoleonem.

– Bardzo niewiele. Wspominał mi o nich Wakefield z Centralnego Biura Statystycznego. Maszyna nie funkcjonuje precyzyjnie?

– *Ordinateurs*, dzięki Bogu, nie są moją specjalnością. Napoleon działa ze zwykłą szybkością i dokładnością przy większości zadań. Tak mnie poinformowano. Jednak nadmierny element zmienności występuje w wyższych funkcjach... – Arslau westchnął. – Te wyższe funkcje stały się sprawą dumy narodowej. Byłem zmuszony do przestudiowania całych stosów najbardziej niezrozumiałej technicznej prozy w całym Cesarstwie. Niepotrzebnie, jak teraz sędzę, bowiem mieliśmy już w ręku winowajcę.

– Winowajcę?

– Zaprzysiężonego członka Les Fils de Vaucanson. Jego nazwisko nie ma tu znaczenia. Został aresztowany w Lyonie w związku z całkiem pospolitą sprawą fałszerstwa danych municypalnego *ordinateur*. Niektóre fragmenty jego zeznań zwróciły uwagę Komisji Służb Specjalnych, a zatem i naszą. Podczas przesłuchania zdradził, że jest odpowiedzialny za obecny tragiczny stan naszego Wielkiego Napoleona.

– Przyznał się więc do *le sabotage*!

– Nie. Tego nie chciał potwierdzić. Odmawiał do końca. W kwestii Napoleona przyznał tylko, że uruchomił na nim pewną sekwencję kart dziurkowanych, formułę matematyczną.

Oliphant obserwował, jak smużka dymu z cygara wznosi się spiralą ku ozdobnej rozecie na suficie.

– Ta formuła pochodziła z Londynu – mówił dalej Arslau. – Otrzymał ją od Angielki. Nazywała się Sybil Gerard.

– Próbowaliście przeanalizować tę formułę?

– Nie. Została skradziona, jak twierdził nasz Jacquardin, wywieziona przez kobietę, którą znał pod nazwiskiem Flory Bartelle. Najwyraźniej Amerykanka.

– Rozumiem.

– Wytłumacz mi zatem, co zrozumiałeś, przyjacielu, ja bowiem wciąż tkwię w ciemności.

Oko... Wszystkowidzące... Delikatny nacisk jego spojrzenia osaczał ze wszystkich stron...

Oliphant zawahał się. Popiół z cygara opadł, nie zauważony, na gruby dywan Arslaua.

– Muszę jeszcze zobaczyć się z Sybil Gerard – rzekł. – Ale może będę w stanie zaoferować ci informację dotyczącą owej formuły o której wspomniałeś. Być może uda się nawet zdobyć kopię. Jednak niczego nie obiecuję, póki sam nie będę miał możliwości rozmowy z naszą damą. W cztery oczy i bez przeszkód.

Arslau milczał. Zdawało się, że spogląda na wskroś przez Oliphanta. Wreszcie skinął głową.

- Możemy to zorganizować.
- Nie znajduje się, jak mniemam, pod strażą?
- Powiedzmy, że jesteśmy świadomi jej poruszeń.
- Pozwalacie jej na pozorną swobodę, ale obserwujecie dokładnie?
- Właśnie tak. Gdybyśmy aresztowali ją teraz i niczego nie zdradziła, trop mógłby wystygnąć.

– Jak zawsze, Lucien, wasza technika jest nienaganna. A kiedy możesz zorganizować mi z nią spotkanie? Oko, nacisk, głośnie bicie serca...

– Tego wieczoru, jeśli sobie życzysz – zapewnił monsieur Arslau z Police des Chateaux, poprawiając haftowany złotem krawat.

* * *

Na ścianach Café de l'Univers wisiały obrazy, wytrawione lustra i emaliowane płytki zachwalające wszechobecne produkty Pernod Fils. Obrazy, jeśli można tak je nazywać, były albo groteskowymi małżonkami, z pozoru wykonywanymi jako niedbale imitacje druku maszynowego, albo dziwacznymi formami geometrycznymi, sugerującymi bezustanny ruch płytek kinotropu. W niektórych przypadkach, jak podejrzewał Oliphant, twórcy tych dzieł byli tu obecni – a przynajmniej za nich uznał długowłosych młodzieńców w aksamitnych beretach i sztruksowych spodniach zaplamionych farbą i popiołem tytoniowym. Jednak w przeważającej części klienta – Według jego towarzysza, niejakiego Jeana Beraud – składała się z *kinotropistes*. Ci dżentelmeni z Dzielnicy Łacińskiej siedzieli i pili w towarzystwie swoich czarno odzianych *grisettes* przy okrągłych marmurowych stolikach albo snuli swoje teoretyczne rozważania Wobec niewielkich grupek przyjaciół.

Beraud, w absurdalnym słomkowym kapeluszu i brązowym garniturze wyraźnie galijskiego kroju, był jednym z *mouchards* Arslaua, profesjonalnym informatorem, który o kinotropistach mówił, że należą do *le milieu*. Był świeży i różowy jak prosiaczek, pił Vittel z miętą, a Oliphant od razu poczuł do niego niechęć. Kinotropiści preferowali chyba absynt Pernod Fils. Oliphant, sącząc z kieliszka czerwone wino, obserwował rytuał szklaneczek i karafki, kostki cukru i łyżeczki w kształcie kielni.

- Absynt to źródło gruźlicy – stwierdził Beraud.
- Dlaczego pan sądzi, Beraud, że madame Tournachon zdecyduje się dziś wieczorem odwiedzić tę *café*?

Mouchard wzruszył ramionami.

– Jest zaprzyjaźniona z *le milieu*, monsieur. Chadza do Madelon, do Batiffol, ale to rataj, w L'Univers, najczęściej znajduje towarzystwo.

– A to dlaczego? Jak pan sądzi?

– Ponieważ była kochanką Gautiera. To oczywiste. On był tu kimś w rodzaju księcia, monsieur. Trzeba to zrozumieć. Jej związek z Gautierem z konieczności ograniczył kontakty ze zwykłym towarzystwem. To on nauczył ją francuskiego, czy raczej tyle francuskiego, ile opanowała.

– Za jaką kobietę pan ją uważa?

Beraud skrzywił się.

– Jest może nawet atrakcyjna, ale zimna. Niesympatyczna. Na sposób Angielek, rozumie pan.

– Kiedy się zjawi, Beraud... a właściwie: jeśli się zjawi... masz natychmiast stąd wyjść.

Beraud unióśł brwi.

– Wręcz przeciwnie, monsieur...

– Masz wyjść, Beraud. Oddalić się. – Pauza. – Zniknąć.

Mocno watowane ramiona brązowej marynarki Berauda uniosły się na dźwięk tego słowa.

– Polecisz woźnicy czekać. Stenografowi również. Ten stenograf.

Beraud... Czy dostatecznie dobrze włada angielskim? Mój przyjaciel... mój dobry przyjaciel, monsieur Arslau, zapewnił, że tak właśnie jest...

– Z pewnością dostatecznie. I monsieur... – Poderwał się tak szybko, że niemal przewrócił gięte krzesło. – To ona...

Kobietę, która weszła do L'Univers, z łatwością można było wziąć za modną *Parisienne*, sytuowaną lepiej niż przeciętna mieszkanka stolicy. Szczupła i jasnowłosa, miała na sobie surową wełnianą krynolinę i dopasowany płaszczyk oraz kapelusz obszyty futrem.

Beraud wycofał się pospiesznie w głąb kawiarni, zaś Oliphant powstał. Jej oczy, czujne i niebieskie, zwróciły się ku niemu. Podszedł, ściskając w dłoni kapelusz. Skłonił się.

– Proszę wybaczyć – odezwał się po angielsku. – Nie byliśmy sobie przedstawieni, ale muszę z panią porozmawiać o sprawach niezwyklej wagi.

I W jej oczach rozbłysło zrozumienie zmieszane z lękiem.

– Sir, bierze mnie pan za kogoś innego.

– Jest pani Sybil Gerard.

Wargi jej zadrżały, zaś Oliphanta ogarnęło nagle i całkiem nieoczekiwane współczucie.

– Nazywam się Laurence Oliphant, panno Gerard. Grozi pani straszliwe niebezpieczeństwo. Przybyłem, aby pani pomóc.

– Nie tak się nazywam, sir. Proszę mnie przepuścić. Moi przyjaciele czekają.

– Wiem, że Egremont panią zdradził. Znam naturę owej zdrady. Drgnęła, słysząc to nazwisko. Oliphant przeraził się, że zemdleje, ale otrząsnęła się lekko i przyjrzała mu się uważnie.

– Widziałam pana tamtej nocy w Grandzie – stwierdziła. – Był pan w palarni z

Houstonem i... Mickiem. Miał pan złamaną rękę, na temblaku.

– Proszę – rzekł. – Może siądziemy.

Siedząc naprzeciw niej, Oliphant słuchał, jak dość płynną francuszczyzną zamawia *absinthe de vidangeur*.

– Zna pan Lamartine’a, piosenkarza? – spytała.

– Niestety nie.

– To on wymyślił „absynt czyścicieli”. Nie umiem już pić go inaczej.

Pojawił się kelner z napojem, mieszaniną absyntu i czerwonego wina.

– Theo nauczył mnie to zamawiać – powiedziała. – Zanim... odszedł. – Wypiła; czerwone wino tuż przy jej uszmiokowanych wargach... – Wiem, że przybył pan, żeby zabrać mnie z powrotem. Proszę mi nie wmawiać, że to nieprawda. Umiem rozpoznać łapsa.

– Nie chcę, by pani wracała do Anglii, panno Gerard...

– Tournachon. Jestem Sybil Tournachon, Francuzka przez małżeństwo.

– Czy mąż pani mieszka tutaj, w Paryżu?

– Nie. – Uniosła owalny medalion z grawerowanej stali na czarnej aksamitce. Otworzyła go, odsłaniając miniaturowy dagerotyp przystojnego młodego człowieka. – To Aristide. Zginął w tym piekle pod Filadelfią. Zgłosił się na ochotnika do wojsk Unii. Był prawdziwy... To znaczy: istniał naprawdę, nie był tylko wytworem dziurkaczy...

Spojrzała na maleńką fotografię tęsknym, smutnym wzrokiem, choć Oliphant zrozumiał, że nigdy w życiu nie widziała Aristide’a Tournachona na własne oczy.

– To było małżeństwo z rozsądku, jak mniemam.

– Tak. A pan chce mnie zabrać z powrotem.

– Ależ nie, panno... Tournachon.

– Nie wierzę panu.

– Musi pani. Bardzo wiele od tego zależy, między innymi i pani bezpieczeństwo. Charles Egremont stał się człowiekiem bardzo potężnym i bardzo groźnym. Równie niebezpiecznym dla Wielkiej Brytanii, jak, zapewne, dla pani osobiście.

– Charles? Niebezpieczny? – Wyglądała, jakby miała wybuchnąć śmiechem. – Nabiera mnie pan.

– Potrzebuję pani pomocy. Rozpaczliwie. Równie rozpaczliwie, jak pani potrzebuje mojej.

– Doprawdy?

– Egremont ma wielkie wpływy, ma do dyspozycji siły, które mogą osiągnąć panią nawet tutaj.

– Mówi pan o Specjalnych i tak dalej?

– Co może ważniejsze, muszę panią poinformować, że przynajmniej jedna tajna agencja Cesarstwa Francji nawet w tej chwili śledzi pani poruszenia.

– Ponieważ Teophile zechciał mi pomóc?

– W rzeczy samej, taka jest chyba przyczyna...

Wypiła resztkę paskudnie wyglądającej mieszaniny.

– Kochany Teophile. Jakimż był słodkim, naiwnym chłopakiem. Zawsze w tej swojej szkarłatnej kamizelce... Niesamowicie sprytny w dziurkarstwie. Dałam mu te karty Micka, a on był dla mnie strasznie miły. Wykreślił mi akt małżeństwa i francuski numer obywatelski. Ra-ta-ta i gotowe. Aż pewnego wieczoru miałam się tu z nim spotkać... – Tak?

– Nie przyszedł. – Spuściła wzrok. – Często się przechwalał, że i ma „szulerski modus”. Jak oni wszyscy, ale on mówił tak, jakby to była prawda. Ktoś mógł mu uwierzyć. Zachowywał się nierozsądnie...

– Czy mówił pani kiedyś, że interesuje się Maszyną zwaną Wielkim Napoleonem?

– Chodzi o to monstrum? Paryscy dziurkacze nie mówią prawie to niczym innym. Szaleją na jego punkcie.

– Władze francuskie uważają, że Teophile Gautier uszkodził Wielkiego Napoleona przy użyciu kart Radleya.

– Czy Theo nie żyje? Oliphant zawahał się.

– Tak. Obawiam się, że tak.

– To obrzydliwe, potworne okrucieństwo – oświadczyła. – Porwać – człowieka, tak jak magik wsadza królika z powrotem do kapelusza, pozostawić jego bliskich, żeby się martwili, żeby się zastanawiali i nigdy nie zaznali spokoju! To ohydne!

Oliphant poczuł nagle, że nie potrafi spojrzeć jej w oczy.

– Często się to zdarza w Paryżu – powiedziała. – To, co słyszałam, z czego żartują tutejsi dziurkacze... A w Londynie wcale nie jest lepiej, jak powiadają ci, co wiedzą. Słyszał pan, że podobno to radykałowie zamordowali Wellingtona? Podobno saperzy, kopacze, ręka w rękę z radykałami wyryli tunel pod tą restauracją, a mistrz saperów osobiście założył ładunki i podpalił lont... A potem radykałowie zrzucili całą winę na takich jak...

– Jak pani ojciec. Tak. Wiem.

– I wiedząc to, prosi pan, żebym panu zaufała? – W jej oczach błysnęło wyzwanie, a może też dawno pogrzebana duma.

– Wiedząc, że Charles Egremont zdradził pani ojca i doprowadził do jego śmierci, że zdradził również panią, doprowadzając do pani upadku w oczach społeczeństwa. Tak, muszę panią prosić o zaufanie. W zamian oferuję zupełne, całkowite i praktycznie natychmiastowe przerwanie kariery politycznej tego człowieka.

Spuściła głowę, jakby się zastanawiała.

– Naprawdę może pan tego dokonać?

– Pani zeznanie tego dokona. Ja będę tylko narzędziem służącym do jego przekazania.

– Nie – odparła po chwili. – Gdyby miała oskarżyć go publicznie, wtedy odsłoniłabym również siebie. Charles nie jest jedynym, którego muszę się obawiać, jak sam pan powiedział. Proszę pamiętać, że byłam tamtej nocy w Grandzie. Wiem, jak długie ramię może mieć

zemsta.

– Nie proponowałem publicznego oskarżenia. Wystarczy szantaż.

Jej oczy spoglądały w pustkę, jakby wędrowała dalekimi zaułkami pamięci.

– Byli sobie tak bliscy, Charles i mój ojciec... Przynajmniej tak mi się wydawało. Może gdyby sprawy potoczyły się inaczej...

– Egremont dzień w dzień żyje ze swoją zdradą. Jest to okrucieństwo drażniący umysł, ziarno, wokół którego mogła się uformować jego zdeprawowana polityka. Pani telegram zgalwanizował poczucie winy, strach, że wyjdą na jaw te dawne luddyczne sympatie. Teraz próbuje poskromić bestię, uczynić swym sprzymierzeńcem polityczny terror. Ale pani i ja stoimy mu na drodze.

Błękitne oczy były niezwykle spokojne.

– Chciałabym panu uwierzyć, panie Oliphant:

– Zapewnię pani bezpieczeństwo – zapewnił Oliphant, zdziwiony własnym przekonaniem. – Jak długo pozostanie pani we Francji, będzie pani chroniona przez potężnych przyjaciół, moich kolegów, agentów cesarskiego dworu. Na ulicy czeka powóz i stenograf, który zanotuje pani zeznania.

Z udręczonym, zgrzytliwym westchnieniem sprężonego powietrza ruszył niewielki panmelodion na tyłach kawiarni. Odwracając się, Oliphant pochwycił spojrzenie *moucharda* Berauda, który w grupce dyskutujących głośno *kinotropistes* spokojnie palił glinianą fajkę.

– Madame Tournachon – rzekł Oliphant, wstając. – Czy mogę podać pani ramię?

Podniosła się z szelestem krynoliny.

– Już wyleczone?

– Całkowicie – zapewnił Oliphant.

Wspomnił błyskawiczne cięcie samurajskiego miecza w Edo, pośród cieni. Próbował wtedy powstrzymać napastnika jeździecką szpicrutą.

Maszynowa muzyka panmelodionu poderwała z krzeseł *grisettes*. Sybil Gerard wzięła go pod rękę.

Przez drzwi z ulicy wpadła dziewczyna z nagimi piersiami pomazanymi zieloną farbą. Wokół talii miała zawieszane dziwne, kanciaste płyty miedzianej folii, jakby aproksymowane przez kinotrop liście daktylowej palmy. Za nią biegło dwóch chłopców, podobnie rozebranych. Oliphant poczuł się całkiem zbity z tropu.

– Chodźmy – powiedziała Sybil. – Nie wie pan? To studenci sztuki. Byli na balu. To przecież Montmartre i studenci; tak się cudownie, szaleńczo bawią...

* * *

Oliphant miał ochotę osobiście doręczyć Charlesowi Egremontowi transkrypcję zeznania Sybil Gerard. Zaraz jednak po powrocie do Anglii symptomy zaawansowanego syfilisu, który

McNeile błędnie zdiagnozował jako szok pourazowy, pokonały go na pewien czas. Podając się za podróżującego w interesach kupca z Alzacji, rodzinnej prowincji monsieur Arslaua, Oliphant wyjechał do hydropatycznych zdrojów w Brighton, by wypocząć u wód i wysłać kilka telegramów.

* * *

Pan Mori Arinori przybywa na Belgravię piętnaście po czwartej, prowadząc nowy model powozu *Zephyr*, wypożyczony z garażu w Camden Town. Dokładnie w tej chwili, Charles Egremont wychodzi z domu do Parlamentu, by wygłosić ważne przemówienie.

Ochroniarz Egremonta, przydzielony przez Wydział Antropometrii Kryminalnej Centralnego Biura Statystycznego, z ukrytym pod płaszczem karabinem maszynowym, obserwuje, jak Mori wysiada z *Zephyra*. mała figurka w wieczorowym stroju.

Mori maszeruje przez świeżo spadły śnieg. Jego buty pozostawiają równe ślady na czarnym asfalcie.

– Dla pana, sir – mówi Mori i kłania się uprzejmie, wręczając Egremontowi sztywną brązową kopertę. – Życzę miłego dnia, sir.

Poprawiając gogle na elastycznej taśmie, Mori wraca do *Zephyra*.

– Cóż za niezwykła, mała osoba – mruczy Egremont, spoglądając na kopertę. – Rzadko się widuje tak ubranych Chińczyków...

Oddalenie.

Reiteracja.

Wzlot ponad czarne linie śladów kół,

Zasypane śniegiem ulice,

Wielką mapę Londynu,

zapomnienie

MODUS

Obrazy tablicowane

Język znaków

Pierścieniowe ustawienie osi Maszyny Różnicowej wokół wielkich kół centralnych pozwoliło uzyskać niezwykle szerokie perspektywy. Cała arytmetyka wydaje się teraz osiągalna dla mechanizmu. Błysnęła nawet niewyraźna szansa na Maszynę Analityczną, a ja z entuzjazmem ruszyłem w pościg za tą mglistą wizją.

Plany i eksperymenty okazały się niezwykle kosztowne. Zaangażowałem kreślarzy najwyższej klasy, aby uczynić ekonomiczniejszą pracę własnego umysłu; równocześnie wykwalifikowani robotnicy konstruowali doświadczalną maszynę.

Aby doprowadzić próby do szczęśliwego zakończenia, nabyłem dom i około ćwierci akra ziemi w spokojnej dzielnicy Londynu. Powozownia została przekształcona w kuźnię i odlewnię, zaś stajnie służyły jako warsztat. Sam zbudowałem obszerne pracownię i postawiłem ognioodporny budynek dla moich rysunków i kreślarzy.

Złożone relacje między różnymi częściami maszyny pokonałyby nawet najsprawniejszą pamięć. Przewyciężyłem tę trudność, rozwijając i poszerzając język znaków, Notację Mechaniczną, którą w roku 1826 opisałem w pracy wydrukowanej w *Filozoficznych Protokołach Królewskiego Towarzystwa*. Tymi środkami udało mi się przeanalizować ciąg badań w zakresie tak wielkim, że lat by nie starczyło, aby opanować je w inny sposób. Dzięki pomocy języka znaków Maszyna stała się rzeczywistością.

LORD CHARLES BABBAGE,
Drogi życia filozofa, 1864

Listy naszych Czytelników

[z „Magazynu Mechanicznego”, 1830]

Sądząc z listów, jakie otrzymujemy, część naszych czytelników wątpi, czy kwestie polityczne mieszczą się w polu zainteresowań naszego pisma. Jednakże interesy nauki i produkcji są nieodmiennie powiązane z polityczną filozofią narodu. Jak zatem moglibyśmy milczeć?

Spoglądamy z zachwytem na przyszły wspaniały wiek Nauki, na rozkwit wszelkich TWÓRCZYCH procesów w tym kraju. Rozpoczną się one od wyboru do Parlamentu człowieka tak znanego w naukowym świecie jak pan Charles Babbage, człowieka o sprawdzonej niezależności umysłu, o duszy rzetelnego badacza.

Zwracamy się zatem wprost do każdego wyborcy z Finsbury, będącego czytelnikiem naszego pisma: idźcie głosować na pana Babbage’a. Jeśli jesteś wynalazcą, przed którym zabójczy i wszechobecny PODATEK PATENTOWY zamyka pole uczciwej konkurencji, jeśli chciałbyś, by ów PODATEK został zastąpiony przez mądry i przemysłany system SUBSYDIÓW PUBLICZNYCH – idź głosować na pana Babbage’a. Jeśli jesteś fabrykantem, nękanym i hamowanym fiskalną głupotą obecnego rządu, jeśli chciałbyś, aby brytyjski przemysł stał się swobodny jak powietrze, którym oddychasz – idź głosować na pana Babbage’a. Jeśli jesteś mechanikiem, a twój chleb powszedni zależy od stałego i trwałego popytu na dzieła twoich rąk, jeśli świadom jesteś wpływu wolnego handlu na twój dobrobyt – idź głosować na pana Babbage’a. Jeśli jesteś entuzjastą Nauki i Postępu, zasady i praktyki zespolonych niczym kość i ścięgno – przyjdź dzisiaj na spotkanie na Islington Green i GŁOSUJ NA PANA BABBAGEA!

Ciężkie Czasy

Wyniki wyborów powszechnych z 1830 roku ujawniły nastroje społeczne. Byron i jego radykałowie zwyciężyli bezapelacyjnie, zaś partia wigów została unicestwiona. Jednakże lord Wellington i jego torysi, zagrożeni w arystokratycznych przywilejach przez propozycje radykałów dotyczące „merytorycznego lordostwa”, sięgnęli do ostatecznych środków. Izba Gmin uchwaliła Radykalną Ustawę o Reformach, a Izba Lordów odrzuciła ją 8 października. Król odmówił nobilitacji nowych lordów, którzy mogliby ją przegłosować. Przeciwnie: zamiast nich tytuł otrzymali Fitzclearance’owie, co wywołało gorzki komentarz Byrona: „O ileż lepiej jest dzisiaj w Anglii być królewskim bękartem niż filozofem... Ale zbliżają się wielkie zmiany”.

Narastało społeczne niezadowolenie. W Birmingham, w Liverpoolu i Manchesterze klasa pracująca, porwana głoszonymi przez Babbage’a ideami związkowej własności i

spółdzielczości, w nie kończących się marszach z pochodniami wyszła na ulice. Industrialna Partia Radykalna, odrzucając przemoc, wzywała do moralnej perswazji i pokojowej kampanii dla słusznego zadośćuczynienia za krzywdy. Jednak rząd pozostał uparty i sprawy przybrały zły obrót. W narastającym crescendo przypadkowych aktów przemocy okrutne wiejskie „bandy Swinga” i proletariaccy luddyci zaatakowali rezydencje arystokratów i fabryki kapitalistów. Londyński tłum wybił szyby w domu księcia Wellingtona i innych torysów. Z brukowcami w rękach lud zaczął się na karoce elity. Palono kukły anglikańskich biskupów, głosujących w Izbie Lordów przeciwko reformom. Ultraradykalni spiskowcy, rozpaleni gorącymi polemikami ateisty RB. Shelleya, atakowali i grabili kościoły klasy rządzącej.

12 grudnia lord Byron przedstawił nową, jeszcze bardziej radykalną Ustawę o Reformach, proponując natychmiastową likwidację przywilejów dziedzicznej arystokracji brytyjskiej, nie wyłączając własnej osoby. Było to więcej, niż torysi mogli znieść i Wellington osobiście zaangażował się w plany przewrotu wojskowego.

Kryzys podzielił społeczeństwo. W tym przełomowym momencie przerażone perspektywą anarchii klasy średnie podjęły decyzję i stanęły po stronie radykałów. Ogłoszono strajk podatkowy, by zmusić Wellingtona do złożenia urzędu. Z pełną świadomością zaatakowano banki: kupcy żądali i otrzymywali wypłaty w złocie, co w krótkim czasie unieruchomiło gospodarkę kraju.

W Bristolu, po trzech dniach ogólnych rozruchów, Wellington rozkazał armii przy użyciu wszelkich niezbędnych środków stłumić „jakobinizm”. W rezultacie podczas masakry straciło życie trzystu ludzi, w tym trzech znanych posłów radykałów. Kiedy dotarły do niego te wieści, Byron – nazywający siebie teraz „obywatelem Byronem” – wezwał do strajku generalnego, występując na londyńskim wiecu bez surduta i krawata. Wiec zaatakowała kawaleria torysów, co spowodowało kolejne krwawe ofiary, jednak sam Byron uniknął schwytania. Dwa dni później w kraju wprowadzono stan wyjątkowy.

W przyszłości książę Wellington miał zwrócić swój niewątpliwy geniusz militarny przeciwko własnym rodakom. Pierwsze protesty przeciwko Reżimowi Torysów – jak dziś musimy go określić – zostały szybko i skutecznie stłumione. Garnizony wojskowe przejęły władzę we wszystkich większych miastach. Armia pozostała lojalna wobec zwycięzcy spod Waterloo, arystokracja – ku swej hańbie – także sprzymierzyła się z księciem.

Jednak elita radykałów, wspierana przez dobrze zorganizowaną tajną siatkę wiernych członków partii, uniknęła aresztowania. Wiosną 1831 roku legły w gruzach nadzieje na szybkie rozwiązanie militarne. Odpowiedzią na masowe egzekucje i deportacje był bierny opór i brutalne partyzanckie akcje odwetowe. Reżim całkowicie utracił społeczne poparcie i Anglia stanęła w ogniu wojny klasowej.

Krótką historią Ciężkich Czasów, 1912,
DR W. E. PRATCHETT, TK.

Smętne melodie automatycznych organów

[W prywatnym liście z 1855 roku Benjamin Disraeli opisuje swoje wrażenia z pogrzebu lorda Byrona. Tekst odbiega treścią od zapisu na szpuli taśmy pochodzącej z maszyny piszącej Colta i Maxwella. Adresat listu jest nieznany].

Lady Annabella Byron weszła wsparta na ramieniu córki; była chyba osłabiona. Wyglądała na nieco oszołomioną. Obie, matka i córka, były znużone i blade, całkiem wyczerpane. Potem zabrzmiał marsz pogrzebowy – bardzo piękny; panmelodion grał wspaniale pośród smętnych melodii automatycznych organów. Pojawił się kondukt. Pierwszy szedł Mówca, poprzedzany przez heroldów z białymi laskami, ale w żałobnej liberii. Mówca wyglądał wspaniale w niezwyklej urody szacie przetykanej złotem. Szedł wolno, ale miarowo, spokojny i pełen godności; iście egipskie oblicze. Przed nim niesiono buławę. Po nim ministrowie. Sekretarz Kolonii bardzo elegancki. Wicekról Indii chyba odzyskał już siły po ataku malarii. Przewodniczący Komisji Wolnego Handlu wyglądał na najbardziej zepsutego ze wszystkich ludzkich istot: jakby ugiął się pod brzemieniem haniebnych występków.

Następnie Izba Lordów. Lord Kanclerz absolutnie groteskowy, zwłaszcza w zestawieniu z potężnym pedłem ze srebrnym łańcuchem i szerokimi białymi sznurami na obu ramionach jako oznakami żałoby. Lord Babbage, blade i wyprostowany, poważny i godny. Miody lord Huxley, szczupły, zwinny, świetny. Lord Scowcroft, najprzebieglejszy człowiek jakiego widziałem, w wytartym ubraniu niczym jakiś wikary.

Wreszcie zjawiała się trumna; niosący podtrzymywali ją nerwowo. Pierwszym z nich był książę małżonek Albert, z niezwyklej, udręczoną miną – widać było poczucie obowiązku, dumę, lęk. Podobno kazano mu czekać już w drzwiach; mrucał coś po niemiecku o Feterze.

Kiedy wniesiono trumnę, owdowiała Żelazna Dama wyglądała, jakby miała tysiąc lat.

Owdowiała Żelazna Dama

A więc teraz świat wpada w ręce ludzi małych, hipokrytów i urzędników.

Wystarczy na nich spojrzeć. Nie mają dość odwagi, by podjąć to wielkie dzieło. Zmarnują je.

Nawet teraz mogłabym wszystko naprawić, gdyby tylko zechcieli wysłuchać głosu rozsądku. Ale nigdy nie umiałam tak przemawiać jak ty, a oni nie słuchają kobiet. Ty byłeś ich Wielkim Oratorem, nadętym i wymalowanym szarlatanem, bez jednej prawdziwej myśli w głowie – nie miałeś daru logiki, nic... prócz tej skłonności do zepsucia. A jednak słuchali cię... Jak oni cię słuchali! Pisałeś te swoje głupie tomiki wierszy, czciłeś szatana, Kaina, cudzołóstwo i wszelkie wszeteczne głupstwa, a ci durnie ciągle nie mieli cię dosyć.

Wyłamywali drzwi księgarni. A kobiety rzucały ci się do stóp całymi armiami. Ja nie, nigdy. Ale w końcu ze mną się ożeniłeś.

Byłam wtedy niewinna. Już w dniach narzeczeństwa pod wpływem jakiegoś moralnego instynktu budziło się we mnie obrzydzenie dla twoich chytrych kpinek, dwuznacznych uwag i insynuacji. Dostrzegałam jednak w tobie pewne cechy dające nadzieję i ignorowałam swoje wątpliwości. Jakże prędko, jako mój mąż, zbudziłeś je na nowo.

Okrutnie wykorzystałeś moją niewinność; kazałeś mi uczestniczyć w sodomii, zanim jeszcze poznałam naturę tego grzechu; zanim nauczyłam się tajemnych słów na nazwanie niewymawialnego. *Pederastia, masturbacja, fellatio* – tak pograżony byłeś w niemoralności, że nie potrafiłeś oszczędzić nawet małżeńskiego łóża. Zbrukałeś mnie, tak samo jak zbrukałeś tę swoją zajęczomózgą, durną siostrę.

Gdyby społeczeństwo poznało dziesiątą część tego, o czym wiem, zostałbyś wypędzony z Anglii jak trędowaty. Z powrotem do Grecji, do Turcji, do swoich lubieżnych efebów.

Jakże łatwo mogłam cię wtedy zniszczyć i niemal to uczyniłam ze złości na ciebie. Zraniłeś mnie głęboko, gdyż nie znałeś i nie chciałeś znać głębi moich przekonań. Szukałam więc ucieczki w swojej matematyce i milczałam. Chciałam w oczach społeczeństwa uchodzić za dobrą żonę; wiedziałam bowiem, do czego mogę cię wykorzystać, miałam przed sobą wielki cel i żadnych środków, by zrealizować go inaczej niż za pośrednictwem męża. Dostrzegłam drogę wiodącą do stanu największego szczęścia dla największej liczby ludzi, do dobra tak ogromnego, że niczym były przy nim moje skromne pragnienia.

Charles mnie uczył. Przyzwoity, inteligentny, nieziemski Charles, w każdym calu twoje przeciwieństwo; tak pełen planów, pełen czystego blasku nauk matematycznych, tak całkowicie oderwany od polityki, tak niezdolny, by bez protestu tolerować głupców. Posiadał talent Newtona, ale nie miał zdolności przekonywania.

Doprowadziłam do waszego spotkania. Z początku nienawidziłeś go. Drwiłeś z niego za plecami i ze mnie również, gdyż pokazałam ci prawdę przekraczającą twoją możliwość zrozumienia. Nie ustępowałam; błagałam cię, byś pomyślał o honorze, obowiązku, o własnej sławie i przyszłości potomka w moim łonie – Ady, dziwnego dziecka. (Biedna Ada, nie wygląda dobrze; za wiele odziedziczyła po tobie).

Ale ty przekłąłeś mnie jako megierę o zimnym sercu, po czym odszedłeś w pijackiej złości. Dla przyszłości, dla większego dobra, wymalowałam uśmiech na twarzy i świadomie zstąpiłam w otchłań.

Jakże mnie bolały te obrzydliwe, lepkie uściski i zwierzęca ohyda... Ale pozwoliłam ci robić, co chciałeś, i wybaczyłam ci to, i pieściłam cię za to, i całowałam, jakbym to lubiła. A ty szlochałeś jak dziecko, byłeś wdzięczny, mówiłeś o miłości nieśmiertelnej i duszach połączonych... Aż w końcu znudziły cię takie wyznania. Wtedy, żeby mnie zranić, opowiedziałeś o rzeczach strasznych, wstrząsających; miało to mnie zniechęcić i przerazić. Ale już wtedy nie pozwoliłam ci się zastraszyć; wtedy, tamtej nocy, byłam gotowa na

wszystko. Dlatego wybaczałam ci, wybaczałam i wybaczałam, aż wreszcie nawet w najohydniejszym szlamie swej duszy nie mogłeś znaleźć dalszych wyznań, wreszcie nie mogłeś już udawać, nie miałeś nic więcej do powiedzenia.

Myślę, że po tej nocy zacząłeś się mnie lękać, może trochę się obawiać. Sądzę, że wyszło ci to na dobre. Po tamtej nocy już nigdy nie cierpiałam tak bardzo. Nauczyłam się grać w te twoje „miłe drobne zabawy” i zwyciężać. To była cena, jaką płaciłam za okiełznanie bestii.

Jeśli istnieje Sędzia Ludzi na tamtym świecie... Chociaż nie, już w to nie wierzę, nie, nie w głębi serca... A jednak czasami, w ciężkich chwilach, takich chwilach jak ta, wyobrażam sobie, że wyczuwam zawsze otwarte, wszystko dostrzegające Oko, i czuję straszliwy ciężar jego spojrzenia. A gdyby istniał ów Sędzia, milordzie, mój małżonku, nie próbuj nawet go oszukiwać. Nie, nie przechwalaj się swoimi wymyślnymi grzechami i nie żądaj potępienia... gdyż tak mało wiedziałeś przez te wszystkie lata. Ty, największy z ministrów największego imperium w historii, wzdragałeś się, byłeś słaby, unikałeś wszelkich konsekwencji...

Czy to łyzy?

Nie powinniśmy zabijać tak wielu...

Mówię „my”, ponieważ to ja poświęciłam swoją cnotę, wiarę, zbawienie – wszystko spłonęło i zmieniło się w czarny popiół na ołtarzu twojej ambicji. Choć z dumą mówiłeś o Corsairsie i Bonapartem, w tobie samym nie było ani odrobiny żelaza; płakałeś na myśl o wieszaniu tych żalosnych luddytów, póki cię do tego nie M lam, nie potrafiłeś skazać na wygnanie tego zbrodniczego, obłąkanego Shelleya. A kiedy nadeszły raporty od naszych agencji sugerujące, proszące, wreszcie żądające prawa eliminacji wrogów Anglii to ja je czytałam, ja w tajemnicy ważyłam żywoty i ja podpisywałam się twoim imieniem, podczas gdy ty jadłeś, piłeś i żartowałeś z tymi ludźmi, których nazywałeś przyjaciółmi.

A teraz ci durnie, którzy składają cię do grobu, odsuną mnie na bok, jakbym była nikim, jakbym niczego nie osiągnęła. Tylko dlatego, że ty odszedłeś. Ty, ich tuba, ich bożek szminki i farbowanych włosów. Prawda – przerażające, pokryte szlamem korzenie historii – znika teraz bez śladu. Prawda zostaje pogrzebana wraz z twoim złożonym sarkofagiem.

Muszę przestać tak myśleć. Płaczę. Myślę, że jestem już stara i głupia. Czy każde zło, jakiego dokonaliśmy, nie zostało spłacone, spłacone po dziesięciokroć publicznym dobrem?

O, Sędzio, wysłuchaj mnie. Oko, wejrzyj w głębie mej duszy. Jeżeli zawiniłam, musisz mi przebaczyć. Nie czerpałam przyjemności z tego, co czynić musiałam. Przysięgam ci: nie czerpałam z tego przyjemności.

Mistrz Emeritus wspomina Wellingtona

Czerwonawy poblask słabnącego gazowego światła. Rytmiczny, huczący brzęk i zgrzyt Tunelowej Torpedy Brunela. Trzydzieści sześć spiralnych zębów z najlepszej

birminghamskiej stali z niesłabnącą energią wgryza się w cuchnącą żyłę skamieniałej londyńskiej gliny.

Mistrz saperski Joseph Pearson je lunch: zimny trójkąt ociekającego sosem mięsnego placka w blaszanym pudełku.

– A tak, poznałem wielkiego Mallory’ego – mówi. Głos odbija się echem od żebrowych luków nitowanego żelaza. – Nie to, żeby nas ktoś sobie przedstawiał, ale to był Lewiatan Mallory, pewna sprawa. Widziałem jego głowę w gazetach. Stał tak blisko, jak teraz ty, mój mały. „Lord Jefferies”, powiada do mnie, zdziwiony taki i zły. „Znam lorda Jefferiesa! Ten cholerny łajdak powinien odpowiadać za oszustwo!”.

Mistrz Pearson uśmiecha się tryumfalnie; czerwone światło odbija się w jego złotym kolczyku i złotym zębie.

– I niech mnie diabli porwą, jeśli wielki uczony Jefferies nie wpadł w piekielne kłopoty, jak tylko skończył się Fektor. Lewiatan Mallory przyłożył rękę do jego ukarania, pewna sprawa. To prawdziwy lord Natury; Mallory, znaczy się.

– Widziałem tego Lewiatana – stwierdza terminator David Waller. Kiwa głową i oczy mu błyszczą. – Niezły potwór!

– Ja sam pracowałem w Szybie 54, kiedy wykopali te słoniowe zęby. – Mistrz Pearson kiwa nogą w gumowym bucie, zwisającą z platformy na drugim poziomie szybu. Poprawia się na wodoodpornej plandecie z juty i spod górniczego fartucha wyciąga małą butelkę szampana. – Francuski szampiter, Davey. Pierwszy raz na dole; musisz tego spróbować.

– Tak nie można, psze pana. To wbrew przepisom...

Pearson wyciąga korek, bez strzału, bez strugi piany. Mruga porozumiewawczo.

– Do diabła, mały, to twój pierwszy raz na dole; nie będzie drugiego pierwszego razu.

Wylewa z blaszanego kubka słodkie resztki mocnej herbaty i nalewa do pełna szampana.

– Całkiem zwietrzała – narzeka terminator Waller.

Pearson śmieje się głośno, pocierając pękniętą żyłkę na swym wydatnym nosie.

– To ciśnienie, mały. Poczekaj, aż wrócisz na górę. Strzeli ci gazem w brzuchu i będziesz pierdział jak wół!

Terminator Waller ostrożnie wypija pierwszy łyk. Nad nimi odzywa się żelazny gong.

– Klatka schodzi – stwierdza Pearson i szybko zatyka butelkę. Wsuwa ją do kieszeni, jednym haustem dopija szampana i ociera wargi.

W dół zjeżdża winda w kształcie pocisku; z kloaczną powolnością przebija się przez membranę z grubej woskowanej skóry. Słychać syk, zgrzyt i klatka dotyka ziemi.

Wysiadają dwaj ludzie: nadsztygar w hełmie, z kilofem, w skórzanym fartuchu, za nim, z mosiężną ślepą latarnią, idzie wysoki siwowłosy mężczyzna w czarnym fraku i czarnym aksamitnym krawacie, w wysokim, lśniąącym cylindrze owiniętym czarną jedwabną krepą. W czerwonym świetle w tunelu błyszczy pod szyją diament, czy może rubin, wielki jak gołębie jajo. Podobnie jak nadsztygar, nogawki spodni schowane ma w wysokie do kolan gumowe

buty.

– Wielki Mistrz Górniczy Emeritus – szepcze Pearson i natychmiast zaczyna wstawać. Waller zrywa się także.

Obaj stają na baczność, gdy Wielki Mistrz przechodzi pod nimi tunelem w stronę masywnej głowicy roboczej Torpedy. Nie podnosi głowy i nie zwraca na nich uwagi; mówi coś władczo i spokojnie do nadsztygara. Kłującym promieniem swojej latarni bada nity, złącza i cementację. Latarnia nie ma uchwytu, gdyż Wielki Mistrz trzyma gorący mosiądz na smukłym żelaznym haku, sterczącym z pustego rękawa.

– Dziwacznie się ubrał, nie? – zauważa młody Waller.

– Ciągłe nosi żałobę – wyjaśnia szeptem Pearson.

– Aha... – mruczy terminator. Patrzy, jak Wielki Mistrz przechodzi dalej. – Jeszcze?

– Znał lorda Byrona; byli blisko z naszym Wielkim Mistrzem. I lorda Babbage’a też. W Ciężkich Czasach, kiedy kryli się przed Wellingtonem i policją torysów. Nie byli wtedy lordami, a w każdym razie nie prawdziwymi lordami radykałów, tylko buntownikami i agitatorami. Była cena na ich głowy, ot co. Wielki Mistrz ukrył ich kiedyś w wykopie. W tunelu urządzili normalny sztab Partii. Lordowie radykałów nie zapomnieli, co dla nich zrobił. To dlatego jesteśmy największym z radykalnych związków.

– Aha...

– To wielki człowiek, Davey! Mistrz żelaza, wielki mistrz prochu... i Dzisiaj już się tacy nie rodzą.

– Znaczy się... Musi mieć prawie osiemdziesiątkę, nie?

– Ale jeszcze zdrowy i silny.

– Moglibyśmy zejść na dół, psze pana? Bym popatrzył na niego z bliska. A może i uścisnął ten sławny hak?

– No dobrze, mały. Ale grzecznie... Żadnych brzydkich słów.

Zsuwają się na gołe deski na dnie tunelu.

Kiedy ruszają za Wielkim Mistrzem, huk głowicy Torpedy zmienia nagle ton. Załoga podrywa się z siedzeń, gdyż taka zmiana oznacza kłopoty: ruchome piaski, żyłę wodną albo i coś gorszego. Pearson i jego terminator rzucają się truchtem w stronę ściany.

Grudy miękkiej czarnej ziemi sypią się z ostrych stalowych spirali trzydziestu sześciu wirujących zębów, padając tłustymi bryłami na platformy przewozowe. Wśród czarnej gleby słychać ciche puknięcia kieszeni gazu, słabe jak odgłos korka Pearsonowego szampana. Ale nie rozlega się śmiertelnie groźny szum wody, nie ma szelestu piasku. Ostrożnie suną naprzód, wypatrując ostrego białego promienia latarni Wielkiego Mistrza.

Wśród zielonkawej, ciemnej ziemi wyrastają twarde, żółte guzy.

– Chyba kości – stwierdza robotnik, ocierając nos podrażniony zapachem ziemi. – Skamieniałe jakieś...

Kości sypią się nierówną strugą, gdy hydrauliczne siłowniki Torpedy szybciej pchają ją w

miękką masę. Ludzkie kości.

– Cmentarz! – woła Pearson. – Trafiliśmy na cmentarz!

Ale tunel jest na to zbyt głęboki. I kości jest zbyt wiele, kości są splątane gęsto jak gałęzie ściętego lasu: głęboka, obfita masa. I nagle powietrze wypełnia ostry, śmiertelny odór dawno zasypanego wapna i siarki.

– Masowy grób z zarazy! – krzyczy przerażony nadsztygar, a robotnicy odskakują, potykając się w pośpiechu.

Słychać szarpnięcie i syk pary, gdy nadsztygar wyłącza Torpedę. Wielki Mistrz nie rusza się z miejsca. Spokojnie obserwuje pracę zębów.

Odstawia na bok lampę i sięga do stosu szczątków. Grzebie w nich lśniącem hakiem, potem podnosi coś za pusty oczodół.

To ludzka czaszka.

– No tak... – Wzdycha. Jego potężny głos rozbrzmiewa echem w nagle zapadłej absolutnej ciszy. – Ty biedny stary draniu...

Lady Hazard sprowadza nieszczęście

Lady Hazard sprowadza nieszczęście na tych, którzy ją znają. Kiedy pechowa noc przy maszynach do gry opróżni jej sakiewkę, jej klejnoty przenoszone są dyskretnie na Lombard Street, a Fortuna jest kuszona raz jeszcze sumą otrzymaną pod zastaw! Potem sprzedaje garderobę, ku rozpaczy swych pokojówek; błaga o kredyt tych, z którymi się zadaje, oddaje w zastaw swój honor w próżnej nadziei odzyskania tego, co straciła!

Emocje nie mniej niż zrozumienie i imaginacja cierpią od tej gorączki hazardu. Cóż za gwałtowna, nienaturalna nadzieja i strach, radość i gniew, smutek i rozczarowanie rozkwitają w jednej chwili na twarzy, kiedy toczy się kostka, odwraca karta, mkną lśniące powozy! Kto mógłby bez oburzenia pomyśleć, że wszelkie te kobiece afekty, które winny być poświęcone dzieciom i mężowi, są tak oto niegodnie prostytuowane i odrzucane. Tylko ból mogę odczuwać, widząc, jak *serce* Lady Hazard łamie się i krwawi od tak grzesznych i niegodnych obsesji... widząc twarz anioła ożywioną sercem furii!

Boskie prawo powiada, że niemal wszystko, co bruka duszę, musi też niszczyć ciało. Puste oczy, zapadnięte policzki, blada cera – to naturalne cechy kobiety oddanej hazardowi. Sen do późna nie może naprawić grzesznych nocnych rozrywek. Długo i uważnie spoglądałem na oblicze Lady Hazard. Tak, przyjrzałem się jej dobrze. Widziałem, jak wynoszą ją na wpół martwą z piekła gier Crockforda, o drugiej nad ranem, wyglądającą niczym widmo w blasku gazowych lamp...

Proszę usiąść, drogi panie. Jest pan w Domu Bożym. Czy ta uwaga miała być groźbą? Jak pan śmie! Zaiste, mroczne czasy nadeszły, 'ciężkie czasy! Powiadam panu, jak powiadam tej

kongregacji, jak powtórzę całemu światu, że ją widziałem! Widziałem na własne oczy waszą Królową Maszyn oddaną diabelskim nałogom...

Na pomoc! Zatrzymajcie go! Łapcie go! Wielki Jezu, zastrzelił mnie! Umieram! Morderca! Czy nikt nie może go zatrzymać?

Panowie, wybór należy do was

[W szczytowym okresie kryzysu parlamentarnego lord Brunei zwołał posiedzenie i przemówił do członków swego gabinetu. Jego uwagi zanotował osobisty sekretarz lorda, używając notacji stenograficznej Babbage'a].

Panowie! Nie przypominam sobie ani jednej okazji, by w murach Parlamentu jakakolwiek osoba z partii lub spośród ministrów przemówiła, choćby mimochodem, w mojej obronie. Czekałem cierpliwie i – mam nadzieję – nie skarżąc się. Czyniłem co mogłem, choć mogłem niewiele, by chronić i poszerzać dziedzictwo zmarłego lorda Byrona, by zaleczyć bezmyślne rany zadane naszej partii przez nadgorliwą młodzież.

Nie ustąpiła jednak pogarda, jaką wy, szanowni dżentelmeni, dla mnie żywiliście. Wręcz przeciwnie, ostatnie dwie noce trwała debata nad wotum nieufności, najwyraźniej skierowana przeciwko głowie rządu. Dyskusja odznaczała się gwałtowniejszymi niż zwykle atakami na mój urząd, a z obroną nie wystąpił żaden z was, członków mojego gabinetu.

Jak w tych okolicznościach mamy z sukcesem rozstrzygnąć sprawę mordu na wielbnym Alistairze Roseberry? Ta nikczemna, atawistyczna zbrodnia, brutalnie popełniona w chrześcijańskim kościele, splamiła reputację partii i rządu, rzuciła cień zwątpienia na nasze intencje i naszą uczciwość. Jak mamy wyrwać korzenie tych morderczych tajnych stowarzyszeń, które z każdym dniem rosną w siłę i zuchwałość?

Bóg świadkiem, dżentelmeni, że nie pragnąłem tego urzędu. Więcej: uczyniłbym wszystko, co zgodne z honorem, by uniknąć jego przyjęcia. Muszę jednak być panem w tej Izbie albo zrezygnować ze stanowiska, oddając naród pod rzekome przywództwo ludzi, których zamiary stają się coraz wyraźniejsze. Panowie, wybór należy do was.

Śmierć markiza Hastings

Tak, sir; ściślej mówiąc piętnaście po drugiej, sir. Nie mogło być inaczej, jako że mamy założony patentowy system kart zegarowych Colta i Maxwella.

Tak jakby kapanie, sir.

Przez chwilę myślałem, że to dach przecieka; zapomniałem, że noc jest bezchmurna.

Deszcz, pomyślałem i przestraszyłem się, sir, że wilgoć uszkodzi Lądowego Lewiatana. Dlatego od razu poświeciłem swoją latarnią w górę. Ten nieszczęśnik tam wisiał, a krew ściekała po kościach szyi Lewiatana i po... jakże to się nazywa... po tym rusztowaniu, które utrzymuje bestię wyprostowaną. A jego głowa była czerwoną miazgą, sir... W ogóle trudno to było nazwać głową. Wisiał tam uwiązany za kostki do takiej upręży. Widziałem bloczki i naprężone liny biegnące prosto w górę i znikające w ciemności pod wielką kopułą. Tak mną to wstrząsnęło, sir, że dopiero, kiedy uruchomiłem alarm, zauważyłem, że Lewiatan też nie ma głowy.

*

Tak, sir, wydaje mi się, że właśnie tak to zrobili. Opuścili go z kopuły, a on wykonał robotę na górze, w ciemności. Przerywał, kiedy słyszał moje kroki, a potem wracał do pracy. To trwało parę godzin, bo przecież musieli umocować te liny i bloki. Pewnie na swojej zmianie przechodziłem pod nim kilka razy. A kiedy ją uwolnił, głowę znaczy, sir, ktoś inny wyciągnął ją na górę i wyjął przez tę odkręconą płytę. Ale coś musiało się zerwać, sir, albo się ześliznąć, bo spadł na dół, prosto na podłogę, na najlepszy florencki marmur. Znaleźliśmy miejsce, gdzie mózg mu się rozprysnął, choć szczerze mówiąc, sir, wolałbym tego nie pamiętać. I wtedy przypomniałem sobie dźwięk, sir, pewnie od tego uderzenia, ale żadnego krzyku.

Jeśli wolno wtrącić, sir, najohydniejsze w tej całej sprawie wydaje mi się to, że oni tak spokojnie podciągnęli go z powrotem i zostawili, żeby wisiał jak zając na wystawie rzeźnika. A sami uciekli cicho z łupem. Jest w tym jakieś barbarzyństwo, prawda?

KENNETH REYNOLDS

nocny strażnik w Muzeum Geologii Praktycznej;

zeznanie pod przysięgą

złożone przed sędzią śledczym G. H. S. Petersem,

Bow Street,

listopad 1855 r.

Proszę wierzyć, zawsze

Drogi Egremont,

Piszę do Pana, by wyrazić swój głęboki żal, że zbieg okoliczności pozbawił mnie możliwości i nadziei na wykorzystanie Pańskich niezwykłych zdolności w dalszej służbie partii i rządu.

Doskonale Pan rozumie, że moja świadomość Pańskiej trudnej sytuacji osobistej absolutnie nie powoduje braku zaufania do Pana jako męża stanu. To ostatnia rzecz, którą

chciałbym Panu sugerować. Nie mogę na zakończenie nie wyrazić swego gorącego pragnienia, by znalazł Pan odpowiednie dla siebie i wyróżnione miejsce w społeczeństwie.

Proszę wierzyć, zawsze
szczerze oddany
I. K. BRUNEL

Oficjalny list do posła Charlesa Egremonta
grudzień 1855 r.

Memorandum dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Przy tej okazji nasz dostojny gość, były prezydent Unii Amerykańskiej pan Clement L. Vallandigham, spił się jak bela. Ten wybitny demokrata pokazał, że potrafi być rozpustny jak angielski lord. Obmacywał panią A., pocałował pieszczącą pannę B., uszczypnął pulchną panią C. (ma sińca) i zaatakował pannę D. z wyraźnym zamiarem gwałtu!

Wreszcie, doprowadziwszy obecne damy do hysterii swym zachowaniem, przypominającym zachowanie słonia w okresie rui, szlachetna bestia została pokonana siłą i przez służbę domową wyniesiona na piętro, z rękami i nogami w powietrzu. W pokoju oczekiwała go pani Vallandigham w koszuli i czepku. Tam i wtedy, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, ten niezwykle człowiek zaspokoił swe powstrzymywane żądze na nie stawiającym oporu ciele swej prawowitej małżonki, obficie wymiotując podczas tej operacji. Ci, którzy widzieli panią Vallandigham, nie uważają tego za rzecz szokującą.

Niedawno dotarły do mnie wieści, że były prezydent Teksasu, Samuel Houston, zmarł na wygnaniu w Meksyku, w Veracruz. Jak sądzę, oczekiwał na wezwanie do walki, która mogłaby przywrócić mu władzę. Jednakże francuscy *alcaldes* okazali się dla niego za sprytni. Houston miał swoje wady, wiem dobrze, ale był też wart – lekko licząc – dziecięciu takich jak Clement Vallandigham, który zawarł tchórzliwy pokój z Konfederacją i pozwolił sępom komunizmu z Czerwonego Manhattanu ogryzać ścierwo swego pohańbionego kraju.

LORD LISTON, 1870

Przed radykałami

[Poniższe wyznanie jest nagraniem dźwiękowym zarejestrowanym na wosku. To jedno z najwcześniejszych takich nagrań zawiera wspomnienia Thomasa Towlera (ur. 1790), dziada Edwarda Towlera, wynalazcy audiografu Towlera. Mimo

eksperymentalnej natury wykorzystanego aparatu, zapis charakteryzuje się wyjątkową czystością. Rok 19751

Pamiętam jedną zimę... Była to zima długa i mroźna; nędza panowała w Anglii przed radykałami. Mój brat Albert to zbierał cegły, smarował je lepem, ustawiał przy stajni i łapał wróble. Potem je skubał i czyścił – on i ja razem z nim. Pomagałem mu. Nasz Albert rozpałał ogień, rozgrzewał piekarnik i tam piekliśmy te wróble w brytfannie mamy. Zawsze zostawało w niej dużo tłuszczu. A mama parzyła nam wielki dzbanek herbaty i urządzaliśmy sobie coś, co nazywaliśmy „herbatką”. Jedliśmy te wróble.

Ojciec... Zachodził do wszystkich sklepikarzy na Chatwin Road i dostawał resztki. Kości, no wiecie, kości z baraniny, i jeszcze różne rzeczy, wyschnięty groch i fasolę, resztki marchwi i rzepy... Miał obiecane trochę owsianki, a piekarz dawał mu suchy chleb... Ojciec miał taki wielki żelazny kocioł, robił w nim żarcie dla koni. No i szorował go porządnie, a potem gotowali zupę w tym wielkim końskim kotle. Pamiętam, widziałem, jak przychodzą biedacy. Przychodzili tej zimy dwa razy w tygodniu. Musieli przynosić własne naczynia. Tacy byli głodni przed radykałami.

Aha, Eddie, opowiadałem ci kiedy o Irlandzkim Głodzie, w czterdziestym? Chyba nie. Kartofle wtedy nie obrodziły dwa, trzy lata z rzędu. Marne widoki mieli ci Irlandczycy. Ale radykałowie nie dopuścili do tego. Ogłosili stan zagrożenia. Lord Byron wygłosił piękną mowę, była we wszystkich gazetach... Zaciągnąłem się w Bristolu na jeden z tych statków z pomocą. Dzień i noc ładowaliśmy wielkie skrzynie; listy przewozowe były z londyńskich Maszyn. Z całej Anglii bez przerwy przyjeżdżały pociągi wyładowane wszelką żywnością. „Niech Bóg błogosławi lorda Babbage’a”, krzyczeli do nas ci biedni Irlandczycy. Mieli łzy w oczach. „Trzy razy hurra za Anglię i radykałów”. Mają dobrą pamięć nasi lojalni Irlandczycy... nigdy nie zapomną miłosierdzia.

John Keats przy Half-Moon Street

Lokaj wprowadził mnie do gabinetu. Pan Oliphant przywitał mnie serdecznie i zauważył, że w moim telegramie wspomniałem o kontaktach z doktorem Mallorym. Wyjaśniłem, że miałem przyjemność wspomagać tryumfalny wykład doktora Mallory’ego o brontozaurze swoim wysoce zaawansowanym programem kinotropowym. *Miesięczny Przegląd Towarzystwa Parowego Intelktu* zamieścił bardzo pozytywną recenzję moich wysiłków. Ofiarowałem panu Oliphantowi egzemplarz tego magazynu. Przejrzał go, mam jednak wrażenie, że jego pojęcie o szczegółach dziurkarstwa było w najlepszym razie amatorskie, zareagował bowiem z uprzejmym zdziwieniem.

Poinformowałem go wtedy, że to właśnie doktor Mallory doprowadził mnie do niego. W

jednej z naszych osobistych rozmów ów wielki uczony uznał za stosowne opowiedzieć o śmiałych planach pana Oliphanta – planach wykorzystania Maszyn policji dla naukowego zbadania ukrytych dotąd wzorów opisujących poruszenia i zajęcia mieszkańców Londynu. Podziw dla tych śmiałych zamierzeń skłonił mnie do złożenia wizyty panu Oliphantowi. Zapewniłem go, że chciałbym pomóc w realizacji tej wizji.

Przerwał mi wówczas z wyraźnym roztargnieniem. Jesteśmy policzeni, oznajmił, każdy z nas, przez wszytkowidzące oko; nasze minuty także są policzone i każdy włos na naszych głowach. I z pewnością jest to wolą Bożą, by rachunkową potęgą Maszyny mierzyć największą pospolitość, prądy ruchu ulicznego i handlu, falowe poruszenia tłumu – nieskończenie podzielną fakturę Jego dzieła.

Czekałem na konkluzję tego niezwykłego wybuchu, jednak wydawało się, że pan Oliphant nagle pogrążył się w myślach.

Wyjaśniłem mu wtedy, tak dokładnie, jak to tylko możliwe, w terminach dla laika zrozumiałych, jak to natura ludzkiego oka wymaga – w kinotropii – niezwyklej szybkości i niezwyklej złożoności. Z tego powodu, zakończyłem, kinotropistów trzeba zaliczyć do najsprawniejszych programistów Maszyn w Brytanii. Praktycznie wszelki postęp w kompresji danych miał swój początek w zastosowaniach kinotropowych.

W tym miejscu przerwał mi znowu, pytając, czy w samej rzeczy wspomniałem o „kompresji danych” i czy znany mi jest termin „kompresji algorytmicznej”. Zapewniłem, że tak jest w istocie.

Wstał wtedy i podszedł do biurka. Przyniósł coś, co uznałem za drewniany futerał z rodzaju tych, w jakich przewozi się instrumenty naukowe. Choć miałem wrażenie, że ten akurat miejscami pokryty jest resztkami białego gipsu.

Czy byłbym tak uprzejmy, zapytał, by zbadać zawarte wewnątrz karty, skopiować je dla bezpieczeństwa i prywatnie przekazać mu raport o naturze ich zawartości?

Nie miał pojęcia o ich zdumiewającym znaczeniu. Rozumie pan? Nie miał żadnego pojęcia.

JOHN KEATS

*Z wywiadu przeprowadzonego przez H. S. Kywooda dla
Miesięcznego Przeglądu Towarzystwa Parowego Intelaktu,
maj 1857 r.*

Panmelodionowa polka

Chyba oszalał już świat cały:

Starzy i młodzi, radykały

*Takiej zabawy to nie znały
Jak z panmelodionowa polką.*

*Najpierw masz podnieść nogę prawą,
Kołysać się na lewej żwawo,
I obcasami stuknąć z wprawą
W panmelodionowej polce.*

*Walc wytańczony jest już do cna,
Z Maszyn muzyka teraz nam gra.
Tańczysz ją ty i tańczę ja:
Panmelodionową polkę.*

*Kiedy dziewczynę piękną widzisz,
Zagadać do niej sam się wstydzisz,
Lecz ona powie: „Mnie się widzi,
Że zatańczymy polkę!”.*

*Dziurkacz, kominiarz i uczony
Przy polce skacze jak szalony.
Nawet mąż, co się boi żony
Chętnie zatańczy polkę.*

*I tak tańczymy przy zabawie.
Para przy parze, w tańca sławie,
Dziewczęta, spójrzcie więc łaskawie
Na chłopców, co kręcą polkę!*

The Tatler

Dowiadujemy się z żalem i zdumieniem o niedawnym odjeździe do Ameryki, na pokładzie *Great Eastern*, popularnego i wszechstronnie utalentowanego pana Laurence’a Oliphanta – pisarza, dziennikarza, dyplomaty, geografa i przyjaciela Rodziny Królewskiej. Zamierza, jak oświadczył, zamieszkać w tak zwanej Falansterii Susquahenna, założonej przez panów Coleridge’a i Wordswortha, by tam poznawać utopijne doktryny stworzone przez naszych znakomitych rodaków.

NA MIEŚCIE, *felieton*, 12 września 1866 r.

Londyński afisz, 1866

TEATR GARRICKA, Whitechapel, Nowo Przebudowany
i Wyposażony, pod kierownictwem J. J. Tobiasa, Esq., prezentuje

Pierwsze Pokazy Nowej Sztuki Kinotropowej
Poniedziałek, 13 listopada i Dalszy Tydzień

Przedstawienie rozpocznie się od (PIERWSZY RAZ!) całkowicie nowej,
narodowej, miejscowej, charakterystycznej, metropolitalnej,
melodramatycznej, kinotropowej, sensacyjnej sztuki w pięciu aktach,
prawdziwie przedstawiającej współczesne życie i obyczaje
w ich niezliczonych i interesujących fazach, zatytułowanej

ROZSTAJE ŻYCIA!
albo
DZIURKACZE LONDYNU

Podstawą sztuki jest słynne przedstawienie *Les Fils de Vaucanson*,
ściągające obecnie uwagę całej Francji,
dostosowane do okoliczności i zdarzeń chwili obecnej.

Z kinotropową scenografią P. J. J. TOBIASA i Asystentów
New Flash Medley Orchestra pod batutą P. MONTGOMERYEGO
Akcja sztuki aranżowana przez P. C. J. SMITHA
Kostiumy PANI HAMPTON i PANNY BAILEY
Całość reżyserował P. J. J. TOBIAS

Dramatis personae:

Mark Riddley, *alias* Fox Skinner (*elegancki gość i Król londyńskich dziurkaczy*): Pan H.
L. MARSTON

Dorrington (*bogaty kupiec z Liwrpoolu, odwiedzający Londyn*): Pan J. ROMER

Frank Danvers (*oficer brytyjskiej marynarki, który właśnie powrócił z Indii*): Pan W. M.
BIRD

Robert Danvers (*jego młodszy brat, zrujnowany łajdak, oszukiwany przez dziurkaczy*):
Pan I. MELVIN

Hawksworth Shabner (*Właściciel Dziurkarskiego Biura na West Endzie, Sprzedawca Akcji i Cosista, gdziekolwiek jest Coś do zyskania*): Pan P. WILLIAMS

Bob Yorkner (*Bęcwał, zmęczony Bezrobociem*): Pan W. JONES

Ned Brindle (*Magik, gość niepewny*): Pan C. AUBREY

Tom Fogg, *alias* Stary Truposz, *alias* Zwierzak (*nałogowiec laudanum, cierpiący na delirium tremens*): Pan A. CORENO

Joe Onion, *alias* Krokodyl (*goryl, człowiek Shabnera*): Pan G. VELASCO

Dickey Smith (*Ranny Ptaszek, młody technik Maszyn, niczym się nie wyróżniający, zarabiający na życie jak potrafi*): Pan G. MASKELL

Ikey Bates (*gospodarz Szczurzego Zamku, właściciel salonu tanich rozrywek i skandalicznego bilardu, który uznał rzut piłką za zbyt prymitywny!*): Pan GOTOBED

Kelner w tawernie Pod Kotem i Kobzą: Pan SMITHSON

Inspektor z Bow Street: Pan FRANKS

Louisa Truehart (*ofiara nie odwzajemnionego afektu*): Panna CAROLINE BARNETT

Charlotte Willers (*młoda dama z kotem, z prowincji*) Panna MARTHA WELLS

LOŻA GŁÓWNA – 3s, LOŻE – 2s, PARTER – 10p, GALERIA – 4P

KASA OTWARTA CODZIENNIE OD 10. 00 DO 17. 00.

Poemat pożegnalny

[Mori Yujo, samuraj i klasyczny mędrzec z prowincji Satsuma, napisał ten ceremonialny wiersz z okazji wyjazdu swego syna do Anglii w roku 1854. Poniższy tekst jest tłumaczeniem z japońskiego].

*Mój syn wyrusza po toni niezgłębionej,
By spełnić szlachetną ambicję;
Daleko żeglować musi – dziesięć tysięcy mil,
Wyprzedzając wiosenne bryzy.
Niektórzy mówią, że Wschód i Zachód
Nic nie mają wspólnego;
Ale ja mówię, że to samo niebo
Rozciąga się nad oboma.
Własne życie naraża na rozkaz swego pana.
Wyzywa niebezpieczeństwo,
by zdobywać wiedzę w miejscach odległych;
Dla dobra rodu nie szczędzi wysiłku,*

*Szukając mądrości z wielkimi trudami.
Odplywa daleko,
Poza bajkowe rzeki Chin.
Jego uczona praca pewnego dnia
Zrodzi owoce wspaniałych dokonań.*

List do domu

Jak zawsze, i tego dnia wyglądałem lądu na wszystkie cztery strony świata, ale nie znalazłem go. Jakaż melancholią mnie to przepełniło! A potem przypadkiem, za pozwoleniem kapitana, wspiąłem się na jeden z masztów. Z tej wielkiej wysokości, ponad żaglami i kominem, ze zdumieniem dostrzegłem wybrzeże Europy – cienką jak włos linię zieleni ponad horyzontem wód. Krzyknąłem do Matsamury: „Chodź na górę! Chodź!”. A on wszedł do mnie, szybko i dzielnie.

Razem na maszcie, spojrzeliśmy na Europę. „Patrz!”, powiedziałem do niego. „Oto pierwszy dowód, że świat w istocie jest okrągły! Póki staliśmy na pokładzie, nie dostrzegaliśmy niczego; ale stąd, z góry, ląd jest wyraźnie widoczny. Oto dowód, że powierzchnia morza jest zakrzywiona! A jeśli morze jest zakrzywione, to również cała ziemia!”.

A Matsamura wykrzyknął: „To fantastyczne! Jest właśnie tak, jak mówisz! Ziemia w samej rzeczy jest okrągła! To nasz pierwszy prawdziwy dowód!”.

MORI ARINORI, 1854

Modus

Paryscy dziennikarze zaszkodzili chyba jej lordowskiej mości, gdyż sala wykładowa, choć skromnych rozmiarów, nie była wypełniona nawet w połowie.

Ustawione w równych rzędach ciemne składane krzesła były precyzyjnie wypunktowane błyszczącymi czaszkami łysiejących matematyków. Tu i tam między uczonymi siedzieli nerwowi francuscy dziurkacze, a ich letnie, zbyt eleganckie garnitury wydawały się nieco staromodne. Ostatnie trzy rzędy zajmował klub paryskich kobiet; wachlowały się w upale i paplały dość głośno, jako że już dawno zgubiły wątek wykładu jej lordowskiej mości.

Lady Ada Byron przewróciła kartkę i dłonią w rękawiczce poprawiła swój dwuogniskowy *pince-nez*. Od kilku minut katedrę okrążała wielka, zielona mucha. Teraz przerwała złożone pętle lotu i wylądowała na wypukłym archipelagu wotowanego, zdobnego

koronką ramienia. Lady Ada nie zwróciła chyba uwagi na działania owada, ale kontynuowała dzielnie w swej mocno akcentowanej francuszczyźnie.

Matka Maszyn mówiła:

„Życie nasze byłoby znacznie prostsze, gdyby komunikację międzyludzką dało się zinterpretować jako realizację głębszego systemu formalnego. Nie trzeba by się więcej zastanawiać nad tragiczną niejednoznacznością ludzkiej mowy, ważność zaś każdego zdania można by oceniać poprzez odwołanie do ustalonego i skończonego opisywalnego zestawu reguł i aksjomatów. Leibniz marzył o stworzeniu takiego systemu, *Characteristica Universalis*...

A jednak wykonanie tak zwanego Programu Modus wykazało, że każdy system formalny musi być jednocześnie niezupełny i niezdolny do stwierdzenia własnej spójności. Nie istnieje skończona matematyczna metoda, pozwalająca wyrazić właściwość „prawdy”. Pozaskończona natura Hipotezy Ady Byron okazała się niszcząca dla Wielkiego Napoleona; Program Modus zainicjował szeregi zagnieżdżonych pętli, które – choć trudne do wykrycia – okazały się jeszcze trudniejsze do usunięcia. Program został wykonany, a jednak uczynił Maszynę bezużyteczną! Była to w istocie bolesna lekcja ograniczonych możliwości nawet najlepszych *ordinateurs*.

Wierzę jednak, co muszę stanowczo podkreślić, że użyta w Modusie metoda samoodwołań stała się kiedyś fundamentem prawdziwie transcendentnego metasytemu obliczeń matematycznych. Modus udowodnił moje Hipotezy, ale ich praktyczne zastosowanie wymaga Maszyny ogromnej wielkości, zdolnej do iteracji o niewyobrażalnej wręcz złożoności i stopniu komplikacji.

Czy to nie dziwne, że my, zwykli śmiertelnicy, możemy dyskutować o koncepcji... o prawdzie... będącej nieskończenie złożoną? A jednak, czy system zamknięty nie jest istotą tego, co mechaniczne, co niezdolne do myślenia? I czy system otwarty nie jest samą definicją rzeczy organicznych, życia i myśli?

Jeśli wyobrazimy, sobie cały system matematyczny jako wielką Maszynę do dowodzenia twierdzeń, to musimy stwierdzić, za pośrednictwem Modusu, że taka Maszyna żyje i może nawet wykazać własne życie, jeśli tylko otrzyma zdolność spojrzenia na siebie. Natura obiektywu przystosowanego dla takiej samoobserwacji nie jest nam jeszcze znana. Wiemy jednak, że on istnieje, gdyż my sami go posiadamy.

Jako istoty myślące możemy wyobrazić sobie wszechświat, choć nie dysponujemy jego skończonym opisem. Sam termin „wszechświat” nie jest pojęciem racjonalnym, choć jest czymś tak absolutnie oczywistym, że żadna istota myśląca nie uniknie świadomości jego bytu. A także pragnienia, by poznać zasady jego działania i własne w nim początki.

W ostatnich latach życia wielki lord Babbage, zniecierpliwiony ograniczeniami mocy pary, próbował okiełznać błyskawicę i użyć jej dla sprawy obliczeń. Jego złożony system „rezystorów” i „kondensatorów”, choć dowodzi niezwykłego geniuszu twórcy, pozostaje fragmentaryczny i czeka na swoją konstrukcję. Nieświadomi często powtarzają z kpina, że

była to zaledwie rozrywka starca. Ale historia ogłosi wyrok – i wtedy, w co głęboko wierzę, moje Hipotezy przekroczą granice dziedziny abstrakcyjnych koncepcji i wkroczą do świata żywych”.

*

Oklaski były niezbyt głośne i krótkie. Ukryty pośród lin i worków z piaskiem Ebenezer Fraser, obserwujący wykład zza kulis, poczuł, że serce w nim zamiera. Ale przynajmniej pokaz dobiegł końca. Schodziła z podium i szła w jego stronę.

Otworzył niklowane zatraski sakwojaża jej lordowskiej mości. Lady Ada wrzuciła do wnętrza rękopis, potem swoje rękawiczki i mały, zdobny wstążkami kapelusz.

– Myślę, że zrozumieli! – oznajmiła wesoło. – Elegancko to brzmiało po francusku, panie Fraser, nieprawdaż? Francuski to bardzo racjonalny język.

– Gdzie teraz, milady? Do hotelu?

– Do garderoby – odparła. – Ten upał jest nużący... Przywoła pan dla mnie powóz? Za chwilę do pana dołączę.

– Naturalnie, milady.

Fraser z sakwojażem w jednej ręce i kryjącą klingę laską w drugiej, poprowadził lady Adę do ciasnej garderoby, otworzył drzwi, skłonił się, postawił sakwojaż przy jej stopach w eleganckich bucikach i zamknął drzwi. Wewnątrz, wiedział o tym dobrze, jej lordowska mość będzie szukać pocieszenia w posrebrzanej flasce brandy, ukrytej w lewej dolnej szufladzie toaletki i z naiwną chytrą owiniętej w arkusz bibuły.

Fraser pozwolił sobie dostarczyć wodę mineralną w wiaderku z lodem. Miał nadzieję, że lady Ada trochę rozcieńczy nią alkohol.

Opuścił budynek tylnymi drzwiami, potem okrążył go czujnie – stare przyzwyczajenie. Chore oko bolało pod opaską, czasami musiał wspierać się na rogowej rękojeści laski. Tak, jak się spodziewał, nie dostrzegł nawet śladu czegoś podejrzanego.

Nie znalazł też szofera wynajętego powozu jej lordowskiej mości. Z pewnością przekłety żabojad ukrył się gdzieś z butelką albo paplą z jakąś *soubrette*. A może źle zrozumiał instrukcje, gdyż francuszczyzna Frasera była daleka od doskonałości. Przetarł zdrowe oko i rozejrzał się po ulicy. Da mu dwadzieścia minut, a potem zatrzyma dorożkę.

Zobaczył jej lordowska mość stojącą dość niepewnie przy tylnym wyjściu. Włożyła dzienny kapelusz i chyba zapomniała o sakwojażu – to całkiem do niej podobne. Utykając, ruszył do niej pospiesznie.

– Tędy, milady... Powóz podjedzie na róg...

Urwał. To nie była lady Ada.

– Mam wrażenie, że wziął mnie pan za kogoś innego, drogi panie – odezwała się kobieta po angielsku. Spuściła oczy i uśmiechnęła się. – Nie jestem pańską Królową Maszyn. Jestem zaledwie jej wielbicielek.

– Przepraszam bardzo, madame – rzucił Fraser.

Kobieta zerknęła skromnie na złożony jacquardowy wzór swej białej spódnicy z cienkiego muślinu na szerokiej francuskiej tiurniurze. Miała na sobie sztywny żakiet z wutowanymi ramionami, obszyty koronką.

– Jej lordowska mość i ja podobnie się ubieramy – oświadczyła z lekkim uśmieszkiem. – Jej lordowska mość musi robić zakupy u monsieur Wortha. To pochwała dla mojego gustu, *n'est ce pas?*

Fraser milczał. Przeszył go lekki dreszcz podejrzliwości. Kobieta, szczupła, drobna blondynka koło czterdziestki – ubierała się poważnie i elegancko. Jednak na palcach dłoni, na rękawicze, miała trzy oprawne w złoto diamenty, a w delikatnych uszach błyszczały filigranowe kolczyki z nefrytu. Nad kącikiem ust tkwił czarny pieprzyk – czy może kawałek czarnego plastra. Duże niebieskie oczy spoglądały z wystudiowaną niewinnością, jednak błysk jak u *demi-mon-daine* zdawał się mówić: Wiem, że jesteś łapsem.

– Sir, czy mogę z panem zaczekać na jej lordowską mość? Nie będę się chyba zbyt nierzadko narzucać, jeśli poproszę o autograf?

– Na rogu. – Fraser skinął głową. – Powóz.

Podał jej lewe ramię, wsuwając laskę pod prawą pachę; dłoń spoczywała swobodnie na rękojęści. Nie zaszkodzi oddalić się nieco od drzwi, zanim stanie w nich lady Ada. Wołał uważać na tę kobietę.

Zatrzymali się na rogu, pod kanciastą francuską latarnią gazową.

– Jak przyjemnie znowu usłyszeć londyński akcent – rzekła przymilnie kobieta. – Tak dawno już mieszkam we Francji, że mój angielski zaczął nieco zgrzytać.

– Ależ skąd – zapewnił Fraser. Miała piękny głos.

– Jestem madame Tournachon – przedstawiła się. – Sybil Tournachon.

– Nazywam się Fraser. – Skłonił głowę.

Sybil Tournachon poprawiła skórkowe rękawiczki, jakby pocily się jej dłonie. Dzień był upalny.

– Czy jest pan jednym z jej paladynów, panie Fraser?

– Obawiam się, że nie całkiem panią rozumiem – odparł uprzejmie. – Czy mieszka pani w Paryżu?

– W Cherbourg. Ale przyjechałam z tak daleka porannym ekspresem, żeby zobaczyć, jak ona przemawia. – Zawahała się. – Właściwie to nie zrozumiałam ani słowa.

– Nic w tym złego, madame. – Fraser zaczynał odczuwać dla niej sympatię. – Ja też nie.

Przybył powóz. Szofer mrugnął porozumiewawczo do Frasera, wyskoczył zza kierownicy i wyrwał z kieszeni brudną irchę. Pogwizdując cicho, zaczął przecierać zmatowiały błotnik.

Lady Ada stanęła w drzwiach. Pamiętała o swoim sakwojażu. Kiedy ruszyła w ich stronę, pani Tournachon pobladła trochę z podniecenia i wyjęła z kieszeni żakietu program wykładu.

Była całkiem nieszkodliwa.

– Wasza lordowska mość, chciałbym przedstawić panią Sybil Tournachon – odezwał się

Fraser.

– Bardzo mi miło – powiedziała lady Ada. Pani Tournachon dygnęła.

– Czy zechce pani podpisać mi program? Proszę.

Lady Ada zamrugła niepewnie. Fraser zρέcznie podał jej pióro ze swego notatnika.

– Oczywiście. – Lady Ada wzięła program. – Przepraszam... Jak pani nazwisko?

– „Dla Sybil Tournachon”. Przeliterować?

– Nie trzeba. – Jej lordowska mość uśmiechnęła się. – Jest taki słynny francuski astronauta nazwiskiem Tournachon, prawda? – Fraser podstawiał plecy, by jej lordowska mość mogła podpisać się zamasyście. – Może to pani krewny?

– Nie, Wasza Wysokość.

– Słucham? – zdziwiła się lady Ada.

– Nazywają panią Królową Maszyn. – Pani Tournachon z tryumfalnym uśmiechem wyjęła z palców jej lordowskiej mości swój podpisany program. – Królowa Maszyn! A jest pani tylko zabawną, małą i siwą sensatką! – Zaśmiała się głośnie. – Te twoje wykłady, kochana... Czy to się opłaca? Mam nadzieję, że tak!

Lady Ada przyglądała się jej ze szczerym zdumieniem. Fraser mocniej ścisnął uchwyt laski. Podeszedł do krawężnika i otworzył drzwiczki powozu.

– Chwileczkę! – Kobieta gwałtownie szarpnęła się za palec, zsunęła jeden z krzykliwych pierścionków. – Wasza lordowska mość... proszę... proszę to przyjąć!

Fraser stanął między nimi, opuścił laskę.

– Proszę ją zostawić w spokoju!

– Nie! – krzyknęła pani Tournachon. – Słyszałam plotki! Wiem, że tego potrzebuje! – Przysunęła się i wyciągnęła rękę. – Wasza lordowska mość, proszę to wziąć! Nie powinnam ranić pani uczuć, to było wstrętne z mojej strony! Niech pani weźmie ten drobiazg! Proszę! Naprawdę panią podziwiam, przesiedziałam przez cały wykład!

Proszę wziąć, przyniosłam to specjalnie dla pani! – Cofnęła pustą dłoń i uśmiechnęła się. – Dziękuję, wasza lordowska mość. Życzę powodzenia. Nie będę więcej się pani naprzykrzać. *Au Renoir! Bonne chance!*

Fraser wsiadł do powozu za jej lordowska mością, zatrzasnął drzwiczki i stuknął w przesłone. Szofer zajął miejsce. Powóz ruszył.

– Cóż za dziwaczna osoba – stwierdziła jej lordowska mość. Otworzyła dłoń. Duży brylant lśnił w filigranowej oprawie. – Kim ona była, panie Fraser?

– Sądzę, że emigrantką, madame. Bardzo zuchwałą.

– Czy słusznie zrobiłam, przyjmując ten drobiazg? – Jej oddech pachniał brandy i wodą mineralną. – Chyba nie było to właściwe. Ale w przeciwnym razie urządziłaby scenę. – Uniosła klejnot do promienia słonecznego blasku wpadającego przez zakurzone okno. – Proszę spojrzeć, jaki jest wielki! Musi być bardzo drogi.

– Sztuczny, wasza lordowska mość.

Szybka jak myśl, lady Ada chwyciła pierścionelek niczym kawałek kredy i przejechała kamieniem po szybie. Zabrzmiął cichy zgrzyt, niemal niesłyszalny, i na szkle pojawiła się migotliwa bruzda.

Potem milczeli już przez całą drogę do hotelu.

Fraser patrzył przez okno na Paryż i myślał o swoich instrukcjach. „Może pan jej pozwolić pić ile zechce”, powiedział mu Hierarcha typowym dla siebie tonem zgryźliwej ironii, „mówić co zechce i flirtować z kim zechce, oczywiście, unikając otwartego skandalu... Swoją misję uzna pan za udaną, jeśli zdoła pan nie dopuścić jej do maszyn hazardowych”. Ta katastrofa wydawała się mało prawdopodobna, gdyż w portmonetce lady Ady tkwiły tylko bilety i trochę drobnych. Jednak ten diament zmieniał sytuację. Będzie teraz musiał bardziej na nią uważać.

Ich pokoje w Richelieu były dość skromne, połączone drzwiami, których nawet nie tknął. Sprawdził, że zamki są solidne, wyszukał i pozatykał nieuniknione otwory w ścianach. Zatrzymał klucze.

– Czy zostało jeszcze coś z zaliczki? – spytała lady Ada.

– Wystarczyło na napiwek dla szofera.

– Ojej... Tak mało?

Fraser przytaknął. Francuscy uczeni niewiele zapłacili za radość przebywania w jej oświeconym towarzystwie, a długi szybko pochłoneły tę sumę. Skromne zyski z biletów ledwie wystarczą na pokrycie kosztów podróży z Londynu.

Lady Ada rozsunała franki, zmrużyła oczy od letniego słońca i zasunęła je znowu.

– W takim razie będę chyba musiała zgodzić się na ten cykl odczytów w Ameryce.

Fraser westchnął niedosłyszalnie.

– Mówią, że kontynent ten pełen jest licznych cudów natury, milady.

– Ale który cykl? W Bostonie i Nowej Filadelfii? Czy w Charlestonie i Richmond?

Fraser milczał. Nazwy obcych miast pośepnie rozbrzmiewały mu w uszach.

– Rzucę monetą! – zdecydowała beztrząsco jej lordowska mość. – Ma pan jakąś monetę, panie Fraser?

– Nie, milady – skłamał, ukrywając brzęk przy przeszukiwaniu kieszeni. – Przykro mi.

– Czy oni w ogóle panu płacą? – zapytała lady Ada tonem lekkiej irytacji.

– Mam swoją policyjną emeryturę, milady. Hojną i wypłacaną regularnie.

Regularność przynajmniej była prawdą. Zatrzymała się i zmartwiła.

– Ale czy Towarzystwo nie płaci panu odpowiedniej pensji? Och, a ja narażam pana na takie kłopoty, panie Fraser... Nie miałam pojęcia...

– Wynagradzają mnie na swój sposób, milady. Dobrze wynagradzają.

Był jej paladynem. To wystarczało aż nadto.

Podeszła do biurka, przerzuciła papiery i kwity. Palce dotknęły szyldkretowego uchwytu podróżnego lustra.

Odwróciła się wtedy i skierowała na niego kobiece spojrzenie. Pod jego naciskiem uniósł dłoń, całkiem mimo woli, i musnął obrzmiały policzek pod opaską na oku. Siwe bokobrody nie przesłaniały blizn. Trafił go tam strzał ze śrutówki. W deszczowe dni stara rana wciąż czasem dokuczała.

Ona jednak nie dostrzegła tego gestu, czy też wołała go nie dostrzec. Skinęła, by podszedł bliżej.

– Panie Fraser... Drogi przyjacielu. Proszę mi coś powiedzieć, dobrze? Proszę powiedzieć szczerze. – Westchnęła. – Czy rzeczywiście jestem tylko zabawną, małą, siwą sensatką?

– Madame – odparł Fraser łagodnie. – Jest pani *la Reine des Ordinateurs*.

– Naprawdę?

Uniosła lustro i spojrzała.

W lustrze – Miasto.

Jest rok 1991. To Londyn. Dziesięć tysięcy wież, huraganowy szum bilionów wirujących trybów, atmosfera mroczna od mgieł rozpylonego oleju jak podczas trzęsienia ziemi, rozgrzana ciepłem tarcia wirujących kół zębatych. Czarne gładkie chodniki, nieskończone dopływy, którymi gorączkowo przesuwają się dziurkowane koronki danych, upiory historii wypuszczone na wolność w tej gorącej i lśniącej metropolii. Cienkie jak papier twarze wydymają się niby żagle, skręcają, rozwierają, płyną pustymi ulicami: ludzkie twarze, będące tylko pożyczanymi maskami, obiektywami dla patrzącego Oka. A kiedy twarz spełni już swoje zadanie, marszczy się, delikatna jak popiół, rozpada w suchą pianę danych, w składowe elementy, strzępki i pył.

Ale świeża osnowa hipotez splata się ciągle w lśniącym rdzeniu Miasta; szybkie, nieustannie wirujące szpule milionami zrzucają niewidzialne zwoje, a w gorącym nieludzkim mroku dane topnieją i mieszają się, ubijane zębami trybów w szkieletowy pumeks, zanurzają się w senny воск, który formuje symulowane ciała, doskonale jak myśl...

To nie jest Londyn – to zwierciadlane place czystego kryształu, aleje atomowych błyskawic, niebo z przechłodzonego gazu; Oko ściga w labiryncie własne spojrzenie, przeskakuje kwantowe bariery będące przyczynowością, nieokreślonością, przypadkiem. Elektryczne widma wciągane są w istnienie, badane, rozcinane, iterowane w nieskończoność.

W centrum tego Miasta coś rośnie: auto-katalityczne, prawie żywe drzewo, za pośrednictwem korzeni myśli odżywiające się bogatą glebą własnych odrzuconych obrazów, rozgałęziające się miriadami błyskawicowych odnóg, w górę, w górę, ku ukrytemu światłu wizji.

Kona, by się narodzić.

Światło jest mocne.

Światło jest czyste.

Oko musi wreszcie zobaczyć siebie

Mnie...

Widzę:

Widzę,

Widzę

Ja

!